

AUTOR «BLYSKAWICY» I «MIKROPROCESORA»

R.J.  
**Pineiro**



**Pustynna  
Gwiazda**

---

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

*Pustynna Gwiazda* to technothriller  
w najczystszej postaci...  
Podczas lektury scen walk powietrznych  
odruchowo sięgałem po pasy...

Stephen Coonts

Realizm i dramatyzm fabuły godny  
operacji *Pustynna Burza*...  
Kup dwa egzemplarze tej książki  
i podaruj jeden najlepszemu przyjacielowi...

Timothy Rizzi



**R.J.**  
**Pineiro**  
**Pustynna**  
**Gwiazda**

**TLUMACZYŁ ANDRZEJ ZIELIŃSKI**

**WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI**  
**WARSZAWA 1997**

Tytuł oryginału Retribution

Copyright © 1994 by R. J. Pineiro

Redaktor

Adam Kozak

Skład i łamanie

Wydawnictwo Adamski i Bieliński,

Andrzej Pytka

For the Polish edition Copyright © 1997 by Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Wydanie pierwsze

ISBN 83-87454-01-X

Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Warszawa 1997

*E-mail: [aibpubli@pol.pl](mailto:aibpubli@pol.pl)*

ark. wyd. 20; ark. druk. 21

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca SA

w Krakowie, ul. Wadowicka 8

zam. 5705/97

*Moim Rodzicom - Dorze i Rogelio A Pineiro.  
Dziękuję za wychowanie, cierpliwość i miłość.  
Dziękuję za wspomnienia.  
Chociaż nigdy nie potrafiłem tego wyrazić lub okazać,  
naprawdę kocham Was oboje.*

*I jeszcze  
Ku pamięci doktora Manuela Valle, wujka, przyjaciela*

# Podziękowania

Mam szczególny dług wdzięczności wobec mojej żony Lory, za jej nie-skończoną cierpliwość i słowa zachęty, kiedy pisałem i przeredagowywa-łem tę powieść. Jestem doprawdy wielkim szczęściarzem, bowiem poślubi-łem tak piękną, pomocną i pełną przyjaźni kobietę.

Podziękowania dla moich siostr bliźniaczek - Irene i Dory. Wspomina-nie tamtych cudownych lat, kiedy dorastaliśmy razem, jest zawsze źródłem natchnienia.

Dziękuję Gary'emu Mushli za cenną pomoc w początkowych stadiach pisania tego manuskryptu.

Pragnę podziękować porucznik Marynarki Stanów Zjednoczonych Kate Muller z Biura Rzecznika Prasowego Pentagonu za pomoc w koordynowa-niu wsparcia technicznego całego projektu.

Na koniec specjalne podziękowania dla moich ekspertów technicznych; wszyscy oni poświęcili mnóstwo czasu na czytanie manuskryptu i zgłasza-nie pomocnych sugestii. Są to:

Komandor podporucznik Marynarki Dave Parsons, operator radaru i systemów walki elektronicznej na *F-14A Tomcat*, który latał w dywizjonie VF-32 „Swordsman” na USS John. F. Kennedy” (CV-67) podczas wojny w Zatoce. Komandor Parsons jest także autorem książek o tematyce wojsko-wej i redaktorem „Approach”, magazynu poświęconemu bezpieczeństwu w lotnictwie morskim.

Kapitan Marynarki Robert Lammana, podczas wojny w Zatoce służył jako oficer zabezpieczenia medycznego w 11. Grupie Lotnictwa Morskiego wchodzącej w skład Trzeciego Skrzydła Lotnictwa Morskiego stacjonują-cego w Bahrajnie. Kapitan Lammana prowadził tam kurs technik przetrwa-nia dla personelu latającego. Obecnie jest oficerem zabezpieczenia

medycznego w Pierwszym Skrzydle Myśliwców w bazie lotnictwa Marynarki Oceana w Wirginii.

Dennis Jenkins, dziennikarz zajmujący się tematyką lotnictwa wojskowego oraz inżynier ze specjalnością wahadłowce kosmiczne. Pan Jenkins napisał m.in. książki o *F-15*, *F-14*, *B-52*, *EA-6A* i o wahadłowcu.

Mój przyjaciel Dave, który latał na *A-37* i *F-5* jako cywilny pracownik rządu USA w ramach operacji w Azji Południowo-Wschodniej podczas wojny wietnamskiej.

Wszystkim czterem wyrażam głęboką wdzięczność za szczegóły techniczne pomocne przy pisaniu książki. Wszelkie błędy, które pozostały, są oczywiście moimi błędami.

Jako katolika nauczono mnie, że świętym od rzeczy niemożliwych jest święty Juda (katolicy mają świętych praktycznie na każdą okazję). Ponieważ wydanie książki graniczy z niemożliwością, jakiś czas temu postanowiłem modlić się do niego. Dziękuję, święty Judo.

Specjalne podziękowania należą się Mattowi Bauerowi, mojemu utalentowanemu agentowi z agencji Williama Morrisa za pomoc, radę i wsparcie nie tylko przy tworzeniu tej książki.

Chciałbym też podziękować Andy'emu Zackowi za pomoc redakcyjną. Dzięki jego precyzyjnym opiniom, jasnym wskazówkom i pomocnym sugestiom, „Pustynna Gwiazda” jest lepszą książką. Praca z takim profesjonalistą to zawsze ogromna przyjemność.

Chciałbym wreszcie podziękować pracownikom wydawnictwa Forge Books, a zwłaszcza Annie Magee i Camilli Cline. Specjalne podziękowania dla Roberta Gleasona, redaktora naczelnego Forge Books za umożliwienie wydania tej książki i za dopingowanie mnie do napisania najlepszej powieści, na jaką mnie stać.

*R.J. Pineiro*  
*Austin, Teksas, 1994*

*Nie będziemy działać pochopnie ani bez potrzeby  
ryzykować wojny jądrowej, w której nawet  
owoce zwycięstwa miałyby smak popiołu  
w naszych ustach.  
Ale też nie uchylimy się od tego ryzyka, jeśli  
kiedykolwiek  
trzeba je będzie podjąć.*

**John F. Kennedy**

*Kłękamy przed bogiem nauki  
tylko po to, żeby przekonać się, że dał nam  
bombę atomową, budząc lęki i troski, których  
nauka nigdy nie zdoła ukoić.*

**Martin Luther King**



# Prolog

## ♦ Planty, Kraków

Ubrany w granatową kurtkę, koszulę z długimi rękawami i niebieskie dzinsy, oficer CIA Donald Bane uważnie rozglądał się po ulicy Pijarskiej, biegnącej skrajem Plant - parku otaczającego krakowskie Stare Miasto. Park dawno temu zajął miejsce starych murów miejskich, zburzonych w pierwszej połowie XIX wieku. Dwie przecznice dalej stała Brama Floriańska, prowadząca do Starego Miasta. Obok wznosił się monumentalny Barbakan, wielka XV-wieczna forteca, strzegąca kiedyś bramy.

Niebo; jeszcze przed godziną kryształowo czyste i rozgwieżdzone, zaciągnęło się teraz szarymi chmurami, które przyniosły ze sobą grzmoty i podmuchy wiatru, targające rudawą, nieco już przerzedzoną czupryną Bane'a. Hejnał, grany co godzinę z wieży pobliskiego Kościoła Mariackiego, zmieszał się z grzmotami, dając w efekcie dość ponury dźwięk. Bane odczuł ulgę, kiedy hejnał się skończył. Słyszał teraz tylko naturalne odgłosy burzy.

Postawił kołnierz i cofnął się dwa kroki za drzewo na skraju parku, po czym włożył lewą rękę do kieszeni kurtki. Zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu *Smith & Wesson Model 659*. Miał nadzieję, że nie będzie musiał go użyć tej zimnej, wietrznej nocy, ale dwadzieścia lat w FBI, które poprzedziły obecną pracę w Centralnej Agencji Wywiadowczej, nauczyły go ostrożności.

Ze swymi 185 centymetrami wzrostu i ponad 100 kilogramami wagi Bane był zwalistym mężczyzną. Miał kanciastą twarz o nieregularnych rysach, szeroki nos, pełne wargi, wystający podbródek i krzaczaste brwi. Wyglądem przypominał zawodowego boksera. W niebieskich oczach kryła się czujność.

Zaczęła właśnie padać mżawka, kiedy zobaczył światła nadjeżdżającego samochodu. Pojazd zbliżał się Pijarską, rzucając żółtawe światło na nierówną nawierzchnię ulicy. Bane przytulił się do pnia drzewa, kiedy samochód - stara Skoda - zwolnił, zbliżając się do niego. Oficer CIA usłyszał głośnie muzykę rockową, dochodzącą z otwartych okien auta, w którym siedziała czwórka młodych ludzi.

Odpęrzył się. Nigdy nie lubił czekać na swoich agentów, czuł się za bardzo odsłonięty. Był jednak oficerem operacyjnym w sekcji europejskiej Wydziału Operacyjnego i jego zadanie polegało głównie na rekrutowaniu w Kijowie agentów, mających szpiegować dla CIA. W normalnych okolicznościach także dzisiejsze spotkanie Bane zorganizowałby w stolicy Ukrainy, ale jego agent, generał Iwan Huczma skontaktował się z nim tydzień wcześniej w bardzo poważnej sprawie - zbyt poważnej, żeby omawiać ją przez telefon - dotyczącej jednego z magazynów wojskowych pod Lwowem, gdzie władze Ukrainy składowały główne komponenty zdemontowanych głowic atomowych przed ich umieszczeniem w odpornych na promieniowanie pojemnikach. Generał nie chciał spotykać się w Kijowie. W związku z incydentem w magazynie pod Lwowem, wywiad ukraiński objął stałą inwigilację wielu wysokich rangą oficerów sił zbrojnych. Szczęśliwym trafem, ukraińskie siły powietrzne miały w tym tygodniu uczestniczyć w pokazach lotów zespołowych na wystawie lotniczej w Balicach pod Krakowem, a generał Huczma należał do delegacji ukraińskiej. Była to świetna okazja do potajemnego spotkania i rano tego dnia Bane przyleciał z Kijowa.

Skoda skręciła w lewo na najbliższym skrzyżowaniu. Znow zapadła cisza, którą jednak po kilku sekundach przerwał grzmot. Mżawka stopniowo przekształcała się w ulewę. Granatowe niebo przecięła błyskawica. Huczma był spóźniony, bardzo spóźniony. Bane znow spojrzał na zegarek.

Gdzie on się, do diabła, podziewa? Czyżby coś było nie w porządku? - pomyślał, przesuwając dłonią po kurtce, upewniając się, że w wewnętrznej kieszeni nadal spoczywa plik studenckich banknotów. Pieniądze te były uzgodnionym wcześniej wynagrodzeniem dla Huczmy za jego informacje, pod warunkiem, że Bane uzna, iż warto zapłacić pięć tysięcy dolarów z budżetu kijowskiej placówki CIA. Wbrew powszechnemu mniemaniu, budżet oficerów operacyjnych CIA był bardzo skromny i musieli się rozliczać z każdego centa, wydanego na opłacanie agentów.

Znow niebo przecięła błyskawica. Deszcz spływał Bane'owi po czole i zalewał oczy. Przetarł je dłonią i mrugnął kilka razy, żeby wzrok na powrót przyzwyczaił się do ciemności. Kołnierzyk bawełnianej koszuli był już

przemoczony. Podnosił właśnie ręce, żeby szczerzej zasłonić się klapami kurtki, kiedy ktoś poklepał go po ramieniu.

Zaskoczony Bane szybko wyciągnął pistolet, obracając się na prawej stopie i przykucając z uniesioną bronią. Palec trzymał na spuście; wysoka, szczupła sylwetka znalazła się na linii łączącej szczerbinę z muszką.

Opuścił pistolet.

Stał przed nim generał Iwan Huczma, ubrany w ciemnoszary płaszcz przeciwdeszczowy. Mokre czarne włosy przyklejały mu się do niskiego czoła. Oczy, wbite w Bane'a, były równie czarne, jak otaczająca ich noc.

- Spóźniłeś się - powiedział Bane, rozprostowując się i chowając pistolet z powrotem do kieszeni.

Huczma miał oczy wytrzeszczone ze strachu. Uważnie rozejrzał się po obu stronach ulicy, zanim odezwał się po angielsku z wyraźnym słowiańskim akcentem: - Przyniosłeś pieniądze. Tak?

- Chodź za mną. Tu jesteśmy za bardzo na widoku - powiedział Bane, odwrócił się na pięcie i zniknął za jednym z tysięcy drzew na Plantach.

Wstrzymując na chwilę oddech, agent CIA wyciągnął broń i uważnie przyjrzał się drzewom dookoła. Szedł w głąb parku, aż znalazł się na skraju parkingu po drugiej stronie, gdzie stał zaparkowany Fiat Uno. Bane ręką wskazał samochód.

- Tam bezpiecznie? Tak? - zapytał Huczma.

- Ta część parku została sprawdzona. Nic nam nie grozi - odparł Bane.

Wciąż nieufny, ukraiński generał wysunął głowę zza linii drzew i przez kilka sekund rozglądał się po opustoszałym parkingu. W chwilę później obaj siedzieli na przednich siedzeniach Fiata. Bane sięgnął do pokrętła na desce rozdzielczej i szyby okien natychmiast się przyciemniły. Kiedy przerzucił przełącznik pod deską rozdzielczą, rozległ się niezbyt głośny szum. Wszystkie okna Fiata Uno wibrowały z wysoką częstotliwością, maskując drgania, powodowane rozmową wewnątrz samochodu. Był to skuteczny środek obrony przed laserowymi urządzeniami podsłuchowymi, potrafiącymi rejestrować wibracje szkła i odtwarzać z nich ludzki głos.

Huczma spojrział na Bane'a ze zdziwieniem.

- No więc? Mówiłeś, że masz coś ważnego - powiedział Bane. Deszcz prawie przestał padać.

- Pieniądze?

- Dostaniesz, ale dopiero po przekazaniu informacji. Takie są reguły gry. Zaczynaj. Nie mamy czasu.

Huczma sięgnął pod płaszcz i podał Bane'owi plik dokumentów w zielonej papierowej teczce.

Przez następnych kilka minut Bane w milczeniu przeglądał papiery. W większości były to kopie dokumentów z magazynu pod Lwowem, z informacjami o znajdujących się tam elementach głowic atomowych, przeznaczonych do zniszczenia. Przebiegł wzrokiem długą listę, zwracając szczególną uwagę na pozycje, które od razu rozpoznał: rdzenie plutonowe, inicjatory neutronowe, silny materiał wybuchowy, mający formę pustej w środku kuli. Klasyczne składniki każdej bomby atomowej.

- Wszystko wydaje się w porządku. Stan magazynu systematycznie się zmniejsza, tak jak przewiduje układ - powiedział Bane.

Huczma zatarł ręce. - Jest jednak mały problem.

Bane spojrział na starego generała. - Jak to? Przecież chodzi właśnie o to, żeby się tego wszystkiego pozbyć.

- To prawda. Zgadza się. Problem w tym, że niszczenie komponentów zawieszono rok temu.

Bane szybko przeniósł wzrok na dokumenty, szukając dat. - Ale... Przecież to są formularze sprzed ośmiu miesięcy i wynika z nich, że stan magazynu znacznie się zmniejszył. Co się stało z komponentami głowic?

- Zniknęły - odpowiedział Huczma.

- Zniknęły? Gdzie? Kto je teraz ma?

Ukraiński generał wypowiedział tylko jedno słowo: - Irak.

Donald Bane przymknął oczy. Boże Wszchemogący..

# 1.

## Reguły walki

*Kto mieczem wojuje, od miecza ginie*

*Mateusz, 26;52*

### ♦ Dzień pierwszy, 8.00 czasu lokalnego - USS „Ranger”, 150 kilometrów na północ od Bahrajnu, Zatoka Perska

Oficer startowy uniół dwa palce i pokręcił dłonią zgodnie z ruchem wskazówek zegara. W odpowiedzi porucznik Kevin „Szurnięty” Dalton przesunął dźwignie ciągu obu silników aż do mechanicznych ograniczników. Jego *Grumman F-14A Tomcat* zadrżał, kiedy oba turboodrzutowe silniki *Pratt & Whitney* dały w sumie prawie 20 tysięcy kilogramów ciągu, a gazy wylotowe uderzyły w chłodzone strumieniami morskiej wody deflektory katapulty nr 1.

Obserwując sygnały przekazywane przez oficera startowego, Kevin jeszcze raz omiół spojrzeniem samolot: klapy wychylone, drążek sterowy odepchnięty, skrzydła o zmiennej geometrii wysunięte maksymalnie do przodu.

Oficer startowy, wysoki, szczupły Murzyn w okularach przeciwsłonecznych, żółtej kamizelce i z obowiązkowymi ochraniaczami na uszach, powiódł wzrokiem dookoła, upewniając się, że na obszarze, za który odpowiadał, wszystko jest w porządku. Następnie sprawdził wskazanie sygnalizatora świetlnego na pomoście wyspowym lotniskowca. Wciąż żółte światło. Spojrzał na Kevina.

Chociaż cała ta procedura wciąż jeszcze była dla Kevina czymś nowym, grał swoją rolę jak prawdziwy zawodowiec. Uniósł prawą rękę, dotykając hełmu palcem wskazującym i środkowym. Oficer startowy energicznie oddał mu honory, po czym wyciągnął prawe ramię w kierunku *Tomcata*, rozprostowując dłoń. Kevin odpowiedział włączeniem dopalaczy.

Oficer startowy pochylał się z gracją tancerza i dotknął pokładu prawą ręką. Na skraj pokładu startowego operator katapulty uniósł w powietrze obie ręce.

- Wszystko gra? - spytał Kevin swego RIO\* przez interkom.

\*RIO - Radar Intercept Officer - oficer przechwytywania radarowego - lotnik odpowiedzialny za nawigację i obsługę elektronicznych systemów prowadzenia walki [przyp. red.]

- Wszystko w porządku, Szurnięty - odpowiedział porucznik Ricardo „Chico” Delgado siedzący tuż za Kevinem w dwuosobowej kabinie trzydziestotonowego myśliwca. - Wygląda na to, że znów mamy piękny dzień.

Kevin uśmiechnął się. W ciągu tych trzech krótkich miesięcy, kiedy latał w parze z Delgado, polubił tego niskiego, szczupłego chłopaka ze wschodniego Los Angeles. Na ulicach swojej niespokojnej dzielnicy dwudziestopięcioletni Chico widział już więcej przemocy i śmierci niż inni ludzie przez całe życie. Mimo to, jak większość personelu latającego Marynarki, zachował poczucie humoru, co Kevin uważał za niezbędne, kiedy lata się nad terytorium nieprzyjaciela maszyną kosztującą wiele milionów dolarów. Swoją postawą Chico pomagał Kevinowi przetrzymać loty patrolowe nad wodami Zatoki, nad Kuwejtem i północną Arabią Saudyjską, a także w przestrzeni powietrznej Iraku na południe od trzydziestego drugiego równoleżnika, w obszarze powietrznym zakazanym dla lotnictwa irackiego. Choć nigdy nie napotkał tam oporu, Kevin wiedział, że nie powinien być zbyt pewny siebie. Powtarzał sobie, że trzeba wychodzić z założenia, iż Irakijczycy są tak podstępni, jak to podkreślali jego przełożeni, od kiedy przed sześcioma miesiącami otrzymał przydział na lotniskowiec. Do ochrony tego regionu przed odbudowanymi siłami Saddama Husajna administracja Clintona wysłała nie tylko większe siły morskie, lecz także dywizjony samolotów *F-15 Eagle*, „niewidzialnych” myśliwców *F-117A*, śmigłowców *AH-64 Apache* i samolotów szturmowych *A-10 Warthog*, zwanych pogromcami czołgów. Wsparcie zapewniały im latające cysterny, samoloty AWACS - zmodyfikowane *Boeingi 707-320*, przenoszące systemy wczesnego ostrzegania, kontroli obszaru powietrznego i dowodzenia oraz śmigłowce ratunkowe. Ponadto, amerykański prezydent wysłał w ten region 45 tysięcy żołnierzy i 200 czołgów, rozmieszczając te siły wzdłuż północnych granic Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej. Wielka Brytania, Włochy i Francja również utrzymywały swoje siły w tym regionie.

Oficer startowy, nadal w półprzysiadzie, rzucił okiem na uniesione kciuki obserwatora dziobowego, po raz ostatni skontrolował wzrokiem

maszynę i dynamicznym gestem tułowia i wyciągniętej ręki wskazał na dziób lotniskowca. Kevin już się nie uśmiechał. Wysunął głowę do przodu, wyobrażając sobie, jak operator katapulty naciska guzik wielkości dłoni.

Przeciążenie narastało gwałtownie, kiedy samolot ruszył, ciągnięty przez zaczep tłoka katapulty. Tłok był poruszany parą pod potężnym ciśnieniem, zgromadzoną w zbiorniku pod pokładem startowym. Kevinowi pociemniało w oczach. Większość krwi przemieściła mu się w tył ciała. W rękach i nogach poczuł mrowienie spowodowane gwałtownym zanikiem krążenia.

Przeciążenie zmniejszyło się, kiedy tłok katapulty wykonał swoje zadanie. Kevin patrzył na wskazania przyrządów pokładowych, cały czas ścigając na siebie drążek sterowy. Przerzucił do góry dźwignię mechanizmu chowającego podwozie i dopiero wtedy pozwolił sobie na krótki rzut oka do tyłu, na okręt. USS „Ranger” wydawał się już mały na tle czystych, błękitnych wód Zatoki. Kilwater lotniskowca ciągnął się aż po horyzont.

Wykonując skręt w prawo, żeby nie wejść w paradę innym samolotom z „Rangera”, Kevin trzymał nos maszyny pod kątem ośmiu stopni nad horyzontem. Prędkość powoli rosła... 390 kilometrów na godzinę, 410. Wciągnął klapy, kiedy samolot osiągnął prędkość 420 kilometrów na godzinę, skorygował ciąg i zwiększył kąt wznoszenia do dwudziestu stopni.

Wyrównał na trzech tysiącach metrów, przy prędkości 430 kilometrów, ustawiając nos *Tomcata* w odległości sześciu metrów poniżej i na prawo od maszyny swego prowadzącego, komandora Johna „Cienia” Lancastera, który był także zastępcą dowódcy Wilczego Stada, jak nazywał się dywizjon Kevina. Był to jeden z dwóch dywizjonów *F-14A* operujących z pokładu „Rangera”.

Przez większą część pobytu Kevina w bazie lotnictwa Marynarki USA w Miramar, gdzie porucznik uczył się latać na *Tomcatach*, Lancaster był jego instruktorem. Po ukończeniu szkolenia Kevin został odkomenderowany na „Rangera” i dowiedział się, że wysłano tam również Lancastera. Był przyjemnie zaskoczony. Uważał Lancastera za dobrego pilota, sprawiedliwego instruktora i przyjaciela. Już na początku kursu w Miramar Kevin dowiedział się od kolegów o reputacji Lancastera. Ten Murzyn, pochodzący z biednej rodziny, wytrzymał zarówno Południowy Bronx, jak i rygorystyczne szkolenie w lotnictwie Marynarki i stał się pilotem najwyższej klasy.

Kevin odsunął od siebie te wspomnienia i leciał za *Tomcatem* Lancastera z prędkością ekonomiczną 430 kilometrów na godzinę, przy której silniki zużywały najmniej paliwa. Przez następne trzydzieści minut para *Tomcatów*

kierowała się na północ. Ich misja była zdefiniowana w rozkazie dziennym jako patrol bojowy w rejonie 40 kilometrów na północ od pancernika USS „Wisconsin”, tego samego, który podczas operacji Pustynna Burza ostrzeliwał Irak szesnastocalowymi pociskami artyleryjskimi i dziesiątkami raket *Tomahawk*. Pół roku temu USS „Wisconsin” został ponownie wysłany w ten region, kiedy Irak, który od dawna odmawiał udostępniania swoich obiektów przemysłowych ekipom inspekcyjnym ONZ, zaczął w dodatku rozmieszczać rakiety SA-2 i SA-3 w południowej strefie zakazu lotów.

Podobnie jak podczas Pustynnej Burzy, rozkazy dzienne były opracowywane przez CENTAF w Rijadzie. Dzisiejszy rozkaz dzienny dotarł na „Rangera” poprzedniej nocy. Takie wyprzedzenie było regułą; dawało załogom samolotów i personelowi pokładowemu dość czasu, żeby poczynić wszelkie niezbędne przygotowania. Podczas Pustynnej Burzy rozkazy dzienne definiowały cele ataków, przydzielały je konkretnym maszynom, podawały czas startu każdego samolotu, określały czas ataku na każdy cel i broń, jaka miała zostać użyta. Obecnie większość rozkazów dziennych mówiła o patrolach bojowych.

\* US Central Command Air Forces - Centralne Dowództwo Sił Powietrznych USA [przyp. red.].

Trzymając się tuż za Lancasterem, Kevin delikatnie przesunął drążek sterowy od siebie i w lewo, wychylając jednocześnie ster kierunku. Oba *Tomcaty* nurkowały w skręcie. Uważnie śledził Lancastera, ocierającą się właśnie o skraj chmury. Na horyzoncie widoczny był USS „Wisconsin”. Kevin czekał, aż RIO Lancastera - porucznik Gary „Dzieciak” Johnson - nawiąże kontakt radiowy z USS „Bunker Hill”, jednym w z dwóch krążowników raketowych, eskortujących USS „Wisconsin”. Jako skrzydłowego, Kevina obowiązywało ograniczenie do minimum rozmów przez radio poza częstotliwością dywizjonu. Łącznością miał się zajmować przede wszystkim RIO prowadzącego.

- Czerwona Korona, Wilcze Stado Dwa Zero Dwa, odbiór - Kevin usłyszał przez radio głos „Dzieciaka” Johnsona. Czerwona Korona była znakiem wywoławczym, przydzielonym na ten konkretny dzień okrętowi USS „Bunker Hill” w rozkazie dziennym, w którym podane też były oznaczenia kodowe wszystkich samolotów w tym regionie, z wyjątkiem maszyn na patrolach bojowych. Dla tych samolotów znakiem wywoławczym była kombinacja nazwy dywizjonu i numer boczny maszyny.

- Dwa Zero Dwa, Czerwona Korona, słucham.

- Dwa Zero Dwa, zgłaszam się z Dwa Jeden Cztery - odpowiedział Johnson, potwierdzając krążownikowi swoją tożsamość i przekazując znak wywoławczy Kevina.



- Zero Dwa - nadeszła odpowiedź z „Bunker Hill”, zgodnie ze standardową procedurą, przewidującą postępowanie się tylko dwiema ostatnimi cyframi numeru bocznego, kiedy łączność została już nawiązana.

Kevin utrzymywał prędkość ekonomiczną, lecąc za *Tomcatem* Lancastera. Zgodnie z rozkazem dziennym, mieli pozostać w tym rejonie przez następne dwie godziny.

### ♦ Dzień pierwszy, 8.45 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak

Pułkownik Abunnasr Manesz wykołował swoim myśliwcem *MiG-23*, określanym w kodzie NATO kryptonimem *Bogger*, z zakamuflowanego schronu na jedyny wyasfaltowany pas startowy zakurzonego lotniska i czekał, aż trzy dalsze *MiG-i* ustawią się za nim w formację przypominającą odwróconą literę „V”. Powietrze nad pasem drgało od gorąca.

Manesz zmarszczył brwi, niezadowolony z ekipy mechaników, która nie była w stanie naprawić na czas *MiG-a-29*, zmuszając pułkownika do lotu na dzisiejsze zadanie ociężałym *Hoggerem*. Manesz wiedział, że tak naprawdę *MiG-23* nie był powolnym samolotem, ale w porównaniu z nowoczesnym *MiG-iem-29* brakowało mu zwrotności, która była podstawowym wymogiem we współczesnej walce powietrznej. Znowu zmarszczył brwi, z niesmakiem myśląc o ekipie rządzącej w Bagdadzie, która wydała mu rozkaz poprowadzenia samolotów do strefy zakazu lotów, wbrew rezolucjom ONZ. Manesz uważał, że do odebrania intruzom kontroli nad znacznymi obszarami ojczyzny powinno się użyć nowoczesnych myśliwców. No, ale przynajmniej byli jeszcze tacy ludzie jak jego przełożony generał Kuazi Ali, który nigdy nie wahał się powiedzieć, co myśli, kiedy w rozkazach z Bagdadu nie można się było doszukać sensu. Cieszący się wielką popularnością generał Ali był jednym z bardzo niewielu ludzi w Iraku, którzy potrafili zaprotestować przeciw decyzjom, oznaczającym niepotrzebne narażanie żołnierzy na niebezpieczeństwo, takim jak niedawne rozmieszczenie sił na południe od trzydziestego drugiego równoleżnika, czy też lot, do którego miał za chwilę wystartować Manesz. Ale cóż, rozkazy Saddama, choćby i szaleńcze, były w tym kraju prawem i Manesz wiedział, że musi je wykonać, czy mu się to podoba, czy nie. Generał Ali posunął się jednak tym razem o krok dalej, nie tylko protestując przeciw bezsensownym rozkazom, ale także lecąc do Bagdadu, by przedyskutować tę sprawę osobiście z Saddamem.

- Kontrola przed startem - powiedział Manesz do uaktywnianego głosem mikrofonu przymocowanego do hełmu, nacisnął na hamulce i dał trzy czwarte ciągu. Chwile później usłyszał wycie czterech przyspieszających jednocześnie turbodrutowych silników *Tumański-29B*. Przesunął drążek sterowy w prawo i w lewo, i upewnił się, że lotki na końcach skrzydeł reagowały na jego polecenia. Usatysfakcjonowany, po raz ostatni rzucił okiem na wskaźniki silnika i zmniejszył ciąg.

- Jesteśmy wybrańcami, moi bracia! Błuznierczy Zachód nie powstrzyma nas przed lataniem nad ojczystą ziemią!

- *Inszallah* - odpowiedzieli chórem piloci pozostających *MiG-ów*.

Pułkownik Manesz wychylił kłapy i dał pełny ciąg, wciąż trzymając stopy na pedałach hamulców. *MiG* zadygotał. Pułkownik zaczął jeszcze kilka sekund, mocno trzymając drążek spoconą dłonią i wpatrując się w krótki, skąpany w upalnym słońcu pas startowy.

Wreszcie puścił hamulce. Samolot ruszył i pomknął po pasie. Manesz utkwiał wzrok w prędkościomierzu. Jeszcze trochę, pomyślał, delikatnie ściągając drążek, kiedy strzałka minęła 280 kilometrów na godzinę. *MiG* z gracją oderwał się od ziemi, ale nie wspiął się wysoko. Kiedy tylko maszyna znalazła się w powietrzu, Manesz schował podwozie i wyrównał lot. Poczuł, jak oparcie fotela wciska mu się w plecy, kiedy samolot zareagował gwałtownym przyspieszeniem - w ciągu kilku sekund prędkość wzrosła do ponad 550 kilometrów na godzinę. Trzymając *MiG-a* na pułapie poniżej trzydziestu metrów, pułkownik spojrzął za siebie. Cała czwórka musiała pozostać tuż nad ziemią, żeby uniknąć wykrycia przez radar.

Manesz podziękował Allahowi, pewien, że prawdziwy duch islamu jest z nim i jego ukochanym Irakiem, a nie z barbarzyńskimi Amerykanami, którzy bezlitośnie zamordowali jego rodziców podczas nalotu na Abadan w ramach operacji Pustynna Burza. Pierwszej nocy tamtej straszliwej wojny, kiedy rząd pozwolił mu ruszyć do boju, Manesz wraz z kilkoma innymi pilotami *MiG-ów* stawiał czoło napastnikom w pobliżu granicy z Arabią Saudyjską. W ciągu niespełna pięciu minut niebo zapełniło się samolotami wroga. Manesz jako jedyny powrócił wtedy do bazy, której schron na samoloty, zabezpieczony kilkumetrową warstwą piasku i zbrojonego betonu, był - przynajmniej w teorii - niezniszczalny. Irak zainwestował miliardy w budowę prawie pięciuset takich wzmocnionych schronów. Samoloty były w nich bezpieczne, a przynajmniej uważano tak w Bagdadzie. Dzień później, kiedy myśliwiec amerykański zrzucił naprowadzaną laserem bombę do szybu wentylacyjnego w schronie na terenie bazy lotniczej Talii, niszcząc wszystkie ukryte tam samoloty, Bagdad zmienił zdanie i nakazał ewakuację *MiG-ów* do Iranu.

Iran. Skurwysyny! - pomyślał Manesz. Irańczycy ponosili odpowiedzialność za śmierć jego żony i nowo narodzonego dziecka podczas trwającej osiem lat wojny Iraku z sąsiadem. Irańczycy zrównali z ziemią jego wieś, a Amerykanie przypatrywali się temu bezczynnie, bezpieczni na swoich niszczycielach. Wystarczyłoby kilka tych nowoczesnych amerykańskich rakiet ziemia-powietrze i Irańczycy musieliby się wycofać. Ale stało się inaczej. Manesz odnalazł swoją rodzinę następnego dnia, pod metrową warstwą gruzu, który przedtem był ich domem. Opłakiwał ich tygodniami, potem żał zaczął się powoli przeradzać w nienawiść; nienawiść do tych, którzy tak brutalnie zabrali mu rodzinę. W jego oczach wszyscy byli winni - Irańczycy, którzy pociągali za spust i ci z Zachodu, którzy nie zrobili nic, żeby temu przeciwdziałać. To właśnie wtedy pułkownik Abunnasr Manesz poprowadził pierwszy odwetowy nalot na irańskie miasto Choramszar; nazwa oznaczała „miasto zieleni i szczęścia”. W ciągu jednego miesiąca Manesz zrzucił na to bogate dzięki ropie naftowej miasto tyle bomb, że rząd w Teheranie przemianował je na Choninszar - „miasto krwi”.

Pogrążony we wspomnieniach, Manesz trzymał maszynę na wysokości trzydziestu metrów. Przeleciał nad Eufratem, zbliżając się do cieśniny Szatt al-Arab, głęboko w strefie zakazu lotów.

- Wilcze stado Dwa Zero Dwa, Kuguar - porucznik Kevin Dalton usłyszał załogę *AWACS-a* - zmodyfikowanego *Boeinga 707* z zamocowaną na kadłubie obrotową anteną radaru o średnicy ponad siedmiu metrów. *AWACS* nadawał w paśmie kontrolnym, żeby zwrócić na siebie uwagę *Tomcatów*. Te latające systemy wczesnego ostrzegania i kontroli obszaru powietrznego nie używały numerów w swoich znakach wywoławczych. Były wyposażone w najnowocześniejsze komputery, radary i urządzenia łącznościowe, umożliwiające monitorowanie i kontrolowanie działań powietrznych w promieniu prawie pięćset pięćdziesięciu kilometrów. Podzieliwszy Irak na trzy sektory - wschodni, środkowy i zachodni - *AWACS-y* utrzymywały pod kontrolą cały obszar powietrzny tego kraju. Dwadzieścia cztery godziny na dobę załogi *AWACS-ów* elektronicznie „przesłuchiwały” każdy samolot w ich zasięgu. Jeśli kod jakiegoś samolotu i dane systemu identyfikacji *IFF* nie odpowiadały informacjom zawartym w rozkazie dziennym, maszynę klasyfikowano jako wroga i przekazywano jej koordynaty najbliższemu sojuszniczemu dywizjonowi myśliwców przechwytyjących.

- Kuguar, Dwa Zero Dwa - odpowiedział przez radio porucznik „Dzieciak” Johnson.

- Czwórka bandytów. Namiar trzy-cztery-zero na jeden-pięć-zero, buster - dobiegł głos kontrolera z *AWACS-a*, podając Lancasterowi i Kevinowi pozycję wroga w odniesieniu do USS „Wisconsin”. Termin „buster” był rozkazem przechwycenia nieprzyjacielskich maszyn jak najszybciej, ale bez włączania dopalaczy.

- Mamy ich - potwierdził porucznik „Chico” Delgado przez interkom.

- *Phoenix* gotów - powiedział Kevin, odbezpieczając jeden z pocisków rakietowych powietrze-powietrze dalekiego zasięgu *Hughes AIM-54A*, które *Tomcat* miał pod kadłubem.

- Trzy-cztery-zero, dwa-osiemdziesiąt kilometrów, trzydzieści metrów, 550 kilometrów na godzinę, kierunek zero-dziewięć-zero - odpowiedział Delgado, podając namiar, odległość, pułap, prędkość i kurs przeciwnika dokładnie w tej kolejności.

- Atakujemy czterech bandytów lecących kursem jeden-sześć-zero - powiedział „Dzieciak” Johnson.

- My też - odpowiedział Delgado.

Kevin trzymał się” za swoim prowadzącym. Para *Tomcatów* przyspieszyła do tysiąca stu kilometrów na godzinę. Delgado włączył impulsowy radar dopplerowski w trybie poszukiwania i śledzenia. Nowoczesny komputer sprawował bezpośrednią kontrolę nad czterema pociskami rakietowymi *Phoenix*, zamocowanymi na wysięgnikach pod kadłubem *Tomcata*. System mógł śledzić do dwudziestu czterech celów równocześnie.

Kevin był coraz bardziej podniecony. Poziom adrenaliny we krwi wzrósł mu gwałtownie. Nigdy jeszcze nie uczestniczył w prawdziwej walce powietrznej. Wszystkie dotychczasowe loty przebiegały spokojnie. Myśliwska natura w Kevinie rwała się do walki, ale logika podpowiadała porucznikowi, że wciąż był nowicjuszem, który dopiero uczy się swego rzemiosła. Serce mu łomotało, kiedy leciał za Lancasterem, zwiększając nieco ciąg i nurkując płasko w kierunku wybrzeża. *Tomcat* przekroczył barierę dźwięku bez większych turbulencji. Centralny komputer pokładowy, który kontrolował geometrię skrzydeł, złożył je maksymalnie; znalazły się pod kątem sześćdziesięciu ośmiu stopni do kadłuba, kiedy prędkościomierz pokazał 1,2 macha.

- Chico, dawaj namiar - zawołał Kevin przez interkom.

- Bandyci trzy-cztery-pięć, jeden-siedemdziesiąt kilometrów, kurs trzy-trzy-zero. Zawracają.

- Niech to diabli!

Zostawiając za sobą wody Zatoki”, *Tomcaty* pędziły po bezchmurnym niebie z prędkością 1,4 macha kursem na przechwycenie. Piloci powoli schodzili na pułap trzystu metrów, dzięki czemu *F-14A* ostro przyspieszały, nie zwiększając zużycia paliwa.

- Rozdzielili się. Musieli nas wykryć - powiedział Delgado, wpatrzony w gwałtownie zmieniające kurs symbole na swoim ekranie. - Jedna para na trzy-trzy-jeden, druga na zero-jeden-zero.

- Kiedy opuszczą strefę? - zapytał Kevin.

- Za kilka sekund... prowadzący namierzony!

Piloci *Tomcatów* skoncentrowali się na dwóch *MiG-ach*, które leciały kursem zero-jeden-zero.

System ostrzegania przed opromieniowaniem radarowym w *MiG-u* pułkownika Manesza włączył alarm na sygnał z anteny ogonowej. Manesz wiedział, że przynajmniej jeden z *Tomcatów* namierzył go radarem, ale jeszcze nie strzelał, bowiem w kabinie nie odezwał się akustyczny sygnał systemu zakłóceniewego. Pułkownik przesunął dźwignię ciągu aż po przednie ograniczniki i *Flogger* przyspieszył do 1,1 macha. Skrzydłowy trzymał się maszyny Manesza jak przyklejony.

Pod maską tlenową pułkownik uśmiechnął się szeroko, kiedy jego *MiG* przeciął trzydziesty drugi równoleżnik.

- Dwa Zero Dwa, Czerwona Korona. Przerwij pościg. Powtarzam, przerwij pościg. Zbliżasz się do Czerwonego Waterloo - Kevin usłyszał w słuchawkach głos z USS „Bunker Hill”, nakazujący im zawrócenie, ponieważ zbliżyli się niebezpiecznie blisko do trzydziestego drugiego równoleżnika.

Kevin po prostu nie mógł w to uwierzyć. Jeszcze kilka sekund i miałyby ich. Niech to diabli!

- Dwa Zero Dwa, zawracamy - usłyszał odpowiedź „Dzieciaka” Johnsona. Lancaster przerwał atak

Lecąc za Lancasterem, Kevin wychylił drążek sterowy w prawo, wznosząc się ostro na pułap tysiąca ośmiuset metrów. *Tomcaty* wyrównały i kontynuowały lot kursem na południe.

- Będziemy mieć więcej szczęścia następnym razem - powiedział Kevin przez interkom.

- *Mierda!* Namierzył nas czyjś radar! - zawołał Delgado. Nie skończył mówić, kiedy w kabinie rozległy się sygnały alarmowe.

- *Dios mio!* Dwa *Floggery*, godzina szósta! Druga para *Floggerów* musiała zawrócić!

- Co? - Kevin instynktownie dał pełny ciąg i skierował nos *Tomcata* pionowo do góry.

- Jasna cholera<sup>1</sup> Wszystkie *Floggery* zawróciły. Mamy czterech bandytów! - wrzeszczał porucznik „Dzieciak” Johnson z tylnego fotela *Tomcata* Lancastera, nadając na częstotliwości dywizjonu.

Kevin nacisnął guzik wyrzutnika folii antyradarowej. Gdy dostrzegł

cienkie smugi kondensacyjne dwóch szybko zbliżających się raket, rzucił maszynę w lewo. W tym czasie Lancaster kontynuował pościg za pierwszą dwójką *MiG-ów*.

- Folia na coś się przydała? - zapytał Kevin.
- Jedną raketę oszukałeś, druga wciąż nas goni.

Kevin zacieśniał skręt, ale rakietą wciąż leciała za nim. Pchnął drążek do przodu, kierując nos myśliwca w stronę pustyni. Prędkość podskoczyła do ośmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Piaszczysta pustynia rosła mu w oczach. Wiedział, co musi zrobić, żeby się nie rozbić. Równocześnie wyrzucił więcej folii antyradarowej i mocno ściągnął drążek, kiedy wysokościomierz zaczął wskazywać mniej niż sześćdziesiąt metrów. Urządzenia ostrzegawcze wyły jak oszalałe. Pokryte parą kondensacyjną skrzydła automatycznie wysunęły się do przodu, kiedy prędkość zmaląa, dzięki czemu zwiększyła się siła nośna. W kadłub *Tomcata* uderzyło przeciążenie 7 g. Wykrywszy tę potworną siłę, działającą na samolot i jego załogę, czujnik przeciążenia otworzył zawór i kombinezon przeciwprzeciążeniowy Kevina wypełnił się sprężonym powietrzem. Poduszki uciskowe wokół talii, ud i łydek zmusiły krew, by z powrotem napłynęła do głowy, chroniąc pilota przed utratą przytomności.

Wydawało się, że *Tomcat* za chwilę rozpadnie się od wibracji. Siła odśrodkowa wgniotła Kevina w fotel katapultowy. Czując zwiększony siedmiokrotnie ciężar swego ciała, z polem widzenia zredukowanym do informacji na wskaźniku refleksyjnym wyświetlającym wskazania przyrządów przed wiatrochronem, Kevin cały czas ściągał drążek sterowy. Wreszcie siła odśrodkowa zaczęła słabnąć i Kevin w myślach podziękował inżynierom Grummana, którzy zaprojektowali jego *F-14*. Uśmiechnął się triumfalnie, kiedy nos maszyny wznosił się ponad linię horyzontu.

Rakietą, która nie była w stanie powtórzyć tego manewru, wbiła się w piasek pustyni. Eksplozji towarzyszył jaskrawy błysk.

Kevin głęboko odetchnął, kiedy z kombinezonu przeciwprzeciążeniowego uszło powietrze. - Gdzie są *Flogery*?

- Czterech bandytów. Skurwysyny zawróciły. Dwóch godzina druga, w górze za Cieniem. Dwóch godzina ósma, w górze, obserwują nas.

Kevinowi wręcz trudno było uwierzyć, że irackie samoloty rzeczywiście zawróciły, podkrały się do niego i odpaliły rakiety. Stawiając czoło zagrożeniu, przełączył uzbrojenie na pociski raketowe *Sidewinder* i wziął kurs na nieprzyjaciela, podczas gdy Lancaster piął się pionowo, rzucając folię antyradarową i flary termiczne.

- Cień, jestem po twojej godzinie siódmej z dołu, atakuję.
- Zrozumiałem, jestem teraz trochę zajęty - odpowiedział Lancaster.

Kevin przesunął drążek sterowy do tyłu i w lewo, ustawiając się za *MiG-ami*, które zagrażały Lancasterowi. Cień wykonał ciasny skręt w lewo. Irakijczycy równocześnie rozerwali szyk - jeden odszedł w prawo, drugi w lewo. Kevin pozostał przy tym z lewej, żeby bronić swego prowadzącego i przesunął do przodu dźwignie ciągu.

- Chcą nas wziąć w dwa ognie - ostrzegł Delgado przez interkom.

- Nic z tego! - Kevin przesunął dźwignie ciągu do oporu i poczuł, jak odrzut dopalaczy wgniała go w oparcie fotela. *Tomcat* nabierał prędkości i szybko zbliżał się do *MiG-a*. Kevin przestawił radar na automatyczny namiar celu i po chwili dostrzegł biały symbol karo na wskaźniku refleksyjnym, sygnalizujący namierzenie *Floggera*.

*MiG* szedł ostrym skrętem w górę, goniąc Lancastera. Kevin widział dyszę wylotową *MiG-a*, który nagle wykonał beczkę i zanurkował. Kevin bez trudu utrzymał mu się na ogonie. Zredukował trochę ciąg, przerzucając *Tomcata* na plecy i spadł na nieprzyjaciela jak jastrząb. Zwrotnością *F-14A* zdecydowanie przewyższał *MiG-a-23*, który nie dysponował systemem automatycznej zmiany geometrii skrzydeł; w walce powietrznej był to poważny atut. Rozpalona do białości dysza wylotowa *MiG-a* aż się prosiła o *Sidewindera*. Pustynia i niebo zamieniły się miejscami. Kevin skrzywił się pod maską tlenową. W słuchawkach miał wprawdzie sygnał, że naprowadzany na podczerwień *Sidewinder* namierzył cel, ale odległość od *MiG-a* zmniejszyła się do zaledwie stu kilkudziesięciu metrów.

- Niech to diabli, za blisko na rakiety! Przełączam na działko!

Wziął *MiG-a* na celownik i ściągnął spust. Ożyło sześciolufowe, dwudziestomilimetrowe obrotowe działko *Vulcan* firmy General Electric. Kevin spoglądał kątem oka na cyfrowy licznik, wyświetlony na wiatrochronie przez wskaźnik refleksyjny. Miał 675 nabojów, a to oznaczało, że przy szybkostrzelności tysiąca nabojów na minutę mógł prowadzić ogień przez niespełna czterdzieści sekund. Oszczędzając amunicję, oddał tylko dwie krótkie serie, pilnując celownika na wskaźniku refleksyjnym. Pociski siekły po lewym skrzydle *MiG-a*. Iracki myśliwiec przerwał atak na Lancastera, na chwilę wyrównał lot, ale zaraz poszedł spiralą w górę, znikając Kevinowi z celownika.

Lancaster ruszył za drugim *MiG-iem*. Kevin pchnął do oporu dźwignie ciągu i ściągnął drążek, starając się utrzymać za przeciwnikiem. Poczuł narastające przeciążenie. Czujnik wskazał 6,48 g, kiedy kombinezon przeciwnościowy znów wypełnił się sprężonym powietrzem. Z zawężającym się coraz bardziej polem widzenia Kevin szedł za *MiG-iem* do sześciu

tysięcy metrów. Palec wskazujący trzymał na spuście *Vulcano*, ale zanim zdołał wziąć *MiG-a* na celownik, tamten zanurkował. Kevin powtórzył manewr i trzymał mu się na ogonie jak przyklejony. Jeszcze jeden skręt i znów w górę. Wreszcie go miał. Statecznik pionowy *MiG-a* wypełnił celownik i Kevin nacisnął spust.

Silnik *Floggera* rzygnął ogniem i dymem, trafiony pociskami kalibru 20 mm. Pozbawiony ciągu *MiG* wpadł w korkociąg. Kevin wiedział, że iracki pilot nie zdoła już wyprowadzić maszyny.

- Zestrzelony! Jego kumpel jest na godzinie ósmej, trochę z dołu, bardzo blisko! - zawołał Delgado.

- Mam go!

Kevin dostrzegł drugiego *MiG-a* w lusterku wstecznym. Na pełnym ciągu wprowadził *Tomcata* w długi skręt pod górę, żeby znaleźć się z tyłu nad przeciwnikiem, który zawracał na północ z maksymalną prędkością. Przeciążenie w okolicach 5 g znów zawężyło mu przejściowo pole widzenia. Wciśnięty głęboko w fotel, Kevin sprawdził *Sidewindera*. Radar uchwycił cel i naprowadzana na podczerwień głowica pocisku raketowego zaczęła emitować brzęczący sygnał. *F-14* usadowił się za *MiG-iem* na wysokości trzystu metrów nad pustynią.

- Namierzony, strzelaj, strzelaj... Cholera, Czerwone Waterloo, Szurnięty! Przerwij atak! - zawołał Delgado, zdawszy sobie sprawę, że *MiG* dotarł właśnie do trzydziestego drugiego równoleżnika.

Kevin odpalił *Sidewindera*, zanim ostro odbił w prawo. Silnik *Mk36* na paliwo stałe rozpędził raketę o masie 80 kilogramów do trzykrotnej prędkości dźwięku.

- Na kursie... Na kursie!

Reagujący na podczerwień system naprowadzania *Sidewindera* namierzył rozpaloną dyszę wylotową *MiG-a-23*. Kevin obserwował *Floggera*, który zanurkował i wystrzelił flary termiczne. Rakieta była już jednak zbyt blisko i nie dała się zmylić. Jedenaście kilogramów materiałów wybuchowych rozwalilo sekcję ogonową *Floggera* w chwili, kiedy jego pilot odrzucił osłonę kabiny i odpalił raketowy silnik fotela katapultowego. Kevin spojrzął w lewo na otwierający się jaskrawoczerwony spadochron i zmniejszył ciąg do sześćdziesięciu procent.

Komandor Lancaster miał przewagę taktyczną nad pozostałymi dwoma *MiG-ami*, które nie dotarły jeszcze do trzydziestego drugiego równoleżnika.

- Pierwsza poszła!

Rakieta *Phoenix* oddzieliła się od węzła uzbrojenia i przez chwilę wisiała w powietrzu kilka metrów pod brzuchem *Tomcata*. Zaraz jednak silnik na



paliwo stałe pchnął ją w kierunku prawego *Floggera*. Ponieważ do celu było mniej niż dwa kilometry, *Phoenix* automatycznie przełączył się z impulsowego radaru dopplerowskiego *Tomcata* na własny aktywny system naprowadzania radarowego, pędząc w kierunku *MiG-a* z niewiarygodną prędkością 3,8 macha. W ciągu niespełna pięciu sekund głowica *Phoenixa* dosięgła *Floggera*.

W *MiG-u* pułkownika Manesza urządzenia zakłócające i zagłuszające włączyły się kilka sekund wcześniej. Manesz instynktownie rzucił maszynę ostro w lewo; po prawej stronie zobaczył kulę ognia. Samolot jego skrzydłowego rozpadł się w powietrzu. Pułkownik dał pełny ciąg i skierował się na północ.

Manesz zmarszczył brwi. Allach nie chciał widocznie, by amerykańskie myśliwce zostały zniszczone. Kilka sekund później *MiG* przeciął trzydziesty drugi równoleżnik.

- Dwa Zero Dwa, Czerwona Korona, podaj swój status - Kevin usłyszał głos z krążownika USS „Bunker Hill”.

- Dwa Zero Dwa, Dwa Jeden Cztery, w porządku. Zwycięstwo - odpowiedział porucznik „Dzieciak” Johnson.

- Zero Dwa.

- Cień, dlaczego puściłeś ostatniego *MiG-a*? - zapytał Kevinna częstotliwości dywizjonu.

- Wszedł na neutralny obszar powietrzny Iraku, zanim go dopadłem. Przy okazji, dobra robota, Szurnięty. Dwa *Flogger*? Jeden *Sidewinder*, a drugi z działka? Musiałeś mieć niezłego instruktora.

Kevin uśmiechnął się, ustawiając *Tomcata* poniżej, nieco z tyłu i w prawo od Lancastera, żeby dokonać oględzin maszyny swego prowadzącego. - Byłem w kinie pięć razy na „Top Gun”.

W słuchawkach rozległ się śmiech Lancastera. - Cień, jesteś suchy i czysty - powiedział Kevin, nie dopatrzwszy się żadnych uszkodzeń ani przecieków w *F-14* Lancastera.

Teraz komandor uważnie oglądał *Tomcata* Kevina. - Szurnięty, ty też jesteś czysty i suchy - powiedział po chwili.

- Może warto by nabrać trochę paliwa? - zapytał Kevin.

- Niezły pomysł.

- Czerwona Korona, Dwa Zero Dwa, daj mi zamiar na Texaco - powiedział „Dzieciak” Johnson.

- Zero Dwa, Texaco w drodze, zamiar jeden-sześć-zero.

- Zero dwa.

Czterdzieści minut później, po zatankowaniu z *KA-6D* - bombowca *A-6 Intruder*, przerobionego na latającą cysternę, porucznik Dalton zbliżał się do „Rangera” kursem pod wiatr, na wysokości 250 metrów, z całkowicie złożonymi skrzydłami i z prędkością około tysiąca kilometrów na godzinę. W chwili, kiedy nos jego maszyny osiągnął punkt odległy o sto metrów na prawo od rufy lotniskowca, Kevin wykręcił pierwszą z dwóch beczek zwycięstwa - po jednej za każdego *MiG-a*. Skończył pierwszą, przelatując nad pomostem wyspowym lotniskowca. Wyszedł z drugiej nad dziobem „Rangera”, wyrównał, otworzył hamulce aerodynamiczne i zredukował ciąg, żeby wytracić prędkość.

Skrzydła wysunęły się maksymalnie do przodu, kiedy zawracał przed lotniskowcem i przeszedł na kurs z wiatrem, trzymając się na wysokości 250 metrów. „Rangera” miał teraz po lewej stronie. Opuścił kłapy i podwozie. Skontrolował prędkość: 250 kilometrów na godzinę. Zaczekał, aż krążownik znalazł się pół kilometra z tyłu i zaczął robić szeroki skręt o 180 stopni. Wyszedł z niego na prostą do lądowania. Nos *Tomcata* znalazł się na jednej linii z rufą „Rangera”.

Kevin mierzył *Tomcatami* w trzecią z czterech specjalnie splecionych i wzmocnionych lin hamujących, rozciągniętych w poprzek lądowiska. Hak opuścił już wcześniej, wkrótce po tankowaniu w powietrzu. Zmniejszył ciąg do 75 procent, utrzymując prędkość 240 kilometrów na godzinę.

- Witaj, Pogromco *MiG-ów*. Możesz siadać - odezwał się przez radio oficer sygnałowy, pełniący służbę na lądowisku; podczas lądowań dziennych zwykle nic nie mówił, chyba że pojawiały się jakieś problemy, albo okazja była szczególna.

- Zrozumiałem - odpowiedział Kevin z uśmiechem.

- Pogromca *MiG-ów*, podwozie wyszło, hak opuszczony. Pięćset metrów - powiedział oficer sygnałowy. W zasadzie informacje te były zbędne podczas dziennych lądowań, ale Kevin doszedł do wniosku, że jego lądowanie upamiętniają zapewne na wideo.

- Zrozumiałem. Pięćset metrów - odpowiedział obojętnym tonem.

Oficer sygnałowy nie tylko obserwował podchodzenie Kevina do lądowania; miał prawo dać mu sygnał, nakazujący przerwanie podejścia, gdyby uznał, że coś jest nie w porządku. Kilku innych ludzi prowadziło nasłuch łączności radiowej z lądującym samolotem, bądź przekazywało niezbędne informacje innym sekcjom na okręcie. Mając jeszcze świeżo w pamięci szkolenie w bazie Pensacola, Kevin wiedział, że szybko traci wysokość. Ale dopóki utrzymywał pomarańczowe światło nawigacyjne w centrum

ścieżki schodzenia, był pewien, że wszystko jest w porządku.

- Dwa Jeden Cztery, dwa koma pięć - powiedział przez radio, informując oficera sygnałowego, że w baku pozostało mu dwa i pół tysiąca litrów. Oczami wodził od markera, przez lądowisko, do prędkościomierza i z powrotem.

- Zrozumiałem, Pogromco *MiG-ów* - potwierdził oficer sygnałowy.

*F-14A* minął krawędź pokładu na wysokości niespełna pięciu metrów. Trzy sekundy później Kevin rzucił maszynę na dół w „kontrolowanym upadku”. Kiedy podwozie uderzyło o pokład z siłą prawie siedemdziesięciu ton, przy prędkości przekraczającej 220 kilometrów na godzinę, dał pełny ciąg na wypadek, gdyby hak na ogonie nie złapał liny.

Mocny hak zaczął się trzeć o linę. Zawirowały żłobione rolki, przez które przechodził gruby na prawie cztery centymetry kabel, łączący końce liny z mechanizmem hamującym. Mechanizm zatrzymał ciężki samolot w ciągu niespełna dwóch sekund.

Pasy bezpieczeństwa wpiły się Kevinowi w ramiona, kiedy *Tomcat* gwałtownie stanął w odległości trzydziestu metrów od przedniego krańca pokładu startowego „Rangera”. Przewinął turbiny na jałowy ciąg w odpowiedzi na sygnał ubranego w żółtą kamizelkę podoficera, który biegł przez pokład z rękoma uniesionymi do góry.

- Okay, Pogromco *MiG-ów* - powiedział przez radio oficer sygnałowy, informując Kevina, że lądowanie było perfekcyjne.

- Nieźle, Szurnięty. Powinieneś w ten sposób zarabiać na życie - pochwalił go Delgado przez interkom.

Kevin zachichotał.

Wciągnął hak, kiedy zsunęła się z niego lina hamująca, i pokołał *Tomcatem* na prawą stronę, gdzie obsługa w brązowych kamizelkach czekała już, by za pomocą stalowych łańcuchów zakotwiczyć samolot do pokładu.

Minutę później Lancaster podkołał na sąsiednie miejsce parkingowe. Kevin i Delgado wygramolili się z kabiny i zeskoczyli na opancerzony pokład w chwili, kiedy Lancaster unosił osłonę kabiny myśliwca. Kilku fotografów podbiegło do maszyny Kevina, robiąc zdjęcia lotnikom w pełnym rynsztunku, podczas gdy inni piloci farbą w spraju malowali przez szablony dwie sylwetki *MiG-a* na burcie *Tomcata*.

Kevin czuł, że ogarnia go euforia. Nie tylko wymknął się dwóm rakietom wroga, ale jeszcze zestrzelił dwa *MiG-i*. Długie, pracowite godziny spędzone na treningu sownie się opłaciły. Teraz chwalono go, poklepywano po plecach. Nagle usłyszał znajomy głos.

- Wystraszyliście nas tam, jak diabli!

Kevin i Delgado odwrócili się i spojrzeli w niebieskie oczy dowódcy Wilczego Stada, komandora Johna „Ducha” McDeere'ego, faceta metr dziewięćdziesiąt wzrostu i z najszerszymi barami w całej Marynarce. Kevin, ze swymi stu siedemdziesięcioma ośmioma centymetrami wzrostu i osiemdziesięcioma czterema kilogramami wagi czuł się przy nim jak dzieciak. Czterdziestodwuletni dowódca stał koło lewego statecznika *Tomcata* z rękami na biodrach. Jego słowa natychmiast uciszyły cały komitet powitalny.

- Cóż, sir, nie mieliśmy innego... - zaczął odpowiadać Delgado.

McDeere uniósł zaciśniętą w pięść prawą dłoń z wysuniętym kciukiem. - Nie wysilaj się, Delgado. Zobaczmy się na odprawie. Teraz czekają na ciebie ci z wywiadu wojskowego.

- Tak, sir! - zawołał Delgado i uciekł czym prędzej.

McDeere oparł rękę z powrotem na biodrze i wbił wzrok w Kevina. - Musisz się nauczyć reguł wchodzenia do walki!

Fotografowie i piloci powoli się wycofywali.

Kevin był kompletnie zaskoczony. Oczekiwał pochwał za dobrze wykonane zadanie. Nic nie rozumiejąc, przeczesał ręką czarne włosy i spoglądał przez chwilę na dowódcę, zanim odpowiedział. - Tamci doprawdy nie zostawili nam zbyt wielkiego wyboru, sir.

- Zobaczmy. Rozmawiałem właśnie z CAG; chce nas natychmiast widzieć u siebie. - Akronimem CAG określano dowódcę grupy powietrznej (Commander Air Group), oficera odpowiadającego za cały personel latający i wszystkie operacje powietrzne.

- Hej, Duch, komu się coś nie podoba? - zapytał Lancaster, podchodząc do nich z hełmem w ręku. Swojemu RIO gestem wskazał, by poszedł za porucznikiem Delgado. Jako oficer operacyjny, czyli zastępca dowódcy dywizjonu, Lancaster podlegał bezpośrednio McDeere'owi.

Lancaster był równie wysoki jak McDeere, ale na tym kończyło się podobieństwo. Kolorem skóry różnili się tak samo, jak osobowością. McDeere, prawie albinos, z przerzedzonymi jasnymi włosami, milionem piegów i krzaczastymi brwiami, był skrajnym formalista, dla którego regulaminy liczyły się ponad wszystko. Ze ślepym posłuszeństwem wykonywał rozkazy, nigdy nie kwestionował decyzji przełożonych i pogardzał wszystkimi, którzy nie postępowali tak samo. Był wzorem oficera i lotnikiem najwyższej klasy, ale Kevin nie miał wątpliwości, że McDeere potrafi być czasem potwornie upierdliwy. Czarnoskóry Lancaster był zupełnie inny. Burzliwa młodość nauczyła go nie brać życia zbyt serio. Jego poorana bruzdami twarz pasowała do srebrzystych pasemek w czarnych włosach, które

ostatnio jakby oddawały pole podnoszącemu się coraz wyżej czołu. Podobnie jak McDeere, Lancaster akceptował potrzebę przestrzegania reguł. Wiedział jednak, że reguły tworzą ludzie, a ludziom zawsze przydarzają się błędy, zwłaszcza tym w siłach zbrojnych.

- CAG jest wkurzony - odpowiedział McDeere, masując sobie kark i mrużąc przy tym oczy. - Obawiam się, że to przez tych dwóch.

- Myślisz, że mogę się odlać, zanim pójdziemy na spotkanie ze Starym Sukinsynem?

Kevin uśmiechnął się pod nosem.

- Nie bądź taki cwaniak - odparł McDeere. - Niech tylko CAG usłyszy, jak go nazywasz, a do emerytury będziesz latał tylko na *C-130*, transportując suszy z Okinawy. - Odwrócił się do Kevina. - Nie ma tu nic śmiesznego. Gdybyś nie wiedział - dopuściłeś się naruszenia reguł wejścia do walki.

- Ejże, Duch - wtrącił się Lancaster. - Daj chłopakowi spokój. Przecież przerwaliśmy atak. Lecieliśmy kursem na południe, kiedy tamci zawrócili i napadli na nas.

- Dobra, idziemy do CAG. Radzę, byście uważali, co mówicie.

Kevin wciąż nie pojmował, o co właściwie chodzi. Przecież tylko bronił się przed *MiG-ami*. - Sir, doprawdy nie rozumiem... - zaczął się domagać wyjaśnień.

McDeere uniósł brew i powoli pokręcił głową. - Zaraz się dowiesz, Szurnięty. CAG czeka. - Odwrócił się i poszedł schodami w dół za Lancasterem. Kevin odetchnął głęboko i ruszył za nimi.

Dwie minuty później drzwi omal nie wypadły z framugi, kiedy CAG, komandor Vince „Stary Sukinsyn” Cutter, trzasnął nimi, wpuściwszy Kevina, Lancastera i McDeere'ego do swojej kajuty. Kevin i Lancaster nie mieli nawet czasu, żeby się przebrać. Obaj mieli na sobie kombinezony przeciwprzeciążeniowe i kamizelki z mnóstwem kieszeni na zamki błyskawiczne. Obaj mieli włosy wilgotne od potu, a na twarzach głębokie, zaczerwienione ślady po maskach tlenowych.

Kevin uważnie przypatrywał się Cutterowi, nieco otyłemu, pięćdziesięcioletniemu komandorowi, który od dwudziestu lat był kompletnie łysy. CAG rozpoczął karierę w lotnictwie Marynarki jako pilot samolotu szturmowego *A-6 Intruder*. Podobno własnoręcznie wykończył sześciu partyzantów Wietkongu, kiedy został strącony nad terytorium Północnego Wietnamu. Potem niósł swego nieprzytomnego bombardiera-nawigatora na plecach prawie dziesięć kilometrów, zanim poprosił przez radio o ewakuację. Kiedy pytano go, dlaczego nie zażądał śmigłowca od razu, Cutter

odpowiedział, że miejsce, w którym rozbił się jego samolot, było za bardzo narażone na atak Wietkongu. Przed wezwaniem ekipy ratunkowej chciał się też upewnić, że w pobliżu nie ma Wietnamczyków. Patrząc teraz na niego, Kevin powątpiewał, czy otyły CAG byłby w stanie wytrzymać choćby dwuminutowy marsz przez gęstą dżunglę, nie mówiąc już o niesieniu kogośkolwiek na plecach. Cała trójka stanęła na baczność. - Duch, spocznij.

- Tak jest, sir - odpowiedział McDeere i przeszedł pod ścianę.

O kurwa, pomyślał Kevin, stojąc bez ruchu, z oczami wbitymi w wiszący nad biurkiem Cuttera obraz, przedstawiający żaglowiec na zburzonym morzu. Po prawej stronie widział kątem oka drugi obraz i stolik, na którym poukładane były wycinki prasowe i medale. Stało też kilka fotografii w ramkach. Zaraz dosięgnie mnie gniew Starego Sukinsyna.

- Para idiotów! Czy wyście, kurwa, pogłupieli?

- Sir, z całym szacun...

- Przestań pieprzyć, Cień!

Kevin odchrząknął. - Sir, czy mógłbym...

- Jeśli masz odrobinę oleju w głowie, trzymaj głowę na kłódkę i módl się, żebym nie zabronił ci latać. - Cutter spojrział na Lancastera. Żył na skroniach pulsowały mu niebezpiecznie. - Jezu Chryste, Cień! Znam cię od lat. Jak mogłeś pozwolić swojemu skrzydłowemu na taką cholerną głupotę?! Naruszyliście przestrzeń powietrzną Iraku na północ od trzydziestego drugiego równoleżnika!

- Byliśmy może tuż przy granicy strefy, sir, ale tamte sukinsyny odpaliły do nas dwie rakiety. Na Boga, nie mieliśmy wyboru! Co mieliśmy zrobić? Pomachać im skrzydłami, kiedy do nas strzelali? No więc daliśmy im w dupę!

- Nie wyrażaj się, Cień! Nie zapominaj, do kogo, kurwa, mówisz! - Twarz Cuttera była teraz o kilka centymetrów od twarzy Lancastera.

Lancaster głęboko odetchnął. Cutter cofnął się trochę.

- Przepraszam, CAG. Przerwaliśmy pościg i zawracaliśmy na południe, kiedy zostaliśmy napadnięci. Dwa *MiG-i* zaatakowały porucznika Daltona. Jeden wystrzelił do niego dwie rakiety. Dalton to świetny pilot. Nie tylko uratował swój samolot, wart miliony dolarów, ale jeszcze zestrzelił dwa *MiG-i*, jednego z działka, drugiego *Sidewinderem*. Powtarzam, działał cały czas w samoobronie.

Ja też musiałem najpierw uciekać przed dwiema raketami, zanim ruszyłem w pościg za drugą dwójką *MiG-ów*. To była kwestia oceny sytuacji. Zauważyłeś, mam nadzieję, że zostawiłem w spokoju ostatniego *MiG-a*, kiedy zawrócił i opuścił strefę.

- Tylko dlatego nosisz jeszcze skrzydła pilota - parsknął Cutter i odwrócił się do Kevina, który cały czas stał na baczność koło Lancastera. - Dwa *MiG-i*?

- Tak, sir.

- Kiedy skończyłeś szkołę lotniczą?

- Rok temu, sir. - Kevin ostrożnie spojrział na Cuttera i odniósł wrażenie, że CAG przewierca go wzrokiem na wylot. Czym prędzej utkwiał oczy z powrotem w obrazie nad biurkiem.

- Rok temu opuściłeś grupę uzupełnień, tak? - kontynuował Cutter, przechadzając się tam i z powrotem po kajucie. Do grupy uzupełnień piloci przychodzą na ostatnią fazę szkolenia w lotnictwie Marynarki USA, żeby wyspecjalizować się w konkretnym typie samolotu. - No więc coś ci powiem. Rok to za mało! Jesteś jeszcze zbyt zielony, żeby samodzielnie podejmować decyzje w powietrzu! Do cholery, jesteś jeszcze nowicjuszem! Pieprzonym nowicjuszem, którego rozsadza duma, bo właśnie zestrzelił dwa *MiG-i*...

- Ale, sir, te *MiG-i*...

- Słuchaj no, Szurnięty. Jeśli ci się wydaje, że jesteś taki cwany, to odpowiedz mi na jedno proste pytanie. Kiedy zniszczyłeś pierwszego *MiG-a* i ustawiłeś się za drugim, ile brakowało mu do opuszczenia strefy?

Kevin zdał sobie sprawę, że Cutter zastawia na niego pułapkę, ale nic nie mógł zrobić. Nie pamiętał, gdzie dokładnie zestrzelił drugiego *MiG-a*. - Sir, byliśmy trochę zajęci. Nie bardzo pamiętam... - Zawiesił głos, przypomniawszy sobie nagle słowa Delgado: Zbliżasz się do Czerwonego Waterloo! Przerwij atak! Czerwone Waterloo!

- Więc pozwól, że odświeżę ci pamięć. Według informacji z *AWACS-a* i lotniskowca, drugi *MiG* był już na północ od trzydziestego drugiego równoleżnika, rozumiesz? Znajdował się poza granicą, do której mamy prawo atakować, ale ty byłeś, kurwa, zbyt zajęty, żeby to zauważyć! Kiedy ten *MiG* opuścił strefę, nie powinieneś był odpalać *Sidewindera*. Powinieneś zawrócić i dołączyć do swojego prowadzącego! Co gorsza, twój własny RIO mówił ci, że zbliżasz się do tego pieprzonego Czerwonego Waterloo!

Kevin poczerwieniał, zrozumiawszy wreszcie, na czym polegał jego błąd. Zastanawiał się, jaka będzie kara. - Przepraszam, sir. Popełniłem błąd. Byłem zbyt zajęty, próbując dobrać się do *MiG-a*. Myślę, że to, co mówił mój RIO, dotarło do mnie, kiedy już było za późno. Powinieneś być słuchać uważniej. Bardzo mi przykro, panie komandorze.

- Przykro? Nie powinno ci być przykro. Powinieneś się cholernie martwić o swoją przyszłość w Marynarce USA!

Cutter przysunął się do Kevina tak blisko, że ten poczuł silny zapach wody kolońskiej. - Sir, chciałbym...

- Na razie to wszystko. Odmaszerować! Ty też, Cień! Zejdźcie mi z oczu!

- Tak, sir - odwrócili się na pięcie i wyszli z kajuty.

- Nie sądzę, żeby Szurnięty zrozumiał, o co chodzi - powiedział McDeere, kiedy obaj piloci zamknęli za sobą drzwi.

- Nie sądzisz? A ja przeciwnie. Fakt, powinien był odpuścić tego drugiego *MiG-a*. Jest trochę narwany, ale to typowe dla nowicjuszy. Będą z niego ludzie. Trzeba nim tylko trochę potrząsnąć, żeby zaczął wszystko widzieć we właściwym świetle.

- A jednak uważam, że wciąż nie uświadomił sobie, że źle postąpił.

Cutter głęboko odetchnął. - Nie tak łatwo przerwać atak, kiedy otaczają cię smugi spalin rakiet. Człowiek myśli wtedy, jak się obronić, a nie, jak by tu uciec. Kto wie, gdyby przerwał, mogliby spróbować jeszcze raz: Ci Irakijczycy to podstępne sukinynty. Szurnięty mógłby nie przeżyć kolejnej salwy raketowej.

- Mimo wszystko, on mnie po prostu denerwuje... jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Co chcesz powiedzieć? Że mam mu na zawsze zabronić latania?

McDeere uniósł brew i przekrzywił głowę. - Może tylko na trochę? Sam nie wiem. Coś mi się w tym Szurnięty nie podoba.

- Ach, dajże spokój! - zawołał Cutter, machając ręką. - Obaj wiemy, że postąpił niewłaściwie, ale nie nabroił na tyle, żeby mu nie dać jeszcze jednej szansy. Marynarka USA zainwestowała miliony w jego szkolenie. Ty sam w ostatnim raporcie dałeś do zrozumienia, że chłopak ma talent.

- To prawda, talent ma, ale...

- No więc daj mu jeszcze jedną szansę. Pamiętaj, że potrzebujemy tych chłopaków tam, w górze.

- Naprawdę myślisz, że pojął, w czym rzecz?

Cutter westchnął i pokiwał głową. - Tak, tak. Na pewno pojął.

- Więc dobrze. Porozmawiam z nim później, kiedy już to sobie przemyśli.

- W porządku. To już wszystko. Możesz odejść. McDeere ruszył do drzwi.

- Hej, Duch!

- Tak, CAG?

- Dwa *MiG-i*, co?

- Zgadza się.

- Niech to diabli, chłopak jest dobry.

McDeere nie odpowiedział.



Przeklinając się w duchu za głupotę, porucznik Kevin Dalton chodził w te i z powrotem po maleńkiej kajucie (trzy metry na trzy i pół), którą dzielił z „Chico” Delgado. Przy przeciwległych ścianach stały identyczne regały, których rozliczne szafki i szuflady mieściły cały dobytek Kevina i Delgado. Przy każdym z regałów zamontowano rozkładany blat z wbudowaną lampką. W kącie znajdował się mały zlew z nierdzewnej stali. Nad nim wisiało lustro w metalowej ramie, pomalowanej na bladzielony kolor. Obok drugiego regału stał dziewiętnastocalowy telewizor Sony. Przy ścianie między regałami ustawiono stalową piętrową pryczę, również pomalowaną na bladzielono. Delgado, który spał na górze, miał niespełna metr do sufitu, pod którym przebiegały rury, kable i kanały wentylacyjne. Całe umeblowanie pozostawiało niewiele miejsca na rozprostowanie nóg.

Kevin walnął pięścią w otwartą dłoń, po raz czwarty powracając w myślach do niedawnej walki. Zdał sobie sprawę, że odpaliłby *Sidewindera*, nawet gdyby Delgado ostrzegł go kilka sekund wcześniej. Adrenalina odebrała mu jasność myślenia. Koncentrował się tylko na jednym: wykończyć tamtego *MiG-a*. Wciąż widział go w myślach, kiedy tylko przymknął oczy. Przez tę jedną, szczególną chwilę w życiu Kevina nie liczyło się nic, oprócz wsadzenia *Sidewindera* w dyszę wylotową *MiG-a*. Żadne ostrzeżenia, żadne groźby, nic nie zmieniłoby biegu tych kilku sekund, zanim odpalił rakietę. Nagle przypomniał sobie, jak głupio spytał Lancastera, dlaczego nie spuścił na ziemię drugiego *MiG-a*.

Niech to diabli! - pomyślał Kevin, uświadomiwszy sobie, że walka powietrzna wymaga nie tylko opanowania pilotażu i umiejętności strącania maszyn przeciwnika, ale także rozważań, podejmowania racjonalnych decyzji w ułamku sekundy, podczas lotu z podwójną prędkością dźwięku.

- CAG dał ci popalić, co?

Kevin odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach Delgado. Rękawy lotniczego kombinezону podwinął do łokci, odsłaniając tatuaż na lewym przedramieniu - białego buldoga z opaską na oku. W zestawieniu ze schludnym wyglądem Delgado, był to jakiś dysonans. Pociągła, latynoska twarz porucznika pasowała do szczupłego, muskularnego ciała. Dziesięć centymetrów niższy od Kevina, Delgado sprawiał wrażenie byłego maratończyka, który nabrał trochę mięśni, trenując na siłowni. Ale kiedy się spotkali po raz pierwszy, oprócz dziwnego tatuażu na przedramieniu uwagę Kevina przyciągnęły oczy Delgado, czarne i błyszczące. Bił z nich żar, jakiego Kevin nigdy przedtem nie widział. Równocześnie była w tych oczach

melancholia człowieka, który dość napatrzył się już w życiu na przemoc i gwałt.

- Skąd wiesz?
- Żartujesz sobie? Wyglądasz jak zbity pies.
- Mówi, że spieprzyłem sprawę dziś rano.
- A ty co myślisz?
- Obawiam się, że ma rację.
- Założę się, że chodziło mu o tego drugiego *MiG-a*.
- Zgadza się. Ostrzegaleś mnie, kiedy jeszcze mogłem się powstrzymać.
- Nie byłem pewien, czy rzeczywiście mnie usłyszałeś.
- Słyszałem, ale byłem za bardzo zajęty, próbując zestrzelić tamtego.

Dlaczego potem nic nie powiedziałeś?

- Nie mam pojęcia. Myślę, że też mnie poniosło. Przecież dranie pierwsi próbowali nas wykończyć. Poza tym, po raz pierwszy byliśmy tak blisko Irakijczyków, że mogliśmy nawiązać walkę. Dotąd zawsze się przed nami chowali.

- Cóż, stało się. Zobaczymy, co będzie dalej.

Kevin usiadł na przycy i przypatrywał się swojemu odbiciu w szkle, pod którym wisiała na ścianie oprawiona w ramki fotografia, przedstawiająca Błękitne Anioły, ekipę akrobacji lotniczej Marynarki. Patrzył w swoje brązowe oczy z opuszczonymi kącikami. Dzisiaj zobaczył w nich coś więcej niż smutek; zobaczył strach.

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się zbytnio.
- Mam nadzieję, że wszyscy o tym zapomną.
- A ja mam nadzieję, że pan nie zapomni tego incydentu, panie Dalton.

Kevin i Delgado zerwali się na baczność, kiedy w drzwiach pojawił się komandor porucznik John McDeere.

- Spocznij, panowie. Wygląda na to, że CAG był w dobrym humorze. Okazał się wyrozumiały. Osobiście nie miałbym nic przeciw zawieszeniu cię w lataniu na kilka tygodni, żebyś miał czas się zastanowić nad swoim postępowaniem, ale brakuje nam pilotów. No więc nie zostaniesz uziemiony.

- Dziękuję, sir.

Piegowata twarz McDeere'ego stężała. Spojrzenie, jakim obrzucił Kevina, było zimne jak lód. - Nie, Szurnięty. Wsadź sobie w dupę swoje podziękowania. Ale pomyśl, co zrobisz, bo następnym razem możesz mieć mniej szczęścia; równie dobrze mogli cię dzisiaj zestrzelić. Jeśli kiedykolwiek złamiesz zasadę wejścia do walki, tak jak tym razem, i uda ci się to przeżyć, możesz wylecieć z Marynarki i trafić do pułda. Rozumiesz?

- Tak jest, sir.

- To dobrze. - McDeere ruszył do drzwi, ale zawahał się, odwrócił i jeszcze raz spojrzął na Kevina. Głos miał niski i ochrypły.

- Będę miał na ciebie oko, Szurnięty. Zrób coś głupiego, a rozgniotę cię jak karalucha. Następnym razem nawet prezydent ci nie pomoże. Twoja zła opinia oznacza, że mój dywizjon ma złą opinię, a więc i ja mam złą opinię. Niech mnie diabli, jeśli do tego dopuszczę. Radzę, następnym razem uważnie słuchaj wszystkiego, co ci mówi twój RIO. Rozumiesz?

Kevin milczał, próbując przetrwać słowa McDeere'ego.

- Ogluchł pan, poruczniku? Pytałem, czy pan zrozumiał!

- Zrozumiałem, sir - zdołał z siebie wydusić Kevin przez zaciśnięte zęby.

- To dobrze! - powiedział McDeere i wyszedł.

- O kurwa - mruknął Delgado, upewniwszy się, że McDeere odszedł na bezpieczną odległość. - Wygląda na to, że zawziął się na ciebie. Głupi kutas.

Kevin usiadł na pryczy i potrząsnął głową. - Niech to szlag! Ten skurwysyn nie da mi żyć.

- Nie przejmuj się za bardzo, Szurnięty.

Kevin uniósł głowę. To nie był głos Delgado, lecz Lancastera.

- Sir - powiedział, spoglądając w oczy swojemu oficerowi operacyjnemu. - Mam nadzieję, że nie narobiłem panu kłopotów.

Lancaster uśmiechał się, stojąc w drzwiach. - Nie, Duch ma po prostu ostatnio wiele stresów.

- Ale, sir, przecież nie...

- Ja to wiem i CAG to wie, ale jest zdania, że trochę przesadziłeś. Powinieneś być odpuścić tego drugiego *MiG-a*, Szurnięty. Na tym polegał twój błąd, ale przecież to była twoja pierwsza walka. Brakuje ci doświadczenia. CAG wziął to pod uwagę i dlatego nie zawiesił cię w lataniu. W odróżnieniu od naszego ukochanego dowódcy dywizjonu, CAG jest w porządku. Dostałeś jeszcze jedną szansę, ale powiedziano ci również, żebyś się miał na baczności.

- Łatwo to powiedzieć, sir, kiedy jest się z powrotem na ziemi i ma się mnóstwo czasu na przeanalizowanie walki, ale kiedy człowiek wymyka się raketom i goni *MiG-i*, czasu jest cholernie mało. Chwila wahania i...

Lancaster roześmiał się. - Wiem, jak to wygląda tam, w górze. Ja tam byłem, pamiętasz? Powtarzam ci to, co mówię od chwili, kiedy ci pokazywałem, jak się wsiada do *Tomcata*: musisz wyciągać wnioski ze swoich błędów. Idę o zakład, że następnym razem będziesz uważnie kontrolował swoją pozycję i słuchał, co ci mówi RIO, nawet podczas największego przeciążenia czy podczas walki.

- Ma pan rację, sir.

- Musisz na chłodno analizować sytuację. Przemyśl sobie, jaką rolę odgrywasz i postępuj odpowiednio. Bez trudu mogłem zestrzelić tego drugiego *MiG-a*. Miałem go namierzonego, ale znajdował się już na północ od granicy strefy, więc pozwoliłem mu uciec. Uwierz mi, musiałem się do tego zmusić, ale reguły to reguły. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak, sir.

- I nie przejmuj się Duchem. On się po prostu martwi, że przez ciebie jego akta nie będą już tak nienaganne jak dotąd. Poza tym, facet jest prawdopodobnie wkurzony, że sam nie miał dotąd okazji do walki. Prawdę mówiąc, myślę, że nam zazdrości.

Kevin spojrzął na niego trochę zdziwiony. - Myśli pan, że jest na nas wściekły, bo nie było go dziś tam, w gorze?

Lancaster uśmiechnął się szeroko, odsłaniając garnitur białych zębów. - Całkiem możliwe. Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Widzisz, nic tak nie przyspiesza kariery w Marynarce, jak spektakularne działania - oczywiście, pod warunkiem, że zostaną ocenione pozytywnie. Bohaterskie uczynki najszybciej zapewnią ci awans, w odróżnieniu od latania na spokojne patrole. Nie przejmuj się więc McDeere'em. Niech go diabli.

- Ale przecież to on dowodzi...

- Widzisz, jestem tu już jakiś czas i widziałem niejednego McDeere'ego. Oni przychodzą i odchodzą, a dobrzy piloci zawsze jakoś dadzą sobie radę. Mnie też ten skurwysyn wziął na rozmowę. Ignoruj go. Rób wszystko najlepiej, jak potrafisz, a nie będzie cię mógł ruszyć. Ja sam jestem na to najlepszym dowodem.

Kevin głęboko odetchnął i wolno pokiwał głową, wdzięczny Lancasterowi za słowa pociechy. - Pomógł mi pan, dziękuję.

- Ale pamiętaj - kontynuował Lancaster, przybierając poważny wyraz twarzy - że nie wolno ci kusić losu. Na twoim miejscu starałbym się przez parę miesięcy nie rzucać za bardzo w oczy. Niech wszystko zatrze się w pamięci.

- Może pan na to liczyć.

Lancaster spojrzął na zegarek. - No, panowie, wybaczenie, ale mam jeszcze coś do zrobienia - powiedział, po czym ruszył korytarzem.

- Myślę, że wyjdiesz z tego cało, Szurnięty - pocieszył go Delgado, rozmasowując sobie żołądek, który mu najwyraźniej dokuczał.

- Mam nadzieję. Ej, dlaczego trzymasz się za brzuch?

- Nie wiem, co mi zaszkodziło. Może to ten kurczak na obiad. Albo raczej spóźniona reakcja na całą tą dzisiejszą aferę. - Delgado otworzył kieszeń na prawej nogawce kombinezону i wyjął małą plastikową torebkę. Kevin zauważył, że jest napełniona białym proszkiem.

- Co to jest?
  - *Curatodo*.
  - Co?
  - *Curatodo*. Cudowne lekarstwo na wszystko. Moja babcia dała mi to, kiedy wyjeżdżałem z domu.
  - Ale co to takiego?
  - A bo ja wiem? Rozpuszczasz łyżeczkę tego proszku w ciepłej wodzie, wypijasz i masz spokój z bólami głowy i żołądka. Prawie zawsze skutkuje.
  - Hmm... coś takiego powinno się dawać pilotom przed akcją i po akcji.
  - Nic z tego. Trzeba z tym uważać. Co jakiś czas łyżeczka od herbaty, w porządku. Ale jeśli weźmiesz za dużo, dostaniesz biegunki.
- Kevin roześmiał się i ruszył do drzwi.
- Dokąd idziesz?
  - Na pokład. Potrzebuję trochę świeżego powietrza.

Pięć minut później porucznik Kevin Dalton wszedł na pomost wyspowy lotniskowca i spojrzał w dół, na skośny pokład startowy. Przyglądał się, jak ponad sześćdziesięciu ludzi przeszukuje pokład, upewniając się, że nie ma tam niczego, co mogłoby się dostać do wlotów powietrza startujących myśliwców. Był to na lotniskowcu rutynowy „spacer”, wykonywany kilka razy dziennie. Kevin doskonale zdawał sobie sprawę, że jakiegokolwiek obce ciało zassane przez silnik *Tomcata* mogłoby doprowadzić do katastrofy. Wkrótce cała grupa zeszła z pokładu. Pojawili się piloci idący do swoich maszyn.

Spojrzał na zachód, w kierunku Arabii Saudyjskiej, ledwie widocznej na horyzoncie. Było późne popołudnie. W powietrzu wisiła lekka mgiełka. USS „Ranger” - jednostka klasy *Forrestal* o wyporności prawie 78 tysięcy ton - szedł kursem równoległym do saudyjskiego wybrzeża. Mimo negatywnych uwag Cuttera i gróźb McDeere'ego, Kevin był przekonany, że jako pilot odniósł dziś zwycięstwo. Lata treningu i ciężkiej pracy zostały poddane ostatecznej próbie w ciągu trzech krótkich minut. Od kiedy w dniu jego szesnastych urodzin instruktor zezwolił mu na pierwszy samodzielny lot jednosilnikową *Cessna 172 Skyhawk*, Kevin wiedział, że urodził się po to, by być pilotem. Nigdy nie zapomni tego pierwszego lotu w rodzinnym Melbourne na Florydzie. Uczył się z nie słabnącym entuzjazmem i rok później zdał celująco egzamin na licencję pilota. Spełniło mu się pierwsze z długiej listy marzeń.

Jego ojciec, inżynier chemik, bardzo chciał, żeby Kevin również został inżynierem, ale jego wcale to nie pociągało. Po wielokrotnych sporach z ojcem i kilku nie wartych wzmianki semestrach w koledżu, kiedy uczęszczał

na wykłady, których nienawidził, Kevin zdecydował się odejść z domu i spróbować szczęścia w Marynarce. Uznano tam, że ktoś, kto porzucił szkołę, nie jest wystarczająco poważny, by można mu było powierzyć pilotowanie maszyny wartej miliony dolarów. Dano mu do wyboru: ukończ koledż i zgłoś się na szkolenie oficerskie albo zacznij jako rekrut, odsłuż swoje i dopiero potem szukaj szansy zostania pilotem, w nadziei, że twoje podanie zostanie potraktowane serio. Kevin nie miał natury hazardzisty; postanowił najpierw skończyć koledż. Nie chcąc, by ojciec w dalszym ciągu wtrącał się w jego sprawy, Kevin zapisał się do Florida Institute of Technology. W dzień uczęszczał na zajęcia, wieczorami pracował. Wreszcie, trzy lata po tym, kiedy wmaszerował do biura werbunkowego Marynarki, otrzymał dyplom inżyniera lotnictwa. Trzy miesiące później przybył do bazy w Pensacola, którą nazywano kolebką lotnictwa Marynarki. Tutaj kandydat Kevin Dalton rozpoczął podstawowy kurs oficerski, dostał w kość jako rekrut i bez większych problemów wytrzymał jakoś zajęcia zwane psychologią lotnictwa, podczas których przechodził treningi w komorze dekompresyjnej, ćwiczenia na orientację przestrzenną, katapultował się na symulatorze oraz dowiedział się, jak przetrwać katapultowanie nad wodą i lądem. Wreszcie, już w stopniu podporucznika Marynarki, rozpoczął naukę latania na *T-34C*, dwumiejscowym samolocie szkolnym o napędzie odrzutowym. Potem przyszła kolej na samolot *Rockwell T-2 Buckeye*. Na *T-2* Kevin nauczył się wszystkiego o lataniu z lotniskowca, od startu po lądowanie. Kiedy już opanował podstawy latania w lotnictwie Marynarki, przesiadł się na samolot *TA-4J McDonnell Douglas*, by dokończyć zaawansowany kurs pilotażu.

Mając na koncie 280 godzin w powietrzu, Kevin znalazł się w grupie uzupełnień. W jego wypadku oznaczało to kurs pilotażu na *F-14* w bazie lotniczej Miramar koło San Diego w Kalifornii, gdzie pod kierunkiem Lancastera wylatał następne sto godzin. Był najlepszy w swojej grupie. Nigdy nie latał wolno, kiedy można było szybko, nigdy nie wykonywał łagodnych skrętów, kiedy można było wykonać ciasne, nawet jeśli ceną było maksymalne przeciążenie. Dzięki studiom lepiej rozumiał możliwości samolotu. Wiedział, że producenci ustalali bardzo konserwatywne limity, pozostawiając sobie margines bezpieczeństwa. Wykorzystywał tę wiedzę, żeby „bezpiecznie” wycisnąć z maszyny więcej, niż dopuszczała instrukcja. Właśnie tej postawie zawdzięczał swój przydomek. Równocześnie Kevin przekonał się na własnej skórze, że mistrzowskie opanowanie samolotu nie wystarczy, żeby być najlepszym. Podczas symulowanej walki manewrowej w ostatnim tygodniu pobytu w Miramar, popełnił błąd - pozostawił swemu prowadzącemu pościg za maszyną wroga i dał się zestrzelić. Dostał za to ocenę

„poniżej przeciętnej” i nie zdołał jej już poprawić. W rezultacie szkolenie ukończył nie na pierwszym, a dopiero na drugim miejscu. Odebrał to jako porażkę, która jednak z perspektywy czasu wydawała się błahostką w porównaniu z dzisiejszą groźbą zawieszenia w lataniu.

Dla Kevina życie było ciągłym wyzwaniem, nie kończącym się ciągiem przeszkód, które trzeba pokonywać, by odnieść sukces. Są jednak sprawy ważne i mniej ważne, pomyślał, przypatrując się *Tomcatowi* kołującemu do katapulty numer jeden.

Kevin obserwował ubranego w zieloną kamizelkę „hakowego”, który podbiegł skulony do *Tomcata*, przyklęknął i przymocował wózek startowy katapulty do zaczepu holowniczego - ramienia wystającego z przedniej goleni. Hakowy zerknął na skraj pokładu startowego, gdzie operator katapulty stał z podniesionym palcem wskazującym prawej ręki. Katapulta gotowa. Ubrany w żółtą kamizelkę oficer startowy, stojący przed maszyną, uniósł dłonie zaciśnięte w pięści. Hamulce. Za chwilę dał inny znak ręką. Zwolnić hamulce, pełny ciąg! Hakowy odbiegł od *Tomcata*. Przez chwilę oficer startowy dawał jeszcze znaki pilotowi, ale zaraz stanął na baczność i zaszalutował. W końcu pochylił się i dotknął pokładu, zanim wyciągnął prawą rękę w kierunku dziobu „Rangera”.

Słońce powoli chowało się za horyzontem. Niebo nabierało ciemniejszego odcienia. Kevin patrzył, jak za pędzącym po pokładzie *Tomcatem* drga rozgrzane powietrze. Gorące gazy wylotowe z silników *Pratt & Whitney* uderzyły w chłodzony morską wodą deflektor katapulty. Oficer startowy pomachał odlatującej maszynie. Kevin Dalton był dumny, że służy w Marynarce USA.

## 2.

# Korytarze władzy

*Władza polityczna wyrasta z luf karabinów.*

*Mao Tse-tung*

### ♦ Dzień pierwszy, 8.30 czasu lokalnego - Biały Dom

Prezydent Bill Clinton siedział za drewnianym biurkiem na swoim wyszcielanym skórą krześle z wysokim oparciem. Był odwrócony plecami do okna z kuloodpornymi szybami wykonanymi z armorlite, wychodzącego na trawnik Białego Domu. Krzesło, którego oparcie było w środku wzmocnione kilkoma warstwami kewlaru, zapewniało prezydentowi dodatkową ochronę na wypadek, gdyby kule terrorystów przebiły jednak armorlite.

Po drugiej stronie Gabinetu Owального, na skraju błękitnego dywanu ozdobionego pieczęcią prezydencką, stały naprzeciw siebie dwie jasnokremowe sofy. Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, sekretarz stanu, sekretarz obrony i generał Sił Powietrznych Kenneth Draper, którego Clinton mianował podsekretarzem do spraw Bliskiego Wschodu, siedzieli w milczeniu, czekając aż prezydent zacznie mówić. Prezydent zmrużył niebieskie oczy, zacisnął wargi i czytał przeznaczony dla niego codzienny biuletyn ze skrótem najnowszych informacji z kraju i zagranicy, przygotowany przez CIA.

Gdy skończył czytać część poświęconą sytuacji na Bliskim Wschodzie, skinął głową i wstał. Tamci również wstali, ale prezydent dał im gestem znać, żeby z powrotem usiedli i podszedł do wysokiego okna, obok którego wisiała amerykańska flaga.

Wiatr pędził nad Waszyngtonem czarne chmury. Niebo, jeszcze niedawno błękitne, zrobiło się czarne jak noc. Co chwila przecinały je błyskawice. Mżawka zmieniła się w ulewę, paraliżującą poranny ruch na Pennsylvania Avenue.



Z rękami założonymi na plecach prezydent patrzył na coraz potężniejszą burzę. Deszcz walił w grube szyby okien. Wiatr targał gałęziami drzew. Ochroniarze w pelerynach rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia. Burza.

Prezydent, ubrany w ciemny prążkowany garnitur, nabrał głęboko powietrza i powoli wypuścił je przez nos. Nie ulegało kwestii, że także na Bliskim Wschodzie burza znów przybierała na sile. Burza rozpetana przez Saddama Husajna.

Prezydent przymknął na chwilę oczy. Sytuacja w Iraku wymykała się spod kontroli. Amerykańska demonstracja siły, polegająca na wysłaniu wojsk i ciężkiego sprzętu, żeby pokazać Saddamowi, iż administracja Clintona nie zgodzi się, by Irak w dalszym ciągu lekceważył rezolucje Rady Bezpieczeństwa ONZ, nie wydawała się już wystarczająca. CIA miała niezbita dowody, że Saddam był o krok od uzyskania broni jądrowej; prawdopodobnie właśnie dlatego przywódca Iraku uniemożliwiał inspektorom ONZ wykonywanie swoich obowiązków. Z odpraw i dziesiątków rozmów, jakie Clinton przeprowadził w ciągu ostatnich dwóch tygodni ze swymi doradcami, wynikało, że prezydent Iraku wszedł w posiadanie rosyjskiej technologii nuklearnej. Clinton podejrzewał, że za ostatnim posunięciem Saddama - wysłaniem *MiG-ów* do strefy zakazu lotów - mogło się kryć coś więcej niż tylko chęć zagrania mu na nerwach. Czyżby już miał broń atomową? Czy próbuje sprowokować amerykański atak, żeby odpowiedzieć uderzeniem atomowym?

Co gorsza, niedawny terrorystyczny zamach bombowy w podziemnym parkingu World Trade Center w samym sercu Nowego Jorku niósł jednoznaczne przesłanie dla prezydenta Clintona: Strzeż się, Ameryko. Nie jesteś odizolowana od reszty świata. Prezydenta przeszły ciarki na myśl, że ktoś taki jak Saddam mógłby dysponować bronią jądrową. Przywódca Iraku byłby w stanie nie tylko zetrzeć połowę Bliskiego Wschodu z powierzchni ziemi, ale też potajemnie przerzucić broń jądrową do Stanów Zjednoczonych.

Prezydent spojrział na swą prawą dłoń, tę, którą ścisnął rękę Johna F. Kennedy'ego w 1963 roku i zacisnął ją w pięść. Tak jak Chruszczow podczas kryzysu kubańskiego, Saddam rozumiał tylko jeden język. Tylko jeden.

Odwrócił się, podszedł z powrotem do biurka i oparł się rękami o blat. W milczeniu powiódł wzrokiem po swych czołowych doradcach, rozpoczynając od sekretarza stanu.

Siwowłosy weteran dyplomacji, ubrany w granatowy garnitur, siedział z założonymi nogami. Uniósł krzaczaste brwi i wpatrywał się w prezydenta jakby zamglonymi oczami. Zmarszczył czoło. - Panie prezydencie - powiedział

- Saddam Husajn trzyma się takich samych reguł, jak każdy inny dyktator w tym regionie. Niektórzy naukowcy określają to mianem reguła z Hammy.

Sekretarz przerwał na chwilę, widząc że Clinton się zamyślił. W 1982 roku prezydent Syrii Hafez el-Asad nakazał zniszczenie Hammy, miasta leżącego dwieście kilometrów na północny zachód od Damaszku. Przyuszczano, że miało tam siedzibę Bractwo Muzułmańskie - organizacja fundamentalistów islamskich. Asad oskarżał Bractwo o zamachy bombowe i inne akty terroryzmu, w tym o spiskowanie w celu obalenia jego rządu. Postanowił więc pokazać wszem wobec, co się stanie z tymi, którzy ważą się zakwestionować jego władzę. W pierwszym tygodniu lutego 1982 roku czołgi *T-64*, śmigłowce i baterie dział zrównały z ziemią mużułmańskie dzielnice Hammy, grzebiąc mieszkańców pod gruzami. Dzieła zniszczenia dokończyły wojskowe psychacze. Zginęły dziesiątki tysięcy ludzi.

Prezydent Clinton znów spojrział w oczy sekretarzowi stanu.

- Saddam Husajn jest sprytny i bezlitosny, panie prezydencie. Przetrwiał, ponieważ trzyma się tej podstawowej reguły, mając do czynienia z wrogami. Jest nie tylko brutalny, ale i przebiegły. Nie ma przyjaciół, tylko wrogów i agentów. Powołał kilka różnych służb wywiadowczych, które donoszą na siebie nawzajem, szpiegują siły lądowe, lotnictwo, a nawet jego własną Gwardię Republikańską. Saddam jest bardzo niebezpieczny - to ekstremista, który wie, kiedy przestać. Zwykle bardzo dobrze się orientuje, jak daleko może się posunąć i nigdy nie przeciąga struny. Wie, kiedy może się wychylić i kiedy musi się przyciąć. Nie obchodzi go, że straci pół miliona żołnierzy, pod warunkiem, że pozostanie u władzy. Uwielbia rzucać nam wyzwania, ponieważ jesteśmy supermocarstwem. Postępując w ten sposób, w oczach świata arabskiego sam staje się supermocarstwem, bo tylko supermocarstwo może się przeciwstawić Stanom Zjednoczonym, nie płacąc za to najwyższej ceny. A teraz czuje się wielki, bo utrzymał się u władzy dłużej niż przywódcy państw, które zaatakowały go podczas Pustynnej Burzy.

- Pańska rekomendacja? - zapytał krótko Clinton.

Sekretarz stanu założył nogę na nogę i uważnie spojrział na prezydenta. - Sir, jeśli Saddam rzeczywiście montuje broń jądrową i jeśli mu się to powiedzie, będziemy mieć poważny problem, nie tylko za granicą, ale także tu, w Stanach. Proszę pamiętać, że taktyczną broń nuklearną o mocy dwunastu kiloton, która mieści się w głowicy pocisku artyleryjskiego kalibru 155 mm, można bez trudu ukryć w bagażniku niemal każdego samochodu osobowego. Radzę nie szczędzić sił i środków. Trzeba koniecznie ustalić, gdzie montowana jest ta broń. Na nic nie przydadzą się tu zabiegi

dyplomatyczne ani sankcje gospodarcze. Panie prezydencie, musimy użyć wszelkich środków, jakie mamy do dyspozycji i zlokalizować...

- Ale ostrożnie, nie rozgłaszając naszych zamiarów - wtrącił prezydent. Sekretarz stanu przytaknął.

Prezydent zwrócił się do sekretarza obrony. - Jaka jest tam teraz sytuacja?

Sekretarz obrony, były przewodniczący komisji sił zbrojnych Izby Reprezentantów, był wysokim, postawnym mężczyzną o okrągłej twarzy, pomarszczonym czole, z posiwiałymi i rzedniejącymi włosami. Poprawił okulary i spojrzał na prezydenta. - Wczoraj wydarzył się tam pewien incydent. Nasi chłopcy zestrzelili trzy *MiG-i*, które zapuściły się na południe od trzydziestego drugiego równoleżnika. Poza tym nic szczególnego. Nasze *AWACS-y* nie namierzyły niczego oprócz tych *MiG-ów*. Wygląda na to, że resztę swych sił powietrznych Saddam trzyma na ziemi. Obserwujemy natomiast wzmożone ruchy sił lądowych.

Clinton sięgnął za siebie, wziął do ręki biuletyn CIA i pomachał nim w kierunku sekretarza obrony. - Te działania lądowe, przemieszczanie wojsk na południe od trzydziestego drugiego równoleżnika. O co tu konkretnie chodzi?

Sekretarz obrony odwrócił się do dyrektora CIA Craiga Kettlera, wysokiego, dość otyłego faceta z szopą nastroszonych, siwych włosów, podwójnym podbródkiem i skórą, na której trądzik z lat młodzieńczych pozostawił trwałe ślady. - Ta informacja nadeszła zaledwie dwie godziny temu - powiedział pięćdziesięcioletni dyrektor. - Zdjęcia wykonane przez satelitę *KH-11* podczas ostatniego przejścia nad Irakiem wskazują, że jednostki Gwardii Republikańskiej powoli przemieszczają się na południe od trzydziestego drugiego równoleżnika. Jeśli utrzymają dotychczasowe tempo, osiągną granicę z Kuwejtem i Arabią Saudyjską w ciągu czterech dni.

- Jakie to siły?

- Około sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy i czterysta czołgów.

Clinton pokręcił głową. Saddam nie zrozumiał lekcji, jaką miał być przeprowadzony kilka miesięcy temu nalot, podczas którego dwieście samolotów amerykańskich, brytyjskich i francuskich zaatakowało bazę lotniczą Talii oraz wyrzutnie raket przeciwlotniczych w rejonie Amary i Basry.

Ale czy można się dziwić? - zastanawiał się prezydent. Przecież Pustynna Burza też niczego Saddama nie nauczyła. Według źródeł dyplomatycznych w Bagdadzie, ataki z powietrza, prowadzone po wojnie w Zatoce - i sama wojna - tylko pomogły Saddamowi politycznie. Irakijczycy przekonali

się, że nawet koalicja najpotężniejszych państw nie jest w stanie obalić Saddama.

Prezydent odwrócił się do sekretarza obrony. - Co pan sądzi o najnowszych posunięciach Iraku?

Sekretarz poprawił okulary i spojrzął w kierunku prezydenta przekrwionymi ze zmęczenia oczami. - Myślę, że Saddam próbuje znów nas wciągnąć w konflikt, sir.

Clinton skrzywił się. - A jaką reakcję pan sugeruje?

- Silną i zdecydowaną, panie prezydencie. Mam na myśli bardzo silne uderzenie z powietrza. Nie tylko *F-117* i *F-111*, ale także strategiczne bombowce *B-52*, sir. Zniszczmy wojska najbardziej wysunięte na południe, kilka elektrowni, rafinerii, lotnisk i stacji radarowych. Parę samolotów i wyrzutni rakiet przeciwlotniczych, to za mało. Saddam śmiał się z naszego ostatniego nalotu, sir. Nie wyrządziliśmy mu żadnych strategicznych szkód. Myślę, że nadszedł czas przekazania Saddamowi wyraźnego sygnału, że ta administracja nie będzie tolerować naruszania rezolucji ONZ i że każdy występek będzie ukarany. Sir, z nim nie da się rozmawiać innym językiem.

- Jestem innego zdania, panie sekretarzu - przerwał mu generał Kenneth Draper.

- A to dlaczego, generale? - spytał sekretarz obrony.

W wieku czterdziestu dziewięciu lat generał Kenneth Draper wołał, by mówiono do niego „generale”, a nie „panie podsekretarzu” - miał zaróżwioną twarz, bujne, krótko ostrzyżone siwe włosy, wąskie wargi i jasnoszarze oczy, które wbił teraz w sekretarza obrony.

- Jestem przeciwny takim atakom z dwóch istotnych powodów. Po pierwsze, atak z powietrza tylko zwiększy popularność Saddama w Iraku. Na tym etapie wahałbym się przed sięganiem po atak z powietrza jako sposób na ukaranie Saddama, po prostu dlatego, że nie przyniosło to większych rezultatów w przeszłości. Saddamowi zawsze udaje się odwrócić kota ogonem. Wiecie, co mam na myśli: machina propagandowa, zdjęcia ukazujące zwłoki kobiet i dzieci, zabitych jakoby przez nasze bomby. Nawet w najgorszych dla niego momentach Pustynnej Burzy, Saddam zawsze potrafił jakoś skupić wokół siebie naród.

- Mój drugi powód jest o wiele ważniejszy niż pierwszy. Musimy wziąć pod uwagę, że Saddam zakończył już montaż broni atomowej i tylko czeka na okazję, żeby jej wreszcie użyć. Może próbuje nas sprowokować, wciągnąć w konflikt, a potem zrzucić głowicę atomową na nasze wojska. - Draper zamilkł na kilka sekund, świadom wrażenia, jakie wywarły jego słowa. - Dlatego też, panie sekretarzu, uważam, że nie powinniśmy teraz wydawać rozkazu zaatakowania Iraku z powietrza.

W pokoju zaległa cisza. Draper rozsiadł się wygodnie, stukając palcami w poręcz sofy. Prezydent Clinton stał z założonymi rękoma i wzrokiem wbitym w emblemat na dywanie. Draper miał oczywiście rację. Nie wiedząc, ile brakuje Saddamowi do ukończenia montażu broni jądrowej, nie wiedząc nawet, gdzie broń ta jest montowana, Clinton musiał postępować bardzo ostrożnie, żeby nie narazić się na odwet nuklearny.

Prezydent zwrócił się do dyrektora CIA. - Kto z naszych ludzi próbuje tam, na miejscu zlokalizować tę broń?

Dyrektor CIA odchrząknął. - Nazywa się Robert Bourdeaux, sir. Jest naszym czołowym oficerem w sztabie tajnych operacji. Od czasu Pustynnej Burzy zwerbował pewną liczbę agentów w Iraku, w tym kilku partyzantów kurdyjskich, którym za informacje płaci bronią. Przez parę lat pracował w naszym wydziale rozpoznania satelitarnego. Można na nim polegać, sir. Zna się na rzeczy.

- Zakładam, że również w Langley pracują nad tym wasi najlepsi ludzie? - upewnił się prezydent.

- Tak, panie prezydencie - odpowiedział krótko dyrektor.

Clinton pokiwał głową. - Dobrze, panowie. Chcę, by co godzinę dostarczano mi raporty o ruchach wojsk irackich na południe od trzydziestego drugiego równoleżnika. Postawcie nasze siły w stan pełnego pogotowia, ale niech pozostaną na dotychczasowych pozycjach. Piechota niech kontynuuje ćwiczenia. Samoloty Sił Powietrznych i Marynarki nadal niech wykonują loty patrolowe, ale chcę też bardziej rygorystycznego stosowania reguł wejścia do walki. Jeśli jakiś iracki *MiG* naruszy strefę zakazu lotów, należy eskortować go z powrotem na północ, a nie zestrzeliwać bez ostrzeżenia - chyba, że stanowiłby bezpośrednie zagrożenie dla nas lub dla naszych sojuszników. Nasi chłopcy mają używać broni tylko w wypadku, gdyby zostali zaatakowani.

Prezydent powiódł wzrokiem po twarzach swoich rozmówców.

- Pamiętajcie, że ta sprawa ma szerszy kontekst. W tej chwili nie chcemy uczynić nic, co mogłoby sprowokować Saddama do ataku nuklearnego. Musimy najpierw dokładnie ustalić, na jakim etapie jest ze swoją bronią atomową.

Sięgnął ręką do przycisku na biurku i kilka sekund później dwóch ludzi z Tajnej Służby w ciemnych garniturach i z miniaturowymi słuchawkami w uszach weszło do pokoju, by wyprowadzić całą grupę z gabinetu.

Prezydent Bill Clinton stał przy biurku. Zaciśnięte w pięści ręce oparł na wypolerowanym drewnianym blacie i patrzył na oprawione w ramkę zdjęcie, przedstawiające Hilary i Chelsea. Wiedział, że tym razem nie może

już puścić płazem Saddamowi, zwłaszcza że pojawiło się zagrożenie nuklearne. Broń jądrowa oznaczała, że Saddam Husajn nie był już zwykłym utrapieniem, lecz wielkim niebezpieczeństwem.

Był wściekły, że w tej rundzie to prezydent Iraku narzuca tempo, zmuszając go do reagowania na swoje posunięcia. Ale jaki mam wybór?

Doskonale zdawał sobie sprawę, że w jego kompetencjach leżało wydanie rozkazu zaatakowania Iraku z powietrza. Mógł to być potężny atak, eliminujący połowę wojsk Saddama, przemieszczających się na południe. Ale jeśli on właśnie tego ode mnie oczekuje? Jeśli Saddam tylko czeka na pretekst, by wypróbować swą broń jądrową i zgładzić połowę Bliskiego Wschodu?

Nie, Clinton nie mógł dać mu pretekstu. Saddam był zdolny poświęcić w jednej chwili tysiące swoich żołnierzy. Na barkach prezydenta Clintona spoczywała nieporównanie większa odpowiedzialność. Nie mógł wysłać swoich żołnierzy na wojnę, której nie mogli wygrać. Musiał zdobyć dokładne informacje o zaawansowaniu prac Iraku nad bronią jądrową. Bez tego atakowanie byłoby nieodpowiedzialne.

#### ◆ **Dzień pierwszy, 18.00 czasu lokalnego - Bagdad, Irak**

Prezydent Saddam Husajn stał na środku sali recepcyjnej w otoczeniu swoich generałów i ochroniarzy. Ekipa filmowa ustawiła się blisko przywódcy, po jego lewej stronie. Saddam miał na sobie nowy jasnobrązowy mundur i czarny beret. Do pasa na boku doczepił czarną skórzaną kaburę ze swym nieodłącznym *Makarowem*. Po drugiej stronie sali stało kilkudziesięciu oficerów Gwardii Republikańskiej, sił zbrojnych, a także delegaci z Rosji i Chin, kilku bankierów, czarnorynkowych handlarzy bronią i przedstawicieli biznesu naftowego. Jeden z oficerów szedł w kierunku Saddama po brązowej posadzce z marmuru. Odgłos jego kroków niósł się echem po wielkiej sali, udekorowanej pięciometrowymi portretami prezydenta. Z sufitu zwisały flagi Iraku. - Generał stojący po prawej stronie Saddama szepnął nazwisko zbliżającego się oficera. Prezydent przywołał na twarz uśmiech, wyciągnął dłoń i powiedział ciepło: - Allah z tobą, majorze Fahimie Said.

Młodemu majorowi zaszklify się oczy. - I z tobą, o Wielki.

Major odwrócił się i odszedł na drugą stronę sali. Saddam wciąż się uśmiechał.

Chwilę potem podszedł syryjski bankier, z którym prezydent Iraku osobiście kontaktował się przy różnych okazjach, także w okresie po wojnie

1991 roku. Wysoki, szczupły i szpakowaty bankier z cienkim wąsikiem i zielonymi oczami potajemnie otworzył Saddamowi ogromną linię kredytową, pomagając w sfinansowaniu kosztownej odbudowy sieci energetycznej i wodociągów w miastach środkowego Iraku.

- Miło jest znów widzieć pański kraj w rozkwicie.

Saddam uśmiechnął się nieco szerzej i spojrzął bankierowi w oczy. - To w znacznej mierze twoja zasługa, przyjacielu - odpowiedział, wylewnie ściskając Syryjczykowi dłoń. - Wola Allacha w końcu się spełni, a ja jestem jego narzędziem sprawiedliwości.

- Pragnę dożyć dnia, w którym Wielki Szatan i wszyscy jego sojusznicy zapłacą za to, co uczynili temu krajowi.

- Dożyjesz, mój przyjacielu, dożyjesz.

Bankier głęboko zaczerpnął powietrza, skłonił głowę, po czym odwrócił się i odszedł. Jego miejsce zajął inny przyjaciel, emerytowany pułkownik ukraiński, mieszkający obecnie w Jordanii. Generał, stojący koło Saddama przywołał gestem niskiego, szczupłego mężczyznę w garniturze w jodełkę i okularach w srebrnej oprawie, który siedział za ekipą filmową. Był to jeden z osobistych tłumaczy Saddama.

- Miło znów pana widzieć, pułkowniku Czarnota. Jest pan zadowolony z rozwiązania, jakie dla pana znaleźliśmy? - zapytał Saddam. Pułkownik Wasyl Czarnota odegrał kluczową rolę w tajnym transferze rosyjskiej technologii nuklearnej do Iraku. W zamian Saddam przekazał mu równowartość dwóch milionów dolarów USA i zorganizował nowe życie pod zmienioną tożsamością w Jordanii.

Tłumacz przełożył słowa prezydenta na rosyjski. Pułkownik pokiwał głową i powiedział coś, cały czas patrząc Saddamowi w oczy.

Tłumacz zwrócił się do prezydenta Iraku i powiedział: - O, Wielki, pułkownik jest wdzięczny za twą hojność. Wszystko jest tak, jak obiecałeś.

Pułkownik odszedł, a jego miejsce zajął młody oficer. Generał szepnął nazwisko i podał Saddamowi białą szkatułkę. - Poruczniku Zahur Chazanni - powiedział prezydent Iraku - twoje starania o stłumienie rebelii kurdyjskiej na północy zasługują na uznanie. Twój dowódca informuje mnie, że wykazałeś się wielką odwagą i męstwem w obliczu wroga. Wystąpił o przyznanie ci Republikańskiej Legii Honorowej.

Patrząc głęboko w czarne oczy wyraźnie zdenerwowanego porucznika, Saddam wyjął ze szkatułki mały purpurowy medal i przypiął go oficerowi do lewej kieszeni mundurowej koszuli.

- Niech Allah i Duch Islamu kierują tobą, poruczniku Chazanni!

- *Inszallah*, o Wielki! - odpowiedział oficer, odwrócił się i odszedł.

Zbliżył się kolejny wojskowy. Tym razem generał nie musiał podpowiadać Saddamowi nazwiska. Twarz prezydenta nagle zeszytywniała. W jego kierunku szedł awansowany ostatnio do stopnia generała Kuazi Ali, wschodząca gwiazda sił powietrznych, bohater niedawnych walk z kurdyjskimi rebeliantami i - ku wściekłości Saddama - krytyk, chociaż bardzo umiarkowany, rozmieszczania wojsk na południe od trzydziestego drugiego równoleżnika. Generał Ali krytykował również niedawny rozkaz naruszenia strefy zakazu lotów; rozkaz, którego rezultatem była utrata trzech *MiG-ów*.

Twarz Saddama złagodniała, kiedy generał Ali - niski, dobiegający pięćdziesiątki mężczyzna w okularach, z szerokimi wargami, pokaznym nosem, starannie wypielęgnowanymi wąsami i czarnymi oczami - stanął na baczność i uściśnął mu dłoń. Ali uśmiechnął się szeroko. - Bądź pozdrowiony, o Wielki.

Saddam odwzajemnił uśmiech i powiedział niskim, ochryplym głosem: - *Sabah al-kair*, generale. Dotarły do mnie twoje uwagi o rozmieszczaniu sił na południu. - Ali wyduł swe grube wargi. Saddam patrzył na niego pytającym wzrokiem. W czarnych oczach generała pojawił się strach, ale Kuazi Ali próbował nie pokazać tego po sobie. - O, Wielki, obawiam się, że nasze ostatnie przegrupowanie sił może spowodować wielkie straty w czasie, kiedy wciąż jeszcze pracujemy nad odbudową armii.

Saddam pokiwał głową. - Rozumiem. Może powinniśmy przedyskutować to na osobności. Jestem w najwyższym stopniu zainteresowany twoją opinią.

Oczy generała zajaśniały. - To dla mnie zaszczyt, o Wielki.

Saddam odwrócił się bez słowa i ruszył naprzód. Za nim poszli członkowie jego sztabu i generał Ali. Tłum, zebrany w sali recepcyjnej uważnie ich obserwował. Ekipa filmowa przerwała pracę, kiedy prezydent podszedł do wielkich, dwuskrzydłowych drzwi po prawej stronie. Uzbrojony żołnierz, pełniący tam wartę, otworzył je, wpuszczając do środka tylko Saddama i generała Alego.

Kiedy znaleźli się w środku, Saddam wyciągnął *Makarowa*, odbezpieczył i, po przeładowaniu, wymierzył w przerażonego generała, który cofnął się kilka kroków. - Błagam cię o wybaczenie, o Wielki. Nie miałem na myśli nic złego. Powodowała mną troska o nasze wojska.

Saddam opuścił broń i przez chwilę przyglądał się generałowi z niesmakiem, po czym wskazał mu ręką krzesło. Generał Ali pośpiesznie usiadł.

- Kto jest twoim przywódcą, generale Ali?



Ali nerwowo zacierał ręce i wiercił się na krześle. - Oczywiście, że ty, mój prezydencie - odpowiedział. Broda mu się trzęsła.

- Racja, generale. To ja jestem najwyższym Przywódcą. Jestem Wielki. A wiesz, dlaczego tak długo utrzymuję się u władzy?

Ali wbił wzrok w marmurową posadzkę i powoli pokręcił głową.

- Ponieważ jest wolą Allacha, bym pozostał u władzy i poprowadził mój naród ku wielkości. Ale jest wielu złych ludzi, którzy będą próbowali unieвозмоwić mi dokonanie tego zbożnego dzieła. Ci źli ludzie, to nie tylko Amerykanie, generale. Są również źli Irakijczycy, na przykład tacy, którzy sprzeciwiają się moim rozkazom. Moim obowiązkiem jest eliminowanie takich ludzi dla dobra naszej wielkiej sprawy.

Nie mówiąc ani słowa więcej, Saddam wymierzył *Makarowa* w generała Alego, który siedział nieruchomo, z oczami wpatrzonymi w prezydenta. Przywódca Iraku oddał jeden strzał. W niewielkim pomieszczeniu huk wydawał się ogromny. Kula strzaskała prawe szkło w okularach Alego, wybiła oko i wyszła przez podstawę czaszki. Generał bezwładnie opadł na krzesło. Przez kilka sekund jego lewą ręką i nogą wstrząsały drgawki.

Saddam powoli wkładał *Makarowa* do kabury, zastanawiając się, czy prezydent USA byłby na tyle mężczyzną, by uczynić to samo z niesubordynowanym oficerem. Mocno w to wątpił. Prezydent Clinton był miękki i taki przewidywalny w swoich zachowaniach. Saddam to czuł. Żaden amerykański prezydent nie mógł być dla niego poważnym zagrożeniem, a zwłaszcza taki, który nie tylko nigdy nie brał udziału w wojnie, ale wręcz odmówił swego czasu służby w Wietnamie, bojąc się, że mógłby zostać ranny. George Bush był inny, pomyślał Saddam. Poprzedni prezydent USA był człowiekiem szalonym, który nie znał granic. W końcu jednak stała się wola Allacha. Saddam był wciąż u władzy, podczas gdy Busha odsunął w wyborach jego własny naród.

Prezydent Bill Clinton. Przez twarz Saddama przewinął się uśmiezek. Ten fotogeniczny prezydent był zbyt słaby, by zgodzić się na śmierć jego ludzi. Z tych samych powodów, dla których uchylił się od służby w Wietnamie, Clinton najprawdopodobniej podkuli ogon, jeśli skonfrontuje się go z dostatecznie potężną siłą. Saddam czuł to wyraźnie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek mógł przeciwstawić amerykańskiemu imperializmowi potężną siłę. Mógł rzucić Wielkiemu Szatanowi wyzwanie nie tylko w tej części świata, ale także w samych Stanach Zjednoczonych.

Bomba, która wstrząsnęła budynkiem World Trade Center była tylko fajerwerkem w porównaniu z bronią masowej zagłady, którą Saddam Husajn zamierzał przesmuglować do Stanów Zjednoczonych. Ale jeszcze nie

teraz, pomyślał, chowając *Makarowa* do kabury. - Najpierw trzeba ukończyć montaż rakiet z głowicami nuklearnymi. Potem rozkaże swoim naukowcom zbudowanie dwóch dodatkowych głowic. Jedna trafi do Nowego Jorku, a druga do Waszyngtonu.

Już niedługo, panie Clinton. Już niedługo moja broń masowej zagłady będzie gotowa, a wtedy zrozumie pan znaczenie słowa horror. Doświadczy pan tego, co pańscy poprzednicy zgotowali mi podczas operacji Pustynna Burza.

Trup generała Alego patrzył na Saddama jednym okiem. Prezydent zbliżył się do zwłok, splunął i mruknął: - Twoja śmierć będzie ostrzeżeniem dla tych, którym się wydaje, że można kwestionować moją władzę.

Saddam Husajn odwrócił się i wszedł z powrotem do wielkiej sali recepcyjnej, szepcząc po drodze do wartownika przy drzwiach, żeby ściągnął kogoś do posprzątania. Lista gości, pragnących złożyć mu wyrazy szacunku, była jeszcze długa. Kamera znów zaczęła filmować uśmiechniętego Saddama Husajna.

# 3.

## Kurdowie

*Tam Grecy spędzili szczęśliwą noc, jedząc do syta i rozmawiając o walce, która była już za nimi. Przez siedem dni szli krainą Kurdów, walcząc cały czas i ucierpieli z rąk Kurdów rzeczy straszliwsze od wszystkiego, co mógłby im uczynić król Persji i jego generał Tysafernes.*

*Ksenofont, "Anabaza" (400 p.n.e.)*

### ◆ Dzień pierwszy, 19.00 czasu lokalnego - południowy Irak

We Wschodniej Mezopotamii Ismael Mohammed Barzani szedł szybko pod osłoną rozgwieżdżonej, bezksiężycowej nocy, mocno ściskając sfatygowanego *Katasznikowa*. Cały czas uważał, by odgłos jego kroków zlewał się z dźwiękami pustyni. Zatrzymał się na chwilę, uważnie zlustrował wzrokiem wydmy, które miał przed sobą, przez chwilę nasłuchiwał, po czym ruszył dalej.

Krótką, obcisłą kurtka, którą miał na sobie, była mokra od potu, podobnie jak bufiaste spodnie. Z czarnych włosów po czole spływały mu krople potu i wpadały do oczu, powodując bolesne pieczenie. Zamrugał kilka razy i zaczeł, aż wzrok znów przyzwyczaił mu się do otoczenia. Przed godziną piaski pustyni były jeszcze rozpalone jak piec; teraz wypromieniowywało z nich ostatnie ciepło. Ismael poczuł chłodny, odświeżający powiew, który schodził ze znajdujących się za nim gór Zagros, i podziękował Allahowi, że dał mu zakosztować tej prostej przyjemności.

Skrzywił się, kiedy znów zaczęły mu dokuczać zepsute zęby i chore dziąsła. Szedł dalej przez noc, cały czas trzymając broń w pogotowiu. Zęby zaczęły mu się psuć kilka lat temu, kiedy irański dentysta, który raz do roku odwiedzał jego wioskę, został aresztowany przez Irakijczyków, oskarżony o szpiegostwo i powieszony. Od tego czasu Ismael stracił już kilka zębów. Pozostałe były w większości szerniałe i w każdej chwili mogły wypaść. Jedzenie czegokolwiek twardego stało się bardzo bolesne, ale na szczęście jego szczupłe ciało nie potrzebowało dużo pożywienia, żeby funkcjonować.

Nie potrzebował też dużo snu. Iszmael mógł wędrować całymi dniami i nocami, bardzo mało jedząc i pijąc. Był do tego zmuszony. Był Kurdem i samo to już oznaczało niełatwe życie. Jednak przeciwności losu, jakie napotykał, nie pozostawiły śladu na jego twarzy. Iszmael był przystojnym mężczyzną, z cienkim wąsikiem, opaloną twarzą i czarnymi, głęboko osadzonymi, inteligentnymi oczami.

Iszmael był kurdyjskim partyzantem, ale przede wszystkim był Barzanim; ostatnim prawdziwym wojownikiem Allacha, pomyślał. Był w prostej linii potomkiem mułły Mustafy Barzaniego, przywódcy, który w 1943 roku zainspirował Kurdów do trwającej dziewięć lat rewolty. Mułła i jego ród Barzanich, którego bały się i nienawidziły inne plemiona kurdyjskie, ustanowił wspañałą, choć krótkotrwałą Kurdyjską Republikę Mahabadu. Iszmael do dziś pamiętał ze wszystkimi szczegółami opowieści ojca o tym, jak Sowietci wycofali się z Persji, umożliwiając armii perskiej napaść na młode państwo kurdyjskie. Poległo wtedy wielu obywateli Kurdyjskiej Republiki Mahabadu, a ci, którzy ocalili, byli zmuszeni wycofać się w góry. Piętnaście lat później, wciąż pod przewodnictwem mułły Barzaniego, Kurdowie zorganizowali opór zbrojny przeciw rządowi irackim. Po dziesięciu latach walk, iracka partia Baas podjęła próbę spacyfikowania buntowniczych Kurdów, oferując im w 1971 roku autonomię, ale porozumienie nie utrzymało się długo. W połowie lat siedemdziesiątych Kurdowie znów przystąpili do walki, tym razem wspierani przez szacha Iranu. Dla szacha byli zresztą tylko kartą w rozgrywce z Saddamem Husajnem, którego Teheran usiłował nakłonić do podzielenia się panowaniem nad szlakiem wodnym Szatt al-Arab, zapewniającym dostęp do Zatoki Perskiej. Kiedy wsparcie Iranu się skończyło, Saddam Husajn stłumił rebelię, wypierając Kurdów z powrotem w góry. Wiele lat później, po operacji Pustynna Burza, bractwo kurdyjskie próbowało obalić bezwzględnego dyktatora, ale i tym razem siły Saddama stłumiły rebelię w ciągu zaledwie kilku dni. Był to dla Kurdów wielki cios, ale nie wystarczająco wielki, żeby zniszczyć ich ducha niezależności. Nie pierwszy raz nadzieje Kurdów na własny kraj kończyły się katastrofą; to dlatego kurdyjscy partyzanci mówili o sobie *peszmerga* - ci, którzy patrzą śmierci w oczy. Z czasem Kurdowie połączyli siły i zaczęli walczyć jeszcze raz.

Mułła był dla Iszmaela inspiracją, *peszmerga* - życiową drogą.

Znów przeszył go ból. Iszmael przymknął na chwilę oczy. Obluzował się następny ząb trzonowy. Iszmael poruszył go językiem i znów skrzywił się z bólu. Będę go musiał wyciągnąć, zanim znów coś zjem, pomyślał. W tym momencie po prawej stronie usłyszał odgłos kroków Abdula.

Abdul Mozachu był wysokim, postawnym Kurdem z Iranu. Tej nocy gołymi rękoma zabił dwóch mężczyzn. Nie, nie mężczyzn, poprawił się w myślach Iszmael. Błuźnierczych wrogów, sługusów tego samego reżimu, który trzy lata temu zrzucił gaz musztardowy na wioskę Iszmaela, zabijając mu ostatnich krewnych. To był straszny cios dla Iszmaela; stracił wtedy młodszego brata. Ale największą tragedię przeżył pięć lat wcześniej, kiedy siły tego samego reżimu zrzuciły morderczy dwufozgen na jego rodzinną Halabdzę w pobliżu granicy z Iranem. Zginęła wtedy jego żona Ranija i dwie córeczki. On sam, tak jak większość mężczyzn z wioski, łowił ryby nad rzeką Dilaja. Zostało im oszczędzone to piekło, które trwało zaledwie jedną krótką chwilę. Dla Iszmaela jedyną pociechą było to, że jego bliscy umarli we śnie; cierpienie pozostało dla żyjących. Pomyślał, że właśnie po to z woli Allacha Kurdowie pojawili się na świecie: żeby wykazać się charakterem, udowodnić, że jest się godnym wstąpienia do świętego królestwa. Iszmael był przekonany, że udowodnił już nieraz, iż jest godzien królestwa Allacha. Dziś w nocy zamierzał udowodnić to jeszcze raz.

Położył ręce na szerokich ramionach Abdula i spojrzał w zielone oczy tego człowieka, który mógłby być jego wrogiem, gdyby nie to, że Kurd to Kurd, a nie Irakijczyk, Irańczyk czy Turek. Do wielomilionowego narodu kurdyjskiego należeli członkowie różnych plemion, zamieszkujący rozległe góryste tereny między Morzem Czarnym, Morzem Kaspijskim, Zatoką Perską i Morzem Śródziemnym. Łączyła ich wspólna kultura i wspólny język, wywodzący się z perskiego. Kurdami nazwali ich Arabowie, którzy próbowali nawrócić ich plemiona na islam, ale szybko uświadomili sobie swój błąd i pozostawili Kurdów w spokoju. Potem przybywały nowe armie, które próbowały podbić Kurdów, albo wyniszczyć ich raz na zawsze. A Kurdowie trwali, kontynuując swą nie kończącą się walkę o niepodległość; walkę, która zbliżyła ich do siebie bardziej niż jakikolwiek inny naród w tym niespokojnym regionie.

- Wyglądasz na zmartwionego, Isza - powiedział Abdul.

- Nie, bracie, nie jestem zmartwiony. Raczej zamyślony. Wkrótce powinni już tu być - odpowiedział Iszmael. Znow przeszył go ból, kiedy przypadkiem dotknął językiem chorego zęba.

- Są wśród nas wielcy wojownicy, więc nie trzeba się martwić. - Abdul odwrócił się i zobaczył dwudziestu zaprawionych w bojach partyzantów. - Spójrz na nich. Są doprawdy armią Allacha!

Ignorując ból, Iszmael kiwnął głową i uniósł lewą rękę z dłonią zaciśniętą w pięść. Dobrze wyszkoleni partyzanci natychmiast rozbiegli się na prawo i lewo i położyli na chłodnym piasku z bronią gotową do strzału.

Przed sobą mieli wysokie na trzy metry ogrodzenie z metalowej siatki, za którym znajdowały się dobrze zakamuflowane, rządowe składy amunicji, magazyny żywności i lekarstw.

Obiekt wydawałby się zupełnie opuszczony, gdyby nie kilka reflektorów, monotonny warkot generatora i samotny wartownik daleko z prawej, przy bramie. Ismael po raz ostatni spojrzął na Abdula, pochylił się i powoli, cicho ruszył naprzód w kierunku wartownika, od którego dzieliło go nieco ponad pięćdziesiąt metrów. Przypuszczał, że obiekt nie będzie strzeżony. Większość stacjonujących tu żołnierzy wysłano kilka godzin wcześniej na północ, do miasta Mandali, kiedy pogłoski o rebelii w rejonie tamtejszych szybów naftowych zaalarmowały władze. Ismael uśmiechnął się, wdzięczny Allahowi, że natchnął go pomysłem na ten fortel. Mułta byłby z niego dumny. Wkrótce po wyjeździe żołnierzy, Ismael i jego ludzie przybyli kradzionymi Roverami z napędem na cztery koła. Pojazdy zostawili kilkaset metrów z tyłu, za wydmami.

Czołgał się teraz po piasku wzdłuż ogrodzenia, powoli zbliżając się do wartownika, który zapalał właśnie papierosa. Ismael widział w mroku jego chłopięcą twarz. Przypomniał mu się młodszy brat; oczami duszy widział pokryte bąblami zwłoki, które przyniesiono mu trzy dni po ataku wojska irackiego na wioskę. Dżasir. Poczuł, jak ogarnia go gniew. Zacisnął zęby. Przeszywający ból przywołał go do rzeczywistości.

Wartownik zaciągnął się papierosem i opuścił szczupłą dłoń na lufę karabinu. Ismael wyciągnął zza pasa trzydziestocentymetrowy nóż z nierdzewnej stali, który zabrał irackiemu oficerowi, zabitemu przez Abdula rok temu. Włożył klingę w usta, uważając, by ścisnąć ją tylko wargami i czołgał się dalej.

Ismael zauważył, że młody wartownik stał oparty plecami o ogrodzenie, myśląc zapewne, że dostrzeże każdego, kto usiłowałby zbliżyć się do obiektu. Miało go to kosztować tej nocy życie. Jego taktyka miałaby sens pod warunkiem, że straża byłyby rozstawione wokół całego obiektu, a nie tylko po jednej stronie.

Centymetr po centymetrze Ismael podczołgał się na odległość niespełna dwóch metrów. Wartownik spokojnie palił papierosa, spoglądając w gwiazdy. Ismael zacisnął dłoń na drewnianej rękojeści noża, sprężył się i skoczył naprzód z szybkością pustynnej burzy. Wartownik zaczął się właśnie odwracać, kiedy ostrze weszło mu w szyję, przecinając krtań. Obojętny na chlustającą krew, napinając mięśnie zahartowane przez dwa dziesięciolecia walk, Ismael poprowadził nóż do góry, przez gardło, aż do mózgu.

Wartownik patrzył na niego gasnącymi oczami, zapewne nie pojmując, dlaczego przyszło mu umierać tak młodo. Stali tak przez kilka sekund, wydających się wiecznością. Ręka wartownika była zaciśnięta na ramieniu Iszmaela, po którym spływała ciepła krew. Iszmael wyciągnął ostrze, kiedy w czarnych oczach wartownika zgasł ostatni płomyk życia.

- Niech Allah będzie dla ciebie miłosierny - powiedział, przeciągając trupa wzdłuż ogrodzenia i ukrył zwłoki za niewielką wydmacą.

Czyszcząc z krwi ostrze noża i dłoni, Iszmael spojrzął na Abdula i wskazał wzrokiem stojącego obok partyzanta. Abdul kiwnął głową i dał młodemu Kurdowi znak, by podszedł z nim do ogrodzenia. Ruszyli biegiem i w ciągu niespełna minuty byli już obok Iszmaela. Ten spojrzął młodemu partyzantowi w oczy i położył mu ręce na ramionach.

- Dżasir, nadałem ci imię po moim bracie w dniu, kiedy zginęli twoi rodzice. Tego dnia poprzysiągłeś zemstę na tych, którzy ich zabili, a ja ci uwierzyłem. Twoja żarliwość sprawiła, że pozwoliłem ci przyłączyć się do naszej świętej walki. Dziś w nocy zostawisz za sobą wspomnienia z dzieciństwa i staniesz się mężczyzną. - Iszmael wskazał ręką w kierunku zabitego wartownika, a potem na bramę.

W oczach Dżasira błysnęło zrozumienie. Wiedział, czego się od niego oczekuje i był gotów wykonać rozkaz przywódcy. Abdul bez słowa pomógł mu się rozebrać, podczas gdy Iszmael zdejmował mundur z ciała wartownika.

Chwilę później Dżasir spokojnym krokiem ruszył ku bramie, trzymając broń dokładnie tak, jak mu to pokazał Iszmael - palec prawej ręki na spuście, lewa ręka pod łożem lufy.

Doszedł do bramy i spróbował ją otworzyć, ale była zamknięta od środka. Młody człowiek wsunął rękę przez ogrodzenie, ale nie mógł dosięgnąć rygla. Nie wiedząc, co robić, odwrócił się do Iszmaela i Abdula po radę.

Iszmael dał mu znak, żeby przeszedł górą. Dżasir przewiesił broń przez plecy i wspinał się po ogrodzeniu. Przycisnął karabinem drut kolczasty na szczycie, przrzucił nogi na drugą stronę, bezszelestnie zeskoczył, podszedł do bramy i odsunął rygiel.

Iszmael i Abdul podbiegli do niego, kiedy zobaczyli, jak mocije się z ciężką bramą. Dzieliło ich jeszcze dziesięć metrów, kiedy Iszmael, przerażony i bezsilny, zobaczył, jak trzy pociski trafiły Dżasira w pierś. Bezwładne ciało młodego Kurda wypadło na zewnątrz przez częściowo otwartą bramę. Kiedy umilkły odgłosy strzałów, wokół znów zaległa cisza.

- *Allah akbar!* - krzyknął Iszmael co sił w płucach, przerzucił *Kałaszni-kowa* na piersi, wymierzył w wartownika, którego wreszcie dostrzegł nie dalej niż piętnaście metrów przed sobą i strzelił krótką serią. W tej samej chwili rozległy się strzały Abdula. Kurdyjscy partyzanci wyskoczyli z ukrycia i ruszyli biegiem w stronę obiektu, z bronią w rękach, ale nie oddając na razie ani jednego strzału.

Iszmael wydał im wyraźne instrukcje - nie wolno strzelać, dopóki nie zobaczy się celu. Po wodzie, amunicja była najcenniejszym towarem.

Z budynków rozległy się strzały, ale prawie natychmiast umilkły, kiedy z broni Kurdów posypał się grad pocisków różnego kalibru, siekąc po blaszanych ścianach. Wymiana ognia trwała nie dłużej niż piętnaście sekund.

Cisza.

Iszmael podszedł do Dżasira, który leżał na plecach i powoli poruszał wargami. Abdul przyklęknął, żeby go podnieść, ale Iszmael go powstrzymał.

- Zostaw, rozmawia z Allachem.

Abdul i Iszmael w milczeniu przyłączyli się do tej ostatniej modlitwy. Stali z opuszczonymi głowami, dopóki wargi Dżasira nie przestały się poruszać. Wtedy Iszmael pochylił się i zamknął zmarłemu oczy.

Odwrócili się i dołączyli do pozostałych, którzy byli już na terenie obiektu, składającego się z wielkiego magazynu i dwóch mniejszych budynków, zapewne kwater wartowników. Zaprawieni w bojach ludzie Iszmaela przejęli kontrolę nad budynkami, prawie nie napotykając oporu. Iszmael podszedł do wielkich drzwi magazynu, gdzie Abdul mocował się już z zamkiem. Patrzył, jak jego wielki irański brat strzela dwa razy w otwór zamka, a potem, posługując się tylko jedną ręką, odsuwa ciężkie drzwi, odsłaniając obszerne wnętrze.

Iszmael wszedł pierwszy, za nim Abdul i reszta. Wewnątrz, w wielkim, słabo oświetlonym pomieszczeniu stały skrzynie na paletach, poustawiane jedna na drugiej na wysokość pięciu metrów. Prawie cała podłoga była zastawiona; ledwo wystarczało miejsca na trzy żółte wózki widłowe, stojące przy wejściu. Wielkie, czerwone znaki na skrzyniach informowały o ich zawartości: leki, amunicja, granatniki przeciwpancerne *RPG-7*, karabiny *Kałaszni-kow*, a nawet amerykańskie materiały wybuchowe. Iszmael nie pierwszy raz napadał na magazyny wojskowe i najrozmaitsza broń, którą stamtąd zabierał, zaspokajała większość potrzeb jego grupy. Niestety, bardzo rzadko trafiała się broń, której Kurdowie naprawdę potrzebowali do obrony przed irackimi śmigłowcami: odpalanych z ramienia rakiet przeciwlotniczych.



- Bracia, Allah jest dziś dla nas hojny! Zabierzmy, czego nam potrzeba, a resztę złożmy mu w ofierze! - zawołał Ismael.

Kurdowie napełniali worki. Kilku pobiegło przyprowadzić samochody. Ismael przeszedł na koniec magazynu, gdzie pod ścianą stał duży stół, oświetlony zwisającą z sufitu jarzeniówką. Zobaczył wielką mapę południowego Iraku, na którą naniesione były różne symbole. Oczy mu zabłyśły, kiedy spojrzął na skraj mapy i przeczytał legendę.

- Abdul!

Wielki Irańczyk, który właśnie wynosił na zewnątrz skrzynie z amunicją, gdzie kilku ludzi zrywało wieka, odwrócił się, usłyszawszy swoje imię.

- Co się stało? - zapytał, podchodząc do stołu.

- Popatrz, bracie! Allah pokazał nam właśnie, jak możemy powstrzymać falę terroru, przetaczającą się przez nasze wsie!

Abdul przeczytał wyjaśnienia symboli na mapie i spojrzął na Ismaela.

- Amerykanin?

- Tak, bracie. Musimy pokazać to naszemu amerykańskiemu przyjacielowi na granicy. On nam pomoże zdobyć rakiety, których potrzebujemy do zwalczania śmigłowców.

Zabrali mapę i wszystkie papiery, jakie leżały na stole. Chwilę później, kiedy wszystkie Rovy były już załadowane, Abdul dźwignął ciężką beczkę z paliwem, którą znalazł koło generatora i wylał jej zawartość na resztę skrzyń z amunicją. Kiedy wszyscy opuścili magazyn, podłożył ogień.

### ♦ Dzień pierwszy, 20.30 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak

Pułkownik Abunnasr Manesz obszedł betonowy mur przed wejściem do wielkiego bunkra. Zamartwiał się wiadomością o śmierci generała Kuazi Alego. Saddam osobiście strzelił mu w twarz za to, że generał ośmielił się kwestionować sens jego rozkazów. Szaleństwo! Generał Ali chciał jak najlepiej dla swoich ludzi i w najmniejszym stopniu nie interesowała go kariera wojskowa, czy też polityczna. Był oficerem, dla którego jego ludzie stali zawsze na pierwszym miejscu. A Saddam strzelił mu w głowę za to, że generał mówił, co myślał.

Manesz doszedł do wejścia bunkra, którego stalowe drzwi, grube na sześćdziesiąt centymetrów, były uchylone, żeby personel mógł wchodzić i wychodzić. Wszedł do środka i zbliżył się do dwóch techników, pracujących przy lewym silniku jego ukochanego *MiG-a-29*. Wielozadaniowy myśliwiec, tak zupełnie odmienny od wszystkich poprzednich *MiG-ów*,

stał pośrodku wielkiego hangaru, obok kilku *MiG-ów-23*. Czerwono-biało-czarna flaga na każdym z dwóch stateczników pionowych informowała, że *MiG* należał do sił powietrznych Iraku. Zielone pasy na nosie i skrzydłach informowały, że była to maszyna Manesza. Na skomplikowanych wlotach powietrza umieszczone było logo biura projektowego Mikojana i Guriewicza - stylizowane skrzydło i akronim *MiG* cyrylicą. Manesz zastanawiał się kiedyś nad usunięciem tego symbolu radzieckiego producenta, ale ostatecznie uznał, że nie byłoby to słuszne. Rosjanie mogli być dumni z tej maszyny.

- Nie straciłbym dziś rano trzech *MiG-ów-23*, gdyby mój samolot był gotowy!

Młodszy z dwóch techników odwrócił się i spojrzął Maneszowi w oczy. Był od pułkownika niższy o kilkanaście centymetrów. - Bardzo mi przykro, pułkowniku, ale trzeba było wymienić silnik. Części zamienne nie dotarły z Bagdadu na czas. Pracujemy bez odpoczynku od dwudziestu...

- Za ile maszyna będzie gotowa? - zapytał Manesz, przerywając usprawiedliwienia technika.

Młody człowiek spojrzął na drugiego mechanika, który zakładał właśnie opaskę zaciskową na gumowym przewodzie nad wlewem paliwa we wnęce prawego podwozia. Zamienili parę słów, po czym młody technik odwrócił się do Manesza.

- Jeszcze pięć godzin, żeby przeprowadzić wszystkie testy.

Manesz spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiąta. - Wróć o świcie. Macie prawie dziewięć godzin. - Wyszedł, z hangaru i ruszył w kierunku pasa startowego po drugiej stronie muru. Kwatery personelu i podziemne zbiorniki paliwa znajdowały się naprzeciw betonowego schronu, po drugiej stronie pasa. Był to prosty, ale skuteczny środek bezpieczeństwa.

Obchodząc mur, Manesz spojrzął przez uchylone drzwi schronu na swego *MiG-a-29*. Zawsze zdumiewało go, jak Rosjanom udało się opracować tak niezwykley kamouflaż. W zależności od warunków, maszyna zmieniała nieco kolor. O świcie i o zmierzchu miała odcień ostrej zieleni, natomiast w dzień wydawała się błękitno-szara.

Ostatni raz obrzucił wzrokiem samolot, przekonany, że za kilka godzin jego maszyna będzie w powietrzu, i poszedł w kierunku kwater, które mieściły się w zakamuflowanym betonowym schronie bez klimatyzacji. Jej brak nie zaskakiwał już Manesza, od kiedy trzy tygodnie temu kurdyjscy rebelianci odcięli elektryczność. Hangarom i centralom łączności prądu dostarczały dieslowskie generatory. Dla reszty bazy źródłem światła były świece.

Manesz otworzył metalowe drzwi i wszedł do budynku. Krótki, wąski korytarz kończył się następnymi drzwiami, którymi wychodziło się na zewnątrz po drugiej stronie. Pojedyncza świeca płonęła na plastikowym talerzyku na podłodze. Jej wąty płomyk migotał żółtawo, rzucając trochę światła na ściany z nie otynkowanych cegieł. Po jednej i po drugiej stronie korytarza znajdowały się po trzy pokoje. Manesz mieszkał w pierwszym po prawej. Był to jedyny pokój ze zlewem. Pułkownik schylił się po talerzyk ze świecą, wyprostował i wszedł do swego pokoju.

W nozdrza uderzyła go stęchlizna dawno nie wietrzonego pomieszczenia. Otworzył okno nad łóżkiem. Postawił talerzyk ze świecą na stoliku, podszedł do zardzewiałego zlewu i odkręcił kran. Pocięła cienka strużka wody. Złapał ją w dłonie i spryskał sobie twarz. Kurdyjscy rebelianci zniszczyli także główne rury wodociągowe. Ekipy z bazy nie zdążyły ich jeszcze wszystkich naprawić. Ale Allah był tej nocy miłosierny i w kranie było trochę wody.

Oparł się rękami o zlew i oddychał głęboko. W popękany lustrze na ścianie widział zmarszczki wokół swoich czarnych oczu. Lata życia na pustyni nie pozostały obojętne dla jego czterdziestoletniego organizmu. Policzki, w młodości pełne, opadły. Szerokie wargi były suche i szorstkie, tak jak cała jego skóra. Z postępującą łysiną na czole i długim nosem Manesz w żadnym wypadku nie był przystojny, ale też nie miało to dla niego znaczenia. Przestał się troszczyć o wygląd w dniu, kiedy podczas wojny z Iranem wygrzebał spod ruin swojego domu żonę i nowo narodzoną córeczkę. Od tamtego dnia cała miłość, do jakiej Manesz był kiedyś zdolny, zamieniła się w nienawiść. Nienawiść do Irańczyków, za to, że nacisnęli spust, i do Amerykanów, którzy nie zrobili nic, żeby temu zapobiec. Przestał się sobą przejmować. Zaczął latać agresywnie, wyciskając z *MiG-ów* wszystko, do czego były zdolne i nie dbając przy tym o własne bezpieczeństwo. Nie miał już nic do stracenia. Nic. Utrata najbliższych sprawiła, że zatracił jakiegokolwiek poczucie strachu. Wróg niczego już mu nie mógł odebrać, z wyjątkiem życia. A śmierć, pomyślał Manesz, idąc z powrotem do łóżka, z pewnością byłaby błogosławieństwem.

Pułkownik powrócił myślami do generała Kuazi Alego. Odszedł jeszcze jeden z tak nielicznych przyjaciół. Większość zginęła na wojnie w 1991 roku, a reszta, co było zupełnie niepojęte, została zgładzona przez irackie władze, z takich, czy innych powodów.

Tak dalej być nie może, pomyślał Manesz, przymykając oczy. Nie możemy już dłużej żyć tak, jak dotąd. Tak dalej być nie może.

Zasnął w ciągu kilku sekund.

## ♦ Dzień pierwszy, 21.00 czasu lokalnego - USS „Ranger”, 150 kilometrów na północ od Bahrajnu, Zatoka Perska

Na wielkim pokładzie hangarowym powietrze było tak zaciągnięte spalinami, że ledwie widziało się jarzeniowe lampy na drugim końcu tego pomieszczenia, mającego ponad 180 metrów długości. Porucznik „Chico” Delgado z trudem przesuwiał się do wyjścia. Dookoła panował ogromny hałas. Pokład hangarowy wypełniały *Tomcaty*, *Intrudery*, *Prowlery* i *Vikingi*, wokół których krzątali się mechanicy, sprawdzając maszyny i wymieniając uszkodzone części.

Delgado chciał wstrzymać oddech, dopóki nie znajdzie się na zewnątrz, ale nie udało mu się. Nabrał głęboko powietrza i zastanawiał się, jak mechanicy mogli wytrzymać ten smród oleju maszynowego i inne opary, którymi powietrze było przesycone mimo potężnego systemu wentylacyjnego. Skrzywił się. Nie pierwszy raz zszedł do hangaru, żeby odwiedzić przyjaciół ze starego, dobrego *barrio* - latynoskiego getta we wschodnim Los Angeles. Jednak dzisiaj opary przyprawiły go o zawroty głowy.

Idąc z przymkniętymi oczami, wpadł na jednego z mechaników. Mechanik - wielkie chłopisko w średnim wieku, z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi tatuaże na potężnych przedramionach - patrzył na niego bez słowa. Delgado przeprosił grzecznie i szedł dalej w kierunku wyjścia. Dostrzegł wreszcie czerwone światło nad schodami, prowadzącymi na górny pokład i ruszył w tym kierunku.

Na zewnątrz powitała go chłodna nocna bryza. Odetchnął kilka razy głęboko, chcąc się pozbyć z płuc tych wszystkich spalin i oparów, po czym ruszył do ambulatorium. Czuł się fatalnie. Spojrzał na pomost wyspowy, a potem w kierunku dziobu. Na katapultach nie było samolotów. Od strony dziobu kilkunastu ludzi szło powoli, rzędem, uważnie wpatrując się w pokład. Kolejna rutynowa kontrola pokładu startowego.

Był właśnie koło *A-6* ze złożonymi skrzydłami, kiedy poczuł gwałtowny skurcz żołądka, którego zawartość podeszła mu do gardła. Zacisnął zęby i zmusił się do przełknięcia śliny. Wiedział, że drugi raz już mu się to nie uda. Przebiegł pod dyszą *Intrudera* na skraj pokładu, wychylił się przez barierkę i zwrócił obiad. Przyklęknął potem i tkwił tak kilka minut.

Wstał powoli i odetchnął kilka razy głęboko świeżym nocnym powietrzem, opierając się o podwozie *Intrudera*. Próbował wziąć się w garść, ale na próżno. Ból narastał. Upadł na pokład, trzymając się za brzuch. Usłyszał jakieś głosy i poczuł, że ktoś go podnosi. Potem ogarnęła go ciemność.

# 4.

## Objawienia

*I poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli.*

*Jan, 8;23*

### ♦ Dzień pierwszy, 22.00 czasu lokalnego - centrala Mossadu, Tel Awiw, Izrael

Ze swej celi o wymiarach dwa metry na dwa młody oficer iracki Sjed Faisel patrzył na nieprzytomnego współtowarzysza niedoli, również irackiego oficera, również zamkniętego jak zwierzę w klatce po drugiej stronie wąskiego korytarza. Sjed pomyślał, że tamten ma co najmniej ze czterdzieści lat. Podstawą tej oceny nie było to, jak pułkownik wyglądał w tej chwili, ale to, jak wyglądał kilka godzin wcześniej, zanim agenci Mossadu wzięli go na przesłuchanie. Przynieśli go z powrotem zaledwie kilka minut temu i teraz Sjed wpatrywał się w zmasakrowaną twarz pułkownika. Nie był pewien, co może powiedzieć temu dzielnemu człowiekowi, który cierpiał taki ból, nie chcąc zdradzić Izraelczykom tajemnic wagi państwowej.

Sjed skrzywił się, po raz chyba setny wodząc wzrokiem po swoim więzieniu: cztery ściany z czerwonej cegły, dwoje białych drzwi. Betonowy sufit znajdował się zaledwie o trzydzieści centymetrów nad klatką. Westchnął, przeklinając się w duchu za swą głupotę. Pięć miesięcy temu należał do eskorty na omańskim tankowcu „Kilf”, powracającym do kraju z rosyjskiego portu Noworossyjsk nad Morzem Czarnym. Misja była tajna. Kiedy wielki statek rzucił kotwicę w odległości trzech mil morskich od Bejrutu, Sjed wraz z pozostałymi ludźmi z irackiej eskorty przerzucił na rybacki kuter kilkanaście niewielkich skrzyń i pilnował dostarczenia ich na brzeg. Tam załadowano skrzynie na ciężarówki, które miały je przeszmuglować przez Syrię do Iraku. Ciężarówki ukryto na razie w magazynie we wschodnim Bejrucie. Dowódca wysłał Sjeda w towarzystwie żołnierza z powrotem

do portu, żeby przekazali załodze kutra, że ładunek jest bezpieczny. W drodze powrotnej natknęli się na bardzo atrakcyjną kobietę, stojącą na poboczu szosy, koło samochodu z podniesioną maską. Pomachała do nich. Zatrzymali się i wysiedli. Miała na sobie czarną spódniczkę mini i jedwabną bluzkę. Kiedy Sjed i żołnierz podeszli do niej, powiedziała, że wybiera się właśnie na przyjęcie, a samochód po prostu odmówił posłuszeństwa. Przesunęła palcami po długich czarnych włosach, zamrugła i spytała, czy nie byłiby tak uprzejmi i podwieźli ją na miejsce. Uwagę Sjeda pochłonęły sterczące sutki jej piersi, wyraźnie widoczne przez jedwabną bluzkę. Zameldować mieli się dopiero za dwie godziny, więc Sjed natychmiast się zgodził.

Sjed walnął się pięścią w otwartą dłoń, wspominając, jak zawieźli tę kobietę do domu na przedmieściu. Zaczął coś podejrzewać, bo dom był nie oświetlony, ale zapewniła go, że jej koleżanki najprawdopodobniej wyszły gdzieś na chwilę. A potem, w najmniej oczekiwanym momencie, oświetliło ich kilka reflektorów, a kobieta wyciągnęła pistolet z torebki i oświadczyła im, że są jej więźniami. Kiedy kierowca zaczął stawiać opór, bez wahania strzeliła mu w głowę. Z mroku wyłonili się jacyś ludzie, związali Sjeda, założyli mu worek na głowę, wsadzili do ciężarówki i zawieźli na jakiś statek. Dwa miesiące spędził samotnie w ciemnym pomieszczeniu; milczący wartownik przynosił mu dwa razy dziennie jedzenie i picie. Potem porywacze zabrali go do swojej kwatery głównej i dopiero wtedy dowiedział się, że uprowadził go Mossad. Kobieta w minispódniczce była izraelską agentką.

Sjed zauważył, że pułkownik otwiera oczy.

- *Sabah al-kair* - powiedział, próbując go choć trochę pocieszyć, ale pułkownik nawet nie podniósł wzroku. Leżał skulony w swojej celi, trzymając się za brzuch.

- Co te bluźniercze świnie z panem zrobiły?

- Skurwysyny! Żebym ja ją kiedyś dostał w swoje ręce... Och, moje żebra. Z rozkoszą skrzyłbym jej kark.

Sjed zdjął swą mundurową koszulę i rzucił ją pułkownikowi, od którego dzieliło go mniej więcej półtora metra.

- Proszę. Niech pan sobie wytrze twarz z krwi. - Patrzył, jak pułkownik podnosi koszulę i ostrożnie wyciera nią twarz.

- Pańska dobroć jest godna uznania, poruczniku.

- Faisel - dopowiedział Sjed, widząc, jak pułkownik mruży oczy, próbując odczytać resztki tego, co kiedyś było plakietką z nazwiskiem, przyszytą nad lewą kieszenią mundurowej koszuli Sjeda.

- Dlaczego brak plakietki z nazwiskiem?  
- Oderwałem ją, zanim mnie wzięli. Te bluźniercze świnie nie wydobędą ze mnie żadnej informacji, nawet nazwiska.  
- Poruczniku Faisel, jeśli wydostaniemy się stąd żywi, osobiście dopilnuję, żeby awansowano pana do stopnia kapitana.  
- To bardzo szczodre z pańskiej strony.  
- Jak te świnie pana schwytały?  
- To takie żenujące.  
- Słyszałem już niejedną dziwną historię, poruczniku. Proszę się nie martwić, niech pan mówi.

Sjed odchrząknął i opowiedział mu wszystko, aż do momentu, w którym przyprowadzono go do celi. Pułkownik słuchał, nie przerywając.

- A więc poznał pan Chalilę?

Sjed zmrużył oczy. - Hm... tak, skąd pan...?

- Właśnie spędziłem z nią kilka godzin. To ona mnie tak urządziła. Mówię panu, poruczniku, przez te wszystkie lata w służbie nie spotkałem nikogo tak pięknego i tak sadystycznego zarazem.

- Cóż, mnie podeszła w Bejrucie.

Sjed właśnie skończył to mówić, kiedy Chalila Iszaid, oficer Mossadu, weszła do środka energicznym krokiem, ubrana w obcisły, oliwkowozielony mundur połowy, podkreślający jej wspaniałą figurę. Obaj mężczyźni wlepili w nią spojrzenia.

- Zmienił pan zdanie, pułkowniku? - zapytała z odcieniem sarkazmu w głosie.

- Spał się w piekle, ty sadystyczna dziwko! - odwręknął pułkownik.

Sjed nic nie mówił, po prostu patrzył na Chalilę. Była może trochę za wysoka, ale z pewnością piękna. Jej lekko oliwkowa skóra zdawała się błyszczeć, nawet w tym nikłym świetle. Wystające kości policzkowe, para zielonych oczu. Niech to diabli, nic dziwnego, że dałem się zwieść, pomyślał.

- Wrócę tu jeszcze, pułkowniku. Porozmawiamy później. - Odwróciła się do Sjeda. - A pan niech nie będzie zazdrosny, poruczniku. Przyjdzie i na pana kolej.

Sjed tylko spojrzał na zmasakrowaną twarz pułkownika i nie powiedział ani słowa. Odetchnął, kiedy wyszła.

- Niech się pan nie przejmuje, poruczniku. Nie wierzę, żeby mówiła serio.

- Ale po tym, co zrobiła z panem...

- Jakoś to przeżyję.

- Proszę mi wybaczyć brak dobrych manier, pułkowniku, ale nie spytałem pana o nazwisko.

- Pułkownik Fasiid Dżasan. Trzecia Dywizja Pancerna, zachodni Irak.  
- To zaszczyt poznać pana.  
- To dla mnie zaszczyt, poruczniku. Mam nadzieję, że ładunek, który pan eskortował, dotarł szczęśliwie do Iraku.

Sjed rozejrzał się dookoła i zaczął mówić ściszym głosem: - Ja też mam nadzieję, panie pułkowniku. Widzi pan, część tego ładunku stanowił konwencjonalny sprzęt wojskowy - karabiny, amunicja i części zamienne. Wiem o tym, bo musieliśmy wszystko sprawdzić przed załadowaniem na ciężarówkę.

- No i?

- Było jeszcze kilka skrzyń bez żadnych oznaczeń.

- Aha. I nie domyśla się pan, co było w środku?

Sjed rozmawiał z pułkownikiem jeszcze kilka minut. Kiedy skończył, oczy oficera zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Na miłosierdzie Allacha! Czy pan sobie zdaje sprawę, co pan mówi?!

- Tak, i raczej umrę, niż wyjawię cokolwiek tym świniom. Nasz kraj jest wreszcie bliski stania się wielkim mocarstwem.

- Proszę mnie uważnie wysłuchać, poruczniku. Musimy za wszelką cenę dochować tajemnicy. Jeden tylko Allah wie, co by zrobili, gdyby się o tym dowiedzieli.

- Niczego ze mnie nie wydobędą.

- Dobrze. A teraz powiedz mi, ile czasu minęło, odkąd cię porwali?

- Około pięciu miesięcy..

- Czy tamten ładunek miał być dostarczony do Bagdadu?

- Nie, panie pułkowniku. Zgodnie z rozkazem, w Iraku mieliśmy go dostarczyć do fabryki mleka w proszku.

- Gdzie?

- Na południe od An Nadżaf.

- Mówisz o Allahbadzie? - zapytał zaskoczony pułkownik Dżasan, mając na myśli największą fabrykę mleka w proszku w Iraku, która przetrwała bombardowania w czasie wojny w 1991 roku.

- Tak, panie pułkowniku. Właśnie tam.

- To znaczy, że teraz na pewno montują już prototypy! Poruczniku, zdaje pan sobie sprawę, co znaczy posiadanie takiej broni?

- Tak, pułkowniku. Zachód wreszcie się przekona, że Irak, to kraj, z którym trzeba się liczyć!

- *Fi aman Allah!*

- Nawet wstawiennictwo samego Proroka ci nie wystarczy, żeby wyjść z tego cało! - zawołała Chalila, wpadając do celi w towarzystwie trzech rośliwych wartowników.



Obaj więźniowie milczeli.

- Weźcie pułkownika na następne przesłuchanie - rozkazała wartownikom. Ci natychmiast otworzyli klatkę i wywlekli Dżasana na zewnątrz.

- *Hazzan sajidan*, pułkowniku! - zawołał Sjed, zaciskając ręce na grubych stalowych prętach.

- Będzie mu potrzeba czegoś więcej niż szczęścia. Pamiętaj, przyjdę i po ciebie.

Sjed zamknął oczy. Tamci wyszli, trzasnąwszy drzwiami.

Pułkownik Dżasan, w rzeczywistości Hasin Abaraka, szef operacji bliskowschodnich w Mossadzie, usuwał z twarzy makijaż. Chalila podała mu wilgotny ręcznik.

- Zaczął mówić?

- Chalila, gdybym nie był żonaty, tobym cię teraz wycalaował! Twój plan był genialny! Powiedział mi wszystko. Szybko, trzeba zwołać naradę. Nie ma ani chwili do stracenia. Musisz wyruszyć natychmiast!

- Wyruszyć? Dokąd? Co on ci powiedział? - spytała Chalila swego zwierzchnika.

- Nie uwierzysz własnym uszom.

### ♦ Dzień pierwszy, 22.30 czasu lokalnego - USS „Ranger”, 150 kilometrów na północ od Bahrajnu, Zatoka Perska

Porucznik Kevin Dalton szedł przez labirynt przedziałów, połączonych owalnymi włazami w grodziach. Każdy przedział miał niecałe dziesięć metrów długości. Wszystkie włazy były jednakowej wielkości i porozmieszczane symetrycznie. Zszedł schodami, skręcił w prawo i po około trzydziestu metrach dotarł do swojej kajuty, znajdującej się między sufitem kolosalnych hangarów lotniskowca a opancerzonym pokładem startowym. Chciał jak najszybciej podzielić się z Delgado dobrą wiadomością - następnego dnia po południu mieli polecieć razem.

- Hej, Chico, zgadnij... - urwał zaskoczony widokiem sanitariusza zagląającego do szafki Delgado.

Porucznik Delgado nie czuł się jeszcze dobrze, ale zdecydowanie lepiej niż kilka godzin wcześniej, kiedy marynarze znaleźli go na pokładzie. Przywieźli go do szpitala okrętowego z nowoczesnie wyposażoną salą operacyjną i oddziałem intensywnej terapii. Postawienie diagnozy zajęło lekarzowi niecałe pięć minut: ostre zatrucie pokarmowe. Lekarz zaaplikował mu środki przeczyszczające i zrobił płukanie żołądka, po którym Delgado przysięgał,

że już nigdy nie weźmie do ust ani kęsa. Następnie kazał mu odpocząć przez czterdzieści osiem godzin przed dalszym lataniem.

Delgado patrzył na trupio bladego, wychudzonego sanitariusza na drugim końcu kajuty. Sanitariusz uniósł głowę i spojrzął na pacjenta podkrążonymi, zaczerwienionymi oczami, po czym wrócił do lektury.

Delgado westchnął i zaczął kartkować zeszlomiesięczny numer „Approach”, magazynu lotnictwa Marynarki, nie interesując się zresztą treścią. Na niczym nie mógł się skoncentrować w tym pomieszczeniu, które wyglądało i pachniało jak szpital. Nie cierpiał szpitali, a co gorsza, sanitariusz wyglądał jak pracownik kostnicy. Delgado już dawno by stąd uciekł, gdyby tylko czuł się trochę lepiej.

Marszcząc brwi i przeklinając w duchu pecha, przesunął dłonią po buldogu, wytatuowanym na przedramieniu. Pomyślał o spotkaniu w hangarach wytatuowanym mechaniku. Tatuaze obudziły wspomnienia; Chico przypomniał sobie czasy, kiedy dorastał w swym *barrio* we wschodnim Los Angeles. Uśmiechnął się na wspomnienie leciwej damy, która mieszkała na tej samej ulicy, co jego rodzice, kilka domów dalej.

Miała przyjaźnie usposobionego buldoga. Wabił się Erni, ale Delgado i jego koledzy nazwali go Mops. Delgado bardzo polubił Mopsa. Starsza pani wypuszczała psa, kiedy chłopcy grali w piłkę na ulicy i Mops z radością aportował patyki.

Pewnego dnia, kiedy Delgado i jego przyjaciele bawili się z Mopsem, na ich ulicę przyszedli członkowie gangu. Zaczęli drażnić psa, a ten jednego z nich pogryzł. Inni wyciągnęli wtedy noże i na oczach Delgado zadali Mopsowi kilka ciosów. Zakrwawiony pies leżał na ulicy, skomląc z bólu, ale żaden z kolegów Delgado nie ruszył się z miejsca w obawie przed gangiem. I wtedy Delgado nie wytrzymał. Przebiegł przez ulicę i kopnął jednego z napastników między nogi. Reszta gangu rzuciła się na niego, dwóch pchnęło go nożem i wszyscy uciekli. Delgado trafił do szpitala z rozciętą nogą i lewym przedramieniem. Opatrzono go i zwolniono następnego dnia rano. Mops zdechł w nocy. Rodzice Delgado mieli do syna pretensje, że nie chciał powiedzieć policji, co się stało. Nie znali praw ulicy. Każdy, kto współpracował z policją, prędzej czy później zostawał zabity, albo przepadał bez wieści. Prawo *barrio*. Niepisane, ale rygorystycznie przestrzegane.

Miesiąc później, kiedy lekarze zdjęli mu szwy z ręki i nogi, Delgado zrobił coś, co cała rodzina uznała za wyjątkowy idiotyzm. Wciąż nie mogąc się pogodzić ze śmiercią Mopsa, wygrzebał gdzieś zdjęcie psa i na jego podstawie kazał sobie zrobić tatuaż. Blizna na przedramieniu przechodziła przez czoło Mopsa.

Rozejrzał się po pokoju i spostrzegł, że ponury sanitariusz mu się przygląda. Co się z tobą dzieje, pacanie? - pomyślał Delgado. Zaczniźże wreszcie żyć, człowieku! Idź na pokład i złap trochę słońca. Na sam twój widok ciarki mnie przechodzą!

Delgado usłyszał odgłos kroków. Uniósł głowę i poczuł ulgę, widząc Kevina.

- Myślałem, że faceci z południowej strony granicy mogą jeść i pić prawie wszystko - powiedział Kevin.

Delgado zmusił się do uśmiechu. Kevin był jednym z niewielu pilotów, których naprawdę lubił. Nie było w nim arogancji, charakteryzującej większość pilotów myśliwskich. - Nie ma się, co śmiać, Szurnięty. Miałeś kiedyś płukanie żołądka?

- Nigdy.

- No to ci powiem, człowieku. Dostałem parę razy nożem, kiedy jeszcze mieszkałem w *barrio*, ale to, co dziś ze mną wyprawiał lekarz, było gorsze.

- Rozmawiałem z jednym z lekarzy. Mówił, że za parę dni stąd wyjdiesz. - Kevin przysunął krzesło do łóżka. - Ten twój biały proszek tym razem nie poskutkował, co?

Delgado dostrzegł błysk rozbawienia w oczach Kevina.

- To musiał być jeden z tych nielicznych wyjątków. Mówię ci, zwykle to świństwo jest rewelacyjne.

Kevin tylko się uśmiechnął.

Pociągła twarz Delgado przybrała poważny wyraz. - *Hermano*, lekarz mówi, że nie wolno mi przez kilka dni latać.

Kevin przytaknął. - Zgadza się. Nie wyglądasz najlepiej. Duże przeciążenia mogą ci zaszkodzić.

- Niech to cholera! Czuję się fatalnie.

Kevin spojrział na zegarek. - No, muszę iść się przespać. Odprawa o jedenastej. Zajrzę do ciebie jutro, po locie.

- Będę wdzięczny. To miejsce mnie przeraża, a ten blady pacan wygląda, jakby w każdej chwili był gotów złapać za łopatę, żeby mnie pochować.

Kevin uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową. - Do zobaczenia.

## ◆ Dzień drugi, 10.20 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Ismael Barzani rozmawiał ze swym amerykańskim przyjacielem. Amerykanin kogoś ze sobą przyprowadził, ale w ciemnym wnętrzu sfatygowanego namiotu Ismael nie widział twarzy obcego, który przez cały czas siedział w kącie, milcząc i popijając kawę. Jedynym źródłem światła

była lampa gazowa, zawieszona w rogu. Oprócz stołu i kilku krzeseł Ismael nie widział w namiocie żadnych sprzętów.

Siedział koło wejścia, obok Abdula. Amerykanin, ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami i ciemne spodnie, zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Czarne włosy opadały mu na czoło, częściowo zakrywając krzaczaste brwi. Ismael nie znał jego prawdziwego nazwiska, ale nie miało to znaczenia ani dla niego, ani dla jego grupy. Mówili na Amerykanina *Bai*, kupiec. Dla Kurdów miało w tej chwili znaczenie tylko jedno: odpalane z ramienia rakiety *Javelin*, poukładane za krzesłem *Bai*.

- Rozumiem, że masz coś do zaoferowania, przyjacielu?

Ismael skinął lekko głową. Jako jedyny ze swego oddziału mówił po angielsku. Misjonarze nauczyli go nie tylko angielskiego, ale także matematyki i geografii. Dla inteligentnego Kurda było to dosyć, by przystąpić do nauczania swoich ludzi, kiedy rząd iracki oskarżył misjonarzy o szpiegostwo i wydalili z kraju.

Ismael spojrzął na Abdula Mozachu i gestem wskazał *Bai*. Abdul sięgnął za siebie, podniósł niewielki worek i podał go Ismaelowi, który przeniósł wzrok na Amerykanina, wyjmując mapę i dokumenty. Rozłożył częściowo mapę - na tyle, żeby dostrzec błysk zainteresowania w oczach *Bai* - i wskazał ręką na rakiety. - To są bardzo ważne papiery - powiedział cicho, uważając, żeby nie dotknąć językiem zepsutego zęba. Wciąż jeszcze nie znalazł czasu, żeby go wreszcie wyrwać.

Amerykanin odchylił się na krześle. - Doskonale. Jeśli mogą się na coś przydać naszym wojskom, to może dojdziemy do porozumienia.

Ismael przytaknął. *Bai* zawsze postępował z nimi przyzwoicie, pod warunkiem, że mieli coś do zaoferowania. Rzucił mu nad stołem mapę i dokumenty. Amerykanin złapał je, wertował przez chwilę, po czym spojrzął na Kurda wyraźnie zaskoczony.

- Niech mnie diabli! Skąd wy to wystrasnęliście?

Ismael uśmiechnął się, dumny, że Allah obdarzył go mądrością, która pozwoliła właściwie ocenić strategiczną wagę znalezionych dokumentów. - To nasza tajemnica, *Bai*.

Amerykanin zmarszczył brwi, ale zaraz wyciągnął przez stół prawą rękę. - W porządku, Ismael. Wydaje się, że i tym razem będziemy sobie mogli nawzajem pomóc.

Ismael, zaznajomiony z tym dziwnym zachodnim zwyczajem, uściśniętą dłoń Amerykanina. Ten uśmiechnął się szeroko, odsłaniając garnitur błyszczących, białych zębów. Kurd, któremu doskwierały popsute trzonowe,

nie mógł pohamować uczucia zazdrości. Pomyślał, że może warto by wytargować wizytę u dentysty w amerykańskiej bazie. Był pewien, że amerykańskiemu doktorowi, dysponującemu nowoczesnym, drogim sprzętem, wyleczenie zębów nie zajęłoby dużo czasu. Wiedział też jednak, że jako Barzani nigdy na coś takiego nie przystanie. Takie publiczne przyznanie się do dolegliwości było niegodne kurdyjskiego przywódcy.

Kiedy jego ludzie wynieśli z namiotu *Javeliny* i załadowali je do samochodów, Iszmael spojrzął w oczy *Bai*, który obserwował Kurdów, stanowiący w wejściu do namiotu. - Dziękuję, *Bai*.

- To ja ci dziękuję, Iszmael. Mapa i dokumenty bardzo nam się przydadzą. Aha, jeszcze jedno. *Javeliny* to dość skomplikowana broń. Może chciałbyś, żebyśmy przeszkolili ciebie i twoich ludzi?

- Nie trzeba, *Bai*, nauczymy się. - Iszmael uśmiechnął się i pomachał Amerykaninowi ręką, kiedy Rovery ruszyły.

- Bob, ta broń na nic im się nie przyda, jeśli nie będą umieli się z nią obchodzić - odezwał się z kąta namiotu pułkownik Peter Halston z Sił Powietrznych USA.

Robert Bourdeaux, najstarszy stopniem oficer wydziału operacyjnego CIA, przez chwilę mierzył Halstona wzrokiem. W odróżnieniu od Bourdeaux, który miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył około dziewięćdziesięciu kilogramów - o dziesięć za dużo, jak sam przyznawał - Halston, niższy o parę centymetrów, był w świetnej kondycji fizycznej i zawsze mocno opalony. - Iszmael dał do zrozumienia, że jakoś się nauczą. Nie jestem pewien, co miał na myśli - powiedział Bourdeaux.

- Sądzisz, że ta ich mapa jest rzeczywiście tyle warta? - Halston podszedł bliżej i pochylił się nad stołem.

- Sam popatrz i powiedz mi, co o tym myślisz. - Bourdeaux rozłożył całą mapę.

Robert Bourdeaux nie był opalony. Nie wiedział, co to opalenizna, od czasu, kiedy dziesięć lat temu opuścił Siły Powietrzne, żeby wrócić na uczelnię i zrobić doktorat ze spraw Bliskiego Wschodu. Zaraz po doktoracie dostał pracę w CIA. Wkrótce wyrobił sobie pozycję najlepszego oficera operacyjnego w Firmie i utrzymał ją do dziś. O wysłaniu go w ten newralgiczny region zadecydowało kilka czynników: umiejętność rekrutowania agentów w Iraku, takich jak Kurd Iszmael, obiektywizm i zdrowy rozsądek, z jakim analizował informacje oraz dogłębna znajomość Bliskiego Wschodu. Jako oficer operacyjny i ekspert od analizy zdjęć satelitarnych, Bourdeaux zdawał sobie sprawę, jak ważna jest jego obecność właśnie tutaj.

Tymczasowo podlegał bezpośrednio dyrektorowi CIA w Langley; w normalnych warunkach jego przełożonym byłby zastępca dyrektora do spraw operacyjnych, który podlegał wicedyrektorowi CIA. Jednak w świetle tego, co wydział europejski dowiedział się ostatnio o sprowadzaniu przez Sadaama Husajna części do produkcji broni jądrowej, dyrektor CIA zdecydował się ominąć hierarchię służbową i Bourdeaux został wysłany w ten region z rozkazem kontaktowania się bezpośrednio z szefem Firmy.

Bourdeaux lubił Halstona, który miał obecnie pełne ręce roboty. Nie tylko był odpowiedzialny za kontakty z CIA, ale też stał się prawą ręką dowódcy bazy. Podlegała mu służba poszukiwawczo-ratownicza, a ostatnio spadło też na niego kierowanie całym sztabem majorów i kapitanów, zapewniających łączność z innymi bazami, z Centralnym Dowództwem Sił Powietrznych USA w Rijadzie i z *AWACS-ami* koordynującymi działania myśliwców w południowej strefie zakazu lotów.

Ale ta zaskakująca zdolność zajmowania się wieloma sprawami jednocześnie nie była jedynym powodem, dla którego Bourdeaux lubił Halstona. Ich przyjaźń zaczęła się w czasach, kiedy obaj służyli w Siłach Powietrznych, zanim Bourdeaux poświęcił się innym zainteresowaniom. Wtedy byli najlepszymi przyjaciółmi; później, kiedy Bourdeaux odszedł z Sił Powietrznych, rzadko o sobie słyszeli. Obaj oddali się bardzo wymagającym zajęciom, Halston się ożenił i Bourdeaux prawie zupełnie stracił kontakt ze swym starym kumplem z lotnictwa. Kilka lat później, w środku nocy, Bourdeaux odebrał telefon od pogrążonego w żałobie Halstona - jego żona zginęła w wypadku samochodowym. Nie tracąc ani chwili, Bourdeaux ruszył podtrzymać przyjaciela na duchu. Kilka lat później Bourdeaux zachodził w głowę, jak mały jest ten świat: zameldował się w pustynnej bazie i zastał tam Halstona jako swego oficera łącznikowego.

- Widzisz to, Pete? - Bourdeaux wskazał czerwoną linię, łączącą port Umm Kasr nad Zatoką Perską z wielkim czerwonym okręgiem, obejmującym obszar o powierzchni prawie tysiąca trzystu kilometrów kwadratowych w południowym i środkowym Iraku, wokół An Nadżaf.

- Widzę, ale o co tu chodzi?

- To jest miejsce przeznaczenia ładunku, wyładowanego w Umm Kasr.

- Ładunku? Jakiego ładunku?

Wodząc palcem po arabskich literach dokumentu, który Ismael dał mu razem z mapą, Bourdeaux przeczytał: - Trzydzieści silników pomocniczych do rosyjskich rakiet *SS-11*.

- Co takiego? *SS-11*? Po co do diabła... Jezu! Czy to znaczy...?

Oficer CIA ponuro skinął głową. - Obawiam się, że tak. Podejrzewaliśmy, że Irakijczycy pracują nad jakąś większą raketą z zamiarem wykorzystania jej w ramach programu broni jądrowej. Ta mapa jest pierwszym konkretnym dowodem na poparcie tych podejrzeń.

- Cóż, może to i prawda, ale tysiąc trzysta kilometrów kwadratowych to ogromny obszar. Te silniki raketowe mogą być dosłownie wszędzie.

Bourdeaux przytaknął. W okręgu na mapie znajdowały się cztery fabryki chemiczne, dwie duże fabryki mleka w proszku, wielka rafineria ropy naftowej, pięć baz lotniczych i kilka większych miast, między innymi: Bagdad, Kerbala, Falludża, Salman Pak i Al Kut.

- A co ze zdjęciami satelitarnymi? - zapytał Halston.

- Nie, nic z tego. *KH-11* przechodzi nad tym rejonem kilka razy dziennie, ale kamery wysokiej rozdzielczości niczego nie wyłapały. Wcale mnie to zresztą nie dziwi.

Halston przekrzywił głowę i przyglądał się Bourdeaux przez chwilę. - Dlaczego tak mówisz?

- Widzisz, chodzi tylko o silniki pomocnicze, a nie o całe rakiety *SS-11*. O ile pamiętam, taki silnik mierzy niecałe trzy metry, zgadza się? - Bourdeaux poczekał, aż Halston to potwierdzi, po czym mówił dalej. - Jestem pewien, że Irakijczycy mogli zlecić ich demontaż przed wysyłką, jeśli nie chcieli, żebyśmy się o nich dowiedzieli. - Bourdeaux podszedł do wiszącej w rogu lampy gazowej i przekręcił kurek na maksimum. - Czy nasze bombowce atakowały te zakłady przemysłowe podczas operacji Pustynna Burza?

- Hm, tak i nie - odpowiedział Halston, pochylając się nad mapą. - Wielokrotnie bombardowaliśmy wszystkie cztery fabryki chemiczne. Rozwaliliśmy też rafinerię i kilka elektrowni wokół Bagdadu i innych miast, ale nigdy nie atakowaliśmy wytwórni mleka w proszku. W CENTAF do dziś uważa się je za obiekty cywilne. Podczas Pustynnej Burzy CENTAF postanowił pozostawić te dwa zakłady w spokoju. Nie miały żadnego znaczenia militarnego. Atakując je bez istotnego powodu, narazilibyśmy się na poważne reperkusje polityczne. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Jak daleko jest stąd do środka tego okręgu, do An Nadżaf?

- Czekał, niech spojrzę. - Halston studiował mapę. - Mniej więcej trzysta trzydzieści kilometrów od miejsca, w którym zbiegają się granice Iraku, Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej.

- Czy nie mamy większego zgrupowania czołgów na zachód od tego miejsca? - Bourdeaux wskazał na mapie punkt, leżący sto sześćdziesiąt

kilometrów na zachód od zbiegu granic. Siły sojusznicze prowadziły tam ćwiczenia na wypadek drugiej wojny lądowej z Irakiem.

- Tak, masz rację. Do An Nadżaf jest stamtąd jakieś dwieście siedemdziesiąt kilometrów.

- A więc w zasięgu raket *Scud B*?

- Zasięg *Scudów* waha się od stu sześćdziesięciu do trzystu dwudziestu kilometrów, w zależności od rodzaju głowicy. Irakijczycy zmodyfikowali swoje *Scudy*, zwiększając ich zasięg i nazwali je *Al Husajn*.

- O ile zwiększyli zasięg? - zapytał Bourdeaux, przeczesując palcami rzadniejące włosy.

Halston zastanawiał się przez chwilę. - Okay, przede wszystkim trzeba pamiętać, że *Al Husajn*, tak jak *Scud B*, z którego się wywodzi, jest rakieta bardzo niecelną. W przeszłości Irakijczycy używali jej wyłącznie przeciw dużym celom powierzchniowym. Przypuszczamy, że zwiększyli zasięg do około pięciuset pięćdziesięciu kilometrów. Jednak modyfikacje, jakich dokonali, są bardzo prymitywne. *Scud* jest rakieta na paliwo stałe. Irakijczycy po prostu dołożyli po bokach pomocnicze silniki raketowe na paliwo płynne. Zwiększyli wprawdzie zasięg, ale kosztem niezawodności. To właśnie z powodu tych przeróbek kilka raket rozerwało się w powietrzu podczas Pustynnej Burzy. Poza tym, nie udało im się specjalnie poprawić celności.

- Ale przy takim zasięgu i odrobinie szczęścia mogliby trafić któryś z naszych obiektów w Arabii Saudyjskiej, zakładając, że odpaliliby rakiety z obszaru, leżącego gdzieś wewnątrz tego czerwonego okręgu.

- Teoretycznie jest to możliwe, ale ja bym się tym nie martwił. Sam widziałeś, jak niecelne są te rakiety. *Scud* w obecnej formie, to broń praktycznie tylko dla terrorystów. Z militarnego punktu widzenia nie ma żadnego znaczenia strategicznego. Z informacji, przekazanych przez Kurdów, może wynikać, że pracują nad nową generacją *Scudów*, z ulepszonymi silnikami na paliwo ciekłe.

Bourdeaux słuchał uważnie. Rozparty na krześle Halston przez następne piętnaście minut kontynuował wykład o irackich raketach. Kiedy skończył, poszedł do punktu łączności.

Robert Bourdeaux poczuł, że powraca mu ból głowy. Te chroniczne bóle zaczęły się jeszcze w koledżu. Lekarz wyjaśnił mu wtedy, że są efektem skumulowania się kilku czynników: czytania za dużo, nadmiernego stresu, niewłaściwej diety i braku snu. W tamtych czasach Bourdeaux starał się zrobić magisterium w ciągu pięciu lat, zamiast normalnych sześciu. Ze średnią dwudziestu jeden zaliczeń w semestrze, nie miał już w ogóle czasu



na normalne życie. Jego rodzice zareagowali wtedy, zmuszając go do zrobienia przerwy przez jeden semestr. Tłumaczył, że opóźni mu to karierę zawodową, ale rodzice byli nieustępliwi. Wreszcie zgodził się, zdawszy sobie sprawę, że znalazł się na skraju załamania. Z czasem bóle głowy zaczęły się pojawiać coraz rzadziej, ale nigdy nie ustąpiły zupełnie. Powracały zawsze, kiedy dopuścił, by w jego życiu było za dużo stresu, albo kiedy nie dosypiał lub źle się odżywiał. Sięgnął do kieszeni po kapsułki Tylenolu o wzmocnionym działaniu, które zawsze nosił przy sobie. W swojej pracy nie mógł się bez nich obejść.

Wrzucił do ust trzy - dwie już nie skutkowały - i zaczął analizować to, co Halston powiedział mu przed chwilą o krążących w wywiadzie Sił Powietrznych pogłoskach na temat irackich prac nad rakieta o zwiększonym zasięgu. Nazywali tę raketę *Al Ahar*. Podobno również była przeróbką *Scuda B*, ale miała znacznie większy zasięg niż jej poprzedniczki. Halston przypuszczał, że właśnie po to potrzebne im były pomocnicze silniki raketowe. Zakładając, że eksperci wojskowi w bazie mieli rację, uważano, że Irak najprawdopodobniej prowadzi prace nad rakieta taktyczną o zasięgu znacznie przekraczającym tysiąc sześćset kilometrów i ze znacznie dokładniejszym niż dotąd systemem naprowadzania.

Bourdeaux zacisnął zęby, a twarz zaczerwieńla mu się i stwardniała. Jak to się stało? Jak, do diabła, mogliśmy dopuścić do tego, żeby ci szaleńcy weszli w posiadanie technologii do produkcji tej przeklętej broni?! Zdawał sobie sprawę z implikacji. Dysponując taką rakieta, Irakijczycy mogliby atakować odległe cele, od Grecji po Zatokę Omańską. Mieliby w zasięgu większość szybów naftowych i rafinerii w tym regionie. A gdyby udało im się połączyć dokładność systemu naprowadzania takiej rakiety z potężną siłą niszczącą głowicy jądrowej... Jezu, co za koszmar!

Przejechał dłonią po dwudniowym zarostie na podbródku. Odwrócił głowę, z odległości niespełna stu metrów doszedł go ryk silników dwóch śmigłowców *Apache*, startujących ze skraju betonowego pasa. Te wielkie, ciemnoszare bestie, z najrozmaitszą bronią podwieszoną pod skrzydłami, napędzane dwoma silnikami, wzniosły się w powietrze w kłębach kurzu i ruszyły na zachód, nabierając prędkości.

Pokręcił głową, rozczarowany, że satelity nie na wiele się przydadzą. Spisywały się wspaniale, śledząc ruchy wojsk, czołgów, operacje lotnictwa, ale rozmontowane rakiety były dla nich po prostu za małe. Zanim satelity zdołałyby je wykryć, byłoby już za późno. Poza tym, Irakijczycy najprawdopodobniej by je zakamuflowali, doskonale zdając sobie sprawę z możliwości wywiadu satelitarnego.

Bourdeaux wiedział, że nie ma ani chwili do stracenia. Przeczynał, że z powodu ograniczonych środków Irakijczycy prawdopodobnie montują rakiety w jednym miejscu. Dopiero po zakończeniu montażu będą mogli rozmieścić je po całym kraju na samobieźnych wyrzutniach; wtedy ich znalezienie byłoby dla Amerykanów bardzo trudne, o ile w ogóle możliwe.

Zamierzał właśnie ponownie zasiąść do studiowania mapy, kiedy w bazie odezwały się syreny alarmowe.

A niech to diabli!

Bourdeaux pognął w kierunku punktu łączności, ale zatrzymał się w połowie drogi, zobaczywszy wybiegającego stamtąd Halstona.

- Co się dzieje? Znowu ćwiczenia?

- Żadne ćwiczenia. Trzy *Scudy*! Wszystkie lecą w kierunku King Chalid. Postaramy się je przechwycić, kiedy będą nad nami przelatywać. - Halston pobiegł w kierunku stacji kontrolnej systemu *MSQ-104 Patriot*, umieszczonej na ciągniku *M-818*, stojącym kilkaset metrów od punktu łączności. King Chalid było jedną z największych baz lotniczych w Arabii Saudyjskiej. Siły Powietrzne USA wciąż miały tam wiele maszyn i pilotów. - Radar pokazuje, że rakiety są teraz o osiemdziesiąt kilometrów od nas. Przechwycimy je za kilka minut.

Bourdeaux ciężko dyszał, starając się dotrzymać kroku Halstonowi. Od zakończenia wojny w Zatoce Irak nie odpalił ani jednego *Scuda*. Czy to możliwe, żeby te rakiety miały... O Jezu!

- Peter, te rakiety mogą być wyposażone w głowice jądrowe!

Halston stanął jak wryty.

- O kurwa! O tym nie pomyślałem.

- Modlę się, żeby to były zwykłe *Scudy*, ale...

Halston przytaknął. - Miejmy nadzieję. - Znow zaczął biec. - Tak czy inaczej, musimy spróbować je zdmuchnąć.

Bourdeaux pośpieszył za nim. Po chwili dobiegli do stacji kontrolnej. Halston zastukał dwa razy. Panoramiczny radar z fazowanym układem antenowym - najważniejszy element systemu *Patriot* - mieścił się w odległości piętnastu metrów od stacji kontrolnej. System radarowy, składający się z ponad pięciu tysięcy elementów antenowych, był w stanie wykryć i śledzić sto celów jednocześnie. Sześćdziesiąt metrów za radarem stało w jednym szeregu osiem wyrzutni *M-901*, każda z czterema raketami.

Drzwi z tyłu stacji kontrolnej otworzyły się. Obaj weszli do mrocznego pomieszczenia.

- No i jak to wygląda? - zapytał Halston ciemnoskórego sierżanta obsługującego stację kontrolną.

- System pracuje w trybie automatycznym. Już je namierzyliśmy - odpowiedział sierżant, nie odrywając oczu od ekranu.

Halston odwrócił się do Bourdeaux. - Radar wykrył *Scudy* i we właściwym momencie odpali rakiety.

Bourdeaux kiwnął głową.

- Stąd niewiele byśmy widzieli - powiedział Halston. - Wyjdźmy na zewnątrz.

Bourdeaux poszedł za nim. Stanęli obok przenośnego generatora, zasilającego stację kontrolną.

Bourdeaux spostrzegł nagle jaskrawy błysk u wylotu jednej z wyrzutni. *Thiokol TX-486* - raketowy silnik na paliwo stałe - wypchnął tysiackilogramową raketę przez gumową osłonę, którą zabezpieczony był kontener wyrzutni; w ciągu zaledwie kilku sekund raketa przyspieszyła do trzykrotnej prędkości dźwięku. Jeszcze pięć błysków. Pięć kolejnych *Patriotów*.

Patrzył teraz na niebo, w kierunku, z którego powinny nadlecieć *Scudy*.

- Tam, Bob, widzisz?! - zawołał Halston.

Bourdeaux widział smugi kondensacyjne dwóch *Patriotów*, zbliżających się do czegoś...

Na niebie błysnęło dwa razy, po czym nastąpił trzeci, znacznie większy błysk.

- Trafiony - powiedział Halston. Bourdeaux przytaknął i przeniósł wzrok na drugą dwójkę *Patriotów*, zbliżających się do następnego *Scada*. Błysnęło dwukrotnie, kiedy zapalniki zbliżeniowe zdetonowały głowice *Patriotów*. Nadlatujący *Scud* wpadł w chmurę odłamków i eksplodował. Dopiero po kilku sekundach Bourdeaux usłyszał huk. W tym czasie także trzeci *Scud* był już zniszczony.

Patrzył, jak daleko nad horyzontem, na wysokości półtora kilometra, trzy chmury dymiących szczątków, oddalone jedna od drugiej o kilka kilometrów, zaczynają powoli opadać na ziemię.

Wstrzymał oddech i czekał. Większość głowic jądrowych była wyposażona w zapalnik wysokościowy. Eksplozja następowała w chwili, kiedy głowica spadała poniżej zaprogramowanego pułapu.

Uśmiechnął się, kiedy szczątki zniknęły wreszcie na horyzoncie i nic się nie stało. Albo były to więc zwykłe *Scudy*, albo *Patrioty* rozwały także głowice jądrowe, a nie tylko sekcje silnikowe raket. Właśnie po to odpalano po dwa *Patrioty* na jednego *Scuda*. W 1991 roku pierwsze *Scudy*, które przedostały się przez obronę przeciwraketową, były wprawdzie trafione raketami *Patriot*, ale nie zniszczone do końca. W jednym wypadku *Patriot*

trafił część ogonową *Scuda*, którego głowica pozostała nie naruszona. Dwa *Patrioty* na każdego *Scuda* podwajały szanse systemu obrony przeciwrajetowej. *Patriot* zdobył sobie uznanie tych samych ekspertów wojskowych, którzy pierwotnie uważali go za niepotrzebną, a kosztowną zabawkę. Podczas prac nad tym systemem były momenty krytyczne, kilkakrotnie przekraczano budżet, głównie z powodu zapotrzebowania na najnowsze technologie, ale kiedy już uporano się z „chorobami wieku dziecięcego”, *Patriot* funkcjonował dokładnie tak, jak go zaprojektowano.

Bourdeaux po raz ostatni spojrział na linię horyzontu. Skuteczność *Patriotów* była niesamowita.

### ◆ **Dzień drugi, 5.30 czasu lokalnego - Biały Dom**

Siedząc za biurkiem, prezydent Bill Clinton czytał swój codzienny biuletyn w obecności dyrektora CIA, sekretarza obrony i podsekretarza do spraw Bliskiego Wschodu generała Kennetha Drapera. Sekretarz stanu był w Genewie na rozmowach z ministrem spraw zagranicznych Iraku Tankiem Azizem. Była to ostatnia próba rozwiązania konfliktu środkami dyplomatycznymi, ale Clinton był przekonany, że jest to tylko strata czasu. Tak jak w 1991 roku, przed wojną w Zatoce, z Irakijczykami nie dojdzie się do porozumienia. Bardzo ważne informacje zdobył natomiast ten Bourdeaux z CIA. Irakijczycy weszli w posiadanie trzydziestu silników pomocniczych do rakiet *SS-11* i ukryli je gdzieś w południowym lub środkowym Iraku.

Prezydent Clinton, ubrany w spodnie koloru khaki, białą koszulkę polo i białe tenisówki, wstał, spojrział na zegarek, wyszedł zza biurka i usiadł na krześle koło jednej z sof kremowego koloru. Założył nogę na nogę, oparł rękę na drewnianych poręczach, przymknął oczy i spytał Kettlera: - Ile czasu potrzeba panu na dokładne określenie miejsca, w którym trzymają te silniki?

Dyrektor CIA przejechał dłonią po siwych włosach, zastanawiając się przez chwilę. - Teraz szukamy anomalii, panie prezydencie.

Clinton przekrzywił głowę. - Anomalii?

- Tak, sir. Nasze archiwa zdjęć satelitarnych obejmują okres trzydziestu lat, a od czasu wojny w Zatoce zbieramy bardzo szczegółowe informacje, pozwalające nam oszacować ruch samochodowy w pobliżu pewnych fabryk w tym regionie, o różnych porach dnia i nocy. Sporządziliśmy charakterystykę natężenia ruchu na wszystkich irackich szosach w dzień i w nocy. Wiemy też, jakiego rodzaju i jakiej wielkości pojazdy poruszają się po poszczególnych szosach i obsługują konkretne obiekty. Teraz szukamy

anomalii, jakichś odbiegających od normy zjawisk, w nadziei, że zlokalizujemy w ten sposób miejsce, w którym Irakijczycy montują broń jądrową. Brzmi to może trochę fantastycznie, ale w rzeczywistości jest to bardzo precyzyjna nauka; już podczas kubańskiego kryzysu raketowego CIA liczyła w ten sposób radzieckie rakiety dostarczane na Kubę. Chociaż rakiety były przewożone w skrzyniach, a często jeszcze pod plandeką, potrafilismy określić ich rodzaj na podstawie wielkości i kształtu skrzyń. Obecnie sytuacja jest nieco inna, ponieważ nie mamy do czynienia ze zmontowanymi raketami, ale zasada jest ta sama. Krótko mówiąc, panie prezydencie, CIA dysponuje zdjęciami każdego, kto robi cokolwiek na tej planecie pod gołym niebem. Jeśli da się te zdjęcia ekspertom, otrzyma się mnóstwo informacji.

- Może się jednak zdarzyć, że nie otrzyma się mnóstwa informacji - wtrącił Kenneth Draper ku wyraźnemu niezadowoleniu dyrektora CIA. Draper zignorował piorunujące spojrzenie Kettlera i kontynuował z oczami zwróconymi na prezydenta. - Chociaż zgadzam się z panem Kettlerem, że zdjęcia satelitarne bardzo przydają się w zbieraniu informacji wywiadowczych, to jednak uważam, iż nie jest to precyzyjna nauka, panie prezydencie. Problem polega na tym, że zebrane w ten sposób informacje mogą wprowadzać w błąd. Zwiększony ruch drogowy w jakimś miejscu, pojawienie się większych, czy innych niż zwykle pojazdów nie musi oznaczać, że znaleźliśmy te rakiety; powód może być zupełnie inny, a my będziemy się uganiać za fatamorganą. Zgoda, sfotografować można wszystko, ale nie da się zajrzeć do głowy fotografowanym ludziom, a same zdjęcia mogą się czasem okazać bardzo zwodnicze. Proszę też nie zapominać, że Irakijczycy nie są głupcami. Wiedzą, że ich obserwujemy. Nie można wykluczyć, że dla odwrócenia uwagi skoncentrują gdzieś nietypowe pojazdy, przewożąc jednocześnie rakiety zupełnie normalnymi środkami transportu, na które nie zwrócimy uwagi.

- Oczywiście istnieje taka możliwość - odparował Kettler - ale jesteśmy ekspertami w sztuce kamuflażu, wprowadzania w błąd i odwracania uwagi. W swej historii CIA wielokrotnie dowiodła, że potrafi odrzucić fałsz i dotrzeć do prawdziwych danych.

- Kiedy? - zapytał Draper.

- To poufna informacja. Nie musi pan wiedzieć.

- Wystarczy, panowie - uciął prezydent, podczas gdy Kettler i Draper wymieniali pełne niechęci spojrzenia.

Teorie. Możliwości. Clinton westchnął, przymykając oczy. Musi dokładnie wiedzieć, gdzie są rakiety, zanim wyda rozkaz ataku z powietrza.

Najnowszy incydent ze *Scudami* nie pozostawiał wątpliwości co do intencji Saddama: dyktator chciał sprowokować Stany Zjednoczone do działań, na które, czego obawiał się Clinton, odpowiedziałby atakiem jądrowym.

Kręcąc głową, prezydent uznał, że nie może w tej chwili zaryzykować nalotu. Konsekwencje mogłyby być katastrofalne.

Prezydent wbił wzrok w dywan, zacisnął szczęki i uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Gdybym tylko wiedział, gdzie one są.

# 5.

## Loty patrolowe

*Nasza strategia walki z tą armią jest bardzo, bardzo prosta. Najpierw ją odetniemy, a potem zniszczymy.*

*Generał Collin Powell (podczas operacji Pustynna Burza)*

### ♦ Dzień drugi, 11.30 czasu lokalnego - USS „Ranger”, 150 kilometrów na północ od Bahrajnu, Zatoka Perska

Porucznik Kevin Dalton walczył z wpychającym go w fotel przeciążeniem. *Tomcat* przyśpieszał na krótkim pokładzie lotniskowca od zera do dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę w ciągu zaledwie trzech sekund. Kevin szybko wznosił maszynę na wysokość trzech tysięcy metrów i dołączył do Lancastera. Lecieli na kolejny patrol bojowy, koordynowany z USS „Wisconsin”.

- Kierunek trzy-trzy-zero, zamiar na stację trzy-sześć-zero na dziewięćdziesiąt - powiedział nowy RIO Kevina, porucznik Jeffrey „Zupa” Campbell, rodem z Oklahoma City. Była to z jego strony czysta kurtuazja; jako skrzydłowy, Kevin nie potrzebował tych danych. Musiał po prostu lecieć za Lancasterem.

- Roger - potwierdził. Leciął z Campbellem po raz pierwszy.

Myśliwce kontynuowały lot na północ pod zachmurzonym niebem.

### ♦ Dzień drugi, 12.15 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak

Pułkownik Abunnasr Manesz wkroczył zamasyżycie do podziemnego hangaru i podszedł do swojego *MiG-a-29*, przy którym stała czerwona drabinka. Zatrzymał się na chwilę, żeby zaciągnąć zamek błyskawiczny kombinezonu przeciwpociążeńiowego i skontrolować zielony wizjer hełmu. Za jego myśliwcem stały trzy starsze *MiG-i-21* - tylko tyle myśliwców pozostało z jego dywizjonu, który kiedyś liczył dwadzieścia jeden maszyn.

W trzech innych betonowych hangarach na terenie bazy stały cztery czołgi T-72, dwa małe śmigłowce *Gazelle*, dwa śmigłowce szturmowe *Mi-24*, kilka ciężarówek i pięć wozów terenowych.

Manesz zerknął na skrzynie z częściami zamiennymi i najróżniejsze urządzenia do konserwacji samolotów, zajmujące całą lewą stronę bunkra. Szczerniała betonowa podłoga - efekt niezliczonych śladów opon i plam oleju - brzydko kontrastowała z pomalowanymi na biało ścianami i sufitem, z którego zwisały jarzeniówki. Dwa wielkie otwory na tylnej ścianie prowadziły do dobrze zamaskowanych szybów wentylacyjnych na powierzchni.

- Pański samolot jest gotowy, pułkowniku - obwieścił z dumą młody mechanik.

Ignorując go, Manesz wspiął się po drabince, ze zręcznością gimnastyka przerzucił nogi do środka i zajął miejsce w kabinie. Przełożeni znów kazali mu lecieć do strefy, która dla lotnictwa irackiego była zakazana. Manesz był zdeterminowany. Ten lot będzie się liczyć. - Czy pierwsza grupa została poinstruowana? - zapytał.

- Tak jest! Startują za pięć minut.

- Doskonale!

Manesz uruchomił turbodrzutowe silniki *Tumański* i opuścił osłonę kabiny. Patrzył na konwencjonalne, analogowe „zegary” na tablicy przyrządów, odliczając w myślach kolejne punkty procedury przedstartowej, bardzo podobnej do tej ze starszych *MiG-ów-23*. Po zakończeniu listy wetknął końcówkę węża kombinezonu przeciwprzeciążeniowego do gniazda pod tablicą przyrządów. Przesunął delikatnie do przodu obie dźwignie ciągu, znajdujące się po prawej stronie kabiny, po czym mocno nacisnął pedały hamulców. Samolot, który zaczął się już toczyć, zatrzymał się gwałtownie. Upewniwszy się, że hamulce działają jak należy, Manesz zwolnił je i ważąca prawie osiemnaście ton maszyna ruszyła, opuszczając bezpieczny betonowy schron.

Chociaż do kołowania potrzebne były jedynie drobne korekty ciągu i pedały orczyka, Manesz zacisnął lewą dłoń na drążku sterowym, dziękując Allahowi, że konstruktorzy z biura Mikojana i Guriewicza zaprojektowali taką długą kolumnę, dającą świetne przełożenie dźwigni.

Kilka minut później maszyna oderwała się od pasa, osiągnąwszy prędkość 315 kilometrów na godzinę. Manesz wyrównał na wysokości niecałych pięćdziesięciu metrów.

Bacznie obserwując ukształtowanie terenu, Manesz cały czas kontrolował wysokość i prędkość, starając się uniknąć wykrycia przez radary



amerykańskich myśliwców i wszechobecnych AWACS-ów. Udało mu się. Pięć minut później jego *MiG-29* znalazł się w przestrzeni powietrznej Iranu. Leciał teraz wzdłuż wybrzeża, nisko i wolno. Był tu bezpieczny, a zarazem znajdował się dostatecznie blisko, by móc obserwować działania sił sojuszników w Zatoce Perskiej.

Spojrzał na zegarek. *MiG-i-21*, których zadaniem było ściągnięcie na siebie przeciwnika, powinny się tu znaleźć za minutę.

- Wilcze stado Dwa Zero Dwa, Kuguar - Kevin Dalton usłyszał załogę. AWACS-a na częstotliwości dywizjonu.

- Kuguar, Dwa Zero Dwa - odpowiedział porucznik „Dzieciak” Johnson z tylnego fotela samolotu Lancastera.

- Trzech bandytów. Namiar zero-sześć-zero na sto trzynaście, buster.

Kevin przymknął na chwilę oczy, kiedy Johnson potwierdzał Dwa Zero Dwa.

- Masz ich, Zupa? - spytał Kevin.

- Trzech, w szyku „schody”, po lewej, jeden-pięć-zero na sto dziewięć. Wybieram *Phoenixa* - odpowiedział Campbell, potwierdzając namierzenie przez radar trzech *MiG-ów*, lecących na południowy wschód, prosto w kierunku USS „Wisconsin”. Od *Tomcatów* dzieliło je w tej chwili sto dwadzieścia sześć kilometrów.

Chcę atakować okręty! Kevin nacisnął kciukiem guzik na drążku sterowym i upewnił się, że pocisk raketowy *AIM-54* jest gotowy. Poczuł, że serce zaczyna mu łomotać. Reguły walki zostały wczoraj zmienione rozkazem prezydenckim. Kevinowi nie wolno strzelać, chyba że *MiG-i* pierwsze otworzą ogień. Niech to szlag!

- Kurs na przechwycenie zero-dwa-zero - powiedział Campbell.

- Gorące guziki - Lancaster polecił uaktywnić całe uzbrojenie. - Pamiętać o regulach walki!

Para *Tomcatów* pochyliła nosy, pędząc ku ziemi prawie pionowo. Piloci wyrównali na wysokości tysiąca pięciuset metrów. *MiG-i* kontynuowały lot w kierunku USS „Wisconsin”, od którego dzieliło je teraz siedemdziesiąt pięć kilometrów.

- Cień, wybrałem - powiedział Campbell na częstotliwości dywizjonu, informując Lancastera, że namierzył prowadzącego.

- Dopalacze - rozkazał Lancaster. Lecąc na dopalaczach, *Tomcaty* zostawiały za sobą znacznie mniej intensywne smugi spalin.

Kevin wyęczał wzrok w poszukiwaniu maszyn nieprzyjaciela.

- Widzę trzech, godzina dziesiąta, trochę w górze - powiedział „Dzieciak” Johnson w momencie, kiedy i Kevin spostrzegł

trzy *MIG-i-21* lecące w jednym rzędzie. Z palcem na spuście, Kevin czekał na reakcję Lancastera. *MiG-i* były zdecydowanie za blisko USS „Wisconsin”.

- Cień, mam wszystkich trzech! Utrzymują kurs! - potwierdził Campbell.

- Ognia! - rozkazał Lancaster.

Kevin odpalił jednego *Phoenixa*, Lancaster drugiego. W tak małej odległości od celu, rakiety natychmiast przełączyły się na aktywny system prowadzenia radarowego.

Lecąc na wysokości zaledwie sześciu metrów nad wodą w pobliżu wybrzeża Iranu, Manesz widział, jak Amerykanie otwierają ogień do *MiG-ów*. Ręcznie nadmuchał swój kombinezon przeciwpociążeńiowy i odbezpieczył trzy pociski *AA-11 Archer*, klasy powietrze-powietrze. Zmówił krótką modlitwę do Allacha i ruszył w kierunku *Tomcatów*.

Wielkie pióropusze białego dymu, pędzące w kierunku *MiG-ów*, natychmiast zwróciły uwagę irackich pilotów. Kevin wiedział, że Irakijczycy żywią nabożny szacunek dla *F-14* i *Phoenixów* jeszcze z czasów wojny przeciw Irańczykom i ich *Tomcatom*, a także po doświadczeniach z Pustynnej Burzy. Patrzył, jak wszyscy trzech piloci *MiG-ów* katapultowali się, zanim rakiety uderzyły. Zastanowiło go, że pilot trzeciego *MiG-a* pociągnął za dźwignię katapulty, chociaż wcale nie miał *Phoenixa* na ogonie...

- Uciekam w lewo! Rakiety w powietrzu! - usłyszał nagle okrzyk Lancastera i zobaczył jego *Tomcata* odchodzącego ostrym skrzętem w lewą stronę.

Co się, do diabła, dzieje? - pomyślał Kevin, wprowadzając maszynę w ciasny lewy skręt śladem prowadzącego. Chwilę później zobaczył smugi dymu zbliżające się do Lancastera. Jezu!

Patrzył w bezsilnym przerażeniu, jak trzy rakiety zbliżają się do *F-14* Lancastera, nadlatując od strony Iranu. *Tomcat* nurkował prawie pionowo. Dwie rakiety udało się zmylić flarami termicznymi, ale trzecia trafiła w lewy silnik.

- Mayday, Mayday! Jestem na jednym silniku, tracę ciśnienie w hydraulicie!

Bez jednego silnika *Tomcat* mógł utrzymać się w powietrzu. Utrata ciśnienia w układzie hydraulicznym oznaczała natomiast, że maszyną nie można było sterować. Zanim Lancaster zdążył zareagować, *F-14A* wpadł w korkociąg. Kevin patrzył, jak myśliwiec spada spiralą ku powierzchni Zatok, zupełnie jakby porwała go trąba powietrzna.

- Widzę jednego bandytę. Godzina jedenasta, niżej! - zawołał Campbell, ale Kevin prawie go nie słyszał. Wzrok miał cały czas utkwiony w samolot swojego prowadzącego.

- Ciebie, wyciągnij! Wyciągaj, do cholery!

Korzystając ze sprawnego silnika i resztek ciśnienia w układzie hydraulicznym, Lancaster zdołał wyprowadzić samolot z korkociągu i wyrównać lot. W tej samej chwili pojawił się za nim *MiG-29*.

- *Fulcrum*, godzina szósta! - ostrzegł Kevin.

- Spędź mi go z tyłka! - wrzasnął Lancaster.

- Trzymaj się, Ciebie! Kawaleria nadjeżdża! Jeszcze tylko parę sekund.

Kevin naprowadził swojego *Tomcata* za *MiG-a*, nieco w prawo, ale samolot Lancastera zanurkował i *MiG* poszedł ostro za nim. Kevin nie mógł strzelać - miał teraz w celowniku obie maszyny. Nie sposób było przewidzieć, na którą zdecydowałby się *Sidewinder*.

- Niech to cholera! Nie mogę wystrzelić rakiety! Wejść w zasięg działka. Trzymaj się... - przerwał, kiedy trzydziestomilimetrowe działko *MiG-a* strzeliło kilkoma seriami. Widział, jak pociski rozrywają aluminiowe pokrycie maszyny Lancastera.

- Jezu Chryste, Szurnięty, zdejmij mi tego skurwysyna z ogona!

- Trzymaj się, Ciebie! - Kevin powtarzał manewry maszyn, które miał przed sobą, próbując złapać w celownik dyszę wylotową *MiG-a*, ale za każdym razem, kiedy szykował się do otwarcia ognia, myśliwce zmieniały kierunek. Kolejna seria z działka *MiG-a*. Ze skrzydeł *F-14* Lancastera odrywały się kolejne fragmenty pokrycia. Skrzydła samolotu Kevina były teraz ustawione pod kątem dwudziestu stopni. Zamknął sloty, żeby utrzymać się za *MiG-iem*.

- Ten facet mnie wykończy!

- Trzymaj się!

Jedyny silnik, jaki pozostał Lancasterowi, nagle rzygnął dymem. *Tomcat* zaczął spadać.

- Ciebie, skacz! - krzyknął Kevin.

- Dwa Zero Dwa się katapultuje. Mayday, Mayd...

Łączność na częstotliwości dywizjonu została przerwana. *MiG* cały czas sieł trzypdziesiomilimetrowymi pociskami po kadłubie ginącego *Tomcata*.

- Ty skurwysynie! Przecież już spadał! - krzyczał Kevin, widząc jak odskakuje roztrzaskana osłona kabiny, a Lancasterowi i Johnsonowi głowy opadają na piersi. Targnął nim gniew. *F-14* spadał spiralą do morza. *MiG* szedł za nim do samego końca; wyciągnął w ostatniej chwili, ledwie unikając płomieni, które strzeliły w niebo, kiedy myśliwiec uderzył w spokojne wody Zatoki. *MiG* beczelnie wykręcił triumfalną beczkę na znak zwycięstwa i na dopalaczach zawrócił w kierunku wybrzeża Iraku.

Kevin ruszył w pościg. Iracki myśliwiec był w zasięgu rakiety *Sparrow*, kiedy zatoczył szeroki łuk w lewo i znalazł się nad łądem.

Z niewzruszoną determinacją Kevin rzucił swoją maszynę w niebezpiecznie ciasny skręt w lewo i kontynuował go mimo ogromnego przeciążenia, żeby utrzymać kurs przechwycenia.

- Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery, Czerwona Korona. Podaj status - usłyszał krążownik raketowy USS „Bunker Hill”, wzywający jego maszynę na częstotliwości dywizjonu.

Tylko zerknął na radio i natychmiast przerzucił wzrok na *MiG-a*. Irakijczyk leciał teraz kursem trzy-zero z prędkością 1,8 macha. Kevin stopniowo zmniejszył dystans do piętnastu kilometrów.

- Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery. Twój bandyta ma już status Czerwone Waterloo. Wracaj do bazy.

Kevin nie odpowiedział.

- Do cholery, Szurnięty! Wiem, że nas słyszysz. Natychmiast zawracaj! Ten *MiG* wraca do domu. Nie wolno ci go atakować. Zawracaj! - krzyczał komandor McDeere na częstotliwości dywizjonu. Kevin był zaskoczony. Nie spodziewał się usłyszeć przez radio głosu swego dowódcy. Musieli ogłosić alarm, pomyślał.

*MiG-a* miał teraz w odległości około pięciu kilometrów. Zbliżał się. Dostrzegął już rozpalone do białości dysze wylotowe irackiej maszyny, przeżykającej się między niskimi wzgórzami na wybrzeżu. Powtarzał manewry, próbując wziąć *MiG-a* na celownik.

- Do ciężkiej cholery, Szurnięty! Jeśli chcesz jeszcze kiedyś latać, to natychmiast zawracaj!

Kevin poszukał palcami przełączników po lewej stronie kabiny, po czym kilka razy włączał i wyłączał radio, zanim uciszył je ostatecznie.

- Jezu, Szurnięty! Co ty wyprawiasz? Słyszysz Ducha. Lepiej... - zaczął Campbell.

- Zupa, skoncentruj się na *MiG-u*, dobrze?

- Odpierdol się! Zawracaj natychmiast!

- Nie ma mowy.

- Zawracaj, Szurnięty, albo katapultuję nas obu!

- Mamy za dużą prędkość. Poza tym, dobrze wiem, że chcesz dostać tego drania tak samo, jak ja! Człowieku, ten skurwysyn na naszych oczach zamordował właśnie z zimną krwią Lancastera i „Dzieciaka” Johnsona. Chcesz mu to puścić płazem? Dorwę łobuza, a ty lecisz ze mną, czy ci się to podoba, czy nie. Rozumiesz?

Campbell mruknął coś, ale Kevin już go nie słuchał. Zzerała go wściekłość. W oczach miał łzy. Zamrugał kilka razy, koncentrując wzrok na

punkcie, odległym teraz o mniej niż pięć kilometrów. Na wskaźniku refleksyjnym *MiG* był oznaczony białym symbolem w kształcie karo i rósł Kevinowi w oczach. Sto pięćdziesiąt metrów w dole błękit raptownie zmienił się w brąz i zieleń, kiedy *Tomcat* wleciał nad wybrzeże Iraku.

Kevin pędził za *MiG-iem* w ciasnym skręcie w prawo. Nagle iracka maszyna strzeliła świecą w górę i skręciła w lewo, zwiększając na moment odległość dzielącą ją od *Tomcata*. Kevin powtórzył manewr i podszedł bliżej. Zerknął na białe karo.

- Naprowadzanie termiczne - powiedział Campbell.

- Przełączam. Odległość?

- Trzy i pół kilometra. Małeje.

Kevin nie dawał się wymanewrować *MiG-owi* i konsekwentnie zmniejszał dystans. Białe karo zamrugało. - Odpalam!

Silnik na paliwo stałe przyspieszył w ciągu sześciu sekund raketę do 3 macha. Kevin patrzył na smugę dymu pędzącą w kierunku *MiG-a*.

Pułkownik Manesz jednocześnie ściągnął drążek i nacisnął znajdujący się na drążku guzik, odpalający flary termiczne. Maszyna zaczęła się piąć pionowo. Amerykańska rakietą dała się oszukać i poleciała za jedną z całej chmury gorących flar. Manesz nie zmniejszał nacisku na drążek, wprowadzając maszynę w odwróconą pętlę, ale amerykański myśliwiec wciąż był za nim. Odepchnął drążek i poczuł jak siła odśrodkowa próbuje go wyrwać z fotela. Krew pulsowała mu w skroniach. Zmusił się do spojrzenia wstecz. *Tomcat* wciąż siedział mu na ogonie i podchodził coraz bliżej. Ocenił, że jest już w zasięgu działka amerykańskiego myśliwca. Obie maszyny pędziły ku ziemi z prędkością półtora raza większą od prędkości dźwięku.

Kiedy porucznik Kevin Dalton uznał, że *MiG* jest w zasięgu działka, uaktywnił *Vulcano* i naprowadził iracką maszynę na celownik wskaźnika refleksyjnego, ale w chwili, kiedy oddał pierwszą serię dwudziestomilimetrowych pocisków, *MiG* ostro skręcił w lewo, schodząc z linii ognia.

Klnąc w swej masce tlenowej, Kevin pchnął drążek w lewo. W połowie skrętu iracki pilot obrócił maszynę na plecy, zmienił kierunek i zszedł tuż nad ziemię. Leciał teraz z powrotem w kierunku plaży. Kevin trzymał się za nim, ale nie mógł złapać *MiG-a* w celownik. Zdolność manewrowa *Fulcruma* była godna podziwu.

Kevin spostrzegł, że *MiG* wysuwa hamulce aerodynamiczne. Zareagował w ostatniej chwili, zmniejszając ciąg i otwierając własne hamulce. Omal nie staranował *MiG-a*. Prędkość spadła do 360 kilometrów na

godzinę. Ze skrzydłami maksymalnie wyprostowanymi, *Tomcat* usadowił się tuż za *MiG-iem*.

- Mam cię! - wrzasnął Kevin i nacisnął spust działka. *MiG* skręcił w prawo dosłownie w ostatniej chwili. Leciał teraz równoległe do linii brzegowej, kilka metrów nad piaszczystą plażą.

Manesz uśmiechnął się, a zaraz potem roześmiał głośno, dostrzegłszy na plaży setki ptaków, pozerających ryby, które znalazły się w pułapce po ostatnim odpływie. Właśnie na to liczył. Wyłączył komputerowe sterowanie klapami wielkich głównych wlotów powietrza i zamknął je całkowicie. Automatycznie otworzyły się żaluzje używanych w trakcie startu i lądowania wlotów dodatkowych w górnej części skrzydeł. Rozwiązanie to zapobiegało zasysaniu przez silniki pyłu i innych ciał stałych, umożliwiając korzystanie z lotnisk polowych. Zmniejszył ciąg i prędkość spadła poniżej 315 kilometrów na godzinę.

Nagle z plaży poderwała się chmara ptaków, wystraszonych rykiem nadlatujących myśliwców. Manesz nie zmienił kursu, kiedy wiatrochron jego maszyny pokrył się krwawą miazgą. Nie musiał się niczego obawiać - otwory dodatkowych wlotów powietrza były za małe, żeby mógł się do nich dostać choćby i najmniejszy ptak. *MiG* wyszedł z chmury ptactwa z nieco uszkodzonymi krawędziami natarcia, ale jak najbardziej zdolny do lotu. Manesz ściągnął drążek, zwiększył ciąg i wspiął się na sto metrów, po czym zrobił ciasny zwrot w prawo. Amerykański myśliwiec wciąż leciał w krwawej chmarze ptactwa.

- Zatrzymanie silnika! Zatrzymanie silnika! - wrzeszczał porucznik Campbell. Do głównych wlotów powietrza *Tomcata* zassanych zostało kilkadziesiąt ptaków.

Zamrugały dwie jaskrawe diody ostrzegawcze. Kevin zdołał poderwać maszynę na tyle wcześnie, że uniknął zniszczenia także drugiego silnika. W kabinie rozległy się sygnały alarmowe, a tablica przyrządów zajaśniała światłami ostrzegawczymi.

- Straciliśmy prawy silnik! - krzyknął Campbell.

Kevin dał pełny ciąg, ale reakcja samolotu z jednym tylko silnikiem była bardzo ospała, nawet po włączeniu dopalacza. Ruszył w kierunku strefy zakazu lotów, kontrolowanej przez siły sprzymierzonych, mając nadzieję, że *MiG* nie ośmieli się go ścigać.

- *MiG* nas namierzył! Zaraz będzie strzelał!

Kevin dostrzegł wzgórze po lewej stronie i pośpieszył w ich kierunku, próbując zgubić *MiG-a*. Zdawał sobie sprawę, że nie miałby żadnych szans nad morzem, gdzie nie było jak się schować.

Wprowadził zranionego *Tomcata* w prawy skręt i przeleciał między wzgórzami, w głąb ładu, starając się wycisnąć z maszyny jak największą prędkość. *MiG* był w zasięgu działka, ale nie strzelał. Podchodził jeszcze bliżej, szykując się do zadania ostatecznego ciosu.

„Zupa” Campbell przełączył się na częstotliwość dozoru - kanał UKF monitorowany przez większość sił sojuszniczych. - Mayday! Mayday! Tu Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery. Lecimy na jednym silniku i mamy *MiG-a* na ogonie!

Kevin odwrócił głowę. *MiG* był zdecydowanie za blisko. Na co czekasz, sukinsynu?

Rzucił maszynę w prawo i w lewo, w górę i w dół, ale *MiG-29* trzymał go się bez trudu.

Kiedy morze zniknęło za wzgórzami, *MiG* otworzył ogień. Kevin odepchnął drążek, zmuszając okaleczony samolot do lotu tuż nad ziemią.

- Tu Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery. Mamy kłopoty! Powtarzam, mamy kłopoty. Proszę o natychmiastową pomoc. Odbiór.

- Dwa Jeden Cztery, tu Cygan Jeden Zero. Dzieli cię ode mnie sto dziesięć kilometrów. Będę na miejscu za dwie minuty.

- Dwie minuty? Będzie po sprawie za kilka sekund!

- Trzymaj się, Jeden Cztery.

*MiG* znów znalazł się tuż za *Tomcatem* i otworzył ogień. Tym razem Kevin znalazł się w pułapce. Pociski uderzyły po lewym skrzydle, odrywając wielkie płyty aluminiowego pokrycia.

Kevin odszedł w lewo i uniósł nos maszyny, starając się zejść z linii ognia, ale jego myśliwiec zareagował ociężale. W ciągu kilku sekund *MiG* znów miał go na celowniku i otworzył ogień.

- Mayday! Mayday! Tu Wilcze...

Kevin usłyszał głośny huk, kiedy trzydziestomilimetrowe pociski rozwały tylną część osłony kabiny.

Mając wciąż na świeżo w pamięci widok Lancastera w spadającym *Tomcacie*, Kevin zerknął na sztuczny horyzont, sprawdzając, czy możliwe jest jeszcze katapultowanie się. Przechył boczny i wznoszenie nie przekraczały dopuszczalnego maksimum sześćdziesięciu stopni, ale prędkość wynosiła sześćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, podczas gdy dopuszczalne było czterysta sześćdziesiąt. Trudno. Pociągnął uchwyt katapulty.

Świat wokół jakby stanął w płomieniach. Osłona kabiny odskoczyła do góry i do tyłu w trzy dziesiąte sekundy od chwili, kiedy pociągnął uchwyt. Droga była wolna; dwa fotele katapultowe *Martin-Baker* wystrzeliły w górę, każdy napędzany silnikiem raketowym, umieszczonym pod siedzeniem. Silnik pod siedzeniem fotela Kevina pracował przez piętnaście

setnych sekundy z całą mocą, żeby wydobyć pilota z kabiny, a potem jeszcze przez osiemdziesiąt pięć setnych sekundy ze zmniejszoną mocą, aby fotel znalazł się z dala od *Tomcata*. W chwili, kiedy fotel katapultowy wystrzelił z samolotu, włączył się system *URT-33*, automatyczny sygnalizator radiowy na częstotliwości ratunkowej, wbudowany w fotel.

Kevin przymknął oczy. Przeciężenie 12 g niemal miażdżyło mu ramiona, a pęd powietrza wciskał go w oparcie fotela, który unosił się coraz wyżej. Zamrugał zaskoczony, kiedy ziemia i niebo zaczęły zamieniać się miejscami. Wreszcie przeciężenie ustąpiło, a pęd powietrza zmienił się w łagodną bryzę. Kevin był bliski utraty przytomności. Spadał i dawało mu to dziwne poczucie bezpiecznej izolacji.

Poczuł szarpnięcie, kiedy otworzył się spadochron. Był to jego ostatni świadomy moment; zaraz potem ogarnęła go ciemność.

Ismael Barzani i Abdul Mozachu odwrócili głowy od instruktora, który wprowadzał ich w tajniki nowoczesnej broni, kiedy w oddali usłyszeli ogień działka, a potem głośny huk. Wszyscy trzej podbiegli do okna. Znajdowali się w wiejskiej chacie na przedmieściu Asz Szinafijah nad brzegiem Eufratu.

- Co to było? - zapytał zaskoczony Abdul.

- Myślę, że jakaś bomba - odpowiedział Ismael.

- To nie była bomba - poprawił go instruktor. - To był samolot.

Wszyscy trzej patrzyli na wiszącą w powietrzu brudnoszarą chmurę, z której co chwila wyskakiwały języki ognia. Nagle ze środka chmury wystrzeliły parabolą dwa jaskrawe obiekty, zostawiając za sobą wąskie, białe smugi. Obiekty - Ismael domyślił się, że byli to piloci, którzy katapultowali się z myśliwca - zaczęły opadać. Otworzyły się białe spadochrony. Dawało to pewność, że piloci, jeśli jeszcze żyli, wylądują bezpiecznie. Osmalone szczątki samolotu spadły już na ziemię.

- Piloci wroga! - krzyknął Abdul. - Allah zesłał nam pilotów wroga! Pośpieszmy się, Isza! Musimy tam dotrzeć, zanim znajdzie ich ekipa ewakuacyjna.

- To nie są piloci iraccy - zauważył instruktor.

Abdul spojrzął na swego nauczyciela. - Co? Skąd możesz...?

- Spadochrony. Nie są czerwone. Siły irackie korzystają głównie z rosyjskich samolotów. Pamiętajcie nasze poprzednie szkolenie?

Kurdowie spojrzeli po sobie i skinęli głowami.

- Jak sądzisz, kim oni są? - zapytał Ismael, wskazując gestem dwa białe spadochrony, łagodnie opadające na ziemię.

- Prawdopodobnie Amerykanie.



- Amerykanie? - Ismael spojrział na Abdula i uśmiechnął się szeroko. Nie wyszło to na dobre jego chorym dziąsłom i zaraz skrzywił się z bólu. Ignorując tę dolegliwość, patrzył w zielone oczy Abdula. Instruktor przypartywał mu się uważnie. *Bai* będzie z pewnością wdzięczny, kiedy dostarczymy mu dwóch zaginionych pilotów. Prawdopodobnie dostarczy nam więcej nowoczesnych *Javelinów*, a może nawet parę *Stingerów*.

- Musimy ich uratować, Abdul.

- Tak, Isza.

Odwrócili się do instruktora, który trzymał w rękach przeciwlotniczą wyrzutnię *Javelin*, jedną z tych, które Ismael otrzymał poprzedniego dnia.

- Pomożesz nam, Chalila?

Agentka Mossadu, która przybyła zaledwie przed kilku godzinami, zawahała się, ale w końcu kiwnęła głową.

- Tu Sandy Pięć Pięć. Słyszysz mnie? Odbiór. Cisza.

- Tu Sandy Pięć Pięć. Słyszysz mnie? Odbiór.

Przez ostatnie pięć minut pilot samolotu szturmowego *A-10 Warthog* pułkownik Jake Leary z Sił Powietrznych USA, bezskutecznie próbował się skontaktować z myśliwcem Marynarki. Jeden z *F-15* nawiązał kontakt chwilę przed zerwaniem się łączności z *Tomcatem* i zażądał wsparcia dla zestrzelonych pilotów. Mniej więcej w tym samym czasie Leary, który uczestniczył w ćwiczeniach formacji *A-10* w Kuwejcie, złapał sygnał *Tomcata* na częstotliwości awaryjnej i ruszył w jego kierunku, żeby zapewnić zestrzelonym pilotom osłonę z powietrza do czasu przybycia śmigłowców ekipy ewakuacyjnej, nazywanej w skrócie *CSAR\**. Jego znak wywoławczy - „Sandy” - odpowiadał tradycji, zapoczątkowanej przez pilotów *SAR*, którzy w Wietnamie latali na misje ewakuacyjne turbośmigłowymi samolotami szturmowymi.

\* *CSAR* - *Combat Search and Rescue* - służba poszukiwawczo-ratownicza odpowiedzialna za ewakuację zestrzelonych lotników z terytorium nieprzyjaciela [przyp. red.].

Słońce, które przeświecało przez kuloodporną osłonę kabiny zmusiło Leary'ego do opuszczenia zielonej przesłony na hełmie. Zwiększył ciąg. Niezbyt głośny dźwięk dwóch turboodrzutowych silników firmy *General Electric* nasilił się nieco, kiedy maszyna przyśpieszyła do 740 kilometrów na godzinę.

Leary siedział w czymś, co nazywano „pancerną wanną” z grubego tytanu, odporną na wszystko z wyjątkiem pocisków kumulacyjnych. Wielkie

silniki turboodrzutowe, umieszczone w tylnej części samolotu, były solidnie opancerzone i ciche. Temperatura gazów wylotowych była stosunkowo niska, dzięki czemu A-10 nie były łatwym celem dla pocisków rakietowych z naprowadzaniem termicznym. Długie skrzydła zapewniały niezbędną siłę nośną podczas lotów z małą prędkością i ciasnych skrętów. Ponadto można było pod nimi podwiesić do pięciu i pół tony uzbrojenia.

Odpychając trochę drążek i zmniejszając ciąg, Leary zszedł na pułap trzystu metrów, zbliżając się do miejsca, w którym spadł zestrzelony *Tomcat*. Ktokolwiek to zrobił, wyniósł się stąd cholernie szybko, pomyślał, przechylając maszynę o 30 stopni w prawo i rozglądając się za spadochromami.

Uśmiechnął się, kiedy je zobaczył w odległości niespełna czterech kilometrów. Nie dostrzegał żadnego ruchu. Może są ranni, pomyślał, modląc się, by śmigłowce CSAR dotarły na miejsce przed Irakijczykami. Skontrolował poziom paliwa i zmarszczył brwi. Przekazał dokładną lokalizację ekipie ratunkowej i ruszył w kierunku latającej cysterny, czekającej po południowej stronie granicy.

Piętnaście minut później podchodził już od tyłu, z prędkością 550 kilometrów na godzinę, do *Boeinga KC-135 Stratotanker*. Załoga *Stratotankera* wysunęła wysięgnik z dwudziestometrowym wężem do tankowania. Kiedy Leary znalazł się w odległości niecałych dwudziestu metrów od *Boeinga*, przerzucił przełącznik, odsłaniający sondę paliwową, umieszczoną między kabiną a nosem *A-10*, nad trzydziestomilimetrowym działkiem.

Wysięgnik kołysał się łagodnie pod *Stratotankerem*. Leary zbliżył się na półtora metra do końcówki węża i czekał na odpowiedni moment. Sztuka polegała na tym, by odczekać, aż sonda paliwowa znajdzie się na jednej linii z wysięgnikiem. Wtedy należało szybko pokonać ostatni odcinek i zatrząsk łączył wąż paliwowy z samolotem. Jeśli ten ostatni metr pokonywało się zbyt wolno, powietrze odrzucane przez nos *Warthoga* spychało zwykle wysięgnik na bok.

Kiedy wysięgnik zaczął się przesuwac w jego kierunku, Leary zwiększył trochę ciąg, połączył sondę z końcówką i rozpoczął tankowanie. Kilka minut później rozłączył się, odszedł w bok od *Boeinga*, schował sondę i ruszył z powrotem do *Tomcata* Dwa Jeden Cztery.

### ◆ Dzień drugi, 13.45 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak

Lecąc z włączonymi dopalaczami na wysokości piętnastu metrów, Manesz zdołał umknąć myśliwcom sił sojusznicznych. Teraz zatrzymał swego

*MiG-a-29* w betonowym hangarze. Podeszli ludzie z obsługi naziemnej. Krawędzie natarcia skrzydeł były poważnie uszkodzone przez ptaki. Manesz podniósł osłonę kabiny, zdjął hełm i zaczął się drapać po twarzy i po głowie. Nie mógł wziąć prysznicza od ponad dwóch tygodni i na całym ciele czuł swędzenie.

- Czy ekipa poszukiwawcza wyruszyła zgodnie z rozkazem?
- Tak, pułkowniku. Dwie *Gazelle* są już w drodze.
- Kiedy wystartowały?
- Dziesięć minut temu, panie pułkowniku.
- Zabrały żołnierzy i rakiety?
- Tak jest. Powinny być już prawie na miejscu.
- Dobrze - powiedział Manesz, zdając sobie sprawę, że *F-14* spadł w odległości mniej więcej pięćdziesięciu kilometrów na południe od bazy, głębooko w strefie zakazu lotów.
- Natychmiast bierzcie się za naprawę mojego *MiG-a*!
- Ale pułkowniku, nie wiem, czy mamy wszystkie części zamienne, niezbędne...
- Nic mnie to nie obchodzi. Jeśli trzeba, ściągnijcie je z Bagdadu! Natychmiast naprawcie mój myśliwiec!

Nie czekając na odpowiedź, Manesz ruszył przez rozpalony słońcem pas startowy do bunkra łączności. Dla rządu irackiego amerykańscy piloci będą fantastycznym trofeum, ale trzeba ich schwytąć, zanim Amerykanie podejmą próbę ich uratowania. Manesz osobiście chciał poinformować Bagdad o swoim zwycięstwie.

Jaskrawe, palące słońce przedzierało się nawet przez zamknięte powieki. Porucznik Kevin Dalton powoli odzyskiwał przytomność. Bolały go nie tylko ręce i nogi, wplątane w nylonowe linki spadochronu. Potworny ból, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył, rozsadzał mu czaszkę. Pulsowanie w skroniach było nie do zniesienia. Z zamkniętymi oczyma odsunął zamek błyskawiczny kombinezonu i wyjął okulary przeciwsłoneczne. Piekły go łokcie. Spojrzał na ręce i zobaczył, że rękawy kombinezonu ma porozrywane od łokci w dół. Musiało się to stać, kiedy przetaczał się po ziemi podczas lądowania na spadochronie. Chwycił nóż myśliwski, którego pochwa była przypasana do prawej nogi i poobcinał strzępy rękawów, odsłaniając opalone przedramiona. Obmacał całe ciało, obolałe po katapultowaniu, ale nie stwierdził żadnych obrażeń oprócz plamy krwi nad lewym kolaniem, którą też złożył na karb twardego lądowania. Wiedział, że na razie adrenalina łagodzi skutki wydostania się z *Tomcata* przecinającego powietrze z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę. Jeszcze godzina i dopiero zacznie boleć.

Poczuł zamęt w głowie, uświadomiwszy sobie, że został zestrzelony, nie posłuchawszy McDeere'ego, który wydał mu wyraźny rozkaz przerwania pościgu i zawrócenia. Spuścił wzrok i pokręcił głową, aż nazbyt dobrze wiedząc, co to znaczy. Nie wykonując tego rozkazu, spowodował utratę samolotu, kosztującego trzydzieści milionów dolarów. Samo to wystarczy, żeby do końca życia nie dopuszczono go do latania.

Nawet w ciemnych okularach, Kevin zamrugał kilka razy, próbując skoncentrować wzrok na kępie drzew, którą miał przed sobą. Wstał i poodpinał uprzęż spadochronu. W oddali widział płonący wrak *Tomcata*; ocenił odległość na kilka kilometrów. Czarny dym, wzbijający się w niebo, był widoczny z daleka i wyraźnie oznaczał miejsce upadku samolotu. Kevin odpiął zasobnik z pakietem przetrwania. Rozsunął zamek błyskawiczny i wy dostał się z kombinezonu przeciwprzeciążeniowego, który następnie, razem ze spadochronem, zaciągnął do kępy drzew. Tam użył hełmu do wykopania dołu w miejscu, porośniętym gęstymi krzakami. Zakopał wszystko, łącznie z hełmem.

Sięgnął do zasobnika i wyłączył *URT-33*. Zrobił to z dwóch ważnych powodów. Po pierwsze, sygnał był nadawany na częstotliwości 243 MHz, w paśmie ratunkowym, które monitorowali nie tylko sojusznicy, lecz także Irakijczycy. Po drugie, *URT-33* zagłuszałby transmisję ręcznego radiotelefonu *Motorola PRC-90*, który także mógł wysyłać sygnał na tej samej częstotliwości, ale przede wszystkim umożliwiał dwustronną łączność.

Sięgnął po *PRC-90*, żałując, że nie wyposażono go w nowszy model - *PRC-112*, który mógł kodować transmisję, uniemożliwiając niepowołanym monitorowanie łączności sił sojuszniczych. Niestety, modelu *PRC-112* było wciąż za mało i USS „Ranger” otrzymał stare *PRC-90*.

Włączył radiotelefon, ustawił go na łączność dwustronną i przez pół minuty próbował nawiązać kontakt z Campbellem. Nie otrzymał odpowiedzi. Nie miał pojęcia, czy jego partner żyje. Niewiele pamiętał od chwili, kiedy pociągnął uchwyt katapulty. Rozejrzał się wokoło, ale nigdzie nie dojrzał Campbella ani jego spadochronu. Westchnął, wyłączył radiotelefon i włożył go z powrotem do jednej z wielu kieszeni kamizelki, którą nosił na lotniczym kombinezonie. Na szkoleniach wbijano mu do głowy, że trzeba oszczędzać baterie. Sygnał powinno się włączać co godzinę na kilka sekund, cały czas oddalając się od miejsca katastrofy. Mówiono mu też, żeby nie przełączał radiotelefonu na komunikację dwustronną, dopóki nie zobaczy ekipy ratunkowej.

Pobieźnie sprawdził zawartość zasobnika ze starannie dobranym zestawem przedmiotów, mogących się przydać pilotowi, zestrzelonemu nad

terytorium wroga: materiały opatrunkowe, dwanaście tabletek aspiryny (od razu połknął trzy), flary, lusterko sygnalizacyjne, maść ochronną na wargi, olejek zabezpieczający odsłonięte części ciała przed słońcem, kompas... Do pasa miał przypiętą wąską, płaską manierkę z jedną trzecią litra wody. Odsunął zamek błyskawiczny jednej z kieszeni kamizelki i sprawdził plastikowy woreczek, w którym była również jedna trzecia litra wody. Razem były tego dwie szklanki; w nieformalnym współzawodnictwie między pilotami sytuowało go to gdzieś w dolnych dwudziestu pięciu procentach. Kevin znał pilotów, którzy zabierali ze sobą na loty prawie trzy litry wody. Żałując teraz, że nie jest jednym z nich, napił się kilka łyków z manierki.

Przeanalizował sytuację i uznał, że przede wszystkim powinien oddalić się od miejsca katastrofy. Iracka ekipa poszukiwawcza mogła już być w drodze, zwłaszcza że pilot *MiG-a* widział moment katapultowania. Problem polegał jednak na tym, że jeśli oddali się za bardzo, amerykańskiej ekipie ratunkowej trudniej będzie go znaleźć. Co prawda, mogli się dokładnie zorientować, gdzie jest, biorąc namiar na sygnał ratunkowy z *PRC-90*. Jednak zdawanie się całkowicie na radio było ryzykowne - ekipy CSAR dobrze wiedziały, że Irakijczycy mogli się posłużyć sprzętem zestrzelonego pilota i zorganizować zasadzkę. Pewnym zabezpieczeniem były zmieniane codziennie znaki wywoławcze, ale Kevin zdawał sobie sprawę, że nie stanowiło to większego problemu dla Irakijczyków, którzy prowadzili nasłuch na częstotliwości awaryjnej. Uznał jednak, że nie ma wyboru. Musiał zachować ostrożność i liczyć się z tym, że poszukujący go Irakijczycy pojawią się w okolicy pierwsí. Ostatnią pozycją, jaką chciałby dopisać do listy swoich osiągnięć, były przedłużone wakacje w więzieniu Saddama Husajna, z codzienną porcją tortur gratis. Albo, co gorsza, paradowanie w łańcuchach po Bagdadzie.

Postanowił trzymać się blisko rzeki, którą dostrzegł w odległości kilku kilometrów na wschód. Był pewien, że przez najbliższe kilka dni woda będzie dla niego największym skarbem.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk nadlatujących śmigłowców. Tak szybko?

Ścisnął w dłoni rękojeść *Smith & Wessona Model 39*, którego wyciągnął z kieszeni kamizelki, schował się za drzewami. Nie wiedział, kto zjawi się pierwszy.

Zobaczył je: dwa śmigłowce, lecące jakieś piętnaście metrów nad ziemią. Zbliżały się z północnego zachodu. Spodziewając się przybycia ekipy ewakuacyjnej z południa, Kevin był prawie pewien, że nadlatujące śmigłowce są maszynami wroga. Przewrócił radio na nasłuch, ale nikt nie próbował go wywołać.

Śmigłowce zatoczyły wielkie koło nad szczątkami *Tomcata*, a potem wylądowały w odległości kilkuset metrów od Kevina, żeby wysadzić ekipę poszukiwawczą. Zaraz potem wzniosły się w powietrze i odleciały w kierunku, z którego przybyły. Wkrótce znikły mu z oczu, a żołnierze pochowali się za drzewami. Kevin znów zaczął się zastanawiać nad swą sytuacją. Uciekać jak najdalej? A może pozostać w ukryciu? Pomyślał, że ekipa ratunkowa najprawdopodobniej jest już w drodze. Pamiętał maszynę, z którą nawiązał łączność, zanim *MiG* go zestrzelił. Jej pilot z pewnością oznaczył pozycję i powiadomił którąś z ekip CSAR, stacjonujących w pobliżu granicy. Poza tym, sygnał *URT-33* informował każdego o jego pozycji od chwili katapultowania się z *Tomcata* aż do czasu, kiedy Kevin go wyłączył.

Postanowił przebiec do innej kępy drzew, kilkaset metrów na wschód. Pięć minut później usłyszał w oddali silnik samolotu odrzutowego. Wyteżył wzrok i uśmiechnął się, rozpoznawszy sylwetkę. *A-10!* Sięgnął po radiotelefon.

- Sandy, tu Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery Alfa - usłyszał przez radio pułkownik Jake Leary. „Alfa” oznaczała, że mówił pilot zestrzelonego *Tomcata*. Gdyby kontakt nawiązał RIO, zakończyłby wywołanie terminem „Bravo”.

- Jeden Cztery, Sandy Pięć Pięć. Wróg w pobliżu?

- Potwierdzam, Sandy. Nieprzyjaciel około sześciuset metrów na północny zachód ode mnie.

- Pięć Pięć.

Leary zwiększył ciąg i uniósł *Warthoga* na wysokość trzystu metrów, żeby się rozejrzeć. Są! Miał ich. Dostrzegł grupę pięciu lub sześciu ludzi, ukrywających się w krzakach koło niewielkiej kępy drzew, dokładnie tam, gdzie zlokalizował ich pilot *F-14*. Wprowadził swego *A-10* w nurkowanie. Prędkościomierz wychylił się do 700 kilometrów na godzinę. Odbezpieczył działko *Avenger* strzelające przeciwpancernymi pociskami kalibru 30 mm.

Porucznik Ali Umesz leżał za resztą swojej ekipy w krzakach koło kępy drzew. Był jednym z niewielu w swoim oddziale, którzy zostali przeszkoleni w obsłudze odpalanej z ramienia rakiety przeciwlotniczej *SA-7B Grail*. Umesz mimo wszystko wolał bardziej niezawodne *Stingery*. Ludzie z CIA nauczyli go ich obsługi podczas wojny iracko-irańskiej. Obok siebie Umesz ułożył dwa *Graile*, czekając na amerykański śmigłowiec.

Nagle, nie wiadomo skąd, znalazł się nad nimi amerykański samolot szturmowy. Sekundę później rozległy się ogłuszające strzały obrotowego

działka pokładowego. Umesz był najbliżej drzew i zdołał dopaść schronienia, dźwigając oba *Graile*.

Pułkownik Leary w ciągu niecałej sekundy wystrzelił do Irakijczyków prawie sto pocisków z rdzeniem wykonanym ze zubożonego uranu. Nad miejscem, w którym znajdowali się żołnierze wisiła teraz chmura kurzu. Wstrzymał ogień, wznosił się na 1.500 metrów i zatoczył krąg, oglądając dzieło zniszczenia.

Umesz modlił się w duchu do Allacha, by pozwolił mu wytrzymać jakoś straszny ból. Mimo że zareagował szybko, jeden z pocisków amerykańskiego samolotu amputował mu prawą stopę dokładnie na wysokości kostki. Iracki porucznik porwał na pasy koszulę i mocno obwiązał kikut, próbując powstrzymać krwawienie. Palcami dotknął gołej kości i porozrywanych tkanek. Poczul swąd spalonego mięsa. Siłą powstrzymał się od torsji; był żołnierzem na polu bitwy i musiał się skoncentrować. Żaden z pozostałych żołnierzy nie przeżył; pociski rozerwały ich na strzępy. Umesz miał nadzieję, że amerykański pilot uzna, iż oczyścił pole dla śmigłowca ratunkowego.

Zacisnął zęby i doczołgał się na skraj kępy drzew. Zobaczył amerykańskiego *A-10*, zataczającego kręgi. Krzywiąc się z bólu przyklęknął, sięgnął po *Graila*, oparł go na prawym ramieniu i wycelował, ale nie strzelał. Wiedział, że *Grail* niczego nie wskóra wobec samolotu szturmowego. Miał za małą prędkość i za mały zasięg.

Umesz nieludzko cierpiał i czekał, aż Allah ześle mu amerykański śmigłowiec. Kilka minut później jego modlitwy zostały wysłuchane.

Mając piasek pustyni zaledwie sześć metrów pod podwoziem, kapitan Patrick W. Heersen z Sił Powietrznych USA prowadził śmigłowiec, zdając się niemal zupełnie na instynkt. Prawą dłoń trzymał na drążku sterowym, lewą na dźwigni zespolonej śmigłowca *HH-60G Pave Hawk*, specjalnej odmiany śmigłowca *Sikorsky Black Hawk*, przystosowanej do operacji ratunkowych nad terytorium nieprzyjaciela. Drugi pilot, porucznik Geraldo Parra, pilnie wypatrywał wszelkich oznak obecności Irakijczyków. Ważąca ponad 11 ton maszyna leciała tuż nad ziemią z prędkością 340 kilometrów na godzinę.

Z tyłu, przy otwartych drzwiach po obu stronach kabiny, dwóch ludzi obsługiwało karabiny maszynowe *M-60*. Resztę załogi Heersena stanowili dwaj spadochroniarze, specjalnie przeszkoleni do tego rodzaju operacji

ratunkowych. Osłonę z powietrza zapewniał *A-10*, który właśnie skończył oczyszczać dla nich teren.

- Sir, widzi pan? - zapytał Parra przez interkom.

Heersen dostrzegł w oddali smugę czarnego dymu. - Mamy go! - Pchnął drążek w kierunku wraka *F-14*. Kiedy nos śmigłowca zaczął wskazywać miejsce upadku *Tomcata*, Heersen ściągnął drążek i delikatnie opuścił dźwignię zespoloną, żeby zmniejszyć prędkość śmigłowca, zachowując wysokość. Ciężka maszyna dopiero po dwóch sekundach zareagowała. Prędkość zmniejszyła się do 185 kilometrów na godzinę.

- Sandy, Sundance Cztery Zero, odbiór - powiedział Heersen przez radio.

- Cztery Zero, Sandy. Wszystko w porządku. Zabierajcie naszego chłopca. Ja będę tu krążyć.

- Roger, Sandy - potwierdził Heersen. Ręcznie wybrał częstotliwość regulatorem umieszczonym na drążku i zaczął mówić do uaktywnianego głosem mikrofonu w swoim hełmie.

- Sundance Cztery Zero.

- Cztery Zero. Tu Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery Alfa, odbieram cię głośno i wyraźnie.

- Daj dym, Jeden Cztery.

- Roger.

Pół minuty później Heersen skierował swą maszynę w kierunku czerwonego dymu, unoszącego się nad kępą drzew, niecały kilometr dalej.

Umesz ustawił celownik optyczny *SA-7B* na prawą dyszę wylotową turbiny wielkiego amerykańskiego śmigłowca. Maszyna znajdowała się w odległości niespełna 300 metrów i zmierzała w kierunku chmury czerwonego dymu, unoszącego się w pobliżu kępy drzew. Uaktywnił naprowadzanie na podczerwień. Cel był tak blisko, że prawie natychmiast zapaliła się czerwona lampka, sygnalizująca namiar.

Umesz ściągnął spust.

Wyrzutnią szarpnęło, kiedy pocisk raketowy o masie dziewięciu i pół kilograma ruszył, błyskawicznie przyspieszając do prędkości dźwięku.

- Dostaliśmy! Tracę ciśnienie w turbinie! Spadamy! - Heersen słyszał Parre, krzyczącego do interkomu. Spojrzał na rozjarzone kontrolki awaryjne i instynktownie opuścił do końca dźwignię zespoloną, żeby odłączyć turbinę od wirnika nośnego i wejść w autorotację. Wielki śmigłowiec zaczął się powoli obniżać. Wirnik nośny, obracany siłą bezwładności, łagodnie upadł.



\* \* \*

Umesz ponownie miał śmigłowiec w celowniku. Ryk silników amerykańskiego *A-10* był coraz głośniejszy. Kiedy czerwona lampka zasygnalizowała namiar na lewą dyszę wylotową, odpalił raketę. *Grail* pomknął po niebie w kierunku rannego śmigłowca. W tym samym momencie Umesz usłyszał działko samolotu szturmowego. Chwilę potem poczuł potężne uderzenie w pierś i ogarnęła go ciemność.

Druga rakietą dosięgła celu, trafiając w piastę wirnika nośnego śmigłowca. Potężny wirnik odpadł, wciąż się obracając. *Pave Hawk* runął ku ziemi z wysokości sześciu metrów, ale nie spadł w jednym kawałku. Oderwany wirnik uderzył w środek kadłuba z ogromną siłą. Wykonane z nomexu i pokryte keвлarem łopaty rozcięły kadłub i wbiły się w zbiorniki paliwa. Maszynę pochłonęła kula ognia...

Porucznik Kevin Dalton patrzył na płonący wrak, nie mogąc uwierzyć oczom. Irakijczycy wykorzystali go jako przynętę. Pięknie to rozegrali. Jezu Chryste! Przecież to niemożliwe! - pomyślał przerażony, ale zaraz przywołał się do porządku.

Priorytety, Kevin. Przede wszystkim musiał się stąd wydostać. Pozostawanie w pobliżu wraku groziło dostaniem się do niewoli.

- Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery, Sandy, odbiór.

Kevin uniósł radiotelefon. - Jezu, Sandy! Te skurwysyny użyły mnie jako przynęty!

- Wynoś się z tego miejsca, Jeden Cztery. Na razie przerwij łączność. Zgłoś się znowu za kilka godzin. Spróbujemy jeszcze raz o zmierzchu.

- Roger, Sandy.

- Trzymaj się, Jeden Cztery. Wyciągniemy cię. Mogę cię osłaniać jeszcze przez dwadzieścia minut. Potem będę musiał lecieć po paliwo.

- Jeden Cztery bez odbioru.

Kevin wyłączył *PRC-90*. Posługując się małym kompasem z pakietu przetrwania ruszył na południowy wschód, mijając kępę drzew. Tereny w pobliżu Eufratu były gęsto porośnięte krzakami. Oceniał, że dotarcie do rzeki zajmie mu kilka godzin, pod warunkiem, że nie znajdą go Irakijczycy.

### ♦ Dzień drugi, 15.30 czasu lokalnego - USS „Ranger”, Morze Arabskie, w pobliżu Zatoki Omańskiej

Porucznik Delgado opuścił szpital, minął mesę i szedł korytarzem, pod którego sufitem biegły kable i rury. Dotarł do drabinki, po której wspiął się

na następny poziom. Tu także pod sufitem i wzdłuż ścian biegły rury i węże gaśnicze. Było też sporo przełączników i pokręteł, o których przeznaczeniu nie miał pojęcia. Dotarł do kolejnych stalowych drzwi, przegradzających przyzwoicie oświetlony korytarz. Delgado wiedział, że zadaniem tych wszystkich wodoszczelnych drzwi, porozmieszczanych mniej więcej co dziesięć metrów i dzielących okręt na prawie trzy tysiące odizolowanych sekcji, było niedopuszczenie do zatonięcia podczas bitwy.

Wspiął się powoli na następny poziom i dotarł wreszcie do kajuty McDeere'ego. Drzwi były zamknięte. Zapukał dwa razy, ale odpowiedzi nie było. Klnąc na sanitariusza, który powiedział mu, że dowódca dywizjonu jest u siebie, Delgado zaczął się właśnie odwracać, kiedy zza drzwi dobiegł go ochryply głos McDeere'ego.

- Tak?

- Sir?

- Kto tam?

- Porucznik Delgado, sir. Właśnie dowiedziałem się, co się stało.

Drzwi się otwały. Delgado spojrzał do środka i dostrzegł na biurku dowódcy maszynę do pisania oraz kilka ręcznie zapisanych kartek. Kajuta McDeere'ego była tej samej wielkości, co kajuta Delgado, ale dowódca nie musiał jej z nikim dzielić.

McDeere westchnął. - Straciliśmy dwa *F-14*. Z uzyskanych dotąd informacji wynika, że maszyna Cienia eksplodowała, w pobliżu wybrzeży Kuwejtu. Szurniętemu rozkazałem zabierać dupę w troki, ale nie posłuchał i też został zestrzelony, gdzieś nad Irakiem.

- *Dios mio!* Czy któryś z nich przeżył, sir?

- Nie wiadomo. Kilka śmigłowców przeszukuje miejsce, w którym spała maszyna Cienia.

- A co z Szurniętym, sir?

- Zajmują się tym nasze siły przy granicy. Na razie nie ma żadnych wiadomości.

- Co to oznacza, sir?

McDeere przetarł oczy, a potem uniósł prawą brew. Odnosiło się wrażenie, że piegi na jego bladej twarzy ożyły. - Chico, to znaczy dokładnie to, co powiedziałem. Na razie nie ma żadnych wiadomości! Jeśli jeszcze żyje, grozi mu sąd polowy za zlekceważenie wyraźnego rozkazu. Nie postanowiłem jeszcze, co zrobić z Campbellem. I tak nie wiemy, czy jeszcze żyją.

Słowa McDeere'ego zaskoczyły Delgado. Milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy nie powinien pozostawić tego problemu dowództwu.

- Czy CSAR podejmie próbę operacji ratunkowej, sir?

McDeere zmarszczył brwi. - Posłuchaj, Chico. Rozumiem, Szurnięty był twoim przyjacielem, ale postąpił karygodnie. Powinienem być go zawiesić, kiedy miałem taką możliwość. Teraz już za późno, a ja straciłem nie jedną, lecz dwie maszyny, a czterech moich ludzi jest zaginionych. Niech to szlag trafi! - McDeere uderzył pięścią w otwartą dłoń, a potem odetchnął głęboko kilka razy, zanim znów zaczął mówić. - Oczekuję, że zachowasz się jak profesjonalista, którym jesteś i sprawę poszukiwania zaginionych pozostawisz naszym siłom w Arabii Saudyjskiej. Wierz mi, z radością sprowadziłbym tu Szurniętego z powrotem, żeby wytatuować mu na dupie ślady mojego buta, ale operacją ratunkową zajmują się inni. Ty wrócisz do latania, kiedy już będziesz się dobrze czuć. Na razie odpręż się, odpocznij. Sądząc po tym, jak się trzymasz za brzuch, przyda ci się mała przerwa.

McDeere wrócił do swoich zajęć. Delgado bez słowa wyszedł z kajuty.

### ◆ Dzień drugi, 7.50 czasu lokalnego - Biały Dom

Ubrany w jasnoszarą koszulkę YMCA, szorty, białe tenisówki i czapkę baseballową z emblematem Uniwersytetu Arkansas, prezydent Bill Clinton wracał z porannego joggingu, trzymając w prawym ręku papierowy kubeczek McDonalda z parującą kawą. Idąc schodkami prowadzącymi do bocznego wejścia Białego Domu, zobaczył Chelsea, wychodzącą z książkami w ręku. Jego córka miała na sobie szary szkolny mundurek i ciemne buciki. Długie włosy związała w kok. Posłała mu rozbawiony uśmiech.

- Witaj, kochanie - powiedział. Kiedy podeszli do siebie, Chelsea zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w policzek. - Cześć, tato.

- Jedziesz do szkoły? - prezydent przerwał, widząc sekretarza obrony, który, ubrany w jasnobrązowy garnitur, wyskoczył właśnie z czarnej limuzyny i szedł szybko w jego kierunku.

- Obawiam się, że mamy problem, panie prezydencie - zawołał, ciężko oddychając.

Obejmując córkę ramieniem, prezydent napił się kawy. Potem odwrócił się i pocałował Chelsea w czoło. - Baw się dobrze, mała.

- Ty też, tato. - Chelsea zbiegła po schodkach i wsiadła do czekającej na nią limuzyny.

- A więc? - nieco rozdrażnionym głosem spytał prezydent sekretarza obrony. Clinton bardzo sobie cenił te krótkie chwile, które mógł spędzić z rodziną.

- Irakijczycy zestrzelili właśnie dwa nasze *F-14*.

- Jak? - spytał prezydent i przez następne kilka minut, kiedy weszli do Białego Domu i zmierzali w kierunku Gabinetu Ovalnego, słuchał szczegółowej relacji sekretarza obrony, łącznie z informacjami o tym, jak Irakijczycy zastawili na Amerykanów pułapkę, używając starych *MiG-ów-21* jako

przynęty. W Gabinetce Owalnym prezydent chodził powoli w tę i z powrotem przed swym biurkiem. Wyobrażał sobie Saddama Husajna, przechwalającego się pewnie w tej chwili, jak to jego wspaniałe lotnictwo zestrzeliło dwa słynne amerykańskie *Tomcaty*. Wszystko wskazywało, że dwaj lotnicy zginęli nad Zatoką Perską, losy dwóch pozostałych nie były znane. Trwała operacja ratunkowa. Na razie żadnych nowych wiadomości.

Najbardziej nękało go to, że odwet nie wchodził w grę. Zastanawiał się nawet, czy Saddam Husajn - o ile dysponuje już bronią atomową - nie zdecyduje się jej użyć przeciw komuś w odpowiedzi na utratę trzech *MiG-ów-21*, które *Tomcaty* zestrzeliły, zanim same zostały zestrzelone.

Sekretarz obrony siedział na sofie. Prezydent podszedł do okna i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drzewa. Utracił inicjatywę w tym konflikcie i tylko reagował na posunięcia Saddama, nie mogąc się zdecydować na odwet z obawy przed atakiem jądrowym. Za wszelką cenę musiał się dowiedzieć, gdzie są głowice jądrowe i silniki rakietowe. Dopiero wtedy będzie mógł przejść do ofensywy.

Na razie musiał się zająć sprawą zestrzelonych *Tomcatów*. Irytował go trochę fakt, że jeden z tych *F-14* został zestrzelony po tym, kiedy jego załoga odmówiła przerwania pościgu za *MiG-iem*, ale wstrzymał się z ostateczną oceną. Czuł, że niestosowne - wręcz nieprzyzwoite - byłoby potępienie działań pilota, który widział, jak iracki *MiG* zestrzeliwuje jego prowadzącego, zwłaszcza biorąc pod uwagę pułapkę, jaką Irakijczycy zastawili na myśliwce Marynarki.

Wpatrzony w kłębiaste chmury na niebie nad Waszyngtonem, prezydent był myślami z zestrzelonymi lotnikami i ich rodzinami.

## ◆ Dzień drugi, 16.00 czasu lokalnego - południowy Irak

Porucznik Kevin Dalton dostrzegł biały spadochron między dwiema kępami drzew, w odległości kilku kilometrów od wraka *Tomcata*. Krążąc trochę i klucząc, żeby upewnić się, że to nie pułapka, kilka minut później podszedł do spadochronu i serce mu zamarło. Campbell leżał twarzą do ziemi. Dziura, którą pocisk wybił z tyłu hełmu, powiedziała Kevinowi wszystko.

Boże, co ja zrobiłem? Poczucie winy zupełnie go obezwładniło. Był odpowiedzialny za swego RIO, który przez niego stracił życie.

Odwrócił Campbella i poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła. Trup w ogóle nie miał twarzy. Pozostała jedynie krwawa miazga, trzymająca się na szyi.

Odkoczył przerażony. - O Boże! O Jezu przenaświętyszy!

Nie mógł już powstrzymać torsji. Potem opadł na kolana i oddychał głęboko, starając się odzyskać kontrolę nad swym targanym spazmami ciałem. Minęło kilka minut, zanim trochę doszedł do siebie.

Starając się nie patrzeć na Campbella, roztrzaskał jego *URT-33* i *PRC-90*, wyjąwszy z nich przedtem baterie. Zabrał pistolet Campbella, dwa zapasowe magazynki, każdy z ośmioma pociskami, pojemnik z wodą i zasobnik z pakietem przetrwania, niepotrzebny już koledze, którego śmierci był winny.

Nie oglądając się za siebie, ruszył na południowy wschód.

### ◆ Dzień drugi, 16.20 czasu lokalnego - Bagdad

Wewnątrz mrocznego, wyłożonego boazerią pomieszczenia w jednym ze swych kilkudziesięciu podziemnych schronów w Bagdadzie, prezydent Saddam Husajn palił cygaro, przeglądając codzienną porcję raportów. Choć oczy piekły go z niewyspania, usta miał wyschnięte, a żołądek sprawiał mu kłopoty, przywódca Iraku był nad wyraz zadowolony. Jego blef okazał się skuteczny. Ten mięczak prezydent USA wciąż nie zareagował na atak *Scudów*, zestrzelenie myśliwców ani na przemieszczanie się wojsk irackich na południe. A najnowszy raport informował o zestrzeleniu amerykańskiego śmigłowca, w którym zginęli kolejni żołnierze. Fakt, że strona iracka też straciła ludzi i sprzęt, był zupełnie bez znaczenia. W odróżnieniu od mięczakowatego prezydenta USA, przywódca Iraku był gotów stracić dziesiątki tysięcy ludzi, pod warunkiem że umożliwi mu to zemstę za klęskę 1991 roku.

Husajn sporządził jednostronicowy projekt notatki z gratulacjami dla pułkownika Manesza, awansując go na generała. Następnie wstał od długiego stołu konferencyjnego i podszedł go wielkiej mapy Bliskiego Wschodu, wiszącej na ścianie. Przez dym z cygara powiódł wzrokiem od Bagdadu do zaznaczonego czerwonym krzyżykiem miejsca w odległości pięćdziesięciu kilometrów od An Nadżaf. *Znajdowała się tam wytwórnia mleka w proszku Allahbad.*

Już niedługo, pomyślał Saddam Husajn, oblizując wyschnięte wargi. Spojrzał na Allahbad, a potem na Tel Awiw, Rijad i Kuwejt. Następnie powoli przeniósł wzrok na mapę świata, wiszącą na przeciwległej ścianie, odszukał Amerykę Północną i wpatrzył się w stany Wschodniego Wybrzeża. Nowy Jork i Waszyngton. Już wkrótce zamierzał potajemnie wysłać do tych miast swoich ludzi z bardzo specyficznym bagażem.

Koniuszki czarnych gęstych wąsów uniosły się trochę, kiedy przez poraną bruzdami twarz Saddama przebiegł uśmiech. Sceny ukazujące

ratowanie amerykańskich cywilów po zamachu bombowym w Nowym Jorku dany mu trochę satysfakcji, ale prawdziwego szczęścia oczekiwał wraz z pierwszą eksplozją nuklearną na ziemi amerykańskiej, kiedy w okamgnieniu żar spopieli milion imperialistów.

Już wkrótce, panie Clinton, rozpocznie się Matka Wszystkich Bitew.

# 6.

## Wojna niekonwencjonalna

*Jeśli Amerykanie się włączają,  
to z pomocą Boga справimy,  
że będą pływać we własnej krwi.*

*Saddam Husajn*

### ◆ Dzień drugi, 16.30 czasu lokalnego - zakłady w Allahbadzie, na południe od An Nadżaf, Irak

Obiekt znajdował się za pojedynczym, trzymetrowym ogrodzeniem z metalowej siatki. Na pierwszy rzut oka ogrodzenie wyglądało zwyczajnie, ot, coś, co wyznacza teren, na przykład, wytwórni mleka w proszku. Trzeba się było przyjrzeć uważniej, żeby zobaczyć, iż nie był to taki zwykły parkan. Grube kable elektryczne pod napięciem tysiąca woltów były podłączone do szczytu ogrodzenia w kilkunastu miejscach wokół obiektu. Za tą elektryczną barierą, ponad stu żołnierzy, uzbrojonych tak, że mogliby odeprzeć całą armię, ukrywało się w podziemnych bunkrach i zakamuflowanych budynkach. Po obu stronach wielkiego magazynu znajdowały się stanowiska artyleryjskich zestawów przeciwlotniczych ZSU-23-4 *Szyłka*. W każdym z czterech wyznaczonych ogrodzeniem rogów, po wewnętrznej stronie, rozmieszczono dobrze zakamuflowane baterie rosyjskich rakiet przeciwlotniczych SA-6. Do obiektu można się było dostać przez jedną, jedyłą bramę.

Pod wciąż palącym popołudniowym słońcem major Mohammed Hasud szedł szybko wąską ścieżką, łączącą kwatery mieszkalne służby bezpieczeństwa obiektu z wielkim magazynem. Stawiał długie kroki i wyglądał na pewnego siebie, podchodząc do doktora Radsula Sakkara, który stał na drugim końcu wyłożonej płytami chodnikowymi ścieżki. Doktor sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Na łysej głowie i na górnej wardze błyszczały mu krople potu.

- Majorze, moi ludzie bardzo się niepokoją najnowszymi incydentami. Zastanawiają się, czy nie grozi nam atak.

- Allahbad nie jest celem wojskowym, doktorze. Cały świat jest przekonany, że robi się tu mleko w proszku. Siły sojusznicze nie ważą się nas tknąć. Może pan powiedzieć swojemu personelowi, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo - odpowiedział major Hasud niskim głosem, z którego biła pewność siebie.

Prawie całą twarz majora zakrywała gęsta broda, a szopa kruczoczarnych włosów sięgała brwi. Tak naprawdę widać było tylko pokryty bliznami nos oraz oczy.

Były bardzo konkretne powody, dla których major zakrywał włosami twarz, nawet w najbardziej upalne miesiące. Prawie piętnaście lat temu, podczas tego krótkiego okresu, kiedy Iran wspierał Kurdów w ich walce o niepodległość, Hasud walczył z rebeliantami w rejonie na południe od Sulajmanii, miasta odległego o trzydzieści kilka kilometrów od granicy irańskiej. Kurdowie, uzbrojeni w granatniki przeciwpancerne, urządzili zasadzkę na czołgi Hasuda. Większość jego ludzi poległa, ale Hasuda wzięto żywcem. Zamiast go zabić, Kurdowie przywiązali jeńca do wbitych w ziemię palików i powoli rozcinali mu skórę swymi nożami. Już po kilku minutach Hasud zemdlął z bólu. Przytomność odzyskał w szpitalu w Bagdadzie, gdzie leżał cały obandażowany. Inny patrol zaskoczył Kurdów, zanim zdążyli wykończyć Hasuda.

Miesiąc później, kiedy zdjęto bandaż, Hasud dostał torsji na widok swojej twarzy, zeszpeconej nie do poznania, podobnie zresztą, jak reszta ciała. Swej randze zawdzięczał, że władze zgodziły się na operację plastyczną, ale niewiele to pomogło. Kurdowie naznaczyli go na całe życie. Hasud poprzysiągł zemstę wszystkim Kurdom; była to jego osobista wendeta przeciw temu dzikiemu narodowi.

- A może sam by im pan to powiedział, majorze? - zapytał Sakkar. - Jestem pewien, że znacznie lepiej ode mnie potrafi ich pan natchnąć poczuciem bezpieczeństwa.

Hasud na chwilę odwrócił wzrok. Tego tylko brakowało - ma przemawiać do bandy wystraszonych naukowców w grubych okularach. Z drugiej strony jednak, naukowcy pracowali nad potężną bronią dla jego kraju i tak naprawdę nic innego się nie liczyło. Poza tym, w ciągu sześciu miesięcy, od kiedy dowodził służbą bezpieczeństwa w tym obiekcie, ani razu nie pozwolono mu zejść do podziemnych pomieszczeń. Jego rola ograniczała się do utrzymywania systemów obronnych we właściwym stanie i regularnego prowadzenia ćwiczeń ewakuacyjnych. Uznał, że nadarza się okazja zobaczenia, czego właściwie strzeże. - Oczywiście, doktorze. Z przyjemnością zapewnię pański personel, że jesteśmy tu bezpieczni.



- Dziękuję, majorze.

Hasud, który nie miał najmniejszego pojęcia, jak naukowcy modyfikują otrzymane ostatnio rosyjskie silniki rakietowe, ruszył pierwszy w kierunku ogromnego magazynu, gdzie robotnicy i technicy rozładowywali ciężarów-ki.

Windy, zauważył zdziwiony Hasud, kiedy szli po betonowej posadzce na drugą stronę budynku, do wielkich, brązowych drzwi windy towarowej, zjeżdżającej do podziemi. Była to w Allahbadzie jedna z niewielu rzeczy, których przed realizacją nie przemyślano do końca. Nie chodziło o awaryjność - wielka winda funkcjonowała bez zarzutu od dnia, w którym ją zainstalowano - ale o to, że oficjalnie magazyn był budynkiem jednokondygnacyjnym. Winda wyglądałaby bardziej naturalnie w zachodniej części zakła-dów, w której budynek miał trzy kondygnacje.

Major nacisnął guzik, rozległ się dzwonek i drzwi windy stanęły otwo-rem. Hasud gestem pokazał Sakkarowi, by szedł przodem. W środku Hasud spojrzął na guziki z numerami pięter - od zera do minus pięciu. Sakkar wybrał poziom minus dwa.

Dwadzieścia sekund później, ponad piętnaście metrów pod piaskami pu-styni, drzwi otworzyły się, odsłaniając widok na ogromną halę o po-wierzchni prawie hektara.

Ponad stu ludzi, mężczyzn i kobiet w białych kombinezonach, kręciło się z notatnikami albo pchało wózki ze sprzętem. Hala, od której Hasuda i Sakkara odgradzała ogromna ściana ze szkła organicznego, była podzielona na trzydzieści sekcji, każda z własnym personelem i sprzętem. Pracowano tu nad modyfikacją rakiet.

Major Hasud przeszedł po śnieżnobiałej podłodze do bramki kontrolnej, gdzie jemu i Sakkarowi technik wręczył białe kombinezony, gumowe rękawice i buty, wykonane ze specjalnego materiału. Dostali także nakrycia głowy, zakrywające nie tylko włosy, ale również usta i nos. Dopiero na to nakładało się kaptur. Kiedy już obaj byli odpowiednio ubrani, technik naci-snął guzik na tablicy kontrolnej. Otworzyły się szklane drzwi.

Hasud odwrócił się do Sakkara. - Doktorze, czy to przebranie ma mnie zabezpieczać? Myślałem, że powinno być absolutnie szczelne.

Sakkar się roześmiał. - Tu nie ma niebezpieczeństwa, majorze, chyba że doszłoby do jakiejś awarii. Widzi pan te czerwone światła nad syrenami alarmowymi na tylnej ścianie?

- Tak, widzę.

- Jeśli się zapalą, będzie to oznaczać, że gdzieś jest przeciek. Kombine-zon ochroni pana ciało i zdąży pan opuścić to pomieszczenie, które jest

absolutnie hermetyczne. - Spojrzał na Hasuda i wskazał drzwi. - Proszę przodem, majorze.

Hasud wszedł do niewielkiej słuzy, za nim Sakkar. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, silne strugi powietrza zaczęły zdmuchiwać najdrobniejsze pyłki kurzu z białych kombinezonów. Nad ich głowami pracował ogromny wyciąg powietrza, połączony, jak wyjaśnił Sakkar, z dwoma wielkimi szybami wentylacyjnymi, biegnącymi po obu stronach obiektu na powierzchnię, gdzie ich wyloty zakamuflowano, żeby uniemożliwić wykrycie z powietrza. Procedura oczyszczania trwała minutę. Czystość powietrza w słuzy została doprowadzona do tego samego poziomu, który obowiązywał w całej hali. Doktor wyjaśnił, że dopuszcza się nie więcej niż tysiąc cząsteczek kurzu na milion cząsteczek powietrza. Do tego, co tu robiono, było to absolutnie niezbędnym. W normalnym pomieszczeniu jest około siedemdziesięciu pięciu tysięcy cząsteczek kurzu na milion cząsteczek powietrza.

Poszli na środek „czystego pokoju”, jak nazywali to pomieszczenie naukowcy. Sakkar zwrócił się do pracujących tu ludzi.

- Panie, panowie, proszę o chwilę uwagi.

Rozmowy ucichły, kiedy naukowcy rozpoznali Hasuda.

- Pragnę zapewnić - rozpoczął major - że nasz obiekt nigdy nie był zagrożony i nigdy nie będzie. Jest bardzo mądrze zakamuflowany. Fakt, że nigdy nie spadła tu ani jedna bomba świadczy o tym, że nasi wrogowie są przekonani, iż Allahbad nie jest niczym innym niż zwykłym zakładem spożywczym. Gdyby, co jest bardzo mało prawdopodobne, jakaś zbłąkana bomba czy rakietą trafiła w budynek na górze, tu i tak nic wam nie grozi. Pamiętajcie, że od świata zewnętrznego izoluje nas kilkanaście metrów zbrojonego betonu. Byłbym zdziwiony, gdyby ktoś z was w ogóle usłyszał wybuch bomby. Proszę się więc nie martwić zagrożeniem z zewnątrz - ja się tym zajmuję.

Wy kontynuujcie waszą pracę. Dziękuję za uwagę.

- Wszyscy z powrotem do pracy - rozkazał Sakkar.

Ludzie powrócili do swoich zajęć.

- Czynimy postępy, doktorze? - spytał Hasud, rozglądając się po sekcji nr 13, gdzie technik pracował przy pustym w środku nosie rakiety. Obok leżała na stole wielka stalowa kula i długi, cylindryczny kawałek stali, którego rowkowany koniec wydawał się dostatecznie duży, by dokładnie wpasować się w okrągły otwór w kuli. - Czy to...?

- Tak, majorze, patrzy pan na coś, co już wkrótce będzie głowicą atomową o sile dwudziestu kiloton, a więc porównywalnej z bombami atomowymi, których Amerykanie użyli przeciw Japonii pod koniec drugiej wojny światowej.

- Ale to przecież takie małe - zdziwił się Hasud. - Jak to działa? - W chwili, gdy zadał to pytanie, spostrzegł, jak twarz Sakkara pojaśniała. Było oczywiste, że doktor kochał swoją pracę.

- Cóż, nasza broń będzie dość prymitywna w porównaniu z arsenałem amerykańskim, ale bez zarzutu wykona zadanie, do którego została zaprojektowana. Ładunek działa zgodnie z zasadą rozszczepienia atomu, dając temperaturę i promieniowanie, charakterystyczne dla wybuchu jądrowego. Są dwa sposoby, żeby uzyskać ilość energii, wystarczającą do rozbicia atomu. My stosujemy coś, co nazywa się metodą implozyjną. Zaraz to wyjaśnię. Widzi pan tę wielką, stalową kulę? - Sakkar wskazał kulę, którą Hasud zauważył już wcześniej koło pustej sekcji nosowej rakiety.

- Tak.

- No więc ta kula jest pusta w środku. Wewnętrzna powierzchnia jest wyłożona zwykłym materiałem wybuchowym, otaczającym sferyczne jądro z plutonu, który dostarczono nam kilka miesięcy temu. Chodzi o to, żeby za pomocą energii materiału wybuchowego zagęścić pluton tak, by zainicjowana została reakcja łańcuchowa.

- Nie wydaje się to zbyt trudne, doktorze. Jeśli tylko tego trzeba, żeby spowodować wybuch atomowy, to dziwię się, że niektóre kraje jeszcze tego nie opanowały.

- W rzeczywistości nie jest to jednak takie proste. W chwili eksplozji konwencjonalnego materiału wybuchowego w centrum stalowej kuli konieczna jest ściśle wyliczona ilość plutonu, dająca tak zwaną masę krytyczną. Bez tego nie zaszłaby reakcja łańcuchowa. Ale powiedzmy, że masę krytyczną ktoś potrafi określić. Pozostaje jednak problem zagęszczenia plutonu. Nie można tak po prostu obłożyć go materiałem wybuchowym i odpalić. Wybuch musi następować idealnie koncentrycznie w kierunku centrum, żeby ściśnięcie plutonu było właściwe. Są jeszcze setki innych komplikacji, ale wymieniłem dwa podstawowe powody, dla których większość krajów nie dysponuje jeszcze bombą atomową.

Hasud i Sakkar przechadzali się jeszcze dookoła przez kilka minut. Doktor z dumą objaśniał inne fazy całej operacji, łącznie z umieszczaniem ładunku atomowego w głowicy i transportem raket. Podkreślił, że, aby zapobiec przypadkowej eksplozji, głowice atomowe są odbezpieczane automatycznie po osiągnięciu przez raketę pułapu trzech tysięcy metrów.

Sakkar wspomniał również, że każda głowica znajdować się będzie w stalowej osłonie, zapobiegającej ewentualnemu zniszczeniu ładunku atomowego przez amerykańską raketę. Bagdad zlecił konstruktorom zastosowanie takiego rozwiązania po doświadczeniach z wojny w Zatoce, kiedy okazało się, że jeśli raketa systemu *Patriot* trafiała choćby tylko w część

silnikową rakiety irackiej, eksplozja niszczyła także głowicę bojową. Żeby całkowicie unieszkodliwić nową iracką raketę, *Patriot* musiałby trafić bezpośrednio w jej część nosową, zniszczyć stalową osłonę i samą głowicę. W wypadku zniszczenia tylko sekcji napędowej, głowica po prostu zaczęłaby spadać i na wysokości 150 metrów zapalnik wysokościowy odpaliłby konwencjonalny materiał wybuchowy, inicjujący reakcję łańcuchową w plutonowym jądrze.

Po lewej stronie Hasud zauważył kilkanaście stołów zastawionych różnymi urządzeniami. W pozostałych sekcjach hali stoły były ponumerowane, od jednego do trzydziestu. Tutaj oznaczone je literami, od A do L.

- Co jest na tych stołach, doktorze? Części zamienne? - spytał major.

- To są części broni, której montaż planujemy w drugiej fazie naszego programu nuklearnego - odpowiedział Sakkar.

Hasud przekrzywił głowę. - W drugiej fazie? Będziemy budować więcej rakiet?

- Nie - odparł naukowiec. - Więcej bomb.

- Na zapas?

Sakkar pokręcił głową. - Nie. Te bomby zostaną przewiezione do Bagdadu.

- Dłaczego do Bagdadu?

- Żeby stamtąd dostarczyć je potajemnie na miejsce przeznaczenia.

- To znaczy dokąd?

- Nowy Jork i Waszyngton.

Hasud spojrział naukowcowi w oczy i uśmiechnął się szeroko. Obaj mężczyźni ruszyli z powrotem w kierunku służy. Oddali kombinezony czekającemu tam na nich technikowi i poszli do windy.

## ◆ Dzień drugi, 17.00 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

- Pułkowniku Halston! Pułkowniku Halston!

Młody szeregowy wpadł do namiotu pułkownika. Robert Bourdeaux podniósł wzrok znad zdjęć satelitarnych rozłożonych na biurku. Peter Halston również spojrział na szeregowego.

- Co się stało?

- Sir, straciliśmy śmigłowiec *Pave Hawk*, wysłany po zestrzelonych pilotów *F-14*.

Halston uszczypnął się w nasadę nosa. - Jasna cholera! Jak to się stało?

- Wygląda na to, że dostali raketą przeciwlotniczą, odpaloną z ramienia, sir. Prowadziliśmy nasłuch łączności z jednym z pilotów na ziemi,

a potem na kilka sekund rozpętało się piekło i radio śmigłowca zamilkło.

- Kto miał ich osłaniać?

Szeregowy przestępował z nogi na nogę. - *A-10*, sir. Oczyszczył teren przed przylotem śmigłowca, ale widocznie nie do końca. Irakijczycy odpalili dwie rakiety. Obie trafiły.

Halston walnął pięścią w biurko, a potem pokręcił głową. - Niech to cholera! Czy ktoś z załogi śmigłowca przeżył?

- Mało prawdopodobne, sir. *A-10* przeleciał potem nad tym obszarem, ale nikt się z nim nie kontaktował.

- Niech się przygotowuje druga ekipa ratunkowa.

Bourdeaux przypatrywał się Halstonowi, chodzącemu w tę i z powrotem po namiocie.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Halston. - Po prostu nie mogę w to, kurwa, uwierzyć! - Ruszył w kierunku wyjścia.

- Dokąd idziesz?

- Zaraz wrócę.

W bazie rozpoczęła się właśnie pora posiłku. Mesa mieściła się w ogromnym namiocie w pustynnych barwach ochronnych, mogącym pomieścić prawie stu żołnierzy. Na wzór baru szybkiej obsługi, wzdłuż jednego z boków stała długa lada z tacami i sztućcami. Stoły, szerokie na metr i długie na sześć metrów, były jeszcze prawie puste. Wszyscy przychodzili na posiłek dopiero około 18.30, kiedy zachodziło słońce.

Kapitan Amanda Green z Sił Powietrznych USA, pilot śmigłowca *Pave Hawk*, siedziała samotnie w kącie, dłubiąc widelcem w jedzeniu. Nienawidziła potraw smażonych na oleju. Zapach hamburgerów i frytek odrzucał ją i ostatecznie odsunęła swą tacę. Zwróciło to uwagę sierżanta, siedzącego trzy stoły dalej.

- Nie będzie pani tego jeść, kapitanie?

- Nie, sierżancie.

- W takim razie, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu...

- Proszę bardzo. - Zostawiła sobie tylko mleko w kartoniku, a całą tacę podała sierżantowi, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Dziękuję, pani kapitan.

- Proszę - odpowiedziała zdawkowo, zauważywszy kilku żołnierzy, którzy właśnie weszli do mesy. Patrzyli w jej kierunku, rozmawiając między sobą i co chwila wybuchając śmiechem.

Postanowiła ich ignorować i po prostu gapiała się w otwory wentylacyjne, wycięte w płóciennej ścianie namiotu po lewej stronie. Już dawno przestało jej przeszkadzać, że budziła tego rodzaju uwagę. Przyzwyczaiła się.

Od lat tak właśnie traktowali ją dowódcy i koledzy-piloci. A wszystko dlatego, że nie mam tego durnego czegoś między nogami, pomyślała Amanda. Żołnierze machali do niej. Nadal ich ignorowała, uśmiechając się w duchu, ponieważ było oczywiste, że nie rozpoznali jeszcze dystynkcji na kołnierzyku. W rzeczywistości była od dawna przyzwyczajona mieszkać i pracować z mężczyznami. Była jedyną dziewczynką w pięćosobowej rodzinie, w dodatku najmłodszym dzieckiem. Od małego musiała znosić zarty i drwiny braci, dopóki stopniowo nie zdobyła sobie ich szacunku, niewzruszonego po dziś dzień. Za to jej ojciec był inny. Sam pilotował śmigłowce podczas wojny w Wietnamie i był bardzo dumny, że córka postanowiła iść w jego ślady, w odróżnieniu od swych braci, którzy wybrali bezpieczniejsze, ale nudne życie cywilów.

Aparycja była jeszcze jednym czynnikiem, który utrudniał jej karierę doświadczalnego pilota śmigłowców w Siłach Powietrznych. Obcisły mundur połowy raczej eksponował niż kamuflował jej szczupłą, ale bardzo proporcjonalną figurę, co nieraz wzbudzało u żołnierzy wręcz zwierzęce reakcje, zwłaszcza u tych, którzy nie znali jej reputacji jako pilota. Chociaż ustawodawstwo federalne zabraniało kobietom wykonywania lotów bojowych, jako pilot doświadczalny Amanda spędziła za sterami *Pave Hawka* dość godzin, by zakwalifikować się do ekipy ratunkowej. Pomyślnie przeprowadziła kilka operacji ratunkowych w Arabii Saudyjskiej. Ewakuowała zestrzelonych pilotów, zabierała żołnierzy, którzy odnieśli obrażenia w najróżniejszych wypadkach. Wiedziała, że wnosi swój wkład w wysiłek wojenny, ale miała naturę wojownika i aż rwała się do walki.

Śmiech zamarł, kiedy jeden z nowo przybyłych żołnierzy przechodząc koło niej dostrzegł dystynkcje. Amanda zauważyła dobrze zbudowaną postać pułkownika Petera Halstona, wchodzącego do namiotu i rozglądającego się dookoła. Ich oczy spotkały się na moment. Zaczął iść w jej kierunku, ale zatrzymał się przy innym stole, gdzie samotnie siedział kapitan Orlando Delaney z Armii USA, najwyższej klasy pilot śmigłowca szturmowego *Apache*.

Przystojny Halston podobał się Amandzie od pierwszego dnia, kiedy kilka miesięcy temu przybyła do bazy. Ciągnęło ich do siebie nawzajem i od razu zostali przyjaciółmi, ale potem, z różnych powodów, ich kontakty weszły jakby w fazę stagnacji. Po pierwsze, im bardziej uciążliwy stawał się Saddam Husajn, tym więcej obowiązków spadało na pułkownika, do tego stopnia, że teraz ledwie wystarczało mu czasu na wykonywanie tych wszystkich zadań, które zlecał mu dowódca bazy. Dla siebie nie miał już czasu w ogóle. Po drugie, Amanda zauważyła, że Halston zawsze szybko się wycofywał, kiedy tylko zaczynało im być ze sobą szczególnie przyjemnie.

Czuła, że ma to związek ze śmiercią żony, którą Halston z pewnością bardzo kochał. I po trzecie, Halston był starszy stopniem od Amandy; związek uczuciowy nie byłby w takiej sytuacji dobrze widziany.

Halston wymienił uścisk dłoni z kapitanem Delaneyem, po czym podszedł do jej stołu i usiadł.

- Cześć, Pete.

- Cześć, Amanda. Jak leci?

- Jak zwykle - odpowiedziała, wznosząc oczy do góry.

Halston spojrział na żołnierzy siedzących dwa stoły dalej i zrozumiał. - Powiem im parę słów - oświadczył, wstając z miejsca. Amanda dała mu gestem znak, żeby usiadł z powrotem. - Nie, Pete, proszę. To tylko pogorszy sprawę. Powiedz mi lepiej, z czym przychodzisz.

Halston obrzucił żołnierzy groźnym spojrzeniem, westchnął i usiadł.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Halston tak ją pociągał. Pułkownik zawsze zachowywał się jak profesjonalista i nigdy nie uczynił najmniejszej aluzji do płci kapitana Green. Amanda żałowała jedynie, że nie mogli jakoś uczynić kroku dalej.

- Słyszałaś o zestrzeleniu *Pave Hawka*?

Amanda pokręciła głową. Halston opowiedział jej całą historię.

- Boże! Kapitan Heersen? Znałam go dobrze. To straszne. Mogę się na coś przydać?

- Delaney pomoże w operacji ratunkowej. Kiedy nawiążemy następny kontakt radiowy, jego *Apache* będzie osłaniał śmigłowiec ewakuacyjny razem z *Warthogami*.

- Mogę się na coś przydać? - powtórzyła.

- Hm, sama wiesz, co przepisy mówią o udziale kobiet w misjach bojowych. Myślę, że spisujesz się tu doskonale.

- Racja. Trzy dni temu musiałam zabrać trzech piechociarzy z pustyni dwadzieścia kilometrów stąd, bo idiotom skończyła się benzyna. To dopiero była misja. - Pokręciła głową i spuściła wzrok. Bezwiednie bawiła się kartonikiem z mlekiem.

- Amanda, daj spokój.

- Pamiętaj, Pete, jeśli będzie trzeba, mogę polecieć do Iraku i wrócić, zanim ktokolwiek się zorientuje - powiedziała.

Halston przymknął na chwilę oczy. - Po tym, co się dzisiaj stało, mam do dyspozycji dwa śmigłowce *Pave Hawk* i czterech pilotów, z tego jeden leży z zapaleniem płuc w szpitalu. Zwróciłem się do CENTAF o dodatkowych dwóch pilotów, ale zanim tu przybędą... Może pozwolę ci polecieć jako drugiemu pilotowi.

- Potrafię to zrobić - powiedziała zdecydowanie.

Halston pokiwał głową i wstał. - W porządku, Amanda. Mam nadzieję, że nie będę tego żałował.

- Nie będziesz. Ale nie uciekaj jeszcze. Nie rozmawialiśmy chyba od dwóch tygodni.

Halston powoli usiadł z powrotem. - Chyba wszystko w porządku, ale czuję, że ta robota daje mi w kość. Samoloty irackie w strefie zakazu lotów, przemieszczenia wojsk, ataki *Scudów*. Nie wiem, w co ręce włożyć. Nawet nie mam czasu, żeby głębiej odetchnąć.

Amanda uśmiechnęła się do niego. - Myślę, że jakoś sobie z tym wszystkim poradzisz.

- Cóż, mam nadzieję.

- Brakuje mi twojego towarzystwa - powiedziała, korzystając z okazji, żeby posunąć się trochę dalej.

Ich oczy spotkały się na chwilę, ale Halston zaraz odwrócił wzrok.

- Słuchaj, naprawdę muszę lecieć. Czeka na mnie tyle pracy. - Wstał.

- Do zobaczenia, pułkowniku - powiedziała, unosząc brew. Sygnał był aż nadto wyraźny.

Halston skinął jej głową, odwrócił się i odszedł. Co się z tobą dzieje, pułkowniku Halston? Amanda otworzyła kartonik i pociągnęła łyk mleka.

## ◆ Dzień drugi, 9.20 czasu lokalnego - Biały Dom

Prezydent Clinton stał oparty o brzeg biurka. Nadal miał na sobie strój do joggingu. Poczul skurcz żołądka, kiedy sekretarz obrony przyniósł mu wiadomość o zestrzeleniu *Pave Hawka*. Liczba ofiar śmiertelnych wzrosła do ośmiu. Dwaj piloci musieli się katapultować nad terytorium Iraku. Prezydent przeniósł wzrok z sekretarza obrony na podsekretarza Kennetha Drapera, aż wreszcie skoncentrował uwagę na Craigu Kettlerze, dyrektorze CIA.

- Craig, ilu ludzi przydzielił pan do pracy bezpośrednio przy zdjęciach z satelitów *KH-11*?

Kettler przekrzywił głowę i przybrał ponury wyraz twarzy, zupełnie jak na portrecie przy wejściu do CIA. Analizą zdjęć satelitarnych zajmował się Krajowy Ośrodek Interpretacji Fotografii, podlegający wydziałowi naukowo-technicznemu CIA. Mieścił się nie w Langley, lecz w Waszyngtonie, tuż przy kompleksie Marynarki. Na siedzibę Ośrodka składały się trzy duże gmachy, w których dwa tysiące ludzi pracowało na trzy zmiany. KOIF był odpowiedzialny za wszystkie aspekty wywiadu satelitarnego, od usuwania zniekształceń i zakłóceń, spowodowanych przez czujniki satelitów, czy po



prostu przez warunki atmosferyczne, po sporządzanie strategicznych i taktycznych raportów wywiadowczych dla wszystkich resortów. To właśnie KOIF poinformował prezydenta Kennedyego o raketach na Kubie i prezydenta Reagana o terrorystycznych ośrodkach szkoleniowych w Libii. To KOIF pomógł CIA przewidzieć wojnę arabsko-izraelską w 1967 roku, radziecką inwazję na Afganistan i napaść Iraku na Kuwejt. Do zadań KOIF należało wykrywanie upraw marihuany i koki, śledzenie tras okrętów, szacowanie rozmiarów pożarów lasów, a także, w latach zimnej wojny, pilnowanie, by Związek Radziecki dotrzymywał porozumień w sprawie redukcji zbrojeń.

- Panie prezydencie - powiedział Kettler. - KOIF jest wielką organizacją, na której spoczywa ogromna odpowiedzialność. Na dwa tysiące pracowników, prawie stu oddelegowałem obecnie do tego, o czym pan mówi. To trzy razy więcej ludzi niż cała ekipa, zajmująca się na co dzień Bliżniem...

- Nie o to pana pytałem - przerwał mu prezydent. - Wiem, że macie całą armię ekspertów komputerowych, którzy oczyszczają materiał zdjęciowy przed przekazaniem go do analizy. Pytam, ilu ludzi, kiedy już zdjęcia są oczyszczone i powiększone, zajmuje się analizą tego materiału, zbieranego przez nasze satelity co półtorej godziny?

Kettler poczuł się nagle niewygodnie na kremowej sofie. - Około trzydziestu, sir.

Prezydent przymknął na chwilę oczy. - Craig, to w tej chwili najważniejsza sprawa. Wstrzymaj, co tylko możesz i przerzuć ludzi do tej roboty, i to natychmiast.

- Zaraz się tym zajmę, panie prezydencie.

- Dziękuję, Craig. - Clinton spojrzął na zegarek. - Ken.

Generał Kenneth Draper spojrzął na prezydenta. - Sir?

- Polecisz natychmiast do Rijadu, najlepiej złap jakąś maszynę Sił Powietrznych. Bądź w ścisłym kontakcie z generałem Marshalllem, z dyrektorem CIA, z jego człowiekiem tam, na miejscu, Robertem Bourdeaux, no i oczywiście z moim biurem. Jesteś ekspertem w sprawach tego regionu. Przygotuj mi ocenę sytuacji, jaką tam zastaniesz. Następnie oczekuję od ciebie codziennych raportów - powiedział prezydent. Nie potrzebował wyjaśniać, że trzygwiazdkowy generał Roy Marshall dowodzi obecnie CENTAF w Rijadzie. - Oczywiście, w sytuacjach awaryjnych zawsze możesz telefonować do mnie bezpośrednio.

- Tak, panie prezydencie.

- A teraz wybaczcie mi panowie, ale muszę wziąć prysznic.

Wszyscy wstali i wyszli z Gabinetu Ovalnego.

## ◆ Dzień drugi, 17.20 czasu lokalnego - południowy Irak

Po zatankowaniu, dwa wielozadaniowe śmigłowce *Aerospatiale Gazelle* leciały nisko nad zielonymi terenami wzdłuż Eufratu. Każdy ze śmigłowców był uzbrojony w dwa zasobniki z raketami *Matra* kalibru 68 milimetrów i dwa karabiny maszynowe kalibru 7,62 milimetra.

Oba śmigłowce zawisły na chwilę nad wolno toczącym swe wody Eufratem, a potem ruszyły w dół rzeki, jeden wzdłuż prawego, drugi wzdłuż lewego brzegu. W każdej z maszyn był na pokładzie obserwator, przeszukujący okolicę przez lornetkę. Irakijczycy starali się znaleźć amerykańskich pilotów przed szybko zbliżającym się zachodem słońca.

Usłyszawszy nadlatujące śmigłowce, porucznik Kevin Dalton schował się za kępą drzew dwieście metrów od rzeki, zaskoczony, że Irakijczycy tak szybko zdołali ustalić jego pozycję. Szedł szybkim marszem kilka godzin bez przerwy, oddalając się, jak oceniał, prawie dwadzieścia kilometrów od wraku *Tomcata*. Teraz, kiedy w jego organizmie nie było już adrenaliny, czuł się cały obolały.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne, otarł pot z czoła, przetarł szkła rękawem kombinezonu i założył je z powrotem. Dwa małe pojemniki na wodę, które miał przy pasku, były już puste, podobnie jak i plastikowy woreczek. Chociaż zmuszał się, by pić oszczędnie, wody zabrakło mu już po dwóch godzinach szybkiego marszu. Czując, że na wyschniętych wargach zaczyna mu się pojawiać bąble, nałożył na nie trochę ochronnego balsamu. Przeszedł powoli na drugą stronę miniaturowego zagajnika, w którym się ukrywał i obserwował śmigłowce, które kontynuowały lot wzdłuż Eufratu. Musiał wyężyć całą siłę woli, by nie pobiec do rzeki, żeby całe ciało zanurzyć w chłodnej, kojącej, odświeżającej wodzie. Instynkt żołnierza podpowiadał mu jednak, że śmigłowce są jeszcze za blisko. Gdyby zawróciły, bez wątpienia zostałyby dostrzeżone na otwartym terenie.

Przeklinając irackich pilotów za to, że lecą tak powoli i czując, że w głowie zaczyna mu się kręcić od żaru słonecznego, Kevin usiadł na ziemi i oparł głowę o drzewo. Przymknął oczy i próbował spokojnie zastanowić się nad swą sytuacją, ale szybko doszedł do wniosku, zresztą nie po raz pierwszy, że właściwie nie ma wyjścia. Był skończony, jeśli go złapią i skończony, jeśli zdoła się stąd wydostać. Jego wybór ograniczał się do więzienia irackiego albo więzienia wojskowego w Ameryce. W najmniejszym stopniu nie pociągało go ani jedno, ani drugie. Ale taka jest cena, jaką muszę zapłacić za ten numer w stylu Johna Wayne'a i za Campbella, i za załogę *Pave Hawka*. Ogarnęło go poczucie winy. Uświadomił sobie z całą wyrazistością

prawdę, którą usiłował spychać do podświadomości od chwili, kiedy został zestrzelony: jego głupota stała się przyczyną śmierci tylu ludzi. Równie dobrze mogą sobie od razu strzelić w łeb. Wiedział, że ma na swoich rękach krew wielu Amerykanów. McDeere dołoży wszelkich starań, żeby drogę zapłacił za niewykonanie rozkazu. Jezu, co ja zrobiłem?

Tak pochłonęło go rozpamiętywanie tego, co się stało, że nie uświadomił sobie, co oznacza narastający szum silników. Myślni był w kabinie *Tomcata*. Wydawało mu się, że słyszy ostatnie słowa Campbella, po których wszystko wokół eksplodowało.

Kiedy powrócił do rzeczywistości, było już za późno. Śmigłowce wróciły, a ponieważ on przeszedł na skraj kępy drzew, był teraz wyraźnie widoczny. W odległości około pięćdziesięciu metrów pokazywał go ręką żołnierz w mundurze polowym, skulony w otwartych drzwiach śmigłowca. Z boku nadlatywała druga maszyna. Zamierzali wziąć go w dwa ognie.

Ściskając w dłoni *Smith & Wessona Model 39*, ruszył biegiem w kierunku większego zagajnika, odległego o jakieś trzysta metrów. Przebiegł jednak zaledwie kilka kroków, kiedy pojawił się przed nim drugi śmigłowiec. Maszyna wisiała tuż nad ziemią. Jej pilot sprawiał wrażenie, jakby znieruchomiał z ręką na drążku sterowym. Dwa karabiny maszynowe, podwieszane po bokach śmigłowca, były skierowane w kierunku Kevina.

Sytuacja była aż nazbyt jasna: jeden ruch i jesteś trupem. Drugi śmigłowiec nadleciał z boku i schodził do lądowania. Kevin zrozumiał, że nie ma ucieczki.

Chalila Iszaid oglądała te wydarzenia z zagajnika, do którego chciał dobiec amerykański pilot. Spojrzała na Iszmaela Barzaniego.

- Jesteś pewien, Iszmael? Możesz przez to narazić swoich ludzi na represje.

- Jakie represje? Co jeszcze mogą nam zrobić?

- A więc dobrze - odparła, sięgając po jedną z dwóch wyrzutni *Javelin*, które Abdul niósł na ramieniu.

Chalila odebrała od Kurda wyrzutnię, wsunęła pocisk do rury, oparła ją na prawym ramieniu i wzięła na celownik najbliższy śmigłowiec.

- Jesteś absolutnie pewien, że chcesz to zrobić?

- *Inszallah*, Chalila. Jeśli taka jest wola Pana.

Ignorując pot, spływający jej z czoła i szyi i wsiąkający w białą bawełnianą koszulkę, którą miała pod rozpiętą bluzą polowego munduru, upewniła się, że cel jest na przecięciu nitek celownika i nacisnęła spust.

Dwustopniowy silnik na paliwo stałe rozpędził ważącą niecałe dwanaście kilogramów i długą na metr dwadzieścia raketę do prędkości 1,8 macha. Cały czas trzymała śmigłowiec w celowniku. Półautomatyczny system naprowadzania optycznego, zintegrowany z wyrzutnią, wysyłał przez radio odpowiednie sygnały sterujące lotem rakiety.

Porucznik Kevin Dalton był jedynym, który zauważył błysk, poprzedzający smugę dymu, która błyskawicznie zbliżała się do śmigłowca. Instynktownie rzucił się na ziemię i przetoczył za najbliższe drzewo. Łokcie, kolana i plecy piekły go przy każdym zetknięciu z ziemią. Okulary słoneczne gdzieś spadły. Przez ogłuszający hałas wirnika Kevin usłyszał odgłos karabinu maszynowego. Pociski kalibru 7,62 milimetra zaczęły orać ziemię w miejscu, w którym znajdował się przed sekundą. Poczuł piekący ból w lewej nodze, a zaraz potem dotarła do niego fala podmuchu. *Javelin* trafił śmigłowiec poniżej wału wirnika, który natychmiast odpadł. Trzy długie na ponad dziesięć metrów łopaty przecięły powietrze nad głową Kevina, lecąc z niesamowitą prędkością i roztrzaskały się o drzewa. Nie obciążona wirnikiem turbina zawyła na wysokich obrotach i silnik zapalił się.

Obserwujący to wszystko zza drzewa Kevin skulił się, kiedy maszyna uderzyła o ziemię i natychmiast eksplodowała. Podmuchał go do tyłu. Zdezorientowany i oszołomiony wybuchem, czołgał się między drzewami, próbując uciec od jęzorów ognia, które pożerały śmigłowiec i jego załogę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest ranny w nogę. Krew z rany kilka centymetrów poniżej kolana plamiła nogawkę kombinezonu. Czując zawrót głowy, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i mocno obwiązał nogę nad raną, żeby powstrzymać krwawienie. Przez chmurę dymu widział, jak drugi śmigłowiec okrążył miejsce, w którym roztrzaskała się pierwsza maszyna, a potem rusza w kierunku, z którego nadleciała rakietą. Za wszelką cenę usiłował nie stracić przytomności, ale na próżno. Stres, związany z katapultowaniem się z *Tomcata*, forsowna ucieczka, rana postrzałowa. Zapadł się w ciemność w momencie, kiedy drugi śmigłowiec zniknął mu z oczu za ścianą ognia.

Chalila miała już drugą maszynę na celowniku wyrzutni, do której wprowadziła właśnie następny zasobnik z pociskiem. Śmigłowiec zbliżał się do niej, lecąc dwa metry nad ziemią. Kiedy odezwały się karabiny maszynowe, Chalila odpaliła *Javelina*.

Ignorowała błyski ognia z luf karabinów maszynowych, nie zmieniając pozycji. Skoncentrowała się na utrzymaniu kabiny dokładnie na przecięciu,

nitek celownika. Pociski uderzyły po gałęziach nad jej głową, zmuszając Iszmaela i Abdula do rzucenia się na ziemię.

Nagle jeden z pocisków trafił w stalową obudowę wyrzutni i poszedł rykoszetem w górę. Siła uderzenia odrzuciła Chalilę do tyłu. Wyrzutnia *Javelina* mierzyła teraz w niebo. Rakieta otrzymała nowe instrukcje z układu naprowadzania i poszła świecą w górę, nie trafiając w nadlatujący śmigłowiec.

Chalila odrzuciła na bok bezużyteczną wyrzutnię i przetoczyła się w lewo, sięgając po swą *Berettę*. Kiedy była już kilka metrów od miejsca, z którego odpaliła *Javelina*, kątem oka spostrzegła, że Abdul i Ismael sygnalizują, by obiegała zagajnik z drugiej strony. Zrozumiała, poderwała się na nogi i ruszyła biegiem wzdłuż linii drzew, osłaniających ją przed śmigłowcem. Ledwie widziała szczupłą postać Iszmaela na drugim końcu polany w kształcie półksiężyca. Znajdowała się teraz na wprost śmigłowca, który wstrzymał ogień i zawisł na skraju polany, około trzydziestu metrów od miejsca, w którym Chalila stanęła z odbezpieczoną i wycelowaną bronią.

Strzały z *Kalasznikowa* Iszmaela były dla niej sygnałem. Ruszyła biegiem, podczas gdy śmigłowiec, wiszący zaledwie półtora metra nad ziemią, odwrócił się od niej w kierunku, z którego dochodziły strzały. Jej buty zostawiały w piasku głębokie ślady. Karabiny maszynowe znów się odezwały, siekąc pociskami po zagajniku. Chalila dopadła ogona śmigłowca, schyliła się i przebiegła pod obudowanym tylnym wirnikiem na drugą stronę.

Karabiny maszynowe wciąż ziały ogniem. Chalila podniosła swoją *Berettę* i strzeliła przez otwarte drzwi śmigłowca prosto w twarze dwóch zupełnie zaskoczonych żołnierzy. Pilot, skoncentrowany na utrzymaniu maszyny w nieruchomej pozycji, nic nie usłyszał.

Chalila cofnęła się kilka kroków, przyklękła i skierowała pistolet na szybę z pleksiglasu. Trzy razy ściągnęła spust. Pociski kalibru 9 mm przebiły pleksiglas i trafiły pilota w potylicę. Martwy Irakijczyk opadł na drążek sterowy. Śmigłowiec zareagował, ruszając do przodu.

Wiatr rozwiewał długie włosy Chalili, kiedy biegła przez polanę, z powrotem do zapewniającego osłonę zagajnika. Wiedziała, że rozbicie się śmigłowca jest kwestią kilku sekund i wykorzystała ten czas do maksimum, pędząc, co sił w nogach. Eksplozja była potężna. Podmuch pchnął ją prawie trzy metry do przodu. Padając na ziemię, zobaczyła kątem oka pomarańczową kulę ognia na linii drzew, niebezpiecznie blisko kurdyjskich partyzantów.

\* \* \*

Ismael Barzani czuł, że jest bliżej Allacha niż kiedykolwiek. Kilka większych drzew na skraju polany powstrzymało pozbawiony kontroli śmigłowiec, osłaniając zarazem obu Kurdów od płomieni, które natychmiast ogarnęły wrak.

- Allah jest dziś naprawdę z nami, przyjacielu - powiedział Ismael triumfalnie, patrząc w zielone oczy Abdula.

Wielki Kurd, wciąż jeszcze oszołomiony, podniósł się z ziemi i otrzepał ubranie. - Niewiele brakowało, Isza. Bardzo ryzykowaliśmy, żeby uratować tego Amerykanina.

- Abdul, ten Amerykanin bardzo nam się przyda. *Bai* będzie bardzo hojny, kiedy przyprowadzimy do niego pilota.

Kurdowie obeszlili wrak śmigłowca. Na polanie czekała już na nich Chalila. Razem podeszli do amerykańskiego pilota.

Mniej więcej godzinę później, z powrotem w kryjówec Kurdów, Chalila Iszaid kończyła przemywać ranę wciąż nieprzytomnego pilota, posługując się zawartością apteczki, którą miał przy sobie.

Siedząc na krawędzi łóżka, Chalila zdjęła pilotowi z szyi łańcuszek z „nieśmiertelnikami” i odczytała nazwisko: porucznik Kevin Dalton. Schowała plakietki do kieszeni munduru i spojrzała na spaloną słońcem twarz obcego. Wyciągnęła dłoń i delikatnie uniosła mu powiekę. Czarne oczy. Cóż, poruczniku Dalton, wygląda na to, że miał pan dzisiaj szczęście.

Odwróciła wzrok od twarzy Amerykanina i wyjrzała przez małe okno nad łóżkiem. Patrzyła na pierwsze gwiazdy, głęboko oddychając i przeczesując palcami włosy. Gwiazdy zawsze przywoływały wspomnienia; przywoływały ból. Pamiętała, jak tysiące razy patrzyła w gwiazdy razem ze starszą siostrą Sulejmą. To było tak dawno temu.

Myślni tkwiła w przeszłości. Miała wtedy siedem lat, a do dziś pamiętała wybuchy, które wstrząsnęły cichą klasą. Schowała się pod szkolną ławką i zatkała uszy dłońmi, modląc się, żeby wróciła cisza. Na próżno. Zaraz odezwały się kolejne granatniki, strzelające ze wzgórz, otaczających jej wieś. Arabowie znów atakowali. Starsza siostra Chalili przybiegła z innej klasy, złapała ją za kołnierz i wywlokła przed szkołę. Ruszyły biegiem do odległej o kilometr wsi. Kiedy dobiegły, arabscy żołnierze już tam byli. Widziała ich, ukryta za jedyną ścianą, jaka pozostała po jej domu. Żołnierze w oliwkowych mundurach, uzbrojeni w pistolety maszynowe, chodzili wśród dziesiątków rozciągniętych na ziemi ciał, szukając tych, którzy przeżyli ostrzał z granatników. Rannych dobijali strzałami w głowę. Chalila spostrzegła poskręcane ciała matki i ojca, z szeroko otwartymi oczami i twarzami wykrzywionymi bólem.

Zaczęła szlochać. Jeden z żołnierzy odwrócił głowę i zobaczył je. Zanim Chalila zdążyła zareagować, Sulejma pchnęła ją w tył i gestem nakazała schować się w ruinach, a sama rzuciła się do ucieczki. Chalila próbowała ją powstrzymać, ale siostra natychmiast zniknęła jej z oczu. Nie pobięła za nią. Pozostała schowana za ścianą zburzonego domu. Rozległy się strzały, a potem okrzyki i głośny śmiech. Kiedy Chalila znów wyjrzała, zobaczyła Arabów, otaczających Sulejmę kołem i zdzierających z niej sukienkę. Jeden z nich przewrócił dziewczynę na ziemię. Chalila zamknęła oczy i skuliła się za ścianą, wśród zwęglonych belek i gruzu. Słyszała krzyk siostry, słyszała jej błagania o litość. Arabowie gwałcili Sulejmę jeden po drugim.

Straciła poczucie czasu. To wszystko mogło równie dobrze trwać kilka minut, jak i kilka godzin. Siedziała skulona jeszcze długo po tym, jak ustały krzyki i śmiech. Długo po tym, jak dwa strzały położyły kres szlochowi Sulejmy. Długo po tym, jak Arabowie wycofali się ze wsi.

Zlana potem Chalila podskoczyła, czując czyjąś rękę na swoim ramieniu. Zerwała się na nogi.

- Nic ci nie jest? - zapytał Abdul, unosząc krzaczaste brwi.

Chalila przymknęła na chwilę oczy i otarła policzki rękawem. - Nie, wszystko w porządku.

- Iszmael chce wiedzieć, czy Amerykanin przeżyje.

Kiwnęła potakująco głową. Kurd odwrócił się i wyszedł.

Chalila Iszaid spojrzała po raz ostatni w gwiazdy, przepraszając w myślach siostrę. Ponościła odpowiedzialność za jej śmierć. W myślach bez końca przeżywała tamten koszmar wciąż od nowa. To była jej pokuta za cierpienia, na jakie naraziła osobę, którą tak kochała. Ale przecież ja nie chciałam narobić wtedy hałasu, Sulejmo. Nie chciałam. Nie mogłam powstrzymać szlochu. Wybacz mi, błagam!

Kobieta westchnęła ciężko i wyszła z pokoju.

# 7.

## Wywiad wojskowy

*Military Intelligence - a contradiction in terms\**

*Oswald Garrison Willard*

\* Gra słów - *Military Intelligence* znaczy „wywiad wojskowy”, ale *intelligence* to również „inteligencja”. *Contradiction in terms* to „sprzeczność pojęć” [przyj. red.].

### ♦ Dzień drugi, 19.20 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak

Świeżo awansowany generał Abunnasr Manesz chodził w tę i z powrotem za plecami Fasana Tabriza, młodego łącznościowca, obsługującego przenośny nadajnik, zainstalowany w jedynym klimatyzowanym bunkrze, jakim dysponowała baza; dla nowoczesnego sprzętu łącznościowego klimatyzacja była konieczna. Co mogło się stać? - zastanawiał się Manesz. Pierwsza część operacji powiodła się doskonale. Zniszczył amerykański śmigłowiec ratunkowy. Władze trafnie przewidziały postawę rządu amerykańskiego: Amerykanie nie mogli się pogodzić z myślą, że któryś z ich żołnierzy może zginąć lub dostać się do niewoli; byli gotowi ryzykować życie wielu ludzi, żeby uratować jednego. Niewiarygodne.

Manesz w zamyśleniu ssał dolną wargę. Zadanie śmigłowców było w zasadzie proste: złapać pilota amerykańskiego. Ale dwie godziny temu kontakt radiowy ze śmigłowcami nieoczekiwanie się urwał.

Manesz wyszedł z bunkra. Na zewnątrz powiała go chłodna bryza. Zerknął w gwiazdy, podwinął rękawy mundurowej koszuli koloru khaki i poszedł do budynku z pomieszczeniami mieszkalnymi. W środku otworzył pierwsze drzwi po lewej stronie.



W pokoju panowała ciemność i duchota. Spało tu pięciu ludzi, sami piloci. Jeden z nich uniósł głowę i rozpoznał Manesza.

- *Istaigaza!* - krzyknął młody pilot, zrywając się na baczność. Reszta też zaraz wyskoczyła z łóżek i stała nieruchomo w samej bieleźnie.

- Spocznij, bracia, spocznij. To dobrze, że posługujecie się jedną z najpotężniejszych broni, jaką nam zesłał Allach: wypoczynkiem. Wypoczęte ciało i jasny umysł, to najlepsza broń w walce z wrogiem.

- *Inszaliah!* - odpowiedzieli piloci chórem.

Manesz patrzył w ich gorejące zapalem oczy. Nie było w nich nawet cienia wątpliwości. Doprawdy stanowili armię Allacha. - Amerykański pilot wciąż nie został schwytany. Potrzebuję na jutro rano pilota i strzelca pokładowego!

Manesz uśmiechnął się, kiedy cała piątka wystąpiła, zgłaszając się na ochotnika. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebował teraz poparcia swoich ludzi. Awans na generała oznaczał ogromną odpowiedzialność. Generał Kuazi Ali nie żył i Manesz podlegał bezpośrednio Saddamowi Husajnowi, który był znany z tego, że nie tolerował błędów.

### ♦ Dzień drugi, 19.30 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Pułkownik Peter Halston uniósł głowę. Do namiotu wpadł Robert Bourdeaux z plikiem fotografii w rękach. Funkcjonariusz CIA podszedł prosto do biurka i rozłożył zdjęcia na drewnianym blacie, oświetlonym pojedynczą żarówką, zwisającą na kablu spod płóciennego sufitu.

- Co tam masz, Bob? - zapytał Halston z polowego łóżka w kącie namiotu.

- Prezent od CIA. Kilka interesujących zdjęć, wykonanych przez jednego z naszych *KH-11*, mniej więcej godzinę temu.

Halston wstał i podszedł do Bourdeaux, który pochylał się nad wielkimi czarno-białymi fotografiami.

- Mamy go - powiedział, pokazując palcem fragment jednej z fotografii.

- Kogo?

- Jednego z naszych zestrzelonych pilotów. To musi być on.

Halston przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie. - Okay, zainteresowałeś mnie. Wyjaśnij.

Bourdeaux odchrząknął. - To zestaw zdjęć, zrobionych w ciągu trzech minut. Fotografowany był rejon, odległy niecałe dziesięć kilometrów od miejsca, w którym rozbił się zestrzelony *Tomcat*. - Wyciągnął na wierzch

jedno ze zdjęć. - To zostało wykonane jako pierwsze. Widać na nim dwa śmigłowce irackie, *Gazelle*, które prawdopodobnie poszukiwały naszego pilota w pobliżu Eufratu. Przypatrz się uważnie.

Halston pochylił się nad zdjęciem. Rozpoznał ciemne sylwetki śmigłowców na tle białego piasku i wody. - W porządku, widzę.

Bourdeaux wyciągnął drugie zdjęcie. - To zostało zrobione mniej więcej minutę później. Widzisz śmigłowce? - Halston przyjrzał się uważnie, ale nigdzie nie mógł rozpoznać irackich maszyn. Spojrzał na Bourdeaux.

- Tutaj. - Bourdeaux wskazał mały, ciemny, owalny kształt koło rzeki. Tu jeden, a tu drugi.

- Rzeczywiście. Okrążają tę kępę drzew.

- Dokładnie tak - powiedział Bourdeaux. Oba śmigłowce są zwrócone w kierunku tej małej kępy koło rzeki, jakby znalazły tam coś lub kogoś.

- Kogo? Naszego pilota?

- Myślę, że właśnie tak. Spójrz na ten niewielki cień koło drzew. Zmienił miejsce w porównaniu z pierwszym zdjęciem. - Ułożył obie fotografie obok siebie.

- Niech mnie diabli! Sam do tego wszystkiego doszedłeś?

- Nie, to robota ekspertów z KOIF. Korzystając z monitorów wysokiej rozdzielczości, oczyścili i powiększyli te zdjęcia, a potem przesłali mi je do komputera jako pliki graficzne.

- Fascynujące. Skąd wiedzieliście, że należy fotografować właśnie ten obszar?

- To zasługa prezydenta. Dowiedziałem się z Langley, że kazał wstrzymać różne inne operacje i skoncentrować się na Iraku.

- Niewiarygodne. Ale widać tu tylko jeden cień - powiedział Halston, wskazując na zdjęcia. Jeśli wasza analiza jest poprawna, to albo piloci rozdzielili się po katapultowaniu, albo jeden z nich nie żyje.

- Niestety, właśnie tego się obawiam.

- Rozumiem. A co stało się tam później?

- O, działy się bardzo ciekawe rzeczy.

Dziesięć minut później Halston stał w wejściu do swego namiotu i patrzył na śmigłowce *Apache*, ustawione w rzędzie na końcu pasa startowego. Zdawał sobie sprawę, że pilota zestrzelonego *Tomcata* trzeba ewakuować szybko. Irakijczycy nie będą ucieszeni, kiedy się zorientują, że stracili dwa śmigłowce. A jeśli załogi tych maszyn zdołały wezwać pomoc przez radio? Ile czasu minie, zanim zareagują? Halston doszedł do wniosku, że trzeba

się liczyć z następną misją iracką. Wzięcie do niewoli zestrzelonego pilota amerykańskiego miało dla Irakijczyków ogromne znaczenie propagandowe.

Twarz Halstona przybrała ponury wyraz. Myśl o pozostawieniu pilota w rękach tych dzikusów nie była przyjemna. Odwrócił się, minął Bourdeaux i ponownie wpatrzył się w zdjęcia z satelity. Było tu wszystko. Zdjęcia dokumentowały całe zajście, aż do momentu zniszczenia drugiego śmigłowca. Potem kłęby dymu przesłoniły wszystko do tego stopnia, że następnych zdjęć nie można już było zinterpretować. Halston zastanawiał się, kto właściwie zniszczył irackie śmigłowce. W tym czasie nie było w pobliżu żadnych myśliwców sił sojuszniczych. Bourdeaux przypuszczał, że dokonali tego Kurdowie. Bardzo możliwe. Pytanie, co się stało z pilotem? Dokąd zabrali go ci Kurdowie, jeśli rzeczywiście byli to Kurdowie? Jeśli nie włączy nadajnika, jego pozycji nie da się ustalić.

Halston westchnął i dalej wpatrywał się w zdjęcia.

### ◆ Dzień drugi, 20.00 czasu lokalnego - południowy Irak

Porucznik Kevin Dalton po raz drugi tego dnia powracał do przytomności. Tym razem jednak otworzył oczy w przyjemnym mroku; na dworze było już ciemno. Zaciśnął zęby z bólu, próbując poruszyć lewą nogą. Zrezygnował i jedynie wodził oczami po wnętrzu wiejskiej izby, nie wiedząc, czy jest wśród przyjaciół, czy też wpadł w ręce wroga.

Kiedy się upewnił, że oprócz niego nikogo w pokoju nie ma, powoli, z trudem usiadł na łóżku i patrzył na bandaż, którym owinięta była prawie cała lewa łydka, od samej kostki. Spostrzegł przy okazji, że ma na sobie tylko szorty. Na podłodze koło łóżka leżały otwarte apteczki z zasobnika jego i Campbella.

Pamiętał płomień wylotowe z luf karabinów maszynowych irackiego śmigłowca. To było tuż przed wybuchem... podmuch eksplozji... żar. Nie pamiętał, co się stało później. Niewyraźna sylwetka drugiego śmigłowca była ostatnim obrazem, jaki zarejestrował, zanim stracił przytomność.

Z zamyślenia wyrwało go wejście wysokiego, barczystego mężczyzny, niosącego dwie drewniane miski. Kevin oparł się o ścianę, nieufnie patrząc na groźnie wyglądającego Araba. Mierzyli się wzrokiem przez kilka sekund, po czym Arab wyciągnął przed siebie obie ręce i szeroko się uśmiechnął.

- *Akala. Szariba* - powiedział.

Kevin wzruszył ramionami i spojrzął na tamtego pytająco.

- Jeść. Pić.

Kevin zajął do misek. W jednej były daktyle, a w drugiej woda!

Gwałtownym ruchem porwał miskę, podniósł do ust i opróżnił kilkoma wielkimi łykami. Kiedy ją odstawiał, zobaczył, że w drzwiach ktoś stoi.

- A więc poznał pan już Abdula, poruczniku Dalton.

Kevin był zaskoczony. Wypowiedziała te słowa wyjątkowo atrakcyjna, wysoka kobieta w dopasowanym mundurze polowym. Czarne, długie włosy dobrze pasowały do jej oliwkowej cery. Bluzę munduru odpięła do połowy, odsłaniając białą bawełnianą koszulkę, którą miała pod spodem.

- Skąd pani wie, jak się... - urwał, widząc w jej ręku swoje „nieśmiertelniki”. - Jak się tu dostałem?

- Widzieliśmy, jak się pan katapultował. Poszliśmy za panem.

- Śmigłowce... czy to wy je...?

- Tak. - Podeszła do niego. Kevin zauważył, jak przy każdym kroku mięśnie nóg napinały materiał obcisłych spodni. Usiadła na brzegu łóżka. Kevin spojrzął na siebie i nieco zakłopotany sięgnął po koc.

- Proszę się nie martwić, poruczniku. Też jestem żołnierzem.

Kevin zaczerwienił się i na chwilę spuścił wzrok, ale zaraz spojrzął w parę najpiękniejszych zielonych oczu, jakie kiedykolwiek widział.

- Jestem chyba winien pani wdzięczność. Uratowała mi pani życie.

- Bardzo wąpię.

- Ale przecież powiedziała pani, że zniszczyliście śmigłowce.

- Tak.

- To znaczy...

Kobieta uśmiechnęła się. - Nie przypuszczam, żeby chłopcy Saddama cię zabili... Kevin.

Kevin kiwnął głową. Kobieta mówiła dalej.

- Najprawdopodobniej wykorzystaliby cię w celach propagandowych.

- Kim jesteś?

- W tej chwili to nieważne. Jesteś w rękach partyzantów kurdyjskich. Nie martw się, to nasi sojusznicy.

Kevin spojrzął na nią uważniej. - Nasi sojusznicy? Jesteś w służbie kogoś z państw...

- Koalicji? Nie, nie jestem. Na razie musisz mi zaufać. Jestem przyjacielem.

Kevin westchnął. - Mogę przynajmniej wiedzieć, jak masz na imię?

Znów się uśmiechnęła. - Chalila.

- Bardzo intrygujące imię. Powiedz mi, co teraz ze mną będzie?
- To nie moja sprawa. Na razie musisz odpoczywać, jeśli chcesz, żeby rana się zagoiła. Masz szczęście, że pocisk nie naruszył kości. Mogło być znacznie gorzej.
- Muszę się skontaktować z...
- Kiedy przyjdzie czas. Na razie ja i moi kurdyjscy przyjaciele jesteśmy w trakcie szczególnie ważnej misji. Obawiam się, że będziesz po prostu musiał pójść z nami. Odkryliśmy coś bardzo istotnego.
- Odkryliście? O czym ty mówisz? Co to za odkrycie?
- Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Powtarzam, musisz mi zaufać. Kiedy będziemy gotowi, przerzucimy cię przez granicę, do twoich. Obiecuję.
- Zaczekaj. Gdzie jest moje radio? Wystarczy tylko, że włączę sygnał i...
- Obawiam się, że na razie to niemożliwe.
- Dlaczego nie?
- Ponieważ to miejsce musi pozostać w tajemnicy. Śmigłowce ewakuacyjne ściągnęłyby na nie uwagę. Może jutro, kiedy będziemy na otwartym terenie.
- Kevin oparł się głową o ścianę i zmarszczył brwi. - W zasadzie to wszystko jedno. Niech to szlag...
- Przepraszam, ale nie rozumiem.
- Ach, nie przejmuj się. To mój osobisty problem.
- Chalila uważnie przypatrywała się Kevinowi, próbując dociec, o co mu chodzi. - Osobisty problem? Chcesz powiedzieć, że czeka na ciebie rodzina?
- Nie, nie. Chciałbym, żeby to było to.
- Cóż, jeśli chcesz o tym porozmawiać...
- Zignorowałem rozkaz przerwania pościgu za *MiG-iem*.
- O? A myślałam, że robiłeś właśnie to, co do ciebie należy. Jesteś przecież pilotem, prawda?
- To wszystko jest trochę bardziej skomplikowane. Ten sukinsyn z *MiG-a* zapalił samolot mojego prowadzącego, a potem rozstrzelał załogę w momencie, kiedy próbowali się katapultować. Chciałem się z nim porachować i złamałem regulamin walki. Otrzymałem rozkaz odwrotu, ale go zignorowałem. Niech to cholera!
- To straszne, co zrobił pilot tego *MiG-a*. Co to był za *MiG*?
- *MiG-29*. Bardzo szybki i zwrotny.
- A ty w jakiej byłeś maszynie?
- *F-14*.

Przewróciła oczami, nie ukrywając rozczarowania. - Nie chciałabym, żeby zabrzmiało to zbyt krytycznie, ale wydaje mi się, że jeśli chodzi o samoloty, to mieliście równe szanse.

- Piękne dzięki! Właśnie takich słów otuchy było mi teraz potrzeba.

- Uspokój się. Ani myślałam cię obrażać. Interesuje mnie, jak *MiG-29* zdołał zestrzelić dwa *F-14*.

- Podkraść się do nas, lecąc na bardzo małej wysokości. Kiedy mój prowadzący go spostrzegł, było już za późno. Mnie wziął podstępem, zmuszając do przelecenia przez stado ptaków. Straciłem jeden silnik i drań miał mnie jak na dłoni.

Chalila przekrzywiła głowę. - Bardzo mi przykro. Może następnym razem.

- Nie będzie następnego razu.

Obrzuciła go wzrokiem i wstała. - Porozmawiamy później. Teraz powinieneś odpoczywać. Jutro będą ci potrzebne wszystkie siły.

- Dokąd idziemy?

- Na północ. - Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

- Chalila?

- Tak?

- Dziękuję.

Uśmiechnęła się, a jej brwi - trochę za gęste, jak na kobietę - nieco się uniosły. - Nie ma za co. - Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Kevin westchnął, zastanawiając się, kim ona może być. Sprawiała wrażenie, jakby trochę znała się na radzieckich i amerykańskich samolotach bojowych. Służyła w wojsku? Jeśli tak, to w wojsku jakiego kraju? Mówiła, że nie jest w siłach sojuszniczych, a wydawała się zbyt cywilizowana, by należeć do Kurdów. A więc, skąd jest? I co to za ważne odkrycie gdzieś na północ od tego miejsca? Czy tylko z tego powodu jest tutaj? Diabli wiedzą.

Sfrustrowany Kevin zmarszczył brwi i sięgnął po miskę z daktylami.

- Jak poszło? - zapytał Iszmael Barzani.

- Naprawdę chcesz go z nami zabrać? - odpowiedziała pytaniem na pytanie Chalila Iszaid.

- Pilot Dalton będzie dla nas później bardzo cenny. Tylko trzymając go przy sobie, mogę być pewny, że pożyje dostatecznie długo, bym mógł go zabrać do *Bai*. Pokazałaś nam dzisiaj, co potrafi ta broń. Pamiętaj, Chalila, walka Kurdów toczy się dalej, tak jak w poprzednich pokoleniach. Musimy wykorzystać każdą okazję zdobycia nowej broni. *Bai* będzie nad wyraz hojny, kiedy przyprowadzimy mu ich pilota.

- Nie jestem pewna, czy Dalton wytrzyma trudy drogi. Potrzebuje wiele odpoczynku, żeby w pełni odzyskać siły.

- Niech się dzieje wola Allacha. Jeśli pisane jest nam otrzymanie tej broni, to Prorok utrzyma pilota Daltona przy życiu.

### ♦ Dzień drugi, 20.30 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Robert Bourdeaux siedział naprzeciw pułkownika Petera Halstona przy wąskim stole w namiocie-jadalni. Kolacja już się skończyła i namiot opustoszał. Tylko jakiś żołnierz naprawiał coś wielkim kluczem przy ladzie do wydawania posiłków. Bourdeaux patrzył na Halstona, zdradzającego oznaki skrajnego wyczerpania. Nadmiar obowiązków wyraźnie dawał się atletycznemu pułkownikowi we znaki, a nowy konflikt był dopiero w początkowym stadium.

Przez ostatnie pół godziny przeglądali najnowsze fotografie z satelity *KH-11*, ukazujące wzmożony ruch w rejonie jednego z dwóch zakładów przetwórstwa spożywczego, znajdujących się na obszarze o powierzchni tysiąca trzystu kilometrów kwadratowych, zaznaczonym na mapie Izmaela. Miejsce to nazywało się Kombinat Spożywczy Allahbad. Ponieważ Bourdeaux nalegał, Halston poszedł jeszcze raz do punktu łączności i przyniósł zdjęcia z poprzednich okrążeń *KH-11*. Obawy Bourdeaux potwierdziły się. W ciągu kilku godzin obok wielkiego magazynu znalazło się więcej ciężarówek. Dlaczego? Nagły wzrost zapotrzebowania na mleko w proszku?

Bourdeaux przeglądał kolejne fotografie formatu 28x36. Wreszcie odsunął je i wyjrzał na zewnątrz, koncentrując wzrok na śmigłowcach *Apache*, stojących koło jadalni. Dodatkowe ciężarówki w Allahbadzie... Co to oznacza? Liczba ciężarówek prawie się podwoiła w ciągu dwunastu godzin. Dokładnie przyjrawszy się zdjęciom, Bourdeaux odkrył też pewną liczbę małych schronów wzdłuż ogrodzenia obiektu. Zauważył jeszcze coś: grube kable energetyczne, prowadzące w kilku miejscach do zwieńczenia ogrodzenia oraz sporo wartowników. Taka ochrona w wytwórni mleka w proszku? Tylko nieliczne z parkujących koło magazynu pojazdów były cysternami. Reszta wyglądała na zwyczajne ciężarówki, ze skrzyniami ładunkowymi przykrytymi plandekami.

Natychmiast po obejrzeniu zdjęć, Bourdeaux skontaktował się z KOIF, żądając powiększonych ujęć Allahbadu oraz drugiej wytwórni mleka w proszku na interesującym go obszarze. Trzydzieści minut później otrzymał

wszystko i w duchu pogratulował sobie analitycznego umysłu. Drugie zakłady, w pobliżu Bagdadu, były obsługiwane w większości przez cysterny. W żadnym wypadku nie były też tak silnie strzeżone, jak odległy o 160 kilometrów Allahbad. Na kilku zdjęciach z satelity *KH-11* widać było nawet ludzi, ustawionych w kolejce; prawdopodobnie odbierali swój przydział mleka w proszku. Budynki były podobnej wielkości i kształtu, jak te w Allahbadzie i podobnie usytuowane. Wyjątkiem był ogromny magazyn w Allahbadzie. W zakładach koło Bagdadu nie było czegoś takiego, natomiast w pobliżu bramy wjazdowej stał budynek, służący zapewne jako ośrodek dystrybucji. Wzdłuż jednej ze ścian miał rampę, z której napełniano cysterny i ładowano zwykle ciężarówki. Kolejka ludzi stała po drugiej stronie. Budynek był przynajmniej dwadzieścia razy mniejszy niż magazyn w Allahbadzie. Bourdeaux spojrzął na Halstona, który stał teraz przy oknie koło stołu. Z tym Allahbadem coś jest zdecydowanie nie w porządku.

- Mam jakieś dziwne przeczucie, Pete. Jestem już w CIA kawał czasu i widziałem niejednego dobrze zakamuflowany obiekt. Swego czasu Rosjanie regularnie próbowali oszukiwać nasze satelity. Kubańczycy i Chińczycy też są w tym dobrzy. Myślę, że Irakijczycy ukrywają tam coś bardzo dla nich ważnego. Coś, o czym nie powinniśmy wiedzieć ani my, ani nikt inny. W normalnych warunkach nie ryzykowałbym pochopnych wniosków, ale jeśli wziąć pod uwagę, że wiemy, iż pracują nad bronią jądrową, jeśli powiązać to z informacjami uzyskanymi od Iszmaela... Cóż, myślę, że to właśnie Allahbad. Jeśli nie, to po co im tam takie środki bezpieczeństwa? Ogródenie pod napięciem? Tylu wartowników? Gdzie są ludzie, czekający w kolejce po mleko? Gdzie cysterny do przewozu produktów sypkich? Po co tam tyle zwykłych ciężarówek?

Halston przetarł zmęczone oczy. - Cholera jasna. Wygląda, że masz rację.

- Pete, zorganizuj mi *C-12* i pilota. Muszę jeszcze dziś w nocy polecieć na małą wycieczkę.

Halston przekrzywił głowę. - Dokąd? - spytał.

- Do Rijadu.

- Chcesz się zobaczyć z Marshallem?

- Tak. Zatelefonuję w kilka miejsc i moi ludzie w Rijadzie natychmiast załatwią spotkanie. Będą mi potrzebne wszystkie informacje, jakie zebraliśmy o Allahbadzie i o obronie przeciwlotniczej w tym rejonie.

- Żaden problem.

- Dziękuję. - Bourdeaux pośpieszył do namiotu łączności. Zapowiadała się długa noc.



## ◆ Dzień drugi, 22.00 czasu lokalnego - południowy Irak

Porucznik Kevin Dalton obudził się z bólem głowy i oblany zimnym potem. Uznał, że to spóźniona reakcja na antybiotyki, które Abdul zaaplikował mu kilka godzin wcześniej. Żałował teraz, że w ogóle je brał. Ryzyko infekcji było minimalne po tym, jak Chalila pieczołowicie opatrzyła ranę, kiedy on spał. Abdul to kawał chłopca, pomyślał, patrząc na wielką sylwetkę kurdyjskiego partyzanta, pochrapującego na krześle przy ścianie. W rękę trzymał drewniane naczynie, napełnione przejrystą cieczą, którą nazywał arakiem. Wcześniej dał tego spróbować amerykańskiemu pilotowi. Kevin wprawdzie nigdy nie pił dużo, ale potrafił znieść kilka piw, czy mocniejszych drinków. Jednak ten pędzony z daktyli bimber był, niech to cholera, mocny jak piorun!

Kevin doszedł do wniosku, że zwalisty Kurd dla przyjaciół był serdeczny i łagodny. Zauważył też, że Abdul dokładał wszelkich starań, by jego nowemu amerykańskiemu przyjacielowi niczego nie brakowało.

Porozumiewając się gestami i prostymi słowami, których Abdul nauczył się od Ismaela, Kevin dowiedział się trochę o tym, co spotkało rodzinę Barzaniego oraz rodziny innych Kurdów. Kiedy Kevin wskazał palcem Abdula, wielki Kurd dał do zrozumienia, że jemu towarzyszy szczęście. Większość rodziny miał we wschodnich prowincjach Iranu, z dala od wszelkich niepokoїв. Dał też do zrozumienia, że jego siostra mieszka w pobliżu.

Kevin był zaszokowany tym, czego się dowiedział. Mordowanie całych wsi bronią chemiczną? Jezu Chryste! Z jakim wrogiem my walczyliśmy? Spojrzał na trzy rakiety *Javelin*, oparte o ścianę. A ta broń? Gdzie ją, do diabła zdobyli? Na czarnym rynku?

Abdul otworzył niewielkie okno nad łóżkiem i Kevin podziwiał księżyc w pełni, próbujący się wstydliwie ukryć za chmurą na tle rozgwieżdżonego nieba. Czuł, że ten widok łagodzi chaos w jego duszy i ciele.

Skrzywił się, zdając sobie sprawę, że musi oddać moc, po raz pierwszy od ładnych paru godzin. Zastanawiał się, czy by nie poprosić Abdula, żeby go wyniósł na zewnątrz, ale zrezygnował, nie chcąc wrywać olbrzyma ze spokojnego snu. Postanowił wypróbować wytrzymałość swojej nogi i jakoś nałożonego przez Chalilę opatrunku. Usiadł i przesunął zdrową nogę do krawędzi łóżka. Potem zaczął powoli podnosić lewą nogę, zaciskając zęby w oczekiwaniu bólu, który doskwierał mu całe przedpołudnie. Ból nie nadszedł. Było trochę niewygodnie, ale bez porównania lepiej niż pięć godzin wcześniej. W głowie natomiast pulsowało mu bez przerwy. Aspiryna, którą zażył przed snem, nic tu nie pomogła.

Zaskoczony, że tak szybko odzyskuje formę, Kevin postanowił stanąć na jednej nodze. Podnosząc się poczuł, jak krew napływa do rany. Lewa noga zaczęła mu bardziej dokuczać, ale ból był do zniesienia. Wziął laskę, którą przyniósł mu Abdul i mocno się na niej oparł.

Przekonany, że jest się w stanie poruszać bez pomocy, Kevin zarzucił sobie koc na ramiona - na dworze było teraz zimno - i powoli szedł przez pokój. Dotarł do niewielkiego pomieszczenia jadalnego, a stamtąd do drzwi, prowadzących na zewnątrz. Otworzył je szeroko.

Napełnił płuca chłodnym nocnym powietrzem i rozejrzał się dookoła, zanim podszedł do ściany budynku...

Kiedy, po załatwieniu potrzeby, ruszył z powrotem do drzwi, zaskoczony zobaczył Chalilę z wymierzoną w niego bronią. Miała na sobie białą bawełnianą koszulkę, wpuszczoną w spodnie polowego munduru. Kevin spostrzegł, że nie nosiła biustonosza; ciemne brodawki sterczały wyraźnie przez cienką bawełnę. Wyglądała wspaniale w świetle księżyca. Oczy miała teraz jakby nie całkiem zielone; coś między zielenią a błękitem.

- To nie było najmądrzejsze, Kevin. Mogłam cię zastrzelić.

Chalila schowała broń i zmierzyła go wzrokiem. Kevin poczuł się zażenowany, stojąc przed nią w samych spodenkach. - Wygląda na to, że noga goi się szybciej, niż myślałam. Powinieneś podziękować Abdulowi.

- Przecież wiem, że to twoja zasługa. Abdul mi powiedział, że opatrzyłeś ranę. To jeszcze jeden z twoich wielu talentów?

Chalila roześmiała się. - Zawsze zadajesz tyle pytań?

- Czasami. - Kevin podszedł bliżej, oczarowany pięknem jej twarzy, tak promiennej i pełnej życia. Jej białe, równe zęby pobłyskiwały w ciemności. Wargi wydawały się wilgotne mimo suchego, pustynnego powietrza. Kevin zastanawiał się, jak ona to robi. Był na pustyni niecały dzień i już miał spaloną słońcem twarz i spieczone wargi, mimo olejku przeciwsłonecznego i ochronnego balsamu.

- Skąd jesteś, Chalila?

Uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy. - Myślałam, że uzgodniliśmy, iż na razie nie będziesz zadawał takich pytań.

- Przepraszam. Jestem po prostu ciekaw. Mówisz z akcentem, którego nigdzie nie mogę umiejscowić. Nie arabski, nie...

- Przykro mi, niczego ci na razie nie powiem.

- A co możesz mi o sobie powiedzieć? - Kevin zauważył, że dziewczyna przestępuje z nogi na nogę, wyraźnie niezadowolona z jego pytań.

- A co chciałbyś wiedzieć?  
- Na przykład, co cię łączy z kurdyjskimi partyzantami?  
Odpnęła się trochę, słysząc to pytanie. - Trochę im pomagam.  
- To ty dostarczałaś im te *Javeliny*?  
Powoli pokręciła głowę. - Zadajesz za dużo pytań.  
- To chyba normalne, że chcę się czegoś dowiedzieć o ludziach, którzy mnie uratowali.  
- Tak jak powiedziałam, zadajesz za dużo pytań.  
- Cóż, nie jesteś Kurdyjką, twierdzisz, że nie jesteś też Amerykanką, mówisz płynnie po angielsku i wydaje się, że znasz się na *MiG-ach* i amerykańskich myśliwcach. Może to oznaczać, że jesteś w wojsku, albo w jakiejś służbie wywiadowczej. Mam rację?  
- Robi się późno.  
- Nie możesz mieć do mnie pretensji, że próbuję się czegoś domyślić. Pozwól, że zadam ci pytanie, na które chyba będziesz mogła odpowiedzieć. Kiedy wyruszymy? - Spojrzał na zegarek. Była druga nad ranem.  
- Około piątej. Lepiej się trochę prześpij, będzie ci to potrzebne.  
Odwrociła się i weszła do domu. Kevin w ciągu kilku sekund znalazł się z powrotem w łóżku, wciąż zachodząc w głowę, kim była ta dziewczyna. Wydawało mu się, że dostrzegł błysk w jej oczach, kiedy wspomniał „służbę wywiadowczą”. Była agentką CIA? Kevin pokręcił głowę. Pamiętał, jak powiedziała, że Kurdowie to „nasi sojusznicy”. Nasi sojusznicy? Kevin wiedział, że w tym regionie prawdziwych sojuszników Stanów Zjednoczonych można policzyć na palcach jednej ręki: Brytyjczycy, Niemcy, czasem Francuzi i Izraelczycy. Tak naprawdę, jedynym prawdziwym sojusznikiem była Wielka Brytania. Francuzi zachowywali się w sposób trudny do przewidzenia i w każdej chwili mogli się odwrócić plecami do USA. Niemcy bez problemów dostarczali znaczne fundusze, ale nie ludzi. Izraelczycy... Z uwagi na bliskość Iraku, w żywotnym interesie Izraela leżało pilnowanie, by Husajn pozostawał na krótkiej smyczy. Poza tym, Stany Zjednoczone były tu dość osamotnione. Pozostali członkowie koalicji udzielili Amerykanom poparcia z konieczności. Saudyjczycy, ponieważ chcieli, żeby Stany Zjednoczone chroniły ich przed Irakiem. Rosjanie mieli zbyt wiele problemów wewnętrznych, by móc zaferować coś więcej niż wsparcie moralne.  
Musiała być Angielką, Francuską, albo Żydówką. Żadna inna narodowość nie wchodziła w grę. Jeśli chodzi o służby wywiadowcze, to brytyjska SIS i izraelski Mossad dorównywały CIA. Wywiad francuski był tak mało znaczący, że można go było pominąć. Angielka czy Żydówka? Może jednak Mossad?  
Kevin usnął.

Ismael Barzani trzymał w ręku kawałek chleba. Ten chleb bez zaczynu pieczono w formie wielkich, płaskich i miękkich placków. Ismael używał go jak łyżki, wygarniając z drewnianej miski kozi ser. Siedział nad przepaścią kilkadziesiąt metrów od domu. Widział, jak amerykański pilot wyszedł na zewnątrz. Obserwował go potem rozmawiającego przez kilka minut z Chalilą, póki oboje nie weszli do środka. Potem przeniósł wzrok na trzech wartowników, których ustawił koło kilku pojazdów z napędem na cztery koła, zaparkowanych za domem. Noc była spokojna.

Skoncentrował uwagę na kawałku chleba z kozim serem i wiedział, że nie uniknie bólu, ale nie miał wyboru. Musiał co jakiś czas coś zjeść, żeby mieć siły do walki. Włożył mały kawałek chleba do ust i ugryzł najpierw delikatnie, ostrożnie, a potem mocniej. Językiem przesunął kęs w kierunku zębów trzonowych. Kiedy zaczął żuć prawą stroną, przeszył go ból tak ostry, że aż zadrżał i przyklnął na chwilę oczy. Rozwarł nieco szczęki i ból osłabł. Przesunął kęs na lewą stronę i znów zaczął żuć, ale ból natychmiast powrócił z taką siłą, że Ismael musiał kilka razy głęboko odetchnąć. Czując w ustach posmak własnej krwi z chorych dziąseł, zrezygnowany trzymał kawałek chleba na języku, czekając, aż zmięknie od śliny i da się połknąć bez pogryzienia. Powtarzał to z następnymi kęsami.

Kiedy skończył, zapatrzył się w gwiazdy. Takie odległe, pomyślał, opierając się wygodniej o wielką skałę i pociągając łyk araku, który wprawdzie palił mu dziąsła, ale smakował, jak mało co. Arak to najlepszy sposób na ogrzanie się w zimną pustynną noc, pomyślał, ocierając wąsy. Pamiętał czasy, kiedy nie potrzebował araku, żeby nie zmarznąć w nocy. Pamiętał noce z Raniją, swoją młodą żoną.

Kilka łąz powoli spłynęło z zapadłych oczu Iszmaela po ogorzalej od słońca twarzy, kiedy wspomniał, jak zobaczył ją po raz pierwszy w małej wiosce na północ od Halabdy. Czerpała właśnie wodę ze studni. Ismael przybył tam właśnie ze swym oddziałem partyzanckim po dwóch dniach ciężkich walk z Irańczykami przy granicy. Jego oddział poniósł duże straty. Sam Ismael był ranny w prawe ramię.

Pociągnął łyk araku i przesunął dłonią po kilkucentymetrowej bliźnie. Pamiętał, jak kobiety przy studni podbiegły do nich i zaprowadziły do miejscowej szkoły, gdzie opatrzyły rannych. Ranija zajęła się Iszmaelem. Oczyściła mu ranę i przez następne kilka dni regularnie zmieniała opatrunki. Ismael dowiedział się, że była córką *szia*, duchowego przywódcy wioski, szanowanego za mądrość i religijność. Zakochał się w ciągu kilku dni

i postanowił poprosić jej ojca o rękę dziewczyny. Poszedł do niego natychmiast, ale dowiedział się tylko, że Ranija jest już obiecana stryjecznemu bratu, znanemu w okolicy zabijace. Ów brat był wprawdzie powszechnie znienawidzony, ale tradycja dawała mu prawo poślubienia Ranii. Pierwszą myślą, jaka przemknęła Iszmaelowi przez głowę, było porwanie dziewczyny, ale szybko odrzucił ten pomysł. Zgodnie z plemiennym obyczajem, takie małżeństwa nie były uznawane, a często kończyły się śmiercią uciekinierów. Włóczył się po wsi ze złamanym sercem, kiedy usłyszał, że ktoś woła jego imię. Odwrócił się i zaskoczony ujrzał stryjecznego brata Ranii, idącego ku niemu z nożem w ręku. Iszmael pomyślał, że tamten musiał się jakoś dowiedzieć o jego uczuciu do dziewczyny. Wiedział, że czeka go walka na śmierć i życie. Taki był kurdyjski obyczaj. Tylko w ten sposób tamten mógł oczyścić swój honor.

Iszmael pochylił się i pociągnął następny łyk, wspominając tamtą krótką, ale krwawą walkę. Stryjeczny brat Ranii nie dorównywał umiejętnościami Iszmaelowi, o czym przekonał się zaraz po pierwszym ataku. Iszmael bez trudu zablokował uderzenie i kopnął przeciwnika w tyłek, tak że tamten wpadł głową do kałuży przy studni. Napastnik zerwał się i spojrzał zaskoczony na Iszmaela, zdając sobie sprawę, że popełnił błąd. Wyzwał go do walki na śmierć i życie, a walki tej w żaden sposób nie mógł wygrać. Spojrzał na Iszmaela, a potem na zgromadzonych wokół mieszkańców wioski. Ranija stała koło ojca. Wiedział, że ma tylko jeden wybór: zginąć albo na zawsze utracić honor. Wybrał śmierć i rzucił się na przeciwnika. Dopiero wtedy Iszmael dobył noża, odparł amatorski atak i poderznął tamtemu gardło. Tydzień później poślubił Raniję, która miała wtedy zaledwie siedemnaście lat.

Ranija...

Iszmael Barzani popijał arak i patrzył w gwiazdy.

### ♦ Dzień drugi, 23.00 czasu lokalnego - 240 kilometrów na północny zachód od Rijadu, Arabia Saudyjska

- Dobrze się czujesz, koleś? - zapytał oficer, siedzący na lewo od Roberta Bourdeaux w tylnej części samolotu *Beach C-12A*, jednej z wielu maszyn transportowych świadczących usługi kurierskie siłom sojuszniczym w Arabii Saudyjskiej i Kuwejcie.

Bourdeaux nie odpowiedział. Jego głowa źle zniosła zmianę ciśnienia podczas wchodzenia na pułap. Teraz maszyna dostała się w nieoczekiwane turbulencje. Bourdeaux siedział z zamkniętymi oczyma i masował sobie skronie. Jego żołądek też niezbyt dobrze znosił niespokojny lot, co Bourdeaux trochę zaskoczyło. Rzadko miewał nudności. Z drugiej strony, od

czasu przybycia w ten region doświadczał zabójczej kombinacji nieodpowiedniej diety, braku snu i nadmiernego stresu, a to zawsze rozstrajało mu organizm.

- Hej, kolego, dobrze się czujesz? - oficer powtórzył pytanie z odcieniem zaniepokojenia w głosie.

- Przeżyję.

- Nie brzmi to zbyt przekonująco.

- Powiedzmy, że... że czułem się już w życiu lepiej. Mój organizm źle znosi... zmiany ciśnienia.

- Skoro tak mówisz. Jestem pułkownik Richard Kramer, ale przyjaciele mówią na mnie Buhaj.

- Bourdeaux... Robert Bourdeaux. - Przycisnął obie dłonie do żołądka. Nudności wymykały mu się spod kontroli.

- Miło mi cię poznać Bob. O kurwa! jeśli musisz rzygać, to złap jedną z tych torebek po prawej stronie. Bez obrazy, ale nie chcę wachać twoich wymiocin przez całą drogę do Rijadu.

Bourdeaux sięgnął po torebkę. Czuł skurcze żołądka, ale torsji nie dostał. Wyprostował się w fotelu, nie wypuszczając z rąk otwartej torebki. Głowa zaczęła go boleć bardziej niż przedtem. Jezu Chryste!

- Jest pan pilotem, pułkowniku? - Bourdeaux zmusił się do zadania tego pytania, próbując odwrócić swą uwagę od głowy i żołądka.

- Tak, ale nie dziś w nocy. Miałem trochę problemów z tym moim cholernym nowoczesnym myśliwcem podczas wczorajszych ćwiczeń i musiałem awaryjnie lądować w waszej bazie. Nie mogę powiedzieć, że bym był z tego powodu szczęśliwy, ale przynajmniej nie rozwaliłem siebie i maszyny.

- Przykro mi, pułkowniku. A po co leci pan do Rijadu?

- Spotkać się z kumplem, ale przed świtem muszę być z powrotem w bazie. O siódmej rano mechanicy będą naprawiać moją maszynę i chcę być przy tym. - Kramer spojrział na zegarek. - No, jeszcze dwadzieścia minut i będziemy na miejscu.

- Doskonale. Nie mogę się doczekać ziemi pod nogami.

- Szczur lądowy, co?

- Co pan powiedział?

- Ach, nic ważnego.

- Pułkowniku?

- Tak?

- Gdzie pan stacjonował przed tym konfliktem? - zapytał Bourdeaux, próbując nie myśleć o swoim fatalnym samopoczuciu.

- Trzydzieste siódme Taktyczne Skrzydło Myśliwskie w Tonopah, Nevada. Przedtem brałem udział w Pustynnej Burzy.

Na Bourdeaux zrobiło to wrażenie. - Trzydzieste siódme? To niedaleko bazy lotniczej Nellis. Czy to nie właśnie tam Siły Powietrzne trzymają swoje myśliwce *stealth*?

- Zgadza się. A koło ciebie siedzi najlepszy pilot tych maszyn w całych cholernych Siłach Powietrznych.

- Ód jak dawna lata pan na *F-117A*?

- Hmm... od jakichś pięciu lat. Latałem już na jednym z pierwszych *F-117A*, które wykonano w zakładach Lockheeda.

- A gdzie teraz trzymają was i te wasze samolociki?

- W tym samym miejscu, co podczas Pustynnej Burzy. Cały dywizjon - z wyjątkiem mojej maszyny - jest w bazie lotniczej Chamis Muszait, w górach na południowym zachodzie Arabii Saudyjskiej, ale tam nikogo się nie wpuszcza bez ważnego powodu. A ty skąd jesteś?

- Urodziłem się i wychowałem w Waszyngtonie. Sądząc po akcencie, ciebie nie muszę pytać, skąd jesteś.

- Waco, Teksas! To jasne. Robią tam najlepsze cholerne barbecue na świecie. Jeśli choć raz spróbujesz naszych wołowych żeberek z rusztu, gdzie indziej żadne barbecue nie będzie ci już smakować.

To była kropla, która przepelniła czarę. Bourdeaux przestał panować nad żołądkiem. Skurczył się i zwymiotował.

- O kurwa! Bardzo mi przykro. Chyba nie pomyślałem, co mówię.

Bourdeaux nie odpowiedział. Nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie. Jego żołądek wyrzucał z siebie niepożądane substancje. Wreszcie uniósł głowę i kilka razy głęboko odetchnął. - Niech to diabli!

- Nie przejmuj się. Każdemu się na początku zdarza. Potem żołądek się przyzwyczai.

Bourdeaux poczuł drugą falę nudności i czym prędzej przytknął torebkę do ust. Łzy ciekły mu po twarzy, głowa łupała. Cholerna robota, pomyślał, gapiąc się na swoje buty.

### ♦ Dzień drugi, 23.20 czasu lokalnego - baza Dowietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Pułkownik Peter Halston miał w pamięci muzykę i zapach świeżych kwiatów. Pamiętał też białą suknię Elaine. Mały kościół pełen ludzi. Jej rodzina po jednej stronie. Jego po drugiej. Z tyłu Halston widział przyjaciół, którzy, jak nakazywała tradycja, dawali mu znaki, żeby uciekał z miasta, póki jeszcze może. Widział swą matkę, płaczącą z radości. Przede wszystkim jednak miał w pamięci twarz Elaine. Pamiętał jej oczy, szukające

jego oczu zza woalki. Jej usta poruszały się, kiedy wypowiadała słowa przysięgi, której zamierzała dotrzymać do końca życia... tak krótkiego. Znów stał obok niej. Znów był z nią w tym idealnym świecie, który powoli odślaniał swe powaby przed młodą parą, obiecując dobre życie. Potem coś się zmieniło. Światła w kościele przygasły. Ludzie powoli wstawali z ławek, ustawiając się na środku w długi rząd. Kolejno podchodzili do niego. Nikt się już nie uśmiechał. Kwiaty pozostały, natomiast zmieniła się muzyka. I ludzie. Matka, ubrana na czarno, stała u jego boku. Przyjaciele, z poważnymi twarzami, podchodzili, ściskali mu dłoń i mówili coś, czego Peter Halston nie mógł zrozumieć. Potem odeszli. Wszyscy. Był sam... sam z trumną, jej trumną. Widział, jak opuszczają ją do grobu. Widział, jak róża, którą przedtem trzymał, pada na wieko trumny i zostaje przysypana ziemią, która grzebała jego miłość, jego nadzieję, jego życie. Peter Halston chciał odpędzić te wspomnienia, ale nie mógł. Widział tamten zakręt na szosie i światła nadjeżdżającej z przeciwka ciężarówki. Czuł drgania kierownicy, kiedy zjeżdżał z szosy, żeby uniknąć czołowego zderzenia. Ale to drzewo... Nie mógł już ominąć drzewa. Huk zderzenia łomotał mu w uszach jeszcze długo potem, jak wszystko wokół znieruchomiało. Długo potem, jak pas bezpieczeństwa werznął mu się w klatkę piersiową, absorbując tę samą energię, która wyrzuciła Elaine jak pocisk przez przednią szybę. Jej ciało uderzyło o pień drzewa i opadło na maskę. Widział jej zmiażdżoną twarz. Martwe oczy, które na niego patrzyły... Jej oczy... jej oczy...

Peter Halston usiadł na łóżku i głęboko wciągnął powietrze. Jezu Chryste. Kiedy to się skończy? Po sześciu latach wciąż miał wszystko w pamięci tak, jakby zdarzyło się wczoraj.

Pokręcił głową i spojrzął na zegarek. Wiedział, że musi minąć trochę czasu, zanim znów będzie się mógł położyć spać. Serce biło mu szybciej, czuł adrenalinę we krwi. Wstał, założył świeży mundur polowy i wyszedł przed namiot.

Baza wydawała się niezwykle cicha. Wszystkie myśliwce stały pod siatkami maskującymi. Poszedł powoli pasem startowym, podziwiając sylwetkę śmigłowca *Pave Hawk*. Spojrzął w górę, w. rozgwieżdżone, kryształowo czyste niebo. Usiadł pod nosem śmigłowca i zapatrzył się w dal. W bezksiężycową noc na pustyni trudno było powiedzieć w którym miejscu ziemia stykała się z niebem. Jediną wskazówką była wyimaginowana linia, poniżej której nie widziało się gwiazd. Sama pustynia wyglądała jak jakaś wielka, czarna otchłań, bez początku i bez końca. - Czarna dziura. To brzmi jak definicja mojego życia - mruknął.



- Nie wiedziałam, że lubisz mówić do siebie, Pete.

Zaskoczony Halston odwrócił się i zobaczył uśmiechniętą Amandę Green, która stała z założonymi rękoma pod ogonem śmigłowca.

- Też nie możesz usnąć? - zapytała, podchodząc do niego.

- Nie mogę.

- Nie przeszkadzam?

Gestem wskazał jej miejsce po swojej prawej stronie. Usiadła i objęła rękami kolana.

- Tak tu spokojnie - powiedział. - Aż trudno uwierzyć, że niedaleko stąd zginęło tylu ludzi.

- Wygląda na to, że będzie więcej ofiar, jeśli Irakijczycy się nie opamiętają - powiedziała.

- My tutaj wiemy, co to śmierć. Dla ludzi w kraju to wszystko jest czymś w rodzaju filmu i to bez ograniczeń wiekowych. Od samego początku Pustynnej Burzy relacje z naszych działań przeciw Irakowi wydają się oczyszczone ze wszystkich bardziej drastycznych szczegółów.

- Możesz za to podziękować CNN - odparła, przesuwając dłonią po krótkich kasztanowych włosach. - Mój ojciec walczył w Wietnamie. Też był pilotem śmigłowca. Kiedy wrócił z tej wojny, potrafił całymi godzinami po prostu patrzeć w gwiazdy. Gdy siadałam koło niego, opowiadał mi, co widział i przeżył w Wietnamie. To dziwne. Z nikim innym nie chciał rozmawiać o wojnie, a mnie opowiadał wszystko z własnej woli. Nasze wojny, Pustynna Burza i to, co dzieje się teraz, bardzo różnią się od wojny, w której on walczył. Wydają się takie oderwane od rzeczywistości, przynajmniej po naszej stronie. O ofiarach nie mówi się zbyt wiele. Wszystko, co pokazuje telewizja, jest oczyszczone ze szczegółów, jakby sterylne. Zastanawiam się, dlaczego?

- Czy oprócz ciebie i ojca jeszcze ktoś z rodziny jest w wojsku?

Pokręciła głową. - Nikt. Żaden z moich czterech braci. Mój ojciec nie posiadał się z dumy, kiedy dowiedział się, że postanowiłam zostać pilotem śmigłowców. Jestem jedynym dzieckiem, które poszło w jego ślady.

Halston się uśmiechnął. Bardzo dobrze się czuł w towarzystwie Amandy Green.

- Lata nadal?

- Stracił licencję pilota w zeszłym roku, kiedy przepadł na badaniach lekarskich. Zawężające się pole widzenia; nic na to nie można poradzić. Żyją z mamą z jego wojskowej emerytury. Nie jest tego dużo. Pomagam im, jak mogę. Moi bracia też.

- Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro. Jesteś z ojcem bardzo związana, co?

Odetchnęła głęboko. - Tak, bardzo. Wciąż jestem jego małą dziewczynką.

- A jak się układa z matką?

- Wiele się zmieniło, od kiedy wstąpiłam do wojska. W odróżnieniu od ojca jest trochę staroświecka w poglądach na kobiety i ich rolę w społeczeństwie. Nigdy w życiu nie pracowała zawodowo. Za to z tatą rozumiemy się wspaniale. Brak mi go.

- Często dostajesz listy?

- Tak, ale to nie to samo. Brakuje mi jego. Brakuje mi jego głosu. Cóż, taki los.

- Przecież możesz zatelefonować.

- Tak, ale to za drogo kosztuje. Nie stać nas na to.

Halston studiował jej profil: nieco zadarty nos, małe usta i niewielki zakrąglony podbródek, krótkie kasztanowe włosy, ledwie zakrywające kark.

- Zastanawiasz się czasem, co przyniesie jutro? Nie sposób wykluczyć, że przystąpimy do zupełnie innej wojny - zapytał.

- Robię to, co mój ojciec w Wietnamie: żyję dniem dzisiejszym.

Halston uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy. Odwzajemniła uśmiech i na chwilę opuściła wzrok. - Co my robimy? - spytała.

- Jeszcze nic - odpowiedział Halston. - Ale sprawy mogą się skomplikować. Jestem twoim dowódcą.

- Tak, wiem - powiedziała.

- Nie chciałbym, żeby się to odbiło na twojej karierze. Jesteś świetnym pilotem.

Zamilkli oboje. Wreszcie wstali i każde poszło do swojego namiotu. Leżąc w łóżku, Halston wpatrywał się w brezentowy sufit. Dopóki Amanda była pod jego dowództwem, stosunki osobiste były czymś niewłaściwym. Z drugiej strony, śmierć Elaine spowodowała w jego życiu ogromną pustkę. Do dziś czuł się samotny, pozbawiony prawdziwego celu w życiu. Tak, Siły Powietrzne dały mu poczucie własnej wartości, jakiego nie mógł przynieść żaden związek osobisty, ale przecież życie było czymś więcej niż odpalaniem *Patriotów* i wypełnianiem formularzy. Nie miał natury samotnika. Potrzebował kogoś, z kim mógłby razem iść przez życie. Pułkownik Peter Halston, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, zdał sobie sprawę, że znów potrzebuje towarzyszkę życia i że byłoby wspaniale, gdyby została nią Amanda Green. Odpowiadała dokładnie jego ideałowi kobiety, z wyjątkiem jednego - była jego podwładną.

Ale czy tak naprawdę chciał się znów blisko z kimś związać? Teraz, kiedy szykowała się następna wojna? Po śmierci Elaine był blisko całkowitego załamania. Minęły lata, zanim w pełni wrócił do normalnego życia, a od koszmarów nie uwolnił się do dziś. Czy potrafiłby po raz drugi przetrwać taką tragedię, jak wtedy? Zasnął, nie znalazłszy odpowiedzi na te pytania.

### ◆ **Dzień drugi, 16.30 czasu lokalnego - Biały Dom**

Prezydent Bill Clinton siedział za biurkiem, nie przerywając dyrektorowi CIA Craigowi Kettlerowi, który referował sporządzoną przez Roberta Bourdeaux analizę dziwnych różnic między dwiema fabrykami mleka w proszku w Iraku. Słuchając uważnie, prezydent zrozumiał, dlaczego dyrektor wysłał tam właśnie kogoś takiego jak Bourdeaux. W sprawach wywiadu ten człowiek miał szósty zmysł. Specjalistom z KOIF nie zabrało wiele czasu wyłowienie anomalii w ruchu samochodowym do i z Allahbadu, ale trzeba było kogoś takiego, jak Bourdeaux, żeby wnieść do tej analizy nową jakość, porównując Allahbad z podobnym obiektem i próbując wyjaśnić różnice.

Kombinat Spożywczy Allahbad. Czy przypuszczenia Bourdeaux są prawdziwe, czy też jest to kolejna zagrywka Saddama, podsuwającego Amerykanom fałszywe informacje i umacniającego w tym czasie swoją pozycję? Oddziały irackiej Gwardii Republikańskiej znajdowały się już tylko o dwa dni drogi od Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej, i Clinton postawił siły sojusznicze w stan najwyższej gotowości. Wystarczy, żeby wydał rozkaz, a jego bombowce w ciągu kilku godzin wyeliminują nacierających Irakijczyków. Nie mógł jednak tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

Kettler zakończył swoje wyjaśnienia informacją, że Bourdeaux zażądał spotkania z generałem Marshallem.

Clinton kiwnął głową. - Słusznie. Dopilnuj, żeby Draper wziął udział w tym spotkaniu. Potem zorganizuj mi konferencję telefoniczną z Draperem i Marshallem.

- Tak jest, panie prezydencie.

Po raz pierwszy od kilku dni prezydent dostrzegł promyk nadziei, przynajmniej jeśli chodzi o Allahbad. Nadal martwił się losami dwóch zaginionych pilotów. Modlił się w duchu za nich.

# 8.

## Dowódcy

*Najtrudniejszym zadaniem prezydenta  
nie jest postępować słusznie, lecz wiedzieć, co jest słuszne.*

*Lyndon B. Johnson*

### ♦ Dzień trzeci, 1.15 czasu lokalnego - Centralne Dowództwo Sił Powietrznych USA (CENTAF), Rijad

Robert Bourdeaux miał coraz bardziej dość ciemnego, ponurego pokoju, zwanego Czarną Dziurą, do którego zaprowadzono go, kiedy przybył do CENTAF. Kiedy zszedł schodami do pomieszczeń w piwnicy, z których generał Roy Marshall i jego sztab kontrolowali przestrzeń powietrzną w tym regionie, Bourdeaux szybko zrozumiał, skąd wzięła się nazwa pomieszczenia. Było to ponure, deprymujące miejsce. Trudno było uwierzyć, że właśnie tutaj dowódca naczelny sił powietrznych sojuszu prowadził wszystkie odprawy i spotkania, potrzebne do wydawania rozkazów dla lotnictwa.

Problemy z żołądkiem skończyły się, kiedy wylądowali w Rijadzie, ale głowa nie przestawała go boleć. Bourdeaux siedział coraz bardziej poirytowany. Od kiedy tu przybył przed dwiema godzinami, wszyscy zdawali się go ignorować. Trzy kapsułki Tylenolu o wzmocnionym działaniu, które zażył dwadzieścia minut temu, wciąż nie skutkowały.

Oprócz tablicy, do której Bourdeaux przypiął już kilka fotografii z *KH-11* i mapę otrzymaną od Kurda Iszmaela, całe umeblowanie pokoju stanowił stary metalowy stół z trzema składanymi krzesłami po każdej stronie. Na stole, przy końcu przeciwnym do pomalowanych na brązowo drzwi, stał statyw.

Drzwi się otwały. Bourdeaux wstał, ale zaraz opadł z powrotem na krzesło, widząc tego samego kapitana, który go tu przyprowadził.

- No i? - zapytał Bourdeaux z odcieniem zniecierpliwienia w głosie. - Myślałem, że moi ludzie wszystko zaaranżowali.

- Oczywiście, że tak, panie Bourdeaux - odpowiedział kapitan, niski, nieco otyły mężczyzna w średnim wieku, z błyszczącym czołem i szpiczastym nosem. - Generał przez cały czas ma spotkania, ale wkrótce do pana przyjdzie z kilku członkami swojego sztabu. Na marginesie, generał miał dziś mnóstwo spraw. Jest zmęczony i rozdrażniony. Niech pan od razu przejdzie do sedna sprawy, krótko i precyzyjnie. Generał z pewnością to doceni.

- Dziękuję za radę.

Kapitan wyszedł z pokoju.

Dziesięć minut później drzwi znów się otwały. Siedząc na krawędzi stołu, koło statywu, Bourdeaux obserwował czterech mężczyzn, wchodzących do pokoju. Rozpoznał generała Marshalla na podstawie zdjęć z prasy i wiadomości CNN. Był jedynym trzygwiazdkowym generałem w tej grupie. Pozostali mieli tylko po jednej gwiazdce. Marshall przysunął sobie składane krzesło. Zwrócony plecami do drzwi, powoli usiadł, mierząc Bourdeaux wzrokiem.

Największe wrażenie wywarło na Bourdeaux właśnie to przewiercające na wylot spojrzenie. Marshall był ostrzyżony na wojskowego jeża, miał śniadą cerę, czarne włosy, ciemnobrązowe oczy, opadające na końcach brwi i wysokie czoło. Wydatny nos wisiał mu nad wąskimi wargami. Mocny podbródek nadawał jego twarzy wyraz rubasznego wesoleństwa. Generał już z niejednego pieca jadł chleb, uznał Bourdeaux. Miał to wypisane na twarzy. Marshall był z pewnością rzeczowym facetem.

- Dobry wieczór, panowie - powiedział.

- Dobry wieczór, panie Bourdeaux - odpowiedział mu generał, skinąwszy lekko głową. Członkowie sztabu zachowali milczenie. - To generałowie Tom Kleiner i Hutch Potter. Są moimi głównymi doradcami. Jest też ze mną generał Kenneth Draper, podsekretarz do spraw Bliskiego Wschodu w Departamencie Obrony. Panowie, dyrektor CIA zadzwonił do mnie dwie godziny temu, prosząc, żebym się spotkał z panem Bourdeaux w sprawie ważnych informacji na temat prac nad bronią jądrową w Iraku.

Kleiner i Potter siedzieli po prawej stronie Marshalla, Draper po lewej. Bourdeaux nigdy przedtem nie spotkał doradców Marshalla, natomiast od razu rozpoznał Drapera, siwowłosego oportunistę. Generał Kenneth J. Draper miał bardzo dobre kontakty nie tylko z administracją Clintona i dowództwem sił zbrojnych USA, ale także ze służbami wywiadowczymi. Pochodził z bardzo bogatej rodziny waszyngtońskiej i znał osobiście mnóstwo wpływowych polityków. W Langley krążyła plotka, że Draper zawdzięczał karierę swym powiązaniom z pewnymi frakcjami w siłach zbrojnych i w Kongresie; powiązania te obejmowały podobno przychodzenie

politykom z pomocą w postaci znacznych dotacji na ich kampanie. Draper bez wahania zmieniał front, jeśli miało mu to umożliwić awans. Srebrny Szczur, jak nazywano go w niektórych kręgach wywiadu, gotów był bez mrugnienia okiem złamać komuś karierę, jeśli tylko widział w tym jakąś korzyść dla siebie. Zawsze uważano go za polityka w mundurze i w końcu został nim rzeczywiście, kiedy prezydent Clinton mianował go podsekretarzem do spraw Bliskiego Wschodu. Niektórzy ludzie w Langley byli przekonani, że jedynym powodem, dla którego Draper poszedł do wojska, było wykorzystanie sił zbrojnych jako odskoczni do kariery politycznej. Wiedząc o tym wszystkim, nie był zaskoczony obecnością Drapera. Szczęściem dla Bourdeaux, Draper go nie znał. Dawało to Bourdeaux pewną przewagę.

Modląc się, żeby Tylenol zaczął wreszcie działać, Bourdeaux rozpoczął.

- Miło mi panów poznać. Dziękuję, że zechcieliście się ze mną spotkać, chociaż przybyłem nieomal bez uprzedzenia. Będę mówił krótko i konkretnie. - Bourdeaux podszedł do tablicy. - Panowie, jestem wyższym funkcjonariuszem CIA, oddelegowanym do 47. Taktycznego Skrzydła Myśliwskiego w Salman Asad. Do moich zadań należy zbieranie informacji wywiadowczych od agentów, których zwerbowałem w Iraku. Powierzono mi ponadto analizę informacji, które otrzymuję, analizę zdjęć satelitarnych zebranych przez Krajowy Ośrodek Interpretacji Fotografii oraz, na podstawie mojej interpretacji tych danych, formułowanie zaleceń i opracowywanie opcji, dotyczących prawdopodobnych kierunków działania. Wczoraj, dokładnie o godzinie dziewiątej rano czasu lokalnego, spotkałem się z grupą partyzantów kurdyjskich, którzy podczas ataku na posterunek iracki, natknęli się na tę oto mapę... - Bourdeaux mówił przez następne dziesięć minut, referując wszystko, co razem z Halstonem wywnioskowali z mapy, dokumentów i zdjęć satelitarnych, łącznie z różnicami między fabrykami mleka w proszku. Kiedy tylko skończył, generał Draper podniósł rękę.

- Tak, generale? - zachęcił go Bourdeaux.

- Panie Bourdeaux, pańskie informacje wydają się solidne. O ile mi wiadomo, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej i sam prezydent podzielają tę opinię. Wygląda na to, że dogłębnie pan wszystko przeanalizował.

Bourdeaux wypchnął trochę dolną wargę językiem, uważnie przyglądając się Draperowi. Pulsujący ból głowy był coraz silniejszy. Co, do diabła, dzieje się z tym Tylenolem? Przeczował, że Draper prowadzi swoją klasyczną gierkę. Moim kosztem będzie chciał dobrze wypaść przed Marshallem. Postanowił rozegrać to bez emocji. - Dziękuję panu, panie podsekretarzu.

- Wolałbym, żeby zwracał się pan do mnie „generale Draper”, panie Bourdeaux. Myślę, że zasłużyłem sobie na ten stopień.

- Oczywiście, panie generale.

- Tak jak powiedziałem, panie Bourdeaux - ciągnął Draper - wygląda na to, że wszystko pan dokładnie przeanalizował. Wszystko, oprócz jednego.

Bourdeaux czekał przez kilka sekund, podczas gdy Draper się w niego wpatrywał. Zanim zdecydował się otworzyć usta, odezwał się Marshall, z nuta zniecierpliwienia w głosie.

- Generale Draper, czy zechciałby nam pan powiedzieć, co pan Bourdeaux przeoczył?

Draper uśmiechnął się do Bourdeaux. - Prezydent podejmuje mnóstwo decyzji na podstawie zebranych przez pana informacji, panie Bourdeaux. Czy ufa pan bez zastrzeżeń informacjom, które przekazali panu Kurdowie? Sprawdził je pan w innych źródłach?

- Pan go nie docenia. Faceci z CIA zawsze mają wiele źródeł informacji. Jestem pewien, że już wszystko sprawdził - wtrącił Marshall. - Mam rację, panie Bourdeaux?

Ból głowy stawał się nie do zniesienia. Bourdeaux potrzebował całej siły woli, żeby go ignorować. Wszyscy patrzyli na niego, czekając na odpowiedź. Co miał odpowiedzieć? Nie, generale, nie sprawdziliśmy tych informacji w innych źródłach, bo wie pan co? Saddam pozabijał już większość moich agentów w Iraku. Mam jednak przecucie, że te informacje są prawdziwe. Bourdeaux doskonale zdawał sobie sprawę, że po takiej odpowiedzi natychmiast by go odwołano z powrotem do Langley, a tam jego dni byłyby najprawdopodobniej policzone. Pozbyto by się go za skompromitowanie Firmy wobec osobistości tego kalibru, co generał Roy Marshall. Draper najwyraźniej dobrze się bawił, dociekając wiarygodności jego informacji. Bourdeaux zamierzał jednak popsuć mu tę zabawę, wszystko jedno, czy prezydent Clinton lubi Drapera, czy nie. Spojrzał wyzywająco na Drapera, odchrząknął i zaczął mówić.

- Panowie, sprawdziliśmy tę informację na kilka różnych sposobów. - Zastanowił się przez chwilę nad dalszymi sformułowaniami; musiały być takie, żeby Draper trzymał gębę na kłódkę. - Po pierwsze, z partyzantami kurdyjskimi mam bardzo dobre układy od...

- Panie Bourdeaux - przerwał mu Draper łagodnym głosem. - Czy nie istnieje możliwość, że są podwójnymi agentami? Może żołnierzami irackimi, przebranymi za Kurdów?

- Niech mu pan da skończyć - powiedział Marshall, zanim Bourdeaux zdążył się odezwać.

- Tak jest. - Draper zacisnął wargi i rozparł się na metalowym krześle.

Bourdeaux zignorował spojrzenie Drapera i zmusił się do swobodnego tonu. - Jak już mówiłem, panowie, w przeszłości dzięki dobrym układom z Kurdami uzyskałem - a tym samym i wy uzyskaliście - dokładne informacje o znaczeniu strategicznym, takie jak liczba czołgów, samolotów, ruchy wojsk. Wszystko to zostało potwierdzone przez zdjęcia satelitarne. Nie mamy żadnego powodu przypuszczać, że te nowe informacje są mniej wiarygodne od poprzednich. Ponadto, stwierdziliśmy wzmożoną aktywność wokół Allahbadu, gdzie - moim zdaniem - Irakijczycy zajmują się czymś groźniejszym niż produkcja mleka w proszku. Biorąc pod uwagę środki bezpieczeństwa w tym obiekcie, schrony, które - jak sądzę - są zakamuflowanymi stanowiskami obrony przeciwlotniczej, a także drastyczne różnice między Allahbadem a z pozoru identycznymi zakładami pod Bagdadem, obawiam się, że właśnie w Allahbadzie Irakijczycy montują rakiety. Przyznaję, że to dość daleko idący wniosek, ale w świetle tych wszystkich informacji uważam, że nie można ryzykować. Proponuję nocną misję zwiadowczą z powietrza, żeby bliżej przyjrzeć się temu obiektowi. Jeśli moje podejrzenia się potwierdzą, moje zalecenie brzmi: nalot bombowy.

- Niewiarygodne - powiedział Draper, wstając z krzesła i podchodząc do tablicy. Wpatrywał się w zdjęcia satelitarne z odległości kilkunastu centymetrów. Po chwili odwrócił się do Marshalla. - To jest obiekt cywilny, generale. Produkuje się tam mleko w proszku i odżywki dla dzieci, a nie broń, czy cokolwiek, co mogłoby mieć istotne znaczenie dla armii Iraku. Atak na te zakłady dostarczyłby Irakijczykom amunicji do wojny propagandowej. Władze Iraku najprawdopodobniej zatrudniły tam mnóstwo cywilów. Prawdopodobnie modlą się o nasz atak, żeby móc rozgłosić na cały świat, że Stany Zjednoczone nie są zainteresowane pokojem w tym regionie, lecz wyniszczeniem narodu irackiego. Przykro mi, sir, ale zdecydowanie nie zgadzam się z panem Bourdeaux.

Marshall kiwnął głową, wstał i podszedł do tablicy. Bourdeaux i Draper odsunęli się trochę, robiąc mu miejsce. Marshall wpatrywał się przez dłuższą chwilę w zdjęcia, stojąc z rękami założonymi na plecach. Bourdeaux słyszał niejedno o błyskotliwym umyśle Marshalla. Był przekonany, że generał analizuje w tej chwili otrzymane informacje i rozgrywa w myślach różne scenariusze.

- Uważam, że rozumuje pan słusznie, panie Bourdeaux. Różnice między tymi dwoma obiektami są rzeczywiście znaczne - powiedział Marshall, odwracając się do pozostałych. - Czy któryś z panów ma jeszcze pytania do pana Bourdeaux? - Zaczekał chwilę, ale nikt się nie zgłosił. - W porządku. Panie Bourdeaux?



- Tak, generale?

- Dziękuję za doskonałe omówienie. Skontaktuję się z prezydentem i wkrótce powiadomię pana o naszej decyzji. Proszę tymczasem zbierać jak najwięcej informacji o tej fabryce. Być może będziemy mieli do pana więcej pytań. Dziękuję panu za pomoc.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas, generale. Panowie. - Bourdeaux włożył mapę i zdjęcia satelitarne z powrotem do teczki i wyszedł z pokoju.

### ♦ Dzień trzeci, 9.00 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Drzwi pilota otworzyły się, odsłaniając widok na ciasne wnętrze kabiny śmigłowca szturmowego *Apache*. Skończywszy kontrolę przedstartową na zewnątrz maszyny, kapitan Orlando Delaney wsiadł do kabiny, zamknął drzwi i zablokował je. Widział swojego drugiego pilota, a zarazem strzelca, porucznika Steve'a Rizzo, który podchodził do maszyny z lewej strony, gdzie również znajdowały się drzwi. Rizzo kiwnął mu głową i wszedł po stopniach w przedniej części kadłuba. Przekreślił i pociągnął klamkę, wgramolił się do środka, zajął miejsce w fotelu bezpośrednio przed fotelem Delaneya, nieco poniżej i również zamknął swoje drzwi.

Delaney sięgnął do konsoli po lewej stronie i przerzucił przełącznik zasilania elektrycznego. Awionika ożyła. Skoncentrował uwagę na przyrządach i kontrolkach na głównej konsoli. Były tam dwa wskaźniki poziomu paliwa, po jednym dla każdego z odpornych na zgniatanie zbiorników, umieszczonych w kadłubie. Oba zbiorniki mogły pomieścić po sześćset pięćdziesiąt litrów paliwa i oba były pełne. Skontrolował położenie dźwigni obrotów, znajdujących się pod wyłącznikiem zasilania w energię elektryczną. Usatysfakcjonowany, dokończył kontrolę przedstartową i nacisnął kwadratowy czerwony guzik, znajdujący się obok dźwigni obrotów. Rozrusznik o mocy 125 koni mechanicznych, umieszczony na gondoli prawego silnika, zaczął obracać wirnikiem nośnym. Ożyły oba turbinowe silniki *General Electric* o mocy 1.696 KM. Delaney przesunął nieco dźwignie, śledząc wzrost obrotów wirnika.

Wszelkie niezbędne informacje miał na kwadratowym monitorze, znajdującym się bezpośrednio przed nim, na wysokości oczu. Monitor o boku długości 18 centymetrów otoczony był zapasowymi wskaźnikami analogowymi. *Apache* był gotów do startu.

Delaney uśmiechnął się. Kochał latanie i kochał wojsko, gdzie awanse były rezultatem zasług i umiejętności żołnierza, a nie koloru jego skóry.

Jako Murzyn, który dorastał w Willoma w stanie Missisipi, mieście leżącym gdzieś między stolicą stanu, Jackson, a Memphis w stanie Tennessee, chudy, kościsty Delaney napatrzył się na białych rasistów, którzy nazywali go czarnuchem. Delaney z całej duszy nienawidził rasistów. Pogardzał nimi. On i jego trzech bracia doświadczyli wielu prześladowań w zintegrowanej rasowo szkole średniej w Willoma. Jego rodzice byli dumni, że wszyscy czterej chłopcy chodzili do szkoły, która zaledwie kilka lat wcześniej była dostępna wyłącznie dla białych. Cieszyli się, że chłopcy zdobędą przyzwoite wykształcenie. Dla braci Delaney pierwszy rok nauki w szkole średniej był istnym piekłem: od stryczków, które znajdowali w swoich szafkach, po groźby i prześladowania. Pewnej letniej nocy dziesiętnastoletni wtedy Delaney siedział z dziewczyną w półciężarówce ojca, zaparkowanej na bocznej drodze niedaleko miasta. Świątowali jego przyjęcie do koledżu na Florydzie, które zawdzięczał realizowanemu przez wojsko programowi szkolenia oficerów rezerwy. Nagle pojawiło się sześciu zakapturzonych facetów z Ku-Klux-Klanu. Do dziś Delaney pamiętał ze wszystkimi szczegółami wyraz przerażenia na twarzy dziewczyny. Jej rozszerzone nozdrza, szeroko otwarte oczy, trzęsące się wargi. Dobrze wiedziała, jaki los czeka czarną kobietę, złapaną w nocy przez Klan. Najpierw brutalny gwałt, a potem stryżek. Wpadła w panikę. Kiedy zakapturzeni mężczyźni zaczęli walić pięściami w zaryglowane drzwi półciężarówki, Delaney wyciągnął ze schowka pod deską rozdzielczą *Smith & Wessona Special*, którego ojciec zawsze tam trzymał. Modlił się, żeby nie musiał użyć broni. Napastnicy ciskali kamieniami. Szyby samochodu pokryły się siatką pęknięć. Jeden z kamieni z hukiem przeleciał przez przednią szybę. Odłamki szkła posypały się na Delaneya. Następny kamień uderzył go w ramię. Jeden z zakapturzonych wsunął rękę do środka, próbując otworzyć drzwi. Przeklinania napastników mieszały się z piskliwymi krzykami przerażonej dziewczyny. Orlando Delaney wiedział, że nie wolno zwlekać. Strzelił dwa razy. Jeden z mężczyzn upadł, przyciskając ręce do klatki piersiowej. Pozostali uciekli. Nadjechała policja i Delaneya aresztowano pod zarzutem morderstwa. Dwa miesiące później został uniewinniony. Sąd uznał, że działał w obronie koniecznej. Był to jeden z najbardziej kontrowersyjnych procesów w Missisipi. Delaney doskonale zdawał sobie sprawę, że biali w Willoma wymierzają czarnym swoją sprawiedliwość na różne sposoby i wyjechał z miasta tego samego dnia, kiedy go uniewinniono. Wiedział, że gdzieś poza stanem Missisipi czeka go lepsze życie. Orlando Delaney znalazł je w Armii USA.

\* \* \*

Kapitan Amanda Green siedziała w fotelu drugiego pilota w śmigłowcu *HH-60G Pave Hawk*. Przekręciła o dodatkowe pół obrotu manetkę na dźwigni zespolonej, zwiększając obroty wirnika, żeby skompensować rozrzedzenie powietrza nad rozpalonym w słońcu pasem startowym. Kiedy wskaźnik obrotów znalazł się w odpowiednim położeniu, lewą ręką podciągnęła dźwignię skoku, a prawą łagodnie zwiększyła nacisk na drążek. Śmigłowiec oderwał się od miękkiego asfaltu. Amanda skompensowała prawym pedałem orczyka wpływ momentu obrotowego wirnika na kadłub maszyny.

*Pave Hawk* zawisł nieruchomo półtora metra nad ziemią. Amanda czekała, aż drugi ratunkowy *Pave Hawk* i *Apache* kapitana Orlando Delaney'a uniosą się w powietrze. *F-15C* z 58. Dywizjonu Myśliwców Taktycznych namierzył sygnał na częstotliwości awaryjnej kilkanaście kilometrów na północ od miejsca, w którym poprzedniego dnia rozbił się *F-14*. Chociaż nie udało się nawiązać łączności z zestrzelonym pilotem, sygnał wystarczył Halstonowi do wysłania drugiej misji ewakuacyjnej.

*Apache* również zawisł tuż nad ziemią. Kapitan Orlando Delaney czekał, aż wirnik drugiego *Pave Hawka* wejdzie na obroty.

- Systemy nawigacyjne sprawdzone - zameldował Rizzo ze swego fotela przed Delaneyem.

- Uzbrojenie?

- Gotowe.

- W porządku. Tango Siedem Dziewięć i Tango Sześć Pięć, Ważka Dziewięć Dwa.

- Dziewięć Dwa, Tango Sześć. W powietrzu. Kurs zero-jeden-zero.

W Tango Sześć Pięć Amanda Green patrzyła, jak drugi *Pave Hawk* unosi się w powietrze i rusza na północ za Delaneyem. Zwiększyła nacisk na drążek i ciężka maszyna przyśpieszyła do 185 kilometrów na godzinę, trzymając się, zgodnie z wytycznymi, na wysokości poniżej sześciu metrów.

- Miej oczy otwarte - powiedział dowódca *Pave Hawka* major Steve Poole przez interkom. Trzy śmigłowce leciały nisko nad ziemią, zostawiając za sobą chmurę kurzu.

- Roger - potwierdziła.

- Oczekiwany czas przybycia? - zapytał Poole.

- Trzydzieści minut.

Uśmiechnęła się, wdzięczna, że Poole dał jej pilotować. Trzymanie się w odległości mniejszej niż piętnaście metrów od drugiego śmigłowca ewakuacyjnego przychodziło jej bez najmniejszego trudu, zwłaszcza w *Pave*

*Hawku*, którego zalety doceniała po latach latania na starszym i lżejszym śmigłowcu *Bell 212*. Podobał jej się zwłaszcza sposób, w jaki maszyna, choć tak wielka, reagowała na jej polecenia. Rozumiała, dlaczego inżynierowie w zakładach Sikorskiego byli tak dumni z *Pave Hawka*. Ta prawie siedmionowa maszyna na głowę była mniejszego *Bella*, na którym zaczęła latać dziesięć lat temu. Do dziś ze szczegółami pamiętała swą pierwszą lekcję pilotażu śmigłowcowego. Było to kilka tygodni po tym, kiedy zdobyła amatorską licencję pilota na jednosilnikowym samolocie. Instruktor na samym początku kazał jej zapomnieć o wszystkim, czego się nauczyła o lataniu samolotem. Śmigłowiec to zupełnie inne zwierzę, powtarzał. Pamiętała też, z jakimi oporami przestawiała się na ten zupełnie nowy rodzaj latania. Kilka lekcji było zupełnie nieudanych; raz po raz traciła kontrolę nad śmigłowcem i z pewnością by się rozbiła, gdyby nie instruktor. Teraz sama odpowiadała za wszystko, nie było instruktora, który mógłby uratować ją od katastrofy, nie było mowy o zaliczeniu lub niezaliczeniu lekcji, od jej umiejętności zależało życie lub śmierć. Amanda poczuła adrenalinę we krwi na myśl, że już wkrótce czeka ją może walka. Właśnie tego pragnęła i oto była tutaj. To działa się naprawdę.

Kiedy śmigłowce mijały granicę Iraku, Amanda modliła się, żeby nie zawieść.

- Ważka Dziewięć Dwa, Kuguar - Delaney usłyszał w słuchawkach załogę *AWACS-a*.

- Kuguar Dziewięć Dwa - odpowiedział.

- Bogey\*. Jeden-pięć-zero, czterdzieści kilometrów. Dwieście czterdzieści kilometrów na godzinę.

\* (ang.) goblin - w kodzie radiowym określenie niezidentyfikowanego samolotu [przyp. red.].

- Dziewięć Dwa.

Bardzo mu się to nie podobało. Pojedynczy niezidentyfikowany samolot, a może śmigłowiec, został wykryty przez *AWACS-a* w pobliżu obszaru, do którego właśnie lecieli. Delaney zmarszczył brwi. Nie wierzył w przypadki i był zaniepokojony tym, że nie znany samolot leciał w tym samym kierunku. - Miej oczy otwarte - polecił swojemu strzelcowi przez interkom.

- Tak jest, sir.

Młody iracki pilot siedzący za strzelcem w kabinie śmigłowca szturmowego *Mi-24* pchnął drążek sterowy do przodu i w lewo, rzucając jedenastotonową maszynę w ostry skręt i nurkowanie. Kiedy wysokościomierz

pokazał trzysta metrów, łagodnie ściągnął drążek i przesunął nieco dźwignię mocy, wyrównując lot przy prędkości dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Wioska była pod nim, nad szerokim strumieniem, dokładnie tak, jak powiedział pułkownik Manesz. W kraju były setki takich wsi, ale ta leżała zaledwie pięć kilometrów od miejsca, w którym zestrzelone zostały dwa irackie śmigłowce.

Wioska składała się z kilkunastu ceglanych i kamiennych budynków oraz kilkunastu namiotów. W samym środku była okrągła sadzawka, zasilała wodą ze studni.

*Mi-24* okrążył wioskę na małej wysokości, po czym wylądował na placu koło studni. Gdy tylko podwozie dotknęło ziemi, ze śmigłowca wyskoczyło ośmiu żołnierzy. Mieli ze sobą dieslowski generator i zwój grubego kabla.

Żołnierz, który wysiadł jako ostatni, dał pilotowi znak. Ten zwiększył obroty, podciągnął do góry dźwignię skoku i odepchnął drążek. Śmigłowiec wzniósł się na kilka metrów i ukrył za dwoma kamiennymi budynkami.

- Ważka Dziewięć Dwa, Kuguar. Bogey zniknął.
- Kuguar, Dziewięć Dwa. Zniknął? - zapytał Delaney.
- Zgadza się. Zniknął z radaru. Nakazana wyjątkowa ostrożność.
- Dziewięć Dwa.

Delaney westchnął, zdając sobie sprawę, co to znaczy. Śmigłowiec prawdopodobnie gdzieś wylądował, żeby się schować, albo leciał na małej wysokości.

- Kapitanie, złapałem właśnie sygnał na ratunkowej - zawołał Rizzo.

Delaney przełączył się na częstotliwość ratunkową i próbował nawiązać łączność z pilotem *Tomcata*. - Tu Ważka Dziewięć Dwa. Żadnej odpowiedzi.

- Tu Ważka Dziewięć Dwa, odbiór.

Cisza.

Amanda uważnie obserwowała okolicę, słuchając słów Delaneya na częstotliwości ratunkowej. Pilotował Poole. Sytuacja jej się nie podobała. Coś tu było nie w porządku. Co prawda istniała możliwość, że załoga zestrzelonego myśliwca nie przełączała radia na komunikację dwustronną, żeby oszczędzać baterie. Taka była standardowa procedura do momentu zauważenia ekipy ewakuacyjnej. Możliwe było jednak również, że radio dostało się w ręce Irakijczyków, którzy posługują się nim, żeby zwabić w pułapkę amerykańskie śmigłowce. Pojawiający się i znikający sygnał

nasuwał podejrzenie, że ta druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna od pierwszej. Byłaby przeciwna kontynuowaniu misji, gdyby nie zdjęcia satelitarne, ukazujące zniszczenie dwóch irackich śmigłowców i uratowanie jednego z zestrzelonych pilotów amerykańskich przez ludzi, którzy - zdaniem faceta z CIA - byli kurdyjskimi partyzantami. Mimo to, sytuacja wciąż jej się nie podobała. Brak informacji, gdzie dokładnie znajduje się wróg, był gorszy niż ewentualność stanięcia z nim oko w oko. Wtedy szanse byłyby przynajmniej wyrównane, pomyślała. Obie strony mają w takim wypadku tyle samo czasu na zareagowanie. Ale kiedy wróg się ukrywa, niczego nie można przewidzieć.

- Tango, Ważka Dziewięć Dwa.

- Słucham, Dziewięć Dwa - odpowiedziała Amanda.

- Śmigłowiec, prawdopodobnie wrogi, ukrywa się na ziemi niecałe dwadzieścia kilometrów stąd. Trzymajcie się za mną.

- Roger.

Amanda obserwowała Poole'a, który opuścił dźwignię skoku, zmniejszając wysokość o dalsze trzy metry. Wierzchołki drzew zaczynały muskać podwozie. Sto metrów przed sobą widziała jasnobrązowy brzuch drugiego *Pave Hawka*.

Ismael Barzani usłyszał w oddali charakterystyczny odgłos śmigłowców, kiedy dotarł na szczyt wzgórza koło wioski, w której zwykle zatrzymywał się ze swymi ludźmi na posiłek i na nocleg. Większość mieszkańców sympatyzowała z kurdyjskimi partyzantami i jak mogła wspomagała oddział Ismaela, prowadzący świętą wojnę. Śmigłowiec - Ismael poznał, że był to ten sam model, z którego zrzucano zwykle trujący gaz na kurdyjskie wsie - wylądował między dwoma budynkami. Przez lornetkę widać było szybko obracający się wirnik.

- Widzisz coś, Isza? - zapytał Abdul, dotarłszy na szczyt wzgórza.

- Śmigłowiec, który słyszeliśmy kilka minut temu. Tam. - Wskazał ręką miejsce odległe o jakieś sto pięćdziesiąt metrów.

- Tak, widzę.

- Co ten śmigłowiec tam robi? - spytała Chalila, która również dotarła na szczyt wzgórza i zajęła miejsce obok Ismaela.

- Zadaje cierpienia naszym ludziom - odpowiedział Ismael ze smutkiem w głosie.

- Nasz obserwator we wsi mówi, że zbliżają się trzy śmigłowce - powiedział strzelec *Mi-24*.

Iracki pilot zwiększył obroty wirnika, tak, że podwozie ledwie dotykało ziemi. Był gotów wystartować w każdej chwili.

Pilot nacisnął prawy pedał orczyka. Maszyna zareagowała, obracając się w tym kierunku. Następnie ściągnął trochę drążek i odrobinę zwiększył skok łopat wirnika nośnego. Przednie koło śmigłowca znalazło się w górze, ale tylne wciąż dotykały wysuszonej ziemi. - Strzelec?

- Gotowy.

Kapitan Amanda Green zauważyła wioskę dokładnie na kursie śmigłowca. Poole leciał tuż nad drzewami, za drugim *Pave Hawkem*, nieco poniżej. *Apache* leciał jako pierwszy. Minąwszy szczyt wzgórza koło wsi, Poole odepchnął drążek sterowy, utrzymując maszynę w jednakowej odległości od zbocza, które zaraz łagodnym łukiem przeszło w płaski teren.

Uniosła się chmura kurzu, kiedy nadlecieli nad poleć wysuszonej trawy w odległości około kilometra od wsi.

- Widzisz coś? - zapytał Poole, rozglądając się po dolinie, która wyglądała na opuszczoną.

- Nie. Niczego ani nikogo tu nie ma - odpowiedziała.

Orlando Delaney rozglądał się po okolicy. Zabudowania wioski były coraz bliżej. Szykował się właśnie do zwiększenia obrotów i ściągnięcia drążka, żeby przelecieć nad czerwonymi dachami, kiedy z przodu, nieco po lewej stronie, coś zwróciło jego uwagę. Nie wiedział, co to właściwie było. Jakiś metalowy obiekt, od którego odbija się słońce? A może to...

Zareagował instynktownie, kiedy płomienie wylotowe z lufy potwierdziły jego podejrzenia. Dał pełne obroty i ściągnął na siebie drążek, starając się uciec z zasięgu broni, zanim znajdzie się na wprost wielkiego śmigłowca przyczajonego między dwoma domami. *Pave Hawk*, który leciał tuż za nim, miał mniej szczęścia. Był zdecydowanie mniej zwrotny niż *Apache* i nie zdołał uciec. Pociski kalibru 12,7 mm z czterolufowego karabinu maszynowego trafiły w kadłub, wrywając kawały pokrycia. *Pave Hawk* utracił moc, kiedy kolejne pociski trafiły w turbinę.

- Awaria silnika! Siedem Dziewięć, ląduję!

Poole zdołał uciec poza zasięg karabinów maszynowych. Amanda patrzyła z przerażeniem, jak pociski wrywają dziury w kadłubie drugiego *Pave Hawka*. Nic nie mogła zrobić. Śmigłowiec został trafiony z niewielkiej odległości. Po awarii silnika wszedł w autorotację. Pilot za wszelką cenę starał się wyprowadzić maszynę - wstrząsaną kolejnymi trafieniami i

buchającą kłębamii dymu - poza zabudowania, żeby jakoś wylądować. Może by mu się udało, gdyby nie bezpośrednie trafienie w zbiornik paliwa.

Delaney widział pomarańczową kulę ognia, która ogarnęła *Pave Hawka*. Przez kłęby dymu dostrzegł, że *Mi-24* wystartował i zatacza koło, próbując znaleźć się za jego maszyną. Natychmiast odbił w lewo.

- Chce nas zająć od tyłu! - krzyknął porucznik Steve Rizzo.
- Tango Sześć, wynoś się stąd!
- Sześć Pięć!
- Tłumik emisji podczerwieni uaktywniony!
- Kuguar, Ważka Dziewięć Dwa. Zatakował nas *Hind*!
- Dziewięć Dwa, Kuguar. Opisz sytuację.
- Dziewięć Sześć zniszczony. Mam *Hinda* na ognie!
- *F-16* będą u was za pięć minut, odbiór.
- Roger. Pięć minut!

Dziękując Allahowi za swe pierwsze zwycięstwo, młody iracki pilot uaktywnił naprowadzaną na podczerwień rakietę *SA-7 Grail*, umieszczoną pod lewym skrzydłem *Mi-24*. W normalnych warunkach *Grail* odpalało się z ręcznych wyrzutni. Uzbrajając w nie *Mi-24*, chciano śmigłowcowi zapewnić zdolność do walki powietrznej. Pilot uaktywnił wbudowany w hełm celownik optyczny i skierował go na amerykański śmigłowiec *Apache*. Układ naprowadzania na podczerwień, w który wyposażony był *Grail*, próbował namierzyć dysze wylotowe wrogiej maszyny, ale na próżno. Zaskoczony tym pilot przełączył się na karabin maszynowy, zwiększył prędkość i odepchnął drążek, ruszając w pościg za uciekającą zygzakami amerykańską maszyną.

Orlando Delaney rzucał śmigłowcem na wszystkie strony. Maszyna drżała pod wpływem pracujących z pełną mocą dwóch silników turbiniowych, wyposażonych w układ tłumienia emisji podczerwieni, przechwytyjący gorące gazy wylotowe i obniżający ich temperaturę w stopniu, uniemożliwiającym zadziałanie reagujących na podczerwień układów naprowadzania rakiet. W ciągu paru sekund doleciał do wzgórza po drugiej stronie wsi i poszedł ostro w górę, starając się dotrzeć do wierzchołka, zanim *Mi-24* znajdzie się w dogodnej pozycji do otwarcia ognia.

Mocno ściskając prawą dłońią drążek sterowy i trzymając palec wskazujący na spuście działka, Delaney wcisnął prawy pedał orczyka aż do opancerzonej podłogi. *Apache* obrócił się o 180 stopni i ustawił naprzeciw nadlatującego *Hinda*.



\* \* \*

Młody iracki pilot dał się zaskoczyć. Nie trzymał palca na spuście, kiedy amerykańska maszyna nagle odwróciła się w powietrzu, a z działka, umieszczonego w wieżyczce pod jej nosem, padły pierwsze strzały. Instynktownie pociągnął do góry dźwignię skoku, zwiększył maksymalnie moc, szarpnął drążkiem w lewo i zszedł z toru pocisków, które nie czyniąc żadnej szkody drasnęły jedynie grubo opancerzony spód kadłuba.

- Dziewięć Dwa, Kuguar. Trzy maszyny. Trzy-trzy-pięć, niecałe trzydzieści kilometrów. Dwieście osiemdziesiąt kilometrów na godzinę - ostrzegła załoga *AWACS-a*.

- Dziewięć Dwa - odpowiedział Delaney. A więc nadlatywały dalsze trzy maszyny wroga. Zmarszczył brwi. Prawie dopadł *Hinda*, ale spudłował. Teraz szybko zmniejszał wysokość po drugiej stronie wzgórza. *Mi-24* nie było widać. Obleciał wzgórze dookoła, szukając irackiego śmigłowca, ale nigdzie go nie dostrzegł.

- Nie wiem, co pan o tym sądzi, kapitanie, ale wydaje mi się, że zaraz ktoś dostanie w dupę. Będzie czterech na jednego, więc to nasza dupa ucierpi. *F-16* przylecą tu dopiero za cztery minuty. Wynośmy się stąd, póki jesteśmy w stanie.

Rizzo miał rację; szanse były nierówne. Atakowanie w pojedynkę czterech maszyn byłoby samobójstwem. Musiał uciekać pokonany.

Orlando Delaney wciąż wściekły na siebie za fatalne spudłowanie do *Hinda*, na którym chciał wziąć odwet za zestrzelonego *Pave Hawka*, zawrócił i popędził za ocalałym śmigłowcem ratunkowym. Chmura dymu z zestrzelonego śmigłowca była coraz słabiej widoczna. Kapitan Delaney, przekonany, że pokpił sprawę, przeproszał w duchu sześciu martwych członków załogi *Pave Hawka*.

- Boże święty! - wykrzyknął porucznik Kevin Dalton. *Apache* przeleciał im tuż nad głowami. Byli schowani pod drzewami; Chalila nalegała, żeby się nie pokazywać, póki w powietrzu toczyła się walka. - To był jeden z naszych! Ten zestrzelony też.

- Prawdopodobnie szukali ciebie, Kevin.

- Wiem... cholera! - Po raz kolejny ogarnęło go poczucie winy, kiedy patrzył na dym, unoszący się z wraka śmigłowca.

Poczuł rękę Chalili na swoim ramieniu. - Przecież to nie twoja wina.

Kevin nie odpowiedział. Czuł się odpowiedzialny i nic nie mógł na to poradzić. Wyłączył *PRC-90*, które miał w kieszeni brudnej kamizelki.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała Chalila. Długie włosy związała sobie w kok. Przy takim uczesaniu jej kości policzkowe wydawały się bardziej wystające.

- W ogóle nie powinienem był go włączać. Albo wydostanę się stąd o własnych siłach, albo zginę. Nie chcę, żeby połowa sił sojusznicznych szukała mnie tylko dlatego, że przez głupotę dałem się zestrzelić. To mój błąd i ja poniosę konsekwencje.

Z trzech śmigłowców, które dołączyły do *Mi-24*, wysiadło w wiosce prawie trzydziestu żołnierzy. Przez lornetkę, którą dał mu Abdul, Kevin obserwował, jak narzucają na maszyny płachty w barwach ochronnych, żeby ukryć śmigłowce przed myśliwcami sił sojusznicznych. Następnie małymi grupkami rozbiegli się po wsi. Zagląдали do okien, a potem wywalali kopniakami drzwi.

Z jednego z domów, do którego wpadli Irakijczycy, dobiegł przeraźliwy krzyk kobiety. Kevin przymknął na chwilę oczy, ale zaraz spojrzął na Chalilę. - Przecież nie pozwolimy tym skurwysynom...

- To nic nowego, panie Dalton - przerwał Ismael Barzani, patrząc Kevinowi prosto w oczy. - Nasze wsie są od lat grabione, kobiety gwałcone. Musimy znosić ból, bo koniec jest już blisko. Królestwo Allacha czeka na tych, którzy w tej chwili cierpią w wiosce.

- Znasz tych wieśniaków? - zapytał Kevin, wstrząśnięty słowami Ismaela.

- Wychowałem się w tym regionie. Znam tu mnóstwo ludzi. Czasem myślę, że to przekleństwo. Niemal co dzień Allah zabiera mi kogoś z przyjaciół.

- To nie jest w porządku - powiedział twardo Kevin. - Trzeba się dostać do tych żołnierzy w wiosce!

Ismael uśmiechnął się, odsłaniając zepsute zęby i szerniałe dziąsła. - Och, nie sądzisz chyba, że puścimy im to płazem? - Spojrzął na Abdula i powiedział do niego parę słów.

Abdul przejechał kciukiem po gardle i uśmiechnął się szeroko. - *Qatala* - powiedział krótko, wskazując ręką śmigłowce.

Kevin kiwnął głową. Nie znał wprawdzie słowa, które właśnie wypowiedział Abdul, ale gest Kurda był jednoznaczny. Spojrzął w oczy swemu nowemu przyjacielowi i dostrzegł w nich twarde zdecydowanie.

Zeszli krętą ścieżką. Ismael prowadził, Chalila była tuż za nim, potem Abdul, podtrzymujący ramieniem Kevina. Ci dwaj szli obok siebie. Obciążając zranioną nogę, Kevin czuł, jak powraca pulsujący ból. Był wdzięczny Abdulowi za pomoc w schodzeniu. Bandaż, którym opatrzyła mu ranę

Chalila, był mokry od potu, ale trzymał się na miejscu. Kevin spojrzął na zranioną nogę. Chalila obcięła nogawkę jego kombinezону tuż nad kolaniem. Pomyślał, że to chyba dobrze. Drugie kolano, też otarte, przyklejało mu się do spodni za każdym razem, kiedy zbyt długo się nie ruszał. Powiększało to długą listę jego dolegliwości. Plecy i biodra miał obolałe, jakby obite kijem. Wiedział, że są to skutki katapultowania się z *Tomcata*.

Idąc powoli parowem, kryjącym ich przed Irakijczykami, dotarli wreszcie na dno doliny. Ismael zatrzymał się i uniósł zaciśniętą w pięść dłoń.

Kevin patrzył, jak zaprawieni w bojach partyzanci rozbiegają się na obie strony doliny i nikną z oczu, wtapiając się w otoczenie. Kevin i Abdul stali kilka kroków za Iszmaelem i Chalilą.

Przez lornetkę Kevin dostrzegł czterech żołnierzy, pijących wodę ze strumienia. Zauważył, że nie mieli przy sobie pistoletów maszynowych, a ich mundury przypominały kombinezony lotnicze. Irakijczycy ugasili pragnienie i poszli z powrotem, w kierunku dwóch stojących nieopodal *Mi-24*, okrytych płachtami w barwach ochronnych.

Kevin opuścił lornetkę i uśmiechnął się.

- Ci czterej to piloci - szepnął. Ismael i Chalila odwrócili głowy.

- Też tak sędzę - odpowiedziała Chalila, po czym powiedziała kilka zdań po arabsku.

Ismael wskazał ręką w lewo, a potem w kierunku wsi. Powtórzył ten sygnał swoim ludziom po prawej stronie. Partyzanci zaczęli się czołgać w kierunku płynącego powoli strumienia.

- Nie powinniśmy poczekać do nocy? Mogą nas teraz zauważyć - ostrzegł Kevin.

Chalila odwróciła się do niego z uśmiechem. - Nie na pustyni. Kevin spojrzął na nią pytająco.

- Widzisz słońce?

- Tak, mamy je za plecami.

- No właśnie. Światło słoneczne odbija się od piasku i oślepia. Nikt we wsi nie będzie patrzył w tym kierunku.

- Rozumiem. - Kevin obserwował czołgających się Kurdów. W ciągu kilku minut dotarli do strumienia, dzielącego ich od wsi, po czym kolejno przeszli na drugą stronę, trzymając broń nad głową. Na drugim brzegu natychmiast znów zaczęli się czołgać.

Kevin skorygował ostrość lornetki i przyglądał się młodej twarzy jednego z pilotów, stojącego przed śmigłowcem. Pozostałych pilotów nie było widać. Stali po drugiej stronie *Hinda*, prawdopodobnie szukając schronienia przed coraz bardziej palącym słońcem. Młody pilot przymknął oczy i wystawił twarz do słońca, jakby rozkoszując się jego ciepłem.

Kevinowi serce zabiło szybciej, kiedy po prawej stronie zobaczył Kurda, czołgającego się powoli w kierunku pilota. Zna się na tym, pomyślał, przyglądając się partyzantowi, który posuwał się na kolanach i na łokciach, trzymając przed sobą *Kalasznikowa*. Kevin skrzywił się, kiedy pomyślał, jak nieprzyjemne musi być czołganie się po rozpalonym piasku. Kurd zatrzymał się i rozejrzał dookoła, po czym ruszył dalej. Wkrótce znalazł się tuż za *Hindem*.

Kevin wstrzymał oddech, kiedy Kurd zerknął ostrożnie na drugą stronę śmigłowca, a potem uniósł się do półprzysiadu i wyciągnął nóż z cholewy. Od pilota dzieliły go teraz niecałe dwa metry. Partyzant skoczył. Żołnierz odwracał właśnie głowę, kiedy ostrze poderżnęło mu gardło.

Kevin zachodził w głowę, jak Kurd zdołał zabić pilota i odciągnąć ciało, nie zwracając na siebie uwagi pozostałych pilotów. Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu ujrzał trzech innych partyzantów, wychodzących właśnie zza *Hinda*; każdy ciągnął za sobą zwłoki.

- Jak, do diabła...? - zaczął mówić, opuszczając lornetkę.

Iszmael spojrział na niego i uśmiechnął się, odsłaniając zepsute zęby. - Jesteśmy wojownikami Allacha, panie Dalton. On nad nami czuwa.

Kevin spojrział na Chalilę, która tylko uniosła brew i przystawiła lornetkę do oczu. Kevin uczynił to samo i zobaczył, że jeden z czterech Kurdów koło śmigłowca daje im znaki.

Iszmael ruszył naprzód. Poszli za nim.

Kevin, wciąż podtrzymywany przez Abdula, przywołał gestem Chalilę. - Oni naprawdę zamierzają zaatakować tych wszystkich żołnierzy?

Rozsunęła wargi w uśmiechu. - Poczekaj. Jeszcze nic nie widziałeś. Jesteśmy...

Rozległ się przeraźliwy krzyk. Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku wsi. Kevin poczuł ciarki na plecach. Słyszał kiedyś krzyczącego z bólu człowieka, rannego w wypadku samochodowym, ale to tutaj było po sto-kroć gorsze. Przyśpieszyli kroku. Ten człowiek musi straszliwie cierpieć. Co mu zrobili? Jak można zadać człowiekowi tak wielki ból, że krzyk słychać z odległości kilkuset metrów? Kevin starał się dotrzymać kroku pozostałym. Abdul zaczął coś mrużyć pod nosem; zapewne miotał przekleństwa na irackich żołnierzy.

Dotarli do strumienia. Okazał się głębszy, niż Kevin przypuszczał. Broń niósł uniesioną nad głowę. Woda szybko sięgnęła mu do ramion. Radio *PRC-90* było wodoszczelne. Chociaż przeprawiali się w pośpiechu, Kevin rozkoszował się przez chwilę chłodną wodą, która kołata ból, jaki sprawiały mu liczne zadrapania i potłuczenia. Idąc za Abdulem, miał wrażenie, że pulsujący ból w nodze także ustępuje.

Wyszli na brzeg i ukryli się za *Hindem*. Iszmael rozkazał swoim ludziom otoczyć wioskę. Rozdzielili się na dwie grupy. Jedna poszła w lewo, druga ruszyła za Iszmaelem w kierunku jednego z budynków. Kevin wycierał właśnie twarz, kiedy znów rozległ się przeraźliwy krzyk. Aż podskoczył. Tym razem krzyczała kobieta. Kevin przyśpieszył, prawie zrównując się z Iszmaelem.

Szedł o własnych siłach. Adrenalina we krwi stłumiła ból zranionej nogi. Ciężko oparł się plecami o ścianę domu, co natychmiast boleśnie przypomniało mu, jak bardzo się potłukł poprzedniego dnia.

Abdul sięgnął po przewieszony przez plecy karabin. Kevin przerzucił bezpiecznik *Smith & Wesson*. Zerknął na Chalilę. Również trzymała pistolet gotowy do strzału. Kątem oka dostrzegł mokrą bluzkę opinającą jej piersi. Na bawełnianej tkaninie wyraźnie odznaczały się ciemne, sterzące sutki.

Chalila podeszła do tylnych drzwi. Tuż za nią Iszmael, Abdul i Kevin. Cicho weszli do środka. Z któregoś z pomieszczeń po obu stronach krótkiego korytarza dochodziły głosy i płacze. Iszmael zajął pozycję po jednej stronie, Abdul, Chalila i Kevin po drugiej.

Kevin obserwował Chalilę. Stała przez chwilę przy drzwiach, oparta plecami o ścianę. Nagle wykonała pół obrotu, uderzając prawą stopą w sam środek drzwi. Kopnięcie było tak silne, że drzwi ustąpiły. Chalila padła na ziemię i przetoczyła się do środka. Ruszając za nią, Kevin słyszał Abdula rozwalającego z trzaskiem drugie drzwi.

Pomieszczenie było puste. Chalila zawróciła i pobiegła do drugiego pokoju. Kevin popędził za nią, ale w drzwiach stanął jak wryty.

Pod ścianą leżały okrwawione, porozrywane pociskami ciała starszego mężczyzny i kobiety. Kevin przeniósł wzrok na żołnierza, klęczącego koło Abdula. Irakijczyk miał spodnie munduru opuszczone do kostek. Z wykrzywioną przerażeniem twarzą błagał płacząc, żeby darować mu życie. Przez chwilę Kevin nawet mu współczuł, ale miejsce współczucia natychmiast zajął gniew, kiedy spostrzegł leżącą na podłodze półnągą dziewczynę. Boże święty! Chalila podbiegła do niej, przyklekła i okryła kocem ściągniętym z łóżka. Co za bydlę! - pomyślał Kevin o irackim żołnierzu. Spojrzał dziewczynie w oczy. Z pewnością nie miała więcej niż piętnaście lat. Łzy spływały jej po policzkach, kiedy podczołgała się do dwojga starszych ludzi pod ścianą. Kevin domyślił się, że byli to jej rodzice. Chalila nie odstępowała dziewczyny.

Wszystkie obrażenia, jakie odniósł, nagle stały się zupełnie bez znaczenia. Kevin poczuł, że ogarnia go wściekłość. Wodził wzrokiem od zebrzącego

o litość żołnierza do dziewczyny, która przestała płakać i przytuliła się do Chalili.

Zdecydowany pomścić tę niewybaczalną, bestialską zbrodnię, schował *Smith & Wessona* do kieszeni przemoczonego kombinezonu i wolnym krokiem podszedł do Abdula. Sięgnął po nóż, który Kurd miał za pasem. Patrząc Abdulowi prosto w oczy, zacisnął dłoń na drewnianej rękojeści. Spozstrzegł, że ręka mu nie drży i był tym trochę zaskoczony. Podszedł do kłęczącego żołnierza, złapał go za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu.

Dziewczyna znów na niego spojrzała. Ich oczy spotkały się na moment, kiedy jednym ruchem przeciął Irakijczykowi krtań. Nie zwracając uwagi na drgawki żołnierza, ani na strugę spienionej krwi, Kevin trzymał go za włosy, dopóki tamten nie zwiotczał. Dopiero wtedy cisnął trupa na podłogę.

Ismael spojrzał na Kevina z szacunkiem, Abdul był wyraźnie zaskoczony. Kevin zdawał sobie sprawę, że żaden z nich nie oczekiwał po nim takiej reakcji.

Znów dobiegł ich krzyk. Dziewczyna zasłoniła uszy rękoma. Ismael, Abdul i Kevin wybiegli przed dom.

Większość wieśniaków stała po lewej stronie placu w środku wioski. Kevin spozstrzegł parę grubych kabli, prowadzących od przenośnego generatora do płytkiej sadzawki. Na powierzchni, twarzami w dół, unosiły się trzy ciała. Dwaj iraccy żołnierze ciągnęli szarpiącą się i krzyczącą kobietę.

Koło sadzawki stał żołnierz w nieco innym mundurze niż pozostali. Prawdopodobnie dowódca, pomyślał Kevin. Popchnięta brutalnie kobieta upadła tuż obok oficera. Ten pochylił się nad nią, pomógł wstać i powiedział kilka słów.

Kevin spojrzał na Ismaela. Stężała twarz Kurda, na której malowało się poczucie winy, wystarczyła za wszelkie wyjaśnienia. Żołnierze usiłowali wydobyć z wieśniaków informacje o Ismaelu i jego oddziale.

Chwilę później oficer uderzył kobietę w twarz, złapał za ramiona i potrząsnął z całej siły. Na próżno. Kobieta milczała.

Okazując wyraźne oznaki frustracji, dowódca uniósł ją i cisnął do sadzawki.

Krzyknęła, kiedy jej ciało uderzyło w wodę. Ten krzyk przeniknął Kevina do głębi. Patrzył przez łzy, jak rozbawieni żołnierze długimi żerdziami bezlitośnie spychają młodą kobietę z powrotem do wody, kiedy próbowała wydostać się na brzeg. Za chwilę przestała się ruszać. Życie z niej uszło. Zaległa cisza. Słychać było tylko niewielkie fale uderzające w splekany, wybetonowany brzeg sadzawki.

Kevin głęboko wciągnął powietrze. W oczach Iszmaela widział udrękę i nienawiść. Abdul szlochał cicho, zakrywszy twarz rękami.

- Dość - powiedział Iszmael. Determinacja w głosie - kurdyjskiego przywódcy spotęgowała gniew Kevina.

- Masz rację, przyjacielu. Dość. - Pomogli wstać Abdulowi, który wciąż szlochał, powtarzając: - *Uktun, uktun, uktun.*

Kevin spostrzegł, że Iszmael zamarł na moment, a potem położył obie ręce na ramionach wielkiego Kurda. - *Hastha?*

Abdul kiwnął głową.

Iszmael mówił coś do niego po arabsku. Abdul opanował się i powoli poszedł z powrotem do domu.

Niczego nie rozumiejąc, Kevin chciał właśnie poprosić Iszmaela o wyjaśnienia, kiedy kurdyjski przywódca dał mu znak, by poszedł za nim. Ruszył, znów wyciągając *Smith & Wesson*. Minęli pokój, w którym Chalila wciąż pocieszała dziewczynę, i wyszli na zewnątrz tylnymi drzwiami. Pod ścianą Kevin zobaczył zwłoki dalszych siedmiu żołnierzy. Krew wciąż spływała im z poderżniętych gardeł.

- Na placyku zostało już tylko piętnastu - powiedział do niego Iszmael. - Zaskoczmy ich! - Nie mówiąc ani słowa więcej, Iszmael wlaź na pustą beczkę, która stała przy ścianie domu i wspiął się na dach. Abdul poszedł za nim, a potem pomógł wejść Kevinowi.

Z góry Kevin zauważył, że większość partyzantów zajęła już pozycje na dachach domów wokół placyku. Kurdowie czekali z bronią wymierzoną w irackich napastników. Dwaj żołnierze ciągnęli właśnie do sadzawki następną ofiarę - małego chłopca. Kevin spojrzał na Iszmaela. Ten skinął głową, obrzucił wzrokiem okoliczne dachy i krzyknął ile tchu w piersi:

- *Fi aman Allah!*

Grad pocisków najróżniejszego kalibru posypał się na placyk, omijając miejsce w którym stali wieśniacy. Czternastu żołnierzy padło natychmiast od kul kurdyjskich snajperów. Kevin zauważył, że trzech wieśniaków podierało się i zatrzymało ostatniego żołnierza, który próbował uciec. Potem zobaczył coś, o czym dotąd tylko słyszał. Kiedy ucichły strzały, do schwytanego żołnierza zbliżyły się kobiety. Każda niosła w rękę kamień. Żołnierz musiał wiedzieć, co go czeka, bo zaczął pluć i miotać przekleństwa.

Przez lornetkę Kevin widział, jak w ciągu kilkunastu sekund żołnierz został ukamienowany prawie na śmierć. Uratowali go ludzie Iszmaela, którzy dobiegli do placyku i rozkazali kobietom odstać.

Chwilę później Kurdowie stali nad brzegiem sadzawki. We wsi panowałyby zupełna cisza, gdyby nie warkot dieslowskiego generatora. Posiniaczony,

ale hardy żołnierz iracki stał obok. Wiatr rozwiewał włosy Chalili. Kevin stał koło niej, trzymając za rękę zgwałconą dziewczynę.

Iszmael i żołnierz mierzyli się wzrokiem. Przywódca Kurdów gestem wskazał Irakijczykowi sadzawkę. Żołnierz zawahał się przez chwilę, ale zaraz skinął głową, dumnie, z godnością rozejrzał się dookoła i wskoczył do wody. Krzyczał przez chwilę i młócił ramionami, ale zaraz ucichł i leżał w wodzie twarzą w dół obok zwłok swoich ofiar.

Kiedy wszystko się skończyło, Kevin odwrócił się i przymknął oczy.

- Nic ci nie jest?

Spojrzał w oczy Chalili i znalazł w nich pociechę. Tonął w tych zielonych oczach. Nie był do końca pewien, co właściwie tak go pociąga w tej pięknej dziewczynie. Westchnął ciężko. - W porządku. - powiedział. - Pewnie miałem za dużo wrażeń, jak na jeden dzień.

- Wkrótce wszyscy odpoczniemy.

Warkot dieslowskiego silnika ucichł; któryś z Kurdów wyłączył generator. Abdul wszedł do wody i podniósł zwłoki młodej kobiety, której śmierć oglądali przed kilkoma minutami.

- Chalila?

- Tak?

- Tam, w domu... kiedy ty byłaś w drugim pokoju...

- Tak?

- Widzieliśmy, jak zginęła ta młoda kobieta. Abdul zaczął szlochać, powtarzając słowo *uktun*. Co to znaczy?

Chalila przymknęła na chwilę oczy, po czym znów spojrzała na Kevina. W jej spojrzeniu był smutek. - Ta kobieta była jego siostrą.

Kevin poczuł, że łzy znów napływają mu do oczu. Patrzył, jak jego kurdyjski przyjaciel wychodzi z sadzawki, niosąc na rękach ciało siostry. Położył ją na skraju placyku. Podeszły kobiety, uklękły przed zwłokami i uniosły ręce do nieba.

- Jezu Chryste! Cóż to za świat?

- Zupełnie inny niż ten, z którego przybyłeś, panie Dalton - dobiegła go z tyłu odpowiedź.

- Iszmael, tak mi przykro z powodu siostry Abdula - powiedział Kevin, odwracając się do Kurda.

- Nasz świat jest pełen bólu. Za życia przechodzimy próbę, zanim zostaniemy przyjęci do królestwa Allacha. Żeby się tam dostać, wszyscy musimy robić to, co do nas należy. Ty pilotujesz myśliwce w służbie swojego rządu. Ja walczę przeciw mojemu. Jest wielu, którzy uważają, że żaden z nas nie ma racji, ale jeśli w oczach Allacha postępujemy słusznie, miejsce



w raju mamy zapewnione. Allah tego dopatrzy. Allah wyrówna w końcu wszystkie rachunki. Jest takie stare arabskie przysłowie: bądź cierpliwy, a zwłoki twego wroga przeniosą koło twoich drzwi. Cierpliwości, panie Dalton. Sprawiedliwości Allacha stanie się zadość, nawet jeśli trzeba będzie na to czekać całe życie. W końcu życie to przecież czas, dany nam wszystkim, żeby pokazać, że jesteśmy godni wstąpić do królestwa Allaha.

Kevin nie wiedział, co ma odpowiedzieć na te słowa, zwłaszcza, że wypowiedział je ktoś, kto przed chwilą skazał drugiego człowieka na śmierć. Uświadomił sobie jednak, że to wojna, a dla Kurdów - święta wojna. Nie walczyli o szyby naftowe, czy pieniądze; kurdyjscy partyzanci od stuleci prowadzili walkę tylko po to, żeby móc żyć w spokoju.

- Masz rację - odpowiedział Kevin, patrząc w ogorzałą twarz Iszmaela. - Wszyscy musimy robić, co do nas należy.

Iszmael kiwnął głową i odwrócił się do swoich ludzi. Kevin i Chalila poszli z powrotem do domu. Młodą dziewczynę odprowadziły dwie kobiety.

Szli jakiś czas w milczeniu. Chalila przerwała je pierwsza.

- Kevin?

- Tak?

- To, co zrobiłeś w tym domu...

- Masz na myśli...?

- Tak.

Kevin zmarszczył brwi. Doszli właśnie do ganku jednego z kamiennych domów. Usiadł w cieniu na drewnianej ławce. Chalila usiadła obok niego. - Nie mogę powiedzieć, żebym był dumny z tego, co zrobiłem, ale wtedy uważałem, że postępuję słusznie. Nie zabiłem dziś człowieka, a przynajmniej nie kogoś, kto w moim pojęciu zasługuje na miano człowieka. To była bestia, prawdopodobnie produkt szaleństwa Husajna, ale jednak bestia. Po prostu wyświadczyłem światu przysługę. W Marynarce mówią nam, żebyśmy wojny nie traktowali osobiście. Walka powietrzna, to po prostu walka powietrzna i tyle. Wojskowy kodeks honorowy nakazuje nam profesjonalizm na polu walki. Wszystko to okazało się bez znaczenia podczas mojej wczorajszej walki powietrznej. Nie walczyłem z profesjonalistą, lecz z dziką bestią. Ten rzeźnik nie tylko zestrzelił maszynę mojego prowadzącego, ale kontynuował ogień aż do momentu, kiedy samolot wpadł do morza! Co miałem zrobić? Zawrócić na rozkaz wydany przez kogoś, kto siedział kilkaset kilometrów dalej i nie wiedział, co się naprawdę stało? Nie, Chalila, nie mogłem temu irackiemu skurwysynowi puścić tego mordy płazem, tak jak dzisiaj nie puściłem tej bestii płazem zgwałcenia dziewczyny. To by po prostu nie było w porządku!

Chalila patrzyła na niego uważnie, po czym położyła mu rękę na ramieniu. - Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne, co dyktowało ci serce i tylko to się liczy. Spotkałam dotąd zaledwie kilku ludzi zdolnych do tego, co ty dziś zrobiłeś. Zapewniam cię, komuś, kto przygląda się z boku, zabicie człowieka z zimną krwią może się wydawać łatwe, ale kiedy trzeba samemu sięciągnąć spust lub sięgnąć po nóż, sprawy mają się zupełnie inaczej.

- Chcesz powiedzieć, że ty także?

- Podobnie jak ty, nie miałam wyboru. Mieszkam w małym izraelskim miasteczku koło granicy i...

- Wiedziałem! Wiedziałem, że jesteś z Izraela. Pracujesz w Mossadzie, prawda?

Chalila zdała sobie sprawę, że się wygadała i na policzki wystąpił jej rumieniec. Prawdopodobnie wstydzi się, że postąpiła nieprofesjonalnie, pomyślał Kevin. Rozmowa zesłała na bardzo osobiste tematy i było oczywiste, że pod wpływem emocji Chalila stała się na chwilę nieostrożna. Kevin zauważył, że szybko się opanowała. - Tak, jestem Żydówką.

- I po co było robić z tego wielką tajemnicę? Jesteśmy w końcu sojusznikami.

- Masz rację, jesteśmy sojusznikami i powinniśmy sobie nawzajem pomagać.

Kevin oparł się o ścianę i spojrzął na zranioną nogę. Na bandażu widać było czerwoną plamę. - Znow zaczyna boleć.

- W nocy będzie jeszcze gorzej. Za bardzo ją forsujesz. Lepiej, żebyś już dziś nie chodził.

- Tak jest, pani doktor - odpowiedział rozbawionym tonem, prowokując Chalilę do uśmiechu. - Chalila to niespotykane imię. Ma jakieś znaczenie?

Kevin spostrzegł, że dziewczyna znow zamyka się w sobie, jakby nie chcąc okazać, co czuje. Dlaczego, Chalilo? - zapytał w duchu, patrząc jej w oczy. Chalila westchnęła i spojrziała na niego.

- To znaczy „ukochana”.

Kevin posłał jej uśmiech. - Cudowne. Rodzice nadali ci imię tak piękne, jak...

- Nie mam rodziny! - przerwała, zrywając się z ławki i odwracając do niego plecami.

Kevin głęboko odetchnął i potrząsnął głową. - Nie wiedziałem.

- Tak. Myślę, że powinnam teraz porozmawiać z Iszmaelem i jego ludźmi. Musimy usunąć te śmigłowce, zanim Irakijczycy zorientują się, co się stało, bo inaczej zrównają tę wioskę z ziemią.

- Nie odwracając głowy, zaczęła odchodzić.

- Chalila, czasem można otworzyć się przed innym człowiekiem. Nie wszyscy jesteście źli.

Zatrzymała się w pół kroku, ale zaraz ruszyła dalej, w kierunku Kurdów, którzy stali nad sadzawką.

### ◆ Dzień trzeci, 10.00 czasu lokalnego - Bagdad

Z tylnego siedzenia Mercedesa, w drodze na zdjęcia do propagandowego programu telewizyjnego, Saddam Husajn z cygarem w ręku słuchał generała Manesza, którego głos dochodził z głośnika w samochodzie. *Mi-24* zniszczył kolejny amerykański śmigłowiec ewakuacyjny oraz zmusił do ucieczki dwie inne maszyny amerykańskie, w tym śmigłowiec szturmowy *Apache*.

Przywódca Iraku rozparł się wygodnie na miękkim skórzanym siedzeniu i uśmiechnął się szeroko. Sprawy szły wręcz wspaniale. Allah doprawdy był dla niego łaskawy.

Uśmiech zniknął jednak z twarzy Saddama, kiedy Manesz wspomniał, że utracił łączność z *Mi-24*, a właściwie także z trzema dodatkowymi śmigłowcami, które wysłał w ten rejon załadowane żołnierzami, mającymi przesłuchać wieśniaków i wydobyć z nich informacje o miejscu pobytu bandy kurdyjskich partyzantów. Przypuszczał, że to właśnie Kurdowie uratowali amerykańskiego pilota. Saddam doradził Maneszowi szybkie znalezienie śmigłowców i ich pilotów.

Nie czekając na odpowiedź, przywódca Iraku rozłączył się, pociągnął cygaro i powoli wydmuchiwał dym. Tak naprawdę, utrata *Mi-24* nie miała większego znaczenia w porównaniu z zestrzeleniem amerykańskiej maszyny. Sprawy układały się wręcz znakomicie.

### ◆ Dzień trzeci, 2.30 czasu lokalnego - Biały Dom

Trwało kilka sekund, zanim wyrwany ze snu prezydent Bill Clinton uświadomił sobie, że dzwoni telefon i że on sam zasnął, czytając w łóżku. Na kołdrze wciąż leżał jeden z kilku raportów, którymi prezydent zajmował się tej nocy. Spojrzał na zegarek i pomyślał, że minęła zaledwie godzina od rozmowy telefonicznej z Marshalllem i Draperem. Podczas niej prezydent poinformował generałów o decyzji przeprowadzenia rozpoznania z powietrza w rejonie Allahbadu.

Pierwsza Dama, Hillary Rodham Clinton, z twarzą wtuloną w poduszkę, mruknęła coś niezrozumiałego i przekręciła się na łóżku.

Prezydent przetarł oczy i sięgnął po telefon. - Tak?

- Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze, panie prezydencie, ale myślę, że powinien pan włączyć CNN. Zaraz wystąpi Saddam - powiedział jeden z prezydenckich doradców.

- Tak, tak... Dziękuję.

Prezydent, którego senność zupełnie już opuściła, odłożył słuchawkę i sięgnął po pilota, leżącego koło telefonu. Włączył telewizor. Hillary usiadła na łóżku.

- Co się dzieje? - zapytała, trąc rękami oczy. Prezydent wyczuł w jej głosie rozdrażnienie. Odwrócił się do niej na chwilę. Pierwsza dama, w białoróżowej nocnej koszuli, zakryła usta dłonią, ukrywając ziewnięcie.

- Przepraszam, kochanie. Saddam...

Prezydent przerwał. Na ekranie pojawił się Saddam Husajn w jednym ze swych klasycznych brązowych mundurów. Podszedł do długiego stołu stojącego pod białą ścianą i gestem wskazywał przedmioty wydobyte z wraków *Tomcata* i jednego z dwóch śmigłowców ewakuacyjnych. Kamera wędrowała od pewnego siebie Saddama do szerniałych hełmów lotniczych, butów, fragmentów pokrycia maszyn z wyraźnie widocznymi literami USAF, katapultowego fotela i spadochronu. Prezydent Iraku podniósł ze stołu i przybliżył do kamery zegarek, obrączkę, okulary słoneczne, „nieśmiertelniki” i wyjaśnił, że ludzi, do których to wszystko należało, spotkała bezsensowna śmierć. Powiedział, że ta krew plami ręce prezydenta Clintona, który ich tam wysłał.

Potem kamera wróciła do Saddama. Twarz prezydenta Iraku wypełniła cały ekran. Z nienawiścią w oczach, zaciśniętymi ustami i nozdrzami rozdymającymi się przy każdym wydechu, Saddam Husajn stał w milczeniu przez kilka sekund, zanim zaczął mówić po arabsku. Komentator tłumaczył jego słowa na angielski.

- Panie prezydencie Clinton. Jest pan może silniejszy ode mnie, ale nie będę panu posłuszny. Jeśli waży się pan mnie zaatakować, nakręcimy następny film, podobny do tego, ale za mną będzie prawdziwa góra amerykańskich hełmów i karabinów. - Saddam Husajn przestał mówić i stał wpatrzonej w kamerę.

Prezydent poczuł dłoń Hillary na swoim ramieniu. Odetchnął głęboko i przyglądał się Husajnowi, dopóki przywódca Iraku nie zniknął z ekranu.

# 9.

## Oczekiwania

### ♦ Dzień trzeci, 10.45 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Zlany potem, z bólem głowy, stanowiącym rezultat wyczerpania i niespokojnego lotu, Robert Bourdeaux wszedł do punktu łączności i rozejrzał się dookoła, szukając Petera Halstona. Pułkownik, który stał za plecami operatora radaru, pomachał do niego. Bourdeaux stwierdził ze zdziwieniem, że Halston wyglądał dziś zdecydowanie lepiej niż poprzedniego dnia. Halston podszedł do niego.

- Bob, wyglądasz jak z krzyża zdjęty.

Bourdeaux uniósł brew. - Wygląda na to, że przynajmniej ty się przyzwoicie wyspałeś.

Opalony pułkownik uśmiechnął się szeroko. - Czuję się doskonale, chociaż budziłem się w nocy. No, tak czy inaczej przespałem swoje osiem godzin.

- Po takiej nocy przydałoby mi się trochę twojej kondycji.

- Rozumiem, lot był niespokojny - powiedział Halston, po czym nagle spowaźniał. - Powiedz mi, jak poszło w Czarnej Dziurze.

Bourdeaux przekrzywił głowę. - Myślę, że całkiem nieźle. Na generale Marshallu duże wrażenie zrobiły informacje moich kurdyjskich przyjaciół i analiza danych satelitarnych. Dowiedziałem się też, że wszystko, co zdołam ustalić, jest przekazywane bezpośrednio prezydentowi.

Halston szeroko otworzył oczy. - Naprawdę?

- Naprawdę. Mam nadzieję, że prezydent dojdzie do takich samych wniosków, jak my.

- No i na czym stanęło?
  - Generał powiedział, że zadzwoni do prezydenta i że potem ktoś się ze mną skontaktuje. Potem kazał mi tu jak najszybciej wracać.
  - Myślę, że to już coś. Mam nadzieję, że od razu zabierzemy się do roboty.
  - Są nowe zdjęcia satelitarne?
  - KOIF przysłał trochę. Masz. - Halston wziął ze stołu wielką kopertę i wyjął plik zdjęć.
- Bourdeaux westchnął, patrząc na nie z wyraźnym obrzydzeniem. - Cóż, może kiedyś zdołam się wyspać. Usiedli i pochylili się nad zdjęciami.

Niebo było częściowo zachmurzone. Kapitan Amanda Green szła od *Pave Hawka*, którego wirnik jeszcze się obracał, w kierunku punktu łączności. Wiedziała, że najpierw czeka ją odprawa, a dopiero potem będzie mogła odpocząć. Odprawa nie będzie przyjemna, pomyślała, podchodząc do jednego z niewielu klimatyzowanych namiotów w bazie.

W środku długiego, wąskiego namiotu powitało ją przyjemnie, chłodne powietrze, zdające się usuwać pot z jej twarzy, szyi i ramion. Jej krótkie, kasztanowe włosy, wilgotne i przylegające do głowy, sprawiały wrażenie, jakby wyszła właśnie spod prysznica.

Zobaczyła, że w głębi, za stanowiskami radiooperatorów, kapitan Orlando Delaney rozmawia już z pułkownikiem Halstonem i facetem z CIA. Halston dał jej gestem znak, żeby podeszła.

Pułkownik siedział naprzeciw człowieka z CIA przy długim, zielonym stole ustawionym na końcu namiotu z szaro-żółtego płótna. Delaney, który siedział koło Halstona, wstał, kiedy podeszła. Zauważyła, że na stole porozkładane były zdjęcia satelitarne.

- Witam, pani kapitan - pozdrowił ją Halston, nie podnosząc się z krzesła. - Proszę siadać. Kapitanie Delaney, czy chciałby pan coś dodać?

Kościsty mieszkaniec stanu Missisipi powoli pokręcił głową. - Nie, myślę, że to już wszystko.

- W porządku. Niewykluczone, że później będę jeszcze miał do pana jakieś pytania.

- Nie ma sprawy, sir. - Powiedziawszy to, Delaney odwrócił się i wyszedł.

Amanda spojrzała na Halstona, który wskazał jej krzesło naprzeciw oficera CIA. - Dzień dobry, panie pułkowniku - powiedziała, trzymając się

konwenansu. W obecności innych zwracali się do siebie formalnie.

- Pani kapitan, to jest Robert Bourdeaux, ekspert z CIA. Bob, to kapitan Amanda Green.

- Pani kapitan.

- Panie Bourdeaux. - Amanda przyjrzała się uważniej temu wysokiemu, trochę otłemu mężczyźnie w pogniecionej białej koszuli. Bourdeaux miał czarne włosy, które dopominały się o grzebień i nabiegłe krwią brązowe oczy. On też taksował ją wzrokiem.

Halston uniósł dłoń. - Co tam się stało, pani kapitan?

Amanda poprawiła się na drewnianym krześle, przejechała palcami po wilgotnych włosach i otarła pot z policzków. - Krótko mówiąc, sir, iracki *Hind* urządził na nas zasadzkę. AWACS miał go na radarze przez kilka minut, ale zaraz obniżył wysokość i się schował. Mieliśmy ogólne pojęcie, gdzie się mógł znajdować, ale zanim zdążyliśmy się zorientować, otworzył ogień do *Pave Hawka*. Kapitan Delaney zdołał w porę zejść z linii ognia. My lecieliśmy kilkadziesiąt metrów za pierwszym śmigłowcem ratunkowym i również udało nam się uciec. Kiedy *Pave Hawk* został zestrzelony, kapitan Delaney rozkazał nam opuścić ten rejon, a sam stoczył krótką walkę powietrzną z *Hindem*, bez ofiar po którejś ze stron. Wycofał się, kiedy AWACS zgłosił, że nadlatują dalsze trzy maszyny wroga.

- Widać było załogę *F-14*?

- Nie, sir. Wszystko stało się bardzo szybko. Od chwili, kiedy zauważyliśmy wioskę, do czasu, kiedy opuściliśmy ten rejon, nie upłynęła nawet minuta. Nie można wykluczyć, że ci z *Tomcata* obserwowali wszystko z ziemi.

- Próbowła pani nawiązać łączność radiową z porucznikiem Daltonem?

- Major próbował, zanim zostaliśmy zaatakowani, ale bezskutecznie. Namierzyliśmy tylko sygnał jego radionamiernika.

- A po walce? Próbowła pani potem jeszcze raz nawiązać łączność?

- Radionamiernik przestał nadawać sygnał.

- Jak to?

- Potem nie było już sygnału, sir.

- Ponieważ odlecieliście już na zbyt dużą odległość?

- Cóż, sir, nie wiadomo. Sygnał po prostu zniknął. Może byliśmy za daleko, a może radionamiernik został wyłączony albo zniszczony.

- Niech to diabli! Nie wiadomo, kiedy uda nam się znów ich namierzyć. No dobrze. Gdzie jest major Poole?

Amanda spojrziała w kierunku wejścia. - Powinien tu być lada chwila, sir. Szedł tuż za mną.

Halston spojrzął na Bourdeaux. - Co o tym sądzisz, Bob?

- Nie jestem żołnierzem, ale wydaje mi się, że kapitan Delaney zrobił, co mógł w tej sytuacji. Może nie byliśmy w pełni przygotowani do tej misji ewakuacyjnej. Może powinniśmy wysłać więcej maszyn.

Halston rozparł się na krześle. - Co za pasztet! Irakijczycy wykorzystują już to wszystko w wojnie propagandowej.

Wstał z krzesła, łapiąc się na tym, że patrzył Amandzie w oczy kilka sekund dłużej, niż zamierzał. Jej spojrzenie było pełne smutku. Z pewnością czuła się współwinną temu, co się stało, chociaż faktycznie nikt nie ponosił winy. To była misja ratunkowa na terytorium wroga; takie zadania zawsze niosły ze sobą wielkie ryzyko. Chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale profesjonalizm nie pozwalał mu na takie manifestowanie uczuć. Ona była żołnierzem, a on jej zwierzchnikiem. Kropka. - Ma pani coś do dodania, pani kapitan?

Amanda spuściła wzrok, oparła rękę na biodrach i westchnęła. - Nie, sir. Myślę, że to wszystko.

- Dziękuję, może pani odejść.

Kiedy wyszła, Halston spostrzegł, że Bourdeaux kpiąco się uśmiecha.

- Czego chcesz? - zapytał Halston zaczepnym tonem.

- Piotrusiu, chyba jesteś niegrzecznym chłopczykiem.

Rumieńce na twarzy Halstona przechodziły przez różne fazy czerwieni. - A więc to się rzuca w oczy? Niech to cholera!

Bourdeaux uśmiechnął się. - To zostanie między przyjaciółmi, Pete, ale jeśli interesuje cię moje zdanie, to myślę, że igrasz z ogniem.

- Człowieku, przecież nic między nami nie było - odpowiedział Halston, rozglądając się dookoła i upewniając, że nikt ich nie słyszy. - Naprawdę. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Tak to się zaczyna. Ale jest i pozytywny aspekt. Cieszę się, że wreszcie postanowiłeś coś zrobić w tej dziedzinie.

- Słuchaj, to naprawdę nie tak, jak myślisz. Nic między nami nie było. Zupełnie nic i bardzo wątpię, czy kiedykolwiek do czegoś dojdzie. Mamy tu poważny konflikt interesów. Cóż, nie można mieć wszystkiego.

Bourdeaux wzruszył ramionami. - Tam, gdzie jest ochota, znajdzie się i sposób.

Halston skinął głową.



- Posłuchaj - kontynuował Bourdeaux. - Jeśli rzeczywiście myślisz o niej poważnie, to jako przyjaciel radzę ci się zastanowić, jak zejść problemom z drogi. Przenieś ją gdzieś. Cholera, wiesz przecież lepiej, co można zrobić. Nie znam jej, ale na pierwszy rzut oka wydaje się w porządku. Nie chciałbym wracać do przeszłości, ale ze wszystkich ludzi właśnie ty powinieneś wiedzieć, jak trudno kogoś takiego znaleźć. Pamiętaj, że ten konflikt kiedyś się skończy i jeśli nie zginiesz, to czeka cię jeszcze wiele, wiele lat życia. Od tego, jak się teraz zachowasz, będzie zależało, czy spędzisz te lata z nią, czy bez niej. Zastanów się, co jest naprawdę ważne. No, dobra, za długa ta przemowa. Jesteś w końcu dorosły. Muszę się przespać, zanim padnę ze zmęczenia. - Bourdeaux wstał i wyszedł z namiotu.

#### ◆ **Dzień trzeci, 11.30 czasu lokalnego - USS „Ranger”**,

150 kilometrów na północ od Bahrajnu, Zatoka Perska

Porucznik „Chico” Delgado podszedł do mechaników, którzy pracowali przy *Tomcacie* w tylnej części hangaru. Byli to jego przyjaciele z *barrio* i Delgado spędzał z nimi wiele czasu, mimo że nie mieli stopni oficerskich. Dystynkcje porucznika sytuowały go w innej klasie, ale w głębi duszy wiedział, że jest jednym z nich, jednym z *barrio*.

- Wiadomo coś o Szurmieym? - zapytał jeden z mechaników.

- Nie. Dowódca w ogóle nie chce o tym mówić. Ewakuacją zajmują się nasi w Arabii Saudyjskiej. To głupota, żeby nas w ogóle nie informować.

- Masz rację stary. Aż trudno uwierzyć. Człowiek się, kurwa, zastanawia, co jest grane.

- Pewnie.

Delgado postął z nimi jeszcze dziesięć minut, po czym ruszył z powrotem do swojej kajuty. Odwrócił głowę i spojrzął na *Tomcata*, nad którym pracowali jego przyjaciele. Był święcie przekonany, że bez względu na konkurencję, to najlepszy samolot na świecie.

#### ◆ **Dzień trzeci, 11.45 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak**

Generał Abunnasr Manesz wybiegł z bunkra. Miotając przekleństwa, szedł w kierunku betonowego schronu, gdzie jego *MiG* stał zatankowany i gotów do lotu. Mechanicy zeskrobywali ostatnie resztki ptaków z wiatroschronu. Wszystkie uszkodzenia zostały naprawione.

Rozmowa z prezydentem nie potoczyła się dobrze, a co gorsza, Fasan Tabriz, jego radiooperator, nie zdołał nawiązać łączności ze śmigłowcami.

Na Allacha, co się dzieje? - pomyślał Manesz. Najpierw straciliśmy dwie *Gazelle*, a teraz cztery *Mi-24*? Coś tu jest nie w porządku. Fasan ostrzegł go również, że w strefie zakazanej dla lotnictwa irackiego obserwuje się wzmożoną aktywność myśliwców wroga. Tyle przynajmniej zdołał wykryć radar Fasana, mimo potężnych amerykańskich systemów zagłuszania, które zdecydowanie ograniczały możliwości irackich stacji radarowych. Ale dla Manesza nie miało to już znaczenia. Nie będzie czekał w betonowym schronie. Znał swoją wartość, był przekonany, że za sterami *MiG-a-29* nie ma sobie równych, także wśród pilotów amerykańskich. Poza tym, jeśli pozostanie w pobliżu bazy, w razie konieczności będzie mógł szybko wyłączyć i ukryć maszynę w schronie.

- Dokończycie później! - powiedział do mechanika. - Muszę natychmiast polecieć na rozpoznanie.

Mechanik bez słowa zjechał po poręczach drabinki i pobiegł wyjmować kliny spod kół i ściągać pokrowce, którymi przykryte były rakiety. Manesz nałożył hełm i wszedł do kabiny.

Turboodrzutowe silniki pchnęły *MiG-a-29* naprzód, kiedy Manesz z wyczuciem przesunął dźwignie ciągu. W myślach odtwarzał sobie kolejne punkty procedury przedstartowej. Teraz to już tylko formalność, pomyślał, kiedy ważąca prawie osiemnaście ton maszyna wysunęła się ze schronu na rozpalony słońcem pas startowy, nad którym powietrze drżało od gorąca.

Manesz opuścił osłonę kabiny i uruchomił radio, naciskając przełącznik na drążku sterowym.

- Fasan, tu Manesz. Nawiązałeś kontakt z *Mi-24*?

- Nie, generale, ale będę nadal próbował.

- Jakie są ich ostatnie znane koordynaty?

- Trzydzieści trzy stopnie pięćdziesiąt minut szerokości pół- nocnej, czterdzieści pięć stopni długości wschodniej, panie generale.

Manesz pokołował na koniec pasa startowego. Stojący po prawej stronie rękaw lotniskowy zwisał bezwładnie z masztu. Manesz wiedział, że będzie musiał startować z dopalaczami, żeby skompensować brak czołowego wiatru i rozrzedzenie gorącego powietrza.

Wciskając pedały hamulców, dał pełny ciąg. Szarpnięcie powiadomiło go, że włączyły się dopalacze. Zwolnił hamulce i maszyna wystrzeliła naprzód, pędząc coraz szybciej po pasie startowym. Po piętnastu sekundach była już w powietrzu. Manesz schował klapy i podwozie. Leciał kursem na przechwycenie z prędkością siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, na wysokości piętnastu metrów.

Ośmiu Kurdów było zajętych spychaniem ostatniego śmigłowca do strumienia, który wprawdzie nie był dość głęboki, żeby śmigłowiec zatonął, ale dostatecznie wartki, by znieść go z nurtem daleko od wsi. Iszmael wiedział, że niecałe dwa kilometry dalej strumień wpadał do głębokiego i szerokiego Eufratu.

Iszmael zmarszczył brwi. Ze spychaniem śmigłowców do wody uporali by się znacznie szybciej, gdyby pomógł im Abdul, ale wielki Kurd pozostał we wsi, wciąż oplakując śmierć siostry. Iszmael znał Abdula od dawna, ale nigdy przedtem nie widział też w jego oczach. Tak, ale do śmierci siostry Abdul nie stracił nikogo z najbliższych.

Przestał rozmyślać, kiedy zapadł się po kolana w błotnisty brzeg. Śmigłowiec również utknął w błocie.

- Jeszcze tylko parę metrów, bracia! Allach doda nam sił! - krzyknął, zachęcając swoich ludzi do podwojenia wysiłków.

Manesz wyrównał na sześciu tysiącach metrów i rozglądał się dookoła w poszukiwaniu śmigłowców. Wiedział, że na tak dużej wysokości wykryją go amerykańskie radary, ale nie miał wyboru. Musiał ustalić, co się stało z *Mi-24*.

- Powtórz koordynaty, odbiór!

- Trzydzieści trzy stopnie pięćdziesiąt minut szerokości północnej, czterdzieści pięć stopni długości wschodniej, panie generale. Ma pan kontakt wzrokowy?.

- Wciąż gównie widzę, a krążę już w tym rejonie od dwóch minut! - zaklął Manesz. - Nie mogę pozostać na tej wysokości. Amerykanie pewnie mają już mnie na radarach.

*MiG* zaczął obniżać lot, zataczając szeroki łuk. Nie ma ich tu, pomyślał Manesz, przyglądając się wsi i strumieniowi... Na Allacha, a to co?

Nie był jeszcze pewien, co zwróciło jego uwagę, ale wiedział, że to coś wyraźnie nie pasowało do otoczenia. Promienie słoneczne jakoś dziwnie odbijały się w pewnym miejscu od wody. Wyrównał na wysokości czterech i pół tysiąca metrów, wciąż zataczając łuk i wyteżył wzrok. Promienie słoneczne odbijały się od czegoś, co spływało w dół strumienia. To nie była łódź; z góry łódzie widzi się zwykle jako ciemne kształty na tle jasnej, połyskującej powierzchni wody. Nie, to coś przypomina raczej krzyż.

Zaciekawiony, odepchnął drążek sterowy, rozpoczynając strome schodzenie łukiem w lewo. Dostrzegł trzy inne krzyże spływające w dół rzeki

i nagle uświadomił sobie, że to nie żadne krzyże tylko wirniki śmigłowców!

Ostatni *Mi-24* był już prawie w wodzie, kiedy Iszmael zauważył srebrzystą sylwetkę samolotu na tle błękitnego nieba.

- Kryć się, bracia!

Kilku Kurdów spojrzalo na niego, ale zaraz odwrócili głowy w kierunku, z którego slychać już było nadlatującego *MiG-a*. Iszmael patrzył przerażony, jak jego ludzie, niektórzy po pas w błocie, usiłowali wydostać się i znaleźć jakąś kryjówkę. Odpychając się rękami od czerwonego błota rzucił się naprzód, próbując oderwać stopy od dna.

Trwało to jakiś czas, zanim generał Manesz uświadomił sobie, co znaczą śmigłowce w strumieniu. Jego maszyny i piloci padli ofiarą kurdyjskich dzikusów. Klął w duchu, schodząc na wysokość kilkunastu metrów, żeby uniknąć groźby zestrzelenia rakietami ziemia-powietrze i uaktywnił działko zabudowane u nasady lewego skrzydła. Wziął na cel kilku Kurdów na brzegu i ściągnął spust.

Chalila, usłyszawszy strzały z działka, zerwała się na równe nogi i chciała wybiec przed dom, ale Kevin ją powstrzymał.

- Co robisz?! - krzyknęła, próbując się wyrwać.

Kevin odwrócił jej głowę w kierunku okna. - Spójrz tylko!

*MiG* przeleciał tuż nad głowami Kurdów na brzegu. Kilku zostało trafionych. Iszmael i inni usiłowali wydostać się z błota, żeby pobiec do wsi.

- *Javeliny!* Gdzie one są?! - krzyknął Kevin.

- Na nic się tu nie zdadzą. Ściągnęlibyśmy tylko na siebie uwagę.

- Ale przecież musimy coś zrobić! Gdzie one są?!

Chalila chwyciła go za rękę i oboje wybiegli na zewnątrz, w sam środek chaosu. Zewsząd dochodziły krzyki. Przerażeni mieszkańcy rozbiegali się na wszystkie strony. Matki niosły na rękach niemowlęta, młodzi mężczyźni starali się pomagać starszym, chorym i inwalidom. Wszyscy aż za dobrze wiedzieli, co ich czeka, zwłaszcza po tym, co Kurdowie zrobili z irackimi żołnierzami. W tym rejonie każde dziecko znało opowieści o straszliwych trujących gazach.

- Panie Dalton!

Kevin odwrócił głowę w lewo. Wołał go Abdul. - Zaczekaj, Chalila!

Wielki Kurd podbiegł do nich, dźwigając *Javeliny*. Kevin chwycił jedną wyrzutnię, Chalila drugą, po czym wszyscy troje ruszyli na skraj wsi od strony strumienia.

- Widzisz go? - Kevin rozglądał się po niebie, ale *MiG-a* nigdzie nie było.

- Nie - odpowiedziała Chalila.

- Niech to diabli! Jak się tym posługiwać? - zapytał, nie mogąc się uporać ze swoją wyrzutnią.

- Wkładasz pocisk raketowy do przedniej części wyrzutni. Musi zaskoczyć. - Kevin przyglądał się przez chwilę zręcznym ruchom rąk Chalili, po czym powtórzył je.

- Dobra, mam. Co teraz?

- Słuchaj uważnie. To nie jest rakietka automatycznie naprowadzająca się na źródło ciepła. Po odpaleniu musisz utrzymywać cel w celowniku.

- Żarty sobie ze mnie robisz? Zdajesz sobie sprawę, z jaką prędkością latają *MiG-i*?

- Dokładnie to próbowałam ci powiedzieć, ale uważałeś, że musimy coś zrobić!

Kevin zaniechał protestów. - W porządku, w porządku. Co dalej?

- Oprzyj wyrzutnię z pociskiem na prawym ramieniu, wyceluj i strzelaj.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Jedyna rzecz, o której musisz pamiętać, to utrzymywanie celu w wizjerze. Reszta jest auto...

Kevin dostrzegł samolot na dużej wysokości. *MiG* nadlatywał od północy. - Mam go! Widzę skurwysyna!

- Też go widzę - powiedziała Chalila, uniosła wyrzutnię i oparła ją sobie na ramieniu.

- Zawrócił i robi kolejny nalot. - Kevin spostrzegł, że Ismael wraz z trzema innymi Kurdami wydostał się wreszcie z błota. Biegli przez pole oddzielające wioskę od rzeki. *MiG* ostro nurkował. Kevin widział smugi skondensowanej pary, opływające wychylone klapy na krawędziach spływu skrzydeł. Myśliwiec zbliżał się szybko na wysokości trzydziestu metrów. Kevin wiedział, że iracki pilot przeleci nad wioską i wystrzeli serię pocisków, nie przejmując się specjalnie, że mógłby zostać ostrzelany albo zatakowany raketami ziemia-powietrze. Założeniem było pozostanie w polu widzenia ludzi w atakowanym miejscu nie dłużej niż dwie-trzy sekundy. *MiG* musiał więc lecieć tuż nad ziemią i z dużą prędkością. Jednak dla tych, którzy stali trochę z boku, tak jak on i Chalila, *MiG* powinien być widoczny kilka sekund dłużej. Stali w takim miejscu, że atakujący myśliwiec musiał przelecieć dokładnie przed nimi. Dawało to szansę *Javelinom*. Poza tym, rakiety z pewnością odciągną uwagę irackiego pilota od Kurdów.

*MiG* zachowywał się tak, jak to Kevin przewidział. Kiedy maszyna znalazła się bliżej, Kevin szeroko otworzył oczy ze zdumienia i poczuł, że ogarnia go wściekłość. - To ten *MiG*! Ma zielone pasy na kadłubie i na skrzydłach! To ten skurwysyn mnie zestrzelił!

Chalila odwróciła głowę.

- Nie patrz na mnie! - ofuknął ją. - Zestrzel tego drania. Uważaj, pójdzie pewnie świecą w górę, kiedy zobaczy nadlatujące rakiety!

Przytaknęła, uaktywniła układ celowniczy i skierowała wyrzutnię na *MiG-a*.

- Mam go!

Odpaliła *Javelina*.

Generał Manesz zamierzał właśnie ponownie ostrzelać tych dzikusów, kiedy po lewej stronie dostrzegł jaskrawy błysk, a zaraz potem smugę dymu, pędzącą w kierunku jego *MiG-a*.

Co takiego?

Instynktownie wyrzucił folię antyradarową i odpalił flary termiczne, ściągnął na siebie drążek i dał pełny ciąg. Dopalacze pchały maszynę pionowo do góry. Zerknął do tyłu, próbując się przekonać, czy folia zmyliła raketę. Nic z tego. Rakietą była coraz bliżej.

Kevin zauważył, że Chalila posłuchała jego rady i przewidziała reakcję irackiego pilota. Podtrzymawała lewą ręką przednią część wyrzutni, co umożliwiło jej utrzymanie w celowniku uciekającego do góry *MiG-a*. Zmarszczył brwi; maszyna była coraz wyżej. Biorąc pod uwagę wielkość pocisku i ilość raketowego paliwa, Kevin uznał, że na takiej wysokości dokładność *Javelina* była zdecydowanie gorsza.

- Uważaj - powiedział Kevin. - Ten skurwysyn nie może się wspinać w nieskończoność. Musi zanurkować i zakręcić, albo wejść w odwróconą pętlę. Trzymaj go w celowniku.

*MiG* przeszedł w odwróconą pętlę i zakręcał. Kevin obserwował wysiłki Chalili, która starała się zmusić raketę do powtórzenia tego manewru, ale sygnały radiowe wysyłane do układu sterowniczego *Javelina* stały się za słabe, kiedy pocisk i samolot wzniosły się na cztery tysiące pięćset metrów. Rakietą zgubiła cel i po kilku sekundach zaczęła spadać na ziemię. Kevin wiedział, co zrobi iracki pilot. Przygotował swojego *Javelina*.

Generał Abunnasr Manesz był wściekły. Ci bandyci mieli czelność wystrzelić jedną ze swych śmiesznych raketek do jego wspaniałej maszyny. Wyszedł z pętli i przyśpieszył, lecąc do miejsca, z którego wystrzelono

rakiety. Był pewien, że strzelano z jednego z domów na skraju wsi, koło strumienia.

Klął na czym świat stoi, że nie przygotował się do atakowania celów naziemnych. Wszystkie jego rakiety były klasy powietrze-powietrze. Pozostawało działko. Wyprowadził *MiG-a* z lotu nurkowego i zwiększył ciąg.

Kiedy jęzory ognia, wydobywające się z lufy działka, stały się wyraźnie widoczne na tle pomalowanego na szaro *MiG-a*, Kevin miał go już w celowniku. Nacisnął guzik i poczuł potężne szarpnięcie, kiedy prawie dwunastokilogramowa rakietka wystrzeliła z wyrzutni, przyspieszając do 1,8 macha. Pierwsze pociski z działka *MiG-a* zaczęły padać na lewo od niego, ale Kevin wiedział, że nie potrwa to długo. Iracka maszyna będzie musiała uciekać przed *Javelinem*.

Manesz szarpnął drążek sterowy do siebie i ostro w lewo, w ostatniej chwili unikając czołowego zderzenia z nadlatującą rakieta. Ku jego wielkiemu zdziwieniu, ta druga rakietka również nie dała się oszukać folią antyradarową i powoli zbliżała się. Seria gwałtownych uników w prawo i w lewo też niczego nie zmieniła - rakietka była coraz bliżej. Manesz ponownie skierował nos *MiG-a* prosto w niebo. Rakietka leciała za nim jakiś czas, ale wreszcie skończyło jej się paliwo i spadła na ziemię.

Chalila pociągnęła Kevina za rękaw. - To nie ma sensu. Chodźmy stąd!

Kevin rzucił wyrzutnię i rozejrzał się za Abdulem, ale nie było go w pobliżu. Wiedział, że Chalila ma rację. Mieli szansę tylko za pierwszym razem, może jeszcze za drugim, ale na tym koniec. Jako pilot wiedział, że Irakijczyk za sterami *MiG-a* najprawdopodobniej dokładnie zorientował się już w sytuacji i za chwilę znów zaatakuje.

- Gdzie jest Abdul?

- Nie wiem. Nie mamy czasu go teraz szukać. *MiG* zawraca, a nam skończyły się rakiety!

Kevin pobiegł za nią do wsi. Placyk przy sadzawce był opustoszały.

- Gdzie oni wszyscy są?

- Panie Dalton! Tutaj!

Był to głos Abdula. Kevin rozejrzał się dookoła, ale nikogo nie dostrzegł.

- Chalila, panie Dalton!

- Niech to diabli! Chalila, widzisz go?

- Nie... czekaj, widzę! Tam!

Kevin popatrzył we wskazanym kierunku i zobaczył swego irańskiego przyjaciela na skraju placyku, kilkanaście metrów od sadzawki. Abdul machał do nich, stojąc do pasa w jakimś dole.

- Ruszaj się Kevin, biegiem! - Chalila pobiegła do Abdula. Kevin próbował ją dogonić, ale bezskutecznie. Ból w zranionej nodze uniemożliwiał szybki bieg. Usłyszał dopalacze *MiG-a*. Nie musiał się odwracać; wiedział, że atakuje po raz trzeci. Tym razem żadna rakietka nie zmusi go do przerwania morderczego ognia z działka. Kevin doskonale wiedział, co zamierza zrobić iracki pilot.

- Nie odwracaj się! Biegnij! - krzyczała Chalila, która dopadła już dołu.

Ryk silników stawał się ogłuszający. Kevin wyteżył wszystkie siły i rzucił się naprzód. Myślał tylko o jednym - żeby się schronić.

Działka *MiG-a* znów się odezwały. Pociski padały wokół Kevin, wzbijając chmurę kurzu. Kevin wiedział, że takie pociski zabiły Lancastera, Campbella i Johnsona, Kurdów nad brzegiem. Porucznik Kevin Dalton nieraz zaglądał ostatnio śmierci w oczy. Był zdecydowany nie dać się zabić, już choćby dlatego, że musiał wziąć odwet na irackim *MiG-u*. Ignorując padające dookoła pociski, szybko przebiegł ostatnie metry i głową naprzód rzucił się do dołu, przewracając Chalilę. Abdul natychmiast pomógł mu wstać i opuścił ciężką, metalową klapę.

W mrocznym tunelu Kevin starał się odzyskać orientację. Poczucie zagrożenia nie minęło. Podskoczył, kiedy kilka pocisków trafiło w stalową klapę, wydając świdrujący w uszach, wysoki dźwięk. Wszyscy w tunelu zatkali sobie uszy rękoma. Przerażone dzieci płakały. Zaczynała się panika. I wtedy Kevin usłyszał donośny głos Iszmaela, przekrzykującego wieśniaków. Powoli ludzie zaczęli się uspokajać.

W samym środku tego chaosu, Kevin, który nadal nic nie widział, poczuł nagle, że ktoś go obejmuje. - Wszystko będzie dobrze, Kevin - usłyszał głos Chalili.

Nie odpowiedział. Odchylił się do tyłu i położył głowę na jej ramieniu. Było mu ciepło i przyjemnie. Przymknął powieki i oddychał głęboko. Ból, koszmar przegranej z *MiG-iem*, zagładająca w oczy śmierć, wszystko to zaczęło się zacierać, jakby wchłaniane przez ciało Chalili, osłaniające go przed brutalną rzeczywistością. Kevin Dalton zostawił za sobą wszystkie kosmary.

### ◆ Dzień trzeci, 12.30 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Pułkownik Peter Halston z całego serca nienawidził papierkowej roboty, która zabierała mu tyle czasu. Pochylony nad stertą dokumentów, pracował



przy świetle zwisającej z sufitu żarówki. Podniósł głowę, kiedy ktoś odchylił płótno w wejściu do jego namiotu.

- Pete?

Do środka weszła Amanda Green. Jej twarz miała poważny wyraz.

- Tak, Amando?

Zasłoniła z powrotem wejście i podeszła do jego biurka. - Słuchaj, Pete, myślę, że na jakiś czas powinniśmy skończyć z całą tą przyjaźnią i w ogóle. Nie chodzi o to, że boję się, co ludzie powiedzą. Wiem, co jestem warta jako pilot. Rzecz w tym, że... - przerwała i spuściła oczy.

Halston spojrział na nią i westchnął. - Boisz się zaangażować uczuciowo, prawda? Nie chcesz wiązać się z kimkolwiek, dopóki trwa ten konflikt?

Kiwnęła potakująco głową.

Halston wstał i wyszedł z biurka. - Pod tym względem nie jest pani osamotniona, kapitan Amando Green. Ja też się boję. Potwornie się boję związać się z tobą, a potem cię stracić, tak jak straciłem Elaine. Potrzebowałem lat, żeby się jakoś pozbierać, a i tak do dziś nawiedzają mnie koszmary. Myślisz, że chciałbym przechodzić przez coś takiego jeszcze raz? W żadnym wypadku. Ale czy mam jakiś wybór? Czy któreś z nas ma jakiś wybór? Jaka jest alternatywa? Życie w samotności? Trzeba czasem podjąć ryzyko. Zastanów się nad tym. Przemyśl wszystko i wyciągnij wnioski. Przyjaciel powiedział mi dzisiaj, że przecież kiedyś ten konflikt się skończy i co potem? Z powrotem do naszej samotności? Amando, mamy szansę. Chcę z niej skorzystać.

Nagle miał ją w ramionach, obejmowała go, czuł zapach jej perfum. Ich usta spotkały się w długim pocałunku, a potem po prostu patrzyli sobie w oczy.

- Myślę, że jakoś damy sobie radę, pani kapitan - powiedział z uśmiechem.

- I ja tak myślę, panie pułkowniku - odparła, delikatnie ścierając mu z ust ślady szminki. - Naprawdę tak myślę.

# 10.

## Wykonywanie rozkazów

*Nie ich jest rzeczą pytać, dlaczego  
Mają wykonać rozkaz i zginąć, jeśli trzeba.*

*Lord Alfred Tennyson*

### ♦ Dzień trzeci, 12.45 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

W punkcie łączności było tego dnia szczególnie gwarno. Kilkunastu operatorów siedzących przy konsolach utrzymywało stały kontakt z AWA-CS-em, krążącym nad bazą. Operatorzy, ze wzrokiem utkwionym w ekrany, sięgali do najrozmaitszych przycisków, pokręteł i przełączników. Wszyscy wykonywali swoje zadania prawie odruchowo, jakby każdy był zamknięty we własnym elektronicznym świecie.

Robert Bourdeaux przyglądał się ich dłoniom, wprawnie manipulującym urządzeniami na konsolach, podczas gdy na kolorowych ekranach wyświetlały się kolejne informacje. Kilku operatorów mówiło do mikrofonów, które mieli przymocowane go słuchawek. Inni uważnie obserwowali ekrany. Silne, jasne światło neonówek odbijało się od zielonej powierzchni metalowego stołu, przy którym siedział oficer CIA.

Wiała lekka bryza, nieczęsto spotykana w tym rejonie. Patrząc na płócienną ścianę namiotu, poruszającą się łagodnie w rytm podmuchów wiatru, Bourdeaux czuł, że wraca mu ból głowy. Halstonowi przyniesiono właśnie pismo od generała Roya Marshalla. Dwa krótkie akapity. Bourdeaux zmiął komputerowy wydruk i cisnął go w kąt, zaskakując tym Halstona. Potem sięgnął po buteleczkę z Tylenolem i zażył dwie kapsułki. Wstał i walnął pięścią w otwartą dłoń. Niech to szlag trafi! Ten durny Draper! - klął w duchu, siadając z powrotem i chwytając obydwoma rękami za krawędź stołu. Wie drań, jak mnie wkurwić!

Marshall powiadał, że mają upoważnienie prezydenta do przeprowadzenia rozpoznania lotniczego i ewentualnie nalotu, jeśli informacje uzyskane podczas rozpoznania potwierdzą dotychczasowe podejrzenia. To było w porządku. Powodem nawrotu migreny u Bourdeaux był drugi akapit, informujący, że całą operację ma nadzorować podsekretarz do spraw Bliżniego Wschodu, generał Kenneth Draper.

Nadzorować? Gówno prawda. Bourdeaux zmarszczył brwi, przejrząwszy w końcu grę Drapera. Widząc, że wszyscy inni - a zwłaszcza prezydent i generał Marshall - zgadzają się z koncepcją Bourdeaux, Draper, który podczas spotkania w CENTAF nie ukrywał sceptycyzmu, najprawdopodobniej zmienił front i przekonał wszystkich, iż chciał się jedynie upewnić, że funkcjonariusz CIA wziął pod uwagę wszelkie ewentualności. Bourdeaux nie miał wątpliwości, że tak właśnie się to rozegrało, kiedy odleciał z Rijadu z powrotem do bazy. Teraz Draper był entuzjastą tej operacji i zapewne będzie chciał zgarnąć dla siebie cały rozgłos i chwałę, kradnąc je tym, którzy faktycznie opracowali plan działania i będą go realizować. Generał wymyślił już nawet chwytliwą nazwę: Pustynna Gwiazda. Polityka. Pracując w CIA, Bourdeaux potrafił z daleka wyczuć dwulicowego polityka, a Draper wręcz śmierdział.

- Bob, po co on przylatuje tutaj, do bazy? - zapytał pułkownik Halston. - Przecież to CENTAF koordynuje wszystkie działania powietrzne. Taka jest standardowa procedura.

- Tak będzie i teraz - odpowiedział Bourdeaux. - Ale myślę, że w tym wypadku Draper przekonał kogoś, może nawet samego prezydenta, że sprawa jest delikatnej natury, i że lepiej będzie mieć wszystko na oku, w razie gdyby nasze informacje okazały się nieprawdziwe. Z pewnością użył swoich wpływów, żeby wysłano go tutaj z uprawnieniami do przerwania całej operacji na pierwszy sygnał, że Allahbad jest jednak tylko zwykłą fabryką mleka w proszku.

- A dlaczego ty nie mógłbyś tego zrobić?

- Cóż, tu w drogę włączy nam polityka. Marshall z pewnością uważa, że my tutaj - ja albo któryś z wyższych rangą oficerów w bazie - potrafimy podjąć właściwą decyzję. Myślę, że Draper się tu wciska, by poprawić swoje notowania w Białym Domu. Idę o zakład, że traktuje to jako okazję do zobaczenia swego nazwiska na czołówkach gazet.

- Niech to cholera. I co teraz zrobimy? - zapytał Halston ściszym głosem.

Robertowi Bourdeaux zdrętwiały ręce. Rozluźnił uchwyt na krawędzi stołu.

- Będziemy udawali, że trzymamy się jego reguł gry, a jednocześnie cały czas musimy się pilnować. Jak już mówiłem, ta sprawa stała się rozgrywką polityczną. Nie we wszystkim się tu jeszcze orientuję, ale zasady zdążyłem poznać, sparzywszy się parę razy w CIA.

- Ale co my mamy zrobić? Pokpić sprawę, żeby Draper wypadł źle? Wydaje mi się, że stoimy na przegranej pozycji. Uda nam się - kto inny zbierze laury; nie uda się - cała odpowiedzialność spadnie na nas.

- Być może jest wyjście.

- Jakie? Sam powiedziałeś, że ma nadzorować całą operację, a to oznacza, że on dowodzi.

- Niech mu będzie, Pete. Przede wszystkim musimy zaprosić którąś z sieci telewizyjnych do zrobienia specjalnego programu o tej operacji. Nie będzie łatwo. Muszą się zgodzić na piśmie, że niczego nie opublikują bez naszej zgody. Nic na temat tej operacji nie może za wcześniej przeciec na zewnątrz. Muszą nam dać taśmy do skontrolowania. Ale niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę temu skurwysynowi zgarnąć wszystkie zasługi.

Na twarzy Halstona pojawił się uśmiech. - To mi się podoba. Ściągnę tu facetów z telewizji, żeby nakręcili trochę materiału z przygotowań. Pobijemy Drapera jego własną bronią.

### ♦ Dzień trzeci, 13.00 czasu lokalnego - baza powietrzna Chamis Muszait, Arabia Saudyjska

Pułkownik Richard „Buhaj” Kramer podkołował swojego *F-117A* do hangaru i wysiadł po czterostopniowej drabince z lewej strony samolotu. Ruszył w stronę koszar, zmęczony całonocnym lataniem. Słońce raziło go w oczy. Założył okulary przeciwsłoneczne i rozejrzał się po górach otaczających odizolowaną od świata bazę. Nazywano ją Wschodnie Tonopah; już po raz drugi została zarezerwowana dla jednego z dywizjonów 37. Taktycznego Skrzydła Myśliwskiego, wysłanego do Arabii Saudyjskiej z macierzystej, jeszcze nie tak dawno tajnej bazy na poligonie Tonopah w Nowadzie.

„Buhaj” Kramer spojrział na dwóch mechaników, pracujących przy śmigłowcu przed hangarem. Obaj odwrócili się w jego kierunku i pomachali. Uśmiechnął się i również pomachał. Czterdziestopięcioletni pułkownik kochał suchy klimat Arabii Saudyjskiej, nie różniący się zbyt wiele od klimatu w Waco w Teksasie, gdzie spędził prawie całą młodość. Tam, w domu, brakuje tylko gór, pomyślał. W środkowym Teksasie nie było gór. Wzgórza tak, ale nie góry.

Kramer był postawnym mężczyzną; mierzył metr dziewięćdziesiąt, a w 107 kilogramach wagi nie było ani grama tłuszczu. Twarz miał kanciastą, z szerokim, wystającym podbródkiem. Bujne, ale wypielęgnowane wąsy zasłaniały mu część górnej wargi. Kiedyś wąsy przechodziły w krótko przystryżoną brodę, ale teraz pozostały z niej tylko niemodnie długie bokobrody, tylko trochę naruszające regulamin Sił Powietrznych. Karnację miał jasną, był zawsze trochę spalony słońcem, na głowie nosił gęstą szopę rudawych włosów. Kramer był kowbojem w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Wychował się na rancho w środkowym Teksasie, miał sześć lat, kiedy nauczył się jeździć konno i trzynaście, kiedy potrafił ujeżdżać konie. Wiedział, jak się wypala znaki krowom i owcom, potrafił przygotować konie i byki do rodeo. Rancho jego rodziców leżało 15 kilometrów na wschód od Waco, miasta odległego o 200 kilometrów na południe od Dallas. Jako jeden z siedmiu chłopców - córek w rodzinie nie było - uczył się tego najstarszego rzemiosła na Zachodzie od ojca i starszych braci, a potem przekazywał to wszystko młodszym braciom. Dżinsy przechodziły w jego rodzinie od najstarszego do najmłodszego. Bracia mieli na rancho swoje obowiązki. Oznaczało to mnóstwo zajęć po powrocie ze szkoły, bo na rancho hodowano ponad 10 tysięcy sztuk bydła i pięć tysięcy owiec. „Buhaj” Kramer kochał ciężką i brudną, ale przecież wdzięczną i potrzebną pracę na rancho. Myślał czasem, że bardziej niż samą pracę kochał wyzwania, jakie mu rzucała. Każdy nie ujeżdżony koń był inny niż ten, którego właśnie ujeździł. Swój urok miał każdy rzut lassem, żeby złapać krowę i wypalić znak. Za każdym razem, kiedy o świcie wychodził zapolować na dzikie indyki, „Buhaj” Kramer utwierdzał się w przekonaniu, że takie właśnie powinno być życie, tu, na końcu świata, gdzie interesy wciąż ubijało się na słowo i przypieczętowywało uściskiem dłoni.

Tak, młody Kramer kochał życie na rancho, dopóki nie zaczęło się stawać coraz bardziej monotonne. To, co zupełnie zadowalało jego braci, jemu przestawało już wystarczać. Pewnego dnia postanowił rozejrzeć się za jakimiś zupełnie nowymi wyzwaniami. Zafascynowały go Siły Powietrzne. Nocami przeczytał wszystko, co znalazł na temat lotnictwa i wkrótce pokochał myśliwce bardziej niż życie na rancho. Podjął decyzję. Zaszokował całą rodzinę, kiedy przy śniadaniu - najważniejszym posiłku dnia - opowiedział o swoich planach. Richard „Buhaj” Kramer zerwał ze stuletnią tradycją rodzinną i wstąpił do Sił Powietrznych.

Mimo upału, Kramer sięgnął do kieszeni kombinezonu po paczkę Marlboro Gold. Miał zapalniczkę obciążoną skórą węgorza morskiego. Była prezentem od ojca - również namiętnego palacza - i pasowała do wysokich butów. Zgoda na noszenie kowbojskich butów zamiast regulaminowego

obuwia była przywilejem, który najbardziej cieszył Kramera. Zasłużył sobie na ten przywilej nie tylko z racji stopnia, ale także dlatego, że był jednym z niewielu pilotów, którzy zdobyli uprawnienia do lotów bojowych na samolotach *F-117A*. Po raz pierwszy Kramer pokazał, ile jest wart podczas operacji *Stusznia Sprawa* w Panamie, gdzie poprowadził swój dywizjon *F-117A* nad terytorium wroga i z powrotem, zanim Panamczycy zdolali się zorientować, o co chodzi. Podczas Pustynnej Burzy wykonał rekordową liczbę czterdziestu pięciu lotów bojowych, a skuteczność prowadzonych przez niego ataków była niemal absolutna - dziewięćdziesiąt siedem procent. Prawie każdą sterowaną laserem bombę *Paveway II* umieszczał dokładnie w celu.

Zaciągnął się ostatni raz, po czym wszedł do koszar. Zdjął buty, wyciągnął swe długie ciało na cienkim materacu, przymknął oczy i słuchał cichego pomruku klimatyzatora.

Po jakimś czasie poczuł, że coś go uwiera w plecy. Sięgnął ręką i wydobyl kopertę. Przyjrzał się jej przez chwilę, a potem otworzył. - Czy wyście, kurwa, powariowali?! - krzyknął po przeczytaniu krótkiego pisma. Zerwał się z łóżka, naciągnął buty i wybiegł z koszar, chociaż jeszcze tak niedawno obiecywał sobie, że nie będzie już dzisiaj oglądał słońca.

- Co się, do diabła dzieje, szefie? Mam to traktować serio? -zapytał Kramer swego dowódcę, generała Jeffa Towersa, ciskając kopertę na wielkie drewniane biurko ze szkłem na blacie.

- Spokojnie, Buhaj. Wydajesz się trochę zdenerwowany. Miałeś trudny lot?

- Nie, szefie, lot był w porządku, ale wylądowałem zaledwie parę minut temu i myślałem, że nie będę się stąd musiał ruszać przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Jestem zbyt zmęczony, żeby teraz wsiadać do *F-117*. Spędziłem całą noc w Ri jademie, w szpitalu, przy łóżku jednego z moich ludzi. Przez całe rano pilnowałem, żeby mechanicy nie spieprzyli czegoś przy mojej maszynie, a potem leciałem tu trzy godziny. A przez poprzednie sześć dni bez przerwy latałem na ćwiczenia. Mam dość, sir. Muszę trochę odpocząć. Nie mogę lecieć dziś o siódmej wieczorem. Na odprawę musiałbym przyjść o piątej. Cztery godziny snu mi nie wystarczą. - Kramer obserwował generała, który spojrzał na leżącą na biurku kartkę, a potem na zegarek. Towers miał swe pięćdziesiąt trzy lata wypisane na twarzy. Miał więcej zmarszczek niż włosów na głowie.

- Zdajesz sobie sprawę, jak ważne jest to zadanie?

- Pewnie. I właśnie dlatego muszę się do niego zabrać wypoczęty. Nie

chciałbym niczego spieprzyć. Pamięta pan loty szkoleniowe? Te wszystkie wypadki? - Kramer wyciągnął paczkę Marlboro Gold i zapalniczkę. - Pozwoli pan?

- Możesz palić, Buhaj. W końcu to twoje płuca, nie moje.

- Na coś przecież trzeba umrzeć... A więc? Jak będzie, szefie? - Kramer zaciągnął się głęboko i wydmuchał dym nosem.

- Coś ci powiem. Jest jeszcze dość wcześnie. Zadbam, żeby do wieczora nikt ci nie zawracał głowy i wykonam parę telefonów, żeby przełożyć twój lot z 19.00 na 23.00. CENTAF podzielił tę operację na dwa etapy. Pierwszy jest całkiem prosty - zwykły zwiad lotniczy, żeby sprowokować ich do ujawnienia systemów obronnych. Stamtąd ruszysz z powrotem do tej samej bazy, z której przyleciałeś i weźmiesz udział we wspólnej odprawie z kilkoma pilotami *Tomcatów* Marynarki. Zadaniem *Tomcatów* będzie odciążenie uwagi nieprzyjaciela w drugim etapie operacji. Myślę, że odprawę przed lotem zwiadowczym śmiało możemy skończyć w godzinę. To by ci dało... czekaj, niech policzę... prawie dziewięć godzin snu. Każę ci przysłać posiłek do pokoju. W porządku?

- Dzięki, szefie. - Kramer wiedział, że dopnie swego, przypominając generałowi przeszłość. Kiedy rozpoczynano naukę pilotażu na *F-117A*, ze względów bezpieczeństwa wszystkie loty odbywały się w nocy. Maszyny wyprowadzano z hangarów dopiero pół godziny po zachodzie słońca. Problemem okazało się zmęczenie pilotów, którzy musieli czasem wykonywać po dwa loty w ciągu jednej nocy. Występowały u nich oznaki wyczerpania i zaburzenia orientacji przestrzennej, co stało się przyczyną kilku wypadków.

- Do zobaczenia - powiedział Kramer i ruszył do drzwi.

- Buhaj?

- Tak, szefie? - Papieros zwiślał mu z kącika ust.

- Uważaj na siebie.

Kramer uśmiechnął się i zaciągnął dymem. - Za dużo się pan martwi, szefie.

### ♦ Dzień trzeci, 13.20 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak

Generał Manesz wysiadł z *MiG-a-29*. Był wściekły. Kurdowie najprawdopodobniej zaatakowali śmigłowce, kiedy te były na ziemi. Szedł w poprzek pasa startowego, w kierunku bunkra łączności. Pchnął ciężkie drzwi i wszedł do mrocznego pomieszczenia. Powitało go chłodne powietrze. Prawie wszyscy operatorzy siedzieli przed wielkimi, okrągłymi ekranami radarów. W dźwiękoszczelnym pomieszczeniu słychać było tylko szum klimatyzatora.

Manesz zamrugał kilka razy, żeby przystosować wzrok. Jeszcze z powietrza wydał rozkaz, by czołgi zrównały z ziemią tę kurdyjską wieś. Te dzikusy drogo za wszystko zapłacą, pomyślał, podchodząc do Fasana Tabriza.

- Coś nowego?

- Nie, panie generale, nic szczególnego.

- Miej oczy otwarte.

- Tak jest.

- Włączone? - spytał Manesz, biorąc do ręki mikrofon podłączony do radiostacji.

- Włączone, panie generale.

- Nastaw na częstotliwość czołgów, które...

- Już nastawione, panie generale.

Manesz nacisnął guzik na ręczce mikrofonu.

- Dowódca Czerwonych Lwów, tu Pustynny Wiatr, słyszysz mnie? Odbiór.

- Słyszemy, Pustynny Wietrze - odpowiedział dowódca prowadzącego czołgu T-72.

- Podaj swoją pozycję. Odbiór.

- Trzydzieści kilometrów od celu. Odbiór.

- Za ile tam będziesz? Odbiór.

- Posuwamy z prędkością prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Będziemy tam za czterdzieści minut.

- To za długo. Powtarzam: za długo. Do tego czasu bandyci uciekną. Jaka jest twoja prędkość maksymalna?

- Sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę, ale boję się przegrzania silników...

- Przyśpiesz.

- Ale, panie generale, to grozi...

- Przyśpiesz! Te bezbożne skurwysyny zniszczyły cztery nasze śmigłowce! Rozumiesz? Cztery śmigłowce szturmowe! Masz wybić tych kurdyjskich bandytów!

- Rozkaz, panie generale. Prędkość maksymalna. Będziemy tam za trzydzieści minut.

- Dobrze. Wywołaj mnie, kiedy wieś będzie w zasięgu dział.

Piętnaście minut później radio ożyło: - Pustynny Wiatr, tu dowódca Czerwonych Lwów. Jeszcze dziesięć minut i wieś będzie w zasięgu zwykłych pocisków artyleryjskich.



Manesz uniósł mikrofon do ust. - A gdyby użyć pocisków ze wspomaganie rakietowym?

- Wieś jest za mała, panie generale. Nasze pociski wspomagane rakietowo nie są wystarczająco celne. Mogą przenieść lub nie donieść, a to by tylko ostrzegło bandytów. Wolę użyć amunicji konwencjonalnej. Odbiór.

Manesz zmarszczył brwi. Dowódca czołgu miał rację. Pociski wspomagane rakietowo były mało celne. Wystarczyło, że wspomagający silnik rakietowy odpalał sekundę czy dwie za późno i pocisk zamiast trafić w cel uderzał kilka kilometrów dalej.

- A pociski chemiczne?

- Chemiczne, panie generale?

- Głuchy jesteś, czy co? Za ile możesz rozpocząć ostrzał pociskami chemicznymi?

- Również za jakieś dziesięć minut. Ale na użycie broni chemicznej muszę mieć bezpośrednią zgodę Bagdadu.

- Moja zgoda, to wszystko, czego ci potrzeba! Odpowiadam za bezpieczeństwo tego sektora i rozkazuję ci użyć wszelkiej broni, z chemiczną włącznie, żeby zneutralizować tę wieś. Ci Kurdowie są dla nas zagrożeniem, a wieśniacy z nimi współpracują. To czyni z nich naszych wrogów. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Jaką masz amunicję chemiczną?

- Tylko gaz musztardowy, panie generale. Niezbyt skuteczny.

- Trudno. Mimo wszystko użyjesz go w pierwszej kolejności. Dopiero potem strzelaj pociskami konwencjonalnymi.

- Zrozumiałem, panie generale. Atak za pięć minut.

Manesz odłożył mikrofon i odwrócił się do Fasana. W oczach generała Fasan, mimo młodego wieku, był świetnym operatorem radaru.

- Mamy coś na częstotliwości Amerykanów?

- Jeszcze nic, panie generale.

- Nasłuchuj dalej. - Manesz spojrział na ekran radaru. W promieniu czterdziestu kilometrów nie było widać żadnego samolotu wroga, a przynajmniej żadnego, który leciałby na wysokości większej niż sto metrów. Teoretycznie radar był w stanie wykryć samoloty z odległości stu sześćdziesięciu kilometrów, ale potężne amerykańskie urządzenia zagłuszające poważnie ograniczyły jego skuteczność. Żeby uniemożliwić wrogowi odpalenie którejs z tych nowoczesnych rakiet, naprowadzających się na sygnał stacji radarowej, Fasan uaktywnił swój radar na krótką chwilę co kilka minut. Manesz rozkazał mu zmieniać długość przerw między kolejnymi przeszukaniami, a także czas, przez jaki wiązka radarowa omiatała okolicę.

- Pustynny Wiatr, tu dowódca Czerwonych Lwów. Możemy otworzyć ogień. Dystans dwa tysiące metrów. Odbiór.

Manesz oderwał wzrok od ekranu, sięgnął po mikrofon i uniósł go do ust. - Ognia!

Kevin, który siedział z tyłu zdezelowanego Rovera, odwrócił głowę, kiedy rozległa się kanonada. Na horyzoncie dostrzegł kilka błysków.

- Czołgi - wyjaśniła Chalila, która siedziała obok niego. - Jakies dwa, trzy kilometry na wschód od nas.

Kevin zastanawiał się przez chwilę. - To by się zgadzało. Myślisz...

- Tak. Prawdopodobnie ostrzeliwują wieś, ale to bez znaczenia. Mieszkańców już tam nie ma. Miejmy nadzieję, że pociski nie zburzą wszystkiego.

- To straszne, Chalila! Co za rząd postępuje tak ze swoimi...

- Rząd Iraku. Ale, jak już mówiłam, to bez znaczenia. Ci ludzie od wieków żyją w poczuciu zagrożenia. Przystosowali się.

- Przystosowali się?! Do czego? Do ostrzału artyleryjskiego? Jak?

- Do następnej wsi nie jest daleko. Wieśniacy mogą tam poszukać schronienia. Ci ludzie wiedzą, jak się ratować.

Kevin odwrócił głowę w kierunku czołgów. Kurd za kierownicą Rovera przyspieszał na wyboistej, zakurzonej drodze. Kevin zacisnął pięści. - Chalila, przecież im tego nie można puścić płazem. Musimy coś...

Chalila ujęła jego twarz w swoje dłonie. - Posłuchaj uważnie, bo nigdy przedtem się z czymś takim nie zetknąłeś. Na Zachodzie są prawa. Jeśli ich przestrzegasz, o nic nie musisz się martwić. Jeśli je złamiesz, idziesz do więzienia, a kara jest najczęściej adekwatna do zbrodni. Ale tutaj jest inaczej. Może cię spotkać kara, chociaż nic złego nie zrobiłeś. Jeszcze nie rozumiesz? Jak sądzisz, dlaczego Kurdowie walczą od pokoleń? W tej części świata praktycznie nie obowiązuje żadne prawo. Konstytucje są tylko kartkami papieru, zapisanymi przez zwycięskich dyktatorów, którzy po obaleniu swych poprzedników ustanawiają nowe, własne reguły, żeby zaspokoić żądę władzy. Nie istnieje coś takiego, jak wybory, nie ma prawdziwej wolności, żadnych praw jednostki. Masz tu do czynienia z prawdziwym terrorem pod rządami szaleńców w rodzaju Saddama Husajna. Ci wieśniacy dobrze o tym wiedzą. Wychowali się ze świadomością tego stanu rzeczy, ale mają nadzieję... nadzieję, że pewnego dnia Allah w swej fasce uwolni ich od ciemnych ludzi. Jednak zanim ten wspaniały dzień nadejdzie, muszą umieć przetrwać. Opanowali sztukę przetrwania.

- Jak to? Przecież ich wieś...

- Z wyjątkiem kilku starych domów, w tej wsi nie ma nic, czego by nie można odbudować w ciągu paru tygodni. Ci ludzie wiedzieli, że ich wioska jest skazana na zagładę w momencie, kiedy zniszczyliśmy irackie śmigłowce. Całą nadzieję pokładali w tym, że zdążą ująć stamtąd z życiem. Kiedyś wrócą i zaczną od nowa, ale na razie pozostała im tylko ucieczka. Niech sobie rząd iracki rozwali kilka starych domów w odwecie za śmigłowce. Kto by się tym przejmował? W głębi serca wszyscy jesteśmy przekonani, że to my wygraliśmy tę bitwę.

Jak to możliwe? - zachodził w głowę Kevin. Jak to się dzieje, że dziewczyna z takimi oczami, z anielską twarzą, wypowiada tak okrutne, a przecież prawdziwe słowa? Cóż to za świat? Kanonada ustała.

- Skończyli?

- Tak, to nie była duża wieś.

Kevin spozjrzał jej głęboko w oczy. Spuściła głowę i zamknęła je na chwilę.

- Nic ci nie jest?

Chalila nie odpowiedziała. Kilka razy głęboko odetchnęła, a potem przetarła oczy rękami.

- Chalila, nic...?

- Wszystko w porządku - odpowiedziała, podnosząc na niego wzrok. Kevin dostrzegł w jej oczach łzy.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Już dobrze. Ta kanonada przypomniła mi coś, co stało się dawno temu.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Pokręciła głową. Patrzył w jej zielone oczy.

- Co? - zapytała, a przez twarz przebiegł jej wyraz zaciekawienia. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Dokąd idziemy, Chalilo? I co Mossad ma tu do roboty?

Pokręciła powoli głową. - Myślałam, że zawarliśmy umowę...

- Masz rację, zawarliśmy, ale to było przed wczorajszym atakiem. Omal nie zginąłem, próbując pomagać Kurdom. Zgoda, to, że jeszcze żyję, zawdzięczam tylko tobie i im, ale w tej chwili nie wydaje mi się w porządku, że tylko ja jeden z całej grupy nie mam pojęcia, o co tu chodzi. O Abdulu wiem więcej niż o tobie, a Abdul nawet nie mówi po angielsku!

Chalila odwróciła się od niego.

- Chalila, zaczekaj. Sam doszedłem do tego, że jesteś z Mossadu. Nie ma sensu udawać, że to nieprawda. Chcę wiedzieć, dokąd idziemy. Moje życie jest tak samo zagrożone jak twoje, a to czyni z nas partnerów. Tam, skąd ja pochodzę, partnerzy niczego przed sobą nie ukrywają.

Nadal była od niego odwrócona. Kevin wyciągnął rękę, delikatnie wziął ją za ramię i odwrócił ku sobie. - Proszę.

- Kevin, błagam, nie zmuszaj mnie. To dla twojego dobra. Im mniej wiesz, tym...

- Już to kiedyś słyszałem i wcale się z tym nie zgadzam. Oboje siedzimy w tym po uszy. Chcę wiedzieć, dokąd idziemy.

- Dobrze, skoro nalegasz. Idziemy do miejsca zwanego Allahbad.

- A co tam jest?

- Oficjalnie znajduje się tam fabryka mleka w proszku, ale mamy powody przypuszczać, że w rzeczywistości montuje się tam broń jądrową.

- Co takiego? Broń jądrową?

- Owszem. No, zaspokoiliam twoją ciekawość?

- Nie, jeszcze nie. Co będziemy tam robić?

- Słuchaj, mówiłeś, że chcesz się tylko dowiedzieć, dokąd idziemy...

- Nie sądzisz chyba, że po usłyszeniu tego, co mi powiedziałaś, nie będę zadawał więcej pytań? Daj spokój. Co będziemy tam robić?

- Nic nie będziemy robić.

- Co to znaczy, nic? To po co tam idziemy?

- Obserwować i informować. Taki jest cel tej wyprawy.

- Ale o czym chcesz informować? Że produkują tam broń jądrową? Myślałem, że tego typu informacje zbierają satelity i samoloty na dużej wysokości. Nie macie dostępu do...

- Na tym właśnie polega problem z wywiadem amerykańskim. Za bardzo polegacie na satelitach, mimo że wróg dobrze o tych satelitach wie i potrafi czasem bardzo sprytnie kamuflować swoje działania. Pozwala wam zobaczyć to, co chce, żebyście zobaczyli.

- Co ty wygadujesz? Nie masz pojęcia, jak nowoczesne są nasze...

- No właśnie. Jesteś tak samo zaślepiony jak cała reszta. Nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego Mossad jest tak skuteczny w swoich działaniach? Nigdy nie dziwiło cię, jak to się dzieje, że siły zbrojne Izraela wydają się zawsze lepiej poinformowane niż ich przeciwnicy? Jednym z powodów jest to, że nie zdajemy się wyłącznie na informacje z satelitów i od zwiadu lotniczego.

- No więc mnie oświeć. Co możemy w rejonie tych zakładów ustalić, czego nie mogą satelity?

- Wiesz, że Allahbad nigdy nie został zbombardowany? Nawet podczas Pustynnej Burzy. Coś ci to mówi?

Kevin westchnął. - Nasi ludzie są wciąż przekonani, że znajduje się tam fabryka mleka w proszku.

- Rozumiesz teraz, dlaczego tam jedziemy?
- Wciąż mam wrażenie, że nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego.

Pokręciła głową. - Oj, Kevin, Kevin. Zadajesz o wiele za dużo pytań. Nie możesz się zadowolić tym, co już wiesz?

Kevin zmarszczył brwi, patrząc na nią podejrzliwie. Postanowił jednak na razie nie nalegać.

- Dobrze, Chalila, na razie wystarczy.
- Czy wszyscy Amerykanie są tacy cholernie ciekawscy?

Kevin roześmiał się głośno. Zaskoczony Kurd za kierownicą obejrzał się do tyłu.

- W porządku, zmieńmy temat. Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tobie.

Chalila przymknęła oczy i głęboko westchnęła.

### ♦ Dzień trzeci, 13.45 czasu lokalnego - Allahbad, na południe od An Nadżaf, Irak

Major Mohammed Hasud po raz drugi zjeżdżał do podziemnego laboratorium. Tym razem doktor Radsul Sakkar nacisnął w windzie guzik oznaczony minus pięć. Zamierzali przeprowadzić inspekcję rakiet, które - jak wyjaśnił sześćdziesięcioletni naukowiec - powinny być gotowe w ciągu paru dni. Hasud przyglądał się Sakkarowi, który przejechał dłonią po dwudniowym zaroście na twarzy i robił jakieś notatki, mimo że winda już stanęła. Sakkar zaprosił go na tę inspekcję, mówiąc że to bzdura, by szef ochrony nie mógł zapoznać się z całym obiektem. Zdaniem Hasuda, było w tym wiele racji. Frustrowało go, że musiał bronić czegoś, czego na oczy nie widział. Jednak z drugiej strony, przyznał w duchu, było to uzasadnione: gdyby wrogowie opanowali zakłady, nie udałoby im się uzyskać od niego żadnych informacji. W razie ataku Hasud mógł jednym przełącznikiem odizolować podziemny obiekt od reszty świata, unieruchamiając windę i przegradzając jej szyb grubą stalową płytą. W podziemnym laboratorium były zapasy, pozwalające pracującym tam ludziom przetrwać przez kilka tygodni albo do czasu, kiedy nadejdzie pomoc. A wróg nie byłby w stanie wydobyć z żołnierzy żadnych informacji, nawet za pomocą narkotyków. Tajemnica była dobrze strzeżona.

Dopiero kiedy otworzyły się drzwi windy, Hasud zdał sobie sprawę z rozmiarów podziemnego obiektu. Wyszedł z windy za Sakkarem do ogromnego tunelu, co najmniej dziesięciokrotnie większego niż pomieszczenie, w którym montowano głowice rakiet.

- Na Allacha, jak to...?
- Imponujące, co, majorze?

- Imponujące, to zbyt skromne słowo, żeby to opisać, doktorze. Coś wspaniałego. Jak długo...?

Hasud stanął oniemiały, kiedy Sakkar powiedział mu, że trzeba było prawie dziesięciu lat ciężkiej pracy i miliardów petrodolarów; ceną było też życie setek ludzi. Utrzymano ten obiekt w tajemnicy, budując go równocześnie z fabryką na powierzchni. Ogromny magazyn stanowił tylko kamuflaż dla robót ziemnych. Kiedy robotnicy zeszli na zadaną głębokość - na poziom oznakowany później jako minus pięć - nad całym podziemnym obiektem wybudowano betonową kopułę i pod nią toczyły się dalsze prace. Całe przedsięwzięcie było nie do wykrycia dla kogoś, kto badałby postęp prac przy budowie na podstawie zdjęć satelitarnych czy lotniczych.

Tunel był długi. Wzdłuż obu ścian rzędem stały rakiety, a pośrodku było jeszcze dość miejsca, by mógł tam wylądować samolot. Hasud rozglądał się dookoła, kiedy po lśniącej czystością podłodze szli do pierwszej rakiety po lewej stronie.

- Dzień dobry, doktorze Sakkar - odezwała się kobiecym głosem postać w grubym, ognioodpornym kombinezonie.

- A, Risa! Jak się masz?

- Świetnie, doktorze, dziękuję - odpowiedziała, unosząc ciężki kaptur, którym miała osłoniętą głowę. Hasud był oczarowany parą inteligentnych, błękitnych oczu pod ciemnymi, wąskimi brwiami. Jej szczupła twarz, z delikatnym nosem, pełnymi wargami i lekko szpiczastym podbródkiem była okolona sięgającymi ramion jasnobrązowymi włosami.

- Proszę, moja droga - powiedział Sakkar, wręczając jej formularz, w którym odnotowywano postępy w pracy. - Dopilnuj, żeby wszystko zostało wypełnione do końca twojej zmiany. Szczególnie interesuje mnie postęp prac nad likwidacją wycieków z układów hydraulicznych.

- Oczywiście, doktorze, to żaden problem. Pewnie zainteresuje pana wiadomość, że moja ekipa zakończyła sprawdzanie wszystkich systemów w rakiecie numer jeden. Jutro będziemy mogli przystąpić do zamontowania głowicy, a pojutrze rakietę będzie gotowa.

- Risa, szkoda, że inne ekipy nie mają takich szefów jak ty. Do dzisiaj rano większość z nich nie skontrolowała nawet połowy systemów. Dziękuję ci. Doprawdy, Allah jest z tobą przy tej ważnej pracy.

- Dziękuję, doktorze. - Zrzuciła kaptur na głowę i odeszła w kierunku zbiornika z napisem hydrazyna.

- Niezwykle zajęcie dla tak pięknej kobiety, doktorze - powiedział Hasud.

- Bo to niezwykła kobieta, majorze - odparł Sakkar, dotykając palcem do skroni. Wyjaśnił, że Risza ukończyła jako najlepsza na swoim roku wydział fizyki renomowanej uczelni amerykańskiej Massachusetts Institute of Technology. Hasud był dumny. Szli szerokim korytarzem i Sakkar udzielał kolejnych wyjaśnień. Major dowiedział się, że szefowie ekip nosili białe kombinezony ognioodporne, natomiast ludzie w żółtych kombinezonach byli inżynierami, którym brakowało jeszcze doświadczenia w samodzielnej pracy. Byli w trakcie szkolenia.

Sakkar wręczył formularz szefowi ekipy przy rakiecie numer dwa. Tamten, nie zdejmując kaptura, po prostu kiwnął głową i wrócił do swoich zajęć. Poszli dalej. Sakkar wyjaśnił Hasudowi, że ludzie w czerwonych kombinezonach, to technicy, wykonujący prace zlecane przez inżynierów. Powiedział też, że ponieważ większość techników pochodzi ze wsi, obawiał się na początku, iż informacje o projekcie przedostaną się na zewnątrz. Wprowadzono jednak całkowity zakaz opuszczania obiektu; żaden z pracowników nie wyszedł z niego nawet podczas wojny w Zatoce. Większość zatrudnionych tu ludzi od lat nie widziała swoich bliskich. Cóż za wyrzeczenie, pomyślał Hasud, uświadamiając sobie, że jego żołnierze odwiedzali rodziny raz w miesiącu. Ale cóż, tu na dole był zupełnie inny świat. Hasud zrozumiał wreszcie, dlaczego żaden z jego żołnierzy nie trzymał straży na którymś z podziemnych poziomów. Nie ulegało kwestii, że strażnicy byli tu zbędni. Gwarancją bezpieczeństwa były metry zbrojonego betonu, izolujące laboratorium od dalekiego od doskonałości świata na zewnątrz. Jednym naciśnięciem guzika któryś z nich - Sakkar albo Hasud - mógł całkowicie odciąć laboratorium od świata zewnętrznego, a tylko Sakkar wiedział, jak odsunąć stalową płytę, kiedy zagrożenie minie.

Major pokiwał głową. Stary doktor miał rację. To miejsce rzeczywiście zbudowano tak, by mogło wytrzymać wybuch głowicy jądrowej.

### ♦ Dzień trzeci, 15.00 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak

Generał Abunnasr Manesz ze wściekłością cisnął mikrofon na stół. Wieś została ostrzelana pociskami z gazem musztardowym, a potem konwencjonalną amunicją, ale dowódca czołgów poinformował, że nie było żadnych ofiar. Wieś była opustoszała, jakby jej mieszkańcy wiedzieli, że przyjadą czołgi. Manesz zdawał sobie oczywiście sprawę, że mieszkańcy będą próbowali uciec do sąsiednich wiosek, ale nie przypuszczał, że zrobią to tak szybko. Nigdzie nie było po nich śladu, nawet na drogach w pobliżu wioski. Dodatkowo wysłane czołgi blokowały od kilku godzin wszystkie drogi do sąsiednich miejscowości, ale jak dotąd na próżno.

- Panie generale, mam im wydać rozkaz, by udali się do innych wsi i przesłuchali mieszkańców? - zapytał Fasan.

- Nie. Każ im wracać.

- Tak jest.

Manesz odchylił się na krzesło i wbił wzrok w wyłączony ekran radaru. Był rozczarowany, że Kurdom udało się uciec. Jeszcze parę miesięcy temu wydałby czołgom rozkaz ostrzeliwania sąsiednich miejscowości tak długo, aż ktoś zacząłby mówić... albo dopóki nie zginęliby wszyscy mieszkańcy. Teraz nie mógł jednak sobie na to pozwolić. Jego głównym zadaniem była ochrona zakładu odległego o kilkanaście kilometrów na południe, a czołgi stanowiły część systemu obronnego. Manesz nie chciał za bardzo rozproszyc sił.

- Będę u siebie, Fasan. Daj mi znać, gdyby pojawiło się coś nowego.

- Tak jest, panie generale.



# 11.

## Nocne zjawy

### ♦ Dzień trzeci, 23.15 czasu lokalnego - na północy Arabii Saudyjskiej

Ciemna, kanciasta sylwetka mknęła bezgłośnie po nocnym niebie z prędkością ponad 700 kilometrów na godzinę, utrzymując wysokość siedmiu i pół tysiąca metrów nad piaskami pustyni. Samolot, cały z aluminium i pokryty powłoką z materiału absorbującego fale elektromagnetyczne, gładko przyspieszył do tysiąca stu kilometrów na godzinę. Tylko nieznacznie zwiększył się hałas dwóch turboodrzutowych silników *General Electric F404*. W kabinie, której osłona była laminowana specjalnymi powłokami z zawartością złota w celu tłumienia odbicia radarowego, pułkownik „Buhaj” Kramer wpatrywał się w wielki centralny monitor, na którym stale wyświetlane były najważniejsze informacje dotyczące jego dwudziestoczerotonego samolotu. Kramer wciąż jeszcze nie przyzwyczyił się do tego monitora; był spokojny dopiero, kiedy porównał ukazujące się na nim informacje ze wskazaniami zapasowych przyrządów analogowych. Wprawdzie w ciągu dwóch tysięcy godzin, jakie spędził za sterami tej maszyny, wszystko zawsze zgadzało się co do joty, ale i tak sprawdzał to regularnie.

Słone bagna na południowym zachodzie Iraku były coraz bliżej. Pułkownik odepchnął trochę drążek sterowy i jego niewidzialna dla radaru maszyna zaczęła obniżać wysokość.

Pierwsza faza operacji, której celem było zniszczenie Allahbadu, nie przewidywała ataku bombowego, a jedynie rekonesans, mający dostarczyć informacji o zakamuflowanych stanowiskach obrony przeciwlotniczej,

co dodałoby wiarygodności raportom CIA.

Znów omiół wzrokiem wskaźniki analogowe.

### ◆ Dzień trzeci, 23.20 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak

Generał Abunnasr Manesz wszedł do bunkra łącznościowego, gdzie z ulgą poczuł na twarzy i karku cieplejsze powietrze. Temperatura spadła w nocy do zaledwie kilku stopni Celsjusza powyżej zera. Zwykle mu to nie przeszkadzało, ale teraz zimno nie pozwalało mu zasnąć. Upał znosił znacznie lepiej niż chłody.

- Zimna noc, generale - powiedział Fasan Tabriz zza wielkiego, okrągłego ekranu radarowego.

- Piaski za szybko oddają ciepło - odparł Manesz. Poszedł do tylnej części pomieszczenia, gdzie stały obok siebie dwie puste prycze. Położył się na jednej z nich i poprawił poduszkę pod głowę.

- A może herbaty i daktyli, generale? jest też trochę świeżej śmietany i resztki pieczonego barana z zeszłego wieczora.

Manesz uniósł głowę i spojrzał na żywność, leżącą na stole. - Nie, dziękuję. Rozumiem, że wszystko jest w porządku, Fasan?

- Tak, panie generale. Nic nowego.

- Bagdad się nie odzywał?

- Nie, panie generale. Zupełna cisza.

- Dobrze. Mam nadzieję, że tak pozostanie. Bardzo bym nie chciał, żeby coś się zaczęło dziać, ale jakby co, natychmiast mnie obudź.

- Naturalnie, generale.

Manesz zamknął oczy i spokojnie usnął.

### ◆ Dzień trzeci, 23.40 czasu lokalnego - południowy Irak

Noc była rozgwieżdżona, powietrze zimne i suche. Czołgając się na łokciach, porucznik Kevin Dalton dociągnął swe poturbowane, spalone słońcem ciało na szczyt wzniesienia górującego nad zakładami w Allahbadzie i podniósł do oczu noktowizyjną lornetkę Iszmaela. Od Chalili dowiedział się, że większość sprzętu, którym dysponują Kurdowie, pochodzi z napaści na irackie magazyny i ciężarówki. Rosyjski noktowizor, który Amerykanin trzymał w ręku, okazał się pierwszorzędnej jakości.

Pokręcił kółkiem regulującym ostrość i wyraźnie zobaczył metalowe ogrodzenie. Przesunął lornetkę na lewo, aż do końca ogrodzenia, a potem w drugą stronę. Zatrzymał wzrok na wielkiej, rozsuwanej bramie, która - na

ile mógł się zorientować - była jedynym wejściem na teren obiektu. Naliczył dotąd cztery baterie rakiet ziemia-powietrze. Nieźle, jak na obiekt tej wielkości, przemknęło mu przez głowę.

- Ciemno, co, Kevin?

Spojrzał na Chalilę, która zajęła miejsce obok niego i również obserwowała zakłady przez lornetkę.

- Tak, ale wydaje mi się, że coś się tam dzieje. - Znów podniósł swój noktowizor do oczu. - Cholera! Czy to nie jest pod napięciem? - zapytał, zauważywszy grube kable podłączone w kilkunastu miejscach do szczytu ogrodzenia.

- Zgadza się, jest. Trudno będzie się przedostać... ale jest to możliwe.

- Co takiego? Chcesz powiedzieć, że plan przewiduje dostanie się do środka? Myślałem, że mamy tylko obserwować i składać raporty.

Na twarzy Chalili pojawił się pobłażliwy uśmiech. - A cóż takiego mógłbyś stąd zobaczyć, czego nie widać na fotografiach satelitarnych?

Kevin zmarszczył brwi. - Chyba masz rację... ale jak, do diabła, sforujemy strażę i ogrodzenie?

Znów się uśmiechnęła. - Zaufaj mi. - Odwróciła się i zaczęła odchodzić.

- Dokąd idziesz?

- Porozmawiać z Iszmaelem. Zaraz wrócę.

Kevin znów podniósł noktowizor do oczu i skierował go na samochody ciężarowe, wjeżdżające i wyjeżdżające z zakładów. Przypatrywał się przez kilka minut ciężarówkom wjeżdżającym do środka, wyteżając wzrok, żeby zobaczyć, jaki wiozą ładunek, ale samochody kierowały się prosto do wielkiego magazynu, stojącego w odległości jakichś stu dwudziestu metrów od bramy...

Co jest?! Kevin podskoczył, kiedy ktoś poklepał go po nodze. Odwrócił się zaskoczony i spojrzał na wyszczerzonego Abdula, wyraźnie ucieszonego, że udało mu się Kevina nastraszyć.

- Nie ma w tym nic zabawnego, Abdul.

Wielki Kurd dał mu znak, by zszedł do pozostałych. Kevin odczołgał się parę metrów i ruszył za swym irańskim przyjacielem.

Kiedy zeszli ze wzgórza, Abdul poprowadził go do Iszmaela i innych Kurdów, obstawiających drogę do zakładów. Wskazał w kierunku niewielkiej wydmy i spojrzał na Kevina. - Chalila.

Kevin spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył Chalilę za wydumą. Kiedy do niej podszedł, zaskoczony ujrzał, że dziewczyna ma na sobie mundur irackiego porucznika. Dopinała właśnie pas.

- Skąd ty to...?

- Od Irakijczyków, którzy napadli na wieś. Jak wyglądam?

Uśmiechnął się. Mundur był wprawdzie o kilka rozmiarów za duży, ale Kevin już dawno doszedł do wniosku, że Chalila we wszystkim wyglądała wspaniale.

- No, jak sądzisz? Ujdę jako iracki oficer?

- Pewnie, jesteś tylko trochę za ładna. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. - Dziękuję.

- Nie ma za co. Ale może byś mi powiedziała, co zamierzasz robić w tym przebraniu? Nie widziałem, że wśród irackich oficerów są kobiety.

Znów się uśmiechnęła. - Bo nie ma. Nie zamierzam nikomu rzucać się w oczy, kiedy już będę w środku. Ten mundur to tylko na wypadek, gdyby ktoś mnie spostrzegł z daleka. Uwierz mi, wiem, co robię.

- Gdzieś już to słyszałem.

- Panie Dalton. Chalila. Już czas!

Odwrócili się oboje i zobaczyli, że kiwa na nich Iszmael.

- Czas na co? - zapytał Kevin.

- Czas tam wejść - odpowiedziała Chalila.

- Kiedy? Teraz? Jak chcesz to zrobić?

- Zaufaj mi.

- Słuchaj, mam już powoli dość.

- Proszę. Tak będzie lepiej.

- W takim razie idę z tobą.

- Zwariowałaś? To nie jest dobry pomysł.

- Dlaczego? Mogę się przydać w razie...

- Uwierz mi. Wszyscy byśmy przez ciebie zginęli. Spójrz na siebie; spójrz na swoją skórę. Z miejsca ktoś by zwrócił na ciebie uwagę. Poza tym, nie znasz języka. Będzie lepiej, jeśli zostaniesz.

Kevin skrzywił się, zdając sobie sprawę, że dziewczyna ma rację. Z pewnością od razu rzuciłby się komuś w oczy.

- Ale dzięki za dobre chęci - powiedziała na koniec, odwróciła się i poszła w kierunku Iszmaela i reszty Kurdów.

Kevin pozostał z tyłu, trochę zaskoczony swymi uczuciami wobec tej dziewczyny.

Odwróciła się do niego. - Idziesz? Kiwnął głową i dogonił ją.

- Nie martw się. Wszystko pójdzie dobrze.

Wziął ją za rękę i trzymał mocno. Ścisnęła mu dłoń w odpowiedzi.

Kiedy zbliżyli się do Kurdów, delikatnie oswobodziła swoją rękę: Kevin zauważył, że Iszmael również miał na sobie mundur irackiego oficera.

- Zobaczymy się za kilka godzin, Kevin. - Odwróciła się i ruszyła z Iszmaelem w kierunku drogi. Za nimi poszło trzech Kurdów, ubranych w galabije.

Kevin przyklęknął za niewielką wydmą i patrzył za nimi, dopóki nie zasłoniła ich duża skała przy drodze. Odwrócił się, poczuwszy czyjąś dłoń na swym ramieniu. Znów Abdul.

Kevin uniósł brwi. Abdul dał mu znak głową, by poszedł za nim.

Młody iracki porucznik niecierpliwie wiercił się na siedzeniu obok kierowcy ciężarówki. Jechali w kierunku zakładów. Miał dobrą godzinę spóźnienia. Drogi okazały się fatalne, a do tego złapali jeszcze gumę. Wiedział, że oficer dyżurny zgłosi spóźnienie swemu przełożonemu. Porucznik był pewien, że po powrocie czeka go nagana; kapitan nie akceptował żadnych usprawiedliwień. Powinien był przewidzieć zły stan dróg i sprawdzić opony przed wyjazdem z portu Al Fan nad Zatoką Perską. Wówczas machnął na to ręką, nie chcąc tracić czasu. Cenny ładunek powinien przecież jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Zerknął na starego człowieka za kierownicą i pomyślał, że część winy spada na tego nieudolnego kierowcę, który nie skręcił na czas, żeby ominąć tę dziurę na drodze. Zastanawiał się przez chwilę, czy by nie powiedzieć tego swojemu kapitanowi, ale zaraz uznał, że nie; w końcu sam wybrał sobie kierowcę.

Westchnął, przypominając sobie, jak łatwo zgodził się, żeby ciężarówkę prowadził ten stary człowiek, a nie któryś z młodszych i zapewne sprawniejszych kierowców. Żal mu się zrobiło starego, kiedy młodzi kierowcy bezceremonialnie odepchnęli go na bok, oferując porucznikowi swoje usługi. Porucznik odsunął młodych mężczyzn i wybrał starego, który - nie dowierając jeszcze swemu szczęściu - wylewnie podziękował jemu i Allahowi za to, że będzie teraz mógł kupić parę kur, a może nawet i kozła, żeby nakarmić swoją rodzinę... A to co?

Z zamyślenia wyrwał go widok irackiego oficera, który zdawał się przed kimś lub przed czymś uciekać.

- Stań! - rozkazał kierowcy.

Stary człowiek wcisnął pedał hamulca tak gwałtownie, że omal nie stracił panowania nad ciężarówką.

- Na Allacha, staruchu! Gdzie ty się uczył jeździć? Kazałem ci stanąć, a ty o mało nas nie pozabijałeś!

Kierowca spuścił oczy i mruknął coś niezrozumiałego. Porucznik pokręcił głową i wysiadł. - Poczekaj tutaj.

Wyciągnął z kabury *Makarowa* i pobiegł naprzeciw zbliżającemu się oficerowi.

- Stać! Co się dzieje?

- Kurdowie! Ścigają mnie! Trzech. Zawołaj swoich ludzi z ciężarówki, potrzebuję pomocy!

Porucznik zatrzymał się i spojrzał uważnie na opalonego, dystyngowanego oficera. Z twarzy obcego bił autorytet i pewność siebie. Zanim porucznik miał czas zareagować, poczuł lufę pistoletu na karku.

- Jedno słowo i jesteś trupem - usłyszał z tyłu kobiecy głos.

- Oddaj broń i wracaj do ciężarówki.

Porucznik wręczył opalonemu oficerowi *Makarowa*, odwrócił się i spojrzał w najbardziej intrygujące zielone oczy, jakie kiedykolwiek widział. Kobieta trzymała *Kałasznikowa*. Kilku rebeliantów otaczało ciężarówkę. Odciągali właśnie na bok bezwładne ciało kierowcy.

- Rzeźnicy! Przecież to był tylko... - zamilkł, poczuwszy ostrze noża na gardle.

- To ostatnie ostrzeżenie. Jeszcze jedno słowo i zginiesz - powiedział opalony oficer.

Chalila szła za Iszmaelem, który trzymał nóż na gardle porucznika.

Kiedy zbliżyli się do ciężarówki, Iszmael pchnął porucznika w kierunku swoich Kurdów. Jeden z nich uderzył Irakijczyka w twarz kolbą *Kałasznikowa*. Porucznik bezwładnie osunął się na ziemię.

Chalila obeszła ciężarówkę i odciągnęła plandekę, po czym wskoczyła na skrzynię ładunkową. Łańcuchami przymocowano do podłogi cztery wielkie kuliste zbiorniki ze stali, każdy o średnicy prawie dwóch metrów. Rozpoznała napis kwas azotowy widoczny na dwóch kulach po prawej stronie. Pozostałe dwie miały napis hydrazyna.

Paliwo rakietowe.

A więc znalazła potwierdzenie swoich obaw. Zeskoczyła na ziemię i wyjaśniła Iszmaelowi swój plan. Potem wczołgała się pod ciężarówkę i wcisnęła swe szczupłe ciało między obudowę mechanizmu różnicowego a podwozie.

Iszmael zajął miejsce za kierownicą, uruchomił silnik i ruszył w kierunku zakładów.

Ukończywszy kontrolę systemów rakiety numer jeden, Risha nasunęła na głowę ciężki kaptur i podeszła do ludzi ze swojej ekipy. Doktor Sakkar, który stał nieco z boku, pogratulował jej przed chwilą uporania się ze wszystkim na kilka godzin przed bardzo napiętym terminem. Teraz miała umieścić raketę na wyrzutni, na oczach wszystkich obecnych, żeby mogli

się przekonać, jak sprawnie wykonała swe zadanie. Rysza wiedziała, że doktor liczył na efekt motywacyjny, jaki rozmieszczenie pierwszej rakiety powinno wywrzeć na pozostałe ekipy.

Wydała polecenia swoim ludziom. Natychmiast pobiegli zająć wyznaczone im miejsca koło rakiety. Rysza zawróciła i stanęła koło doktora Sakara i zdjęła kaptur. Z miejsca, w którym stała, mogła wydawać następne polecenia.

Rozsunęły się ogromne stalowe wrota. Wózek akumulatorowy ruszył po stalowych szynach, ciągnąc raketę numer jeden do podziemnej wyrzutni, odległej o niecałe dwa kilometry. Hala montażowa była połączona z siecią tuneli, którymi dostarczano zaopatrzenie i transportowano gotowe rakiety na wyrzutnie. Podobnie jak w amerykańskim systemie rakiet taktycznych na ruchomych wyrzutniach, pomyślała Rysza. Jedyna różnica polegała na tym, że tutaj silosy budowano od dołu, doprowadzając je do trzech metrów pod powierzchnią ziemi. Na kilka sekund przed odpaleniem rakiety, ładunek wybuchowy z energią skierowaną ku górze odrzuci tę ostatnią warstwę ziemi. Rakietka będzie miała wolną drogę.

Rysza zauważyła, że prawie cały personel przerwał pracę. Ludzie patrzyli na raketę i widać było, że nie dowierzają własnym oczom. Uśmiechnęła się; rakieta nie zdążyła jeszcze zniknąć za wrotami, kiedy wszyscy z powrotem wzięli się ze zdwojoną energią do roboty. Każdy chciał, żeby to jego rakieta jako następna pojechała na wyrzutnię. Wszystko było kwestią współzawodnictwa i rozbudzenia poczucia dumy. Szybko rozejdzie się wieść, że ona, Rysza, jako pierwsza wykonała zadanie. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Nie byłaby zaskoczona, gdyby pozostałe ekipy ukończyły pracę jeszcze przed świtem.

Ismael Barzani podszedł wraz z trzema wartownikami do tylnej kłapy ciężarówki. Jeden z wartowników uchylił plandekę i skierował światło latarki na cztery kuliste zbiorniki.

- Co jest w środku? - zapytał inny.

- Dostałem rozkaz eskortowania tego ładunku i przekazania go wraz z dokumentami w tej zalakowanej kopercie - odpowiedział Ismael.

Wartownik zerknął na brązową kopertę, którą Ismael trzymał w rękach.

- Co pana zatrzymało? Zdaje pan sobie sprawę, że jest pan spóźniony ponad godzinę?

- Zostałem zaatakowany przez kurdyjskich rebeliantów. Miałem szczęście, że w ogóle tu dotarłem - odparł Ismael aroganckim tonem, zauważwszy, że jest od wartownika starszy stopniem. - Jeszcze jakieś pytania,

sierzancie? Zdajecie sobie sprawę, że teraz opóźniacie dostarczenie ładunku?

Żołnierz ustąpił i machnął ręką do kolegi, stojącego przy budce wartowniczej koło bramy.

Pod ciężarówką Chalila wstrzymała oddech na czas tej konwersacji. Umazane smarem ręce zaczynały jej drętwieć. Nie miała wyboru - musiała pozostać w ukryciu. Nawet w luźnym mundurze, z włosami schowanymi pod czapką i z twarzą pobrudzoną smarem, z bliska ktoś mógłby poznać, że jest kobietą. Jej obecność stanowiła pewne ryzyko, ale i w tym wypadku nie miała wyboru, Iszmael, choć inteligentny i - jak na kurdyjski standard - wykształcony, w oczach Chalili był jednak tylko pustynnym partyzantem. Brakowało mu podstawowej wiedzy technicznej i nie wiedziałby, na co należy zwrócić uwagę. Uznała, że musi osobiście zebrać informacje o tym, co dzieje się w Allahbadzie. Poza tym, była pewna, że Iszmaela wszyscy będą mieć na oku. Usłyszała, jak wsiada do kabiny ciężarówki. Brama się rozsunęła. Kurd poprowadził ciężarówkę wąską drogą, biegnącą od bramy do magazynu. Zgodnie z planem, Iszmael zwolnił na kilka sekund, prawie się zatrzymując, po czym ruszył dalej w kierunku wielkich drzwi magazynu.

Chalila przetoczyła się na pobocze, szybko wstała i zaczęła iść do bocznej ściany magazynu, przy której nie dostrzegła wartowników. Dotarła tam bez przeszkód i skierowała się na wysypany żwirem parking, gdzie w dwóch długich rzędach stało ponad dwadzieścia ciężarówek. Bezszelестnie wsunęła się między dwie ciężarówki w szeregu bliższym ogrodzenia. Rozejrzała się uważnie i wskoczyła na pierwszą ciężarówkę. Zobaczyła skrzynie z napisami po rosyjsku. Wyciągnęła nóż i zaczęła otwierać jedną z nich.

Iszmael wprowadził ciężarówkę do jasno oświetlonego magazynu i pozwolił jechać za wartownikiem, wskazującym mu miejsce obok sterty skrzyń. Kiedy wyskoczył z kabiny, natychmiast podeszło do niego dwóch wartowników i kilku ludzi w zielonych kombinezonach. Zaciśnął zęby, myśląc że powzięli wobec niego jakieś podejrzenia. Ból zepsutych zębów sprawił, że przymknął na chwilę oczy w chwili, kiedy jeden ze zbliżających się oficerów zaczął coś do niego mówić.

- Nareszcie, poruczniku! - warknął jeden ze wartowników. Iszmael dostrzegł na jego naramiennikach dystynkcje kapitana.

- Przepraszam, panie kapitanie... - zaczął się usprawiedliwiać.

- Niech pan to zachowa dla swojego dowódcy, poruczniku! - przerwał mu kapitan, wyraźnie rozwścieczony. - Zostanie poinformowany o pańskiej



niekompetencji! Ten ładunek powinien tu dotrzeć godzinę temu! Liczy się każda sekunda!

Iszmael nie odpowiedział. Spuścił oczy i przybrał nieszczęśliwy wyraz twarzy. Przyszło mu to bez trudu; ból zębów doprowadzał go do szaleństwa.

- Obok magazynu jest pokój gościnny - ciągnął kapitan. - Znajdzie pan tam coś do jedzenia, zlew i toaletę. Wartownik tam pana zaprowadzi. Oczekuję pana z powrotem za godzinę. W razie alarmu stawi się pan tu natychmiast i zamelduje u mnie, zrozumiano?

- Tak jest.

- Dobrze. Potem odjedzie pan stąd natychmiast, ale najpierw przysięgnie pan na Allacha, że z nikim nie będzie pan rozmawiał o tym, co pan tu widział dziś w nocy.

Iszmael patrzył za odchodzącym kapitanem. Ludzie w kombinezonach zarzucili plandekę na dach ciężarówki i zaczęli wyładowywać zbiorniki, przewożąc je na ręcznych wózkach w pobliże wielkich stalowych drzwi. Wartownik klepnął go w ramię i wskazał ręką w kierunku wyjścia z magazynu. Iszmael ruszył, mając wartownika tuż za sobą. Byli właśnie w drzwiach, kiedy odwrócił się, słysząc jakiś metaliczny dźwięk.

- Proszę się nie zatrzymywać, poruczniku - warknął wartownik, ale Kurd zdążył już zobaczyć to, co chciano - był tego pewien - ukryć tu przed obcymi. Za wielkimi, stalowymi, rozsuwanymi drzwiami zobaczył wnętrze olbrzymiej windy.

A więc to prawda, pomyślał Iszmael, wyszedłszy ze wartownikiem przed magazyn. Irakijczycy zeszli z programem atomowym pod ziemię. Chalila miała rację. Na podstawie ożywionej działalności w magazynie - nie licząc niezwykłych środków bezpieczeństwa - mógł tylko spekulować na temat wielkości podziemnego obiektu, ale z pewnością nie robiono tu czegoś na małą skalę.

Kevin Dalton cały czas obserwował teren przed magazynem. Wciąż regulował ostrość w swoim noktowizorze, przesuwając go w tę i z powrotem między ogrodzeniem a magazynem. Soczewki noktowizora, znacznie grubsze od soczewek zwykłej lornetki, wzmacniały nagle światło odbijające się od ruchomych obiektów, dając obrazy w odcieniach jasnej zieleni na ciemniejszym, nieruchomym tle. No, mam go, pomyślał, kiedy udało mu się wreszcie zobaczyć zieloną twarz Iszmaela. Kilka minut wcześniej obserwował, jak Chalila przetoczyła się na pobocze wąskiej drogi i poszła na parking koło magazynu. Potem agentka Mossadu znikła za ciężarówkami.

Kevin podał noktowizor Abdulowi i wskazał w kierunku magazynu. Wielki Kurd przystawił noktowizor do oczu, kiwnął głową i oddał go z powrotem Kevinowi, który odszukał Iszmaela, idącego z magazynu do małego budynku po prawej stronie.

Risza nie śpieszyła się. Podziwiała gwiazdy, które zobaczyła dziś po raz pierwszy od tygodni. Była wdzięczna Sakkarowi, że pozwolił jej wyjść na powierzchnię. Prosząc ją, by przyniosła dokumenty przewozowe urządzeń dostarczonych z Bagdadu, powiedział, że wyjście na powierzchnię jest nagrodą za dobrze wykonaną pracę. Poprosił ją też, by wracając zajrzała do magazynu i sprawdziła, czy dostarczono już paliwo raketowe. Przymknęła oczy i głęboko odetchnęła kilka razy, rozkoszując się chłodnym nocnym powietrzem, tak odmiennym od tego, którym oddychała na poziomie minus pięć. Wiedziała wprawdzie, że na podziemnych poziomach zainstalowane były najlepsze klimatyzatory i filtry, ale i tak nic nie mogło zastąpić oddychania czystym, naturalnym powietrzem.

Otworzyła oczy i ruszyła dalej w kierunku wejścia do magazynu. Nagle coś zwróciło jej uwagę. Zobaczyła żołnierza, wyskakującego z jednej z ciężarówek na zwirowanym parkingu i szybko wskazującego do następnej. Risza spostrzegła też nóż w ręku tego żołnierza.

Zaintrygowana szła dalej. Z przeciwka zbliżali się do niej dwaj ludzie w mundurach. Jednego z nich rozpoznała.

Ismael stał obok wartownika, kiedy podeszła do nich kobieta w białym kombinezonie.

- Cześć, Risza - pozdrowił ją wartownik. Risza uśmiechnęła się do niego.

- Nie widziałem cię od miesiący. Jak leci?

- Dziękuję, wszystko dobrze. Wysłałam po parę rzeczy dla doktora i żeby skontrolować najbliższy transport. Powinien być tu lada chwila. Zauważyłam żołnierza, który wyskoczył z jednej ciężarówki i wskoczył do drugiej. Są jakieś problemy?

Ismaelowi serce zabiło mocniej, kiedy zobaczył, jak twarz wartownika tężeje.

- Nikomu nie wolno zaglądać do tych ciężarówek! - krzyknął.

- Risza, idź do magazynu. Poruczniku, proszę ze mną.

Kevin obserwował Iszmaela i wartownika, rozmawiających z kimś w kombinezonie. Kilka sekund później postać w kombinezonie ruszyła w kierunku magazynu, a Ismael i wartownik... O, kurwa! Idą na parking! Chalila, zjeżdżaj stamtąd!

Nagle usłyszał nad głową jakiś niezbyt głośny dźwięk. Z pewnością dochodził z góry. Położył się na plecach i wycelował noktowizor w niebo. Ten dźwięk. Już go kiedyś słyszałem.

Niebo było bezchmurne, noc bezksiężycowa. Kevin niczego nie widział, ale dźwięk jakby się nasilił. Silnik odrzutowy! Dźwięk był jednak jakiś nietypowy, jakby przytłumiony. Jeśli uszy go nie zawodziły, samolot powinien się znajdować w odległości mniej więcej kilometra, z całą pewnością w zasięgu noktowizora, ale Kevin nie mógł go wypatrzeć.

Przetoczył się na brzuch i skierował noktowizor z powrotem w kierunku zakładów. Iszmael i wartownik znikli już za ciężarówkami. Niech to diabli!

Był na siebie wściekły. Nie powinien był dopuścić, żeby ten dźwięk - cokolwiek to było - odwrócił jego uwagę. Chalila, gdzie jesteś? Gorączkowo przeszukiwał noktowizorem teren zakładów, ale na próżno.

Chalila uśmiechnęła się triumfalnie, natrafiwszy w jednej ze skrzyń na kombinezon zabezpieczający przed promieniowaniem. W sąsiednich skrzyżniach znalazła już kaptury, rękawice i specjalne obuwie. A więc to prawda, pomyślała. Irakijczycy pracują nad bronią atomową. W zestawieniu z informacjami, uzyskanymi dzięki mapie, którą zdobył Kurd Iszmael, dawało to zupełnie jasny obraz sytuacji.

- Nie ruszaj się! - Głos dobiegał zza ciężarówki.

Chalila zamarła.

- A teraz odwróć się, ale powoli!

Zrobiła, co jej kazano i ku swemu zaskoczeniu zobaczyła niskiego, brodatego wartownika z *Katasznikowem* w rękach, zaś obok niego Iszmaela, również z *Katasznikowem* wymierzonym w jej kierunku.

Zastanawiała się, co robić. Bez trudu mogła dać Kurdowi znak, by zabił wartownika, ale czy był to najlepszy sposób wyjścia z tej sytuacji? Były jakieś inne możliwości? Niech to szlag!

- A teraz połóż broń na ziemi. Powoli, żadnych gwałtownych ruchów!

Chalila usłuchała, wodząc wzrokiem między Iszmaelem a wartownikiem. I wtedy Kurd uderzył wartownika w głowę kolbą *Katasznikowa*. Żołnierz upadł na ziemię.

- Dawaj go tutaj, szybko! - zawołała Chalila, podchodząc do Iszmaela i pomagając mu wciągnąć bezwładne ciało do ciężarówki. Kurd wyciągnął nóż i poderżnął nieprzytomnemu gardło.

- Miałas rację, Chalila - powiedział Iszmael, uśmiechając się szeroko. - Mają tutaj podziemny obiekt. W magazynie widziałem wielką windę towarową.

Chalila spojrzała na Kurda. Z parterowego magazynu winda mogła jechać tylko w jednym kierunku: na dół.

- Co teraz robimy? - zapytał Iszmael.

Kiedy zastanawiała się nad odpowiedzią, usłyszała w oddali samolot.

Pułkownik „Buhaj” Kramer zbliżał się do Allahbadu na wysokości tysiąca pięćset metrów. Zerknął na zegarek i zmniejszył ciąg do sześćdziesięciu procent. Dokładnie w tej samej chwili cały ten rejon fotografowała kamera na podczerwień, zainstalowana na satelicie *KH-11*.

Kramer rzucił okiem na wskaźniki analogowe, po czym ściągnął trochę drążek, rozpoczynając łagodne wznoszenie. Przez mniej więcej pół sekundy naciskał guzik, opróżniający zasobnik z folią antyradarową. Mała kłapa w dolnej, płaskiej części kadłuba *F-7A* odsunęła się i z otworu poleciały na zewnątrz tysiące długich na dwa i pół centymetra pasków z cienkiego metalizowanego plastiku. Paski były lekkie; długo wirowały w powietrzu, opadając bardzo powoli. Kramer kontynuował lot na południe, wyrzucając folię jeszcze dziewięć razy, zanim zawrócił w kierunku Arabii Saudyjskiej.

- Na Allacha, generale! Szybko!

Manesz zerwał się z pryczy i podbiegł do Fasana. Zamarł, zobaczywszy wiele punktów na ekranie radaru.

- He?

- Wydaje mi się, że... Chyba dziesięć.

- Tak Fasan, dziesięć! Spadeś, czy co?

- Nie, generale. Nagle pojawiły się na moim ekranie. Najpierw wszędzie był spokój, a potem w ciągu kilku sekund cały ekran się nimi zapełnił!

- Odległość i prędkość?

- Niecałe sto kilometrów, panie generale. Prędkość... pięćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i gwałtownie zwalniają.

- Co takiego?

- Teraz już tylko... trzysta siedemdziesiąt kilometrów na godzinę... dwieście osiemdziesiąt... Generale, nic z tego nie rozumiem.

- Nie wolno nam ryzykować. Ostrzeż Allahbad. Powiedz dowódcy ochrony, że grozi im atak z powietrza!

Manesz wypadł z bunkra łączności.

Kevin i Abdul podskoczyli, kiedy nagle zawyły syreny alarmowe, a z magazynu wyjechały gaśnicowe przeciwlotnicze zestawy artyleryjskie *Szytka*. Uzbrojona w cztery naprowadzane radarem działka *Szytka* była

znana z celności. Kevin naliczył sześć takich pojazdów tylko po tej stronie magazynu. Mógł się tylko domyślać, że tyle samo strzegło magazynu z drugiej strony. Nieco dalej Kevin dostrzegł rakiety ziemia-powietrze SA-6, po trzy na jednym pojeździe. Obsługa biegła do samobieżnych działek i rakiet. Inni żołnierze obsadzali stanowiska raketowe koło ogrodzenia.

Każdy żołnierz zdawał się dokładnie wiedzieć, gdzie jest jego miejsce. Nie było żadnych oznak chaosu; całość przypominała powtarzane wielokrotnie ćwiczenia. W ciągu niespełna minuty wszyscy byli na stanowiskach. Zaraz potem zamilkły wszystkie syreny alarmowe, a zakłady pogrążyły się w ciemnościach.

Kevin zamrugał kilka razy, próbując przystosować wzrok do nowych warunków. Nawet przez noktowizor niewiele widział.

Iszmael Barzani wrócił do magazynu na chwilę przed zamknięciem drzwi. W środku wszystkim kazano iść do wielkiej windy towarowej po prawej stronie. Zauważył, że kobieta w białym kombinezonie, którą spotkał, kiedy szedł ze wartownikiem, biegła w kierunku windy. Dogonił ją.

- Dokąd idziemy? - zapytał, biegnąc razem z nią przez magazyn.

- Na dół... Tam, gdzie jest bezpiecznie - odpowiedziała Risza. - Nie martw się, wszystko będzie dobrze... pod warunkiem, że zdążymy, zanim zablokują szyb windy.

- O czym ty mówisz? - zapytał Kurd, zwalniając kroku.

Zanim Risza zdążyła odpowiedzieć, drzwi windy się zamknęły. Ci, którzy zostali na zewnątrz na próżno walili w nie pięściami.

- Co się dzieje?

- Za późno! - odpowiedziała Risza.

- Za późno? Na co za późno?

- Szyb windy! Został zablokowany! Już nikt nie zdoła zjechać!

- Ale co jest tam na dole?

- Cały obiekt, laboratorium. Wszystko odizolowane od świata. Można się tam dostać tylko windą, ale szyb jest automatycznie blokowany, kiedy ogłoszony zostanie alarm.

- No i co teraz będzie? - zapytał Kurd, zadziwiony, że kobieta dobrowolnie przekazała tyle informacji obcemu. No tak, miał przecież na sobie mundur irackiego oficera.

- Pozostaje nam czekać. Modlić się do Allacha i czekać - powiedziała Risza.

- Nie ma tu jakiegось schronu?

- Nie. Tu, na górze, są zwykle tylko żołnierze. Dziś była wyjątkowa sytuacja. Nadszedł bardzo duży transport i musieliśmy przysłać do pomocy robotników z poziomu minus jeden.

Coraz lepiej, pomyślał sarkastycznie Iszmael. - Czyli że będziemy tu siedzieć i czekać? Przecież to miejsce jest idealnym celem ataku z powietrza.

- Nie mamy wyboru. Drzwi magazynu też są teraz zablokowane. - Risaza przeniosła wzrok na robotników, którzy wciąż tłukli pięściami w zamknięte drzwi windy. - Popatrz, oni wiedzą, że znaleźli się w pułapce.

Iszmael westchnął i usiadł, opierając się plecami o koło ciężarówki. - No więc będziemy czekać.

Generał Manesz zwiększył ciąg i wyprowadził *MiG-a-29* z bunkra. Minutę później był już w powietrzu.

- Odezwij się, Fasan! - krzyknął do mikrofonu, kiedy tylko koła oderwały się od ziemi. Czekał, aż operator naziemnego radaru poda mu koordynaty napastników.

- Co?!

- O co chodzi, Fasan?

- Znikły, generale.

- Co takiego?!

- Znikły, panie generale. Najpierw zupełnie wytraciły prędkość, a potem jeden po drugim zaczęły się jakby rozpywać. Radar nic już nie pokazuje.

- Mój też nie, Fasan. Co to mogło być, do diabła? Jakież pozoratory?

- Mogę tylko zgadywać, generale. Myślę, że folia antyradarowa, albo zdalnie sterowane pozoratory.

- Niewykluczone, ale skąd się tak nagle wzięły?

- Też się zastanawiam. Naliczyłem dziesięć celów i wszystkie dziesięć wytraciło prędkość i znikło. To by wskazywało na folię, ale nie było ani śladu samolotu, który by ją wystrzelił. Może użyli *F-117A*?

- Nie będę ryzykował. Skontaktuj się z Allahbadem i powiedz im, że do odwołania obowiązuje alarm. - Manesz również przypuszczał, że siły sojusznicze wysłały w ten rejon *F-117A*. Tylko takie wyjaśnienie miało jakiś sens.

- Tak jest, panie generale!

Kevin czekał, ale nic się nie działo. Po kilku minutach na terenie zakładu znów zapalono światła. Żołnierze wprowadzili z powrotem do magazynu samobieżne stanowiska obrony przeciwlotniczej i pozamykali drzwi.

Rozglądał się dookoła przez noktowizor, ale Chalili nigdzie nie było.

- Myślę, że wszystko będzie dobrze, poruczniku - powiedział kapitan, zbliżając się do nich. Spojrzał na Riszę i dał jej znak, by poszła do ludzi zgromadzonych przy drzwiach windy. Ruszyła natychmiast.

- Proszę mi nie mówić, że to tylko ćwiczenia - powiedział Iszmael, wstając.

- Nie, poruczniku. To nie były ćwiczenia, ale na razie zagrożenie minęło. Nic więcej nie wiem.

- W porządku. Kiedy będę mógł odjechać?

- Kiedy tylko ci tam, na dole, odblokują zamki w drzwiach. Do tego czasu pańska ciężarówka zostanie rozładowana. Gdzie jest żołnierz, który pana eskortował?

Iszmael starał się zachować spokój. - Kiedy rozległy się syreny, kazał mi przyjść tutaj. Sam pobiegł w inną stronę. Myślę, że jest gdzieś na zewnątrz.

Kapitan zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową i odszedł.

Piętnaście minut później Iszmael wrzucił pierwszy bieg i zawrócił ciężarówką z pomocą wartownika, który pokazywał mu drogę. Kiedy ciężarówka ruszyła, Iszmael zamrugał światłami i zwolnił na chwilę. Postać, czekająca na poboczu poderwała się, podbiegła, wskoczyła na stopień od strony pasażera i wspięła się do środka. Między oparciem fotela a tylną ścianą kabiny ciężarówki była prawie metrowa przestrzeń. Chalila szybko się tam schowała, a Iszmael jechał dalej w kierunku bramy.

- Miałś rację, Chalila - powiedział cicho Iszmael, relacjonując jej w skrócie informacje, jakie uzyskał od Riszy na temat szybu windy i podziemnych laboratoriów.

Chwilę później dojechali do bramy. Wartownik na zewnątrz pomachał ręką do kolegi w budce wartowniczej i brama zaczęła się powoli rozsuwać.

Nagle przestała.

Iszmael zmarszczył brwi i spojrzał na wartownika w budce. Tamten rozmawiał przez telefon. Kiedy odłożył słuchawkę, Iszmael spostrzegł, że brama się zamyka.

- Co się dzieje, Isza? - zapytała z ukrycia Chalila. Powiedział jej, biorąc *Kałasznikowa*. Ona także wzięła broń do ręki.

- Poczekaj. Może to nic ważnego.

- Przebijemy się przez bramę - odparł. - Moi ludzie będą nas osłaniać, kiedy już się stąd...

- Dobry wieczór, poruczniku.

Iszmael odwrócił głowę w prawo i zobaczył oficera z niezwykle bujną czupryną. Obok niego stało kilku uzbrojonych żołnierzy, w tym kapitan, z którym Iszmael rozmawiał w magazynie.

- Major Mohammed Hasud, szef służby bezpieczeństwa w tym obiekcie - przedstawił się oficer.

- Dobry wieczór, panie majorze. W czym mogę panu pomóc?

- Poruczniku, niech pan wysiądzie na chwilę. Jest tu coś, co muszę panu pokazać.

Iszmael czuł skurcze żołądka, kładąc rękę na klamce i otwierając drzwi. Zaczęły go znów boleć chore dziąsła.

- Co takiego, panie majorze?

- Widzi pan, poruczniku, pojawił się pewien problem i potrzebna mi jest pańska pomoc, żeby go rozwiązać. Jestem pewien, że to tylko nieporozumienie między tymi z wybrzeża a nami.

Modląc się w duchu do Allacha, Iszmael robił, co mógł, żeby zachować spokój. W żadnym wypadku nie mógł okazać choćby cienia strachu.

- Co to za problem, panie majorze?

- Miał pan tu przyjechać o dokładnie określonej godzinie. Kiedy się pan spóźnił, jeden z moich ludzi zatelefonował na wybrzeże, żeby się dowiedzieć, o której pan wyjechał. Zastanawialiśmy się, czy by nie wysłać ludzi, żeby pana poszukali. Na wybrzeżu odpowiedziano nam, że porucznik Zahed Maustakk wyruszył w południe, z cywilnym kierowcą. No i co, poruczniku? Po pierwsze, na mundurze ma pan naszywkę z nazwiskiem Jasir. Po drugie, jest pan sam. Może mi pan wytłumaczyć, o co tu chodzi? Gdzie podział się porucznik Maustakk i kierowca?

Iszmael zastanawiał się gorączkowo. - Musiało zajść jakieś nieporozumienie, majorze. Na pewno pomyliły wam się ciężarówki.

- Nie sądzę, poruczniku. Widzi pan, kiedy już odwołano alarm, skontaktowałem się z pobliskimi bazami, prosząc o informacje na temat porucznika Jasira. Czy może pan sobie wyobrazić, czego się dowiedziałem?

Iszmael wyczuł sarkazm w tonie majora. - Co takiego, panie majorze? Co panu powiedziano? - spytał, z trudem panując nad głosem.

- Cóż, powiedziano mi, że porucznik Jasir był jednym z tych, którzy zginęli dziś podczas ataku Kurdów na wioskę nieco dalej na południe. Jasira i innych żołnierzy znaleziono nagich w opuszczonej wsi. A więc nie jest pan Jasirem. Nie jest pan też Zahedem. No to kim pan, do diabła, jest? I skąd wziął pan ten mundur?

\* \* \*



Kevin opuścił noktowizor, nie wierząc własnym oczom. Najpierw widział Iszmaela, rozmawiającego z grupą żołnierzy przy bramie. Potem dwóch żołnierzy wskoczyło do kabiny ciężarówki i chwilę później Chalila wyszła z podniesionymi rękami. Kevin osłupiał.

Odwrócił się do Abdula. Wielki Kurd zmarszczył brwi i powoli pokręcił głową.

Kevin przejechał sobie kciukiem po gardle i spojrzał na Abdula, oczekując odpowiedzi.

Abdul przyklnął oczy i skinął głową.

- O Boże...

### ◆ **Dzień trzeci, 17.00 czasu lokalnego - Biały Dom**

Dyrektor CIA Craig Kettler patrzył na Billa Clintona, objaśniając porozkładane na biurku prezydenta zdjęcia satelitarne, wykonane kamerą na podczerwień, zamontowaną na *KH-11*.

- Panie prezydencie, najbardziej interesująca jest obrona tego miejsca. Koncentracja uzbrojenia, jaką tu widać, daleko wykracza ponad wstępną ocenę Bourdeaux. To miejsce jest strzeżone lepiej niż każdy inny obiekt w Iraku, lepiej niż sam Bagdad.

Zmrużywszy oczy, prezydent w milczeniu wpatrywał się w zdjęcia, podobnie jak sekretarz obrony, który stał trochę dalej z prawej strony. Sekretarz przyjrzał się im dokładniej pół godziny wcześniej w KOIF i, nie tracąc czasu, przedstawił prezydentowi swoją opinię: zdmuchnąć ten obiekt z powierzchni ziemi. Dyrektor CIA również zalecał natychmiastowy atak z powietrza.

Clinton zwilżył wargi. Dysponował już wyczerpującymi informacjami. Wszyscy ludzie z jego ekipy byli zgodni, co należy teraz zrobić, nawet sekretarz stanu, który wciąż jeszcze prowadził w Genewie rozmowy z Tanikiem Azizem. Były to równie jałowe rozmowy, jak te, które ówczesny sekretarz stanu James Baker prowadził przed Pustynną Burzą.

Clinton wziął z biurka białą kartkę z prezydenckim godłem w nagłówku. Był to rozkaz przeprowadzenia ataku na Allahbad. Jak na komendę, sekretarz obrony i dyrektor CIA wyciągnęli długopisy i podali je prezydentowi. Ten uśmiechnął się, sięgnął po własne pióro i podpisał rozkaz.

### ◆ **Dzień czwarty, 1.00 czasu lokalnego - Allahbad, na południe od An Nadżaf, Irak**

Iszmael Barzani wszedł do pokoju przesłuchań i natychmiast rozejrzał się za Chalilą, ale zobaczył tylko majora Hasuda i pięciu wartowników.

- Witaj, przyjacielu - powiedział major lodowatym tonem.

Iszmael miał ręce związane na plecach. Wartownicy podprowadzili go do Hasuda.

- Dziś w nocy powiesz nam wszystko, co chcemy wiedzieć.

Iszmael napluł mu w twarz.

Hasud powoli otarł brodę rękawem. - To nie było zbyt rozsądne, przyjacielu. A może powinienem cię nazywać inaczej?

Iszmael patrzył mu prosto w oczy. Hasud nie spuścił wzroku, ani nie mrugnął. Wydawał się znudzony, jakby przyszedł tutaj, bo akurat nie miał nic lepszego do roboty.

- Jesteś zabawny, przyjacielu. Pokażmy naszemu kurdyjskiemu przyjacielowi, w jaki sposób nakłonimy go, by powiedział nam wszystko, co chcemy wiedzieć.

Iszmael patrzył w milczeniu. Jeden z żołnierzy przyniósł kurę i podszedł z nią do wielkiej beczki na środku pokoju.

- Podprowadźcie go bliżej. Chcę, żeby dokładnie wszystko zobaczył.

Wartownik popchnął Iszmaela kolbą pistoletu. W beczce była przezroczysta ciecz. Iszmael pomyślał, że będą go torturować prądem, ale nigdzie nie widział kabli ani generatora.

Żołnierz przywiązał kurę za łapy do linki, poprowadzonej przez wielokrażek przymocowany do sufitu i powoli opuścił ptaka do beczki.

Kura, dotąd dość spokojna, nagle zaczęła bić skrzydłami. Płyn w beczce zaczął bulgotać przy zetknięciu z głową ptaka. Wszystko trwało nie więcej niż piętnaście sekund. Ciecz w beczce zabarwiła się na czerwono.

Hasud pociągnął za linkę i wydobył kurę. Z jej łba nie zostało nic oprócz kilku fragmentów kości. Reszta rozpuściła się bez śladu.

- To jeden z wielu produktów, które wytwarzamy w Allahbadzie oprócz mleka w proszku, przyjacielu. Wierz mi, będziesz mówił. Powiesz mi, kim jesteś i co tutaj robisz. Szczerze mówiąc, wszystko mi jedno, ile bólu zechcesz znieść, zanim zaczniesz mówić. Mam nadzieję, że będziesz cierpiał długo. Zadawanie bólu kurdyjskim świniom, to dla mnie zawsze wielka przyjemność.

Hasud odrzucił włosy z czoła i Iszmael nagle zrozumiał, dlaczego major nosił długą, potarganą brodę. Jego twarz była straszliwie zeszepecona.

- Twoi kurdyjscy przyjaciele wyrządzili mi tę krzywdę dawno temu - powiedział Hasud, kiedy Iszmael dokładnie przyjrzał się bliznom na jego czole. - Nie śpieszyli się. Pocięli mi twarz i ciało, ale moi ludzie mnie uratowali. Chciałem, żebyś o tym wiedział, zanim się za ciebie wezmę. I nie masz co liczyć, że uratują cię moi ludzie.

Iszmael przyknął oczy i w duchu modlił się do Allacha o siły, żeby wytrzymać czekające go męki.

#### ◆ **Dzień czwarty, 1.20 czasu lokalnego - Bagdad**

Saddam Husajn otrzymywał tego dnia na przemian dobre i złe wieści. Stracił kilka śmigłowców, ale uznał, że to bez znaczenia w porównaniu z amerykańskimi myśliwcami i śmigłowcami, które zniszczyli jego ludzie. Obszedł się ostro z generałem Maneszem, ale w głębi duszy był przekonany, że świeżo upieczony generał wykonuje wszystkie rozkazy bez wahania. Manesz świetnie się spisał, reagując błyskawicznie, kiedy kilka godzin temu nad Allahbadem przeleciał amerykański samolot niewidzialny dla radaru.

Przywódca Iraku siedział półnagi na krawędzi wielkiego łoża w jednym ze swych bunkrów. Zapalił cygaro, nabrał głęboko dymu i powoli wypuszczał go przez nos. Pod kołdrą przekręciła się przez sen naga Syryjka, jedna z osobistych dziwek Saddama. Przywódca Iraku klepnął ją w tyłek. Mruknięła coś niezrozumiałego i spała dalej.

Saddam uśmiechnął się, ale nie na myśl o kobiecie w łóżku. Znaczyła dla niego tyle, co bezański pies. Mógł w każdej chwili sięgnąć po *Makarowa*, leżącego w kaburze na podłodze, strzelić jej w głowę, a potem pójść na śniadanie. Nie zamierzał jednak tego robić. Wysoka Syryjka była w łóżku bezkonkurencyjna.

Uśmiechał się z innego powodu. Godzinę temu, kiedy zajęty był właśnie rozbieraniem syryjskiej dziwki, Irak stał się mocarstwem atomowym. W jednej chwili Saddam mógł zetrzeć Tel Awiw z powierzchni ziemi. Wiedział jednak, że na razie nie wolno mu tego zrobić. Gotowa była dopiero jedna rakieta. Musiał jeszcze poczekać. Za dwadzieścia cztery godziny będzie już mógł zaatakować kilka celów jednocześnie. Za kilka dni jego kraj będzie dysponować trzydziestoma głowicami atomowymi, przenoszonymi przez rakiety o zasięgu do półtora tysiąca kilometrów.

I wtedy, panie Clinton, Bliski Wschód będzie mój, a wkrótce potem przekona się pan, co to znaczy wybuch atomowy w pańskiej ukochanej Ameryce.

# 12.

## Różnice zdań

### ♦ Dzień czwarty, 7.45 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Mając poranne słońce za plecami, agent CIA Robert Bourdeaux szedł przez pas startowy, minął plandekę w barwach ochronnych, osłaniającą myśliwiec *F-117A*, który przyleciał poprzedniej nocy i zbliżał się do pasażerskiego *Gulfstreama IV*, zatrzymującego się właśnie przy rampie koło namiotu-jadalni. Obsługa naziemna pośpieszyła ze schodkami. Drzwi samolotu otworzyły się.

Ku zaskoczeniu Roberta Bourdeaux, jako pierwszy wysiadł z samolotu mężczyzna z kamerą, a za nim dwaj inni, niosący jakiś sprzęt. Zeszli po schodkach. Dwaj odeszli na bok, manipulując przy aparaturze, trzeci pozostał przy schodkach. Ten, który miał kamerę, odliczył od pięciu do jednego na palcach prawej ręki.

Bourdeaux podszedł do nich.

Ten przy schodkach okazał się reporterem. Mówił właśnie do kamery, że przylecieli w tej chwili do pewnej amerykańskiej bazy, w której przygotowywany jest plan ataku z powietrza na obiekt o wielkim znaczeniu strategicznym, położony na południu Iraku.

Bourdeaux nie wierzył własnym oczom. Generał Kenneth Draper, ubrany w idealnie wyprasowany mundur polowy w pustynnych barwach ochronnych, powoli zszedł po schodkach i pomachał do kamery. Reporter zadał mu kilka pytań, a Draper na każde odpowiadał z ogromną pewnością siebie. Bourdeaux nie miał wątpliwości, że ten telewizyjny wywiad był zawczasu dobrze przygotowany.

Draper opowiadał właśnie, jak *F-117A* bez najmniejszych kłopotów, nie zauważony przez wroga, przeleciał nad irackim obiektem, bateriami działek przeciwlotniczych i stanowiskami raketowymi, dowodząc raz jeszcze, że nie ma na świecie lepszego samolotu typu *stealth*. Generał wspominał też, że przybył tutaj wyłącznie jako obserwator i że całą operacją dowodzą wspólnie CIA, Marynarka i Siły Powietrzne.

Draper podszedł wreszcie do Bourdeaux, kiedy ekipa telewizyjna przestała kręcić. Z samolotu wyszło kilku ludzi, również ubranych w nienaganie wyprasowane mundury polowe. Nieśli walizki i pudła; Bourdeaux przypuszczał, że zawierają rzeczy osobiste generała.

- Witam, panie Bourdeaux. Co słychać?

- Wszystko dobrze, generale, dziękuję. Zauważyłem, że sprowadził pan ekipę telewizyjną. Cóż, ja już wcześniej załatwiłem ekipę CNN, która będzie relacjonować tę operację. Powinni tu wkrótce być.

Draper rozejrzał się na boki, zanim odezwał się ściszym głosem. - Proszę posłuchać. Między nami mówiąc, wątpię, czy spodobałoby się to generałowi Marshallowi lub samemu prezydentowi. Myślę, że będzie najlepiej dla pana, jeśli odwoła pan tych z CNN. Ekipa, która przyleciała ze mną, została zaaprobowana przez CENTAF. Oczywiście, pan i ja będziemy mieć pełną kontrolę nad tym, co ostatecznie trafi na antenę.

- Oczywiście, generale. Odwołam ich, to żaden problem - powiedział Bourdeaux, patrząc Srebrnemu Szczurowi prosto w oczy. Draper był tu zaledwie kilka minut, a już pokrzyżował mu plany. Bourdeaux zacisnął pięści i poczuł, że powraca mu ból głowy. Źle się to wszystko zaczęło, pomyślał. Pozostawało mu mieć nadzieję, że dalej nie będzie jeszcze gorzej.

- A teraz proszę mi wybaczyć, ale mam za sobą długi lot i chciałbym się trochę odświeżyć. Ma pan dla mnie jakiś namiot?

- Tak, generale, proszę tędy.

Przeszli w milczeniu obok *F-117A*, zaparkowanego koło kilku *F-15*. Draper zatrzymał się, żeby rzucić okiem na myśliwiec *stealth*, ale zaraz poszli dalej i za chwilę byli już przed namiotem generała. Ludzie Drapera czekali przy wejściu. Przybrawszy ostry wyraz twarzy, generał zwrócił się do jednego z nich, kapitana. - W południe prywatny lunch dla trzech osób w moim namiocie. Przygotuj wszystko. Odmaszerować!

- Tak jest, sir!

Zaskoczony Bourdeaux patrzył, jak kapitan odkłada swój bagaż na ziemię, robi w tył zwrot i odchodzi. Twarz generała przybrała z powrotem łagodny, przyjemny wyraz.

- Mam nadzieję, że zechce pan zjeść ze mną lunch, panie Bourdeaux. Nie będzie to panu z niczym kolidować?

Bourdeaux patrzył na niego z niedowierzaniem. - Chętnie, generale. Żaden problem.

- To wspaniale. Przy okazji, mógłby pan przyprowadzić ze sobą pułkownika Petera Halstona? W CENTAF powiedziano mi, że bez niego nic się tutaj nie dzieje. Chciałbym go poznać, zwłaszcza że będzie odpowiedzialny za znaczną część tej operacji. Teraz muszę się zdrzemnąć. Do widzenia, panie Bourdeaux. Zobaczymy się na lunchu.

- Draper odwrócił się i wszedł do namiotu, za nim jego ludzie.

Bourdeaux stał przez chwilę oniemiały, zanim powoli odszedł.

#### ◆ **Dzień czwarty, 0.30 czasu lokalnego - Biały Dom**

Samotny w Gabinetce Ovalnym, prezydent Clinton przebrnął przez codzienną porcję spraw krajowych, po czym skoncentrował uwagę na najnowszych raportach na temat Allahbadu, które dostarczono mu godzinę temu.

Z przesłanych faksem raportów Drapera i Bourdeaux wynikało, że - dokładnie jak to zreferował dyrektor CIA - rozpoznanie lotnicze okazało się bardzo owocne, ujawniając niezwykle dużą liczbę żołnierzy i stanowisk obrony przeciwlotniczej na terenie obserwowanego obiektu.

Kolejny raport od sekretarza obrony i generała Roya Marshalla zawierał szczegóły przeprowadzenia ataku, który miał być połączoną operacją Marynarki i Sił Powietrznych.

Clinton przymknął oczy, wspomniawszy propagandowe wystąpienie telewizyjne Saddama Husajna zeszłej nocy. Teraz moja kolej, panie Husajn.

#### ◆ **Dzień czwarty, 8.45 czasu lokalnego - USS „Ranger”, 150 kilometrów na północ od Bahrajnu, Zatoka Perska**

Porucznik „Chico” Delgado wspiał się po drabince przystawionej do jego *Tomcata* i zręcznie wskoczył na tylny fotel.

- Dzień dobry, sir.

- Cześć, Chico - odpowiedział z przedniego fotela komandor John McDeere.

Przez kilka minut obaj zajmowali się sprawdzaniem systemów.

- Wszystko w porządku, uaktywniam kontrolę rakiet - powiedział wreszcie Delgado przez interkom, dotarłszy do końca listy.

- Czekaj nas trudne zadanie. Na pewno wszystko w porządku? - spytał zniecierpliwionym tonem McDeere.

- Radar w porządku, żadnych godnych wzmianki zakłóceń, system ostrzegania w pełni sprawny - odpowiedział Delgado.

- Przeprowadziłeś pełny test komputerowy? - zapytał krótko McDeere, sugerując że Delgado mógł tego nie dopilnować. W ramach tego testu komputery *Tomcata* analizowały wszystkie systemy i zgłaszały ewentualne problemy.

- Tak jest, sir.

- No to zrób to jeszcze raz, tak dla pewności.

Delgado zacisnął pięści. - Tak jest, sir!

Zgranie załogi miało decydujące znaczenie dla powodzenia misji, a to zakładało dobre stosunki między pilotem a RIO. McDeere osiągnął właśnie przeciwny efekt. Powtarzając kontrolę, Delgado przeklinał swego dowódcę, umieściwszy go na czele swojej prywatnej listy sukinsynów. Nie lubił piegowatego komandora nie tylko za to, że był taki twardy wobec Kevina, lecz także za to, że ten skurwysyn tak naprawdę troszczył się tylko o własną karierę i własny wizerunek. Delgado zauważył z pewnym rozbawieniem, że na początku swego pobytu w tym regionie McDeere wykonał tylko kilka lotów, ale za to wybierał takie, podczas których prawdopodobieństwo natknięcia się na *MiG-i* było największe. Kiedy jednak stało się jasne, że walki powietrzne będą się trafiać znacznie rzadziej, niż wszyscy myśleli, bo irackie samoloty nie zapuszczały się w strefę zakazu lotów, McDeere powrócił do roli dowódcy dywizjonu, opowiadając wszystkim dookoła, że musi pozostawać na pokładzie lotniskowca, by mieć „lepszy obraz sytuacji”, niezbędny do koordynowania działań. Ale kiedy tylko na „Rangera” dotarł z CENTAF rozkaz wysłania dywizjonu *F-14*, mającego uczestniczyć jako eskorta w specjalnym nalocie *F-117A*, McDeere szybko powierzył sobie dowodzenie tą misją.

Niech cię szlag trafi, ty dupku! - pomyślał Delgado.

Dziesięć minut później myśliwiec wystartował z lotniskowca, a za nim następne trzy. *Tomcaty* wzięły kurs na północ.

### ♦ Dzień czwarty, 10.00 czasu lokalnego - Allahbad, na południe od An Nadżaf, Irak

Dla Chalili Iszaid koszmar właśnie się rozpoczął. Nie widziała Iszmaela Barzaniego, od kiedy poprzedniej nocy zabrano ich do osobnych pomieszczeń. Teraz, kiedy wprowadzono ją do pokoju przesłuchań, zdała sobie sprawę, jakie męki musiał przejść jej kurdyjski przyjaciel.

Zamarła z przerażenia na widok Iszmaela, a właściwie tego, co z niego zostało. Kurd wisiał, przywiązany za ręce pod sufitem na środku dużego kwadratowego pomieszczenia. Połowa jego ciała była zanurzona w beczce wypełnionej ciemną cieczą. Z miejsca, w którym stała, nie potrafiła określić, czy jeszcze oddycha.

- Był bardzo twardy, ale w końcu przegrał - powiedział major Mohammed Hasud, siedzący za drewnianym stołem po prawej stronie pokoju bez okien. Na blacie stołu zauważyła skórzane pasy.

- Wyciągnijcie go.

Chalila poczuła, że żółć podchodzi jej do gardła. Z dolnej połowy ciała Iszmaela nic nie zostało. Odwróciła głowę i zwymiotowała na betonową posadzkę. Żołnierze wepchnęli szczątki Iszmaela do plastikowego worka i wynieśli z pokoju.

- Kwas solny. Zżera wszystko, nawet kości.

Chalila miała łzy w oczach, ale wyprostowała się i spojrzała z pogardą na Hasuda.

- To doprawdy zabawne. Kiedy go tu przyprowadziliśmy, na pluć mi w twarz, gdy spytałem go, jak się nazywa. Patrzył na mnie tak samo wyzywająco, jak ty teraz. Cóż, spuścił trochę z tonu, kiedy zanurzyliśmy mu w kwasie palce od nóg. A kiedy był zanurzony po kostki, powiedział mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

Kiedy kwas sięgnął mu kolan, błagał mnie, żebym mu strzelił w łeb.

W końcu zemdłał z bólu, kiedy zanurzyliśmy go do pasa. Myślę, że wkrótce potem umarł.

Chalila poczuła, że cała się trzęsie. Nie był to jednak strach, lecz gniew.

Hasud mówił dalej. - Widzisz, wiem o twoich przyjaciółkach na zewnątrz. Wiem, że masz na imię Chalila. Wiem o kimś, kto nazywa się Dalton i jest amerykańskim pilotem, zestrzelonym przez nasze niezwykłe lotnictwo. Wiem o Abdulu i trzydziestu innych partyzantach kurdyjskich, którzy wymordowali naszych żołnierzy we wsi na południe od tego miejsca. Wyruszył już w drogę oddział, który rozprawi się z twoimi przyjaciółmi. Za godzinę będziesz już sama.

Chalila usiłowała sobie wyobrazić, jaki ból musieli zadać Iszmaelowi, skoro Hasud dowiedział się tego wszystkiego.

- A więc, moja droga? Zmusisz nas, żebyśmy potraktowali cię podobnie, czy też raczej okażesz się nieco bardziej skłonna do współpracy niż twój przyjaciel?

Nie odpowiedziała.

- Jak chcesz. Ściągnijcie z niej ubranie. - Owłosiona twarz Hasuda miała twardy, okrutny, bezlitosny wyraz.

Popatrzyła na pokryte bliznami policzki i nos majora, spojrzała mu w oczy. - Dlaczego sam nie spróbujesz ściągnąć mi ubrania, ty wstrętny rzeźniku? - Zapadła cisza. Wartownicy z wyczekiwaniem patrzyli na Hasuda.



Major przekrzywił głowę i zaczął się głośno śmiać. Zaraz przyłączyli się do niego żołnierze, śmiejąc się jeszcze głośniej. Chwilę później Hasud uniósł rękę.

- Dość! - krzyknął. Śmiech natychmiast ustał. Hasud spojrział na Chalilę z pogardą. - Wstrętny? Żadne inne określenie nie przychodzi ci na myśl? Może powinnaś mnie sobie obejrzeć dokładniej.

Major powoli rozpiął koszulę munduru, pokazując jej klatkę piersiową. Chalila głęboko wciągnęła powietrze. Ten człowiek był potwornie oszpecony.

- Mam twarz i ciało diabła, moja droga. To sprawka Kurdów. - Zapiął koszulę z powrotem. - No, dość tego. Ty i ty, zedrzyjcie z niej łachy!

Chalila zareagowała instynktownie. Przykucnęła i kopnęła wartownika po prawej stronie. Trafiała go obcasem w krocze. Wartownik zgiął się w pół i osunął się na podłogę nieprzytomny. Pozostali żołnierze natychmiast sięgnęli po broń, ale Hasud powstrzymał ich gestem. Opuścili lufy.

Jeden z wartowników również przykucnął i uśmiechnął się szeroko. Chalila próbowała uderzyć go kantem dłoni w szyję, ale odparował cios i wymierzył jej siarczysty policzek. Poleciała na ścianę i upadła na podłogę.

Zanim zdążyła zareagować, jeden wartownik unieruchomił jej ręce, drugi nogi, a trzeci ściągnął z niej mundurową koszulę i rozerwał bawełnianą bluzkę. Jeden ze wartowników złapał ją za piersi i mocno ścisnął. Inny zaczął ściągać jej spodnie.

- Dość! - zawołał Hasud. - Przyprawdźcie ją tutaj!

Strażnicy położyli ją twarzą do góry na drewnianym stole i zapięli skórzane pasy na nadgarstkach i na kostkach. Hasud obszedł stół dookoła. - Jesteś naprawdę bardzo atrakcyjną kobietą. Co za strata. - Wyciągnął nóż i powoli przeciągnął czubkiem ostrza po jej tułowiu.

Chalila chciała już tylko, żeby skończyli z nią jak najprędzej. Oczekiwanie na tortury było prawdopodobnie gorsze niż sam fizyczny ból. Ostrze noża przesunęło się wokół jej piersi. Pomyślała o siostrze. Słyszała jej krzyk. O Boże, nie! Nie!

Hasud wsunął nóż pod majtki, które wciąż jeszcze miała na sobie. Rozciął tkaninę jednym szybkim ruchem. Zamknęła oczy. Hasud łagodnie gładził ją po wewnętrznej stronie ud. Usłyszała wybuch śmiechu wartowników, kiedy major przesunął rękę wyżej, dotknął włosów, a potem powoli wsunął jej palec do pochwy. Zatrzęsa się i zacisnęła zęby.

A więc to teraz, pomyślała. Wkrótce będzie po wszystkim.

Ręka gładziła ją teraz po brzuchu, palce krążyły wokół pępka. Przesunęła się do piersi, gładząc je przez chwilę. Potem dotyk ustał. Chalila czekała jeszcze przez chwilę, zanim otworzyła oczy i spojrzała na Hasuda.

Żołnierze wlepiali w nią wzrok, nie pozostawiając wątpliwości co do swych zamiarów.

- Co za strata, Chalilo. Co za strata. Przynieście prądnicę! - rozkazał Hasud. Żołnierze zwlekali.

- Ogłuchliście? - warknął major. - Przynieść mi prądnicę, ale już! - Żołnierze szybko wyszli z pokoju.

- Nie zabijemy cię tak szybko, moja droga. Iszmael był dzikusiem, więc zasłużył sobie, żeby potraktować go jak dzikusa. Ty i ja jesteśmy inni. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi i powinniśmy się odpowiednio zachowywać. Chcę tylko wiedzieć, skąd jesteś i co robiłaś z Kurdami. Biedny Iszmael stracił przytomność, zanim zdążył nam to wyjawić.

Nie odpowiedziała.

- Powiedz nam, dla kogo pracujesz!

Chalila po prostu patrzyła mu w oczy.

- Jak chcesz. Zapewniam cię, będziesz mówić. Kiedy opuścisz ten pokój, o własnych siłach, albo kiedy cię wyniesiemy, będę wiedział wszystko, co chcę wiedzieć. Pozostaje pytanie, ile bólu jesteś gotowa znieść.

Chalila ignorowała go. W głębi duszy wiedziała, że nie zdołają jej złać. Modliła się, by twardy trening, jaki przeszła w Mossadzie pomógł jej znieść ból.

Zniesiesz ten ból - powiedziała sobie. Będziesz go znosić przez cały czas. Sulejma doświadczyła tego dawno temu. Poświęciła się dla ciebie. Teraz ty musisz zrobić to samo dla swoich ludzi.

Porucznik Kevin Dalton po prostu nie mógł odejść, nie dowiedziawszy się, co się stało z Chalilą i Iszmaelem. Kurdowie przekonywali go, że oboje prawdopodobnie już nie żyją. Kevin na próżno gestykulował, starając się ich nakłonić do zaatakowania zakładów z kilku miejsc jednocześnie, z użyciem broni przeciwpancernej i karabinów maszynowych, które mieli ze sobą. Kurdowie nie zgadzali się, dając mu do zrozumienia, że Irakijczycy mają za dużo żołnierzy i za dużo baz wojskowych w pobliżu.

Przez całą noc i cały ranek Kevin wpatrywał się w niewielki budynek, do którego wartownicy zaprowadzili Iszmaela i Chalilę. Dotychczas nikt stamtąd nie wyszedł.

Abdul wyciągnął rękę w kierunku Roverów, które zaparkowali za wymiarami kilkaset metrów dalej. Kevin zrozumiał. Kurdowie obawiali się, że któreś z nich - Iszmael albo Chalila - mogło się załamać na przesłuchaniu i powiedzieć wrogowi o partyzanckim oddziale w pobliżu zakładów.

Rozglądając się po okolicy, zdał sobie sprawę, że nie bardzo było się gdzie schować, gdyby żołnierze zaczęli ich szukać.

Kevin spojrział na Abdula, pokręcił głową, palcem wskazującym prawej ręki pokazał na siebie, a potem na miejsce, w którym stał. Wiedział, że nie potrafi odejść, dopóki nie będzie miał pewności, że Chalila nie żyje. Poza tym, nie miał już nic do stracenia. Przedostanie się z powrotem przez granicę oznaczało dla niego tylko sąd polowy. Był gotów pogodzić się z takim losem, ale najpierw musiał się dowiedzieć, jaki los spotkał kobietę, którą kochał...

Abdul podał mu *Katasznikowa* i kilka magazynków, a potem jeszcze manierkę z wodą i nóż. Kevin uśmiechnął się i kiwnął głową.

A potem, zanim Kevin zdążył zareagować, Abdul objął go i serdecznie uściśnął. Kevin był zupełnie zaskoczony, nie wiedział jak zareagować, wreszcie zdecydował się poklepać Abdula po plecach. Kiedy wielki Kurd go puścił, Kevin zobaczył w jego oczach łzy.

- Do widzenia, przyjacielu, Bóg z tobą - powiedział.

Abdul położył rękę na ramieniu Kevina. - Do widzenia... panie Dalton. - Odwrócił się i ruszył za pozostałymi Kurdami, którzy szli już w kierunku samochodów.

Kilka minut później Kevin obserwował odjazd niewielkiego konwoju kurdyjskich partyzantów. Nagle usłyszał jakiś dźwięk, który wydał mu się znajomy. Skierował lornetkę na widoczne w oddali wzgórze po lewej stronie. Gorączkowo regulował ostrość. Przeszedł go dreszcz, kiedy zobaczył dwa śmigłowce szturmowe *Hind-D*, lecące w kierunku kurdyjskiego konwoju.

- O Jezu! - wykrztusił. Każdy z pięciu pojazdów ruszył w inną stronę. Śmigłowce też się rozdzieliły i rozpoczęły pościg. Zauważył, że leciały tuż nad ziemią, a potem na chwilę wzniosły się na piętnaście-dwadzieścia metrów i ostrzelały Kurdów rakietami.

Trzy pojazdy zostały trafione od razu i eksplodowały. Dwa pozostałe uciekały zygzakami i wydawały się nie naruszone. Śmigłowce wykonały drugie podejście. Tym razem Kevin usłyszał dwudziestomilimetrowe działka i zobaczył chmurę kurzu, wzbijaną przez pociski. Chmura szybko zbliżała się do pojazdów. Jeden Rover wywrócił się, kiedy trafiły go pierwsze pociski. Drugi wbił się w wydmę. Wskoczyli z niego trzej Kurdowie, ale nie odbiegli daleko, zanim skosiły ich kule.

Kevin opuścił lornetkę i przytknął oczy. To wszystko nie trwało nawet minuty. Skurwysyny!

Nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Chwycił *Katasznikowa* i odwrócił się, z palcem na spuście.

- Abdul! Ty głupolu! Przecież mogłem cię zabić!

Abdul nie odpowiedział. Wciąż jeszcze miał łzy w oczach.

Kurd dźwigał dwa wielkie wory i ogromny plecak. Kevin spostrzegł, że z jednego worka wystaje kilka zielonych, stożkowych głowic raketowych pocisków przeciwpancernych *RPG-7*, odpalanych z ręcznych wyrzutni.

- *RPG-7* - powiedział Abdul, opuszczając worki na ziemię, i przejechał kciukiem prawej ręki po gardle.

Kevin kiwnął głową. - Dziś w nocy.

Ponad trzydzieści metrów pod powierzchnią ziemi doktor Radsul Sakkar wsunął kartę magnetyczną w szczelinę w ścianie. Risa stała tuż za nim. Światło nad stalowymi drzwiami zmieniło się z czerwonego na zielone. Zaraz potem drzwi się odsunęły. Weszli do pomieszczenia z komputerami. Tu było serce Allahbadu. Drzwi zamknęły się za nimi automatycznie. W normalnych warunkach tylko Sakkar miał prawo wstępu do tego pomieszczenia. Komputery IBM 3033 kontrolowały wszystko wewnątrz podziemnego obiektu, od precyzyjnej aparatury klimatyzacyjnej po automatyczne rozmieszczanie i odpalanie rakiet. Nie pozostawiono tu miejsca na błąd człowieka. Cztery komputery pracowały równolegle, piąty je kontrolował.

Sakkar podszedł do wielkiej konsoli na środku okrągłego pomieszczenia. Risa w milczeniu stała za nim. Obok konsoli umieszczono mapę podziemnych tuneli, którymi rakiety transportowano na wyrzutnie. Trzydzieści rakiet, trzydzieści głowic atomowych, po dwadzieścia kiloton każda, pomyślał Sakkar. Każda głowica była wystarczająco potężna, by zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko na obszarze tak wielkim, jak Bagdad. Sakkar wystukał kilka komend na klawiaturze i na wielkim ekranie pojawiła się mapa, przedstawiająca Irak i kraje sąsiednie. Na dole ekranu wyświetlony był napis: WARIANTY: A, B LUB C. AKTUALNY WARIANT: B.

Sakkar wszystko to przećwiczył już wiele razy. W końcu to on zaprogramował różne warianty ataku. Umieścił kursor pod literą A i uderzył w klawisz Enter.

Ekran natychmiast ożył. Pojawiły się linie, łączące Allahbad z trzydziestoma różnymi punktami na mapie. Wariant A, obliczony na wyeliminowanie tylko obiektów wojskowych na obszarze od Izraela po Oman, pozbawiał ten obszar wszelkiej obrony przed połączonym atakiem irackich czołgów i samolotów. Wariant B przewidywał zniszczenie tylko głównych obiektów wojskowych oraz większości dużych miast. Wariant C, obliczony na spowodowanie największych zniszczeń, zakładał likwidację tylko kilku strategicznych obiektów wojskowych, ale równocześnie zagładę większości dużych miast i zniszczenie większości szybów naftowych w tym regionie.

Jako domyślny, system komputerowy przyjmował wariant A, stanowiący przygotowanie do ataku konwencjonalnych sił irackich. Jednak Saddam Husajn nakazał użycie wariantu B. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami, Sakkar miał zaczekać, aż wszystkie trzydzieści rakiet znajdzie się na wyrzutniach i odpalić je po otrzymaniu ostatecznego potwierdzenia. Było to zrozumiałe. W momencie startu pierwszej rakiety siły sojusznicze dokładnie zorientowałyby się, co naprawdę produkowano w Allahbadzie i natychmiast przeszły do kontrataku. Chociaż Allahbad był zbudowany tak, żeby przetrzymać atak, bezpieczniej było zaczekać, aż wszystkie rakiety będą gotowe, zanim odpali się choćby jedną. Sakkar ocenił, że wszystkie rakiety będą gotowe w ciągu najbliższych kilku dni. Gdyby jednak siły sojusznicze jednak zbombardowały przedtem Allahbad lub gdyby jakimś cudem powstało zagrożenie dla podziemnego obiektu, system komputerowy zignorowałby wszelkie inne polecenia i przeszedł do wariantu C, natychmiast odpalając wszystkie rakiety. Wariant C miał swoje priorytety. Pierwszymi celami były wielkie miasta w Izraelu, Arabii Saudyjskiej, Iranie i Kuwejcie. W drugiej kolejności szły szyby naftowe, rafinerie i zbiorniki ropy. Najniższy priorytet miało kilka obiektów Wojskowych. Sakkar wiedział, że gdyby wariant C został kiedyś zrealizowany, Tel Awiw, Rijad, Kuwejt i Teheran zostałyby doszczętnie zniszczone; pierwsze rakiety poleciałyby właśnie w kierunku tych miast. Ponadto, świat przeżyłby kryzys naftowy znacznie gorszy od tego, który Irakijczycy spowodowali podczas wojny w Zatoce w 1991 roku. Ropy brakowałoby całymi latami, do czasu naprawienia obiektów przemysłu naftowego w tym regionie i przywróceniu normalnego poziomu wydobycia ropy.

Sakkar postukał w klawiaturę, uruchamiając program samosprawdzania systemu. Przez ułamek sekundy system przeprowadzał kontrolę sprzętu, zachowując w pamięci wszystkie bieżące ustawienia. Potem wracał do normalnej pracy. Dzięki ogromnej szybkości komputerów, test został przeprowadzony dosłownie w okamgnieniu, tak że Sakkar nie zdołał dostrzec żadnej różnicy w funkcjonowaniu. O zakończeniu programu samokontroli informował tylko napis SYSTEM SPRAWNY, który pojawił się na monitorze. Usatysfakcjonowany, nacisnął klawisz Enter i ekran zrobił się pusty.

Sakkar odwrócił się i spojrzał w oczy swej współpracownicy.

- Już niedługo, doktorze - powiedziała Risza z żarliwością, która wywarła na Sakkarze wrażenie. - Wkrótce damy naszemu krajowi to, czego potrzebuje, by zwyciężyć.

## ♦ Dzień czwarty, 11.45 czasu lokalnego – baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

*Tomcat* porucznika „Chico” Delgado miękko wylądował. Komandor John McDeere podkołował maszynę obok *F-117A*, stojącego pod plandeką, chroniącą przed upalnym słońcem. Delgado nigdy dotąd nie widział z bliska myśliwca *stealth*.

Kiedy tylko otworzyła się osłona kabiny *Tomcata*, Delgado sięgnął w dół i wysunął wbudowaną drabinkę, zanim ludzie z obsługi naziemnej zdążyli wykombinować, jak właściwie się to robi. Wysiadł i podziwiał niecodzienny kształt *F-117A*.

- Idziemy, Chico - zawołał McDeere.

- Jeszcze chwilę, sir - odpowiedział Delgado, wciąż wpatrzony w czarny samolot.

McDeere pokręcił głową i powoli podszedł do Delgado. - Słuchaj, może nie wyraziłem się dość jasno tam, na lotniskowcu. Pozwól sobie powiedzieć, że podczas tej operacji musimy się pilnować na każdym kroku. Nie chcę, żebyś się włóczył po bazie, nadeptywał ludziom na odciski i wtykał nos, gdzie nie trzeba. I w bazie, i w powietrzu, wszystko, absolutnie wszystko musi być w porządku. Jeśli chcesz sobie obejrzeć ten samolot, to proszę bardzo, ale niczego nie dotykaj, niczego nie popsuj i nie narażaj dobrego imienia Marynarki. Chcę, żebyśmy podczas tej operacji zasłużyli na najwyższe uznanie. Rozumiesz?

Delgado miał wielką ochotę strzelić McDeere'ego w pysk. Komandor nie tylko poddał w wątpliwość jego kompetencje, ale jeszcze miał czelność pouczać go na oczach wszystkich i to gdzie? W bazie Sił Powietrznych!

Delgado poczuł gwałtowny przypływ wściekłości. Wiedział, że potrafiłby przyłożyć McDeere'emu, że pokonałby go bez trudu, chociaż komandor był chłopem na schwał. Porucznik nie z takimi radził sobie w czasach, kiedy jeszcze mieszkał w *banio*. Każdy facet ma jądra, kolana i skronie. I ty, Johnie McDeere, ty cholerny sukinsynie, nie jesteś inny. Wystarczyłby jeden cios, żebyś padł jak jakaś pieprzona mucha. Jedno kopnięcie i czołgałbyś się po ziemi, ściskając się rękami za jaja. Jeden cios, ty dupku. Ale Delgado wiedział, że nie może sobie na to pozwolić.

- Tak jest, panie komandorze - mruknął przez zaciśnięte zęby.

McDeere odwrócił się i poszedł w kierunku dowództwa bazy.

Delgado wciąż jeszcze dysząc ze złości, wrócił do oglądania *F-117*. Spojrzał na opuszczone klapy na skrzydłach i doszedł do wniosku, że musiały być sterowane hydraulicznie.

Podszedł bliżej i z odległości kilkunastu centymetrów oglądał gładką, czarną powierzchnię klapy, a potem przesunął po niej ręką. Do diabła z McDeere'em. I jego zakazami.

Czarna powłoka wydawała się miękka, zupełnie inna niż twarde aluminiowe pokrycie *Tomcata*.

- To RAM, chłopcze. Fajne, co?

Zaskoczony Delgado odwrócił się i zobaczył wysokiego, barczystego pilota Sił Powietrznych w kowbojskich butach. Wąsy pilota uniosły się, kiedy ten szeroko się uśmiechnął.

- Co takiego, sir? - zapytał Delgado, spostrzegłszy srebrne dystynkcje pułkownika na naramiennikach.

- Powiedziałem, że to RAM - *Radar Absorbent Material* - tworzywo, które pochłania fale elektromagnetyczne.

- Z czego to jest zrobione?

- Licho wie. Ja tylko latam na tych maszynach. Ale słyszałem kiedyś, że ta powłoka antyradarowa jest z jakiegoś tworzywa poliuretanowego, które cholernie dobrze pochłania fale elektromagnetyczne.

- Czyli że pod spodem wszystko jest tak, jak w normalnych samolotach?

- Zgadza się. Lata to jak każda inna maszyna, ale w nocy nikt nie jest w stanie cię wykryć. Niezłe, co?

- Tak, sir - powiedział Delgado. - Jestem porucznik „Chico” Delgado.

- Miło mi, Chico. Ja jestem pułkownik Richard Kramer, ale mów do mnie Buhaj.

- Buhaj, sir?

- Zgadza się. I skończ z tym „sir”.

Delgado uśmiechnął się. - Nie ma sprawy, Buhaj. Kramer wyciągnął paczkę tytoniu do zucia. - Chcesz?

- Nie, dziękuję.

- I masz rację, Chico. To straszne paskudztwo. - Wsadził sobie do ust pokaźną porcję. - Latasz tym *Tomcatami*

- Na tylnym fotelu.

Kramer się roześmiał. - No to coś ci powiem, Chico. Myślę, że miałbyś głupią minę, próbując złapać moją maszynkę na ekran swojego radaru. Mógłbym ci podlecieć pod sam tyłek, a ty zauważyłbyś mnie dopiero, kiedy bym cię ugryzł.

Delgado znów się uśmiechnął. - A co z tym dziwnym kształtem? Pewnie czemuś to służy, nie?

- Jasne. Stawiam ci piwo, jeśli znajdziesz choćby jedną dużą płaszczyznę w całym samolocie. Po prostu nie ma żadnej.

- Wierzę. Wiązka radarowa nie ma się od czego odbić.

- Dokładnie. A długie krawędzie natarcia skrzydeł, z których przecież nie da się zrezygnować, są pokryte powłoką antyradarową. Ale to jeszcze nic. Chodź, pokażę ci dysze wylotowe.

Delgado pokręcił głową i uśmiechnął się z niedowierzaniem, idąc za Kramerem do tylnej części samolotu. Skąd ty się tu wzięłeś, bracie? Jesteś w porządku.

Wsluchując się w pomruk przenośnego klimatyzatora, który Draper kazał już zainstalować w swoim namiocie, Robert Bourdeaux wyjrzał przez plastikowe okienko i rozpoznał pułkownika Kramera. Buhaj obchodził właśnie swoją maszynę w towarzystwie jakiegoś pilota Marynarki.

- A więc, Bob... Nie masz nic przeciwko temu, żebym zwracał się do ciebie Bob? - Zanim Bourdeaux zdążył choćby kiwnąć głową, Draper mówił dalej. - Świetnie. Czego się napijesz, Bob? Mrożonej herbaty czy wody?

Draper był po prostu nie do wytrzymania, ale Bourdeaux uznał, że nie ma sensu protestować. Odwrócił się do ordynansa, trzymającego w rękach tacę ze szklankami i sięgnął po wodę. - Dziękuję.

- Proszę bardzo, sir.

Siedzieli we trzech przy stole dla sześciu osób, Bourdeaux naprzeciw Drapera, Halston z boku. Spotkanie nie zaczęło się najlepiej. Siwowłosy generał wiedział już o dwóch nieudanych próbach uratowania zestrzelonego pilota *F-14*. Draper mówił bez ogródek. Najpierw ostro skrytykował porucznika Kevina Daltona za zlekceważenie jednoznacznego rozkazu z lotniskowca, w rezultacie czego - jak to określił - wielomilionowa inwestycja w sprzęt i szkolenie poszła do na marne. Draper dodał, że chętnie chciałby dostać w swoje ręce tego narwanego pilota i nazwał go typowym przykładem na to, jacy nie powinni być piloci Marynarki. Potem nieco oględniej skrytykował Halstona, sugerując, że operacjom ewakuacyjnym nie zapewniono dostatecznej osłony z powietrza. Zrobił to z wdziękiem rasowego polityka. Nie czynił Halstonowi wyrzutów, ale postawił go w takiej sytuacji, że pułkownik musiał otwarcie przyznać, że pokpił sprawę.

- Sir - nie wytrzymał Bourdeaux - z całym szacunkiem dla pańskiej opinii, chciałbym jednak zwrócić uwagę, że operacje ratunkowe na terytorium wroga zawsze niosą ze sobą ogromne ryzyko, zwłaszcza, jeśli przeprowadza je się w dzień. Pułkownik jedynie...

- Och, bardzo mi przykro, panowie. Nie chciałem robić z tego wielkiej sprawy. Co się stało, to się nie odstanie. To oczywiste, że ktoś tu uważa,



iż pułkownik Halston świetnie się spisuje. W przeciwnym razie już by go tu nie było. Mam jednak nadzieję, że dobrze się zastanowicie, zanim bez przygotowania wyślecie następną ekipę ratunkową, zwłaszcza w biały dzień. Myślę, że wspomnę o tym w moim następnym raporcie dla prezydenta Clintona. Może należałoby szybko zmienić reguły operacji ratunkowych na terytorium wroga. Ale może nie będzie to potrzebne. W końcu to nie moja sprawa, ale szlag mnie trafia, kiedy dobrzy żołnierze muszą narażać życie przez niesubordynowanego pilota. - Draper pociągnął łyk mrożonej herbaty, wyraźnie zadowolony ze swego komentarza.

Bourdeaux zacisnął zęby, z trudem tłumiąc przemożną chęć posłania Drapera do wszystkich diabłów. Jakoś udało mu się zachować cierpliwość. Zerknął na Halstona, który siedział ze wzrokiem wbitym w talerz.

Draper gestem nakazał ordynansowi opuszczenie namiotu. Ordynans kiwnął głową, odwrócił się i wyszedł. - No, zobaczymy, co siły zbrojne serwują dzisiaj swoim dzielnym żołnierzom. O! Pieczony kurczak z frytkami! Niech się pan częstuje, pułkowniku.

Halston zerknął na półmisek i sięgnął po udko.

- Opowiedzcie mi, panowie - rozpoczął Draper - jak naszemu *F-117* udało się w nocy wyprowadzić w pole Irakijczyków?

- To proste, sir - odpowiedział Halston. - Samolot zrzucił kilka razy folię antyradarową, przelatując nad irackimi obiektami. Z pewnością byli zupełnie ogłupiali.

- Tak, bardzo interesujące... Trochę frytek, pułkowniku?

- Nie, sir. Dziękuję.

- A ty, Bob? Frytki? Bourdeaux nałożył sobie porcję.

- A więc tę samą metodę zastosujemy dziś w nocy?

- Tak, sir - powiedział Halston. - Szczegóły ustalimy na odprawie.

- Myśliwce Marynarki już przyleciały? - przerwał mu Draper.

Halston spuścił oczy.

- Właśnie wylądowały - powiedział Bourdeaux, trzymając frytkę w palcach prawej ręki. - Chociaż nie podoba mi się zabieranie *Tomcatów* z lotniskowców.

- Tak, tak, wiem - przerwał mu Draper. - To był mój pomysł. Spójrz na to z innej strony. Jest szansa, że Pustynna Gwiazda zdobędzie wielki rozgłos, więc lepiej by było, żeby to była wspólna operacja Sił Powietrznych i Marynarki. Dzięki temu oba rodzaje broni zdobędą należne uznanie.

- Pewnie tak, sir - powiedział Bourdeaux, włożył frytkę do ust i żuł zapamiętale.

- Doskonale. A więc porozumieliśmy się. Chcę, żeby nasza operacja poszła jak z płatka. Na pewno wszystko gotowe?

- Tak, sir. Pozostało nam tylko czekać na zapadnięcie zmroku.

Pół godziny później Bourdeaux i Halston w milczeniu opuścili namiot. Zabiję tego skurwysyna, pomyślał Bourdeaux, zdając sobie sprawę, że Draper działał mu na nerwy bardziej niż ktokolwiek inny. Cóż, powinienem był przewidzieć, jak ten dupek zareaguje na fiasko misji ratunkowej. Bourdeaux westchnął. Utrata śmigłowca była jednym z tych wypadków, których po prostu nie da się uniknąć. Wiedział, że Halston ryzykował, decydując się na misję ewakuacyjną. Gdyby się powiodła, Halston usłyszałby tylko, że zrobił, co do niego należało. Ponieważ jednak stracił śmigłowiec i załogę, usłyszał, że jest idiotą, bo nie przewidział komplikacji. Bourdeaux pomyślał, że nigdy nie zrozumie ludzi, którym się wydaje, że pozjadali wszystkie rozumy. Idioci! Banda aroganckich skurwysynów, nie mających pojęcia, jak trudno jest zaplanować i pomyślnie przeprowadzić operację ewakuacyjną na terytorium wroga. Bourdeaux nie cierpiał takich, którzy gotowi byli natychmiast krytykować nieudane operacje. Gdzie byli podczas przygotowań? jakie mają prawo do narzekania i rozpatriwania, co by było, gdyby...?

Bourdeaux zbliżał się do swojego namiotu. Znowu bolała go głowa. Jedno trzeba Draperowi przyznać, pomyślał. Wie, jak doprowadzać ludzi do pasji. Jest w tym niedościgniony. Uznał, że w tym wypadku będzie musiał Draperowi ustąpić. Wszystko wskazywało, że Srebrny Szczerzok dokładnie to sobie przemyślał. Zerknął na Halstona, który szedł w milczeniu obok niego.

- Niech go szlag trafi, Pete. Nie przejmuj się. Nie pozwól, żeby ten skurwysyn zalał ci za skórę.

Halston się uśmiechnął. - Żartujesz? W porównaniu z paroma generałami, na których miałem pecha się natknąć, ten jest jeszcze dość łagodny. Nie martw się o mnie. Mam skórę grubszą niż nosorożec. Ten dupek kiedyś stąd zniknie, a życie będzie się toczyć dalej. Ale zaczekam, aż go tu nie będzie, zanim podejmę następną próbę wydobycia Daltona. O ile w ogóle będzie można coś zrobić. Obawiam się, że dostał się do niewoli.

Bourdeaux trochę się odprężył, podbudowany postawą przyjaciela. - Niewykluczone. A z Draperem chyba masz rację. Trzeba go po prostu poczekać i nie dać się prowokować. Wiesz co? Jak na tę parszywą sytuację, masz całkiem dobry humor.

Halston wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Powiedzmy, że moje sprawy osobiste zaczynają się układać trochę lepiej.

Mimo wszystkich problemów, Bourdeaux też się uśmiechnął. - Wspólnie. Jakże miło to usłyszeć. Mówiłem ci, że to świetna dziewczyna.

- Pewnie.

Bourdeaux spowaźniał. - A jak sobie poradzisz z tym, że jesteś tu jej dowódcą?

- Za tydzień odejdziesz z CSAR. Muszę tylko znaleźć innego pilota. Przejdziesz do lotów niebojowych, ale oczywiście zostanie tu, w bazie. Wszystko już załatwione.

- Świetnie. Cieszę się, że wreszcie ci się układa. No, idę się zdrzemnąć. Czeka nas długa noc. - Bourdeaux wszedł do swojego namiotu.

### ◆ Dzień czwarty, 13.00 czasu lokalnego - Allahbad, na południe od An Nadżaf, Irak

Pod wpływem prądu o napięciu kilkuset woltów, ciało Chalili wyprężyło się jak struna. Czuła się, jakby wydzierano z niej duszę. Elektrowstrząs trwał zaledwie sekundę. Kiedy się skończył, opadła plecami na powierzchnię drewnianego stołu. Przestała krzyczeć. Ból zaczął ustępować. Prawie przegryzła kawał gumy, który Hasud wcisnął jej między zęby, żeby przypadkiem nie odgryzła sobie języka.

Leżała zdezorientowana przez kilka sekund, dopóki nie zobaczyła owłosionej twarzy Hasuda, przyglądającego się jej uważnie. Ból, jaki sprawiały jej dwa krokodylowe zaciski - jeden na lewym sutku, a drugi na dużym palcu lewej nogi - natychmiast stał się bez znaczenia. Czuła tylko dzięką, niemożliwą do opanowania wściekłość.

- To tylko przedsmak tego, co cię czeka, Chalilo. Prądnica ma siedmio-stopniową skalę. Widziałem już mężczyzn, którzy wytrzymali piąty stopień, ale przy szóstym tracili zmysły. Ty doświadczyłaś na razie tylko pierwszego stopnia i to zaledwie przez sekundę, a w dodatku kable są podłączone do względnie suchych miejsc na twoim ciele. - Wyciągnął jej gumę z ust.

- Powiedz mi, dla kogo pracujesz?

Nie złamiesz mnie. Nie złamiesz mnie. Nie złamiesz mnie. Chalila słyszała w myślach krzyki Sulejmy. Sulejma ani słowa nie powiedziała swoim matkom o Chalili. Błagała o litość, o życie, prosiła, żeby jej nie hańbić, ale nic nie powiedziała o młodszej siostrze. Doświadczyła najgorszych cierpień, jakie mogą spotkać kobiety. Była gwałcona raz po razie przez wykojeńców. Wdzierali się w nią jeden po drugim, bluzgając przekleństwami na Izrael i jego mieszkańców. Nie złamiesz mnie, ty skurwysynie, pomyślała Chalila. Nie, nie, nie.

- Opór nie ma sensu, Chalilo. I tak wszystko mi wyśpiewasz.

Chalila patrzyła na niego w milczeniu.

Hasud wyciągnął nóż. Patrzyła, jak przesuwa powoli ostrze w kierunku jej brzucha. Zadrżała, kiedy zimna stal dotknęła skóry. Hasud uśmiechnął się i zdjął krokodylowy zacisk z jej sutka. Poślinił palec i zwilżył zaczerwienione miejsce. - Teraz będzie znacznie lepiej przewodzić prąd. - Umoćcował zacisk z powrotem. Jej ciało znów się wyprężyło, a z ust wydobył się cichy jęk. Hasud w podobny sposób zwilżył jej palec u nogi. - No więc, Chalilo? Dla kogo pracujesz i co robiłaś tutaj?

Chalila ujrzała Sulejmę. Ujrzała arabskich żołnierzy. Słyszała krzyki siostry, pełne przerażenia i bólu. Nigdy! Nic ci nie powiem!

Hasud wepchnął jej z powrotem gumę do ust. - Zaraz usłyszysz trzask przełącznika.

Patrzyła na jego rękę, kiedy przekręcał czarny przełącznik. Nie poddawaj się. Nie poddawaj się. Nie poddawaj się. Rozległ się trzask. Wydał się jej głośny jak strzał z pistoletu. Potem zapadła się w nicość.

#### ♦ Dzień czwarty, 13.05 czasu lokalnego – baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Pułkownik Peter Halston uśmiechnął się, kiedy Amanda Green weszła do jego namiotu. Od wczoraj po prostu nie mogli bez siebie wytrzymać. Jak para dzieciaków chowających się przed rodzicami, wykradali każdą chwilę, żeby tylko być razem.

Pocałowali się bez słowa.

- Chciał mnie pan widzieć, sir? - szepnęła, pieszcząc mu wargami koniuszek ucha.

Jedną ręką mocno ją obejmował, drugą głaskał dziewczynę po szyi. Czuł jej piersi, kiedy przytulała się do niego i było to wspaniałe uczucie. - Rzeczywiście, pani kapitan. Musimy pójść do punktu łączności. Jest tam coś, co chciałbym pani pokazać.

Amanda odsunęła się trochę i spojrzała mu w oczy. - Co takiego? - Pocałowała go w czubek nosa.

- Niespodzianka.

- Chcesz, żebym spróbowała zgadnąć?

- Nie.

Poszli do punktu łączności i skierowali się do ostatniego stanowiska po prawej stronie, obok ciemnozielonego stołu, przy którym Bourdeaux i Halston oglądali zwykle zdjęcia satelitarne. Sierżant, obsługujący to stanowisko, spojrzął na nich.

- Gotowe? - spytał Halston.

- Czekam od piętnastu minut, sir.
- Przykro mi, byłem zajęty. Obowiązki służbowe.

Amanda zachichotała. Sierżant spojrzął na nich zdziwiony. Halston ani myślał cokolwiek wyjaśniać. Gestem dał znak sierżantowi i dwóm innym operatorom w namiocie, żeby zrobili sobie małą przerwę. Potem sięgnął po słuchawki, założył je na uszy i przysunął mikrofon do ust. Przerzucił przełącznik na tablicy rozdzielczej. - Jest pan tam, sir?

- Pewnie, że jestem. Gdzie moja córka? Powiedziano mi, że podejdzie do telefonu - usłyszał odpowiedź w słuchawkach.

- Stoi tuż obok mnie, sir - powiedział Halston.

Amanda spojrzała na niego zaskoczona.

Halston bez słowa podał jej słuchawki. Wpatrywała się w nie przez kilka sekund, zanim włożyła na głowę. - Mówi kapitan Amanda Green. - Chwilę później po policzku zaczęła jej spływać łza.

# 13.

## Nalot

*Nadeszła nocy czarnoksiężska pora, Gay otwierają się groby, a piekło  
Tchnie jadowitym oparem ku ziemi.\**

*William Shakespeare*

\* Fragment „Hamleta” w przekładzie Macieja Słomczyńskiego [przyp. red.].

### ♦ Dzień czwarty, T8.45 czasu lokalnego - Allahbad, na południe od An Nadżaf, Irak

Ubrany w jeden z irackich mundurów, które Kurdowie zdobyli we wsi, Kevin Dalton czołgał się powoli po nierównym, piaszczystym terenie. W nodze wciąż czuł pulsujący ból, który przypominał mu o ranie, odniesionej zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej. Był wczesny wieczór. Niebo na zachodzie miało jeszcze lekko pomarańczowe zabarwienie, a piasek dopiero zaczynał wypromieniowywać ciepło, ale jak na potrzeby Kevina, dookoła było już dostatecznie ciemno. Abdul namawiał, żeby zaczekać jeszcze trochę, aż wszystko pochłona zupełne ciemności, ale Kevin się nie zgodził. Był przekonany, że liczy się każda sekunda. Każda cholerna sekunda. To znaczy, pod warunkiem, że ona jeszcze żyje. Do diabła, Kevin! Przestań! Ona żyje i ma się dobrze. Po prostu musisz się do niej dostać!

Pod wpływem tych myśli ruszył szybciej, ignorując ból w nodze. Raną będzie się martwił później. Priorytety, Kevin. Priorytety. Zbliżył się do południowego krańca ogrodzenia, spojrzął na drugi kraniec i zobaczył, że Abdul też już dotarł na miejsce.

Zabrał się do roboty. Chociaż nigdy przedtem się tym nie zajmował, teraz był zaskoczony łatwością, z jaką przyszło mu ugniatanie plastycznego materiału wybuchowego C-4, który Abdul ukradł kilka dni temu podczas napadu na iracki magazyn. Ostrożnie docisnął przygotowaną porcję do jednego z drewnianych słupów wspierających, a zarazem izolujących

podłączone do prądu ogrodzenie. Oceniał, że pechowiec, który dotknąłby metalowego ogrodzenia, zostałby porażony prądem o napięciu tysiąca woltów. Oderwał wzrok od grubych kabli podłączonych do szczytu ogrodzenia i kontynuował pracę.

Czuł ból w plecach, kiedy wyteżał siły, dociskając materiał wybuchowy do słupa. Jednak ból ten wydawał się mniej intensywny od tego, który sprawiały mu potłuczone i poobcierane do krwi kolana, zwłaszcza że pracował klęcząc. Ignorował to wszystko i końcami palców ugniatał plastyczny materiał wybuchowy. Wreszcie, zadowolony z rezultatów, wetknął dwa kable w owalną bryłę *C-4*.

Powoli przesunął się w kierunku Abdula i powtórzył cały proces dwa słupy dalej. Znow ruszył, umieszczając ładunek wybuchowy na co drugim słupie, aż w połowie drogi spotkał się z Abdulem.

Abdul odebrał od Kevina kable i dołączył do swoich. Wycofali się za wydmy. Kevin patrzył, jak jego irański przyjaciel podłącza kable do cyfrowego timera. Abdul nastawił urządzenie na piętnastominutową zwłokę, po czym podał Kevinowi worek z *RPG-7* i czterema granatami.

Kevin przewiesił *Katasznikowa* przez plecy, otworzył worek i sprawdził pociski oraz granatnik. Godzinę wcześniej Abdul zaznajomił go z tą bronią. Wielki Kurd uśmiechnął się, wstał i ruszył na stanowisko, które sam sobie wybrał. Kevin zrobił to samo.

Znow zanurzony w morzu ciemności, pułkownik „Buhaj” Kramer trzymał swą maszynę na pułapie trzech tysięcy metrów, lecąc z prędkością pięciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Od celu dzieliło go około pięćdziesięciu kilometrów.

Pięćdziesiąt kilometrów na zachód od *F-117A*, porucznik „Chico” Delgado obserwował komandora McDeere'ego, który prowadził czwórkę *Tomcatów* na wysokości zaledwie piętnastu metrów nad ziemią. Chico nie był entuzjastą tak niskiego latania, ale powodzenie całej operacji zależało od tego, by *Tomcaty* niepostrzeżenie dostały się w rejon odległy o wiele kilometrów od prawdziwego celu i rzuciły tam folię antyradarową, odwracając uwagę wroga.

Delgado patrzył na pusty ekran przed sobą. Wszystkie nadajniki były wyłączone, żeby obrona iracka nie miała szans ich wykryć.

Spojrzał na ziemię. Nie był w stanie rozróżnić żadnych szczegółów, ale wiedział, że piaski pustyni są blisko. Pomyślał przez chwilę o Kevinie. Lekceważąc zakaz McDeere'ego, rozpytał się o przyjaciela w bazie. Jakaś pilotka śmigłowców opowiedziała mu o dwóch nieudanych operacjach ratunkowych i o zamilknięciu sygnału radiowego.

Potem nie było już żadnego kontaktu z Kevinem. Pilotka nie wykluczała, że dostał się do niewoli.

Chico zmarszczył brwi, zastanawiając się, co mogło się stać z jego przyjacielem. Nienawidził McDeere'ego i innych, którzy odwrócili się od Kevina. Nie mieli prawa, pomyślał Delgado. Przecież ich tam nie było. Kto upoważnił ich do wydawania sądów? Żaden z nich tak naprawdę nie wiedział, co musiało się dziać w duszy Kevina, kiedy maszyna Lancastera została zestrzelona. Sam Delgado mógł tylko próbować to sobie wyobrazić. A tamci? Po prostu usłyszeli o tym przez radio, mieli czas, żeby na chłodno przeanalizować sytuację i zaraz zaczęli wygłaszać mądre opinie. Szkopuł w tym, pomyślał Delgado, że kiedy się leci z prędkością dźwięku, mając wroga na ogonie, nie ma czasu, żeby usiąść, napić się piwa i wnikliwie przeanalizować sytuację.

Delgado dobrze wiedział, że tam, w górze, decyzje trzeba było podejmować w ułamku sekund, a były to decyzje najwyższej wagi. Życie i śmierć były o włos od siebie. Wszystko mogło przepaść w mgnieniu oka. Marzenia, przyjaźnie... miłość. Wszystko to mogło spłonąć w ponaddźwiękowym piekle, które stale czyhało na każdego, kto kiedykolwiek zasiadł w kabinie myśliwca.

- Za trzydzieści sekund rzucamy folię antyradarową.

Monotonny głos McDeere'ego wyrwał Delgado z zamyślenia.

Cholerny dupek.

- Jestem gotów - odpowiedział. Czwórka *Tomcatów* zaczęła się ostro wznosić na wysokość tysiąca pięciuset metrów. Na ten lot zamiast rakiet *Phoenix* na przednim węźle podkadłubowym podwieszono zasobnik, zawierający znacznie więcej pakietów folii antyradarowej, niż normalnie zabierały *F-14A*.

Po raz ostatni wyjrzał na zewnątrz. *Vaya con Dios*, Szurnięty.

Kevin Dalton dotarł na swoje stanowisko dziesięć minut przed czasem. W dole rozpościerał się widok na zakłady w Allahbadzie. Położył worek na wydmie, wyciągnął plastikową manierkę i napił się wody. Zakręcił manierkę i sięgnął po jeden z granatników *RPG-7*. Wyjął z worka długi, zielony stożek z paliwem raketowym i wkręcił go w głowicę granatu. Kolejno przygotował pozostałe trzy sztuki.

Usiadł i pozdejmował z głowic osłony. Dowiedział się od Abdula, że robi się to zwykle dopiero po włożeniu granatu do rury wyrzutni, ale obaj doszli do wniosku, że mogłoby im zabraknąć na to czasu, kiedy już rozpoczną ogień.

Zdjąwszy wszystkie cztery osłony, Kevin ostrożnie powijmował zabezpieczające zawlecзки i umieścił osłony na powrót na głowicach. Zerknął na



zegarek. Jeszcze pięć minut. Sięgnął po jeden z granatów i wsunął go do wyrzutni.

Wstał, podniósł wyrzutnię, która wraz ze zmontowanym granatem ważyła niecałe siedem kilogramów i umieścił ją na prawym ramieniu. Wszystko wydawało się w porządku. Naprowadził celownik na frontową ścianę magazynu, odległą o jakieś trzysta metrów. Taki dystans od nieruchomego celu bez trudu mieścił się w zasięgu *RPG-7*.

Opuścił broń i znów spojrzał na zegarek. Jeszcze parę minut. Wyjął i skontrolował magazynek *Kałasznikowa*. Pełny. Wcisnął go z powrotem na miejsce i położył karabin obok *RPG-7*.

Uniósł noktowizor i po raz ostatni przyjrzał się frontowi zakładów. Najpierw skierował wzrok na bramę. Żadnych zmian, pomyślał, kiedy zobaczył stojących tam czterech żołnierzy. Teraz magazyn. Zauważył, że wielkie wrota były tylko częściowo otwarte. A to co?

Znów usłyszał ten przytłumiony dźwięk odrzutowego silnika. Tym razem był zdecydowany wypatrzeć samolot.

Położył się na plecach i skierował noktowizor w niebo. Nic. Wciąż słyszał silnik. Do diabła! Co to jest?

Pułkownik „Buhaj” Kramer odsunął nieco drążek, wprowadzając *F-117A* w płytkie nurkowanie.

Spojrzał na zegarek i otworzył drzwi komór bombowych. Skrzywił się na myśl, że z chwilą, kiedy wielkie drzwi w dolnej, płaskiej części kadłuba zostały otwarte, jego maszyna nie jest już tak zupełnie niewidoczna dla wroga. Jeśli ktoś przypadkiem monitorował właśnie ten sektor przestrzeni powietrznej, istniało poważne ryzyko wykrycia.

- Na Allacha, generale! - krzyknął Fasan.

Manesz po raz kolejny zerwał się z pryczy i podbiegł do ekranu radarowego.

- Odległość i prędkość?

- Niecałe dziesięć kilometrów od Allahbadu, prędkość siedemset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i rośnie!

- Co się dzieje? Sprzęt nam nawala?

- Nie, generale. Wszystko dokładnie sprawdziliśmy po wczorajszych...

- Łącz się przez radio z Allahbadem! Szybko, nie ma ani chwili do stracenia! - Odwrócił się i wybiegł.

Zlany potem, major Hasud odczepił krokodylowy zacisk od sutka Chali i wyłączył generator. Po kolejnym półtoragodzinnym przesłuchaniu i ponad dziesięciu elektrowstrząsach, kobieta, o której wiedział tylko tyle,

że ma na imię Chalila, zemdląca wreszcie z bólu.

- Musimy trochę poczekać, zanim znów zaczniemy. Kiedy się obudzi, odepnijcie ją i dajcie jej coś do jedzenia.

- A ubranie? - zapytał jeden z dwóch wartowników.

- Nie, niech zostanie naga. Chcę, żeby czuła się poniżona.

- Jeśli tak, panie majorze, to może moglibyśmy...

- Niech no tylko któryś tknie ją palcem, a skończy w beczce, jak ten Kurd Barzani! Zrozumiano?

Obaj żołnierze pośpiesznie kiwnęli głowami. - Tak jest!

- Ta kobieta to kopalnia informacji. Czuję to. Ma pozostać przy życiu i w dobrej formie tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Trzeba będzie trochę popracować, żeby ją złamać...

- Panie majorze! - do pokoju wpadł zdyszany wartownik.

- Co się stało?

- Atakują nas!

- Co ty wygadujesz?

- Właśnie dostaliśmy wiadomość z bazy lotniczej. Samoloty są w drodze!

- Znowu? No, dobrze. Ogłosić alarm!

- Tak jest!

- A wy dwaj pamiętajcie, co wam powiedziałem o tej dziewczynie. Macie tylko nie spuszczać jej z oczu i nic więcej!

- Tak jest!

Hasud ruszył do drzwi, przebiegł przez wąski, krótki korytarz i znalazł się na zewnątrz.

To jeden z tych skurwysynów! - pomyślał Kevin, patrząc przez noktowizor na jednego z żołnierzy, którzy poprzedniej nocy zatrzymali Chalilę. Tak, to na pewno ten.

Znów usłyszał silnik samolotu. Uniósł noktowizor. Tym razem go zobaczył: ciemną sylwetkę na tle rozgwieżdżonego nieba. Maszyna zbliżała się na wysokości mniej więcej tysiąca dwustu metrów. A niech mnie... przecież to *F-1 I7*! Jeden z naszych!

Na terenie zakładów zawyły syreny i rozbłysły światła. Kevin znów parzył, jak otwierają się drzwi w bocznych ścianach magazynu, a dziesiątki żołnierzy biegną na stanowiska obrony przeciwlotniczej.

Zerknął na zegarek. Jeszcze trzydzieści sekund.

Po raz pierwszy Kramer przeleciał nad celem na wysokości tysiąca dwustu metrów. Automatyczny wskaźnik laserowy umieszczony po prawej stronie pod kadłubem oświetlał już wielki magazyn. Kramer zwolnił

pierwszą inteligentną bombę *Paveway II*. Układ elektroniczny reagujący na promień lasera ustawił odpowiednio płaszczyzny sterujące, kierując bombę o masie ponad 900 kilogramów oznaczone laserem.

- Jasny gwint! - wrzasnął Kevin, kiedy magazyn eksplodował, a niebo rozświetliła na chwilę pomarańczowa kula ognia.

Timer odpalił ładunki *C-4*. Ogródzenie zawałowało się. Kable pod napięciem sypnęły iskrami w momencie zetknięcia się z ziemią. Światła zamigotały i zgasły. Kilka sekund później zapaliły się żółte światła awaryjne. Kevin widział samobieżne zestawy przeciwlotnicze *Szytka* jadące z zakładów prosto na niego.

Zarzucił wyrzutnię *RPG-7* na ramię, wziął na cel pierwszą *Szytkę* i strzelił.

Ważący nieco ponad dwa kilogramy granat opuścił wyrzutnię z jaskrawym błyskiem i przyśpieszył do czterystu czterdziestu kilometrów na godzinę, lecąc w kierunku *Szytki*. Kevin wstrzymał oddech. Smuga dymu zbczyła w lewo, omijając *Szytkę*.

- Niech to cholera!

Ładował drugi granat i strzelił. Tym razem pocisk nie zbczył, ale pojazd gwałtownie skręcił w lewo i zdołał o włos uniknąć trafienia. *Szytka* jechała teraz równolegle do ogrodzenia, oddalając się od Kevina.

Przeklinając swój pech, Kevin przewiesił przez plecy *Katasznikowa*, złapał wyrzutnię i pozostałe granaty. Ruszył biegiem w kierunku zakładów, gdzie panował w tej chwili zupełny chaos.

Rozejrzał się, kiedy rozległ się kolejny potężny wybuch i obiekt za magazynem został zrównany z ziemią.

Kevin zatrzymał się, włożył granat do gorącej od poprzednich strzałów wyrzutni i strzelił.

Pocisk pognał za *Szytkę* i trafił ją od tyłu, powodując głośną eksplozję. Pojazd jechał jeszcze przez chwilę, po czym zatrzymał się na ogrodzeniu.

Kevin zostawił ostatni granat, chwycił w ręce *Katasznikowa* i popędził w kierunku rozwalonej bramy. Kiedy się tam znalazł, zobaczył Abdula biegnącego w jego stronę. Kevin dał mu znak, żeby się zatrzymał. Abdul był taić wielki, że nie dało się go wcisnąć w żaden ze zdobytych mundurów irackich. Kurd nadal biegł jednak w jego kierunku.

Gdzieś w tylnej części zakładów strzeliła w niebo ognista kula. Większość budynków stała w płomieniach.

Kevin przebiegł obok zniszczonego pojazdu, zmierzając do niewielkiego budynku przy magazynie. Modlił się w duchu, żeby nie został rozpoznany

jako obcy. Miał nadzieję, że pomoże w tym trochę czterodniowy zarost. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że w tej chwili to już bez znaczenia. Powietrzem wstrząsały kolejne eksplozje. Obejrzał się za siebie i zobaczył Abdula przy ogrodzeniu. Znów odpędził go gestem od siebie i wskazał ręką na wzgórze po lewej stronie. Nie czekając na odpowiedź, dopadł drzwi frontowych i otworzył je. Rozejrzał się na wszystkie strony, zanim wszedł do środka, a potem zamknął drzwi za sobą.

Dość wąski, bardzo słabo oświetlony korytarz prowadził przez całą długość budynku. Kevin naliczył sześćdziesiąt drzwi, troje po każdej stronie. Podszedł do najbliższych i przyłożył do nich ucho, ale chaos na zewnątrz uniemożliwiał usłyszenie czegokolwiek. Poruszył klamką; zamknięte. Spróbował z drzwiami naprzeciwko; też zamknięte. Niech to cholera!

Podszedł do trzecich drzwi. Te dały się otworzyć. Uchylił je odrobinę, zatrzymał się i głęboko odetchnął, nie bardzo wiedząc, jak to dalej rozegrać. Gdyby ktokolwiek się do niego odezwał, musiałby strzelać. Z drugiej strony, mógł po prostu wpaść do środka i od razu otworzyć ogień. Zdecydował się.

Powoli otworzył drzwi i kulejąc wszedł do środka. Głowę miał spuszczone, lewą ręką trzymał się za brzuch, w prawej ścisnął *Kałasznikowa*.

Zobaczył dwóch żołnierzy za stołem, na którym leżała Chalila!

Irakijczycy spojrzeli na niego i zaczęli coś mówić. Kevin jęknął i jeszcze mocniej złapał się za brzuch. Żołnierze obeszlą stół i ruszyli ku niemu.

Teraz!

Jednym płynnym ruchem Kevin uniósł broń i pociągnął serią, opróżniając jedną trzecią magazynka. Impet pocisków rzucił obu Irakijczyków na ścianę.

Wciąż ścisnąc *Kałasznikowa*, podbiegł do stołu. Bydlęta! - pomyślał, patrząc na nagie ciało dziewczyny.

Wstrzymał oddech, ująwszy ją za nadgarstek, żeby sprawdzić puls. Żyje!

Powściągając przemożne pragnienie przytulenia jej do siebie, Kevin odłożył na podłogę *Kałasznikowa*, odpiął pasy, którymi dziewczyna była przymocowana do stołu, wziął ją na ręce i delikatnie położył obok broni. Budynkiem wstrząsnął kolejny wybuch.

Pośpiesznie ściągnął mundur z zabitego żołnierza, wybierając tego, który był mniej więcej jej wzrostu. Mundur był poplamiony krwią, ale to nie miało znaczenia. To może nawet lepiej, pomyślał.

Wsunął jej stopy w spodnie, podciągnął i zapiął pas. Ubrał ją w koszulę, zapiął guziki, założył buty i sięgnął po zieloną czapkę, która spadła

żołnierzowi z głowy. Nałożył ją na głowę dziewczyny, chowając pod nią długie czarne włosy. Podniósł *Katasznikowa*, przewiesił go sobie przez plecy, postawił Chalilę na nogi i mocno objął lewą ręką. W prawej, schowanej za plecami, trzymał *Smith & Wessona*.

Zaczął właśnie iść, kiedy w drzwiach pojawił się oficer z pistoletem w ręku. Kevin rozpoznał go; był to ten sam, który nieco wcześniej wybiegł z budynku.

Brodaty oficer, któremu włosy opadały prawie na oczy, wycelował w Kevina.

- Do zobaczenia w piekle, ty skurwysynu! - Kevin wyciągnął zza pleców rękę ze *Smith & Wessonem*. Zanim zdążył strzelić, dwa mocarne ramiona z niewiarygodną siłą uderzyły oficera w bok, tak że przeleciał na środek pokoju.

Abdul!

Oficer nie wypuścił z ręki pistoletu i teraz skierował go na Abdula, który właśnie ruszał do ataku. Szybko po sobie padły dwa strzały. Abdul dopadł oficera, wytrącił mu broń i otoczył go ramionami w niedźwiedzim uścisku.

Oficer jęknął. Jego ciało wyprężyło się w agonii, gdy Abdul wzmocnił uścisk. Trzasnęły łamane kości i ciało Irakijczyka zwisło bezwładnie. Abdul puścił go i powoli podszedł do Kevina, który stał, podtrzymując Chalilę.

Kiedy się zbliżył, Kevin spostrzegł dwie rany postrzałowe, obie w brzuch. Wielki Kurd opadł na kolana, rozłożył ręce i zaczął coś niewyraźnie mówić. Kevin przypuszczał, że była to modlitwa.

Abdul spojrzął na niego. - Panie Dalton... - Osunął się na podłogę.

Kevin delikatnie posadził Chalilę na podłodze, opierając ją plecami o ścianę, po czym sięgnął do nadgarstka Abdula, szukając pulsu. Kurd nie żył. Kevin przymknął oczy, przepełniony żalem, ale zaraz je otworzył, kiedy kolejny wybuch wstrząsnął budynkiem. Tym razem eksplozja była bliżej niż przedtem.

- Żegnaj, przyjacielu. - Podniósł Chalilę i wybiegł na zewnątrz.

Generał Abunnasr Manesz wyrównał na trzech tysiącach metrów i przyspieszył do tysiąca trzystu kilometrów na godzinę, kiedy nagle wszystkie cztery cele zniknęły mu z ekranu.

- Fasan! Co się dzieje? Cele znów znikają!

- Nie wiem,... Na miłość boską, generale, proszę jeszcze raz sprawdzić ekran!

- Co ty wygadujesz? Z jakiego kierunku nadleciały?

- Nie wiem, panie generale. Na moim ekranie cele też się pojawiają i znikają jak duchy!

- Odległość od nowych celów?

- Czterdzieści kilometrów, kierunek jeden-jeden-sześć, dziewięćset kilometrów na godzinę.

Manesz przechylił drążek sterowy w lewo i dał pełny ciąg. Na ekranie radaru dostrzegł kilka nowych celów. Mam ich!

Pięćdziesiąt kilometrów na wschód od zakładów w Allahbadzie *Tomcaty* skończyły rzucać folię i zawróciły w kierunku Arabii Saudyjskiej.

Jeden z celów zniknął z ekranu Manesza. Generał wymamrotał parę przekleństw, kierując maszynę na pozostałe cele. Jednak minutę później one także zniknęły. Najpierw zupełnie wytraciły prędkość, a potem jakby powoli gasły. Ekran był znowu pusty.

# 14.

## Ścieżki chwały

*Do grobu wiodą ścieżki chwały.*

*Thomas Gray*

### ♦ Dzień czwarty, 21.00 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Wszyscy dookoła byli w triumfalnym nastroju. Robert Bourdeaux stał za ekipą telewizyjną, obserwując przedstawienie, jakie dawał właśnie Kenneth Draper. Generał kazał ustawić samoloty w półkole, tak by mieć je wszystkie przed sobą, gdy przemawiał z podwyższenia, ubrany w świeżo wyprasowany mundur polowy i furażerkę. Posunął się nawet do tego, by ¥-117A ustawić pośrodku, dodając po dwa *Tomcaty* z prawej i lewej, co miało symbolizować wspólny wysiłek Sił Powietrznych i Marynarki Stanów Zjednoczonych.

- Niech mnie diabli, Bob - mruknął Halston. - W Hollywood nie zrobiliby lepszej scenografii.

- Jasna cholera! Ten facet powinien kandydować na prezydenta. Człowieku, sam bym pewnie na skurwysyna głosował.

Odwrócili głowy w kierunku reportera, który przeprowadzał wywiad z Draperem.

- O której godzinie rozpoczęło się bombardowanie, panie generale? - zapytał reporter.

Draper spojrział w kamerę. Z kamiennym wyrazem twarzy relacjonował przebieg operacji. Mówił powoli, ważąc słowa. Wyraził uznanie pilotom, którzy brali w niej udział i nazwał Pustynną Gwiazdę najlepszą operacją lotnictwa, jaką widział od lat. Spytany o nieoficjalne relacje pilotów, którym wydawało się, że niektóre budynki zakładów w Allahbadzie zostały zniszczone w wyniku ataku z ziemi, Draper gładko temu zaprzeczył, podkreślając że Pustynna Gwiazda była wyłącznie nalotem bombowym.

- A co z tymi irackimi raketami, sir? Uzyskaliśmy jakieś potwierdzenie, że zostały zniszczone? - zapytał reporter.

- Widział pan kiedyś zniszczenia, jakie może spowodować jedna dziewięćsetkilogramowa bomba *Paveway II*? Tamten obiekt wciąż płonie i będzie płonął przez następne parę dni. Trzeba też pamiętać, że znajduje się na pustyni. Do najbliższej rzeki jest wiele kilometrów. Kiedy opadnie kurz, zobaczymy tam tylko ruiny i zgłiszcza.

Halston odwrócił się do Bourdeaux. - Nie sądzę, żeby Draper miał rację.

- Pewnie, że nie - odpowiedział Bourdeaux. Wiedział, że Allahbad był podłączony bezpośrednio do głównej sieci wodociągowej, tak samo jak inne obiekty przemysłowe w Iraku. Ciśnienie wody mieli tam pewnie większe niż w hydrancie przeciwpożarowym. Bourdeaux przypuszczał, że pożary zostaną ugaszone jeszcze przed świtem. *KH-11* będzie tam wkrótce. Bourdeaux spojrzął na zegarek. - Dowiemy się dokładnie za sześć godzin, kiedy nasz satelita znajdzie się nad tym rejonem w świetle dziennym.

- Zgadza się - potwierdził Halston. - Jeśli nie pomyliliśmy się co do tego wielkiego magazynu, to prawdopodobnie da się ustalić, czy mieli tam jakieś rakiety.

- Cóż - odparł Bourdeaux. - Pułkownik Kramer mówi, że jedną z bomb udało mu się wpakować w sam środek dachu magazynu. Na jutrzejszych fotografiach satelitarnych powinno być widać wielką dziurę w dachu. Ciekawe, jak zareagowałby Draper, gdyby te fotografie udowodniły, że rezultatem jego Pustynnej Gwiazdy było obrócenie w perzynę prawdziwej wytwórni mleka w proszku?

- Bardzo przepraszam, panowie.

Bourdeaux i Halston odwrócili się i zobaczyli szczipię, krótko ostrzyżonego lotnika Marynarki o latynoskich rysach.

- O co chodzi, poruczniku? - zapytał Halston.

- Czy mógłbym porozmawiać z panem na osobności, pułkowniku? Obiecuję, że nie zabiorę panu więcej niż kilka minut.

Halston spojrzął na Bourdeaux. - Zaraz wracam, Bob.

- W porządku.

Halston odszedł kilka metrów na bok.

- Sir, nazywam się „Chico” Delgado. Stacjonuję na „Rangerze”. Jestem dobrym przyjacielem porucznika Kevina Daltona. Lataliśmy razem do dnia, kiedy został zestrzelony.

- Hmm... brał pan udział w Pustynnej Gwieździe?

- Tak, sir.



- Cóż, jestem pewien, że generał Draper uściśnił już panu dłoń, ale i ja chciałbym pogratulować, poruczniku. To była świetna robota.

- Dziękuję, sir. - Delgado spuścił oczy.

Halston się uśmiechnął. - Widać wyraźnie, że coś pana gryzie, poruczniku. Co to takiego?

- Chodzi o porucznika Daltona, sir.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Czy mogę mówić otwarcie, sir?

Halston zmrużył oczy. - Myślę, że tak.

- Sir - rozpoczął Delgado, rozglądając się na boki. - Na „Rangerze” nikt nie chce powiedzieć, co właściwie stało się z Szurniętym... to znaczy z porucznikiem Daltonem, sir. Kiedy mówię „nikt”, to mam na myśli ludzi w rodzaju komandora McDeere'ego, mojego dowódcy. Inni oficerowie zachowują się podobnie. Odnosi się wrażenie, że mają nadzieję, iż całą sprawą pójdzie w niepamięć, jeśli nie będzie się o niej mówić. Zupełnie jakby się czegoś wstydziło. A tymczasem większość pilotów jest już solidnie wkurwiona tym milczeniem.

- To fascynujące, poruczniku, ale co ja mam z tym wspólnego?

- W bazie mówią, że już dwa razy próbował go pan stamtąd wyciągnąć. Mógłby mi pan powiedzieć coś więcej?

- Nie mówię, że dysponuję informacjami, na których panu zależy, ale gdybym nimi dysponował i przekazał je panu, to co pan by z nimi zrobił?

- Podzieliłbym się nimi z innymi zaniepokojonymi pilotami. Powiedziałbym im, że sytuacja jest pod kontrolą; że jeśli ktoś może go znaleźć, to właśnie pan, sir.

Halston pokiwał głową. - Cóż, myślę, że panu i innym pilotom należą się wszystkie informacje, jakimi dysponujemy na temat porucznika Daltona. Przejdźmy się trochę.

#### ◆ Dzień czwarty, 21.30 czasu lokalnego - Bagdad

Saddam Husajn był w swoim bunkrze. Studiując w milczeniu mapę Iraku, wskazał palcem wieś leżącą kilka kilometrów na wschód od Allahbadu. Trzej generałowie pokiwali głowami ze zrozumieniem.

- Zróbcie to natychmiast i zabierzcie trupy do Allahbadu. - powiedział Husajn.

Jeden z generałów, szczupły, brodaty pięćdziesięciolatek z siwiejącymi włosami, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

- Tak, generale Modżgani? - zachęcił go Saddam.

Generał wahał się przez chwilę. - O Wielki, czy moglibyśmy... oszczędzić dzieci? - zapytał wreszcie.

Saddam spuścił wzrok i westchnął. Był otoczony sentymentalnymi głupcami, mięczakami, których nie było stać na zrobienie tego, czego wymagało dobro Iraku. Wróg zaatakował właśnie Allahbad, a generał Modżgani litował się nad jakimiś durnymi dzieciakami? Niewiarygodne!

- Generale Modżgani.

- Tak, o Wielki?

Saddam wyciągnął z kabury *Makarowa*, wymierzył w twarz osłupiałego generała i strzelił dwukrotnie. Pozostali dwaj generałowie odskoczyli na bok, a pozbawione twarzy ciało Modżganiego poleciało na wyłożoną boazerią ścianę.

Do pokoju wpadło sześciu żołnierzy osobistej ochrony Husajna z *Kalasznikowami* wymierzonymi w obu przerażonych generałów, stojących nad trupem Modżganiego. Przywódca Iraku dał swym ochroniarzom znak, by zabrali ciało i wyszli.

Saddam bez słowa schował pistolet do kabury i ponownie wskazał palcem wieś na mapie. Obaj generałowie natychmiast pokiwali potakująco głowami. Potem Saddam wskazał im drzwi. Zerwali się i wyszli.

#### ◆ **Dzień czwarty, 16.00 czasu lokalnego - Biały Dom**

Prezydent Bill Clinton rozparł się w swym skórzanym fotelu i odetchnął z ulgą. Saddam nie użył dotąd broni atomowej w odwecie za nalot na Allahbad. Prezydentowi zaczęła wracać pewność siebie. Jeszcze raz przeczytał raport Drapera i uśmiechnął się. Wszystko wskazywało, że operacja została przeprowadzona perfekcyjnie. CIA najwyraźniej nie pomyliła się w kwestii Allahbadu.

Jednak naprzeciw Clintona siedział z poważną miną dyrektor CIA Craig Kettler, który nie chciał ogłosić sukcesu tej operacji, dopóki nie otrzyma zdjęć z *KH-11*, potwierdzających zniszczenia w Allahbadzie.

Clinton potrafił to zrozumieć, ale też podzielał opinię Drapera na temat skutków trafienia potężnych bomb dokładnie w cel. Kettler przesadza, uznał prezydent. Operacja zakończyła się sukcesem. Czy cokolwiek mogłoby przetrwać takie bombardowanie?

#### ◆ **Dzień piąty, 0.35 czasu lokalnego - Allahbad, na południe od An Nadżaf, Irak**

Generał Manesz Abunnasr dotarł na teren zakładów krótko po północy. Większość pożarów była już opanowana. Wbiegł do tymczasowego stanowiska dowodzenia, które ulokowano w namiocie przed tym, co zostało z

magazynu. W środku młody żołnierz, siedzący przy radiostacji, zerwał się i stanął na baczność.

- Kto tu dowodzi? - zawołał Manesz, dysząc z wściekłości.

- Ja - odezwał się młody kapitan, wstając z krzesła w końcu namiotu. - Przejąłem dowództwo tymczasowo, dopóki nie nadejdzie pomoc.

- Pomoc nadeszła, kapitanie. Jestem generał Manesz. Dowodzę obroną tego sektora kraju. Ze skutkiem natychmiastowym zwalniam pana z funkcji dowódcy. Od tej chwili będzie mi pan meldował o wszystkim. Zrozumiano?

- Tak jest!

- A teraz niech mi pan powie, co tu się, u diabła, stało.

Dziesięć minut później wściekły Manesz wyszedł z namiotu. Jego przyjaciel major Mohammed Hasud zginął, ale nikt nie potrafił powiedzieć, jak to się stało. Wiadomo było tylko, że Hasud przesłuchiwał dwójkę więźniów. Po nalocie znaleziono go ze złamanym kręgosłupem obok trupa jakiegoś olbrzyma, którego nikt nie potrafił zidentyfikować. W pokoju były też zwłoki dwóch żołnierzy. Obaj zginęli od pocisków z *Kalasznikowa*. To wszystko musiało mieć jakieś logiczne wyjaśnienie. Był jakiś związek między śmiercią Hasuda a bombardowaniem? A może to tylko przypadek? Prawdopodobnie więźniom udało się podczas nalotu obezwładnić Hasuda i obu żołnierzy, kiedy ci mieli odwróconą uwagę. Ale kim był ten olbrzym? Nikt nie widział go wchodzącego na teren zakładów. Czy to on złamał Hasudowi kręgosłup? A co z dziurami po pociskach w jednej ze ścian pokoju? Z broni, która tam pozostała, nikt ostatnio nie strzelał.

Manesz przetarł oczy. Tyle pytań, na które nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi. No, ale przynajmniej podziemny obiekt był bezpieczny; tak przynajmniej twierdził ten młody kapitan. Doktor Sakkar, dyrektor naukowy obiektu, nie zgłosił żadnych poważniejszych problemów. Operacja przebiegała zgodnie z planem. Podczas bombardowania przerwane zostało zaopatrzenie w prąd, ale uszkodzenia naprawiono już po godzinie. Wśród personelu naukowego nie było żadnych ofiar.

Manesz przyglądał się kilku żołnierzom, wyładowującym z ciężarówki zwłoki kobiet i dzieci. Na rozkaz Bagdadu wojska irackie pół godziny temu zmasakrowały mieszkańców pobliskiej wsi. Trupy cywilów były potrzebne do rozpoczęcia wojny propagandowej przeciw siłom sojusznicznym. Manesz pokręcił głową. Czasem rząd postępował zupełnie irracjonalnie. Ciała wieśniaków - była ich prawie setka - ułożono po lewej stronie magazynu, pod ręciovymi latarniami. Podczas bombardowania zginęło około pięćdziesięciu mężczyzn, głównie żołnierzy. Teraz, na potrzeby kamer, zwłoki

przebierano z mundurów w ubrania cywilne. Ekipa telewizyjna z Bagdadu była już w drodze. Oblęd!

Manesz poszedł w kierunku magazynu. Kapitan powiedział mu, że podczas bombardowania nikt nie widział atakujących samolotów. Minął magazyn i zbliżył się do powalonego ogrodzenia. Kolejne pytania, pomyślał. Ogrodzenia nie zniszczyły bomby. Nie było wątpliwości, że użyto materiału wybuchowego. W odległości trzydziestu metrów od ogrodzenia znaleziono cyfrowy timer. Czyżby atak na Allahbad był skoordynowaną operacją z ziemi i z powietrza? Uznał, że to możliwe, zwłaszcza w świetle tego, co kapitan powiedział mu o zniszczeniu kurdyjskiego konwoju pojazdów terenowych. Być może nie wszyscy Kurdowie zginęli podczas ataku na konwój, albo też nie wszyscy w nim jechali. Część mogła pozostać w pobliżu zakładów. Czy miało to jakiś związek ze śmiercią Hasuda? Czy Hasud przesłuchiwał Kurdów? Nie da się tego wykluczyć, ale czas bombardowania zdawał się wskazywać na coś innego. Gdyby nalot rozpoczął się, zanim jeńcy zostali uwolnieni, mógłbym to jeszcze zrozumieć. Ale rzucać bomby w trakcie uwalniania jeńców? Po co ryzykować pozabijaniem swoich ludzi? Żeby uzyskać jakieś odpowiedzi, Manesz rozesłał swoich żołnierzy na wszystkie strony. Mieli szukać śladów i ewentualnie zatrzymać każdego, kto budziłby najmniejsze podejrzenia. Sprawcy tego wszystkiego nie mogli uciec daleko, pomyślał, patrząc na robotników naprawiających ogrodzenie. Dobrze, że ten młody kapitan prawidłowo określił kolejność prac naprawczych. Ogrodzenie trzeba było niezwłocznie podłączyć do prądu. Bez tego nie było mowy o zapewnieniu zakładom właściwej ochrony.

Zawrócił do punktu dowodzenia. Chciał poinformować Saddama Husajna o sytuacji.

#### ◆ Dzień czwarty, 5.00 czasu lokalnego - Bagdad

Saddam Husajn wysłuchał raportu generała Manesza i powoli odłożył słuchawkę. A więc Allahbad został zaatakowany, ale podziemny obiekt w ogóle nie ucierpiał. Za kilka godzin powinna tam zostać umieszczona na wyrzutni kolejna rakietka.

Atak był mu wprawdzie nie na rękę, ale teraz Saddam bardziej niż kiedykolwiek wierzył, że jego plan zakończy się sukcesem. Było zupełnie nieprawdopodobne, żeby Amerykanie zaatakowali Allahbad po raz drugi. Kiedy media amerykańskie otrzymają film z zabitymi cywilami, których zwłoki rozrzucono na terenie zakładów, opinia publiczna powstrzyma Clintona od następnego ataku.

Na twarzy Saddama pojawił się uśmiech zadowolenia. Clinton doprawdy ułatwiał mu życie. Niszcząc obiekty na powierzchni ziemi, prezydent

USA w praktyce uczynił Allahbad absolutnie bezpiecznym miejscem do pracy nad iracką bronią atomową.

### ♦ **Dzień piąty, 1.00 czasu lokalnego - południowy Irak**

Mimo potwornego bólu w zranionej nodze, porucznik Kevin Dalton szedł prawie całą noc, niosąc Chalilę na rękach. Co kwadrans robił przerwę, delikatnie kładł dziewczynę na zimnym piasku, siadał obok, masował nogę i na chwilę przyrywał oczy. Potem wstawał, brał ją z powrotem na ręce i szedł dalej na południe, kierując się gwiazdami. Całe ciało miał obolałe. Zadrapań i siniaków jakby przybywało. Z drugiej strony, rany już nie wydawały mu się takim problemem, jak przed dwoma dniami. Żadna z nich nie zagrażała życiu. Wyzdrowieje.

Noc była zimna, cicha, niemal spokojna. Słyszał jeszcze sporadyczne eksplozje, ale coraz słabiej, w miarę jak oddalał się od zakładów w tempie, na które pozwalał mu jeszcze wyczerpany organizm.

Trzymał Chalilę tak, by mieć twarz dziewczyny blisko swojej twarzy. Czuł jej oddech na policzku i było to bodźcem do dalszego marszu. Jeszcze nie mógł sobie pozwolić na dłuższy odpoczynek. Musiał iść dalej. Musiał zostawić to miejsce daleko za sobą. I szedł. Krok po kroku, nie zważając na straszliwy ból w zranionej nodze. W ramionach trzymał kobietę, którą kochał. Co jakiś czas z jej ust wydobywał się cichy jęk. Jej ciałem wstrząsał dreszcz, obejmowała go kurczowo, jak przerażone dziecko, ale przytulał ją wtedy mocniej do siebie, szeptał do ucha i koszmar powoli mijał.

- Jesteś bezpieczna, Chalilo. Jesteś ze mną. Wszystko będzie dobrze - powtarzał.

Do świtu pozostały jeszcze dwie godziny. Kevin, zlany potem mimo zimnej pustynnej nocy, był bliski całkowitego wyczerpania. Rozejrzał się dookoła i ruszył powoli w kierunku kilku większych skał po lewej stronie. Wybrał miejsce osłonięte ze wszystkich stron, nawet od góry, położył Chalilę i usiadł obok niej pod występem skalnym.

Potrząsnął manierką; była w połowie pełna. Zdjął zakrętkę i napił się trochę. Trzymał przez chwilę wodę w ustach, zanim ją połknął. Potem pochylił się nad Chalilą, podłożył jej rękę pod głowę, uniósł łagodnie i przystawił manierkę do ust. Wylał jej kilka kropli na wargi i uśmiechnął się. Rozchyliła usta. Dał jej jeszcze kilka kropli. Przejechała czubkiem języka między wargami.

Kevin wylał sobie trochę wody na dłoń i delikatnie zwilżył jej czoło i policzki. Kręciła głową na prawo i lewo, oddychając głęboko. Znów podsunął jej manierkę do ust. Tym razem wypić mały łyk, a potem drugi.

Kevin zakręcił manierkę i przypiął ją sobie z powrotem do pasa. Ostrożnie przekręcił dziewczynę na bok i objął ramieniem. Kiedy zasypiał, jej głowa spoczywała mu na ramieniu.

### ♦ Dzień piąty, 5.45 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy • z Irakiem

Porucznik „Chico” Delgado oparł się o nos swego *Tomcata* i patrzył na pomarańczową kulę słońca, wyłaniającą się znad ciemnego horyzontu. Spojrzał na zegarek; dochodziła szósta rano.

- Cześć, Chico. Co tu robisz tak rano? Nie możesz spać?

Delgado odwrócił się do uśmiechniętego pułkownika Richarda Kramera.

- Cześć, Buhaj. Obudziłem się godzinę temu i już nie mogłem zasnąć.

- Nadmiar wrażeń?

- Nie o to chodzi. Operacja poszła zupełnie gładko.

- Więc co cię gryzie?

- To długa historia. Nie chcę ci...

- Daj spokój. A co ja tu mam teraz do roboty? - Kramer usiadł koło Delgado. - Powiedz, co cię dręczy?

Delgado przejechał dłonią po włosach i potrząsnął głową. - Chodzi o mojego kumpla, mojego pilota, porucznika Kevina Daltona.

- A, to ten biedak, zestrzelony parę dni temu?

- Tak. Słyszałeś o tym?

- Tylko tyle, że ruszył za *MiG-iem*, chociaż nie powinien i teraz siedzi po uszy w gównie.

Delgado ponuro skinął głową. - Tak to mniej więcej wygląda. Rzeczywiście siedzi po uszy w gównie.

- Gdzie on teraz jest?

- Nikt nie wie. Po raz ostatni widziano go w pobliżu rzeki, kilkaset kilometrów stąd. Niedaleko rejonu, nad którym rzucałem w nocy folię antyradarową.

- Chcesz powiedzieć, że on wciąż tam jest?

- Albo tam jest, albo go złapali.

- Ej! Tyle tu śmigłowców. Nie można by wziąć paru i poszukać tego biedaka?

- Pułkownik Halston próbował dwa razy. Cholerny pech. Zestrzelili nam dwa *Pave Hawki*.

- No i co z tego? Trzeba spróbować jeszcze raz! Kurwa, co za ludzie?!

- *Mierda!* To samo mówię, ale prawda jest taka, że wszystkich tych *pendejos* Kevin zdaje się gówno obchodzić.

- We łbie się, kurwa, nie mieści. Dlaczego Halston nie zorganizował następnej ewakuacji?

- Człowieku, chciał, ale ten *hijo de puta* Draper tak go opierdolił za te dwie nieudane próby, że Halston postanowił poczekać do czasu nawiązania kontaktu radiowego z Daltonem.

- Pieprzysz bzdury.

- Nie, człowieku. Klnę się na Boga, że to prawda. Draper zagroził, że zgłosi całą sprawę wyżej, jeśli podjęta zostanie jeszcze jedna próba uratowania Daltona. Ten *pendejo* Draper wyraził to może innymi słowami, ale sens był dokładnie taki.

- Cholera, ten chłopak długo się tam nie utrzyma. Niewykluczone, że już dostał się do niewoli, albo... Niech to diabli! Przepraszam, Chico. Nie chciałem...

- Nie ma sprawy, rozumiem. - Delgado spojrział na horyzont. Słońce wzeszło już prawie całe. Zmarszczył brwi. Logika mówiła mu, że Kramer ma rację. Było bardzo prawdopodobne, że Kevin zmarł z wyczerpania, o ile nie znaleźli go Irakijczycy. Mimo to, Delgado wciąż miał nadzieję, że Kevin jakimś cudem przeżył i nie dostał się do niewoli.

- Nic ci nie jest, chłopcze?

- Człowieku, mam nadzieję, że ci *pendejos* wreszcie się na coś zdecydują i to szybko. - Delgado zatarł ręce. Temperatura powietrza niewiele przekraczała dziesięć stopni. Przesunął dłońmi po odsłoniętych przedramionach.

- Też mam nadzieję. Nie znoszę, kiedy... Hej, a co ty tu masz? - Kramer wskazała na przedramię Delgado.

- A, to tatuaż. Łeb buldoga.

- Widzę przecież. Ale dlaczego buldog?

Delgado tylko się uśmiechnął.

### ♦ Dzień piąty, 9.00 czasu lokalnego - południowy Irak

Działko *MiG-a-29* strzelało tak głośno... Kevin poderwał się przez sen. A potem głos Chalili sprawił, że wszystko było znów w porządku.

- Kevin! Obudź się! Kevin, ty cały drżysz. Co ci jest?

Słońce poraziło mu oczy, kiedy uchylił powieki. Światło. Dlaczego jest tak jasno?

- Kevin, to ja, Chalila. Nic ci nie jest?

Znów te słowa. Tak miękko je wypowiadała. Kevin szerzej otworzył oczy i ujrzał zarys jej twarzy. Pochylona nad nim, ostaniała go od słońca.

- Chalila!... Jesteś przytomna! - Próbował się poderwać, ale zakręciło mu się w głowie.

- Połóż się. Jeśli zrobiłeś dziś w nocy to, co przypuszczam, że zrobiłeś, to lepiej bardzo uważaj na tę przestrzeloną nogę.

Kevin spojrział w dół i zobaczył plamy krwi na piasku.

- W nocy bardzo krwawiłeś. Kevin, mogłeś umrzeć.

Kevin zauważył, że oderwała nogawkę z jego irackiego munduru i użyła jej jako bandaża.

- Jesteś nieoceniona - powiedział z uśmiechem.

- Omal się nie wykończyłeś.

- Musiałem... chciałem to zrobić.

Spojrzała mu w oczy. - Kevin, pamiętam tylko, że...

- Wiem, widziałem.

- Widziałeś mnie przypiętą do...

- Tak.

- Jak mnie stamtąd wydostałeś?

- Wszystko ci opowiem, ale najpierw muszę się czegoś napić.

Odkręciła manierkę i podsunęła mu do ust. Uśmiechnął się.

- Co cię tak bawi?

Zanim powiedział, napił się kilka łyków wody. Potem odchrząknął i zaczął mówić łagodnym, spokojnym głosem. Opowiedział jej wszystko, od chwili, kiedy zobaczył, jak ją zatrzymują, do momentu, kiedy położył ją koło siebie i usnął. Nie spuszczała z niego swoich inteligentnych oczu. Im dłużej' mówił, tym intensywniej wbijała w niego wzrok. Kiedy skończył, odwróciła głowę.

- Głupi Amerykanin!

Kevin był wstrząśnięty. - Co takiego? Coś ty powie...

- Po coś to zrobił? Nie zdajesz sobie sprawy, że nic nigdy nie może być między nami?

Zabolały go te słowa, dotknęły do żywego. - Dlaczego tak mówisz? Zrobiłem to, co zrobiłem, bo tak się składa, że bardzo mi na tobie zależy i dlatego, że w głębi duszy jestem przekonany, że i tobie zależy na mnie. Bo wiem, że ty zrobiłabyś to samo dla mnie. A teraz może zechcesz mi powiedzieć, co w tym złego?!

- Złe jest to, że masz rację. Rzeczywiście zależy mi na tobie, chociaż tak trudno mi się do tego przyznać! - Po raz pierwszy Kevin zobaczył w jej oczach łzy. Szybko odwróciła głowę.

Wstał i ostrożnie pokuśtykał do niej. Objął ją od tyłu i przystawił wargi do ucha. - Dlaczego? W czym problem? Przecież też jesteś człowiekiem. Masz prawo do uczuć, jak wszyscy inni, a teraz żywisz te uczucia do mnie. Ja to wiem. Wyczuwam to w twoim głosie, w twoim uśmiechu, w tym, jak na mnie patrzysz...



- Przestań, Kevin! Niczego nie rozumiesz! - Próbowała się wyswobodzić, ale trzymał ją mocno.

- Nie, nie puszczę cię. Nie pozbędziesz się mnie, czy ci się to podoba, czy nie. Kocham cię i ani ty, ani nikt inny nic na to nie poradzi. Może nigdy się stąd nie wydostaniemy, więc chcę, żebyś wiedziała, co czuję do ciebie. Rozumiesz? I coś mi mówi, że... - Nagle Kevin zdał sobie sprawę, że zrezygnowała z wszelkiego oporu. Położyła mu głowę na ramieniu i objęła jego rękę swoimi.

Odwrócił ją powoli, a potem delikatnie ujął jej twarz w dłonie, oczarowany niewypowiedzianym pięknem. Spojrzał w zielone oczy i zatracił się w nich zupełnie. Zamknęła je, kiedy poczuła dotyk jego ust.

# 15.

## Rakiety

### ♦ **Dzień piąty, 9.35 czasu lokalnego - Allahbad, na południe od An Nadżaf, Irak**

Risza Hasan podeszła do doktora Radsula Sakkara z najnowszymi raportami o postępie prac. Trzy kolejne rakiety zostały ustawione na wyrzutniach. Sakkar był zadowolony. Operacja przebiegała bez zakłóceń, mimo wczorajszego nalotu. Teraz koniecznie trzeba natychmiast przygotować pozostałe rakiety. Sakkar był pewien, że Allahbad wywrze wielki wpływ na bieg historii Iraku. Wróg z pewnością pomyśli dwa razy, zanim zdecyduje się kontynuować te barbarzyńskie bombardowania, jeśli Irak udowodni światu, że potrafi zadać druzgocące uderzenie atomowe.

Sakkar pokiwał głową z aprobatą, wertując raporty. Większość ekip osiągnęła już czwarty z sześciu etapów, poprzedzających ustawienie rakiety na wyrzutni. Złożył podpis po kolei na każdej stronie i oddał raporty z powrotem Riszy, która uśmiechnęła się i odeszła.

Sakkar ruszył do stołówki po drugiej stronie linii montażowej. Śniadanie wydawano od siódmej. Na myśl o herbacie i świeżych owocach poczuł ssanie w żołądku. Od wczoraj nic nie jadł.

### ♦ **Dzień piąty, 10.00 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem**

Pułkownik Peter Halston wyszedł z klimatyzowanego namiotu podsekretarza do spraw Bliskiego Wschodu. Monotonny szum klimatyzatora był przez dłuższą chwilę jedynym dźwiękiem, jaki słyszeć było w namiocie,

kiedy Halston wspomniał Kennethowi Draperowi, że planuje kolejną próbę ewakuowania porucznika Daltona. Generał mruknął coś niezrozumiałego, odwrócił się i zamilkł.

Halston zmrugał oczy, wychodząc z namiotu na jaskrawe słońce. Nie podobała mu się postawa Drapera. Generał dał mu w zasadzie wolną rękę, ale ostrzegł, że jeśli operacja ratunkowa pochłonie dalsze ofiary, Halston będzie odpowiedzialny za ich śmierć. Halston robił, co mógł, żeby nie stracić panowania nad sobą. Już wkrótce pozbędzie się Drapera.

Założył okulary przeciwsłoneczne i ruszył w kierunku namiotu łączności.

- Pete!

Pułkownik odwrócił się i zobaczył Roberta Bourdeaux, biegnącego w jego kierunku z wielką kopertą w ręku.

- Co tam masz, Bob?

- KOIF przysłał nam właśnie nowe zdjęcia satelitarne.

- No i?

- Usiądź, zanim na nie spojrzysz. Nie wiem jeszcze, co o tym myśleć.

Weszli do namiotu łączności i usiedli naprzeciw siebie przy stole. Bourdeaux otworzył kopertę i grzebał w fotografiach.

- Gdzież się to zdjęcie podziało? Przed chwilą je oglądałem. - Wertował gruby plik fotografii formatu 28x36. - O, jest. - Wyciągnął jedną z odbitek.

- A więc tu jest Allahbad wczoraj o szóstej po południu. Zwróć uwagę na te wszystkie ciężarówki wjeżdżające i wyjeżdżające z zakładów. Aha, większość wjeżdżających ciężarówek kierowała się prosto do magazynu.

- Rozumiem. To są te ciężarówki, a to magazyn, o którym mówisz, tak?

- Halston wskazał na ciemne, prostokątne kształty, widoczne na drodze, która kończyła się przy wielkim, kwadratowym” obiekcie pośrodku zakładów.

- Dokładnie. Teraz zwróć uwagę, że do tego magazynu nie ma innej drogi, jak od frontu. Po bokach są jakieś budynki, a z tyłu właściwy zakład.

- Zgadza się. I co z tego?

- Następne zdjęcia zostały wykonane mniej więcej o tej samej porze. Razem dwadzieścia zdjęć w ciągu pół godziny. Naliczyłem na nich piętnaście wielkich ciężarówek, które wjechały do magazynu, a potem wyjechały. Piętnaście w ciągu trzydziestu minut. Sporo, co?

- Do czego zmierzasz?

- Cierpliwości, zaraz wszystko wyjaśnię. Kilka godzin później zjawia się tam nasz samolot i - bum! - rozwała wszystko w drobny mak. Potem

nadchodzi ranek, nasz *KH-11* robi pstryk, pstryk, no i proszę! Zgadnij, co tu mamy.

Halston wiercił się niecierpliwie na krześle, czekając aż analityk CIA wyciągnie kolejne zdjęcie i położy je na stole. Ponad siedemdziesiąt procent wnętrza magazynu było teraz odsonięte. W środku...

- Przecież tam nic nie ma! Magazyn jest pusty!

- Zgadza się.

- A gdzie rakiety? Gdzie ładunki dostarczane ciężarówkami?

Bourdeaux skwitował reakcję Halstona kiwnięciem głowy i szukał jakiegoś wyjaśnienia. A może ciężarówki nie wyjeżdżały puste? Może przywoziły jakieś surowce, a zabierały wyroby gotowe? Szybko zarzucił jednak tę myśl, zdając sobie sprawę, że było to fizycznie niemożliwe. Nie mógł też uwierzyć, że ciężarówki wjeżdżały do magazynu i zaraz wyjeżdżały, niczego nie pozostawiając. Magazyny są po to, żeby coś w nich przechowywać. Pamiętał też przekazaną przez KOIF informację o trasie tych ciężarówek. Wszystkie wracały na wybrzeże, gdzie ponownie lądowano na nie skrzynie. No i gdzie są te skrzynie?

Bourdeaux otworzył oczy i spostrzegł uśmiezek na nie ogolonej twarzy Halstona. - O co chodzi?

Halston uśmiechnął się szerzej. - Bob, myślę, że wiem, gdzie się te wszystkie skrzynie podziały.

Bourdeaux otworzył buteleczkę z Tylenolem i bez popijania połknął dwie kapsułki. - Mam przecucie, że to, co zaraz powiesz, nie będzie mi się podobać.

- Myślę, że spojrzeliśmy zaledwie na powierzchnię. Ten magazyn, to po prostu miejsce do rozładowywania ciężarówek tak, żeby ukryć to przed niepowołanymi oczami.

- No i...?

- Myślę, że po wyładunku skrzynie zabiera się pod ziemię. Bourdeaux uniósł brew. - Albo to, albo...

- Albo zbombardowaliśmy nie to, co trzeba.

Bourdeaux odetchnął głęboko, przymknął oczy i końcami palców masował sobie czoło. Nagle otworzył oczy. - Wiem! Halston spojrzał na niego pytająco.

- Pete, jeśli masz rację, jeśli Irakijczycy zeszli z tym projektem pod ziemię, to możemy uzyskać potwierdzenie. Trzeba przeanalizować zdjęcia satelitarne z okresu budowy tych zakładów, ustalić ilość dostarczonych materiałów itd.

Halston przyglądał mu się przez kilka sekund. - Bob, przecież Allahbad został zbudowany kilka lat temu.

Na twarzy Bourdeaux pojawił się szeroki uśmiech. - Chłopie, w archiwach KOIF są wszystkie zdjęcia z satelitów *KH-11*. Zeskanowane i zapisane na twardych dyskach, z zapasowymi kopiami na taśmach magnetycznych. Mają tam wszystko od początku lat sześćdziesiątych. - Zerwał się z miejsca.

- Dokąd idziesz? - zapytał Halston.

- Muszę zatelefonować. Zamierzam ściągnąć zdjęcia satelitarne z okresu budowy Allahbadu i dla porównania zdjęcia z budowy zakładów pod Bagdadem. Będziemy mieli punkt odniesienia. Jeśli pod tymi piaskami rzeczywiście coś się kryje, to potrafimy to ustalić.

### ◆ **Dzień piąty, 9.30 czasu lokalnego - Biały Dom**

- No więc, gdzie są te rakiety? - zapytał prezydent Bill Clinton, wpatrując się w rozłożone na biurku fotografie z satelity *KH-11*.

Dyrektor CIA, Craig Kettler, powoli pokręcił głową. - Nie wiemy, panie prezydencie. Magazyn wydaje się pusty.

Patrząc na dyrektora w pół przymkniętymi oczami, prezydent poczuł nagle, że robi mu się zimno. Wszystko komplikowało się coraz bardziej. W myślach rozważał kilka prawdopodobnych wyjaśnień. Istniała możliwość, że zadaniem Allahbadu było zmylenie przeciwnika, że Saddam rozmyślnie sprowadził Clintona na błędny trop. To by oznaczało, że przywódca Iraku zdołał wszystkich wywieść w pole, i że prace nad bronią atomową prowadzone są zupełnie gdzie indziej. Ale co z informacjami CIA? Dyrektor streścił mu raport Bourdeaux, z którego wynikało, że skrzynie, wyładowane w magazynie z wielu ciężarówek, zostały prawdopodobnie zabrane do podziemnego obiektu.

Spojrzał na zegarek i czekał na telefon od Drapera. Prezydent Clinton nigdy nie podejmował decyzji, nie wysłuchawszy przedtem wszystkich swoich doradców.

### ◆ **Dzień piąty, 17.30 czasu lokalnego - południowy Irak**

Kevin Dalton i Chalila Iszaid szli obok siebie w milczeniu pod zachmurzonym niebem. Początkowo Kevin proponował, żeby zaczekać do zapadnięcia zmroku, ale kiedy usłyszał, czego Chalila dowiedziała się w Allahbadzie, uznał, że muszą dotrzeć do granicy jak najszybciej, żeby poinformować, kogo trzeba, jak nieskuteczne było bombardowanie zakładów.

Z trudem przychodziło mu pogodzenie się z faktami, ale teraz był przekonany, że bomby nie miały praktycznie szans zniszczenia podziemnego obiektu. Z relacji Chalili wynikało, że irackie laboratorium było zbyt głęboko pod powierzchnią ziemi. Pamiętał, że wspomniała coś o windzie

towarowej. Kevin przygryzł wargę w zamyśleniu. Winda... Może jednak był sposób. Ismael powiedział Chalili, zanim złapali ich Irakijczycy, że winda stanęła w momencie, kiedy rozległy się syreny alarmowe i że szyb został automatycznie zablokowany, izolując podziemne laboratorium od reszty świata. Jak gruba może być ta płyta, blokująca szyb? - zastanawiał się, zdając sobie sprawę, że nawet gdyby miała ponad metr grubości, byłaby łatwiejsza do sforsowania niż wiele metrów zbrojonego betonu. Kilka celnie zrzuconych bomb i bingo!

Doszli do pierwszych drzew. Do Eufratu mieli jeszcze mniej więcej kilometr. Nagle Kevin się zatrzymał.

- Co się stało? - spytała Chalila.
- Wydawało mi się, że coś usłyszałem...
- *Qatala!*

Kevin odwrócił się. Poczł ból w ramieniu, uderzonym kamieniem i opadł na kolana. Kilka irackich kobiet stało za nimi z kamieniami w rękach, patrząc na niego wyzywająco. Kevin wyciągnął *Smith & Wessona*, uniósł go w powietrze, a potem powoli odłożył na ziemię.

- Chalila, powiedz im, że nie mamy złych zamiarów.
- To nic nie da. Widzą tylko nasze mundury.
- Do diabła, spróbuj!

Chalila wypowiedziała kilka słów łagodnym tonem, ale reakcja kobiet nie napawała optymizmem.

- *Qatala!*
- Co to, do diabła, znaczy?
- Zabić.

Kevin wstał i ruszył w kierunku kobiet.

- Zaczekaj! Co ty wyprą...?  
- Amerykanin! Jestem Amerykaninem! Przyjacieł! Chalila, tłumacz! - Kevin szedł dalej, podczas gdy Chalila przekładała jego słowa. Kobiety cofnęły się o kilka kroków.

Nagle jedna z nich rzuciła w niego kamieniem. Zdążył się uchylić. Następny kamień. - Niech to szlag! - Znów opadł na kolana. Prawe biodro bolało jak diabli. Chalila podbiegła do niego.

- Nie, Chalila! Zostań!

Wstał jakoś, zasłaniając sobą Chalilę. Kamień trafił go w czoło. Upadł, trzymając się rękami za twarz.

Chalila złapała *Smith & Wessona*, odbezpieczyła i wycelowała w najbliższą kobietę.

- Chalila, nie strzelaj! - krzyknął. Krew zalewała mu oczy.

Kobiety cofnęły się i mierzyły ich wzrokiem.

Kevin podczołgał się do Chalili. - Jeśli one... sądzą, że... jesteśmy

irackimi żołnierzami, to znaczy... że prawdopodobnie sympatyzują z Kurdami. Nie wolno nam... do nich strzelać. - Głowa bolała go potwornie. Nagle wszystko dookoła zaczęło wirować.

Jedna z kobiet zrobiła krok do przodu. Chalila skierowała na nią lufę pistoletu. Kobieta uniosła rękę z kamieniem. Chalila zaczęła zaciskać palec wskazujący na spuście.

- Nie! - Okrzyk dobiegł zza grupy kobiet.

Kevin spostrzegł sylwetkę młodej dziewczyny, biegnącej w ich kierunku.

- *Sadiq, sadiq!*

Przez krew i łzy Kevin zobaczył twarz zgwałconej dziewczyny, którą uratowali we wsi. Podbiegła do niego, pochyliła się, objęła go i zaczęła płakać.

Chalila opuściła *Smith & Wesson*. Kobiety wypuściły z rąk kamienie. Kevinowi pociemniało w oczach. Stracił przytomność.

#### ♦ Dzień piąty, 17.40 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

- Co z tym podziemnym laboratorium? Mówisz poważnie? - zapytał Draper łagodnym głosem, w którym wyczuwało się niepokój.

Bourdeaux nie odpowiedział od razu; chciał być pewien, że w pełni nad sobą panuje. Potem odchrząknął i zaczął tłumaczyć podsekretarzowi, że wszystkie zebrane dotąd informacje zdawały się potwierdzać tę teorię. Rakiety musiały być pod ziemią; po prostu nie było żadnego innego racjonalnego wyjaśnienia. Bo jeśli nie, to co działo się z ładunkami dostarczonymi przez ciężarówki? Bourdeaux powiedział mu też o tym, czego Halston dowiedział się w bazie od ekspertów w dziedzinie materiałów wybuchowych. Byli przekonani, że tam, w Allahbadzie powinno być mnóstwo spalonych, powyginanych urządzeń. Ale na fotografii satelitarnej, którą Bourdeaux wskazał teraz Draperowi palcem, widać było pusty magazyn. Zanim Draper miał szansę coś powiedzieć, Bourdeaux zwrócił uwagę, że budynki obok magazynu zostały zrównane z ziemią. W tym, co po nich pozostało, nie było widać niczego istotnego. W sumie, rezultatem Pustynnej Gwiazdy było więc zniszczenie pustego magazynu i linii produkcyjnej mleka w proszku. Na zakończenie Bourdeaux wspomniał o swoim najnowszym pomysle, realizowanym z pomocą KOIF, to znaczy o wydobywaniu z archiwów zdjęć satelitarnych, na podstawie których będzie można porównać budowę Allahbadu z budową fabryki mleka w proszku pod Bagdadem.

Draper milczał przez dłuższą chwilę. Bourdeaux schował wszystkie fotografie do plastikowej torby.

- Będę o tym wkrótce rozmawiał z prezydentem.

- Swoją analizę przesłałem już do CIA. Przypuszczam, że dyrektor właśnie informuje o niej prezydenta.

- Cóż, prezydentowi należą się opinie wszystkich zainteresowanych. Moim zdaniem, wystąpiłeś do władz ze słabą teorią na temat montowania przez Irakijczyków rakiet dalekiego zasięgu w Allahbadzie. Dysponowałeś tylko poszlakami, niczym konkretnym. Nie ma choćby jednej fotografii, na której widać by było te rakiety. Ale wszyscy, łącznie z prezydentem, uwieżyli w twoją historię na tyle, że wysłano *F-117A* z zadaniem rozwalenia tego obiektu. No i co? Pod, wpływem twojej sugestii zniszczyliśmy Allahbad i co teraz? Wszystko, czym się możemy pochwalić, to hałda spalonego mleka w proszku. Sam wiesz, co to oznacza, prawda? Jediną bronią w Allahbadzie jest amunicja propagandowa. Jestem pewien, że w najbliższych dniach zdjęcia zniszczonego Allahbadu trafią do prasy zachodniej, a jeśli władze irackie postąpią tak, jak w wypadku innych zniszczonych obiektów, to liczba ofiar cywilnych okaże się cholernie wysoka. Zdajesz sobie sprawę, jaka by to była kompromitacja dla administracji Clintona? A fakt, że, atakując Allahbad, wyraźnie powiadomiliśmy Saddama o naszych zamiarach? Jeśli montuje te rakiety gdzie indziej, to teraz będzie się miał szczególnie na baczności.

Bourdeaux z trudem opanowywał wybuch wściekłości. Srebrny Szczur robił to, na czym znał się najlepiej: odwracał kota ogonem. Taktycznie zmieniał front na widok pierwszej oznaki kłopotów. Bourdeaux zamierzał właśnie odpowiedzieć, kiedy Draper uniósł prawą rękę.

- Dość, Bob.

Spokojnie, Bob. Oddychaj głęboko. Raz, dwa, raz, dwa. Nie daj się temu skurwysynowi wyprowadzić z równowagi. Draper był mistrzem w takich rozgrywkach. Bourdeaux był pewien, że generał przypomni prezydentowi, iż od początku był zdecydowanie przeciwny nalotowi. Draper nie odmówi sobie tego, zwłaszcza jeśli Irakijczycy nadadzą sprawie wielki rozgłos. Dlaczego ja? Dlaczego mnie musiało to spotkać? Stało się dokładnie to, czemu od początku próbowałem zapobiec. Niech szlak trafi tego skurwysyna! Spokojnie, spokojnie. Nie daj się ponieść. Jest jeszcze droga wyjścia.

Draper spojrzął na zegarek. - A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym przedyskutować to z prezydentem.

Bourdeaux bez słowa odwrócił się i wyszedł. Płyta lotniska wciąż była ciepła, chociaż ciemno zrobiło się godzinę temu. Wszedł do punktu łączności.



- No i jak poszło? - zapytał Halston.  
Bourdeaux tylko westchnął.

### ◆ **Dzień piąty, 10.00 czasu lokalnego - Biały Dom**

Prezydent odłożył słuchawkę. Draper miał zupełnie inne zdanie niż CIA. Podsekretarz był przekonany, że Stany Zjednoczone popełniły poważny błąd bombardując Allahbad i że Saddam Husajn rozgłosi to wkrótce na cały świat. Ponadto Draper sugerował prezydentowi zlecenie CIA prowadzenia dalszych poszukiwań jakiegoś podejrzanego obiektu, jaleo że Saddam Husajn prawdopodobnie gdzieś te swoje rakiety montował. Draper nie krył się też z obawami, że iracki odwet atomowy za zniszczenie Allahbadu jest bardzo prawdopodobny.

Prezydent zastanawiał się nad tak drastyczną różnicą zdań. Czekaając na łączność z Draperem, przeprowadził krótką rozmowę telefoniczną z sekretarzem stanu, który poinformował go, że delegacja iracka opuściła salę rozmów, kiedy tylko nadeszła wiadomość o ataku. Tarik Aziz oświadczył sekretarzowi stanu, że to USA zadały pierwszy cios i że Irak jest w stanie odpowiednio zareagować. Sekretarz radził Clintonowi nie działać od razu, jak to sugerowała CIA, dopóki Firma nie zbierze więcej informacji. Ostrzegł też prezydenta, że trzeba się przygotować na iracką wojnę propagandową. Sekretarz przeczuwał, że Saddam Husajn nie będzie zwlekał z wykorzystaniem zniszczonych zakładów do celów propagandowych.

Clinton zacisnęła wargi. Czy Stany Zjednoczone zbombardowały niewłaściwy cel? Czy też w Allahbadzie jest podziemny obiekt? Czy Saddam przygotowuje odwet? Kiedy uderzy? Jak? Gdzie zaatakuje najpierw? Tel Awiw? Rijad? Kuwejt? Czy Ameryka powinna zaatakować Allahbad jeszcze raz? Może należałoby przeprowadzić dywanowe naloty całej strefy, zaznaczonej na mapie Bourdeaux? A może mapa była fałszywa? A jeśli Draper ma rację i ci Kurdowie rzeczywiście byli podwójnymi agentami? Z drugiej strony, może jednak to Bourdeaux prawidłowo interpretuje sytuację? A jeśli rakiety były tam cały czas, ukryte w schronach pod piaskami pustyni? Co robić, jeśli dane wywiadowcze, które Bourdeaux i KOIF wyszukują w archiwach, wykażą, że w Allahbadzie rzeczywiście jest podziemny obiekt? A jeśli wykażą co innego?

Tyle było różnych możliwości. I podczas gdy wszyscy w jego administracji analizowali najróżniejsze warianty, prezentowali swój punkt widzenia, zbierali dodatkowe informacje i twierdzili, że znają prawidłowe odpowiedzi, prezydent wiedział, że Saddam Husajn jest o krok od zostania przywódcą najmłodszego mocarstwa atomowego na świecie. A administracja Clintona nie uczyniła dotąd nic, żeby go powstrzymać.

## ◆ Dzień piąty, 19.00 czasu lokalnego - południowy Irak

Kevin obudził się z pulsującym bólem głowy. Rozejrzał się przez chwilę po mrocznym pokoju, po czym znów przymknął oczy. Jedynym źródłem światła była pojedyncza świeca, która paliła się przy łóżku. Masując sobie skroń opuszkami palców wyczuł bandaż na głowie. Zobaczył też nowy bandaż na zranionej nodze. Miał na sobie tylko szorty. Jego kolana były znów otarte. Ból w plecach nie ustępował.

Próbował sobie przypomnieć, co widział, zanim stracił przytomność na skutek uderzenia kamieniem. Przymknął oczy i w myślach ujrzał twarz młodej irackiej dziewczyny, która podeszła do niego, kiedy już upadł. Pamiętał jeszcze, jak Chalila opuszcza broń. Potem już nic.

Przesunął nogi na krawędź łóżka i z trudem usiadł. Ramię i noga nie były w aż tak złym stanie, jak myślał. Przejechał palcami po obolałych miejscach. Były czymś posmarowane, jakąś bezbarwną maścią. Może to jakieś cudowne lekarstwo Kurdów? Nagle w oczach mu pociemniało i poczuł zawrót głowy. Szybko położył się z powrotem, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie stracił dużo krwi.

Przeniósł wzrok na nie oświetloną stronę pokoju, gdzie - jak przypuszczał - znajdowały się drzwi. Właśnie ktoś wszedł.

W migotliwym płomyku świecy zobaczył, że podchodzi do niego Chalila. Twarz miała zaróżowioną. Wpatrywała się w niego.

- Chalila, jak długo ja tu...

Położyła palec na ustach, zatrzymując się koło łóżka.

Kevin powoli przesunął się na bok, robiąc jej miejsce, żeby usiadła na krawędzi, ale dziewczyna stała, przyglądając mu się uważnie. Sięgnął po koc, żeby się przykryć.

- Nie, Kevin.

Spojrzał na nią. Z wyrazem zamyślenia na twarzy rozpięła koszulę zakrwawionego irackiego munduru. Za chwilę koszula upadła na podłogę koło łóżka. Odpięta spodnie i pozwoliła im opaść do kostek.

Kevin patrzył zafascynowany. Powoli, ostrożnie położyła się koło niego. Przełożyła nogę i przyciągnęła go bliżej. Poczuł dotyk jej ciepłego ciała. Była blisko, tak blisko. Ustami poszukała jego ust. Najpierw tylko muśnięcie warg, a potem coraz żarliwszy pocałunek.

Poruszali się w jednym rytmie. Pasja uczuć przeniosła ich gdzieś w zupełnie inny świat. Jej szczupłe ciało drżało pod nim. Nic innego nie miało w tej chwili znaczenia dla Kevina Daltona. Nie liczyły się *MiG-i* ani rana nogi, rakiety ani płonące *Pave Hawki*, McDeere, Campbell, Lancaster...

Chalila mocno trzymała go w objęciach, pieszcząc rękami jego plecy. Jej palce delikatnie przesuwały się wokół skaleczeń i siniaków, ale teraz Kevin w ogóle nie pamiętał o tych obrażeniach. Rozkoszował się chwilą. Chłonał ją wszystkimi zmysłami, chcąc zachować w pamięci każdy szczegół: migoczący płomyk, usta dziewczyny, jej ciało... Tak bardzo kontrastowało to z koszmarem, jaki przeżywał dzień i noc od chwili, kiedy szarpnął dźwignię katapulty, ale też było takie realne. Był tutaj, teraz, dzisiaj. Z kobietą, którą kochał, która wczoraj była jeszcze kimś obcym, a teraz leżała spleciona z nim w rozkoszonym uścisku. Modlił się, żeby to trwało wiecznie. Pragnął zatrzymać czas, pozostać tu na zawsze, w tym nierzeczywistym świecie oświetlonym żółtawym płomykiem świecy. Czuł jednak, że zbliża się kres. Ód miesiący nie miał kobiety i teraz nie panował już nad swoim ciałem. Zadrzał cały, dochodząc do szczytu. Chalila mocniej przytuliła go do siebie.

Długo leżeli w milczeniu. Położyła mu głowę na ramieniu, a jej palce bawiły się włosami na jego piersi.

- Kevin.

- Tak?

- Nikt przed tobą nie uratował mi życia od czasu, kiedy byłam bardzo mała.

- Powiedzmy, że jesteśmy kwita.

- Nie, nie rozumiesz. To nie był mój pomysł, żeby cię ratować przed tamtymi śmigłowcami. Ismael i Abdul prosili mnie, żeby ci pomóc. Chcieli cię zabrać do jakiegoś faceta z CIA i wymienić na broń.

- Wiem, Chalila, i wcale nie mam ci tego za złe. Przecież nie wiedziałas, kim jestem.

- Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. Na początku spytałam nawet Ismaela, czy to rozsądne zabierać cię z nami. Byłam przeciwna...

Kevin przekręcił się na bok i spojrzał jej w oczy. - Czy ty nie rozumiesz, że cię kocham? Nieważne, co było przedtem. Byłem dla ciebie obcy, ty byłaś obca dla mnie. Tam, w zakładach, zrobiłem to, co zrobiłem, bo cię kochałem i nie mogłem znieść myśli, że umierasz. Musiałem cię uratować albo zginąć. Rozumiesz teraz?

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Na kilka sekund zaległa cisza.

- Chalila.

- Tak?

- Zdajesz sobie sprawę, że muszę wrócić i ostrzec moich ludzi...

- Dlaczego? Z tego, co mi powiedzialesz, wnioskuję, że wcale nie chcesz wracać. Chodź ze mną do Izraela. Nikt nie będzie ci tam zadawał zbędnych pytań.

- Nie, nie mogę... Przynajmniej na razie. Zresztą, jestem pewien, że CIA będzie się chciała zrewanżować za informacje, którymi dysponujemy.

- Po co ryzykować, jeśli równie dobrze możesz pójść ze mną?

- Bo to by nie było słuszne. Muszę ponieść konsekwencje tego, co zrobiłem. Nie mogę uciekać bez końca. Goniłem tego *MiG-a*, chociaż kazano mi zawracać. Zrobiłem to, bo w głębi serca czułem, że tak trzeba. Tak samo teraz czuję, że muszę wracać.

Kiwnęła głową, a po policzku spłynęła jej łza. Scałował ją delikatnie. Chalila przytuliła go do siebie.

- Kocham cię, Kevin.

Ich ciała znów się połączyły, tym razem dobrze się już nawzajem znając. Kevin jeszcze raz poczuł, że wznosi się ponad chaos, jakim było jego życie. Czuł, jak dziewczyna żarliwie wychodzi mu naprzeciw. Jej zapach, jej dotyk, jej oczy - wiedział, że nigdy tego nie zapomni. Teraz potrafił nad sobą zapanować. Spojrzał na nią. Zamknęła oczy, przechyliła głowę, a z ust wydobył jej się cichy jęk. Powoli prowadził ją na wyżyny rozkoszy, aż poczuł, że cała drży pod nim. W tym momencie i jego porwała fala nieokiełznanej radości. Równie dobrze mogło to trwać kilka minut, jak i kilka godzin. Czas stanął w miejscu. Ułożył się koło niej. Zamknęła oczy, a jej oddech powoli zaczął się uspokajać. Kevin też zasnął.

Czas mijał. Kevin usłyszał, że Chalila coś mówi. Zdziwiony otworzył oczy i spojrzał na nią. Coś jej się śniło. Rzuciła się niespokojnie.

- Nie! Błagam, nie!... Sulejma... o Boże!

Kevin przejechał dłonią po pięciodniowym zarostcie. Sulejma? Dziewczyną zaczęły wstrząsać dreszcze.

- Chalila, obudź się. Obudź się!

Otworzyła oczy i odetchnęła głęboko. Potem położyła mu głowę na ramieniu i cicho szlochała.

Kevin nie miał pojęcia, o co chodzi. Kto to jest Sulejma? Nie chciał zadawać wścibskich pytań, więc po prostu głaskał ją po włosach, po ramionach, po plecach. Płakała jeszcze długą chwilę. Powoli odsunęła się od niego i usiadła, trąc zaptakane oczy, a potem znów wpatrzyła się w niego. Długie włosy opadły jej na ramiona, muskały piersi.

Chalila, jesteś po prostu cudowna.

- Chciałabyś o tym porozmawiać? - zapytał. Zamknęła oczy i skinęła głową.

Przytuliła się do niego, położyła nogę na jego nodze i oparła mu głowę na ramieniu. Jej palce znów zaczęły się bawić włosami na jego piersi.

Leżał na plecach, wpatrując się w drewniany sufit. Chalila zaczęła mówić. Jej głos wydał mu się daleki, monotony i zimny. Dowiedział się o Sulejmie, jej zmarłej siostrze. Przymknął oczy i słuchał. Mówiła o bólu, wyznawała grzechy. Pojął, jaki ciężar dźwigała od tamtego strasznego dnia dawno temu. Zrozumiał targającą nią żądzę zemsty, poczucie winy i gniew. Ściszała głos coraz bardziej, aż do szeptu. Słowa wydobywały jej się z ust powoli, z przerwami, w końcu zamilkła i słychać było tylko jej równy oddech. Kevin uniósł głowę i zobaczył, że oczy miała zamknięte. Zasnęła. Poszedł jej śladem.

### ◆ Dzień piąty, 22.00 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

1 znów Robert Bourdeaux siedział naprzeciw pułkownika Halstona w pustym o tej porze namiocie-jadalni. Rozmasował sobie skronie i spojrzął w podkrążone oczy przyjaciela. Agent CIA był na siebie wściekły. Czuł, że powinien coś zrobić, ale co? Draper skutecznie go zneutralizował. Do czasu uzyskania odpowiedzi z Białego Domu Bourdeaux mógł jedynie kontynuować zbieranie i analizowanie informacji. KOIF robił postępy, wyszukując w archiwach taśmy ze zdjęciami satelitarnymi, ale był to zaledwie pierwszy krok na długiej, żmudnej drodze. Operatorzy musieli wprowadzić wszystkie te zdjęcia do komputerów, wybrać te, które dotyczyły poszukiwanych obszarów, powiększyć i elektronicznie oczyścić ze zniekształceń. Dopiero tak obrobiony materiał mógł się Bourdeaux na coś przydać. Poprawa jakości zdjęć sama w sobie była nauką. Specjalnie przeszkoleni operatorzy dobierali odpowiedni kontrast, eksponując obiekty, które mogły mieć znaczenie, poprawiali ostrość, eliminowali poświatę powstającą przez odbicia promieni słonecznych, rozjaśniali zacienione obiekty, a czasem nawet montowali zdjęcia wykonane w paśmie podczerwieni z normalnymi fotografiami, żeby uzyskać więcej szczegółów. Było z tym mnóstwo pracy, nawet dla armii specjalistów, którym dyrektor CIA powierzył to zadanie zgodnie z poleceniem prezydenta. Od znajomego w KOIF Bourdeaux dowiedział się, że pierwsza partia zdjęć będzie gotowa do analizy jutro rano.

Przynajmniej Saddam nie odpalił dotąd żadnej rakiety z głowicą atomową. Mogło to oznaczać, że montaż jeszcze się nie zakończył, ale może chciał po prostu, żeby Amerykanie podenerwowali się trochę dłużej.

Przy wejściu Bourdeaux zobaczył Delgado i Kramera. Była z nimi również Amanda Green i Orlando Delaney, pilot śmigłowca *Apache*. Wszyscy czworo patrzyli w jego kierunku. Dał im znak, żeby podeszli.

Zaczęto się nawzajem przedstawiać.

- Chyba nie spotkałem pana dotąd, pułkowniku - powiedział Kramer, wyciągając dłoń do Halstona. - Nazywam się Richard Kramer, ale proszę mówić do mnie Buhaj.

Bourdeaux nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Pete Halston - przedstawił się pułkownik, wstając i ściskając dłoń Kramerowi.

- Miło mi cię poznać. Pete.

- Bob, to jest porucznik Delgado - powiedział Halston.

- Tak, pamiętam. Widziałem pana wczoraj wieczorem.

- Miło mi pana poznać, sir.

- Wy dwaj znacie już chyba kapitan Amandę Green?

- Ejże, jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda, ślicznotko? -zawołał Kramer.

Amanda spojrzała na Halstona, pokręciła głową i przewróciła oczami.

- Przypuszczam, że kapitana Delaney'a wszyscy znacie? - zapytał Halston. Kramer, Delgado i Bourdeaux wymienili z Delaneyem uścisk dłoni.

Amanda usiadła koło Halstona, Delgado, Kramer i Delaney zajęły miejsca po przeciwnej stronie stołu, obok Bourdeaux.

- Sir - rozpoczął Delgado - zapadła już decyzja o kontynuowaniu poszukiwań?

- Sprawa leży w mojej gestii, poruczniku - odpowiedział Halston. - Skłaniam się ku kontynuowaniu.

- Skoro tak, sir, to chciałbym otrzymać zgodę na pozostanie tutaj jeszcze kilka dni. Chcę pomóc.

- Nie jest pan moim podwładnym, poruczniku. Będzie pan musiał uzyskać zgodę swojego dowódcy. To komandor McDeere, o ile pamiętam?

- Tak, sir. Ale od razu mogę panu powiedzieć, że McDeere się nie zgodzi. Po pierwsze, jego stanowisko w tej sprawie jest jednoznaczne. Po drugie, będzie potrzebował operatora radaru, żeby polecieć z powrotem na „Rangera”.

- Cóż, w tej sytuacji niewiele mogę zrobić.

- Sir? - Delgado nieznacznie się uśmiechnął.

- Tak, poruczniku?

- Nie zgodziłby się pan chyba, żeby chory pilot odleciał z bazy? Tak chory, że tutejszy lekarz zabroni mu latania?

- Oczywiście, że nie, poruczniku. Aż tak bardzo panu zależy, żeby tu zostać?

- Sir, w tej chwili nie liczy się nic oprócz znalezienia Kevina Daltona. Jestem mu to winien. Uratował mi życie nad Zatoką dzień przed tym, zanim został zestrzelony. Ścigały nas dwie rakiety. Wymknął się im i zniszczył myśliwiec nieprzyjaciela, sir. Jeśli jeszcze żyje, musimy go znaleźć i ewakuować.

Bourdeaux spojrział na Halstona, który najpierw uniósł brew, a potem kiwnął głową.

- W porządku - powiedział Halston. - Zaczniemy w miejscu, gdzie widzieliśmy go po raz ostatni: we wsi, w której straciliśmy drugiego *Pave Hawka*.

- Brzmi rozsądnie - powiedział Delaney.

- Doskonale - powiedział Halston. - Ale zanim wyruszyacie, Bob, zorganizuj mi aktualne zdjęcia tego obszaru. Muszę się upewnić, że tym razem nie będzie komitetu powitalnego.

- Załatwione - odparł Bourdeaux.

- A więc wszystko uzgodnione? - upewnił się Halston.

- Tak, sir - odpowiedziała Amanda Green. Kramer, Delgado i Delaney skinęli głowami.

- Hej, Delgado, jak chce pan przekabacić lekarza bazy na swoją stronę? - zapytał Halston.

Delgado uśmiechnął się. - Sir, to nie ja będę chory.

- Co takiego?

- To mój dowódca, sir. Komandor McDeere dostanie wkrótce ataku ostrej biegunki. Ja będę, oczywiście, musiał tu zostać, bo nikt oprócz niego nie może polecieć *Tomcatem* na „Rangera”. Myślę, że pobędę w bazie, dopóki McDeere nie wydobrzeje, jak na lojalnego partnera z kabiny przystało. - Z kieszeni kombinezonu Delgado wyciągnął plastikową torebkę. W środku był biały proszek.

# 16.

## CSAR rządzi się swoimi prawami

*Prawa milczą w czasie wojny.*

*Cyceron*

### ♦ Dzień szósty, 7.00 czasu lokalnego - południowy Irak

Godzinę po wschodzie słońca Chalila Iszaid, ubrana w przepoconą jasnobrązową koszulę i spodnie, które wieśniacy dali jej w miejsce irackiego munduru, dotarła do punktu, znajdującego się mniej więcej w połowie drogi na szczyt wzgórza. Uważnie rozejrzała się po skalistej okolicy, zanim znów ruszyła w drogę. U stóp wzgórza dostrzegła wioskę. Dalej rozciągała się wysuszona równina, ginąc w oddali na zamglonym horyzoncie.

W prawej ręce trzymała radiostację Kevina. Powiedział jej, że na płaskim terenie jej zasięg wynosi jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów, ale że z położonego wysoko punktu można nawiązać łączność nawet na odległość ponad trzystu kilometrów. Przyjrzała się uważniej czarnemu, przenośnemu urządzeniu i wyciągnęła antenę. W prawej kieszeni czuła ciężar zapasowych baterii, które Kevin zabrał poległemu RIO.

Poprzedniego dnia Kevin wyjaśnił jej również, że są dwa rodzaje transmisji. Można nadać sygnał na częstotliwości ratunkowej, stale monitorowanej przez siły amerykańskie, ale także przez Irakijczyków. Druga możliwość, to zwykła łączność dwustronna. Tę właśnie wybrała i uniosła radio do ust.

- Do wszystkich jednostek sił sojusznicznych. Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery Alfa - powiedziała, używając sygnału wywoławczego, który Kevin podał jej poprzedniego dnia.

Żadnej odpowiedzi.



- Do wszystkich jednostek sił sojuszniczych. Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery Alfa.

Spróbowała jeszcze kilka razy, ale bez rezultatu. Jeśli jej obliczenia były poprawne, granica z Arabią Saudyjską znajdowała się w odległości około dwustu czterdziestu kilometrów. Wyłączyła radiostację, postanowiwszy spróbować znowu, kiedy dotrze na szczyt wzgórza. Spojrzała pod górę i doszła do wniosku, że droga zajmie jej jakąś godzinę. Otarła pot z czoła; temperatura dochodziła do trzydziestu stopni Celsjusza.

Kontynuowała wspinaczkę, rozmyślając o Kevinie. Ostatnia noc była szczególna. Wciąż czuła w nozdrzach jego zapach, jakby nadal leżał obok niej na wąskim, ale wygodnym łóżku, w którym spędzili pierwszą część nocy, kochając się w milczeniu. Nawet kiedy już zasnęli, przytulał ją do siebie. A potem koszmar powrócił, zobaczyła Sulejmę i Arabów, ale Kevin zaraz ją obudził i opowiedziała mu o swojej przeszłości.

Westchnęła, wciąż nie mogąc uwierzyć, że w końcu komuś o tym powiedziała. Kevin był doprawdy wspaniały. Rozumiał, co czuła. Rozumiał jej ból. Pamiętała, że znów zasnęła; budziła się potem co jakiś czas, ale zaraz zasypiała z powrotem, czując jego ciepły oddech na swoim karku, jego ramiona, oplatające ją od tyłu, dłoń spoczywającą wygodnie między piersiami. Kilka godzin później wstała, ubrała się, wzięła radiostację, którą miał przypiętą do paska od spodni, i ruszyła na wzgórze.

Wiedziała, że Kevin musi wrócić do swoich i w pewnym sensie akceptowała jego motyw, które przedstawiał z tą samą pasją, jaką widziała w jego oczach od dnia, kiedy się spotkali. Pomyślała, że to dlatego się w nim zakochała. Wiedziała jednak, że to uczucie nie ma szans. Była agentką Mossadu, profesjonalistką. Zdawała sobie sprawę, że, podobnie jak Kevin, musi powrócić do swojego świata. Ostatniej nocy pozwoliła, żeby uczucia odwróciły jej uwagę od misji, jaką miała do spełnienia. Teraz górę wzięła w niej profesjonalistka. Wiedziała, co trzeba zrobić.

Kevin przetoczył się na drugą stronę łóżka. Był sam. Otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju.

- Chalila? Jesteś tu?

Cisza.

Zmarszczył brwi, usiadł i, jeszcze nie całkiem rozbudzony, podniósł szorty z podłogi koło łóżka. Na krześle po drugiej stronie pokoju wisały brązowe spodnie i koszula. Wstał i założył je na siebie.

Odwrócił się, słysząc za plecami jakiś dźwięk. W drzwiach stała kurdyjska dziewczyna, ta sama, którą uratowali we wsi i która wczoraj

odwdzięczyła im się tym samym. Niosła koszyk wypełniony cienkimi, okrągłymi podpłomykami i daktylami. Uśmiechnęła się i podała mu jedzenie.

Kevin z uśmiechem wziął koszyk i postawił go na łóżku. Dziewczyna odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Słuchaj.... - Zatrzymała się i odwróciła. - Nie rozumiesz, co do ciebie mówię, prawda?

Przekrzywiła głowę i posłała mu zdziwione spojrzenie.

- Chalila... Nie wiesz, gdzie ona jest? - Powiódł ręką dookoła pokoju. - Chalila?

Pokręciła głową.

Kevin wyciągnął rękę w jej stronę. - Kobieta, rozumiesz?... Wysoka. Długie włosy... Chalila...

Dziewczyna uśmiechnęła się i pokazała ręką niewielkie okno.

Kevin wyjrzał, ale nikogo nie zobaczył. Pokręcił głową. Dziewczyna zmarszczyła brwi i podeszła do okna. Uniosła rękę i wskazała wzgórze po drugiej stronie parowu, po czym wyszła z izby.

#### ♦ Dzień szósty, 7.45 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Robert Bourdeaux siedział w końcu punktu łączności naprzeciw Halstona. Przeglądali dwa zestawy zdjęć satelitarnych, które nadeszły właśnie z KOIF. W pierwszym zestawie były fotografie wykonane poprzedniego dnia po południu przez satelitę *KH-11*. Na ich podstawie Bourdeaux i Halston zamierzali określić, w którym miejscu rozpocząć poszukiwania zestrzelonego pilota Marynarki. Amanda, Kramer i Delgado mieli się wkrótce zapoznać z tymi zdjęciami.

Drugi zestaw składał się z wybranych zdjęć archiwalnych tego rejonu, obejmujących okres dwóch lat, rozpoczęty niespełna dziewięć lat temu. W pliku pięciocentymetrowej grubości znajdowały się fotografie obu fabryk mleka w proszku, których budowa, jak się okazało, rozpoczęła się mniej więcej w tym samym czasie. Różnica polegała na tym, że obiekt w pobliżu Bagdadu został ukończony w ciągu dwóch lat. W czasie, kiedy zakład pod Bagdadem uruchomił już produkcję, w Allahbadzie gotów był dopiero wielki magazyn i fundamenty części produkcyjnej. Zdjęcia obejmujące następne sześć lat jeszcze nie nadeszły, ale już teraz uwagę Bourdeaux zwróciła wielka liczba zajeżdżających do Allahbadu pojazdów, które wyglądały na ciężarówki z cementem. Podobnie jak na aktualnych zdjęciach, które analizował przez ostatnie kilka dni, wszystkie ciężarówki wjeżdżały

do wielkiego magazynu. Na każdym kolejnym zdjęciu, wykonanym dwa tygodnie po poprzednim, widać było wokół Allahbadu mnóstwo ciężarówek z cementem, drewnem, stalowymi belkami i innymi materiałami budowlanymi. Wszystkie wjeżdżały z ładunkiem do wielkiego magazynu i wyjeżdżały puste.

- Albo budują tam podziemny obiekt, albo ten magazyn ma najgłębsze fundamenty na świecie.

Bourdeaux przytaknął. - Poczekajmy na następny zestaw zdjęć archiwalnych, a potem wyślę kolejny e-mail do dyrektora.

Dwadzieścia minut później Robert Bourdeaux mówił do ludzi pochyłych nad zdjęciami satelitarnymi w punkcie łączności, podczas gdy Peter Halston intensywnie myślał. Pułkownik zapoznał się już z tym materiałem i teraz pozostawił inicjatywę Bourdeaux, który prezentował Kramerowi, Delgado i Amandzie Green interpretację fotografii satelitarnych.

Bourdeaux wybrał kilka zdjęć interesującej ich wioski i zwrócił uwagę, że nieregularności w kształtach budynków prawdopodobnie oznaczały zniszczenia, spowodowane wybuchami pocisków artyleryjskich. Wszyscy troje pochylił się nad stołem, gdy pokazywał im kilka okrągłych, ciemnych plam wokół wioski i wyjaśniał, że są to leje po pociskach, które nie trafiły w cel. Bourdeaux zaryzykował twierdzenie, że leje mają co najwyżej kilka dni. Zgadzało się to z obserwacjami Amandy, która podczas operacji ratunkowej odniosła wrażenie, że wioska nie była zniszczona. Bourdeaux pochylił się nad jednym ze zdjęć, pokazał palcem trzy ciemniejsze miejsca i wyjaśnił, że są to budynki, z których pozostały tylko fragmenty ścian. Potem sięgnął po inną fotografię i zwrócił ich uwagę na szczególne zabarwienie i kształt kilku większych lejów.

- A teraz porównajcie te leje z tymi dwoma tutaj. - Bourdeaux wskazał dwa mniejsze leje, jaśniejsze od tych wielkich, które oglądali przed chwilą.

- Dlaczego są mniejsze? - zapytał Delgado, przenosząc spojrzenie z jednej fotografii na drugą.

- Przypatrzmy się temu bliżej. - Bourdeaux wyciągnął dwie dalsze fotografie. Oba typy lejów były na nich przedstawione w powiększeniu. Większy lej miał kształt okrągły, a od brzegu do środka przebiegało kilka linii warstwicznych. Im więcej takich linii, tym ciemniejszy wydawał się lej oglądany z góry. Linie te, wyjaśnił, dawały pojęcie o głębokości, co oznaczało, że większy lej powstał po wybuchu potężnego pocisku. Na mniejszych lejach, o nieregularnych kształtach, mniej było tych warstw. Leje te były więc płytsze, przez co wydawały się jaśniejsze. Powstały po wybuchu

innego rodzaju amunicji. Bourdeaux powiedział im, że musiała to być amunicja niekonwencjonalna.

Czekał na reakcję. Kramer pierwszy uniósł głowę. Oczy miał przymrużone, grube wąsy opadały mu na końcach.

- Do czego zmierzasz? Chcesz powiedzieć, że ta niekonwencjonalna amunicja, to broń chemiczna?

Bourdeaux przytaknął. - Obawiam się, że właśnie tak. Można to zresztą sprawdzić. KOIF przeprowadził analizę składu chemicznego powierzchni ziemi w tym rejonie.

Wszyscy troje wbili w niego wzrok. - No i?

- Cóż, zobaczcie sami. - Bourdeaux wyciągnął kolorowe zdjęcie wsi. Wyglądało, jak wielobarwna paleta, na której trudno było odróżnić poszczególne obiekty. Halston nałożył na to zdjęcie arkusz przezroczystej folii, na którym naniesione były kontury wsi.

Teraz wyraźnie widać było niebieskie zabarwienie wielkich lejów i głęboką czerwień małych.

Bourdeaux kontynuował wyjaśnienia: - Jak można zauważyć, pozostałości po wybuchu konwencjonalnych pocisków, zawierające zwykle glicerynę, są zabarwione na niebiesko. To normalne. Normalna jest również ta niebieska otoczka wokół jasnobrązowego leja. Zupełnie nienormalne jest natomiast ciemnoczerwone zabarwienie mniejszych lejów, przechodzące z czasem w kolor różowy, a potem w jasny brąz.

- Z tych zdjęć wynika, że zanim barwa się zmieni, musi minąć trochę czasu. - Kramer wskazał palcem kilka różowych obszarów, zachodzących na siebie.

- Zgadza się. Kolor czerwony sygnalizuje obecność siarki i chloru.

- Gaz musztardowy?

Bourdeaux podniósł głowę znad fotografii. - Zwany też iperytem.

- Niech to diabli! Wygląda na to, że sukinsyny wykończyły całą wieś.

- Na to wygląda - powiedział Bourdeaux. - Zdecydowanie odradzam zbliżanie się do tej wioski. Zresztą, nic by to nie dało. Wątpię, czy ktoś tam jeszcze jest.

Delgado usiadł na krześle i przejechał dłonią po wytatuowanym buldogu. - I co dalej?

- Dobre pytanie, poruczniku - powiedział stojący z tyłu Halston. - Pierwotnie planowaliśmy, że po prostu ruszymy śladami zestrzelonego pilota. Teraz wątpię, czy cokolwiek by nam to dało. Cóż, trzeba się dobrze zastanowić. - Wszyscy czworo odwrócili się i wlepili wzrok w pułkownika.

- A co z sąsiednimi wioskami, sir? - zapytała Amanda.

- W okolicy jest koło dwudziestu pięciu wsi, a ten pilot może być dosłownie wszędzie.

- Niech to cholera! - nie wytrzymał Delgado. Kramer pokręcił głową.

- Zaczekajcie - powiedział Halston. W jego głosie wyraźnie wyczuwało się frustrację. - Co z twoimi kurdyjskimi przyjaciółmi, Bob? Myślisz, że mogliby nam pomóc?

- Pewnie. Pomogą, jeśli dobrze zapłacimy, ale problem w tym, że wrócą być może dopiero za kilka dni. Nie sądzę, żebyśmy mieli tyle...

- Pułkownik Halston!

Bourdeaux urwał w pół słowa. Zbliżył się do nich młody sierżant.

- O co chodzi? - zapytał Halston.

- Lepiej, żeby pan podszedł do radiostacji, sir. Pilot jednego z naszych *F-15* odebrał właśnie na ratunkowej komunikat Wilczego Stada Dwa Jeden Cztery.

Halston zerwał się na równe nogi. Pozostali odwrócili głowy w kierunku sierżanta.

- Co takiego? Kiedy...? - zaczął mówić Halston.

- Przed chwilą, sir. *AWACS* próbuje właśnie nawiązać z nią łączność.

- Z nią? Co tu się, do diabła, dzieje? - Halston przeszedł za sierżantem na skraj namiotu, gdzie rozstawiono sprzęt łączności. Pułkownik złapał słuchawki z mikrofonem. Pozostali zebrali się wokół niego.

Halston spojrział na sierżanta. - Dawaj mi zaraz dowódcę *AWACS-a* na bezpiecznej linii!

Dziesięć minut później Halston zdjął słuchawki. - No i co o tym myślicie?

- Dobrze pan to załatwił, sir. Zyskaliśmy trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć - odpowiedział Delgado.

- Coś mi się tu nie podoba. To może być pułapka. Co z tego, że ta kobieta zna sygnał wywoławczy Daltona? Dobrze wiemy, że Irakijczycy też prowadzą nasłuch na tym kanale. Mogli wylapać ten sygnał podczas którejś z wcześniejszych rozmów - zauważył Kramer. - Albo, co gorsza, złapali Daltona i wyciągnęli z niego tę informację.

- Być może, pułkowniku. Ale w tej chwili to jedyny trop, jakim dysponujemy - powiedział Halston. - Musimy tylko zachować najwyższą ostrożność. To wszystko jest tak dziwne, że może okazać się prawdziwe. Po co łączność nawiązywałaby kobieta, gdyby to była pułapka? Ale musimy pamiętać, że Irakijczycy też ją słyszeli i prawdopodobnie już tam wyruszyli.

- Zgadza się - potwierdził Delgado. - A w dodatku ci *pendejos* mają do niej znacznie bliżej niż my.

Halston przetarł oczy. Trzeba było działać szybko.

### ◆ **Dzień szósty, 8.15 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak**

Generał Abunnasr Manesz dopił herbatę z filiżanki i spojrzął na wielką radiostację, przy której siedział Fasan Tabriz. Rozmowa była dobrze słyszalna. Chociaż jego angielski nie był już tak dobry, jak w czasach, kiedy studiował na jednej z brytyjskich uczelni, rozumiał prawie wszystko.

Przeniósł wzrok na ekran radaru. Zielony punkt wskazywał miejsce, z którego rozmowa została przeprowadzona. Uśmiechnął się. To był szczęśliwy dzień. Pora wyrównać rachunki.

### ◆ **Dzień szósty, 10.00 czasu lokalnego - południowy Irak**

Chalila schodziła tą samą ścieżką, którą przedtem szła pod górę. Ścieżka wiła się zakrętami po zboczach wzgórz, a na dole prowadziła do niewielkiej kępy drzew nad strumieniem, przepływającym obok wioski. Była zdumiona. Rozmowa potoczyła się zupełnie inaczej, niż przypuszczała. Ci Amerykanie stają się przesadnie ostrożni, pomyślała, wychodząc z cienia, rzucającego przez wielką skałę. Ostre słońce na chwilę ją oślepiło. Miała kłopoty z przekonaniem Amerykanów, że mówi w imieniu Kevina. Nie na wiele przydał się sygnał wywoławczy, o którym Kevin wspomniał przypadkiem w rozmowie.

Amerykanie nie chcieli jej uwierzyć i domagali się rozmowy z samym Kevinem. Powiedziała im, że został ranny i że stracił wiele krwi. Wyjaśniła, że nie podołałaby trudom wspinaczki. Wtedy powiedziano jej, że ma na razie wyłączyć radio, żeby oszczędzać baterie, zejść do wsi i zgłosić się dokładnie za trzy godziny. Kiedy tłumaczyła, że radio jest za słabe, by połączyć się ze wsi, powiedziano jej, żeby robiła, co jej kazano.

Zastanawiała się, jaka będzie reakcja Kevina, kiedy dowie się, co zrobiła. Cóż, nie miała wyboru. Bez pojazdu z napędem na cztery koła nie miała żadnej możliwości dostarczenia Kevina do granicy. Musiała szukać pomocy.

Przejście przez niewielki zagajnik u stóp wzgórz zajęło jej może minutę. Potem był strumień z dość wartkim nurtem, opływający wieś. Powierzchnia wody migotała w słońcu. Uśmiechnęła się z ulgą, kiedy dotknęła stopami chłodnej wody. W najgłębszym miejscu zanurzyła się zaledwie po kolana.

Nabrała wody w złożone dłonie i uniosła je do ust. Usta miała wyschnięte. Napiła się jeszcze dwa razy, zanim ruszyła na drugi brzeg. Do wsi miała już tylko około trzydziestu metrów...

Kevin?

Zobaczyła go stojącego na skraju wioski. Patrzył w jej kierunku. Przyspieszyła kroku.

- Zechciałabyś mi powiedzieć, o co tu chodzi?

- Tak, Kevin, ale najpierw poszukajmy trochę cienia. Mam za sobą daleką drogę.

Minęła go i poszła w kierunku dużego drzewa. Ruszył za nią.

### ◆ Dzień szósty, 12.00 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Kapitan Amanda Green spacerowała w cieniu śmigłowca szturmowego *Apache* stojącego na płycie lotniska. Kilkadziesiąt metrów dalej transportowy *Grumman Gulfstream IV* stał koło cysterny z paliwem. Na jednym ze skrzydeł dwaj mechanicy trzymali wąż do tankowania.

Zerknęła na swojego *Pave Hawka*, a potem przeniosła wzrok z powrotem na złowrogo wyglądającego *Apache'a*. Kapitan Orlando Delaney i jego strzelec porucznik Steve Rizzo dokonywali już inspekcji przedstartowej, sprawdzając wirniki i różnorodne uzbrojenie podczipione pod skrzydłami. Znowu popatrzyła na *Pave Hawka*. Także w jej maszynie pilot rozpoczął już inspekcję przedstartową.

Zamyśliła się na chwilę. Chcieli wprawdzie wysłać więcej niż jeden śmigłowiec *Apache* do osłony operacji ratunkowej, ale w końcu doszli do wniosku, że im mniej maszyn polecą, tym mniejsze będą szanse wykrycia ich przez Irakijczyków. W trosce o bezpieczeństwo Halston zażądał jednak wsparcia dwóch *A-10*, które miały do nich dołączyć już na miejscu.

A więc spróbujemy jeszcze raz. Ruszyła w kierunku swego śmigłowca.

Orlando Delaney zakończył kontrolę na zewnątrz maszyny. Zerknął na Rizzo, który w ostatniej chwili postanowił się jeszcze upewnić, że potężne raketowe pociski przeciwpancerne *Hellfire* są bezpiecznie zamocowane.

- Witam, poruczniku. No i jak to wygląda?

- Wszystko w porządku. Mamy po cztery pociski *Hellfire* w czterech wyrzutniach. Pomyślałem, że mogą się też przydać, gdyby doszło do walki powietrznej - odpowiedział jasnowłosy porucznik, prawie tak samo chudy jak Delaney.

Czarnoskóry kapitan spojrział na ciemnozielone rakiety wiszące w girlandach pod skrzydłami uzbrojenia. Wiedział, że jedna była w stanie unieruchomić każdy czołg. Do całkowitego zniszczenia powinny wystarczyć dwie. Można je było wykorzystać także jako rakiety powietrze-powietrze. Chociaż w założeniu była to broń klasy powietrze-ziemia i producent w zasadzie nie zalecał wykorzystywania jej w innych warunkach, Delaney wiedział, że można nimi atakować każdy cel, oświetlony laserem śmigłowca. Uśmiechnął się. Szesnaście rakiet *Hellfire* wystarczy, żeby rozprawić się z kilkunastoma czołgami wroga. Wspiął się po drabinie i otworzył tylne drzwi. Rizzo wsiadł od przodu.

Delaney wpasował się w fotel, w którym od razu poczuł się, jak u siebie w domu. Jego miejsce było właśnie tu, za sterami śmigłowca *Apache*. Zanim spojrział na tablicę przyrządów, założył hełm i przerzucił główny przełącznik, włączając zasilanie awioniki i systemu kontroli uzbrojenia: trzynastkę połączonych ze sobą minikomputerów. Cała trzynastka dostarczała dane do głównego komputera, zarządzającego wszystkimi rodzajami uzbrojenia.

Kapitan podłączył elektroniczny wizjer do prawej strony swojego hełmu, a potem przekręcił miniaturowy monitor i przekaźnik optyczny, które miał na wysokości prawego oka, aby cały ten układ sprząc z systemem wyszukiwania i identyfikacji celów *TADS*\*. Dzięki temu minikomputery śmigłowca mogły „widzieć” to, na co patrzył Delaney. Sprawdził jeszcze poziom paliwa i zadowolony kiwnął głową.

\* *Target Acquisition and Designator Sight* - składa się z celownika optycznego, kamery telewizyjnej i termowizyjnej oraz laserowego dalmierza-znacznika celu [przyp. red.].

Delaney odhaczał punkt po punkcie na liście kontrolnej, poświęcając na inspekcję dwa razy więcej czasu niż zwykle. Podczas tej operacji nic nie może zawieść. Oprócz rakiet *Hellfire*, śmigłowiec był uzbrojony w trzydziestomilimetrowe działko *Hughes M230A1*. Działko było zamocowane na obracanej hydraulicznie lawecie pod kadłubem śmigłowca, między strzelcem a pilotem.

Delaney zakończył kontrolę przedstartową i włączył rozrusznik. W ciągu kilku sekund ożyły obie turbiny *General Electric T700*. Przy siedmiuset obrotach na minutę, sprzężynowe sprzęgło łączące główną przekładnię wirnika z silnikami zaczęło się powoli włączać pod wpływem siły odśrodkowej obracających się turbin. Dzięki sile tarcia, bęben sprzęgła odśrodkowego przeniósł napęd na główną przekładnię, która z kolei zaczęła wprawiać w ruch łopaty wirnika nośnego, wykonane z nierdzewnej stali i włókna szklanego. Łopaty wirowały coraz szybciej, zmieniając się w przezroczysty krąg.



Delaney zwiększył obroty, obserwując pionowe wskaźniki obrotów turbin i wirnika, umieszczone po lewej stronie tablicy przyrządów. W odróżnieniu od większości śmigłowców, *Apache* miał dwie dźwignie mocy, umieszczone obok siebie na lewej konsoli, zamiast tradycyjnej manetki na końcu dźwigni zespolonej.

Z fotela drugiego pilota w *Pave Hawku* Amanda Green obserwowała Poole'a, który zwiększył obroty i kąt natarcia łopat, utrzymując drążek sterowy w pozycji neutralnej. Wielki śmigłowiec powoli uniósł się w powietrze. Amanda zaczęła mówić do uaktywnianego głosem mikrofonu, wbudowanego w hełm.

- Hawkeye Zero Jeden, Tango Sześć Pięć, w powietrzu.

- Hawkeye - rozległ się w słuchawkach Amandy głos Kramera z wyraźnym teksańskim akcentem.

Delgado zdjął słuchawki i spojrzął na Kramera. W tej chwili niewiele mogli zrobić; pozostawało mieć nadzieję, że powiedzie się plan Halstona. Delgado rozejrzał się po wypełnionym hukami silników, mrocznym wnętrzu *Grummana E-2C Hawkeye*. Spostrzegł Halstona idącego wąskim korytarzem od strony kabiny pilotów.

- Właśnie rozmawiałem z pilotem. Jesteśmy na wysokości sześciu tysięcy metrów. Nie sądzę, żeby były jakieś problemy z nawiązaniem łączności.

- Mam nadzieję. W przeciwnym wypadku wracamy do punktu wyjścia - powiedział Delgado.

- Nie martw się, chłopcze - powiedział Kramer, kładąc rękę na ramieniu porucznika. - Jeśli tylko żyje, będzie tam na nas czekał.

Delgado usiadł na krześle naprzeciw zestawu najróżniejszych urządzeń elektronicznych. Wiedział, że E-2C jest latającym systemem wczesnego ostrzegania. Jedyne jego zadaniem podczas walki było orientowanie się w sytuacji i przekazywanie sojusznikom informacji o siłach wroga.

Dwaj operatorzy po prawej stronie Delgado śledzili lot *Apache'a* i *Pave Hawka*.

Halston spojrzął na Delgado. - Już czas.

Delgado z powrotem nałożył słuchawki.

- Wiesz, co masz mówić?

Delgado skinął głową.

Kevin spojrzął na zegarek i sięgnął po leżącą przy łóżku radiostację, po czym wyszedł na zewnątrz za Chalilą. Włączył zasilanie.

- Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery Alfa, jest tam ktoś? Odbiór.

- Szurnięty, Chico.

Kevin zamarł. Chico? Skąd on się do diabła...?

Kevin chwycił radio w obie ręce. - Tu Szurnięty.

- Jaka sytuacja?

- Rana nogi, drobne potłuczenia, ale mogę chodzić, a nawet biec, jeśli będę musiał.

- Miło mi to słyszeć. Bałem się, że będziesz w gorszym stanie niż doberman, którego mam wytatuowanego na przedramieniu.

Kevin zmarszczył czoło. Doberman? Nagle zrozumiał i uśmiechnął się.

- To nie pułapka. Nikt mnie nie zmuszał do nawiązania łączności. Kobieta, która się przedtem kontaktowała, jest po naszej stronie. To nie doberman, lecz buldog.

- Myślę, że wszyscy tutaj odetchnęliśmy w tej chwili z ulgą. Bądź gotów za dziewięć-zero minut.

Kevin uśmiechnął się. Póttorej godziny. - Jeden Cztery Alfa.

- *Vaya con Dios, hermano.*

Kevin wyłączył radio i razem z Chalilą wrócił do środka. Chalila spojrzała na niego pytająco. - Szurnięty?

- W Marynarce wszyscy mamy przydomki - powiedział z uśmiechem. - W porównaniu z innymi, mój wcale nie jest taki zły. No, przygotuj się na przejażdżkę śmigłowcem.

- Prowadź.

Młody iracki dowódca obserwował wioskę przez teleskopowy celownik czołgu T-72. Dostrzegł kilka niewielkich budynków, ale nie mógł się doszukać niczego niezwykłego.

- Zatrzymać pojazd. Kontrola uzbrojenia.

Kierowca odciął dopływ paliwa do 12-cylindrowego dieslowskiego silnika i zatrzymał czterdziestotonowy czołg w odległości trzech kilometrów od wioski. W momencie, kiedy czołg stanął, strzelec skierował laserowy dalmierz na najbliższy dom i skontrolował sprzęt. Nowoczesny system komputerowy szybko obliczył parametry strzału, określając szanse trafienia pierwszym pociskiem na ponad 90 procent. Strzelec kilkakrotnie powtórzył te operację, wybierając różne cele. System sprawował się bez zarzutu. Zadowolony, uniósł kciuk do góry, dając dowódcy znak, że wszystko w porządku.

Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, dowódca czekał, aż pojawią się śmigłowce ratunkowe. Piechocie, która jechała z tyłu, rozkazał rozproszyć się na wypadek, gdyby Amerykanie dostrzegli czołgi. W ciągu minuty ciężarówki i dżipy wiozące czterdziestu żołnierzy rozjechały się w różnych kierunkach. Dwa dżipy ruszyły w kierunku wzgórza koło wsi, reszta stanęła w bezpiecznej odległości od czołgów. Dwie ciężarówki załadowane

żołnierzami powoli zbliżały się do wsi od strony północnej. Zatrzymały się w odległości nie większej niż trzysta metrów od najbliższego budynku.

### ♦ Dzień szósty, 12.45 czasu lokalnego - baza powietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak

Generał Abunnasr Manesz wałnął pięścią w stół, kiedy Fasan Tabriz powiedział mu, że zdołali wysłać tylko jednego *Mi-24* jako eskortę czołgów i piechoty. Wprost nie mógł uwierzyć, że z powodu braku części zamiennych większość śmigłowców szturmowych w tym rejonie nie była zdolna do lotu.

Manesz wrzeszczał na Fasana przez kilka minut. Wreszcie rozkazał mu wyszukanie jeszcze jednego *Mi-24* - obojętne, gdzie - i wysłanie go natychmiast za czołgami, nawet gdyby trzeba było wymontować części z innych śmigłowców, żeby przygotować ten jeden do lotu. Wybiegł z bunkra łącznościowego na rozpalone słońcem powietrze. Westchnął i ruszył przez pas startowy. Mrużąc oczy od słońca, spostrzegł swojego *MiG-a-29*, stojącego spokojnie w schronie. Spojrzał w lewo na grupkę mechaników.

- Muszę natychmiast wystartować! - krzyknął.

Trzej członkowie personelu naziemnego zerwali się na równe nogi i podbiegli do samolotu.

- To niemożliwe, generale. Systemy uzbrojenia nie działają.

- Co takiego? Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku! Co to się, do diabła, dzieje?

- Nie wiem. Natrafiliśmy na problemy podczas codziennego przeglądu. Obawiam się, że nie będzie pan mógł użyć rakiet, dopóki nie dostaniemy części zamiennych z Bagdadu.

- Na Allacha! Czy tu w ogóle coś funkcjonuje jak należy?

- Działko, panie generale.

- Co?

- Działko jest w porządku, właśnie uzupełniliśmy zapas amunicji, ale może...

- Może co?

- Może weźmie pan *MiG-a-21*? - Manesz spojrział na dwa stare *MiG-i* stojące za *MiG-iem-29*. Spostrzegł, że pod skrzydłami miały podczepiony komplet starego typu rakiet powietrze-powietrze A4-&

- Obie maszyny są sprawdzone i zatankowane. Gotowe do lotu, generale.

Manesz westchnął, wodząc spojrzeniem od szybkiego i wyjątkowo zwrotnego - ale pozbawionego rakiet - *MiG-a-29* do starszych i wolniejszych - lecz w pełni uzbrojonych - *MiG-ów-21*. Niech to diabli! *MiG-21* też był dość zwrotny, ale gdzie mu tam do *MiG-a-29*.

Podjął decyzję i ruszył w kierunku *MiG-a-29*. - Zdjąć całe uzbrojenie spod skrzydeł, przynajmniej poprawi mi to zdolność manewrową!

- Tak jest!

Manesz wspiął się po drabince i rozpoczął kontrolę przedstartową, podczas gdy ekipa naziemna obracała z metalowymi wózkami, demontując ciężkie rakiety. Przymknął oczy i pomodlił się do Allacha, żeby trzydziestomilimetrowe działko nie zawiodło.

### ♦ **Dzień szósty, 13.00 czasu lokalnego - południowy Irak**

- Kevin, jak sądzisz, co się z tobą stanie? - zapytała Chalila. Oboje czekali na skraju wsi.

- Nie jestem pewien. Myślę, że oskarżą mnie o niesubordynację. Na pewno obciążą mnie też winą za śmierć RIO.

- Co by to oznaczało?

- Najprawdopodobniej na zawsze zabronią mi latania, dostanę najgorsze przydziały, aż w końcu sam zdecyduję się odejść. Niewesoła perspektywa.

- No więc chodź ze mną do Izraela. Potrzeba nam dobrych pilotów.

- Nie sądzę, żebym mógł to zrobić. Kocham mój kraj i Bóg mi świadkiem, kocham Marynarkę. Jestem dobry w tym, co robię, bo w lataniu na *Tomcatach* wkładam całe serce i całą duszę. Lotnictwo izraelskie jest świetne, ale walczy o swój kraj, nie o mój. Przykro mi, ale nie sądzę, bym się tam na coś przydał.

Chalila położyła mu dłoń na policzku. - I właśnie za to cię kocham, Kevynie Dalton. Uśmiechnął się i zarumienił.

- Cieszę się, że... - urwał w pół słowa. Odwrócił się i spojrzął na południe.

- Co tam widzisz?

Uniósł prawą dłoń. - Czekaj. Słyszysz?

- Tak, teraz słyszę. Są.

Ciemnozielona bestia pędziła z prędkością dwustu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę na wysokości zaledwie sześciu metrów nad ziemią. Profil lotu odpowiadał nierównościom terenu. Maszyna reagowała na delikatne ruchy drążka; kapitan Amanda Green całą uwagę skupiła na utrzymaniu swego *Pave Hawka* tuż nad ziemią. Major Poole przekazał jej stery dziesięć minut temu.

*Apache* Delaneya leciał kilkaset metrów przed nią.

\* \* \*

Kapitan Orlando Delaney zerknął do tyłu, żeby się upewnić, czy śmigłowiec ratunkowy trzyma się na tej samej wysokości. Gdyby *Pave Hawk* pokpił sprawę, wznosząc się wyżej, trzymanie *Apache'a* tuż nad ziemią nie miałyby sensu. Uśmiechnął się. Pilot *Pave Hawka* jest dobry, pomyślał po chwili. Tym razem Delaney nie zamierzał ryzykować. Miejsce lądowania musi być czyste, zanim *Pave Hawk* w ogóle się tam zbliży.

Znów całą uwagę poświęcił swojej maszynie. W oddali dostrzegł wioskę, niezbyt wyraźnie widoczną w drgającym od upału powietrzu. Skontrolował swoją pozycję i się uśmiechnął. Dotarcie tutaj z bazy zajęło mu dziewięćdziesiąt minut i, jak dotąd, nie było żadnych problemów. Ciekawe, gdzie znajdują się *A-10*.

- Sandy, Sandy, ważka Dziewięć Dwa, odbiór.  
- Dziewięć Dwa, Sandy. Na miejscu za trzy minuty.  
- Roger, Sandy. - Delaney przełączył się na częstotliwość ratunkową. - Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery Alfa, tu Ważka Dziewięć Dwa.  
- Dziewięć Dwa, Wilcze Stado Dwa Jeden Cztery Alfa Widzimy cię.  
- Gdzie się znajdujesz, Jeden Cztery Alfa?  
- Południowa strona wsi, godzina jedenasta. Musisz nas już wi...  
- Widzę. Widzisz ich, Sześć Pięć?  
- Widzę, Dziewięć Dwa - odpowiedziała Amanda, podczas gdy Poole przejął stery *Pave Hawka*.

Delaney obserwował śmigłowiec ratunkowy, który zaczął okrążyć wieś.  
- Widzisz CSAR-a, Jeden Cztery Alfa?

- Widzę, Dziewięć Dwa.  
- Zaczynaj iść w stronę... - Przerwał w pół słowa, zobaczywszy w oddali jaskrawe błyski.  
- Ostrzał! Uciekaj stąd, Sześć Pięć! Opuść pole ostrzału! Jeden Cztery Alfa, kryj się!

Kevin złapał Chalilę za rękę i pobiegł w kierunku parowu. Ziemia za drżała, kiedy pierwsze pociski artyleryjskie trafiły w zabudowania po północnej stronie wsi. Zapanował chaos. Kobiety uciekały ze wsi z dziećmi na rękach.

- Skurwysyny! - Zwolnił kroku.  
- Nie ma czasu, Kevin! Musimy poszukać schronienia u stóp wzgórza! - Pociągnęła go za sobą.  
- Ale wieś, te kobiety...  
- Wiedzą, co robić w takiej sytuacji! Przed wieczorem dotrą do następnej wsi. Teraz nie możemy im pomóc. Ruszaj!

Przyśpieszył. Kiedy dotarli do parowu, obejrzał się i zobaczył *Apache'a*, lecącego w kierunku, z którego prowadzony był ogień.

\* \* \*

- Uaktywnij laser! - rozkazał Delaney, odwracając głowę w kierunku prowadzącego czołgu. System *TADS* automatycznie nałożył informacje alfanumeryczne i symbole na obraz, przekazywany przez kamerę i natychmiast przesłał to wszystko do elektronicznego wizjera w hełmie Delaneya i na monitor. W mgnieniu oka gotowe były informacje o rodzaju celu i odległości do niego.

- Cel namierzony - powiedział Rizzo, który - posługując się systemem *TADS* - naprowadził laserowy znacznik celu, zamontowany w wieżyczce pod nosem *Apache'a*, na pierwszy czołg.

- Rakiety *Hellfiré*

- Gotowe! - odpowiedział Rizzo.

- Ognia!

W ciągu trzech sekund silnik na paliwo stałe przyśpieszył trzydziesto-sześciokilogramową raketę do prędkości dźwięku.

Delaney przerzucił drążek sterowy w lewo, rzucając *Apache'a* w ciasny lewy skręt. Wieżyczka obróciła się w przeciwną stronę, automatycznie utrzymując promień lasera na prowadzącym czołgu.

Układ elektroniczny rakiety natychmiast namierzył wiązkę laserowego światła i zaczął wysyłać impulsy elektryczne do małych siłowników, które kontrolowały położenie brzechw ogonowych półtorametrowej rakiety, korygując trajektorię w reakcji na gwałtowne przyśpieszenie czołgu.

Delaney obejrzał się. Na twarzy pojawił mu się uśmiech, kiedy dziewięciokilogramowa głowica zerwała wieżę z prowadzącego czołgu Irakijczyków.

- Cel zniszczony, kapitanie!

Młody dowódca iracki pierwszy zareagował, kiedy czołg po jego lewej stronie został rozerwany na kawałki.

- Uciekać! Postawić zasłonę dymną!

Kierowca wdepnął pedał gazu w podłogę. Potężny dieslowski silnik rozpedził *T-72* do 50 kilometrów na godzinę. Wtedy kierowca uruchomił system wtryskujący olej napędowy bezpośrednio do rury wydechowej. Czołg skrył się w chmurze gęstego dymu.

Delaney obserwował pozostałe trzy czołgi, poruszające się każdy w innym kierunku. Jeden zniknął w kłębach dymu. Delaney wiedział, że z dwoma pozostałymi za chwilę będzie to samo.

Wybrał następnego cel i odpalił raketę. Trafiony. Zwrócił maszynę w kierunku trzeciego czołgu, który zaczynał właśnie stawiać zasłonę dymną.

- Dziewięć Dwa, Sześć Pięć. *Hind*, godzina szósta! - Delaney usłyszał w słuchawkach ostrzeżenie z *Pave Hawka*. Obejrzał się i dostrzegł śmigłowiec szturmowy jakieś sześćset metrów z tyłu, nieco po lewej. Dał pełne obroty i zszedł tuż nad ziemię. *Mi-24* nie dał się zwiść.

- Przygotowuje się do otwarcia ognia! - powiedział Rizzo.

Przeklinając w duchu *Hinda*, Delaney wychylił drążek z prawej na lewą i z powrotem, zmuszając maszynę do lotu ciasnymi zakosami. System TADS poinformował go o przegrzaniu lewego silnika, co oznaczało, że nawet układ chłodzenia spalin nie był w stanie ostudzić gorącego strumienia gazów w takim stopniu, żeby nie wykryły go naprowadzane na podczerwień rakiety *Hinda*. Niedobrze.

- Rakiety w powietrzu!

Uaktywnił się *AN/ALQ-144* - pulsacyjny promiennik podczerwieni, którego zadaniem było utrudniać trafienie pociskom rakietowym nieprzyjaciela. Podgrzewany elektrycznie blok ceramiczny, umieszczony tuż za piastą wirnika nośnego, wypromieniowywał intensywne impulsy ciepłe na znaczną odległość od śmigłowca. *Apache* zbliżał się do wzgórza z prędkością trzystu trzydziestu kilometrów na godzinę. Podczas gdy promiennik „oferował” nadlatującej rakiecie nowe, gorące cele, Delaney sięgnął do wyrzutnika *AN/ALE-39*. W ciągu następnych trzech sekund dziesięć flar termicznych wystrzeliło z pojemnika umieszczonego na końcu lewego skrzydła, prezentując rakiecie następne cele.

- Poszła za flarami!

Delaney, który dotąd wstrzymywał oddech, wypuścił powietrze z płuc. Dotarł do wzgórza i okrążył je teraz, trzymając maszynę jak najbliżej zboża. Przekonawszy się, że *Hind* znikł mu na razie z oczu, opuścił dźwignię skoku, zmniejszył obroty turbin, ściągnął na siebie drążek i energicznie wdepnął prawy pedał orczyka. Pas bezpieczeństwa werznął mu się w ciało, kiedy maszyna prawie stanęła w powietrzu i obróciła się o 180 stopni. Zwolnił nacisk na pedał i trzymał śmigłowiec w zawisie mniej niż trzy metry nad ziemią.

Uśmiechnął się na widok irackiego śmigłowca, nadlatującego z pełną prędkością. *Hind* zdołał przemknąć już przez połowę pola widzenia Delaney, zanim jego pilot zorientował się w manewrze Amerykanina. Iracki śmigłowiec zaczął pośpiesznie zawracać, ale Delaney zdążył już wysłać za nim naprowadzaną laserem rakietę *Hellfire*.

Delaney patrzył na smugę dymu pędzącą prosto w kierunku uciekającego śmigłowca. Głowica bojowa o masie dziewięciu kilogramów uderzyła w dyszę wylotową lewego silnika. Eksplozja była tak silna, że przebiła

gruby pancierz i zerwała wirnik z wału. Łopaty o średnicy 17 metrów poszybowały w powietrze, a ciężki kadłub irackiej maszyny spadł, eksplodując w momencie uderzenia.

Znów rozległy się odgłosy ognia artyleryjskiego; pozostałe dwa czołgi wznowiły ostrzał wioski. Delaney spostrzegł także ciężarówkę zmierzającą w stronę zabudowań.

Pchnął do góry dźwignię skoku i przesunął drążek. *Apache* wyrwał do przodu. Delaney widział tylko dwie chmury dymu, każda o średnicy około stu metrów. Zmarszczył brwi. W każdej był czołg. - Przełącz na podcierwień!

- Przełączam! - Rizzo przestawił układ wyszukiwania celu z kamery telewizyjnej na termowizyjną, którą skierował na bliższą zasłonę dymną. System *TADS* zrobił resztę, automatycznie kierując laser na źródło ciepła w środku chmury. - Mam go!

- Ognia!

Generał Abunnasr Manesz dostrzegł jaskrawy błysk, towarzyszący wystrzeleniu rakiety przez amerykański śmigłowiec. Rakieta poleciała w sam środek chmury dymu. Potężny wybuch, który nastąpił zaraz potem, powiedział mu, że amerykańska rakieta trafiła w cel. Spojrzał na dwa inne zniszczone czołgi i płonącego *Mi-24*. Ogarnął go gniew. Przerzucił swą maszynę na plecy i ściągnął drążek, schodząc i przyspieszając na dopalaczach. Palec trzymał na przycisku, umieszczonym na drążku sterowym.

Dojrzał kolejny błysk. Następną rakieta znalazła się w powietrzu. Po chwili ostatni czołg został zniszczony. Skierował maszynę na amerykański śmigłowiec i dokładnie wycelował. Kiedy *Apache* znalazł się na przecięciu nitek celownika, działko *Gsz-301* kalibru 30 milimetrów rzygnęło pociskami, wyrzucając je z szybkością tysiąca na minutę. Pierwsza seria poszła na prawo od celu, druga na lewo. Na twarzy Manesza pojawił się uśmiech, kiedy po trzeciej serii z amerykańskiego śmigłowca zaczęły się wydobywać kłęby dymu. Manesz wyprowadził myśliwiec z nurkowania, zawrócił i szykował się do ponownego otwarcia ognia.

- Awaria silnika! Wyłączam prawy! - Delaney spojrzął za siebie, ale niczego nie mógł dostrzec. Skierował wzrok na wysokościomierz. Dziewięćdziesiąt metrów. - Co za cholera do nas strzeliła? - zapytał, rozglądając się na wszystkie strony.

- Nie wiem, kapitanie. Nikogo nie widać!

Delaney zawrócił w stronę wzgórza. Napędzana już tylko jednym silnikiem maszyna stała się nagle bardzo ociężała.



- Pieprzony *MiG!* - zawołał Rizzo. - Godzina dziesiąta, w górze!
- Mam go! - Delaney odwrócił *Apache'a* w kierunku nadlatującego

*MiG-a*.

- *Hellfire* gotów!
- *MiG* strzela! - Iracki myśliwiec leciał prosto na nich, strzelając z

działka.

- Og... - Delaney zagałszy trzydziestomilimetrowe pociski, walące w opancerzoną kabinę *Apache'a*. Szkło armorlite, odporne na ostrzał pociskami kalibru do 23 mm, wytrzymało tylko pierwszy pocisk. Głowa Rizzo opadła bezwładnie. Pocisk trafił go w hełm.

Delaney jęknął z bólu, kiedy odłamki szkła raniły mu prawe ramię. Ignorując ból, wyłączył automatyczny namiernik celu i uchwycił nadlatującego *MiG-a* w celownik nahałmowy. Odpalił rakietę.

*MiG* odpadł ostro w lewo, kiedy rakietą *Hellfire* opuściła zewnętrzny węzeł uzbrojenia i przyspieszyła prawie do prędkości dźwięku.

Manesz zadarł nos *MiG-a* pionowo w górę i natychmiast zaczął wyrzucać flary i folię. Jednak naprowadzanego laserem pocisku *Hellfire* nie dało się zmylić w ten sposób. Generał włączył dopalacze i oba silniki *Tumański* wyrzuciły maszynę pionowo w górę. Wyrównał lot na wysokości czterech tysięcy pięciuset metrów. Rakiety nigdzie nie było. Zdołał jej uciec.

Kevin obserwował starcie, stojąc u stóp wzgórza. Nie zdziwiło go, że *MiG* wymknął się. *Apache* był w stanie odpalić tylko poddźwiękową rakietę klasy powietrze-ziemia. Ale przynajmniej zmusił *MiG-a* do przerwania ataku na śmigłowiec i ratowania się ucieczką. Pojawił się wreszcie *Pave Hawk*, który dotąd był poza zasięgiem wzroku. Nadlatywał także uszkodzony *Apache*.

- Idziemy, Chalila.
- Kevin, zaczekaj! Spójrz! - Wyciągnęła rękę do góry.

Kevin spojrzał i wstrzymał oddech, widząc *MiG-a-29* z zielonymi pasami na skrzydłach.

- To ten sam *MiG!*
- Ten, który...
- Tak! Ten sam skurwysyn, który mnie zestrzelił!

Mimo tumanów kurzu, wzbijanych przez śmigłowiec znajdujący się w zawisie trzy metry nad ziemią, Delaney także spostrzegł powracającego *MiG-a*. Powietrze, wpychane z wielką siłą przez wirnik do kabiny,

w której osłonie ziała wielka dziura, utrudniało Delaneyowi ruchy, jakby działały na niego wielkie przeciążenia. Ramię straszliwie zabolalo, kiedy ściągnął drążek, wdeptując równocześnie pedał orczyka. *Apache* znów znalazł się naprzeciw nadlatującego *MiG-a*. Delaney zwrócił głowę prosto na iracką maszynę. Czujniki umieszczone po obu stronach kabiny wykryły ruch jego hełmu i przekazały informację do działka *Hughes M230A1*, które odwróciło się w kierunku *MiG-a*. Działko zaczęło strzelać z szybkością ponad 600 pocisków na minutę. W myślach Delaney odliczał sekundy, zdając sobie sprawę, jak szybko wyczerpuje się amunicja. *Apache* miał tylko 1.200 pocisków.

Znów złapał *MiG-a* w celownik nahełmowy i uaktywnił rakietę *Hellfire*. Widział błyski ognia, wydobywające się z luf działka irackiej maszyny. Pociski zaczęły ryc ziemię pod śmigłowcem.

Laser sprzężony z celownikiem w hełmie rzucił na *MiG-a* wiązkę niewidzialnego światła.

Teraz!

Rakieta ruszyła w stronę *MiG-a*. Delaney nadal prowadził ogień z działka.

Manesz przerwał ogień i odszedł ostro w lewo. Znów zaczął się pięć pionowo w górę. Obejrzał się za siebie, kiedy wysokościomierz minął cztery tysiące pięćset metrów. Rakiety nie było.

Rozejrzał się po niebie, ale nigdzie nie mógł jej dostrzec. Nicco zdziwiony, wyrównał i po raz trzeci ruszył do ataku.

Orlando Delaney zmarszczył brwi. Wiedział, że próba zestrzelenia *MiG-a* powolną raketą *Hellfire* miała małe szanse powodzenia, ale nie dysponował inną bronią. Patrzył na powracającego *MiG-a*, którego działko znów strzelało. Ustawił *Apache'a* przodem do myśliwca, wycelował, odpalił raketę i rozpoczął ogień z działka. Wkrótce z rozgrzanej do czerwoności lufy wyleciał ostatni pocisk. Rakieta *Hellfire* kontynuowała lot.

Delaney zaczął mówić przez radio. - Sandy, Sandy, Ważka Dziewięć Dwa, gdzie, do kurwy nędzy, jesteście?

- Dziewięć Dwa, Sandy Osiem Zero. Będę u ciebie za trzydzieści sekund.

Manesz miał już dość tej zabawy. Znów ściągnął drążek sterowy i dał pełny ciąg. *MiG* ruszył w niebo na dopalaczach.

- Sześć Pięć, Dziewięć Dwa, odbiór.

- Słucham cię, Dziewięć Dwa - odpowiedział *Pave Hawk*.

- Teraz albo nigdy! Zabierajcie ich!

- Roger.

Delaney bacznie obserwował światełka ostrzegawcze na panelu kontrolnym. Lecąc na jednym silniku, zawrócił w kierunku wsi.

Pozbywszy się rakiety, Manesz zawrócił i po raz czwarty ruszył do ataku. Amerykański śmigłowiec szturmowy leciał powoli w kierunku drugiego śmigłowca, zbliżającego się do przesieki. Postanowił zaatakować większą maszynę. Pchnął drążek sterowy w jej kierunku i otworzył ogień.

Świat eksplodował wokół Amandy Green. Posypał się na nią grad odłamków szkła. Kątem oka spostrzegła, że Poole zwisa bezwładnie w pasach. W tym samym momencie poczuła silny ból w prawym udzie. Opuściła wzrok i zobaczyła, że po kombinezonie spływa jej krew. O Boże, też jestem ranna!

Oddychając głęboko, położyła prawą rękę na drążku, lewą na dźwigni skoku, a stopy wparła w pedały orczyka. Zranioną nogę przeszył ostry ból, ale całą siłą woli zmusiła się, by o nim zapomnieć. Nie miała wyboru, musiała panować nad zbliżającym się do wsi *Pave Hawkiem*.

*MiG* nieoczekiwanie przerwał ostrzał. Spojrzała na tablicę wskaźników, szukając świateł ostrzegawczych, ale obie turbiny były w porządku.

Manesz przeklinał pecha, kiedy wystrzelił ostatni pocisk. Nie miał już czym walczyć. Wychodząc z nurkowania, kątem oka dostrzegł jakiś ruch. *A-10!* Dwa samoloty szturmowe zbliżały się do niego.

Miotając przekleństwa odepchnął drążek, wyrównał lot i ruszył do bazy na dopalaczach.

Kevin Dalton spostrzegł śmigłowiec ratunkowy w momencie, kiedy nad głowę przeleciały mu dwa *A-10*. Pokręcił głową z rezygnacją, wiedząc, że te poddźwiękowe ciężko opancerzone maszyny nigdy nie zdołają doścignąć *MiG-a-29*. Skoncentrował uwagę na śmigłowcu. Tym razem nic już nie mówił; po prostu pociągnął Chalilę za rękę i pobiegł.

- Zaczekaj, dokąd...

- To nasza szansa. Popatrz! - krzyknął, pokazując przesiekę na północ od wsi. Jechało w tamtym kierunku kilka ciężarówek i dżipów. - Iracka piechota. Czołgów nigdy nie wysyła się bez piechoty! Za chwilę będą tu żołnierze.

Pobiegli od wzgórza w kierunku śmigłowca, który zawisł między nimi a parowem niecałe pół metra nad ziemią. Kevin nie zauważył, kiedy Chalila puściła jego rękę.

Nie odwracał się. Całą uwagę skupił wyłącznie na dotarciu do śmigłowca. Strzelec pokładowy prowadził ogień z obrotowego karabinu maszynowego *M134* nad głowę Kevina, żeby choć na chwilę powstrzymać nacierających Irakijczyków. Dwaj ludzie w mundurach polowych, z *M-16* w rękach, wyskoczyli ze śmigłowca i podbiegli w jego kierunku, dając mu znaki, żeby się pośpieszył. Kevin nie był jednak w stanie biec prędkiej. Ból rany postrzałowej przeszywał go przy każdym kroku. Kiedy wreszcie znalazł się w pobliżu śmigłowca, piasek poderwany wirnikiem zasypał mu oczy.

- Prędkiej, prędkiej! - Jeden z ludzi w polowych mundurach stanął przed śmigłowcem, wycelował w Irakijczyków i otworzył ogień.

Kevin zrobił jeszcze kilka kroków i całym ciałem rzucił się do przodu. Ramię zapiekło go, kiedy uderzył o opancerzoną podłogę śmigłowca. Był zupełnie zdezorientowany. Wlepił wzrok w strzelca, który miał na głowie hełm z opuszczoną zieloną przesłoną.

- W porządku, odlatujemy! - krzyknął strzelec. Dwaj ludzie z *M-16* wskoczyli do śmigłowca, kiedy już zaczynał się unosić. Strzelec odwrócił się do swojego *M134 Minigun*, osłaniając odwrót.

- Nie, nie... Nie możemy jeszcze odlecieć - wykrztusił Kevin, ale nikt go nie słyszał.

Zdesperowany Kevin zerwał się i skoczył do drzwi. Jeden z żołnierzy zdążył go złapać.

- Spokojnie, poruczniku. Już prawie jesteście w domu.

- Nie, nie rozumiecie. Kobieta... Musimy poczekać na tę kobietę!

- Kobieta? Tę pan ma na myśli? - Wskazał na sylwetkę, biegnącą przez strumień w kierunku wzgórz na zachód od wsi. Zatrzymała się na chwilę i odwróciła.

Kevin patrzył na Chalilę, która uniosła rękę i pomachała.

- Sir, ta kobieta zatrzymała się w połowie drogi do śmigłowca i pobiegła w kierunku strumienia.

- Nie! To niemożliwe! Przecież chciała... Do diabła! Ona musi się zabrać z nami!

Strzelec przyłączył się do żołnierza i wspólnymi siłami przytrzymali Kevina.

- Sir, nie możemy zawrócić. Tam jest zbyt niebezpiecznie!

Kevin nie odpowiedział. W głowie miał chaos. Dlaczego, Chalilo? Dlaczego to zrobiłaś? Ogarnęła go czarna rozpacz; był bliski szaleństwa. Nie ma jej. Postanowiła tam zostać.

- Wszystko będzie dobrze, poruczniku. Obejrzę teraz pańską nogę i spróbuję zatamować krwawienie. Proszę się odprężyć. Jest pan bezpieczny.

Kevin ledwie go słyszał. To już nie miało znaczenia. Chciał powiedzieć, że nic go to nie obchodzi, że mają go zostawić w spokoju, ale nie mógł wydobyć głosu. Poczł się straszliwie osamotniony. Było mu zimno, kręciło mu się w głowie. Patrzył na twarz strzelca pokładowego i ta twarz jakby odpływała coraz dalej i dalej, ginęła w długim, wąskim tunelu, poza którym nic już nie było. A potem wszystko stało się niewyraźne i zaległa cisza. Głowa Kevina uderzyła w podłogę śmigłowca.

Orlando Delaney znalazł się pod ostrzałem. Żołnierze irackiej piechoty otworzyli ogień, zbliżywszy się do pozostającego w zawisie śmigłowca. Kapitan pomyślał, że stracił za dużo czasu, przyglądając się, jak *Pave Hawk* ewakuje pilota Marynarki. Teraz pociski odbijały się rykoszetem od opancerzonego kadłuba.

- Sandy, Ważka Dziewięć Dwa. Gdzie się, do diabła, podziewacie?! - krzyknął, odpychając drążek, żeby odsunąć się od strzelających żołnierzy.

- Jesteśmy nad tobą. Robimy nawrót i oczyścimy teren!

Delaney dostrzegł parę *A-10*, robiącą szeroki skręt wokół przesieki. Nagle drążek sterowy zadrżał mu w ręku, jakby wymknął się spod kontroli. Zablokował dźwignię skoku i dźwignię ciągu, po czym chwycił drążek obydwoma rękami. Doskonale wiedział, co się stało. Pociski uszkodziły elektronikę automatycznego, cyfrowego układu stabilizacji; układu, który ułatwiał manewrowanie śmigłowcem, wspomagając ruchy pilota. Bez tego wspomaganie, sterowanie śmigłowcem było znacznie trudniejsze, ponieważ wymagało od Delaneya większej siły fizycznej.

Żołnierze strzelali jeszcze kilka sekund, dopóki nie nadleciały *A-10*. Delaney przesunął drążek w lewo, żeby zbliżyć się do wzgórza. Zmniejszył wysokość do trzech metrów i zaczął lecieć zygzakiem. Kiedy dotarł do wzgórza, skręcił w lewo i zaczął lecieć pod górę, równoległe do zbocza. O kurwa!

Zaskoczony Delaney spostrzegł Irakijczyków, którzy zaczęli się w dwóch dżipach, ustawionych za załomem skalnym. Karabiny maszynowe, zamontowane na dżipach, mierzyły prosto w *Apachéa*.

Delaney zareagował najszybciej, jak mógł. Ponieważ leciał tylko na jednym silniku, wznoszenie miał niewielkie i kiedy Irakijczycy otworzyli ogień, zawracał już, uciekając w dół, równoległe do zbocza. Większość pocisków chybiła, ale kilka wpadło do wlotu powietrza lewej turbiny, eksplodując w momencie uderzenia w wirujące łopatki. Natychmiast zapaliły

się czerwone światła. System ostrzegawczy wyświetlił pulsujący komunikat, nakazujący pilotowi zwolnienie dźwigni skoku i wejście w autorotację.

Delaney sprawdził wysokość. Trzydzieści metrów. Opuścił dźwignię skoku i zaczął się ześlizgiwać w kierunku podstawy wzgórza na końcu przesieki, na północ od wsi. Zmarszczył brwi, spostrzegłszy terenowy pojazd, pędzący w jego kierunku. Oba *A-10* były jeszcze zajęte inną grupą żołnierzy irackich, bliżej wsi.

- Sandy! Chodź tu szybko! - krzyknął do mikrofonu, w momencie gdy *Apache* uderzył o ziemię mniej niż piętnaście metrów od skalistego wzgórza. Terenowy pojazd zatrzymał się z piskiem opon zaledwie trzy metry od śmigłowca, pod obracającym się jeszcze wirnikiem.

Delaney był ranny. Prawe ramię bolało go i wciąż krwawiło. Poczul dreszcze i zawroty głowy. Tracił siły. Obraz przed oczami zaczął się mu zacierać. Zamrugał kilka razy i trzech żołnierze w dziapie znów stali się wyraźnie widoczni.

Żołnierze wyskoczyli z pojazdu, trzymając w rękach *Katasznikowy*. Gestami nakazywali mu wyjść z maszyny. Delaney udawał, że jest poważnie ranny i siedział z opuszczoną głową. Prawą ręką powoli sięgnął do boku i wyciągnął czterdziestkępiątkę z kabury.

Kątem oka Delaney zobaczył nadlatujące łukiem *A-10*, ale wiedział, że niewiele mogły dla niego zrobić w sytuacji, kiedy żołnierze iraccy stali tak blisko *Apache'a*.

Irakijczycy spojrzeli po sobie, a potem dwóch z nich wspięło się po stopniach na kadłubie śmigłowca. Delaney postanowił poczekać jeszcze kilka sekund. Żołnierze zaczęli uderzać kolbami w kuloodporne szyby kabiny. Delaney zamknął oczy. Każde walnięcie w szybę zdawało się przyspieszać mu rytm serca. Przez chwilę czuł się tak, jak wtedy, w Willoma. Była noc. Ludzie w białych szatach tłukli w okna ciężarówki ojca, dziewczyna krzyczała przerażona. Delaney miał broń w ręku. Widział wrzeszczących drani z Ku-Klux-Klanu. Dla zabawy chcieli sobie powiesić parę czarnuchów. Skurwysyny! Jesteście bandą pieprzonych skurwysynów!

Delaney otworzył oczy i zobaczył, że trzeci żołnierz podszedł do dziapa i wyciągał właśnie ręczną wyrzutnię rakietowych pocisków przeciwpancernych.

Delaney podniósł głowę i spojrzał wyzywająco na Irakijczyków. Tego czarnucha nie dostaniecie, skurwysyny! Jednym szybkim ruchem sięgnął do dźwigni mechanizmu awaryjnego odrzucania osłony kabiny, umieszczonej w górnym prawym rogu tablicy przyrządów. Pociągnął dźwignię i przekręcił o dziewięćdziesiąt stopni zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ładunki wybuchowe wyrzuciły na zewnątrz drzwi i okna, zabijając przy okazji obu

Irakijczyków. Żołnierze upadli kilka metrów od maszyny. Trzeci Irakijczyk, zupełnie zaskoczony, dopiero po kilku sekundach skierował na Delaneya wyrzutnię pocisków przeciwpancernych. Orlando Delaney nie potrzebował więcej czasu. Raz po raz zaciskał palec na języku spustowym *Colta*, strzelając tak, jak kiedyś, dawno temu, w innym kraju i z innego powodu. Lufa pistoletu zrobiła się gorąca. Delaney czuł, że siły go opuszczają. Tracił krew w zastraszającym tempie, ale nie mógł przestać strzelać. Nie da się wziąć żywcem. Irakijczycy, czy Ku-Klux-Klan, w tej chwili było mu wszystko jedno. Nie powieszają go.

Łuski wylatywały z czterdziestki i pięćdziesiątki na prawo. Delaney z trudem utrzymywał broń. Obraz przed oczami zaczął mu się zamazywać, ale zdążył jeszcze zobaczyć, jak ostatni z Irakijczyków wyprężył się, a potem pada na ziemię obok swych poległych kolegów.

Amanda Green spostrzegła dymiącego *Apache'a* na ziemi i natychmiast przesunęła drążek sterowy w jego kierunku.

- Sandy, Sześć Pięć. Oslaniajcie mnie! - krzyknęła, prowadząc *Pave Hawka* sześć metrów nad ziemią.

- Oslaniamy cię, Sześć Pięć - natychmiast nadeszła odpowiedź. Piasek poderwany wielkim wirnikiem wpadł do kabiny przez wielką dziurę, którą wyrwał pocisk *MiG-a*, pogarszając widoczność. Amanda zbliżyła się na piętnaście metrów do *Apache'a* i dotknęła podwoziem ziemi. Utrzymywała wysokie obroty wirnika, żeby móc w każdej chwili wystartować.

Dwóch żołnierzy podbiegło do *Apache'a*, wspięło się po schodkach i wyciągnęło z kabiny nieprzytomnego pilota. Znów posypały się pociski. Amanda gorączkowo rozejrzała się na wszystkie strony. Irakijczycy strzelali do nich, ukryci za skałami mniej więcej w połowie wzgórza. Pociski rykoszetem odbijały się od śmigłowca.

- Jezu, Sandy! Zdejmij mi tych idiotów z karku! Godzina dziewiąta, w górze!

- Roger.

Żołnierze zbliżali się właśnie z powrotem do *Pave Hawka*, a strzelec pokładowy zasypywał wzgórze pociskami, kiedy dwa *A-10* wreszcie otworzyły ogień z działek. Amanda zobaczyła z przerażeniem, że jeden z powracających żołnierzy pada. Drugi, kulejąc, ciągnął nieprzytomnego pilota *Apache'a*.

Strzelec pokładowy wyskoczył na zewnątrz, żeby mu pomóc. Trzydzieści sekund później wszyscy byli już na pokładzie. Amanda przesunęła do góry dźwignię skoku, zwiększyła obroty i odepchnęła nieco drążek sterowy. *Pave Hawk* ruszył w kierunku Arabii Saudyjskiej.

Trzydzieści minut później Amanda Green poczuła, że robi jej się zimno. Prawa ręka drżała jej na drążku sterowym. Mimo prowizorycznego opatrunku uciskowego, który sobie założyła, cały czas krwawiła z rany na udzie. Do tego wszystkiego, powietrze włączane do dziurawej kabiny przez wirnik poważnie utrudniało sterowanie śmigłowcem, wymuszając wkładanie w każdy ruch dużej siły.

Ze wzrokiem utkwionym w linię horyzontu na południu, leciała w kierunku Arabii Saudyjskiej z prędkością 340 kilometrów na godzinę, nie więcej niż piętnaście metrów nad piaskami pustyni. Oba A-10 odleciały uzupełnić paliwo.

Zmusiła się do myślenia. Do granicy miała coraz bliżej, już tylko siedemdziesiąt kilometrów. Siedemdziesiąt kilometrów, Amando, powtórzyła w myślach. Jeśli tylko zdoła dolecieć do granicy, ktoś będzie już tam może czekał i zabierze ich do bazy. To oznaczało, że musi jakoś wytrzymać jeszcze niecałe piętnaście minut.

Piętnaście minut! Jezu Chryste! Boję się, że nie wytrzymam tak długo! Rana w nodze krwawiła. Amanda sięgnęła po mikrofon.

- Orle Gniazdo... Orle Gniazdo, tu Tango... Sześć... Pięć. Obawiam się, że nie... dam rady. Mocno... krwawię. Robi mi się... strasznie zimno.

- Trzymaj się, Sześć Pięć. Jesteś już prawie w domu.

- Nie - odpowiedziała monotonnemu głosowi, docierającemu przez słuchawki z bazy. - Obawiam się, że... że nie...

Robert Bourdeaux i pułkownik Peter Halston stali za radiooperatorem, przysłuchując się tej rozmowie przez głośnik. Halston wszedł do namiotu z Kramerem i Delgado zaledwie dziesięć minut temu, zaraz po powrocie z ich krótkiego lotu.

- Porozmawiaj z nią, Pete - powiedział Bourdeaux. - Potrzebuje jakiegoś znajomego głosu.

Halston rozejrzył się dookoła. W namiocie punktu łączności gromadziło się coraz więcej ludzi. Wziął mikrofon od radiooperatora i uniośł do ust.

- Kapitan Green? Tu pułkownik Peter Halston. Niech się pani trzyma. Jest już pani prawie...

- Do diabła, Pete! - krzyknął Bourdeaux. Wszyscy dookoła spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Przestań pieprzyć bzdury, człowieku! Porozmawiaj z nią! Ona cię potrzebuje!

Halston przymknął oczy i odetchnął głęboko. - Amanda? Tu Pete. Słuchaj, musisz wytrzymać! Nie poddawaj się!



- Już nie mogę... Nawet nie wiem, czy uda mi się... posadzić maszynę... tutaj.

- Nie, Pete! - powiedział Bourdeaux. - Nie pozwól jej tam lądować! Leci w tej chwili dokładnie nad tymi cholernymi dywizjami irackimi, przemieszczającymi się na południe!

Halston zacisnął dłoń na mikrofonie. - Amanda, nie ląduj teraz! O Boże, proszę cię, nie ląduj! Lecisz nad wojskami irackimi. Trzymaj się! Dasz radę, zobaczysz!

- Nie mogę... Pete... nie...

- Do diabła ciężkiego, Amanda! Nie zostawisz mnie tu samego! Słyszysz? Nie umrzesz! Weź się w garść, do cholery! Masz ojca i matkę, którzy tak cię kochają! Masz braci, którym tak na tobie zależy! Nie poddawaj się! Skoncentruj się!

- Pete... zimno mi... tak mi zimno...

- Wiem. Ale poradzisz sobie. Musisz sobie poradzić! Jaką masz wysokość?

- Piętnaście metrów.

- Kierunek lotu?

- Jeden... siedem... zero.

Halston zerknął w prawo, na radiooperatora. Ten uniósł kciuk.

- Kierunek lotu prawidłowy. Tak trzymaj. Lecisz prosto na obóz jednostki pancernej zaraz za granicą. Dwa śmigłowce są już w drodze. Zabiorą was stamtąd i przerzucą tutaj. Lekarz jest na pokładzie

- Boże, jak boli... Mam dreszcze...

Halston poczuł, że ogarnia go rozpacz. Łzy napłynęły mu do oczu. Z trudem nad sobą panował, szukając właściwych słów.

- Amanda, do naszych czołgów masz już tylko niecałe dwadzieścia kilometrów. Wytrzymaj, to już niedaleko. Za jakąś minutę powinnaś zobaczyć czołgistów. Wytrzymaj! Wiem, że potrafisz. Proszę, nie poddawaj się!

- Przykro mi... Już nie...

Halston opuścił mikrofon i stał z zaciśniętymi ustami. Serce mu łomotało. Rozejrzał się dookoła. Wszyscy przyglądali mu się w napięciu. Podjął decyzję i z powrotem uniósł mikrofon. Łzy spływały mu po twarzy. - Kocham cię, do cholery! Słyszysz mnie, Amando Green? Powiedziałem, że cię kocham i że cię potrzebuję! Straciłem kiedyś kogoś, kogo bardzo kochałem; błagam cię, nie każ mi tego przeżywać jeszcze raz! Proszę, wróć do mnie.

Kapitan Amanda Green oddychała głęboko, targana bólem. Ale ze słuchawek docierały słowa mężczyzny, którego kochała. Nie chciała umierać. Do diabła, jestem jeszcze za młoda! Nie mogę teraz umrzeć! On mnie kocha!

I Amanda nie poddawała się. Była zdecydowana pozostać przy życiu. Zamrugała kilka razy, kiedy obraz przed oczami zaczął jej się zamazywać. Nie mogła do tego dopuścić. Wzrok był niezbędny. Musiała dostrzec... Widzę! Jest obóz!

Adrenalina we krwi pomogła jej skoncentrować się na lądowaniu. Zmniejszyła obroty i opuściła dźwignię skoku, delikatnie odpychając jednocześnie drążek sterowy. *Pave Hawk* zaczął obniżać wysokość. Skoncentrowała uwagę na lądowaniu. Łzy napłynęły jej do oczu i nie była już w stanie odczytywać wskazań przyrządów. Leciąca na wycucie, zdając się na swój instynkt pilota. *Pave Hawk* kontaktował się z nią za pomocą drążka sterowego, dźwigni skoku, pedałów. Stał się jakby częścią jej samej. Był ranny, tak jak ona, walczył, żeby wrócić do domu, żeby się nie załamać, nie przepaść... *Pave Hawk* mówił do niej, mówił, kiedy trzeba zwiększyć ciąg, kiedy skorygować położenie dźwigni skoku, kiedy trochę głębiej wcisnąć pedał orczyka. Dla Amandy było to zupełnie nowe doświadczenie. *Pave Hawk* naprawdę mówił jej, co trzeba zrobić. Mówił, jak dolecieć do domu. Tak jak ona, nie chciał umrzeć, pokonawszy tyle przeciwności i mając już tak niewiele drogi do przebycia.

I lecieli razem. Maszyna i pilot. Pilot i maszyna. Tworzyli jedność, kiedy przelatywali nad ogrodzeniem, dotarli nad płytę lotniska, zawisli trzy metry nad ziemią, a potem powoli, bardzo powoli wylądowali.

Amanda Green była niezdolna do najmniejszego ruchu. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, była para rąk, które wyciągały ją z kabiny. Potem wszystko gdzieś odplynęło.

# 17.

## Sygnaly ostrzegawcze

### ♦ Dzień szósty, 9.00 czasu lokalnego - Biały Dom

Sekretarz obrony zapoznał prezydenta Clintona z najnowszymi ruchami wojsk irackich. Gwardia Republikańska zwolniła, zbliżając się do granicy z Kuwejtem i Arabią Saudyjską, a w końcu zatrzymała się zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów przed granicą. Siły amerykańskie w tym regionie wzmocniono o 7.500 żołnierzy piechoty morskiej, dodatkowe samoloty i czołgi oraz grupę bojową okrętów z lotniskowcem USS „Kennedy” na Morzu Śródziemnym. Nie natrafiono jednak dotąd na jakikolwiek ślad irackich rakiet z głowicami atomowymi.

Czyżby był to po prostu wielki blef, mający ośmieszyć moją administrację w oczach całego świata? Nie, Clinton odrzucił tę tezę. Saddam nie ryzykowałby następnych cięgow, takich jakie dostał podczas Pustynnej Burzy, gdyby nie miał w zanadru broni atomowej. A może jednak? Nie ulegało kwestii, że iracki przywódca nieraz dokonywał najdziwniejszych posunięć, które nie przynosiły żadnych wyraźnych korzyści strategicznych.

Na co on czeka?

Clinton chciałby wierzyć, że rakiety Saddama nie były jeszcze gotowe. Istniała jednak również możliwość - i tej prezydent USA obawiał się najbardziej - że przywódca Iraku dysponował już kilkoma raketami i po prostu montował następne, chcąc dołączyć do grona mocarstw atomowych.

Według wstępnych danych, które CIA uzyskała w archiwach KOIF, budowa Allahbadu pochłonęła znacznie więcej materiałów niż budowa

podobnego obiektu pod Bagdadem i trwała znacznie dłużej. Zdawało się to potwierdzać tezę CIA o podziemnym laboratorium. Jednak Draper był wciąż odmiennego zdania. Sekretarz stanu uważał, że informacje są jeszcze zbyt skąpe, by wyciągać z nich jednoznaczne wnioski. Departament Obrony domagał się niezwłocznego przeprowadzenia następnego ataku. Podczas niedawnej narady przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów szczegółowo zapoznał Clintona z najnowszym planem ataku na wypadek wybuchu wojny na łądzie.

Jednak prezydent nie chciał wojny, ponieważ nie była potrzebna. Chciał po prostu wyeliminować nuklearne rakiety Saddama i zapędzić irackiego dyktatora z powrotem do jego nory w Bagdadzie.

Postanowił, że zaczeka jeszcze trochę, przynajmniej dopóki CIA nie ukończy przeszukiwania swoich archiwów.

Były i dobre wiadomości. Prezydent dowiedział się właśnie, że pilot *F-14*, zestrzelonego nad Irakiem, został uratowany i przetransportowany do bazy lotniczej na północy Arabii Saudyjskiej. Nie odzyskał jednak dotąd przytomności. Prezydent modlił się o szybki powrót do zdrowia pilota i tych, którzy zostali ranni podczas operacji ewakuacyjnej.

#### ♦ **Dzień szósty, 17.00 czasu lokalnego – baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem**

Światło stawało się coraz jaśniejsze, ale potem gdzieś się oddaliło. Twarz lekarza.

- Nic mu nie będzie, sir. Stracił tylko mnóstwo krwi. Parę transfuzji i poczuje się znacznie lepiej.

- Dziękuję, doktorze - odpowiedział inny głos. - Czy jest na tyle przytomny, żeby rozumieć, co się do niego mówi?

- Wątpię, ale proszę spróbować - odparł lekarz, odchodząc. Jego miejsce zajęła twarz kogoś obcego.

- Poruczniku Dalton... Poruczniku Dalton, jeśli mnie pan słyszy, proszę mrugnąć. Raz na tak i dwa razy na nie. Rozumie pan?

Kevin mrugnął jeden raz.

- Świetnie. Jestem pułkownik Peter Halston z Sił Powietrznych USA. Pamięta pan, co się z panem stało?

Kevin ponownie mrugnął.

- Jakaś kobieta posłużyła się pańskim radiem, żeby przekazać nam pańską pozycję. Gdzie ona teraz jest?

Kevin nie odpowiedział. Pustym wzrokiem patrzył gdzieś w przestrzeń. Chalila... dlaczego? Wrócił myślami do chwili, w której zdał sobie sprawę,

że nie ma jej na pokładzie śmigłowca. Jej dotyk, jej oczy jej zapach... Nie było nic. Kevin poczuł się straszliwie osamotniony. Odwrócił głowę i przymknął oczy.

Halston pokręcił głową, zdając sobie sprawę, co musiał przejść ten pilot. Postanowił poczekać. Niech lekarze przetoczą mu więcej krwi, niech się prześpi jeszcze kilka godzin. Zaczął się odwracać, kiedy zauważył, że po policzku Kevina spływa łza. Halston miał świeżo w pamięci relację strzelca pokładowego z *Pave Hawka*. Kevina trudno było utrzymać, kiedy już znalazł się na pokładzie śmigłowca. Strzelec mówił, że porucznik bez przerwy krzychał coś o kobiecie imieniem Chalila. Z relacji strzelca wynikało też, że jakaś kobieta biegła razem z Kevinem w stronę śmigłowca, ale zatrzymała się w połowie drogi i ruszyła w inną stronę.

Dziwne, pomyślał Halston. Dlaczego to zrobiła? Zwłaszcza tam, gdzie aż się roilo od wojsk irackich. Halston zastanawiał się, czy była to ta sama kobieta, która rozmawiała przez radio.

Jeszcze jedna sprawa nurtowała Halstona. Jak Irakijczykom udało się tak szybko wysłać tam czołgi, *Hinda* i *MiG-a-29*? Wiedział, że Irakijczycy prowadzą ciągły nasłuch na częstotliwości ratunkowej. Mogli więc ustalić punkt ewakuacji, ale tak szybko? Przecież ekipa ewakuacyjna miała już za sobą kawał drogi, kiedy Delgado nawiązał kontakt z Daltonem. Może odpowiedzialność ponosiła tamta kobieta? Halston zmarszczył brwi. To by oczywiście wyjaśniało, dlaczego nie wsiadła do śmigłowca. Jednak z drugiej strony, Dalton mógł nas bez trudu ostrzec, kiedy Delgado zapytał go o tatuaż na swoim ramieniu. Tymczasem Dalton wyraźnie podkreślił, że to nie pułapka. Chyba że... ta kobieta i jego wywiodła w pole. Halston spojrzął na pilota Marynarki i spróbował postawić się na jego miejscu: ranny, opuszczony, samotny, na terytorium nieprzyjaciela. Nie zna miejscowego języka i na każdym kroku rzuca się w oczy. Wtedy ta kobieta jakoś nawiązuje z nim kontakt, prawdopodobnie udając Kurdyjkę, albo członkinię jakiegoś ugrupowania wrogiego władzom Iraku i oferuje pomoc. I oto jest tłumaczka, przyjaciel, ktoś, kto może pomóc się stamtąd wydostać. Przez twarz Halstona przemknął uśmiech. Ta teoria pasowała do faktów, ale postanowił wstrzymać się z wyciąganiem wniosków, dopóki porucznik nie poczuje się lepiej.

Podszedł do łóżka sąsiadującego z łóżkiem Daltona. Amanda była w podobnym stanie. Straciła mnóstwo krwi i wciąż była nieprzytomna. To cud, że zdołała dolecieć z powrotem, ranna, z potrzaskaną kabiną śmigłowca. Jest niezrównana. Delaney, Rizzo i jeden żołnierzy z oddziałów specjalnych

wciąż jeszcze byli na sali operacyjnej. Poole zginął na miejscu. Rizzo miał szczęście; przeżył tylko dzięki temu, że pocisk odbił mu się od hełmu.

Halston przyklęknął koło dziewczyny i wziął ją za rękę. - Dziękuję, Amando. Dziękuję, że do mnie wróciłaś - szepnął.

- Pete... - Otworzyła oczy.

Halston z trudem powstrzymywał łzy. - Tak, kochanie. To ja. Jestem tu, z tobą.

Uśmiechnęła się. - Dziękuję.

- Nie, kochanie. To ja ci dziękuję, że wróciłaś. Boże, przez chwilę myślałem, że...

Położyła mu dłoń na ustach. - Wiem. Ja też cię kocham.

Został z nią jeszcze dziesięć minut, do czasu, kiedy znów zasnęła.

Halston wstał i spojrzął na sanitariusza. - Zawołaj mnie natychmiast, kiedy tylko się obudzi.

- Tak jest!

Halston wyszedł z namiotu szpitalnego i ruszył do Drapera. Popołudniowe słońce oślepiało go. Założył okulary przeciwsłoneczne. Kramer i Delgado stali obok dżipa. Podszedł do nich.

- Jak się czują, sir? - zapytał Delgado.

- Nic im nie będzie. Za parę godzin oboje będą zupełnie przytomni. Lekarz mówi, że Dalton stracił mnóstwo krwi. Amanda jest w lepszym stanie. Właśnie rozmawiałem z nią przez kilka minut.

- Możemy teraz do nich pójść, sir? - zapytał Delgado z prośbą w głosie.

Halston uśmiechnął się. - Myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie. - Minął ich i poszedł dalej.

- No i? Co on ma do powiedzenia na swoją obronę? - spytał Draper w momencie, kiedy Halston wszedł do jego namiotu.

- Nie będzie specjalnie rozmowny, dopóki nie odzyska przytomności, sir.

- Postawił pan straż przy jego łóżku?

- Nie, sir. Niby po co?

Draper wzruszył ramionami. - W porządku, nie zamierzam się o to spierać. To pan za niego odpowiada, nie ja.

- Z całym szacunkiem, sir, ale jeśli nie zna pan najnowszych wydarzeń, to proszę przyjąć do wiadomości, że to porucznik Dalton się z nami skontaktował. To on podbiegł do śmigłowca i wskoczył na pokład. Czy to bez znaczenia? Czy nie daje mu to prawa, by traktować go jak pilota, dopóki sąd wojskowy nie orzeknie o jego winie, o ile w ogóle uzna go winnym?

Draper nawet nie mrugnął. - Przybyłem do tej zakazanej dziury tylko po to, żeby dopilnować operacji Pustynna Gwiazda. Reszta, to pański biznes.

Halston zacisnął pięści. Opanuj się. Nie daj mu się wyprowadzić z równowagi. Niedługo już go tu nie będzie. - Prosił pan, żeby go poinformować o stanie porucznika Daltona. Właśnie to zrobiłem. Ma pan jeszcze jakieś...?

- To wszystko, pułkowniku.

Halston powoli odwrócił się i wyszedł z namiotu.

- *Madre de Dios*, Szurnięty. Blando wyglądasz! Co się tam z tobą działo?

- Chico... hej!

Delgado przyklęknął koło łóżka i złapał Kevina za rękę.

- Dojdiesz do siebie. Widzisz to? - pokazał na plastikowy przewód kroplówki. - Człowieku, dają ci mnóstwo krwi. Za parę godzin będziesz skakał jak jelonek. - Delgado dostrzegł blady uśmiech na posiniaczonej twarzy Kevina.

- Wątpię... ale dziękuję ci.

- Może czegoś ci potrzeba, *hermano*? Mów śmiało.

- Pić...

Delgado zerwał się z klęczek i spojrzał na sanitariusza. - Słyszałeś? Przynieś trochę wody!

Sanitariusz nalał wody z plastikowego pojemnika do papierowego kubka.

- Proszę bardzo, sir.

Delgado znów przyklęknął i przytknął Kevinowi kubek do ust.

- Tylko powoli, człowieku. Nie więcej niż kilka łyków.

Kevin zakrztusił się już przy pierwszym łyku. Delgado spojrzał na podłogę, szukając miejsca, żeby odstawić kubek. Kiedy z powrotem podniósł wzrok, Kevin miał oczy zamknięte.

- Lekarz mówił, że twój kumpel będzie w takim stanie jeszcze co najmniej przez godzinę, Chico - powiedział Kramer.

Podeszli do łóżka Amandy. - Widzę, że już ci lepiej - powiedział Buhaj.

- Nabrałaś trochę kolorów. Jak się czujesz, mała?

Kąciki ust Amandy uniosły się. - Zawsze jesteś... taki cholernie... wesoły?

- Kochanie, tam, skąd pochodzę, musisz mieć wesołe usposobienie, albo zwariujesz.

- Amando, pokazałaś tam, co potrafisz - powiedział Delgado. - Strzelec z *Pave Hawka* wszystko nam opowiedział.

Twarz Amandy rozjaśnił uśmiech.

- Powiedział nam też o tym *MiG-u-29*. Lepsze niż w kinie. Mówię ci, dostaniesz medal.

- Co... z Poole'em.?

Delgado spojrział na Kramera. Ten wziął Amandę delikatnie za rękę. - Przykro mi, mała... Po jej policzku spłynęła łza.

Godzinę później Halston i Bourdeaux szli do namiotu szpitalnego, dowiedziawszy się, że Kevin i Amanda obudzili się i są zupełnie przytomni. Zapadł już zmrok. Powietrze było ciepłe i suche, a płyta lotniska wciąż nagrzana. Bourdeaux poczuł krople potu na czole.

Drugi zestaw zdjęć satelitarnych, który nadszedł godzinę wcześniej z archiwów KOIF zawierał to samo, co pierwszy: przez kilka lat niezwykle duża liczba ciężarówek dostarczała do wielkiego magazynu wszelkiego rodzaju materiały budowlane. Bourdeaux zachodził w głowę, dlaczego nikt przedtem nie zwrócił na ten obiekt uwagi. Zdał sobie jednak sprawę, że w połowie lat 80., kiedy prowadzona była budowa, Stany Zjednoczone były po stronie Iraku walczącego z Iranem. W tamtych czasach analityków z CIA nic nie obchodziła budowa zakładów przemysłu spożywczego w Iraku. Administracja Reagana kazała wywiadowi amerykańskiemu skoncentrować się na Związku Radzieckim, Iranie, Libii, Kubie, na zwalczaniu handlu kokainą, na wojnie Contras z sandinistami w Nikaragui, na wojnie domowej w Salwadorze, na Panamie Noriega.

Irak gównem nas wtedy obchodził, pomyślał Bourdeaux i postanowił napisać ostateczną rekomendację dla dyrektora CIA na podstawie otrzymanego właśnie drugiego zestawu zdjęć satelitarnych.

Podążając za Halstonem, Bourdeaux odchylił płótno zasłaniające otwór wejściowy i wszedł między dwa rzędy łóżek. Dostrzegł Delgado i Kramera. Zgodnie z przewidywaniami Bourdeaux, Halston podszedł najpierw do Amandy. Po kilku minutach pułkownik odwrócił się do porucznika Marynarki.

- Dobry wieczór, poruczniku - powiedział Halston.

- Dobry wieczór, sir.

- Pamięta mnie pan, prawda?

- Tak jest.

- Dobrze. Od czego zaczniemy?

- Może od początku, sir? - odpowiedział Kevin.

- Niech będzie - powiedział Halston, przyciągając sobie krzesło. Bourdeaux stał za pułkownikiem. - Słuchamy.

Kevin odchrząknął i rozpoczął. Mówił powoli, ale mocnym głosem,



starannie dobierając słowa. Opisał tylko najważniejsze momenty, wychodząc z założenia, że potem zadadzą mu szczegółowe pytania.

- A nie mówiłem? - zawołał Halston, kiedy Kevin wspomniał podziemny obiekt w Allahbadzie. - Te skurwysyny montują rakiety tam na dole!

Oficer CIA pokręcił głową z niedowierzaniem. Relacja tego pilota była wszystkim, czego potrzebował, żeby jednoznacznie wskazać Allahbad jako miejsce, w którym Irakijczycy montują rakiety z głowicami atomowymi. Bourdeaux zwrócił się do Kevina. - Niesamowita historia, poruczniku, zwłaszcza ta pańska przyjaźń z Kurdami i ta kobieta... Zaraz, zaraz, jak ona się nazywa?

- Chalila Iszaid.

- Skąd pan wie, że ona nie jest po stronie wroga? - spytał Halston.

Kevin uśmiechnął się. - Bo jest z Mossadu, sir.

- Co takiego?! - zawołał Bourdeaux.

- Jest z wywiadu izraelskiego. Kiedy ją spotkałem, szkoliła właśnie grupę Kurdów w obsłudze rakiet *Javelin*, które właśnie...

- Powiedział pan: *Javelin*? - przerwał Bourdeaux.

- Tak. Mówili, że dostali je od kogoś, kogo nazywali amerykańskim *Bai*. Od amerykańskiego kupca; Chalila mi to przetłumaczyła.

Bourdeaux nie wierzył własnym uszom. - Jasna cholera! Czy jeden z nich nie nazywał się przypadkiem Iszmael?

- Rzeczywiście. Skąd pan wie?

- Bo to ja dostarczyłem im te *Javeliny*. To ja jestem *Bai*.

- Co takiego?

- Mówię przecież. Jestem Robert Bourdeaux, CIA.

- O, to ciekawe.

- A to dlaczego? - zapytał Bourdeaux.

- Cóż, sir. Jestem dziś tutaj tylko dlatego, że Iszmael i jego kurdyjscy partyzanci chcieli wymienić mnie na dodatkową broń. Wciąż mówili, że *Bai* będzie bardzo hojny, kiedy przyprowadzą mnie do niego.

- Wróćmy do tej kobiety, poruczniku - powiedział Halston. - Skąd pan wie, że jest z Mossadu? Przecież bez trudu mogła pana okłamać.

Kevin zmarszczył brwi i powiedział im, że taka myśl przebiegła mu nawet przez głowę, ale potem dodał dwa do dwóch i wyszło mu, że w żadnym wypadku nie kłamała. Po pierwsze, dobrze znali ją Kurdowie, mający kontakty w najróżniejszych miejscach w Iraku. Po drugie, zniszczyła dwa irackie śmigłowce, ratując mu życie. Czy Irakijczycy pozwoliliby, żeby któryś z ich ludzi zniszczył dwie maszyny tylko po to, by zrobić wrażenie na amerykańskim pilocie? Kevinowi trudno było w to uwierzyć. I po trzecie,

Kevin widział, jak ją torturowali, kiedy ratował ją w Allahbadzie. Chalila nie kłamała. A jeśli chodzi o *Hinda*, to Irakijczycy po prostu bardzo szybko zareagowali, przechwyciwszy rozmowę na częstotliwości ratunkowej.

- A jak wytłumaczy pan fakt, że nie wsiadła z panem do śmigłowca?

Kevin spuścił wzrok. - Sir, ona jest z Mossadu. Ma swoje zadania. - Nic więcej nie był w stanie powiedzieć.

- W porządku - powiedział Halston. - Na razie na tym poprzestaniemy.

- Aha, poruczniku - wtrącił Bourdeaux.

- Tak?

- Czy wszyscy Kurdowie zginęli w tej zasadzce koło Allahbadu?

- Wszyscy z wyjątkiem dwóch, sir. Chalila mówiła, że Iszmael został zamęczony na śmierć. Abdul, prawa ręka Iszmaela, zginął od kul irackiego oficera, kiedy pomagał mi i Chalili uciec z zakładów podczas bombardowania.

- Niech to diabli! Szkoda, to byli dobrzy ludzie.

- Tak, panie Bourdeaux, byli w porządku.

Bourdeaux podziękował pilotowi i wyszedł. Miał raport do napisania.

# 18.

## Wartości

### ♦ Dzień szósty, 21.20 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem

Robert Bourdeaux nie ukrywał zdziwienia. Reakcja generała Drapera była inna, niż tego oczekiwał. Siedzieli przy stole naprzeciw siebie w namiocie generała. Draper słuchał, nie przerywając. Bourdeaux odniósł nawet wrażenie, że na twarzy Drapera pojawiła się troska.

- Więc ten pilot też twierdzi, że jest tam podziemne laboratorium?

- Tak, sir.

- A pan wysłał już dyrektorowi CIA swoje zalecenia na podstawie raportu pilota i analizy zdjęć satelitarnych?

- Zgadza się, sir.

Draper przyglądał się Bourdeaux przez kilka sekund. - Cóż, muszę porozmawiać z prezydentem. Może osiągniemy jakiś consensus w tej sprawie.

Bourdeaux pomyślał, że szykują się kłopoty. Srebrny Szczur w żadnym wypadku nie był szczery. - Byłoby to pożądane, generale.

Agent CIA wstał, odwrócił się i wyszedł z namiotu. Powietrze było teraz chłodne, ożywcze. Odetchnął kilka razy głęboko i, pocierając skronie, zastanawiał się, co też Draper może knuć. Spostrzegł Halstona, Kramera i Delgado, stojących koło Kevina Daltona. Podeszedł do nich.

- Nie powinien pan być w łóżku, poruczniku?

- Czuję się doskonale. Może to dzięki tej krwi, którą we mnie wpompowali.

- Radzę jednak na siebie uważać.

- Oczywiście. Wyszedłem tylko na chwilę, odetchnąć świeżym powietrzem.

- No i? - zapytał Halston. - Jak ci poszło?

Bourdeaux zmarszczył brwi i przeniósł wzrok na rząd *F-15 Eagle*, zaparkowanych na drugim końcu bazy. - Powiedział, że porozmawia o tym z prezydentem.

- I to wszystko? - zapytał Halston.

- Tak, ale nie jestem pewien, co o tym... O, tam idzie, prawdopodobnie rozmawiać z Białym Domem - powiedział Bourdeaux, spostrzegłszy Drapera i jego pilota idących w kierunku *Gulfstreama IV*.

- Poczekajcie tu na mnie - powiedział Halston. - Zaraz wracam.

Bourdeaux obserwował Drapera i pilota, wchodzących do maszyny. Zamknęli drzwi za sobą. - Dokąd idziesz, Pete?

- Muszę coś sprawdzić - zawołał Halston i ruszył w kierunku punktu łączności.

Pięć minut później Draper i jego pilot wyszli z samolotu. Draper poszedł z powrotem do swojego namiotu. Minęła jeszcze jedna minuta, zanim z punktu łączności wyszedł Halston. Trzymał w ręku kawałek papieru.

- Bob, obawiam się, że przynoszę złe wiadomości - powiedział Halston.

Bourdeaux spojrział na stężałą twarz przyjaciela. - Mów, Pete. Co się stało?

- Draper przeprowadził właśnie rozmowę z Białym Domem. Połączenie było szyfrowane. Przechwyciłem je i rozszyfrowałem.

- Co, takiego?!

Halston wzruszył ramionami i spojrział do swoich notatek. - Wszystko dla dobra sprawy. Draper powiedział prezydentowi, że Pustynna Gwiazda była katastrofą. Obwinił CIA, a przede wszystkim ciebie, Bob, za to, że przed bombardowaniem nie zebraliście wystarczających informacji tam, na miejscu. Wiedziałeś, że Irakijczycy mówią o ponad dwustu cywilnych ofiarach śmiertelnych w Allahbadzie? Dwustu niewinnych ludzi. Mężczyźni, kobiety, dzieci...

Bourdeaux zamrugał kilka razy. - Jasna cholera, nie wiedziałem.

- Podobno mają to już wszystkie wielkie sieci telewizyjne.

- Gówno prawda! - zawołał Kramer. - Przecież dobrze wiemy, że to tylko iracka propaganda!

- Mnie nie trzeba tego mówić - powiedział Halston - ale sami wiecie, jak dziennikarze rzucają się na takie rzeczy.

- Jezu Chryste. - Bourdeaux zamknął oczy i masował sobie skronie.

- To jeszcze nie wszystko, Bob.

Bourdeaux otworzył prawe oko. - Nie wszystko?

- Draper oświadczył wprost, że Pustynna Gwiazda stała się wielką kompromitacją dla administracji Clintona. Przypomniat prezydentowi, że od samego początku był przeciw i że w ogóle nie powinien być cię słuchać. Przestrzegł prezydenta przed podejmowaniem decyzji na podstawie informacji dostarczonych przez tego narwanego pilota i dodał, że to właśnie tego rodzaju nieprzemyślane działania sprawiły, że popadliśmy w tarapaty. Przypuszczam, że Biały Dom zastanawia się teraz, jak to wszystko wytlumaczyć światu. Ale to jeszcze nie koniec, Bob...

- Mów.

Halston westchnął. - Niech to szlag trafi. Bardzo mi przykro, ale Draper zasugerował odwołanie cię z obecnej misji i wycofanie do Langley. Wygląda na to, że chce ci się dobrać do skóry.

Bourdeaux stał osłupiały. Draper próbował go wykończyć, a on nie miał pojęcia, jak go powstrzymać. Wiedział, że dla prezydenta zdanie Drapera będzie się liczyć więcej niż jego, zwłaszcza teraz, kiedy Irakijczycy posłużyli się zwłokami cywilów, żeby pokazać, iż są niewinnymi ofiarami brutalnego ataku sił sojuszniczych. Srebrny Szczerz znał masę ludzi w Kongresie i w Departamencie Obrony. Bourdeaux był bez szans.

- Jasna cholera! - powiedział „Buhaj” Kramer. - W moich stronach powiedzieliby, że ten dwulicowy skurwysyn pożyczył sobie twoje żelazo i szykuje się, żeby ci wypalić znak na dupie, kiedy nie będziesz uważał.

Bourdeaux przytaknął. - Dobrze pan to określił, pułkowniku.

- Przecież to jest nieuczciwe, Bob! - zaprotestował Halston. - Uważam, że powinienem tam polecić i...

Bourdeaux powstrzymał go gestem dłoni. Wyjaśnił Halstonowi i pozostałym, że nic nie mogą dla niego zrobić, za to mogą poważnie sobie zaszkodzić, jeśli pójdą do Drapera w jego obronie. Draper podjął już decyzję i wykonał swój ruch. Tego nie sposób było zmienić. Bourdeaux odszedł.

- Co za sukinsyn z tego Drapera - mruknął Halston do pozostałych. - Bob Bourdeaux to świetny facet, a ten bydlak chce go zniszczyć. Musi być coś, co moglibyśmy zrobić.

- Hej, a co z tymi pieprzonymi raketami? - zapytał Kevin. - Draper wróci do Waszyngtonu, Bourdeaux do Langley, wkrótce sprawa przycichnie,

ale nie zmieni to faktu, że Irakijczycy zdołali zmontować i rozmieścić rakiety z głowicami atomowymi. Podczas Pustynnej Burzy nie wahali się wystrzeliwać *Scudów* na Tel Awiw; tak samo nie zawahają się przed odpaleniem paru rakiet nuklearnych, skoro mają je gotowe. Trzeba coś zrobić i to szybko.

- Ale co? Słyszałeś Drapera - powiedział Delgado. - Pustynna Gwiazda jest skończona.

- Do diabła z Draperem. Mnie jest już wszystko jedno. Kiedy tylko wypiszą mnie ze szpitala, czeka mnie sąd wojskowy, a wiecie, co to zwykle znaczy.

- Niestety. Możesz się pożegnać z karierą pilota wojskowego. Nie będziesz miał przyszłości w Marynarce.

Kevin cofnął się dwa kroki i spojrzał na pozostałą trójkę. - Panowie, jeśli już muszę opuścić siły zbrojne, to zrobię to w dobrym stylu, a przy okazji oddam prawdziwą przysługę Wujowi Samowi.

- Co chcesz zrobić? - spytał Kramer.

Kevin tylko się uśmiechnął.

- O kurwa - powiedział z rezygnacją Delgado.

#### ◆ **Dzień szósty, 22.30 czasu lokalnego - Bagdad**

Syryjka rozbierała się powoli. Odsłoniła w uśmiechu dwa idealnie równe rzędy białych, połyskujących zębów i wpatrzyła się w Saddama Husajna swymi jasnozielonymi oczyma. Dyktator siedział na łóżku w jednym ze swych luksusowych bunkrów. Też się uśmiechał, ale nie do tej pięknej kobiety, którą miał przed sobą. Czwarta rakietka została ustawiona na wyrzutni w Allahbadzie. Miał teraz w rękach los Tel Awiwu, Rijadu, Kuwejtu i Teheranu. Wystarczyło sięgnąć po telefon, stojący przy łóżku, i w ciągu dziesięciu minut te cztery miasta przestałyby istnieć.

Już niedługo. Już bardzo niedługo. Saddam miał też inny powód do uśmiechu - reakcję świata na sześćdziesięciosekundowy film, pokazujący cywilne ofiary bombardowania Allahbadu. Tak łatwo było przewidzieć zachowanie Amerykanów. Teraz ich media oddawały nieocenione usługi sprawie Saddama.

Syryjska dziwka rzuciła na dywan ostatnią szatę i podeszła do niego, wyciągając ręce do guzików brązowego munduru. Saddam położył dłonie na jej opalonych biodrach i patrzył na płaski brzuch dziewczyny.

Zadzwoił telefon. Saddam, wściekły, że mu przeszkadzają, podniósł słuchawkę.

- Tak?

- O, Wielki, generał dowodzący wojskami na południu oczekuje dalszych instrukcji.

Saddam kiwnął głową. Jego wojska zatrzymały się przed granicą i zaczynały się niepokoić ruchami sił sojusznicznych po drugiej stronie. Mimo kontroli, jaką Saddam sprawował nad mediami irackimi, straszliwe opowieści o wojnie w Zatoce wciąż krążyły w szeregach jego armii. Tym razem będzie inaczej.

- Powiedz mu, że nowe instrukcje wydam jutro rano.

Saddam odłożył słuchawkę, rozpatrując w myślach różne scenariusze. Syryjska dziwka zaczęła rozpinąć guziki jego munduru. Już niedługo. Już bardzo niedługo.

### ◆ Dzień szósty, 13.00 czasu lokalnego - Biały Dom

Prezydent Clinton miał poważny problem. Telewizja CNN bez przerwy powtarzała materiał o masakrze Allahbadu, wywołując zaniepokojenie w kraju i na świecie. W Białym Domu urywały się telefony. Zewsząd dzwoniło z protestami przeciwko zabijaniu niewinnych cywilów. Jednocześnie CIA i pilot zestrzelonego *F-14* mówili mu, że w Allahbadzie - w tych samych zakładach w których, według Irakijczyków, zginęły setki kobiet i dzieci - było podziemne laboratorium, w którym montowano rakiety z głowicami atomowymi. Wszyscy ludzie z jego otoczenia uczciwie przedstawili prezydentowi swe opinie w tej sprawie. Wszyscy z wyjątkiem podsekretarza Kennetha Drapera, któremu bardziej zależało chyba na wskazywaniu palcem winnych, niż na znalezieniu rozwiązania problemu. W tym konkretnym wypadku Draper oświadczył bez ogródek, że za tę katastrofę odpowiedzialny jest Robert Bourdeaux.

Clinton skrzywił się. Nie podobało mu się, że Draper tak się uwziął na Bourdeaux, który przecież wykonywał po prostu swoją robotę. Prezydent postanowił, że Draperem zajmie się później. Teraz musiał podjąć ważniejszą decyzję.

Oparty o biurko, prezydent w milczeniu przypatrywał się swemu sekretarzowi obrony, który siedział na jednej z sof, ubrany w granatowy garnitur.

- Panie prezydencie?

- Niech się pan skontaktuje z generałem Marshalllem i skoordynuje następny atak na ten obiekt. O tym drugim uderzeniu należy powiadomić wyłącznie tych, którzy muszą wiedzieć. Nikogo więcej. Czy to jasne?

- Tak, sir - odpowiedział sekretarz obrony. - To zajmie trochę czasu.

- Ile?

- Od dwunastu do dwudziestu czterech godzin, sir. Tyle trwało przygotowanie pierwszego ataku. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy mogli

uderzyć jutro o zachodzie słońca. Prawdopodobnie wyprowadzimy atak bezpośrednio z bazy *F-1 17* w Chamis Muszait. W ten sposób będziemy o tym wiedzieć my dwaj, generał Marshall i generał Towers, dowódca skrzydła *F-1 17*. Clinton skinął głową. - Doskonale.

#### ♦ **Dzień szósty, 21.20 czasu lokalnego - baza Dowietrzna Aman Bakisz w pobliżu An Nadżaf, południowy Irak**

Generał Abunnasr Manesz przypatrywał się mechanikom, którzy wymontowywali z jego *MiG-a-29* uszkodzone podzespoły elektroniczne i zastępowali je nowiutkimi częściami. System kontroli rakiet był znowu sprawny, dzięki czemu *MiG* odzyskał pełną zdolność bojową. Mechanicy odwrócili się do niego i unieśli kciuki.

- Maszyna w stu procentach gotowa do walki, panie generale - zameldował jeden z nich.

- Dobrze. Bardzo dobrze - powiedział Manesz i wyszedł z hangaru.

#### ♦ **Dzień siódmy, 4.20 czasu lokalnego - baza powietrzna Salman Asad, Arabia Saudyjska, w pobliżu granicy z Irakiem**

Do wschodu słońca pozostały jeszcze dwie godziny. Pułkownik „Buhaj” Kramer i porucznik Delgado odeszli wreszcie od swoich maszyn, upewniwszy się, że są zatankowane i uzbrojone.

Ruszyli do namiotu szpitalnego.

Porucznik Kevin Dalton nie mógł zasnąć. Adrenalina w żyłach sprawiała, że był zupełnie rozbudzony. Zerknął na prawo; Amanda Green spała spokojnie. Lekko skinął głową. Uważał, że należy jej się maksimum wypoczynku po tym, jak przyprowadziła *Pave Hawka* z załogą do bazy, mimo odniesionych ran. Na łóżku obok łóżka Amandy leżał kapitan Orlando Delaney. Również spał. Pilot *Apache'a* skutecznie odparował ataki *MiG-a*, dzięki czemu akcja ratunkowa się powiodła. Kevin żałował tylko, że oznaczony zielonymi pasami *MiG* zdołał jednak uciec. W rzędzie po drugiej stronie leżał drugi pilot Delaneya i żołnierz z personelu pokładowego; obydwóm podano silne środki przeciwbólowe.

Przeniósł wzrok na puste teraz pomieszczenie pielęgniarek. Dyżurna pielęgniarka poszła do magazynu po środki przeciwbólowe dla Kevina, który uskarżał się na ból w zranionej nodze. Westchnął. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał odpowiedzieć za swoje postępowanie. Perspektywa sądu wojskowego nie była co prawda taka straszna, jak jeszcze kilka dni temu, ale i tak mógł sobie wyobrazić, jak wyżsi oficerowie



siedzący przy długim zielonym stole będą go z lubością rozszarpywać na kawałki. Znał pytania, jakie rzucą mu w twarz. Co pan sobie myślał, poruczniku? Jak moglibyśmy znów powierzyć panu maszynę wartą miliony dolarów? Pańska ambicja stała się przyczyną śmierci świetnego oficera. Co ma pan do powiedzenia na swoją obronę?

Zmarszczył brwi. Miał w tej chwili ważniejsze sprawy. Na przykład Chalila. Na jakiś czas udało mu się wyciszyć swe uczucia do niej, zastąpić je logicznym rozumowaniem, z którego wynikało, że jej miejsce było gdzie indziej. Była agentką Mossadu, profesjonalistką, a on już tylko tytularnym pilotem, mającym ponieść konsekwencje. Do diabła! W dalszym ciągu czuję, że postąpiłem wtedy słusznie! - pomyślał, a twarz wykrzywił mu gniew. Chociaż komandora Johna Lancastera znał dopiero niespełna dwa lata, miał dla niego wiele szacunku. Lancaster bardzo mu pomógł, zwłaszcza w pierwszych miesiącach szkolenia w bazie lotniczej w Miramar. Słowa zachęty i osobisty przykład prawdziwego pilota Marynarki umocniły w Kevinie przekonanie, że musi stać się jednym z najlepszych. Pomyślał o *MiG-u* z zielonymi pasami. Ten samolot go prześladował. Kevin oddałby wszystko - z wyjątkiem szansy ponownego zobaczenia się z Chalilą - żeby spotkać tego *MiG-a*, trzymając w ręku drążek sterowy *Tomcata*. Jego zdaniem, pilot *MiG-a* łamał wszelkie zasady kodeksu walki powietrznej.

Końcami palców masował sobie skronie. Wiedział, że bez względu na swe osobiste przekonanie, pozostaje faktem, iż zlekceważył rozkaz McDeere'ego i że właśnie dlatego został zestrzelony, a jego RIO zginął. Wiedział, że tak właśnie będzie to wyglądać w oczach trybunału wojskowego.

Kevin westchnął i spojrzął w lewo, na komandora Johna McDeere'ego, który spał spokojnie, zażywwszy silny środek przeciw bólowi, spowodowanym ostrym niezżytem żołądka. Uśmiechnął się. Delgado był niezrównany. Pomyślał, że ma wobec niego dług wdzięczności za wyłączenie McDeere'ego z akcji. Urągania dowódcy były ostatnią rzeczą, jakiej Kevin teraz potrzebował.

Uniół głowę z poduszki, usłyszawszy jakiś hałas po prawej stronie.

- Cicho, Szurnięty, bo narobimy sobie kłopotów.

Kevin wstał. - W porządku, Chico - szepnął. - Mamy tylko parę minut, zanim wróci pielęgniarka i zobaczy puste łóżko.

- Nie martw się. Za parę minut to będzie bez znaczenia. Idziemy.

Kevin ruszył za Delgado do tylnego wyjścia. Na zewnątrz czekał na nich Kramer z kombinezonem przeciwwprzeciążeniowym, który ukradł jakiemuś pilotowi *Tomcata*, mniej więcej tego samego wzrostu co Kevin. Cała trójka szybkim krokiem ruszyła w stronę samolotów.

Robert Bourdeaux usłyszał ryk silnika odrzutowego i rozpoznał charakterystyczny dźwięk *Tomcata*. Przed świtem nie planowano żadnych lotów *F-14*. Zdziwiony wstał, założył buty i wyszedł na zewnątrz. Zobaczył sierżanta Sił Powietrznych, wpatrującego się w dopalacze *Tomcata* przyśpieszającego na pasie startowym.

- Co tu się dzieje, sierzancie?

- Nie mam pojęcia, sir. Ale widok wspaniały. Zawsze podobały mi się te *F-14*.

Bourdeaux zaklął i ruszył do punktu łączności. W namiocie zastał Halstona, siedzącego przy radiostacji.

- Pete, musimy porozmawiać.

Halston wyszedł z Bourdeaux przed namiot.

- Właśnie wystartował *Tomcat*. Wiesz coś o tym?

- Obawiam się, że tak, Bob. To Dalton i Delgado. Kramer wyruszył parę minut wcześniej w swoim *F-117A*

- Co takiego?! Dalton jest w szpitalu! Co tu się, do diabła, dzieje? Delgado i Kramer powariowali?

- Cóż, możesz się z nimi połączyć, chociaż wątpię, czy odpowiedzą - powiedział Halston, uśmiechając się ukradkiem.

Bourdeaux przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. - Pete, o co tu chodzi?

- Lecą do Allahbadu.

- Zwariowali? Pete, bierzesz w tym udział?

- Myślę... że można to tak określić.

Bourdeaux odwrócił się, słysząc za sobą czyjeś kroki. Generał Draper miał na sobie szlafrok, a na nogach kaptcie.

- Bob, podobno wystartował właśnie *F-14*. O co tu chodzi?

- Porucznik Kevin Dalton odleciał *Tomcatem*.

- Co takiego?

- Tak, jak powiedziałem, sir. Właśnie wystartował.

- A dokąd to się wybrał?

- Do Allahbadu.

Twarz Drapera zrobiła się purpurowa. Trzęsąc się z gniewu, generał zacisnął pięści i wpadł do punktu łączności.

- Co za skurwysyn! - Draper odwrócił się do Halstona. - Powinienem był go zamknąć! Co on sobie myśli?! Jakby nie wyrządził już dość zła! Właśnie czemuś takiemu od początku chciałem zapobiec! Kto jest na tylnym fotelu?

- Porucznik Delgado, ale już i tak za późno - odpowiedział Bourdeaux.

- Niech to szlag trafi! Wszystko popsują!

- Czyżby, sir?

Draper zmierzył Bourdeaux wzrokiem.

- Coś ty powiedział?

- Spytałem, czy rzeczywiście wszystko popsują?

- A co to ma znaczyć?

- Nie przyszło panu do głowy, że być może to Dalton ma rację? Że w Allahbadzie może jednak znajdować się broń atomowa?

- Zaczynam mieć dość twojej bezczelności, Bob! Halston, niech pan siada do radia i każe im wracać! Natychmiast!

Halston spojrział na Drapera i uśmiechnął się. - Przykro mi, sir. Obawiam się, że ja też biorę w tym udział.

- Co takiego?! Pułkowniku, zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji swego postępowania?

- Tak, sir. Zdaję sobie sprawę.

- W takim razie odwołuję pana za niesubordynację! - Draper odwrócił się do Bourdeaux. - Bob, chcę, żebyś ty porozmawiał z Daltonem i wydał mu rozkaz natychmiastowego powrotu!

Bourdeaux sięgnął po mikrofon i zaczął go unosić do ust, ale powstrzymał ruch ręki.

- Bob! To ostatnie ostrzeżenie! Albo się połączysz, albo...

- Proszę, sir. - Bourdeaux wyciągnął w kierunku Drapera rękę z mikrofonem. - Niech pan się połączy. Niech pan mu każe zawrócić. Ja jestem z CIA, a nie z Sił Powietrznych. W ogóle nie wolno mi rozmawiać przez to radio, a gdyby nawet było inaczej, to z jakiej racji? I tak jestem skończony, prawda, generale?

Draper zamrugał i spojrział na Bourdeaux z wyrazem zaskoczenia w oczach. Potem przeniósł wzrok na Halstona, który lekko uniośł brwi.

- Odpowiadam tu za łączność, sir - powiedział Halston.

Draper wyrwał Bourdeaux mikrofon z ręki. - Podjęliście właśnie najgorszą decyzję w całej waszej karierze!

Kevin Dalton zmniejszył ciąg do 40 procent i trzymał samolot na wysokości poniżej trzydziści metrów nad ziemią. Uśmiechał się szeroko pod maską tlenową. Dobrze było znów lecieć, nawet jeśli był to ostatni lot.

- Wilcze Stado Dwa Jeden Sześć, tu generał Draper - usłyszał Kevin na bezpiecznym kanale.

- Kurwa mać! To ten dupek z CENTAF - powiedział Delgado przez interkom.

- To się musiało stać, Chico. Prędzej czy później...

- Co zamierzasz zrobić? - spytał Delgado.

- Myślę, że pogadam z facetem. - Kevin przekręcił przełącznik swojego radia.

- Jeden Sześć, rozkazuję ci zawrócić natychmiast, pod groźbą poważnych konsekwencji.

- Odmawiam.

- Zawracaj do bazy, albo wyślę kilka *F-15*, żeby cię zestrzeliły.

- Przykro mi, sir. Mnóstwo ludzi zginęło, żeby zdobyć informacje, które przekazałem panu wczoraj, a pan postanowił zignorować to, co widziałem w Allahbadzie. Nie zawróć. Tu chodzi o życie milionów ludzi!

- To i tak nie ma sensu, Jeden Sześć. Masz tylko rakiety powietrze-powietrze. Na nic ci się nie przydadzą.

- Za to ja dysponuję wszystkim, co niezbędne, sir - wtrącił się Kramer.

- Kto to? - zapytał Draper.

- Tu Buhaj. Mam dwie bomby *Paveway* i wiem, gdzie je zrzucić.

- Na Boga, pułkowniku! Zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji pańskiego postępowania?

- Jasne, sir. Ktoś to musi zrobić.

- Banda wariatów! Rozkazuję wam natychmiast zawrócić do bazy!

- Proszę powtórzyć. Zakłócenia w łączności.

- Nie wciskaj mi takiego kitu!

Kevin doszedł do wniosku, że dalsza rozmowa z generałem nie ma sensu. Przełączył się na częstotliwość dywizjonu. - Jak tam? Nikt się nie rozmyślił?

- Posłuchaj, stary. Zostałem pułkownikiem w wieku trzydziestu pięciu lat tylko dlatego, że nigdy nie bałem się ryzyka. Gdyby było inaczej, dochrapałbym się co najwyżej kapitana.

- Coś ci powiem, Szurmieży - odezwał się Delgado. - Gdyby nie ten lot, byłoby cholernie nudno.

Kevin uśmiechnął się. - Dzięki, chłopaki. No to do roboty.

- Będziemy nad celem za dwadzieścia minut - usłyszał w słuchawkach głos Kramera.

- Potwierdzam - powiedział Delgado.

Kevin rozejrzał się dookoła. Na horyzoncie niebo zrobiło się pomarańczowe. Do wschodu słońca brakowało zaledwie kilku minut.

## ◆ Dzień siódmy, 5.45 czasu lokalnego - Allahbad, na południe od An Nadżaf, Irak

Doktor Sakkar szedł w kierunku Riszy korytarzem między zbiornikami z kwasem azotowym. Za godzinę na wyrzutni stanie następna rakietka. Sakkar uśmiechnął się. Odnosiło się wrażenie, że za każdym razem, kiedy

przydział Riszę do którejś z ekip, właśnie ta ekipa jako następna umieszczała swą raketę na wyrzutni.

#### ◆ **Dzień szósty, 21.47 czasu lokalnego - Biały Dom**

W Gabinetce Owalnym zadzwonił telefon. Sekretarz obrony i przewodniczący Kolegium Szeferów Sztabów zapoznawali właśnie prezydenta, sekretarza stanu i dyrektora CIA z planem nalotu na Allahbad.

Prezydent siedział przy swoim biurku. Podniósł słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił po raz trzeci.

- Słucham.

- Panie prezydencie - powiedział jeden z jego doradców. - Mam na linii podsekretarza Kennetha Drapera. Twierdzi, że musi z panem rozmawiać i że sprawa jest ważna dla bezpieczeństwa narodowego.

Boże, co znowu?

- W porządku, daj go. - Clinton przełączył telefon na głośnik.

- Pan prezydent? - w Gabinetce Owalnym rozległ się głos Drapera.

- Tak. Co się stało?

- Obawiam się, że mamy poważny problem, sir. Chodzi o pilota Marynarki, porucznika Kevina Daltona. Właśnie ukradł *Tomcata* i leci do Allahbadu. Chciałem go nakłonić, żeby zawrócił, ale przerwał łączność. Razem z Daltonem poleciał na *F-117A* ten sam oficer, który uczestniczył w pierwszym ataku na Allahbad, sir.

Clinton odchylił się na krześle, przymknął oczy i zaplótł palce, wyciągając ręce przed siebie. Za chwilę otworzył oczy. Wszyscy, w Gabinetce Owalnym wpatrywali się w niego. Clinton zachował kamienną twarz.

- Jak dawno temu odlecieli?

- Kilka minut, sir. Jest jeszcze czas, żeby ich powstrzymać.

Prezydent nieznacznie uniósł brwi. - A jak chciałby ich pan powstrzymać, panie Draper?

Na kilka sekund zaległa cisza. - Sir, radzę wysłać *F-15*, żeby ich przechwyciły i zestrzeliły. Dywizjon *F-15* odbywa właśnie loty ćwiczebne nie dalej niż sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód od bazy, w której jestem. Nie może pan pozwolić, żeby dolecieli do Allahbadu, sir.

- Panie Draper, radzi pan, żebym wydał rozkaz zestrzelenia naszych własnych samolotów?

- Panie prezydencie, ja...

- Proszę się niezwłocznie stawić w Waszyngtonie, panie Draper. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin oczekuję pańskiej rezygnacji na moim biurku.

Prezydent rozłączył się. W Gabinetcie Ovalnym zaległa cisza.

- Cóż - powiedział Clinton. - Okazuje się, że jest alternatywa dla naszego planu. - Prezydent odwrócił się do sekretarza stanu. - Skontaktuj się z generałem Marshalllem. Wyjaśnij mu, co robią piloci tego *Tomcata* i *F-117* i poproś go, żeby postawił w stan gotowości śmigłowce CSAR.

- Tak, sir.

Ludzie ze sztabu Clintona wciąż mieli wyraz zaskoczenia w oczach. Prezydent wstał, podszedł do okna za biurkiem i spojrzął w rozgwieżdżone niebo.

Niech cię Bóg prowadzi, poruczniku Dalton.

### ◆ **Dzień siódmy, 5.45 czasu lokalnego - południowy Irak**

W świetle lampy gazowej Chalila Iszaid siedziała w mrocznym pomieszczeniu, przy prostym, zbitym z desek stole, naprzeciw dwóch wysokich raną agentów Mossadu. Czowała się osłabiona z niewyspania. Dotarli do tej wsi przed pięcioma godzinami i od tego czasu ludzie z Mossadu wypytywali ją o najdrobniejsze szczegóły jej misji, rejestrując wszystko na taśmie przenośnego magnetofonu. W tej chwili jeden z nich cofał właśnie taśmę.

- Cieszę się, że ci się udało, Chalila. Przez pewien czas poważnie się o ciebie martwiliśmy - powiedział pułkownik Hasin Abaraka, starszy z obu mężczyzn, wciąż jeszcze ubrany jak wieśniak.

Spojrzała na niego, a potem wpatrzyła się w okno.

- Tak, Hasin, udało mi się. Ten młody oficer iracki, który powiedział ci o dostawie plutonu, ani o włos nie minął się z prawdą.

Hasin roześmiał się. - To był twój pomysł, Chalila. ja tylko odegrałem swoją rolę, pamiętasz?

Chalila kiwnęła głową. - Tak, pamiętam.

- Jak sądzisz, co będzie z tym Amerykaninem?

Spuściła wzrok. - Nie jestem pewna. Niewykluczone, że na zawsze odsuną go od latania.

- Miałby szczęście, gdyby się na tym skończyło. W naszych siłach powietrznych kara byłaby znacznie surowsza. Nie tolerujemy niesubordynacji.

Chalila nie odpowiedziała. Słowa Hasina zabrzmiały jakoś chłodno.

- Chalila, dobrze się czujesz?

Zdawała sobie sprawę, że chociaż Hasin okazywał jej współczucie, w rzeczywistości oceniał, czy będzie się w przyszłości nadawała do wykonywania zadań. Subtelna pułapka. Od tego, co odpowie, mogła zależeć jej przyszłość w Mossadzie. Dziwne, ale nie obchodziło jej to w tej chwili. Uczucia wobec Kevina były równie ważne, co oddanie Mossadowi.

W końcu podniosła oczy. - Tak, pułkowniku, nic mi nie będzie. Jestem po prostu zmęczona. Mogłabym spać przez tydzień.

- I powinnaś. Świetnie się spisałaś.

- Nie uszłabym z tego z życiem, gdyby nie ten amerykański pilot.

- Zrobiłaś dokładnie to, czego oczekuje się od agenta - opracowałaś plan awaryjny na wypadek, gdyby sprawy ułożyły się niepomyślnie. W moim przekonaniu, Dalton był planem awaryjnym. Mądrze wykorzystałaś tego Amerykanina.

Chalila czuła zamęt w myślach. Jeszcze tydzień temu zgodziłaby się z Hasinem, ale teraz było inaczej. Miała poczucie winy, że użyła wobec Kevina podstępu, ale profesjonalizm podpowiadał jej, że podjęła właściwą decyzję. Była agentką Mossadu, świetnie wyszkoloną profesjonalistką w służbie Izraela. Jej kraj poświęcił mnóstwo czasu i pieniędzy, żeby ją wyszkolić; teraz trzeba było spłacić ten dług. Problem polegał jednak na tym, że dopiero teraz rozumiała, jaką cenę musi zapłacić.

- Tak, pułkowniku, wykorzystałam go - odpowiedziała, wstając i podchodząc do okna w nadziei, że Hasin nie pozna po niej uczuć, jakie żywiła dla Kevina. Uczuć, które ją teraz pochłaniały. Kevin, kochany, mam nadzieję, że zrozumiesz, dlaczego musiałam to zrobić.

#### ◆ Dzień siódmy, 6.00 czasu lokalnego - południowy Irak

Delgado włączył radar w ostatniej chwili. Był to *AWG-9* - dopplerowski, impulsowy radiolokator analogowy, najpotężniejszy radar pokładowy na świecie. Rozjaśnił się *TID* - monitor z informacjami taktycznymi - i Delgado natychmiast zobaczył na nim kilka punktów.

- Dwie... nie, trzy maszyny, Szurnięty! Zero-osiem-zero, trzydzieści pięć kilometrów, wysokość sto pięćdziesiąt metrów, prędkość tysiąc sto kilometrów na godzinę.

- Próbują się wdrzeć do strefy zakazu lotów.

- Tylko próbują. *Sparrow*.

- Jest *Sparrow*.

Kevin przesunął drążek sterowy w prawo, obserwując znikającą właśnie na zachmurzonym niebie samolot Kramera. Ich plan zakładał, że Buhaj sam poleciał bombardować Allahbad, podczas gdy Kevin dopilnuje, żeby nie przeszkadzały mu myśliwce wroga.

- Generale Manesz, proszę spojrzeć!

Abunnasr Manesz zerwał się z pryczy, zanim jeszcze otworzył oczy. Potykając się, przebiegł przez pokój i wbił wzrok w ekran radaru. Widać było na nim kilka punktów w pobliżu Allahbadu.

- Znowu? Co tu się dzieje? Kto to jest?

- Te trzy, to nasi, panie generale. *MiG-i-21* z bazy w Salman Pak. Leciały właśnie do strefy, żeby narobić trochę zamieszania. Czwarta maszyna pojawiła się zupełnie nagle. Musiała przedtem lecieć na wysokości mniejszej niż piętnaście metrów.

- Możesz się skontaktować z naszymi myśliwcami?

- Oczywiście, panie generale.

Manesz wyrwał mikrofon z ręki Fasana. - Tu Pustynny Wiatr. Jedna maszyna, lecąca na północ. Dwadzieścia osiem kilometrów.

- Chce pan, żebyśmy ją przechwycili? Odbiór - odezwał się pilot *MiG-a*.

- Żadnego ryzyka. Powtarzam, żadnego ryzyka. Strzelajcie, kiedy tylko znajdziecie się w zasięgu. Zrozumiano?

- Tak jest.

Manesz oddał mikrofon Fasanowi i wybiegł na zewnątrz.

Kevin Dalton czuł się bezpieczny na tej wysokości. Wiedział, że nawet gdyby naziemne stacje radarowe wykryły lecącego na małej wysokości *Tomcata*, radary myśliwców przechwytyjących byłyby bezradne wobec zakłóceń z ziemi. Wiedział także, że iraccy piloci wcale się nie będą palić do ścigania go tuż nad ziemią.

*TID* w dalszym ciągu pokazywał trzy maszyny i dla każdej określił priorytet ataku. Teraz trzeba już było tylko czekać, aż cele znajdą się w zasięgu ognia. Kevin wiedział, że jego pociski rakietowe *Phoenix* i *Sparrow* mają zasięg większy niż wszystko, czym mogą dysponować Irakijczycy.

- Już za chwilę. Wszystkie cele namierzone!

- Cel numer jeden!

Mechanizm zabezpieczający zwolnił pocisk *AIM-7F Sparrow* z węzła uzbrojenia pod skrzydłem. Rakietka szybowała przez chwilę pod *Tomcatem*, ale zaraz Kevin dostrzegł jaskrawy błysk na tle pustyni, kiedy ożył rakietowy silnik na paliwo stałe, rozpędzając *Sparrowa* do początkowej prędkości dźwięku. Półaktywny system naprowadzania radarowego zainstalowany w ważącej prawie 230 kilogramów rakiecie namierzył wiązkę radarową, którą oświetlił *MiG-a* radar systemu kierowania ogniem *Tomcata*.

Kilka sekund później daleko na horyzoncie Kevin zobaczył błysk ognia, wyraźnie kontrastujący z zabarwionym na pomarańczowo niebem.

- Zestrzelony. Uwaga, *MiG-21* godzina czwarta, w gorze.

Kevin zmarszczył brwi. - Szkoda rakiet, Chico! Przełączam na działko!

Kevin zbliżył się do *MiG-a*, umieścił go w celowniku na wskaźniku refleksyjnym i strzelił krótką serią. Pociski smugowe pokazały, że seria



poszła w lewo od celu. Skorygował, ale w tym momencie *MiG* wszedł w lot nurkowy. Kevin powtórzył manewr, trzymając się za nim. Skręt w lewo, w prawo i znów miał *MiG-a* w celowniku. Otworzył ogień, podchodząc od tyłu do Irakijczyka. Pociski dwudziestomilimetrowego działka dziurawiły pokrycie *MiG-a*. Kevin utrzymywał uciekający samolot w celowniku, powtarzając manewry irackiego pilota, który poderwał *MiG-a* świecą, a potem zanurkował, przerzucając samolot na plecy i wykonując skręt w lewo. Kevin strzelał krótkimi, dwusekundowymi seriami, dopóki nie zobaczył dymu wydobywającego się z ogona *MiG-a*.

- Załatwiony! - zawołał Delgado.

- Gdzie jest trzeci *MiG*?

- W górze, godzina trzecia.

Kevin odwrócił głowę w prawo i spostrzegł srebrzystą sylwetkę, odbijającą promienie porannego słońca. - Mam go!

- Ktoś nas namierzył. Odchodź w prawo, natychmiast! - krzyknął Delgado.

- To ten trzeci *MiG*! - zawołał Kevin, walcząc z przeciążeniem, które wciskało go w fotel, kiedy zawracał ważącego 27 ton myśliwca, a potem poszedł w górę w zakręcie.

- Folia, flary! - rzucił Kevin, obserwując wysokościomierz, którego strzałka minęła właśnie trzy tysiące metrów. Odepchnął dźwonek sterowy. Ujemne przeciążenie sprawiło, że żołądek podszedł mu do gardła. Wyrównał lot i wszedł w ciasny skręt w lewo.

- Folia była skuteczna!

- Gdzie tamten?

- Godzina czwarta, nisko, wygląda na to, że ucieka.

- Zajmiemy się nim! - Kevin zmienił kurs, by przeciąć uciekającej maszynie drogę. Zobaczył ją po trzydziestu sekundach. Uaktywnił automatyczne naprowadzanie radarowe.

- Namierzony! - krzyknął Delgado.

Kevin uchwycił dyszę wylotową *MiG-a* w celownik i odpalił *Sparrowa*. W ciągu sześciu sekund rakietę dogoniła iracką maszynę. Czterdzieści kilogramów materiału wybuchowego oderwało sekcję ogonową *MiG-a*, który kilka sekund później eksplodował, zmieniając się w kulę ognia.

- Spadam...! - Krzyk pilota *MiG-a* nagle się urwał. Manesz zaklął głośno pod maską, podrywając swój myśliwiec z pasa startowego. Lecił na wysokości piętnastu metrów nad ziemią.

Kevin Dalton zmniejszył ciąg, wracając na kurs do Allahbadu. Wkrótce rzekomo zniszczone zakłady pojawiły się na horyzoncie.

W powietrzu wisiała jeszcze poranna mgiełka. Wprowadził *Tomcata* w szeroki skręt w prawo.

- Sytuacja, Chico - poprosił przez interkom.

- Pusto, ekran czysty.

Kevin rozejrzał się po niebie w poszukiwaniu „Buhaja” Kramera.

Syreny wyły ogłuszająco. Młody major, dowodzący obroną Allahbadu, dopadł jednego z ocalałych sprzężonych działek przeciwlotniczych *Szytka*, zaparkowanych przed zakładami.

- Hej, ty tutaj!

Szeregowy, który siedział koło anteny radaru *Szytki* i przeszukiwał niebo przez lornetkę, odwrócił głowę w kierunku oficera.

- Tak?

- Na co czekasz? Mamy kolejny nalot!

- Tak nam powiedziano, panie majorze, ale radar niczego nie pokazuje. Chwileczkę, jest! - wskazał ręką ciemny kształt pędzący w kierunku zakładów. Szeregowy i major pośpiesznie wskoczyli do środka opancerzonego pojazdu, zamykając za sobą okrągły właz. *Szytka* ruszyła, szybko oddalając się od zakładów.

- Namierz go radarem, szybko!

- To już robota komputera.

*Szytka* jeszcze jechała, kiedy radar wykrył i namierzył nadlatujący samolot, wysyłając odpowiednie sygnały do czterech chłodzonych wodą działek na przedzie pojazdu. Samobieżna *Szytka* gwałtownie się zatrzymała. Wieża obróciła się o 90 stopni i działka kalibru 23 mm rozpoczęły ogień z szybkostrzelnością tysiąca pocisków na minutę.

Kramer wprowadził *F-117A* w łagodne nurkowanie i zmniejszył ciąg, otwierając drzwi bombowe. Uaktywnił bombę *Paweway*.

Korzystając z wyświetlacza refleksyjnego, skierował promień lasera na tę część magazynu, w której, jak twierdzili Kevin i Halston, znajdowała się winda. Zablokował laser na wybranym celu i zwolnił *Paweway*.

Maszyna zatrzęsała się, kiedy kilka pocisków przebiło pokrycie. Kramer spostrzegł płomień wylotowe i uzmysłowił sobie swój błąd. Szybko przekreślił samolot tak, żeby otwarte drzwi bombowe znalazły się poza linią ognia i ściągnął drążek sterowy. Bez względu na te manewry, laserowy znacznik celu trzymał wiązkę monochromatycznego światła dokładnie na celu.

*Paweway* natychmiast zareagował na laserowy promień, przebił dach i eksplodował.

\* \* \*

Wybuch, który wstrząsnął całym obiektem, był tak silny, że Sakkar upadł na betonową podłogę.

- Co do diabła?

Przypominające jaskinię pomieszczenie zaczęło się szybko wypełniać dymem.

- Bomba, doktorze! Uderzyła w płytę, zamykającą szyb windy! - krzyknęła Risha, biegnąc w kierunku wyrwanych drzwi windy.

- Przebiła płytę? - spytał, przykładając sobie chusteczkę do ust.

- Nie wiem, doktorze.

- Otworzyć szyby wentylacyjne! Trzeba jak najszybciej usunąć stąd dym!

- Ale... Wystawilibyśmy się na...

- Do diabła! Włączyć wentylację! Musimy się pozbyć tego dymu!

Dym robił się coraz gęstszy.

- Proszę się uspokoić, doktorze. Nic się nam nie stało.

- Nie rozumiesz, Risha. Tu nie może być dymu ani ognia. System komputerowy zacznie automatycznie odpalać rakietę, a jeszcze nie wszystkie są na wyrzutniach! - Opadł na kolana, pociągając ją za sobą. W kłębach dymu nic już nie było widać.

- Szybko, wentylacja! Trzeba usunąć dym!

Kiedy potężna bomba wybuchła, major poczuł, że ziemia się zatrzęsła. Odwrócił się do szeregowego.

- Dlaczego przerwałeś ogień? Wróg ucieka!

- Straciłem namiar, panie majorze. Coś nie w porządku z radarem!

- Do diabła, przejdź na ręczne sterowanie!

- Tak jest!

Strzelec przerzucił przełącznik, obrócił wieżę i uniósł lufy działek, ale samolot był już poza zasięgiem ognia.

Kramer patrzył zaskoczony na dwoje wielkich, zakamuflowanych wrót, otwierających się na polu koło ogrodzenia i odsłaniających przepastne tunele.

Uśmiechnął się, kiedy spostrzegł wydobywający się stamtąd dym. - Mam te przekłete szyby wentylacyjne! *Paveway* trafił w dziesiątkę! Miałeś rację, Szurnięty! Drugie podejście!

- Osłaniamy cię - odpowiedział Kevin.

Kramer zwiększył wysokość do sześciuset metrów i uaktywnił drugiego *Paveway*a. Nagle na monitorze zamrugało czerwone światło

- Szlag by to trafił! Zacięcie mechanizmu zwalniającego bombę!

Trzy kilometry dalej, strzelec *Szyłki* miał samolot Kramera dokładnie na

przecięciu nitki celownika. Wprawdzie zasięg jego działek wynosił tylko dwa tysiące metrów, ale strzelec wycelował w punkt nieco ponad *F-117A*, żeby uwzględnić krzywą balistyczną pocisków i otworzył ogień.

W kabinie Kramera zapaliły się światła alarmowe. Tablica przyrządów zaczęła przypominać choinkę na Boże Narodzenie. - Co jest, do diabła? Mayday! Mayday! Sukinsyn trafił mnie w lewy silnik! Tracę hydraulikę!

Kramer gwałtownie poderwał samolot, żeby jak najszybciej oddalić się od *Szyłki*. Jego *F-117A* wyraźnie tracił moc. Na drążku sterowym czuł coraz silniejsze drgania, kiedy wprowadzał samolot w ciasny skręt. Chwytał drążek w obie ręce i dokończył skręt, zwiększając wysokość. Kolejne trzy eksplozje.

Poczuł potworny ból. Jeden z pocisków przebił podłogę. Gorące odłamki trafiły go w lewe udo. - A niech to diabli!

Następny pocisk przebił kadłub i wybuchł wewnątrz kabiny. Monitor eksplodował. Fala uderzeniowa wbiła Kramera w oparcie fotela. Kawalki porzbianego wyposażenia kabiny waliły go w pierś, inne odbijały się od hełmu. Nagle poczuł piekący ból w nogach. Spojrzał w dół i zobaczył, że z nogawek jego kombinezону wydobywa się dym. Zapaliły się od rozpalonego pocisku. Kabina szybko wypełniała się dymem.

Ze świadem spalonego mięsa w nozdrzach Kramer walczył o odzyskanie kontroli nad samolotem. Zerknął na wskaźniki analogowe. Większość wydawała się w porządku. Prawą ręką dotknął rany na udzie. Krwawiła, ale kość była nie naruszona. Nadal mógł operować pedałami orczyka. Zawrócił maszynę.

Ku swemu przerażeniu, Kevin zobaczył warkocz dymu ciągnący się za *F-117*. Próbował wywołać Kramera przez radio, ale bezskutecznie. Uszkodzony *F-117A* zawracał.

- Dokąd on leci, do diabła? - zapytał Delgado.

- Nie mam pojęcia. Facet oszalał.

Kramer zbliżał się do zakładów w Allahbadzie z prędkością pięciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę; lecąc na jednym silniku nie mógł wydusić więcej. Zobaczył wieżę *Szyłki* obracającą się w jego kierunku. Uśmiechnął się, odpychając drążek sterowy i sięgając pod siedzenie.

- Jasna cholera! - zawołał Kevin, widząc *F-117 A* nurkującego prosto na wyloty tuneli wentylacyjnych. Towarzyszył maszynie Kramera od sześciuset metrów aż do niecałych stu metrów nad ziemią.

Wyciągaj! Na co czekasz?

Kevin szeroko otworzył oczy, zdawszy sobie nagle sprawę, co Kramer zamierza zrobić. Wstrzymał oddech i modlił się w duchu.

Oslona kabiny odskoczyła. Kramer poczuł potężne pchnięcie, kiedy rakieta na paliwo stałe wystrzeliła go wraz fotelem z samolotu. Leciał coraz wyżej i wyżej. Przeciężenie zginało mu ramiona. Stracił przytomność.

Sakkar usłyszał odgłos silnika, dochodzący z otworów wentylacyjnych. W pierwszej chwili pomyślał, że betonowe tunele wzmocniły dźwięk przelatujących nad zakładami myśliwców. Może to maszyny wroga, nadlatujące po raz drugi. Odwrócił głowę w kierunku szybu windy, spodziewając się następnej eksplozji, ale zagłada nadeszła z zupełnie innej strony. Odwrócił się i zamarł, nie wierząc oczom, kiedy coś wielkiego i czarnego przebiło się przez stalową kratę, zabezpieczającą wylot jednego z tuneli wentylacyjnych. Zaraz potem pochłonął go ogień.

- *Madre de Dios!* Popatrz, Szurnięty!

- Boże święty! - Kevin patrzył na wielkie słupy ognia, wzbijające się w niebo z tuneli wentylacyjnych. Nagle ziemia pod zakładami jakby rozstała się, w ciągu kilku sekund pochłaniając wszystko - budynki, ludzi...

- Widziałeś kiedyś coś takiego?

- Tylko podczas trzęsienia ziemi w Los Angeles. Na Boga, co tam było pod powierzchnią?

- Nie wiem, ale...

- Spadochron! To Buhaj!

- Niech mnie diabli! Zwariowany kowboj!

Kevin przeleciał po raz ostatni nad miejscem, w którym jeszcze przed chwilą były zakłady i pomachał skrzydłami *Tomcata*.

- Hej, Szurnięty! Tam, na ziemi, godzina trzecia!

Kevin przesunął dźwęk w prawo, przechylając maszynę. Zobaczył cztery niezbyt duże eksplozje, odległe od siebie o kilkadziesiąt metrów.

- Nie wiem, co to może być. Rurociąg z paliwem, czy co?

- Szurnięty! To wyrzutnie rakiet balistycznych!

- Co takiego? Wyobrażasz sobie... - Zamilkł, wiedząc płomienie, wydobywające się z podziemnych wyrzutni rakietowych.

- Nieprzyjaciel z przodu! Niecałe cztery kilometry! Szybko się zbliża!

Kevin spojrzał przed siebie. - To ten *MiG-29!*

Obejrzał się. Rakiety balistyczne wystartowały, powoli nabierając wysokości. Wiedział, że za trzydzieści sekund znajdą się poza zasięgiem *Tomcata*. Reagując instynktownie, dał pełny ciąg, włączył dopalacze, wprowadził maszynę w płytkie nurkowanie i uaktywnił działko. Kątem oka zerknął na wskaźnik paliwa. Cztery i pół tony.

Nadlatywał z północy z prędkością tysiąca dwustu kilometrów na godzinę. Wziął na cel najbliższą rakietę, która dopiero co opuściła wyrzutnię. Strzelił trzema krótkimi seriami. Bez rezultatu. Rakietę wspinała się w niebo. Wycelował starannie i spróbował jeszcze raz. Cztery dwusekundowe serie. No, na co czekasz? Rakietę eksplodowała w powietrzu, zmieniając się w kulę ognia.

- Uwaga! Godzina siódma, pod nami! Pojedynczy cel!

Kevin zmarszczył brwi, widząc *MiG-a* kilkaset metrów za sobą, nieco po lewej stronie.

- Namierzył nas!

- Cholera z nim! Ruszam za raketami! - zawołał Kevin, wiedząc, że stwarza *MiG-owi* doskonałą okazję. Nie miał jednak wyboru; musiał zestrzelić rakiety z głowicami atomowymi. Zawrócił w kierunku rakiet.

- *Sidewinder*.

Radar wyznaczył kierunek, a głowica *Sidewindera* zasygnalizowała namiar na najbliższe źródło ciepła.

- Namierzona! Strzelaj!

Kevin włączył mechanizm zwalniający i kilka sekund później osiemdziesięciokilogramowy *Sidewinder* trafił w cel. W niebo wzbijała się wielka kula ognia. Jeszcze dwie.

- *MiG* nas namierzył! Rakietę w powietrzu! Odejdź w prawo! - ostrzegł Delgado.

Kevin rzucił folię i flary, wprowadzając *Tomcata* w niesamowicie ciasny skręt. Wyrównał, rzucił jeszcze kilka flar, po czym przewrócił maszynę na plecy i zanurkował.

- Rakietę poszła za flarami! Uwaga, nieprzyjaciel, godzina szósta! - zawołał Delgado w chwili, kiedy Kevin wyrównał lot piętnaście metrów nad ziemią. Przeklinał w duchu *MiG-a*, widząc jak pozostałe dwie rakiety balistyczne z głowicami nuklearnymi, znajdujące się trzysta metrów nad nim, szybko nabierają prędkości.

*MiG* nadlatywał od tyłu, ale Kevin Dalton wiedział, że musi podjąć próbę zestrzelenia tych rakiet, nawet gdyby miał to przypłacić wystawieniem się na ogień irackiej maszyny. Dał pełny ciąg i ruszył pionowo w górę na dopalaczach.

- *MiG* godzina ósma, pod nami - powiedział Delgado.

- Niech go diabli! Najpierw rakiety!

*Tomcat* rwał do góry, w kierunku dwóch srebrzystych kształtów, którym Kevin nie mógł pozwolić na dotarcie do celu. Rakiety przekroczyły już jednak prędkość dźwięku. Kevin spojrzął na wskaźnik refleksyjny. Prędkość lotu *Tomcata* wynosiła dziewięćset trzydzieści kilometrów na godzinę i spadała. Wysokość przekroczyła trzy tysiące metrów. Wiedział, że rakiety są już poza zasięgiem działka.

- Cholera, Uciekają! Dawaj *Sidewindera*

- Próbuję złapać namiar!

Chwilę później reagująca na podczerwień głowica zasygnalizowała namierzenie źródła ciepła i Kevin zwolnił *Sidewindera*.

Rakietowy pocisk ruszył w górę, w kierunku bliższej z dwóch rakiet balistycznych.

Kevin patrzył na smugę spalin *Sidewindera*, zbliżającą się do wielkiej rakiety. Chwilę potem osiemdziesięciokilogramowy pocisk eksplodował.

Prędkość lotu *Tomcata* spadła do 700 kilometrów na godzinę. Kevin Dalton czekał, aż coś się stanie, ale rakieta leciała dalej. Zrozumiał, co się stało. Najgorętsza część rakiety balistycznej - a więc ta, w którą mierzył *Sidewinder* - znajdowała się daleko od głowicy. Ważąca ponad 11 kilogramów głowica *Sidewindera* nie wyrządziła żadnej szkody rakiecie balistycznej.

- Uaktywnij *Phoenixa*! - rozkazał Kevin.

- Co takiego?

- Do diabła, Chico! Dawaj *Phoenixd*

- To się nie uda! Ten system nie jest przewidziany do...

- W dupie mam system! Dawaj namiar! Te kurewskie rakiety uciekają!

Delgado westchnął, przełączając *AWG-9* na namierzenie pojedynczego celu. W tym trybie pracy system miał zasięg do 130 kilometrów i podawał informacje o odległości od celu, prędkości i kierunku lotu atakowanego obiektu. Oprogramowanie nie było zaprojektowane do śledzenia rakiet balistycznych, przekraczających dwukrotną prędkość dźwięku. Delgado miał jednak nadzieję, że skoncentrowanie *AWG-9* na jednym celu przyniesie jakieś rezultaty. Nie zawiódł się. Potężny radar *Tomcata* namierzył wznoszącą się rakieta.

- Niech mnie diabli, Szurnięty! Jest namiar!

Kevin zwolnił *Phænixa*. Prędkość lotu *Tomcata* spadła do 370 kilometrów na godzinę.

Pocisk rakietowy *Hughes AIM-54 Phoenix* ruszył w niebo. Ponieważ iracka rakieta była odległa zaledwie o niecałe dwa kilometry, *Phoenix* automatycznie przełączył się na własny program śledzenia celu.

Zapłonęło bursztynowe światło ostrzegawcze i pojawiła się informacja, że prędkość lotu spadła do 220 kilometrów na godzinę. Cholera! Na wysokości pięciu tysięcy ośmiuset metrów Kevin zakończył wspinaczkę, przetrzymał maszynę na plecach i zanurkował, żeby uniknąć przeciągnięcia. Kątem oka zobaczył eksplozję irackiej rakiety balistycznej, którą *Phoenix* trafił w sekcję nosową.

Ostatnia rakietka była już tylko dalekim punkcikiem na porannym niebie. Kevin zobaczył ją, kiedy wyrównał lot i spojrzał w górę. Nigdy jej nie dopadnął.

- Uwaga! Pojedynczy cel, godzina szósta!

Kevin obejrzał się na *MiG-a*, który nadlatywał od tyłu. Dopuszczył iracką maszynę zbyt blisko i wiedział, że nie będzie łatwo pozbyć się jej z ogona *Tomcata*. Na próżno rzucał swój samolot w ciasne skręty, wspinał się i nurkował. *MiG* trzymał się go, jak przyklejony.

- Nie pozbędę się go!

*MiG* otworzył ogień.

Kevin obrócił *Tomcata* o dziewięćdziesiąt stopni w lewo wokół podłużnej osi samolotu, ale pociski zdążyły trafić w prawe skrzydło, odrywając kawałki pokrycia. Odpadł w lewo i poszukał wzrokiem jakichś poważniejszych uszkodzeń. Wszystko w porządku.

- *MiG* znów podchodzi! - krzyknął Delgado w chwili, kiedy z prędkością 1 macha nurkowali poniżej trzech tysięcy metrów.

- Sukinsyn szykuje się do strzału... - Seria z działek *MiG-a* przerwała Kevinowi w pół zdania. Przez myśl przebiegły mu sceny z niedawnych wydarzeń. Roztrzaskana osłona kabiny i głowa, opadająca Lancasterowi na pierś...

Pociski znów uderzyły po prawym skrzydle. Kevin pchnął drążek w lewo, wprowadzając *Tomcata* w ciasny skręt. Siła odśrodkowa wepchnęła go w fotel. Widział smugi kondensacyjne powstające na końcach skrzydeł. Pole widzenia zaczęło mu się zawężać, w rękach i nogach poczuł mrowienie. Kombinezon przeciwp przeciążeniowy wypełnił się sprężonym powietrzem, zapobiegając gromadzeniu się krwi w nogach. Walcząc z przeciążeniem, Kevin odepchnął drążek, kontynuując ucieczkę. Siła odśrodkowa działała teraz w drugą stronę. Uprząż fotela wpijała mu się w ciało. Krew nabiegła mu do twarzy, w oczach wirowały czerwone plamy. Wiedział, że to skutek gwałtownego rozszerzenia się naczyń włosowatych. Wreszcie przeciążenie osłabło. Spojrzał do tyłu. *MiG* nie zdołał wprowadzić dotrzymać kroku *Tomcatom*, ale za chwilę znów się zbliżył.

Kevin spojrzał na wskaźnik paliwa. Niecałe czterysta kilogramów. Zużył mnóstwo paliwa, lecąc na dopalaczach. Teraz miał już w zbiornikach tylko resztki, które prawdopodobnie nie wystarczą nawet, żeby utrzymać się



w powietrzu jeszcze przez dziesięć minut. O powrocie do bazy w ogóle nie było mowy. Przesunął dźwignie, zmniejszając ciąg.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnął Delgado.

- Przygotuj się do katapultowania, Chico!

Kevin obserwował *MiG-a*, zajmującego pozycję za *Tomcatem*.

- Wsiadamy, Szurnięty!

- Jeszcze nie teraz! Zaczekaj. - Jeszcze bardziej zredukował ciąg.

- *Madre de Dios!* Dlaczego zwalniasz? Przecież tamten siedzi nam na ognie! Mogę spojrzeć sukinsynowi w oczy! Wsiadamy!

Kevin utkwiał wzrok w prędkościomierzu. Dziewięćset trzydzieści kilometrów na godzinę. Za dużo. - Przygotuj się, Chico!

*MiG* otworzył ogień.

- Katapultuj nas obu, kiedy ci powiem! - rozkazał Kevin.

- Człowieku, czyś ty zwariował?

Kevin wyciągnął rękę w kierunku dźwigni hamulców aerodynamicznych, dźwigni klap i dźwigni podwozia. Pierwsze pociski przebiły osłonę kabiny. Następne rozerwały aluminiowe pokrycie skrzydła. Kawałki aluminium zawirowały w powietrzu.

- *Madre de...*

- Odliczam! Trzy... dwa... jeden... Teraz!

Kevin wypuścił podwozie, otworzył wszystkie hamulce aerodynamiczne i wychylił klapy w momencie, kiedy ładunki wybuchowe odstrzeliły osłonę kabiny.

Poczuł uderzenie wiatru w pierś. Jego ciało zostało wyrzucone w górę, przewróciło się na bok, potem do góry nogami. Widział jak przez mgłę. Pustynia i niebo zamieniały się miejscami. Przeciężenie było tak wielkie, że zaczął tracić orientację. Pole widzenia mu się zawężyło, w kończynach czuł mrowienie. Walczył, żeby nie stracić przytomności, aż wreszcie usłyszał dźwięk, na który tak czekał. Nagle poczuł potężne pchnięcie. Dotarła do niego fala uderzeniowa powstała w wyniku zderzenia dwóch myśliwców w powietrzu. Choć cały obolały, porucznik Kevin Dalton zdołał się uśmiechnąć.

Zanim stracił przytomność, poczuł jeszcze szarpnięcie otwierającego się spadochronu. Czasza na chwilę osłoniła mu oczy przed oślepiającym słońcem.

Potem był już tylko wielki spokój.

Bourdeaux przyglądał się operatorowi siedzącemu przy pulpicie sterowniczym taktycznego systemu obrony powietrznej *Patriot MIM-104*. Operator gorączkowo wystukiwał polecenia na klawiaturze.

- Rakieta balistyczna z Allahbadu leci na Rijad, sir! Wygląda na to, że nasi zniszczyli tylko trzy. Jedna się przedostała!

- Odległość? - spytał Halston.
- Sto kilometrów, sir. Będziemy ją mieć w zasięgu przez trzydzieści sekund, dokładnie za dwadzieścia sekund.
- Zestrzelić!
- Tak jest, sir! Odległość osiemdziesiąt kilometrów. Prędkość 1,3 macha. Kontakt wzrokowy za piętnaście sekund!

Halston wybiegł na zewnątrz. Bourdeaux ruszył za nim. Obaj wpatrywali się w niebo.

- Tam! Widzisz, Bob?

Bourdeaux dostrzegł jasny punkcik na horyzoncie. - Widzę!

Cztery pociski rakietowe *MIM-104* systemu *Patriot* wystrzeliły z rozgrzanej teraz do czerwoności wyrzutni *M-90I*. Operator wołał nie ryzykować. Ciemne smugi przecięły poranne niebo, kiedy tysiackilogramowe pociski pomknęły, przyspieszając do potrójnej prędkości dźwięku. Kierunek ich lotu przecinał się z trajektorią jasnego punktu, który Bourdeaux spostrzegł kilka sekund wcześniej.

Jaskrawy błysk, a po nim szybko jeszcze dwa. Trzy pociski trafiły w cel. Na ziemię zaczęły opadać ciemne, dymiące szczątki. Bourdeaux bez słowa obserwował je aż do chwili, kiedy od ziemi dzieliło je jakieś sto pięćdziesiąt metrów...

Robert Bourdeaux instynktownie uniósł ręce do twarzy, żeby zasłonić oczy przed najbardziej oślepiającym błyskiem, jaki widział w życiu. Zadrżał, zdawszy sobie sprawę, co się stało.

Błysk. Oślepiający błysk, będący rezultatem rozszczepienia jąder atomów. Wybuch jaskrawego światła, mający początek w reakcji łańcuchowej, zainicjowanej w ważącej kilogram kuli z plutonu, ściśniętej do połowy pierwotnego rozmiaru przez idealnie symetryczną eksplozję konwencjonalnego materiału wybuchowego. Kiedy ten ładunek zwiększył gęstość plutonu 239, neutron inicjujący zderzył się z pojedynczym atomem plutonu z siłą wystarczająco wielką, by go rozszczepić, wyzwalając niewielką ilość energii w formie światła i ciepła, a także wyzwalając kilka następnych neutronów, które z kolei zderzyły się z innymi atomami plutonu, również je rozszczepiając, co z kolei uwalniało kolejne neutrony. Proces ten, powtórzony prawie osiemdziesięciokrotnie, żeby ogarnąć całą ilość plutonu, trwał w sumie jedną milionową część sekundy, wytwarzając energię, stanowiącą odpowiednik 20 tysięcy ton trotylu.

- Zamknij oczy! Nie patrz na to światło! - krzyknął Bourdeaux do Halstona, rzucając się za ciężarówkę, ale oślepiający błysk zdążył już do tego czasu zgasnąć. Bourdeaux powoli uniósł wzrok. W odległości około dwudziestu pięciu kilometrów w niebo wzbijała się kula ognia. Stygła gdzieś

na wysokości sześciuset metrów, przekształcając się w dobrze znany grzyb na kolumnie dymu i kurzu.

- Kryć się! - krzyknął Bourdeaux. Z rozmiarów grzyba wywnioskował, że głowica atomowa miała nie więcej niż dwadzieścia kiloton. Oznaczało to, że skoro od miejsca wybuchu dzieliło ich około dwudziestu pięciu kilometrów, fala termiczna i uderzeniowa, która powinna wkrótce do nich dotrzeć, będzie stosunkowo łagodna. Miał rację.

Grzmot był wprawdzie ogłuszający, ale pęd powietrza i żar, które ich ogarnęły, były już tylko maleńką cząstką piekła, jakie rozpełtało się na obszarze dwóch i pół kilometra kwadratowego wokół miejsca wybuchu. Tam fala termiczna, rozpalająca powietrze do białości, rozchodziła się na zewnątrz we wszystkich kierunkach z prędkością początkową większą od prędkości dźwięku. Wkrótce dotarła do nich z przeciwnego kierunku druga fala, kiedy zimne powietrze gwałtownie wypełniło próżnię spowodowaną wybuchem. Promieniowanie radioaktywne z tej odległości można było praktycznie pominąć.

Atomowy grzyb wciąż jeszcze był widoczny. Robert Bourdeaux wstał i spojrzął na Kennetha Drapera, który - wciąż w szlafroku - powoli oddalał się od ciężarówki. Bourdeaux odwrócił się, czując czyjąś rękę na ramieniu. Halston patrzył na niego z wyrazem niedowierzania w oczach.

- O Boże, Bob! Ci dranie już je mieli!

Mimo szoku, po raz pierwszy tego dnia oficer operacyjny CIA Robert Bourdeaux uśmiechnął się szeroko. - Masz rację, stary. Mieli.

### ◆ Dzień siódmy, 7.25 czasu lokalnego - Bagdad

Zadzwoił telefon. Sygnał urwał się, ale po chwili telefon zadzwonił jeszcze raz. Przywódca Iraku przelazł nad rozgrzanym ciałem śpiącej koło niego Syryjki i podniósł słuchawkę. Zamarł, wysłuchawszy meldunku.

Niemożliwe. To było po prostu niemożliwe.

Przeklinając los, Saddam przycisnął pięść do ust, słuchając głosu jednego ze swych generałów. Allahbad został zniszczony, a - co gorsza - jedna z rakiet odpaliła się samoczynnie i wybuchła gdzieś w pobliżu granicy z Arabią Saudyjską. Tajemnica się wydała.

Syryjka przysunęła się do niego. Jeszcze nie całkiem rozbudzona, chichocząc sięgnęła mu między nogi.

Saddam, wciąż ze słuchawką przy uchu, złapał *Makarowa*, odbezpieczył, zerwał się na równe nogi i dwukrotnie strzelił kobiecie w pierś.

Trzech ochroniarzy wpadło do sypialni, w słuchawce rozległ się wrzask generała. Nagi Saddam wypuścił z ręki broń. Kobieta wiła się przez chwilę w konwulsjach, kaszląc krwią i krwawą pianą, ale zaraz zwiotczała.

- O, Wielki! Nic ci się nie stało? - zapytał przez telefon generał.

Saddam odetchnął głęboko. - Nie.

- Ale te strzały, ten hałas...

- Nie przejmuj się.

- Tak, o Wielki.

Saddam odłożył słuchawkę i gestem dał znać ochroniarzom, żeby uprzątnęli cały ten bałagan. Szybko naciągnął szlafrok, który leżał koło łóżka. Młody major, który właśnie wszedł do sypialni, rzucił okiem na nagie zwłoki kobiety, które odciągali ochroniarze i stanął na baczność.

- O, Wielki! Mam meldunek od generała, dowodzącego wojskami nad granicą. Prosi o dalsze instrukcje.

Wciąż nie mogąc się pogodzić z tym, co się stało, Saddam Husajn przymknął oczy. - Powiedz im, żeby się wycofali - mruknął przez zaciśnięte zęby.

# Epilog

## ♦ Dzień dziesiąty, 9.30 czasu lokalnego - Biały Dom

Po raz pierwszy w życiu Robert Bourdeaux wszedł do Gabinetu Ovalnego. Uśmiechnięty prezydent Bill Clinton, ubrany w ciemnoszary garnitur i kasztanowy krawat, wstał, szybko wyszedł zza biurka i spotkał się z Bourdeaux na środku gabinetu, dokładnie w miejscu, w którym na błękitnym dywanie znajdowało się prezydenckie godło. Ucisnęli sobie ręce.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, panie prezydencie.

- O, nie. To dla mnie zaszczyt - odparł dowódca naczelny amerykańskich sił zbrojnych, wpatrując się w Bourdeaux błękitnymi oczyma.

- Dziękuję panu - powiedział funkcjonariusz CIA.

Prezydent miał wszelkie powody do zadowolenia. Saddam Husajn szybko spuścił z tonu, wstrzymał loty w strefie zakazanej i zapewnił ekipom ONZ całkowitą swobodę prowadzenia inspekcji w Iraku, kiedy tylko stało się oczywiste, że jego program nuklearny skończył się kompromitującym fiaskiem. Wszystkie kraje świata nie posiadały się z oburzenia na wiadomość, że Saddam odpalił rakiety nuklearne na Tel Awiw, Rijad, Teheran i Kuwejt. Gdyby nie Amerykanie, na Bliskim Wschodzie szalałaby teraz wojna. Jednak wszystko dobre, co się dobrze kończy - krótkotrwałe imperium nuklearne Saddama stało się impulsem, który wyzwolił bezprecedensowy proces pokojowy w tym rejonie.

- Panie Bourdeaux, wyświadczył pan swemu krajowi - i całemu światu - ogromną przysługę. To, co pan zrobił, uratowało życie milionom ludzi i oddają panu za to cześć.

Bourdeaux poczuł się trochę nieswojo. Zawsze tak było, kiedy go chwailono, a tu jeszcze sam prezydent! Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć,

zdecydował się na zwykłe: - Dziękuję, panie prezydencie.

Clinton, wciąż z uśmiechem na twarzy, pokręcił powoli głową. - Nie, panie Bourdeaux, to ja panu dziękuję.

### ◆ Dzień dwunasty, 15.00 czasu lokalnego - Rijad, Arabia Saudyjska

Porucznik Kevin Dalton wyglądał przez szpitalne okno, obserwując kupców, handlujących na pobliskim bazarze. Taksówki przepychały się przez zatłoczoną ulicę; zagniewani przechodnie tłukli pięściami w maski samochodów, wykrzykując słowa, których Kevin wolałby już nigdy nie słyszeć.

Odłożył „Washington Post”, przeczytawszy gazetę już po raz trzeci. Po eksplozjach atomowych Irak wycofał wszystkie siły znad granicy saudyjskiej. Proces pokojowy ruszył pełną parą. Najpierw musiało jednak zginąć kilku dzielnych ludzi, takich jak Lancaster, Ismael, Abdul, Poole i inni.

Ofiary wojny. Kevin czuł dławienie w gardle za każdym razem, kiedy wspominał swego RIO. Ekipa ratunkowa odnalazła zwłoki „Chico” Delgado, wciąż przypięte pasami do fotela. Spadochron się nie otworzył. Awaria fotela katapultowego. Prawdopodobieństwo takie jak jeden na milion i musiało to spotkać właśnie Delgado. Chico.

„Buhaj” Kramer miał więcej szczęścia. Leżał w tym samym szpitalu, dwie sale dalej, znieczulony morfiną. Jego nogi przypominały przypieczony befsztyk.

Kevin sięgnął po białą kopertę, która leżała na nocnym stoliku. Otworzył ją i wyjął złożony arkusz papieru. W prawym górnym rogu była pieczęć prezydencka. Przebiegł wzrokiem po tekście. W odręcznym piśmie prezydent Bill Clinton nazywał go ostatnim z prawdziwych bohaterów. Informował też, że wycofane zostały wszelkie oskarżenia.

Co za ironia losu, pomyślał Kevin, obserwując wysoką pielęgniarkę, która weszła właśnie do pokoju. Była do niego odwrócona plecami. Jednego dnia niesubordynowany banita, drugiego - bohater. A mimo to, bez względu na tę zupełnie nową pozycję Kevina, komandor John McDeere zażądał przeniesienia go do innego skrzydła. Kevin westchnął.

- Dzień dobry - powiedział, zauważywszy, że pielęgniarką nie była ta starsza pani, która zajmowała się nim przez ostatnich kilka dni.

- Witaj, Kevin - odwróciła się do niego. Ta twarz, te oczy, ten uśmiech.  
- Wróciłam, żeby ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś.

Kevin wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma. - Chalila! Co ty tu...?

- Sza, nie tak głośno. A więc jednak to zrobiłeś.

- Nie było innego wyjścia. Nikt inny jakoś się do tego nie palił.

- Mój rząd jest ci za to niezmiernie wdzięczny. Przypuszczamy, że nasz kraj był głównym celem rakiet z Allahbadu. Chociaż publicznie nigdy byśmy się nie przyznali do żadnych powiązań z tobą, mój rząd polecił mi złożyć ci osobiście podziękowania za zniszczenie tych rakiet. Uratowałeś tylu ludzi. Jeśli kiedykolwiek moglibyśmy ci w czymś pomóc, daj tylko znać.

Kevin odwrócił głowę i znów wpatrzył się w okno.

- Przykro mi z powodu twojego RIO. Słyszałam, że...

Kevin przeniósł wzrok na Chalilę. - Był przyjacielem. Będzie mi go brakować. Ale ty, Chalila, dlaczego nie zabrałaś się wtedy ze mną. Byłem ranny, samotny. Potrzebowałem cię.

- Przykro mi. Nie masz pojęcia, jak trudno mi to przyszło. - Podeszła do łóżka.

Kevin wziął ją za ręce. - Gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że wrócisz.

- Nie mogę zostać długo, Kevin. Przyszłam, żeby ci podziękować i żeby się pożegnać.

Kevin wpatrywał się w jej magiczne, jasnozielone oczy, błyszczące odwagą i inteligencją. - Dlaczego, Chalilo? Dlaczego musisz być tak okrutna dla mnie i dla siebie? Kocham cię i wiem, że ty też mnie kochasz. Inaczej nie byłoby cię tutaj teraz. Zostań ze mną...

- To po prostu niemożliwe. Zrozum, proszę. To by się nie mogło dobrze skończyć. Żyjemy w dwóch różnych światach, a mój kraj potrzebuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek. Może kiedyś...

Kevin pocałował ją w rękę. - Chalilo, zawsze będziesz mieć szczególne miejsce w moim sercu. Może kiedyś...

Posłała mu uśmiech i pochyliła się, żeby pocałować go w policzek. Kevin delikatnie przytulił twarz do jej twarzy.

- Żegnaj, Kevinie Dalton.

Nie odpowiedział. Po prostu przymknął oczy, pozwalając, by jej cudowne ciepło uśmierzyło jego ból. Jej dotyk, jej zapach, jej miękkie włosy, ścierające łyż z jego twarzy. Po raz ostatni Kevin Dalton rozkoszował się jej bliskością.

KONIEC